



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

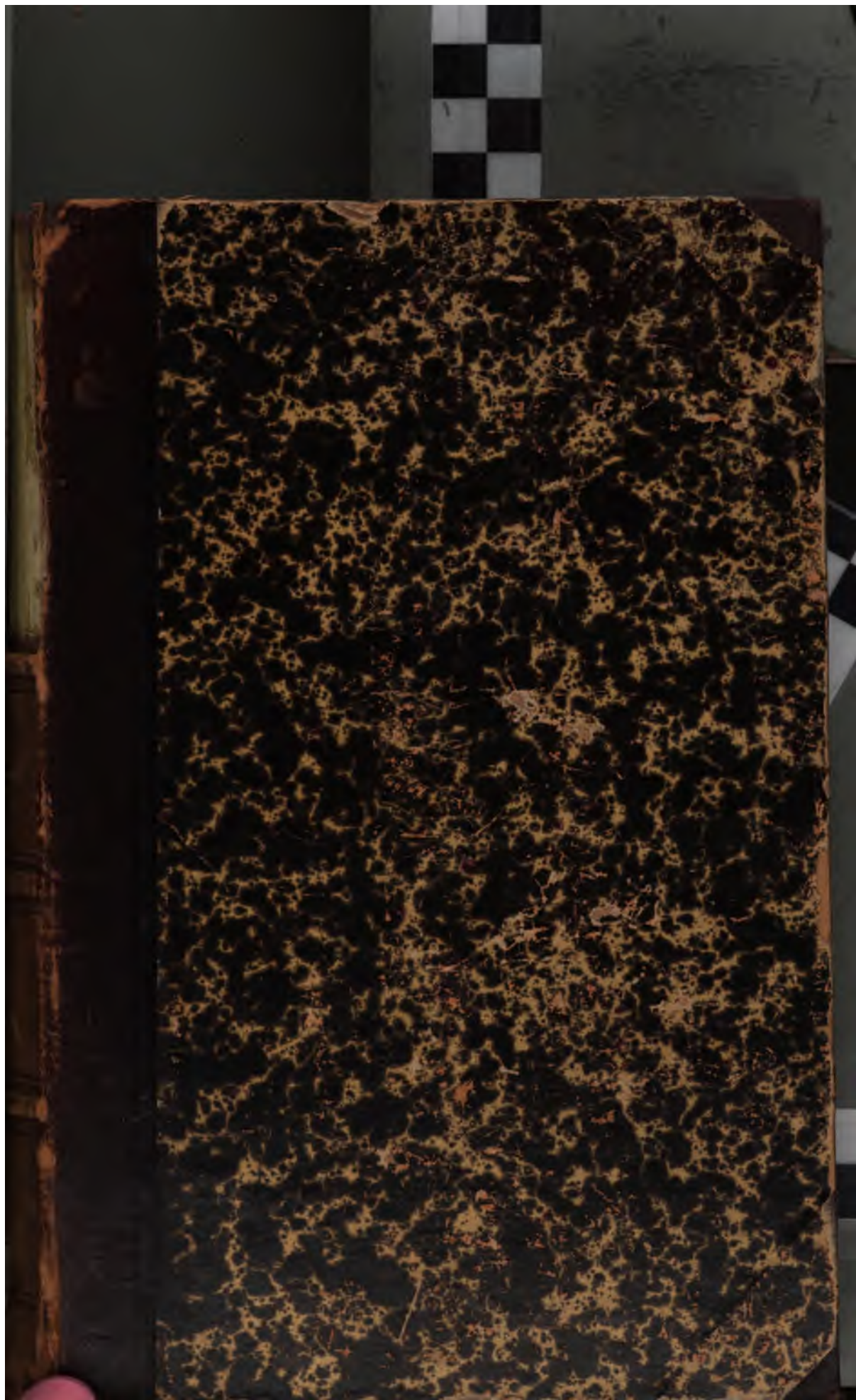
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

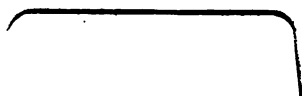
Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>







1

2

3

4

5





... ..

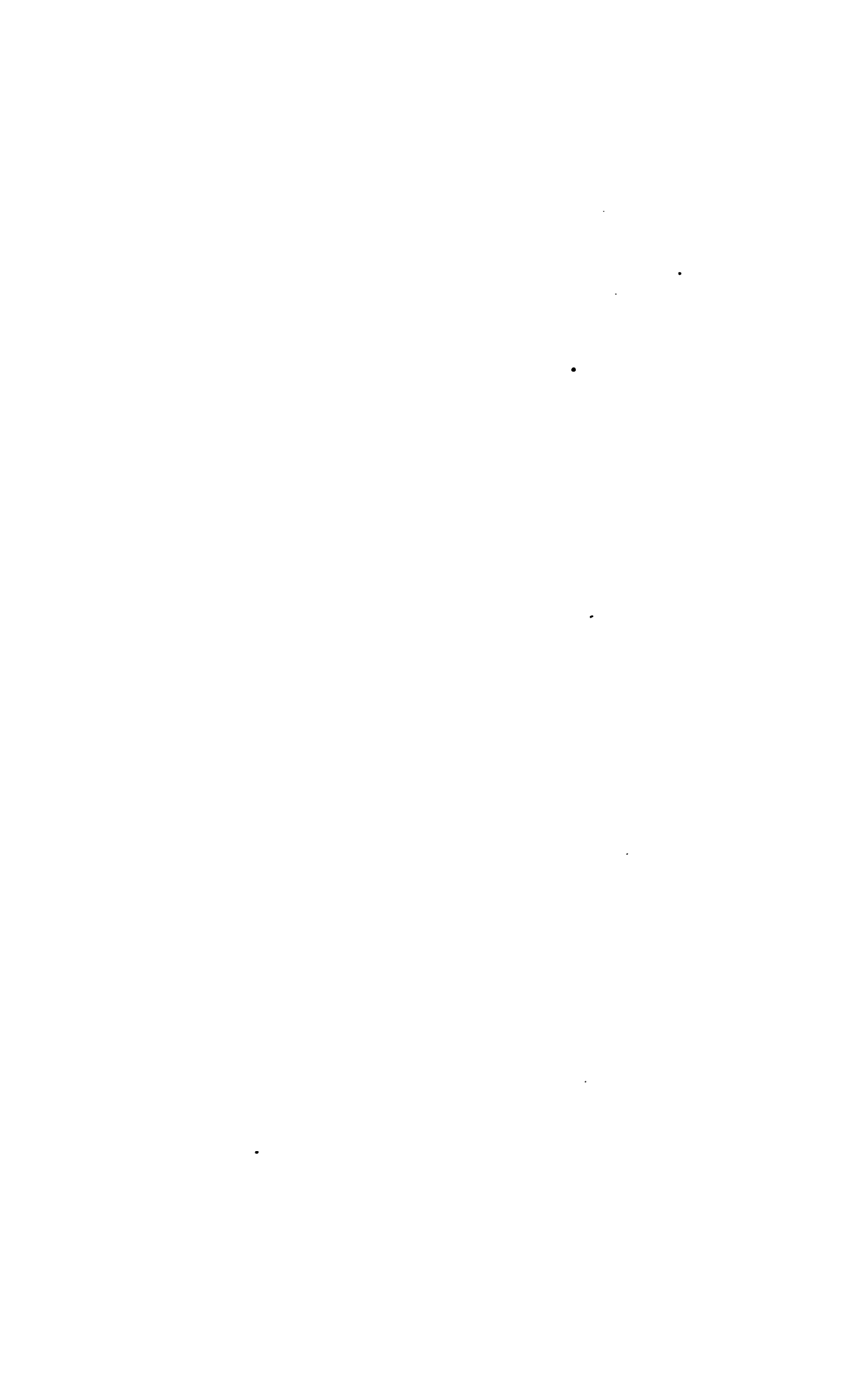
... ..



Z CZASÓW SASKICH

SPRAW WEWNĘTRZNYCH, POLITYKI I WOJNY.





Jarochowski, K.
//

Z CZASÓW
SASKICH

SPRAW WEWNĘTRZNYCH,
POLITYKI I WOJNY

PRZEZ

KAZIMIERZA JAROCHOWSKIEGO

TREŚĆ:

Lauda połączonych województw Kaliskiego i
Poznańskiego za panowania Augusta II. —
Dwie misyje Franciszka Ponińskiego, starosty
Kopanickiego do Cara Piotra w latach 1717
i 1718. — Epizod Rakoczowy w dziejach pa-
nowania Augusta II, od roku 1703—1717. —
Bitwa pod Poniecem dnia 9 Listopada 1704,
jêj przeddzień i następstwa. — Bitwa Kaliska
dnia 29 Października 1706. — Oblężenie
Gdańska w roku 1734.

POZNAŃ.

NAKŁADEM C. F. PIOTROWSKIEGO I SP.

1886.

SPK

DK 431.7
J33



SPIS RZECZY.

| | Strona |
|---|--------|
| Lauda połączonych województw Kaliskiego i Poznańskiego za panowania Augusta II. . . . | 1 |
| Dwie missye Franciszka Ponińskiego, starosty Kopianickiego do Cara Piotra w latach 1717 i 1718. | 81 |
| Epizod Rakoczowy w dziejach panowania Augusta II, od roku 1703—1717. | 187 |
| Bitwa pod Poniecem dnia 9 Listopada 1704, jej przeddzień i następstwa | 327 |
| Bitwa Kaliska dnia 29 Października 1706 . . . | 377 |
| Oblężenie Gdańska w roku 1734 | 441 |

LAUDA

POŁĄCZONYCH WOJEWÓDZTW KALISKIEGO I POZNAŃSKIEGO

za panowania Augusta II.

Na zjeździe Długoszowym w Krakowie odezwali się, pośród innych głosów i wniosków niewątpliwiej naukowej wagi i pożyteczności, ksiądz Waleryan Kalinka i autor niniejszej rozprawy, z projektem zbierania i wydawania tak zwanych *laudów* ziem i województw dawniej Polski, jako jednego z głównych źródeł późniejszych jej mianowicie dziejów. Bez wątpienia: jeżeli *zewnątrzne* dzieje Polski są dość dokładnie znane z dzieł pisarzy krajowych i obcych, jeżeli przebieg wypadków wojennych i tajniki akcji politycznej posiada główny swój źródłowy zasób w archiwach zagranicznych, mieści się całość dziejowej prawdy domowej, miejscowej, wewnętrznej w archiwach naszych rodzin i naszych grodów, w tak zwanych *Księgach relacyjnych*, w *laudach* sejmików wojewódzkich. Nie

przesądając ani treści, ani wartości *laudów* innych ziem i województw Rzeczypospolitej, ograniczamy nasze ocenienie i sprawozdanie na materyale dotyczącym epoki, która jest specjalnym przedmiotem naszych badań, na *laudach* połączonych województw kaliskiego i poznańskiego w mieście Środzie, z epoki panowania Augusta II.

Nim przystąpimy do rzeczy, obeznajmy się z jej widownią.

Oba województwa wielkopolskie stanowiły szeroki klin pograniczny, obramieniony Nową Marchią, Pomorzem i Szląskiem. Województwo poznańskie, składające się z powiatów: poznańskiego, kościańskiego, wałeckiego i ziemi wschowskiej, stanowiło najdalej ku zachodowi wysunięte pogranicze Rzeczypospolitej, wskazane na częste zatargi ze „złym brandenburskim sąsiadem“, lub kamerą szląsko-cesarską we Wrocławiu. Było zamieszkane przez szlachtę, po większej części średniego mienia, ale liczną; posiadało na swym obszarze miasta królewskie i prywatne, pośród których jako większe, zamożniejsze i ludniejsze zapisują się urzędowo: Poznań, Wschowa, Kościan, Międzyrzecz. Liczne starostwa, liczniejsze jeszcze dobra kościelne, klasztorne i biskupie. Ludność wiejska zawiera rozmaite kategorie ludzi luźnych, komorników, wyrobników; następnie zagrodników, owczarzy, młynarzy, potażników, sołtysów, kolonistów niemieckich, „*Oleđrami*“ zwanych. Miasta prywatne nad granicą szląską, jak Leszno, Rawicz, Miejską Górkę, Zaboro-

wo, Bojanowo widzimy w stanie pewnej zamożności. Kwitnie w nich mianowicie przemysł sukieniczny. Mają miasta owe, królewskie zwłaszcza, swoich prezydentów, swój rząd ławniczy, swoją administracyą i swoje sądownictwo, wszystko razem jednakże, zależne w znacznej części od generała wielkopolskiego, od postanowień odbywających się sejmików wojewódzkich. Bratnie poznańskiemu województwo kaliskie, tworzyło długi a wązki pas od ziemi wieluńskiej aż za Noteć, między województwem poznańskiem a inowrocławskiem, brzesko-kujawskiem, łęczyckiem i sieradzkim. Składało się ono z powiatów kaliskiego, konińskiego, pyzdrskiego, gnieźnieńskiego, kcyńskiego i nakielskiego. Wskazane wyżej warunki natury społecznej stosują się dosłownie niemal i do województwa kaliskiego, z tą może tylko maleńką modyfikacyą, że utrapienia pograniczne, będące ciągłym kłopotem województwa poznańskiego, nie dotyczą kaliskiego, a że jako główne jego i zamożniejsze miasta figurują: Kalisz, Konin i Gniezno. Liczne grody, z pisarzami, z regentami, jako instancye zawierania kontraktów, składania skarg i zażaleń, ogłoszeń różnych aktów doniosłości politycznej, jako miejsca depozytów kosztowności, pieniędzy i dokumentów, zajmują całą przestrzeń obu województw. Znajdują się mianowicie grody w Poznaniu, w Kościanie, w Międzyzrzeczu, we Wschowie, w Ostrzeszowie, w Kaliszu, w Koninie, w Pyzdrach, w Gnieźnie, w Kcyni, w Nakle, we Wąlczu.

Nie trzeba przypominać, że wobec rozwiniętego i ukształtowanego do najniższych szczebli samorządu gminnego, starożytna Polska stałej i regularnie funkcjonującej maszyny administracyjnej nie posiadała, a że pod tym względem wyręczały ją postanowienia zbierających się od czasu do czasu, od kilku dni do kilku tygodni lub miesięcy sejmików ziemi województw. Sejmiki zbierały się w sposób dwojaki, bądź to za uniwersałami króla, prymasa, wojewody, bądź to w skutek własnej swój uchwały, z oznaczeniem terminu. Pierwszego rodzaju sejmiki nosiły nazwę sejmików z *uniwersałów*, drugie nazwę sejmików z *limity*. Uniwersały zwołujące sejmik, były oddawane do grodu, następnie rozsełane po powiatach, a termin ich i miejsce ogłoszane z ambon po parafiach, lub przez burmistrzów po miastach. Takim też sposobem były ogłaszane sejmiki z *limity*. Procedura sejmikowych obrad była następująca: zgromadzone mniej lub więcej licznie, w miejscu zwykłych swych obrad, tak zwane „Rady duchowne y świeckie, dygnitarze, urzędnicy y całe rycerstwo“ ziemi lub województwa obierały sobie „marszałka rycerskiego koła“ z pośród osobistości możniejszych, popularnych, stanu rycerskiego, reprezentujących nadto zawsze zwycięzki chwilowo prąd polityczny. Tak np. są nam wśród zmiennych kolei pierwszej połowy panowania Augusta II same imiona i osoby wybieranych przez szlachtę marszałków koła rycerskiego najlepszym barometrem powodzenia jednego lub drugiego

z wojujących stronnictw. Po wyborze marszałka, jeżeli nań była ogólna zgoda a sejmik nie zerwany, przystępowała szlachta do obrad i czynności, będących powodem, następnie przedmiotem zebrania, wybierała bądź to posłów na sejm, bądź delegatów do podskarbiego koronnego, do prymasa, do hetmanów, niekiedy do dowódców wojsk zagranicznych ku przestrzeganiu dobra wojewódzkiego. Uchwalały nadto sejmiki różnego rodzaju podatki na potrzeby wojewódzkie, szelężne i czopowe, pogłównne i podymne, w różnych okolicznościach, różnej wysokości; uchwalały dalej tak zwane „podnoszenie wojewódzkich chorągwi“, z oznaczeniem ich liczby, terminu służby, płacy. Ustanawiały prócz tego podatki na podniesienie z ruiny kościołów, podupadłych budynków grodowych, fortyfikacyi, niekiedy kamienic prywatnych po miastach, na reparacyą dróg i mostów, na wsparcie instytucyi naukowych, niekiedy prywatnych przemysłowców i kupców, właścicieli drukarni i „bibliopolów“. Całego obszaru rozległej działalności sejmików nie jesteśmy w stanie i w chęci objąć niniejszą wstępną uwagą. Znajdzie się do tego sposobność niżej, przy szczegółowem sprawozdaniu ze zbioru znajdujących się w naszym ręku dokumentów, a tymczasem powiedzmy tylko, że treść sejmikowych obrad, wraz z ich rezultatem, z wszelkimi ich uchwałami, spisana dokładnie przez sekretarza zjazdu, podpisana przez marszałka, stano-

wiła dokument, noszący techniczną nazwę „*lauda*“ a była następnie oddawana do grodu.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, nie trudno wyciągnąć wniosek, jak nieobliczonej wagi źródłem do obeznania się z wewnętrznym organizmem Polski są te „*lauda*“, jaką usługę wyświadczyłyby naszemu dziejznawstwu naukowa instytucja, która by je w jak największym, o ile możliwości, komplecie zebrała i drukiem ogłosiła. Zadanie, prawda, mozolne, kosztowne, olbrzymie, ale opłacające się sownicie naukowym plonem. Przesuwają nam się w dziejowym kalejdoskopie postacie znanych bohaterów wojen, przedstawiają się jaskrawe obrazy stoczonych bitew. Otwierające się powoli archiwa różnych państw europejskich odsłaniają tajniki gry dyplomatyczno-politycznej. Jakże przecież te wojny, te bitwy, te frymarki dyplomatów, te popisy bohaterów odbiły się na współczesnej fizynomii kraju; jak się znalazł wobec nich szlachcic w swym dworku, mieszczanin na bruku ze swym warsztatem czy browarem, chłop w swój chacie, zakonnik w swym klasztorze; jakie niezatartej prawdziwości piętno wyryła straszna burza w troistój swój postaci pożogi, rabunku i dżumy, na obliczu współczesnej, przedzającej nic powszedniego żywota społeczności? — Na to pytanie są nam dać jedynie w stanie wyczerpującą odpowiedź zebrane w całości *lauda*. Przypatrzmy się im w naszej epoce panowania Augusta II, od chwili, odkąd zwycięstwo Szweda pod Poniecem, w Listopadzie r. 1704, daje

jaką taką możność utrwalenia się efemerycznej królewskości Stanisława Leszczyńskiego, a rozpocznijmy znów nasze sprawozdanie, od rozpatrzenia się po klasycznej widowni wojewódzkich zjazdów i obrad. Polityczną stolicą obu połączonych województw kaliskiego i poznańskiego, było położone o cztery mile od Poznania miasteczko Środa, o którym dałoby się nieledwie to samo powiedzieć dzisiaj, co Mickiewicz powiada w swym *Popasie w Upicie*.

„Gdzie były rynki ludne, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem“.

Szukać by istotnie nadaremno w dzisiejszej Środzie jakichbądź śladów minionej, okazałej przeszłości politycznej, a jedynym jej pomnikiem piękna i wspaniała, ze ściętą u góry wieżą, obwiedziona do koła murem kollegiata. Jeżeli tabor bryk, wozów, koni, żywności i służby szlacheckich zalegał podczas odbywających się letnią zwłaszcza porą rozległe równiny wsi okolicznych, jak np. w r. 1703 wsi Nadziejewa, to widownią poważnych obrad i uchwał szlacheckich był cmentarz około kollegiaty w samym mieście, nadto wewnątrz samegoż kościoła. Ciekawa istotnie widownia, któraby wiele powiedzieć mogła, gdyby mówić umiała. Tutaj to „stał się huczek“ w Maju r. 1670 przeciw niecnemu jurgieltnikowi elektora brandenburgskiego Krzysztofowi Grzymułtowskiemu, kasztelanowi poznańskiemu. „Jegomość Pan Trąpczyński“ poczęstował go pierwszy obuchem, szlachta pokiereso-

wała na dobre szablami. Tutaj to urodziła się z naprawy szwedzkiej pod patronatem Jana Sapiehy starosty bobrujskiego i Stanisława Poniatowskiego, konfederacja średzka, mająca później wyrosć na wielkopolską a jeszcze później na generalną warszawską i posłużyć za narzędzie detronizacji Augusta. Dalsze czasy i wypadki obrały sobie też samą widownią.

Według przechowującej się tradycji miejscowej obradowała szlachta, często naturalnie gwarno i kłótliwie, w głównej nawie kościelnej. Sekretarz sejmiku siedział tymczasem w bocznej kaplicy po za kratą zamkniętą na klucz, aby na spisywany przezeń protokół namiętność stronicza w czynny sposób wpływać nie mogła.

Na takiej to widowni, w takim to miasteczku, wśród podobnego otoczenia odbywały się narady, przychodziły do skutku postanowienia, o których niżej mowa. Rzecz nasza rozpoczyna się z pierwszymi dniami Grudnia r. 1704.

W interesie zrozumiałości rzeczy wypadnie nam znów przed zstąpieniem do dziejów wielkopolskiego, zaściankowego wnętrza, rozpatrzyć się pokrótce w ogólnym ówczesnym położeniu politycznym i wojennym. Jest to chwila zupełnego na widowni polskiej szwedzkiego tryumfu, najdoszczętniejszego, do pewnego stopnia dobrowolnego pogromu saskiego. Karól XII wygonił Augusta z Polski, przeparał pod Poniecem Schulenburga za

granicę szląską, Patkula pod Zbąszyniem za granicę nowo-marchijską i rozłożył się sam główną kwaterą w Rawiczu, tuż w pobliżu bawiącego w Rydzynie Stanisława Leszczyńskiego. Korpus Renskiölda rozłożył się równocześnie między Poznaniem a granicą brandeburską, maleńkimi załogami w miasteczkach Kaźmierzu pod Szamotułami, w Obornikach, Wronkach, Międzychodzie, Skwierzynie, Międzyrzeczu. Główna kwatera tego samego generała znajdowała się w Konarzewie, pięknej włości Jędrzeja Radomickiego starosty Osieckiego. Poznań sam miał po oswobodzeniu od oblężenia Patkulowego załogę szwedzką pod dowództwem pułkownika Liliehöka. Król August tęskniący w tej chwili namiętnie za pokojem, poszukujący go rozmaitemi godziwemi i mniej godziwemi środkami, bawił a raczej bawił się w Dreźnie; prymas w odległym Gdańsku; świeżo nawrócony do sprawy Augustowej w. hetman koronny Hieronim Lubomirski wraz z całą rodziną Lubomirskich, wraz z innymi wybitniejszymi zwolennikami Sasa w Krakowie, w Tuknowie, we Wiśniczu na przemian; reszta dygnitarzy, jak n. p. Andrzej Załuski w. kanclerz, jak Jan Szembek podkanclerzy koronny przy boku królewskim w Dreźnie. Słowem; rozbitcie całego urzędowego organizmu Rzeczypospolitej jak najzupełniejsze, jeden król po za granicami kraju, drugi uznawany tak daleko tylko, jak sięgała opieka szwedzka. Jakże pośród tego ogólnego obrazu smutku i żaloby przedstawiają się oba wojewódz-

twą w swém domowém wnętrzu? W Grudniu roku 1704 właśnie zawisł nad niemi, jak widzimy, cały ciężar szwedzkiej przewagi. O jakiejbądź, po dzisiejszemu powiedziawszy, swobodzie politycznej kraju, nie ma mowy. Interwencya dobroczynnego Stanisława może co najwięcej temu i owemu szlachcicowi wyjednać „libertacyą“ od kontrybucyi dla wojska szwedzkiego, okazuje się przecież bezskuteczną wobec sądów wojennych szwedzkich, które wskazują na rozstrzelanie mniej lub więcej oporną szlachtę. Lata 1703 i 1704 są w obu województwach Wielkopolski datami pewnej opozycyi na rzecz Augustowej sprawy. Jeżeli osobistości mniej lub więcej wpływowe, jak Mikołaj Świącicki biskup poznański, jak Piotr Bronisz starosta pyzdrowski, jak Franciszek Poniński starosta kopanicki, jak Adam Poniński starosta babimojski, jak Władysław Poniński mąż osobistego zaufania Stanisława Leszczyńskiego, jak Franciszek Radzewski starosta wschowski, jak Władysław Bronikowski podstoli wschowski, świecą w szeregach stronnictwa szwedzkiego i stają się jądrem antiaugustowej konfederacyi wielkopolskiej, — występują inni, w Kościannie, z rekonfederacyą na rzecz królewską. Na czele owiej opozycyi *przeciw* opozycyi, widzimy rodziny Szóldrskich, Radomickich, Dąbskich, Kołaczkowskich, Zakrzewskich. Rozumie się, że z chwilą zwycięstwa szwedzkiego nad Augustem i Schulenburgiem, cały ów zastęp osób reprezentujących stronnictwo Augusta znika z widowni, by czy

to na sejmikach w Środzie, czy przy boku króla Stanisława, czy w deputacyach wyprawianych do króla szwedzkiego w Rawiczu, lub do prymasa w Gdańsku, ustąpić miejsca wypróbowanym zwolennikom sprawy neoelekta. Najpopularniejszą wtedy, najdostrzegalniejszą w Wielkopolsce postacią jest Franciszek z Bnina Radzewski starosta wschowski, mąż pióra i dojrzałej rady, któryby może wśród innego otoczenia i w innych czasach był wyrósł na istotnego męża stanu, na „statystę“, jak mawiali nasi przodkowie. Współczesny jego, od-drukowany w dziele Nordberga protest przeciw Kuryi rzymskiej z powodu oddania pod cenzury kościelne prymasa Radziejowskiego i biskupa poznańskiego Święcickiego za czyny czysto świeckiej i politycznej natury, pozostanie dowodem nie mniej zręczności siły i pióra, jak dokładnej znajomości praw ojczystych, niezaprzeczalnego a tak rzadkiego w owój epoce zapału patryotycznego. Obok niego, ale na niższém o wiele miejscu, wspomnieć należy Aleksandra Gurowskiego miecznika poznańskiego. Zresztą nie zbywa na innych, mniej lub więcej głośnych popularnościach i sławach wojewódzkich, o których niżej będzie mowa. Co natomiast uderza, to zupełna prawie nieobecność *senatorów* wielkopolskich w ówczesnej wojewódzkiej radzie. Nie widać ich, mimo powtarzających się za nimi w *laudach* tęsknot szlacheckich; nie widać, co dziwniejsza, samegoż Piotra Bronisza, marszałka konfederacyi warszawskiej, który bawi wtedy przy

boku prymasowym w Gdańsku. Pozostawałaby jeszcze w ówczesnych stosunkach wojewódzkich jedna do uwzględnienia strona. Jest nią strona *materiałna*. W ocenieniu jej w tej właśnie chwili, trzeba przyznać, że ucisk ciężący nad szlachtą i wieśniactwem, jakkolwiek dokuczliwy, nie był jeszcze naówczas tak strasznym, jak się wyrobił w późniejszych latach wśród pobytu „wojsk auxyliarnych J. K. Mości saskich i carskich“, według oficjalnej terminologii naszego źródła. Prawda, że wojsku szwedzkiemu trzeba było dostawiać ze wsi zboża, mąki, chleba i furazę; prawda, że trzeba było płacić kontrybucye pieniężne, ale był to przynajmniej ciężar regularny i nie przedstawiający się w postaci rabunku i gwałtu. Nadto widzimy tu, jak powiedziano już, występującego w charakterze rozjemczej i opiekuńczej instancyi, poczciwego króla Stanisława, który co chwila wyrabia szlachcie rozmaite ulgi i „libertacye“. Cięższą może była dola miast i miasteczek obsadzonych przez Szweda. Dokładne dość wiadomości mamy, mianowicie z owego czasu, o Poznaniu samym. Prezydent ówczesny jego, Paweł Pothun, błaga nadaremno obecnego przez dni kilka listopadowych roku 1704 w murach poznańskich króla szwedzkiego o ulgę w ciężarach wojennych. Mury miasta poszczerbione w czasie oblężenia; kamienice zniszczone, mianowicie na ulicy Wrocławskiej i Wronieckiej, gdzie się bombardowanie Patkulowe głównie srożyło. Prócz chleba, piwa i wódki, nadzwyczajnych

dostaw, opłacało miasto na załogę szwedzką 2000 tynfów tak zwanych tygodniowych pieniędzy: ciężar straszny i srogi, zważywszy zwłaszcza nędzę ówczesnych stosunków handlowych i niewielką, za ledwie 13—14,000 wynoszącą liczbę mieszkańców miasta. Miały jednakże przyjść gorsze jeszcze czasy i klęski.

A teraz rozpatrzmy się, z *laudami* w rękę, jak się przedstawiała *w skutek* wojny i *wśród* wojny moralna i polityczna fizyonomia kraju, jak się ówczesna społeczność „opędzała biedzie“, by mówić pospolitym językiem; jak się wśród nieustającej zaniewieruchy rządziły oba województwa. Aby podobną mozaikę nieprzeliczonych a różnorodnych przez długie lata szczegółów wprowadzić w pewien ład i system, aby je ugrupować i w zrozumiałém świetle przedstawić, wypadnie nam materiał nasz rozklasyfikować chronologicznie i politycznie na epokę rządów Leszczyńskiego od r. 1704 do 1709, następnie na epokę rządów restaurowanego króla Augusta od r. 1709 do r. 1727. Dalsza klasyfikacja i ugrupowanie nastąpią według różnicy, jaką przedstawia treść sama materiału.

Co się tedy tyczy zewnętrznej, moralnej i politycznej fizyonomii, jaka się wychyla tak w jednej, jak i w drugiej epoce, mianowicie w *pierwszej* z pod przymusu szwedzkiego i wojennych dolegliwości, nie należy się w charakterystyce jej oddawać zbyt optymistycznym złudzeniom o bucie, o oporności, o indywidualizmie szlacheckim, często

może błędnym i zdrożnym, ale umięjącym przecież, nibyto, w danych razach, „pokazać hardą duszę w ubogiem ciele“. Otóż *tej* właśnie strony, owęj dumno-szlacheckiej buty wobec jakiegobądź najezdника, nadaremno byśmy szukali w naszych *laudach*. Szlachta wielkopolska, jak widzimy, umie się przez owo pięciolecie panowania szwedzkiego, *liczyć* z okolicznościami. Mimowolnie szukamy, a chcielibyśmy znaleźć, w stosie *laudów* średzkich z epoki przewagi szwedzkiej i panowania Leszczyńskiego aż do bitwy puławskiej jakikolwiekbydz energiczniejszy znak życia, jakibądź objaw samodzielnej woli na owych sejmikach, w łonie zgromadzeń rycerstwa. Nadaremna to przecież robota. Wszędzie tylko oświadczenia wierności i uległości dla JMci króla Stanisława, wśród rzadkich wycieczek przeciw konfederacji sandomierskiej i zwolnikom Sasa. Od czasu do czasu utyskiwania „nad rozdarciem Rzeczypospolitej i nieszczęśliwościami naszej ojczyzny“, wyprawianie deputacyi dla wyjednania zwolnień od ciężarów i kontrybucyi wojennych, wreszcie najdoskonalsza rezygnacya jako zasadniczy objaw zbiorowego usposobienia owęj epoki. Jeżeli materiał nasz bardzo obfity w dziedzinie wewnętrznego zarządu, administracyjnego mechanizmu połączonych obu województw, nie przedstawia równęj obfitości zasobu dla *zewnątrznych* dziejów politycznych i wojennych. Przypatrzmy się jednakże nasamprzód *tej* jego stronie w epoce pomiędzy bitwą poniecką a puławską, aby na-

stępnie rozpatrzyć się w szczegółach *wewnętrznych* stosunków.

Najpolityczniejszym, jeżeli tak wolno powiedzieć, najwięcej jeszcze światła na ogólną sytuacją rzucającym aktem jest odbyty dnia 2 Grudnia 1704, wkrótce po bitwie ponieckiej i usadowieniu się Karola XII na zimowych leżach Rawickich, w Środzie, pod łaską Franciszka Radzewskiego sejmik „za uniwersałami króla Stanisława I“. Zgromadzona szlachta wydaje uroczyste oświadczenie uznające królewskość Leszczyńskiego, poleca marszałkowi koła rycerskiego, aby wydał manifest przeciw konfederacyi Augustowej w Sandomierzu, „jako radzącój o nas bez nas“, manifest ułożony wspólnie z dwunastu osobno na tenże cel obranymi deputatami. Z protestem tym przeciw konfederacyi sandomierskiej łączy szlachta drugi protest przeciw missyi podskarbiego koronnego Przebendowskiego, którego król August wyprawił równocześnie do Berlina. „Ponieważ niewiadomo, co pod tem *haeret*“, uchwała szlachta przeciw owemu poselstwu protest, który ma być zaniesiony do grodów Kościańskiego i Wschowskiego. Osobne nadto od obu województw deputacye mają wychodzić do króla Stanisława, do króla szwedzkiego, do prymasa i Bronisza marszałka konfederacyi warszawskiej w Gdańsku. Prymas ów, znękany naówczas, usuwający się z widowni spraw publicznych prymas ma obmyślać środki „połączenia Rzeczypospolitój“; marszałek Bronisz, bawiący przy boku prymasa w Gdańsku, odbiera niez-

służone podziękowania „za podjęte trudy około dobra województw“. Szlachta biedna tęskni za pokojem, prymas uchodzi w jej oczach zabobonnie niemal za instancją, która posiadając talizman uspokojenia i połączenia Rzeczypospolitej, jest zarazem w możności obdarzenia kraju pożądanym pokojem. *Najpolityczniejszym* przecież aktem zjazdu średzkiego jest polecenie, udzielone marszałkowi Radzewskiemu, aby wypracował i wyprawił do Ojca św. protest przeciw uwięzieniu i wywiezieniu do Saksonii skompromitowanego przez elekcją Leszczyńskiego, biskupa poznańskiego, Mikołaja Świącickiego. Z polecenia ostatniego wywiązał się, jak już wspomnieliśmy wyżej, starosta wschowski w sposób czyniący równy zaszczyt jego talentowi pisarskiemu, jak dialektyce i znajomości ojczystego prawa.

Bawi tak w Gdańsku przez dziewięć pierwszych miesięcy roku 1705 prymas, a jeżeli jest celem licytacyjnego targu między królem szwedzkim a Augustem, jeżeli wchodzi w podejrzone stosunki z dworem berlińskim, usiłuje nie mniej przez starostę pyzdrowskiego Bronisza, przez deputatów sejmikowych Gurowskiego i Bardzkiego utrzymywać wpływ swój w województwach wielkopolskich. Wpływ ten uwydatnia się mianowicie przez powzięte na sejmiku z dnia 15 Grudnia 1704 r. postanowienie wsiadania na koń „za uniwersałami księcia prymasa“. Gdyby uniwersały te województw z powodu jakichbądź przeszkód nie miały dojść do skutku, gotowe województwa i bez nich gromadzić się do

boku króla Stanisława i przystąpić do organizacyi obronnej siły domowej. W tym celu uchwalają według technicznego terminu owej epoki „podniesienie dwunastu chorągwi“, po 122 koni, każdej z osobna obranym rotmistrzem na czele. Między rotmistrzami spotykamy się z nazwiskami Zebrzydowskiego starosty rogozińskiego, Andrzeja Przyjemskiego kasztelanica chełmińskiego, Jana Grudzińskiego kasztelanica rogozińskiego. Na czele całej téj siły zbrojnej obu województw ma jako pułkownik stanąć Władysław Bronikowski podstoli wschowski. Rozkwaterowanie tych nowych chorągwi, rozłożonych później nieco ku niesłychanemu rozdrażnieniu prymasa w dobrach duchownych i biskupich województwa poznańskiego, ma zależeć od rozporządzenia samego „Króla Jegomości“, odbywać się z należąną dyscypliną, „bez agrawacyi ubogich ludzi“. Osobno wybrana na ten cel, z ośmiu członków składająca się komisya miała zasiąść w Poznaniu od dnia 1 Stycznia 1705 i zająć się dziełem organizacyi chorągwi wojewódzkich. Służba w nich miała się rozpocząć z dniem 1 Lutego 1705, trwać ze strony tych, co wzięli z góry zapłatę, przynajmniej rok cały. Każdy rotmistrz miał pobierać rocznie 6000 złotych, towarzysz na jednego konia 70 złotych. Uczestnicy organizującej owe chorągwie komisyi mieli dostawać po 2000 złotych, fundusze zaś na ten cel być opędzane z szelężnego dóbr szlacheckich, duchownych, miast i miasteczek. Prócz tego przeznaczono dziesiąty grosz całego woje-

wódzkiego szelężnego na potrzeby owéj komisji. Później nieco, stósownie do uchwały powziętej na sejmiku średzkim z dnia 9 Marca 1705, podwyższono „dla zwiększenia ochoty“ płacę towarzysza z 70 na 100 złotych a nadto postanowiono ku obronie króla Stanisława utworzyć zastęp 1200 piechoty ze służbą liczącą się już od dnia 1 Lutego 1705. Naczelne dowództwo téj piechoty oddano pułkownikowi Andrzejowi Skórzewskiemu, organizacją jéj miała się również zajmować wspomniana komisja, koszta miały być pokrywane z oddawanéj „na komisję“ *sympłi* pogłównego. Żydzi mieli jako osobny na téż organizacją podatek płacić „czworo podymnego.“ Jak widzimy jednakże z dalszego ciągu uchwał, nie starczyły te fundusze na utworzenie zakrojonéj na 2664 ludzi siły zbrojnéj wojewódzkiéj.

Już pod koniec Marca 1705 uchwały województwa drugą „sympłę“ pogłównego wraz z dodatkiem po 1500 złotych do płacy rotmistrzów, „aby się kontentowali samym dachem“. Nowo-zaciężne chorągwie miały być rozłożone w dobrach biskupstwa poznańskiego, przyszły istotnie z wiosną r. 1705 do pewnego ładu i składu a popis ich generalny miał się odbyć dnia 30 Czerwca pod klasztorem Ołobockim nad Prosną. Jak popis ten szlacheckich chorągwi i nowo-zaciężnéj piechoty wypadł, nie da się ocenić i wyrozumiezeć ze źródła, jakie mamy w ręku. Co natomiast rzeczą niewątpliwą, to że nowo-utworzona siła zbrojna nie była zdolną prze-

szkodzić bieganinom po kraju i rabunkom tak zwanych „kup swawolnych“ przeciwnej strony. Adam Śmigielski starosta gnieźnieński, naówczas jeszcze zwolennik sprawy Augustowej, zapuszcza się raz po raz i w strony poznańskie, oddaje odwiedziny Lesznu i Kościanowi, ściąga kontrybucye, daje się dokuczliwie we znaki przeciwnikom Sasa, szarpie małe oddziały szwedzkie, przejmując transporty żywności i furazu. Nie znajdujemy śladu, aby się z nim nowo-utworzona siła zbrojna była gdziekolwiek zmierzyła. Pierwszy ślad obecności owej *armii wojewódzkiej*, jeżeli ją tak wolno nazwać, znajdujemy dopiero w zwyciężkiej bitwie szwedzkiego generała Renskiölda przeciw Schulenburgowi pod Wschową dnia 13 Lutego 1706. Chorągwie wielkopolskie pospolitego ruszenia, traktowane niestety w sprawozdaniach szwedzkich Nordberga i Adlerfelda z pewnem lekceważeniem, znajdują się w tej bitwie w liczbie trzech, a więc w poczcie niespełna czterechset koni, na lewem skrydle wojska szwedzkiego pod bezpośrednią komendą generalów Buchwalda i Hummerhielma. Później nie spotykamy się już z ich działalnością. Mianowicie uderza nas ich nieobecność na widowni wojennej, kiedy krótko przed bitwą kaliską (w Październiku 1706) Śmigielski pojawia się w województwie poznańskim i oddaje zamożnemu miastu Lesznu kontrybucyjną wizytę. Co najwięcej, zasługują na wzmiankę w owej porze roku 1706, kiedy napad Schulenburga na Wielkopolskę odparty pod Wschową, kiedy król

szwedzki zagrzął z królem Stanisławem w Pińszczyźnie i na Wołyniu a król August wraz z posiłkami carskimi przebiegają przestrzeń między Krakowem, Piotrkowem, Warszawą, Nowogrodkiem, pewne kroki natury politycznej w postanowieniach wojewódzkich. Tak wśród ciągłych biadań nad nieszczęśliwym położeniem Rzeczypospolitej, nad rozdarciem „tój miłej ojczyzny“, nad nieobecnością „Ihmć Panów Senatorów w naszej radzie“, wśród objawów zaufania na rzecz „marszałka konfederacyi generalnej Bronisza“, również nieobecnego w owej radzie, uchwała szlachta na sejmiku średzkim z dnia 26 Kwietnia 1706 „płacę zasług chorągwi pana Jana Grudzińskiego starosty rawskiego,“ sławnego w owej epoce szwedzkiego partyzanta, jako „zostającego dotąd na usłudze Rzeczypospolitej“. Później nieco, w *laudum* średzkim z dnia 14 Czerwca t. r. podejmuje po tym pierwszym czynie gotowości wspierania Stanisławowych rządów, szlachta jeszcze wyraźniejsze ku utrwaleniu ich kroki. Po oświadczeniu wierności i gotowych służb na rzecz króla Stanisława, obiera szlachta komisarzy ku odbieraniu od województw przysięgi na wierność dla generalnej konfederacyi warszawskiej. W akcie stylowo i politycznie bardzo dobrze zredagowanym, przedstawia zgromadzona szlachta potrzebę owej zbiorowej, ogarniającej cały obszar obu województw przysięgi jako jeden z najskuteczniejszych środków przywrócenia ojczyźnie „jedności i pożądanego spokoju“.

„Tę przysięgę“, mówi *laudum*, „wszyscy jako *sacri foederis copulam accipimus*, mając nieomylną nadzieję, że im gorliwiej sumienia nasze Bogu przy wierze świętej, Panu przy dostojęństwie y prawach obowięzemy, tym większe i stalsze wiary świętej y powszechnego *tam ab intra, quam ab extra stabilietur incrementum*.“ Uznawszy w ten sposób wykonanie zbiorowej przysięgi na rzecz konfederacyi warszawskiej za jeden z kardynalnych warunków utrwalenia rządów króla Stanisława, powierzyła szlachta dzieło odebrania jęj bądź to w Poznaniu, bądź w Kaliszu w przecięgu sześciu tygodni (czyli do dnia 27 Lipca) jako osobnym komisarzom: Franciskowi Radzewskiemu staroście, Władysławowi Bronnikowskiemu podstolemu, Piotrowi Koźmińskiemu podsędkowi wschowskiemu i Marcinowi z Łaska Słoneckiemu.

Postanowienia szlacheckie, zwykle miękkie, ogólnikowe w dziedzinie politycznej, wznosiły się na ten raz do jakoby uroczystego nastroju. Od przeszłego już, 1705 roku, znajdowały się oba województwa w stanie pewnego opuszczenia ze strony własnego i Rzeczypospolitej dygnitarstwa. Nie było prymasa, który bawił w Gdańsku, który wydawał uniwersał na walną radę warszawską naznaczoną na dzień 11 Lipca 1705 i wzywał na nią województwa wielkopolskie, nie przynosząc im aż do chwili zgonu upragnionej pomocy. Nie było marszałka konfederacyi Bronisza, usunął się na uboczne Maciej Radomicki generał wielkopolski, wyru-

szył wreszcie wraz z królem szwedzkim ku Warszawie sam król Stanisław, nie „zdziałwszy zapowiedzianej ulgi w ciężarach wojennych“. Wśród takich tedy okoliczności, już po zgonie prymasa, już po bitwie Wschowskiej, wzięły się województwa same do dzieła swego ratunku, uchwały wspomnianą co dopiero przysięgę, postanowiły wzbraniających się i opornych ogłosić „*pro hostibus patriae*“, oddawały wreszcie jakoby cywilną dyktaturę nad sobą w zastępstwie nieobecnego generała wielkopolskiego, Franciszkowi Radzewskiemu staroście wschowskiemu z prawem wydawania uniwersałów i zwoływania szlachty na sejmiki. Jego też rozkazom poddawały województwa Skórzewskiego pułkownika jazdy i Rozdrażewskiego kasztelanica międzyrzeckiego pułkownika piechoty, jako dowódców siły zbrojnej wojewódzkiej, z poleceniem powściągnięcia biegających po kraju „kup swawolnych“. Nawiasowo powiedzmy jednakże, iż mimo tych marsowych postanowień, które świadczą przynajmniej o dobrej woli województw w zbudowaniu jakiegoś bądź trwalszego domowego organizmu pod egidą królewskości Leszczyńskiego, nie ma zaciętości w sercach szlacheckich przeciw braci innego obozu. Tak np. znajdujemy mimo owych uchwał dekretujących na nieprzyjaciół ojczyzny przeciwników króla Stanisława, instancje sejmowej szlachty za „P. Andrzejem Sobeskim znajdującym się niewinnie w niewoli u Imci P. generała Nierotha.“ Wymowniejszemi są pod tym względem inne, późniejsze, *laudowe* po-

stanowienia. W Poznaniu znajduje się, jak wiadomo, załoga szwedzka, po bitwie wschowskiej i po śmierci poległego w niej pułkownika Liliehöka, pod dowództwem pułkownika Funcka. Pod kluczem plac-komendanta szwedzkiego, w więzieniach zamkowych grodu Przemysławowego, znajduje się przez cały czas pobytu Szwedów mniejsza lub większa liczba powięzionej i posprowadzanéj za różne występki przeciw gospodarowaniu szwedzkiemu szlachty Wojują na rzecz króla Augusta czy to Śmigielski, czy pułkownik Mikołaj Swinarski, napadając „swawolnemi kupy i okładając kontrybucyami miasta y miasteczka“. Co chwila sprowadzają Szwedzi do Poznania i osadzają w więzieniu zamkowym szlacheckich jeńców. Między innymi spotykamy się tu z nazwiskami Żuromskiego, Naramowskiego, Łąckiego Aleksandra łowczego kaliskiego. Jakże, możnaby zapytać, obchodzą się stronnicy króla Stanisława z tymi, uznanymi za nieprzyjaciół ojczyzny, przeciwnikami swéj sprawy? Posłuchajmy w téj mierze uchwały średzkiego *laudum* z dnia 28 Października 1708: „Zaniosą także ciż Ichmć Panowie komisarze do Imci pana komendanta (szwedzkiego, Funcka) za aresztantami Poznańskimi jako Bracią swoią, ażeby uwolnieni być jako krew szlachecka z aresztu mogli. *In quantum* by zaś to *subsequi* nie miało, upraszać będą o wszelki Ichmciom respekt, ażeby lepszą mogli mieć, aniżeli *ad praesens* wygodę w areszcie.“ Nie dość na tem, uchwała *laudum* z dnia 5 Czerwca i 1 Lipca 1709 po 1000 złotych

wsparcia dla dotkniętych długą niewolą „aresztantów poznańskich.“ „Ichnć Panom więźniom poznańskim wyda Imci Pan marszałek na tysiąc złotych do któregokolwiek asygnacją miasta, ponieważ z Poznania miasto z dwóch tysięcy na sejmiku deklarowanych, tylko jeden wzięli z szelegznego i czopowego podatku.“ Otóż wśród wszelkich bied i kłopotów, wśród wszelkich instancyi do króla Stanisława i generała Renskiölda „o *commiserationem* dla województw,“ objaw bratniej życzliwości dla dotkniętych losem wojny ziomków. Zobaczmy niżej, że pod *tym* względem, później, po ustąpieniu Szwedów, stronnicy Sasa nie ustępują w szlachetności ani na włos stronnikom Leszczyńskiego.

Druga połowa tedy roku 1706, by powrócić po tej wycieczce do rzeczy głównej, przedstawia w obu województwach jeżeli jeszcze nie stan uspokojenia i trwałości, to przynajmniej początków jakiego takiego klejącego się organizmu na rzecz rządów Leszczyńskiego. Tymczasem nie pozostaje bez wpływu na losy i wewnętrzne dzieje tego zakątka kraju przebieg rzeczy na wielkim teatrze wojny i dyplomatycznych rokowań. Ostatni raz zbiera się wśród jakiego takiego pokoju jeszcze i normalności domowych stosunków, szlachta wielkopolska za uniwersalami króla Stanisława na dzień 24 Września 1706 do Środy pod łaską Aleksandra Górzeńskiego i uchwała podatek podwójnego pogłównego na wojsko. Równocześnie nakłada obranym przez się deputatom do trybunału koronnego

w Piotrkowie obowiązek złożenia przysięgi wierności dla konfederacji generalnej warszawskiej. Następnie ma odbyć się sejmik dnia 29 Listopada 1706, ale nie przychodzi do skutku. Dla czego następnie długa bardzo przerwa w sejmikach obu województw, tłumaczą współczesne wypadki wojenne. Miesiąc Wrzesień 1706 stanowi datę pochodu obu królów, Karola XII i Stanisława wskroś Wielkopolski do Saksonii. Obaj pozostają rok blisko w Saksonii, król Stanisław utrzymuje rodzaj dworu w miasteczku Leissnig pod Lipskiem, zbiera po raz pierwszy na ziemi obcej korzyści i zaszczyty swego efemerycznego królowania. Gromadzą się około niego przejednani dygnitarze polscy, uznają go z kolei cesarz niemiecki, król pruski, nakoniec sam zdetronizowany król August.

Gdy tak jednakże pan na Lesznie, Rydzyńcu, Baszkowie i Zdunach zbiera królewskie honory w Leissnigu, cóż się tymczasem dzieje w rodzinnych stronach, jakież je los dotyka? W Poznaniu samym siedzi, jak siedziała po za murami oszańcowana i opalisadowana załoga szwedzka pod dowództwem Funcka, ale kraj za to porzucony na łaskę opatrności, wystawiony bez wszelkiej opieki, ochrony i osłony na wszystkie gniewy i próby złości ludzkiej i Bożego dopuszczenia. Nie miało na nich zbywać biednej ziemi wielkopolskiej, a pierwsza połowa roku 1707 jest epoką strasznych, spadających na nią niemal epidemicznie klęsk, pożóg, mordów i rabunków, jakich mimo trwającego już

od lat kilku stanu wojennego, województwa wielkopolskie dotąd nie zaznały. Od Marca r. 1707 wkraczają do Wielkopolski „wojska auxyliarne carskie“ pod dowództwem generała Bauera i pułkownika Schultza, dziwne zbiorowisko wszelkich narodowości: Moskale, Niemcy, Polacy, Kozacy, Kałmucy przerażający bezbronną, wystraszoną ludność niezwykłym widokiem i uzbrojeniem, niezwyklejszemi jeszcze czynami. Mord, rabunek, pożoga, uprowadzanie ludzi w niewolę stają się rzeczą codzienną. Nie ma bezpieczeństwa w domu, nie ma przede wszystkim dla zwolenników nowej królewskości bezpieczeństwa i spokojnego wytchnienia, nie ma możności i miejsca dla rady nad dobrem województwem. Przy generale Bauerze, przy pułkowniku Schultzu wieszają się czerecha złowrogich, podejrzanych postaci, między innymi i polskich. Rozpisują pod obcą zasłoną i opieką, na rachunek wojsk cudzoziemskich ciężkie kontrybucye i dostawy. Mieliśmy w ręku wydawane takie pod zagrożeniem pożogi nakazy do szlachty województwa poznańskiego. Mianowicie stanowią miesiące Czerwiec i Lipiec r. 1707 epokę istnego gniewu Bożego nad Wielkopolską, scen przypominających szarańczowe pochody Atylli, zgroźliwe wybryki ostatnich lat wojny trzydziestoletniej. Pułkownik Schultz przeciąga z zastępem Kałmuków i Kozaków przez południowe strony województwa poznańskiego. Z końcem Lipca 1707 puszcza z dymem i łupi doszczętnie Stanisławowe miasta Leszno, Rydzynę, wszystkie

wsie okoliczne, następnie Bojanowo, Rawicz, Zduny, Kobylin. Kałmucy niszczą, palą miasta i miasteczka, obławiają swe konie zdobyczą, uprowadzają kobiety i dzieci, kiedy dowodzący nimi pułkownik Schultz, rodem Niemiec, każe sobie składać ciężki pieniężny okup, który mimo to nieszczęsnym mieszkańcom łaskawszego losu wyjednać nie zdolny. Po raz pierwszy to wtedy pokrywa się ziemia wielkopolska ruiną i zgliszczami, po raz pierwszy staje w jój obliczu cała zgroza wojny, nad której „nieszczęśliwościami“ szlachta dotąd w swych *laudach* nałogowo i jakoby ze zwyczaju tylko biadała.

We Wrześniu r. 1707 nastąpił powrót wojsk szwedzkich z Saksonii do Wielkopolski, wrócił i król Stanisław, by następnie towarzyszyć królowi szwedzkiemu w dalszej jego przeciw Carowi wyprawie. Wtedy też to nastąpiła w Kaźmierzu straszna egzekucya nieszczęsnego Patkula. Województwa wielkopolskie były oswobodzone od najazdu „wojsk auxyliarnych“ króla JMci Augusta, ale cios wymierzony w cały ich organizm był zbyt silny, aby nie miał stać się powodem przerwy w regularném funkcyonowaniu życia politycznego i zwykłej administracyjnej działalności. To też dopiero znów po dwuletniej blisko pauzie, widzimy dnia 11 Września 1708 zbierający się w Środzie sejmik obu połączonych województw pod łaską Macieja Twardowskiego, surrogata kaliskiego. Pierwszy ów wśród świeżych ruin i zgliszczów zjazd szlachty

nosi wyraźny charakter chwili, w której się odbywa. Straszne skargi na ucisk i nędzę, nie mniejsze i nie inne żale na gwałty dziejące się w kraju, na włóczęące się po nim „swawolne kupy“, domagania się sądów grodzkich u generała wielkopolskiego, błagania wreszcie o ulgi w ciężarach wojennych u króla Stanisława przez wyprawionych do jego boku Stefana Urbanowskiego podwojewodzkiego poznańskiego i Piotra Koźmińskiego podsędka wschowskiego. Do wszystkich wreszcie klęsk nawiedzających ziemię wielkopolską, przyłącza się nowe dopuszczenie Boże. „Obawiając się,“ mówi *laudum* ówczesne, „*serpente*m w województwach naszych *contagione*m powietrza, dajemy w moc I. P. Generałowi naszemu do upatrzenia“ innego miejsca dla sądów. „Powietrze, głód i wojna,“ wszystkie klęski, o których odwrócenie lud pobożny błaga w pieśni suplikacyjnej, zbiegają się na tę ponurą chwilę ponownej restauracji Stanisławowych rządów w Wielkopolsce. On sam wrócił już wtedy ze swój wyprawy, w której towarzyszył królowi szwedzkiemu aż do Radoszko-
wic na Litwie i przebywa na przemian w Poznaniu, w dobrach swych dziedzicznych lub w Malborgu. Głównie zwracają się doń wówczas instancje szlacheckie o ewakuację miasta Poznania. Obecność załogi szwedzkiej jest ciężarem pod wielu względami, ciężarem dla miasta niszczonego kontrybucjami, pustoszonego przez niesforną gospodarkę obcego żołnierza w swych gmachach publicznych i prywatnych kamienicach. Zniszczona i potrze-

bująca natarczywie reparaacy katedra; zniszczony gród do tego stopnia, że nie może służyć za bezpieczne i pewne schronienie akt grodzkich, których pieczę sejmikowe *lauda* powierzają na przemian bądź to burgrabiemu Tomickiemu, bądź to regentowi ziemskiemu Łebińskiemu; zniszczony ratusz, zniszczone kilka kamienic proboszczowi Waśniewiczowi i innym osobom. Nie mogą się odbywać w Poznaniu sądy wojewódzkie, którym na przemian w Buku i Gnieźnie szlachta szuka miejsca, zamknięty jej poniekąd przez załogę szwedzką wstęp do własnej wojewódzkiej stolicy. Przez koniec roku 1708 widzimy téż ziemian zwracających się z instancjami do króla Stanisława przedewszystkiém o ewakuacyą miasta Poznania. Nie ograniczając się na królu Stanisławie, wchodzi szlachta co do tego przedmiotu, jako i w sprawie „aresztantów“ siedzących na zamku, w układy bądź to z generałem szwedzkim Krassauem zajmującym Wielkopolskę w 9000 ludzi po wymarszu króla szwedzkiego przeciw Carowi i z plackomendantem Poznania Funckiem. „A że Ichmć Panowie Posłowie przeszli,“ mówi *laudum* z dnia 29 Września 1708, „przy uczynionėj relacyi funkcyi swojej uczynili województwom otuchę w pofolgowaniu paletów y ewakuacyi od Imci pana generała Krassau, *ad interim* póki to *praesidium* Poznańskie nie wynidzie, więc aby Ichmć samiz uczynili Imci Panu komendantowi relacyą, Ichmćiów do Imci Pana komendanta uprosiliśmy, prosząc, ażeby póki ordynans nie wynidzie

Imci z Poznania wyjścia, chciał się *abstinere ab executionibus* y w wydaniu paletów według ordynansu Króla Imci P. N. M. *In quantum* by zaś Ichmć Panowie zrozumieli, że tak prędko wyniszczyć *praesidium* nie miało, dajemy moc Ichmciom *de mediis in rem* województw jako najpomyślniejszych *tractandi* z Imcią Panem komendantem Poznańskim y prosić o kategoryczną y nieodwołalną deklaracyą. Wielką y w tym województwa nasze ponoszą szkodę, gdy przez ten czas, jak tu *praesidium* do Poznania wprowadzone, zamek poznański, ozdoba szczególna województw naszych, w którym *ab antiquo* archiwum fortun naszych województw *conservatur, funditus* zrujnowany y teraz *maiozem minatur ruinam*, gdy prowiantami zaprzątiony; ażeby tedy zamek ten do końca nie upadł, upraszać będą Ichmci Pana komendanta o ewakuacyą zamku tego, aby województwa o konserwacyi jego skuteczne przedsięwziąć mogły sposoby."

Naturalnie były wszystkie te instancje i próby nadaremne, ponieważ dopóki jakakolwiek siła szwedzka w Wielkopolsce się znajdowała, miasto Poznań i zamek poznański były dla niej zbyt ważnym punktem oparcia, aby się go z grzeczności dla szlachty pozbywać. Za to zasługuje na uwagę inny objaw wynikający z treści ówczesnych *laudów*. Epoka owa nie zna wypróbowanej wierności, żelaznych politycznie charakterów. Jak widzimy z październikowego *laudum* średzkiego r. 1708, należy do przejednaných wówczas na rzecz Stanisławową,

oporny długo, przed czterema laty jeszcze naczelnik pospolitego ruszenia wielkopolskiego na rzecz Augusta, Maciej Radomicki wojewoda inowrocławski. Uważając sprawę Augusta za straconą, zwraca się do Stanisława, obejmuje swe stanowisko generała wielkopolskiego w radzie i urzędowości obu województw a szlachta darzy go takimiż samymi dowodami ufności, jakimi do niedawna darzyła jeszcze Franciszka Radzewskiego. Nasamprzód przeznaczają dlań 30,000 złotych „na pokrycie szkód poniesionych.“ Prócz tego wystawia ku powstrzymaniu grasujących po kraju „kup swawolnych“ „trzysta mundurowanej dragonii wojewódzkiej“ i oddaje mu ją pod dowództwo do dowolnego w razach potrzeby użycia. Koszta wystawienia tej dragonii, która przez kilka lat następnych odgrywa pewną rolę jako straż publicznego bezpieczeństwa, wynosiły 100,000 złotych, które zebrano z szeleżnego, czopowego, pogłównego i podymnego żydowskiego. Nie była zdolną przecież przeszkodzić chwilowo owa dragonia ani rozpustnym wycieczkom załogi szwedzkiej na okoliczne wsie szlacheckie, jak n. p. na wieś Czarnotki, posiadłość wówczas pani cześnikowej wschowskiej Naramowski, ani łowieniu i zwożeniu szlachty do zamku poznańskiego, ani pożodze stolicy politycznej obu województw, miasta Środy.

Wśród podobnych utrapień rozpoczyna się dla Wielkopolski pamiętny rok 1709. Król szwedzki, podobnie jak później Napoleon w Moskwie, mar-

nieje wówczas i topnieje ze swą armią wśród mrozów i głodu w ukraińskim za Dnieprem oddaleniu. Król Stanisław przejeżdża się między Poznaniem, Rydzyną, miastami pruskiemi, pracując zabiegłe na wszystkie strony nad przedjednaniem opornych jeszcze dygnitarzy, mianowicie w hetmana koronnego; załoga szwedzka siedzi mimo wszelkich próśb i instancyi szlacheckich w Poznaniu, w dodatku szerzy się mimo zimy po kraju dżuma a „wojska koronne y litewskie weszły w województwo kaliskie, gdzie paletują.“ Wśród takich okoliczności zbiera się szlachta obu województw po dwa razy w miesiącu Styczniu do Środy pod marszałkowską laską Pana Macieja Twardowskiego, by „kolatać,“ jak się wyraża *laudum* z 14 Stycznia 1709, „do dobrotliwego I. K. Mości serca w nieszczęśliwościach aktualnych naszej oyczyzny.“ Z takim poleceniem wyprawiły województwa do króla Stanisława bawiącego w Malborgu, dawnego znajomego naszego Franciszka Radzewskiego, obecnie już chorążego nadwornego koronnego, kiedy do hetmanów wyprawiono równocześnie PP. Tomickiego i Gruszczyńskiego. Tymczasem, jakkolwiek powoli nawracają się na Stanisławową stronę różni dotychczasowi przeciwnicy, do których zaliczmy między innymi wówczas Zygmunta Gałęckiego wojewodę kaliskiego, nie sięga zbyt daleko, ani nie zasłania zbyt skutecznie władza Leszczyńskiego. Komendant poznański Funck nie pyta o listy protekcyjne króla Stanisława, ani nawet generała Kras-

saua i nie myśli się powstrzymywać „od aggrawacyi ubogich ludzi.“ Pojawiają się znów „swawolne kupy“ a dragonia generała wielkopolskiego nie jest w stanie gospodarowaniu ich zapobiedz. Wkraczają nadto wówczas z Pomorza do Wielkopolski „auxyliarne wojska szwedzkie“ pod dowództwem pułkownika Schultza i Ridderhielma a pp. Zygmunt Gałęcki wojewoda kaliski i Adam Gruszczyński kasztelan gnieźnieński „mają im zabiedz drogę i uczynić wszystko dla ulżenia województw naszych.“ Takie same instancye zanoszą równocześnie do „pana komendanta poznańskiego“ Stefan Urbanowski sekretarz generalny konfederacyi warszawskiej i Jan Mielecki. Wszystko nadaremno, „więźniowie poznańscy“ nawet siedzą jak siedzieli na zamku poznańskim pod kluczem szwedzkim a powaga biednego króla Stanisława sięga zaledwie tak daleko, aby wyjednać wolność choć jednemu z nich, Aleksandrowi Korzbokowi Łąckiemu łowczemu kaliskiemu. Takie to widowisko przedstawiają województwa wielkopolskie w pierwszej połowie 1709 roku. Kupy swawolne, wojska auxyliarne wśród straszliwych gwałtów i ciężarów grasują po kraju; niechętna Stanisławowemu panowaniu szlachta pod klauzurą szwedzką, nadto straszniejsza od wszystkiego tego razem, szerząca się coraz srożej kłęska powietrza, zmusza szlachtę odbywać lipcowe swe narady w polu, ponieważ to w zamkniętych murach choćby miasteczka, jak Środy, rzecz niebezpieczna.

Wśród takich to ponurych objawów, nadchodzi koniec efemerycznego, oplakanego panowania Leszczyńskiego. Biedna, utrapiona szlachta nie przeczuwa bliskiego jego końca a w tych samych godzinach niemal, kiedy się na polach Pułtawy rozstrzygają losy jego protektora, tem samem i jego własne, odzywa się (1 Lipca 1700 r.) *laudum* średzkie w sposób pełen namaszczenia o zba-
wienności i trwałości Stanisławowych rządów: „Życzymy“, kończy szlachta swą inwokacją, „aby IKM. Pana naszego Miłościwego panowania Pan Bóg w niezmierzone przedłużywszy lata, wszelkimi *secundet* szczęśliwościami y gdziekolwiek nas rozkaz I. K. M. P. N. Miłościwego, albo *necessitas publica vocaverit*, zdrowia i fortuny nasze *in tutamen* dosto-
ieństwa I. K. M. P. N. Miłościwego ochotnie *immolare* że powinniśmy, *voliva et unamini profitemur obligatione*.“

Objaw tego rodzaju gotowości i ofiarności na rzecz króla Stanisława, mniejsza, że będąc pre-
kreślonym przez nieprzewidziane wyroki Opatrzności, pozostanie dowodem ludzkiego *krótkowidztwa*, jest w dodatku gorszym jeszcze dowodem zmienności i słabości *charakterów* ludzkich. Skromniejsza naturalnie, mniej okazała owa zdeptana, zadżumiona, stercząca zgliszczami, wyniszczona i zubożona widownia poznańsko-kaliska z r. 1709 od pierwszorzędnej sceny europejskiej, jaką przedstawia Fran-
cya w latach 1814 i 1815, ale jakże niestety podobne sobie zawsze i wszędzie zle strony natury

ludzkiej, jakaż żądza wygodnego, co prędzszego pomieszczenia się w nowym stanie rzeczy, jak szybkie, jak bezceremonialne nawracanie się z jednego „*kultu*“ na drugi, z wiary Leszczyńskiego na wiarę powracającego po klęsce pułtawskiej Augusta! Skromny nasz zaścianek od Rawicza do Kcyni, od Międzyrzecza do Konina czy Koła, nie ma istotnie nic do pozazdrosczenia brukowi Paryża i złocnym salonom księcia Beneventu w dniach kwietniowych r. 1814. Po owych przytoczonych oświadczeniach ofiarności i wierności szlacheckiej na rzecz Stanisława, możnaby istotnie przypuszczać, że gdy wrogie losy jego królewskość zagrożą, nie zabraknie rąk, któreby się ku obronie jój ruszyły. Tymczasem prawda, że po katastrofie pułtawskiej półroczna właśnie pauza w szlacheckiej radzie obu województw, ale co również prawdą a co bardzo dobrze wiadomo, to, że jój nie wypełniają wcale czyny poświęcenia na rzecz Leszczyńskiego. Za ledwie się August w ostatnich dniach sierpniowych r. 1709 pojawi w Wielkopolsce na polach dwóch nieszczęśliwych dla oręża swego bitew, pod Poniecem i Wschową, spieszy go witać i przyjmować ta sama niemal szlachta, która na dwa miesiące przedtem chciała umierać dla Leszczyńskiego. Rolę gospodarza domu jakoby i mistrza ceremonii przyjmuje na siebie Jędrzej Radomicki starosta osiecki, kasztelan poznański. Huragan wojenny, który w lecie r. 1707 dał się tak srogo województwom wielkopolskim we znaki, który pokrył je gruzami i zgli-

szczami, zrównał z ziemią Leszno, spustoszył kałmucką ręką Kościan, zawrzał nad nimi powtórnie z jesienią r. 1709. Król Stanisław w upokorzącym taborze niechętnego sobie generała szwedzkiego Krassaua opuszczał, wraz z załogą szwedzką miasta Poznania, wraz z Adamem Śmigielskim, wielkopolską, rodzinną dzielnicę na zawsze, by rozpocząć długoletnią tułaczkę od pobytu w Szczecinie. Towarzyszył mu aż do miasteczka Wielenia, aż do krańców Rzeczypospolitej dzielny Józef Potocki wojewoda kijowski. Wojewoda wzywał Leszczyńskiego do powrotu i do obrony swęj królewskości. Ofiara taka przechodziła siłę nerwów Stanisławowych. Potocki wrócił sam od „ściany pomorskiej“ w kraj wielkopolski, ścigany i szarpany w pochodzie przez wojska carskie i saskie, stoczył z nimi nieszczęśliwą potyczkę pod Odolanowem mimo najwaleczniejszej obrony, przeniósł się następnie na Węgry do boku walczącego przeciw domowi rakuskiemu Rakoczego, później jeszcze do Karola XII w Benderze.

Nie ma śladu, aby w krótkiej jego wielkopolskiej kampanii była uczestniczyła miejscowa szlachta. Znużona wojną, tęskniąca za pokojem, dziesiątkowana dżumą, zapisuje tylko w późniejszych swych *laudach*, jak owa jesienna wojna r. 1709 zniszczyła kraj, jak sprowadziła pożogę Wielenia, Sulmierzyc i Odolanowa, a tymczasem odbywa się zmiana dekoracyi na małej widowni województw wielkopolskich odpowiednio do zmiany, jaka się spełniła

równocześnie na większej, całej Rzeczypospolitej. Nasamprzód żadnej ulgi w kłopotach i ciężarach. Województwa wielkopolskie zmieniły tylko panów, ale nie polepszyły w niczem swego utrapionego losu. Jak dawniej dręczył Szwed, tak po r. 1709 dręczył Sas i „auxyliarny żołnierz J. Carskiej Mości“. Dobra Leszczyńskiego wzięte w sekwestr fiskalny, generalnym ich administratorem, z pokrzywdzeniem wierzycieli, jest generał Kasper Seidlitz, który równocześnie zajmuje załogą saską, utwierdza Poznań, bierze od szlachty w rekwizycyą chłopów do sypania szańców i ciosania palisad. Takie same instancye, jakie niedawno temu wychodziły do pana Krassaua, do pp. Ridderhielma i Schultza, do p. komendanta poznańskiego, zwracają się teraz ze strony utrapionej szlachty, już to przez stałych, już okolicznościowych delegatów, do saskich generałów Seidlitz i Plötza, nie wyliczając innych. Skompromitowane wyraźniej w sprawie Leszczyńskiego osobistości, jak Radzewski, Gurowski, Władysław i Franciszek Ponińscy, ustępują z widowni, by otworzyć na niej miejsce osobistościom obozu Augustowego, pośród których naczelne stanowisko zajmuje Ludwik Szoldrski, dawniejszy marszałek konfederacyi kościańskiej. „Więźniowie poznańscy“ z czasów szwedzkich wypuszczeni naturalnie na wolność i wynagrodzeni nawet za swe straty z uchwały wojewódzkiej. Znajdujemy mianowicie pomiędzy nimi pp. Świerczyńskiego, Koszutkiego, Trzcienieckiego, którzy otrzymują po 1000 złotych wyna-

grodzienia ze skarbu wojewódzkiego. Nie zamiera jednakże w budżecie tego ubogiego skarbu pozycya „dla więźniów“. Różnica ta tylko, że nowi więźniowie nie są trzymani pod kluczem szwedzkim, ale pod kluczem saskim, nadto, że nie są trzymani w Poznaniu, ale w Elblągu, i noszą w *laudach* techniczną nazwę „więźniów elbląskich“, na których utrzymanie dobroczynność braci szlachty przeznaczą od czasu do czasu po kilka tysięcy złotych z czopowego i szelężnego różnych miast i miasteczek. Więźniami tymi, nieznanymi dotąd w historii Augusta II, nie objętymi, rzecz dziwna, aktami licznych amnestyi, uwolnionymi, jak się zdaje, dopiero po sejmie pacyfikacyjnym warszawskim z r. 1717 są: Władysław Bronikowski podstoli wschowski, jeden z głównych autorów elekcyi Leszczyńskiego, Stefan Urbanowski sekretarz konfederacyi warszawskiej i Władysław Czarnkowski, bliski krewny i podskarbi koronny z ramienia króla Stanisława.

Otóż to w najgłówniejszych szczegółach i zarysach dzieje paury, jaką znajdujemy w obradach wojewódzkich między miesiącem Lipcem r. 1709 a miesiącem Styczniem r. 1710, między bitwą pułtawską a spełniającą się powoli na radzie warszawskiej Augustową restauracyą. Szukajmy w niej wszystkiego raczej, aniżeli czynów ofiarności na rzecz Leszczyńskiego.

W *laudach* roku 1710, rozpoczynających się w Środzie z dniem 7 Stycznia, odbija się wiernie

spełniona na wielkiej widowni zmiana. Naprzód przedstawia nam się wtedy jako marszałek zjazdów szlacheckich i osobistość ogólnej popularności, wypróbowany z dawniejszych czasów stronnik Augustowej sprawy, wspomniany wyżej Ludwik Szóldrski. Dalej nie szczędzą uchwały szlacheckie oświadczeń wierności dla Augusta i jego rządów. Mianowicie postanawia szlachta, wśród protestów przeciw wszelkim aktom odmiennej treści i usiłowaniom restauracji Leszczyńskiego, prosty i krótki powrót do uchwał dawniejszej konfederacji kościańskiej (Augustowej) z r. 1703. „Lauda y uchwały województw naszych“, mówi szlachta dnia 7 Stycznia, „za dyrekcją *Wznego* Imci Pana Ludwika Szóldrskiego stolnika wschowskiego, marszałka konfederacji województw y koła naszego rycerskiego, które są stanowione *in antecedenti* przed gwałtowną y bezprawną konfederacją średzką *in toto quavis minima parte* approbujemy y powtórną legomości *in quovis occurrenti casu spondemus evictionem*.“ Naturalnie, jak wspomnieliśmy, nie przeszkadza ta uległość *polityczna* szlachty w niczem jej kłopotom i utrapieniom *ekonomicznym*, upokorzeniom moralnym. Na porządku dziennym długiego szeregu *laudów* figurują teraz skargi przeciw żołnierzowi saskiemu, podobnie, jak do r. 1709 pojawiały się przeciw Szwedom. Ciągłe deputacye, bądź to do generała Seidlitz, bądź do generała Plötza z powodu gwałtów i wybryków żołnierza saskiego. Raz upraszają województwa samego Plötza o umiarkowane ściąganie podymnego, przeznaczonego na utrzymanie wojska,

inny raz skargi na gwałty oficerów saskich Hahna i Wiesenberga, dowodzących „regimentem P. starosty Czorsztyńskiego”. Niekiedy nawet pojawiają się w uchwałach szlacheckich groźby rugowania siłą gospodarujących po kraju Sasów. Nie zapominajmy zaś, że wśród tych wszystkich gwałtów i kłopotów wojennych, nie przestaje przez całą ową pierwszą połowę roku 1710 trapić województw wielkopolskich sroga klęska dżumy, wyludniająca kraj, ubezwładniająca bieg wszelkiej sprawiedliwości i administracji, na jaką się owa epoka zdobyć mogła, że szlachta sama, z powodu grasującego powietrza, przeniosła naówczas miejsce swych wojewódzkich obrad ze Środy do Miłosławia.

Rozpatrzywszy się w *laudach* owéj epoki, nie powiemy zanadto, twierdząc, że ostatecznym ich sensem *moralno-politycznym*, jest wielka, streszczająca w sobie wszystko skarga na gwałty wojsk saskich, o wiele głośniejsza, niż poprzednio na podobne wybryki wojsk szwedzkich. Przedewszystkiem powtarzają się w tych uchwałach sejmikowych zażalenia na generała Plötza, z którym obraduje komisya wojewódzka w Międzyrzeczu nad uregulowaniem ciężarów wojskowych. Nie zbywa jednakże i na skargach przeciw innym, np. przeciw pułkownikowi Grumbkowowi, przeciw generałowi Brausemu. Dokazują sascy jańczarowie w dobrach Leszczyńskiego, dokazują przeciw szlachcie, wybierają bezprawne kontrybucye. Szczytem ówczesnego ich łotrowania jest zabójstwo dokonane na osobie

Gębickiego. „Zachodzi w koło nasze“, mówi Miłostawskie *laudum* z dnia 16 Czerwca 1710 r., „zabicia okrutnego od oficerów wojsk I. K. Mości pana Macieja Gębickiego kasztelanica łęczyckiego kwe-rymonia, co, że się *malitiose* stało, tedy województwa *hoc laudo* obligują się przez interpozycye swoje aplikować I. K. Mości, aby zabójcy sądzeni byli.“ W tych i wszystkich podobnych sprawach wyprawa szlachta rozmaitych delegatów, bądź to do samego króla, bądź to do Imci pana feldmarszałka Flemminga, ale daremna nadzieja, aby sprawiedliwości stało się zadość, aby wysłańcy uzyskali choćby tylko posłuchanie u króla i jego faworyta. Czekają całemi tygodniami napróżno, wracają, nie nie sprawiwszy, w rodzinne strony. Tymczasem zaś odbija się znów na Wielkopolsce wrażenie wypadków na wielkiej widowni polityczno-wojennej. Rok 1710, data rady warszawskiej, spełniającej się powoli restauracyi Augustowych rządów, jest zarazem epoką tajnych robót bawiącego w Szczecinie Leszczyńskiego z pozostałymi w kraju stronnikami i przygotowań do wyprawy, jaką Śmigielski starosta gnieźnieński, z wiosną r. 1711 przedsięwziął ze schronienia pomorskiego w kraj wielkopolski. Wobec podobnych robót i zamachów, odzywa się *laudum* z dnia 16 Września 1710 r., jak następuje: „Będąc z relacyi Ichmciów P. P. posłów od Ichmciów *informati*, jakoby w województwach naszych znajdować się miało jeszcze dotąd takowe w ludziach *infectionis virus*, Majestatowi I. K. Mci.

P. N. Miłościwego nieposłuszne *subiecta*, tyłą *saucitis* przeciwne głowy, które nie kontentując się tak znacznymi w tey Rzeczypospolitej poczynionymi ruiny, nienasyciwszy się tyłą z dyshonorem świątnic Pańskich *cum eversione status nostri*, wylaniem krwi niewinnych krzywd, *maiora audent* y w dalsze wprowadzić intrygi niepotrzebnie Rzeczpospolitą *intendant*, przeciwko niey *machinantur*, w korespondencye z nieprzyjacielem *in rationibus status* wchodzą, a oprócz to *ipso actu* tak Panu iako y dobru pospolitemu pokazują się być *iniuriosi*, więc *distinguendo sana membra a vitiosis*, takowych wszystkich *pro incapacibus honorum, perduellis et hostibus patriae* mieć chcemy y na takiego, któremu by to *authenticis documentis ex inquisitionibus* dowiedziono było, w sądach konfederacyi generalnej dekretu *urgere* deklarujemy się."

Takim to aktem pieczętuje szlachta wielkopolska przeszłoroczne dopiero oświadczenia niezachwianej wierności na rzecz króla Stanisława. Nie ostatniem uwieńczeniem jego uroczysty do Augusta akces Piotra Bronisza, marszałka generalnej konfederacyi warszawskiej, istnego ojca chrzestnego królewskości Stanisławowej. Nawraca się Bronisz na wiarę polityki Augustowej w roku 1711, w chwili niemal wyprawy Śmigielskiego w nadnoteckie strony.

Nie przypuszczajmy jednakże choćby najodległej, że kiedy wyniszczony i zadżumiony kraj czuje tylko *jedną* potrzebę, pokoju, aby kiedy wielka massa wojewódzkiej szlachty spokojna i uległa wobec dwóch inwazyi partyzantów Stanisławowych,

Śmigielskiego w r. 1711, Jana Grudzińskiego starosty rawskiego, w rok później; aby kiedy co wybitniejsze osobistości wojewódzkie albo stoją na uboczu, albo składają akty submisyjne a najgorliwsi i nieprzejednani zwolennicy Stanisławowi pod kluczem saskim w Elblągu, czasem w Königsteinie, aby, mówimy, mimo to wszystko, województwa wielkopolskie w nagrodę spokojnego zachowania się, doznawały istotnego wytchnienia. Broń Boże! Napady owe Stanisławowych partyzantów wywołują tylko w swem następstwie „swawolne kupy“, z którymi się dragonia generała wielkopolskiego nadaremno uciera; przymnażają tylko zgliszczów i ruin. Płoną przy sposobności napadu Grudzińskiego miasta Pyzdry, Skwierzyna, Międzychód, Wronki, Jutrosin, Krotoszyn; przeciąga kraj szarańcza wojsk saskich i „auxyliarnych“ a najgorszą plagą, najcięższem utrapieniem pozostaje pobyt wojsk saskich, różni owi pp. Kyau, Seidlitz, Brause, Plötz, Grumbkow, Hahn. Mniejsza, że szlachta posłuszna i uległa, mniejsza, że marszałkiem zjazdów szlacheckich w Środzie jest odtąd przez lat kilka reprezentant niezachwianego w wierności dla Augusta rodu, Ludwik Szóldrski. Cały kłopot województw streszcza się przez kilka lat następnych około ściągania podatków na utrzymanie zalegającego w nich wojska saskiego, następnie około obrony przeciw wybrykom i gwałtom saskiego żołnierza. Pod tym względem przedstawia domowa kronika Wielkopolski aż do zawiązania konfederacyi tarnogrodzkiej, dziwnie

jednostajne, dziwnie nużące widowisko. Komplementowany przez *lauda* szlacheckie król przynosi 6000 wojska saskiego na tak zwany komput Rzeczypospolitej. Ciężar utrzymania tegoż żołnierza spada wyłącznie prawie na województwa wielkopolskie, dla których obrony nibyto Sasi tamże się znajdują. Konsystencye ma żołnierz ten mieć nibyto w dobrach królewskich i duchownych, ale pp. Plötz, Brause czy Seidlitz nie są pod tym względem skrupulatnymi, rozkładają żołnierza, gdzie im się podoba, dokazują, mianowicie w dobrach Leszczyńskiego, zaszczuwają gdzie niegdzie na śmierć psami oporną szlachtę. Poznań opalisadowany i oszańcowany zajmuje załogą saską Seidlitz; bierze, jak dawniej, nie pytając szlachty, w rekwizycyą chłopów do robót fortyfikacyjnych. Smutna i rozpaczliwa wobec podobnego położenia rzeczy, ale znów jednostajna, naiwna czasem, powiedzielibyśmy, rola szlachty. Każde niemal owęj epoki *laudum* obejmuje całą litanią skarg na postępowanie żołnierza saskiego, na „auxyliarnego żołnierza carskiego“, na zachowanie się tych i owych chorągwi czy regimentów wojska koronnego. Utrzymuje szlachta stałych rezydentów przy boku pp. generałów Seidlitz i Plötza, nawet przy dowódcach pułków, układa rozmaite w Gdańsku i Warszawie kompanyje z generalnym sztabem i generalnym komisarjatem saskim, wyprawia osobnych delegatów do króla, do Flemminga, do prymasa, do hetmanów, w celu „allewiacyi ciężarom nieznośnym woje-

wództw", domaga się ewakuacji Poznania. Wszystko to jednak napróżno, wszystko tylko jakby umyślnie na to, aby specyfikacja skarg w jakimś średzkim *laudum* z dnia 4 Stycznia 1711 r., powtórzyła się dosłownie pod laską marszałkowską p. Szóldrskiego w następnym *laudum* średzkim z dnia 5 Lutego.

W jakże obszerne rozmiary wyrosłaby niniejsza rozprawa, gdybyśmy chcieli układać na podstawie naszego materiału mozaikę męczeńskiej kroniki województw wielkopolskich, utrapień i kłopotów z postępem czasu potęgujących się do kwadratu! Lata 1711, 1712, 1713, 1714, lata odbywających się regularnie co kilka tygodni czy miesięcy pod laską Ludwika Szóldrskiego, Jana Radomickiego starosty osieckiego, Andrzeja Żychlińskiego, Stanisława Garczyńskiego łowczego poznańskiego, Jana Zakrzewskiego, Stefana Garczyńskiego późniejszego autora „*Anatomii Rzeczypospolitej*”, Andrzeja Skórzewskiego, sejmików wojewódzkich, jakże dziwnie pod temi wszystkimi względami sobie podobne! Wspomnijmy tylko niektóre szczegóły z kilku miesięcy poprzedzających zawiązanie konfederacji tarnogrodzkiej w roku 1715: Naczelnie dowodzącym wojskami saskimi w województwach wielkopolskich jest generał Jahnus von Eberstädt, poprzednio plac-komendant Königsteinu i stróż wojewody ruskiego Jana Jabłonowskiego, podczas jego tamże niewoli. Jahnus zawziął się na województwa wielkopolskie, popuścił wędzidła swoim i tak niekoniecznie skru-

pulatnym podkomendnym. Tak np. wydaje drukowane palety nakazujące, aby z dymu dawano po dwadzieścia garncy żyta do magazynów saskich. Nie ograniczając się na tem żądaniu, które wywołuje naturalnie w też tropy protesty szlacheckie, wydaje następnie zakaz wywozu zboża za granicę obu województw. Między innemi spotkał się z takim zakazem Krzysztof Mielżyński starosta kcyński. Wzmagają się z każdym dniem skargi na dokazywania kwarcianych, na żołnierza feldmarszałka Flemminga, generała Kavenhacka, majora Helbinga; bezprawne rekwizycje żywności i furazu na wszystkie strony, zabieranie gwałtowne chłopów do fortyfikacyi. Zasada *neminem captivabimus nisi iure victum* wychodzi wśród podobnego stanu rzeczy na pośmiewisko. Major Helbing najeżdża w 40 koni saskich włość Macieja Swinarskiego, niszczy ją i rabuje, właściciela samego jako więźnia odprowadza do Poznania. Takież sam najazd na Andrzeja Potockiego pisarza grodzkiego gnieźnieńskiego, takież sam na proboszcza w Winnogórze, dobrach biskupa poznańskiego. Płoną równocześnie miasta Złotów, Wronki, Sieraków, Margonin, Leszno, Rawicz, Rydzyna, Wieleń i Borek. Znikąd rady, znikąd pomocy, wszelkie instancje wojewódzkie u króla, u Flemminga, u hetmanów, u prymasa bezskuteczne. Na osobistości ogólnego zaufania, powszechną otoczone popularnością wychodzą wówczas znani nam już Franciszek Poniński starosta kopanicki i Andrzej Skórzewski, później

szy marszałek konfederacyi województw wielkopolskich.

Grunt przygotowany i w Wielkopolsce należy do dzieła konfederacyi, zawięzującej się w jesieni roku 1715 w Tarnogrodzie. Przypatrzmy się jéj *wielkopolskiemu* przebiegowi. Że był w swoim rodzaju obfity w wypadki, pełen ciekawych szczegółów, nawet nie bez świetnych czynów oręża polskiego, wiadomo z ogólnej historyi téj epoki. Szoldrscy i Radomiccy opierali się akcessowi dręczonéj, uciskanéj przez generałów saskich szlachty wielkopolskiéj do konfederacyi tarnogrodzkiéj, mimo, że nadchodzili, jak widzimy z *laudum* średzkiego z dnia 12 Listopada 1715 r. gorące ku temu listowne wezwania do marszałka związkowego Ledochowskiego podkomorzego krzemienieckiego. Natomiast ów wierny Augustowi zastęp wielkopolski przeszkodzić nie mógł temu, że szlachta wśród i mimo frazesów uniżoności „dla królewskiego majestatu“, podnosiła śmielój głos, że wyprawiwszy do królewskiego boku Adama Ponińskiego starostę babimojskiego i Jana Zakrzewskiego pisarza grodzkiego pyzdrskiego, domagała się zwołania pacyfikacyjnego sejmu, żądała uwolnienia znajdujących się ciągle jeszcze pod kluczem, „elbląskich więźniów“. Odtąd długa przerwa w zwykłych szlacheckich zjazdach, przerwa przecież, podczas której, wywołane uciskiem saskim rozdrażnienie domowe w połączeniu z zewnętrznymi okolicznościami, składają się na wybuch powstania. Nadciąga w miesiącu Kwietniu r. 1716

do wielkopolskich województw, z nielicznym, ale dzielnej dłoni zastępem, regimentarz Jan Chryzostom Gniazdowski, wzywa szlachtę pod Kościan, woła o akces do konfederacji generalnej „przy majestacie przeciw wojskom saskim“. Ostatni raz tu jeszcze odzywa się Augustowa opozycja i znajduje reprezentanta w Wojciechu Sczanieckim, właścicielu wsi Łagonic. Energiczny Gniazdowski usuwa ową przeszkodę konfederacji wielkopolskiej sumarycznym środkiem: Kładzie Sczanieckiego trupem, wystrzałem z pistoletu. Argument ten okazuje się skutecznym. Drugi zjazd pod Kościanem dnia 25 Maja 1716 r., pod laską marszałkowską Andrzeja Skórzewskiego, „*in fundamento* konfederacji“, tchnie już wyraźnie marsowemi intencjami i wojenną gotowością. Początek spisaną pod datą powyższą uchwały wyraża dziwnie jakąś uroczystą otuchę pewności zwycięstwa. Obok wszelkiej czci dla królewskiego majestatu, stanowcza decyzja zrzucenia jarzma wojsk saskich. Oświadcza szlachta, że przystępuje do generalnej konfederacji Rzeczypospolitej, „*ne quid Rex, lex et libertas detrimenti patiatur*“, ale równocześnie powierza się dowództwu pana regimentarza Gniazdowskiego i marszałka Skórzewskiego, żąda ewakuacji miasta Poznania, grozi Eckstetowi i Seidlitzowi, zapowiada im *naturalem defensionem* w razie nieprzyjacielskich czynów wojska saskiego, karę *infamii contra non comparentes*, wzywa kasztelanów „aby podnosili wojewódzkie chorągwie aż do przyszłych seymików“, przedstawia

w swęj uchwale konieczność „wojennęj wyprawy“. Sekretarzem konfederacyi obrany pan Gostkowski. Sejmik późniejszy „w miejscu popisów“ pod Kołem, dnia 29 Czerwca 1714 r., uzupełnia dzieło poprzedniego. Po uroczystym wstępie, w którym znów mowa o zachowaniu praw majestatu, obronie zagrożonej wolności i konieczności ochrony Rzeczypospolitej, wyprawia szlachta posłów do innych wielkopolskich województw, „aby zaprosili *ad unanimum sensum et consensum* inne prześwietne województwa y ziemie, explikując *desideria nostra*“. Upomina dalej zgromadzona pod Kołem szlachta, że jeszcze wielu braci nie połączyło się z konfederacją i świecą „*absentia*“; zakazuje utrzymywania korespondencyi *cum exotico milite* pod groźbą zarzutu zdrady, pod karą uchodzenia *pro hoste patriae* i sądów obozowych, postanowionych *in excessivos*.“ Wyprawiona powtórna sommacya do generałów Ecksteta i Seidlitzo o ewakuacyą Poznania, wytoczona do nich skarga o mord niewinnęj i bezbronnej szlachty: Gębickiego, Gostyńskiego i Kożuchowskiego, wyznaczeni rotmistrze z rzędu wojewódzkich posesyonatów i nałożona im uroczysta rota przysięgi; postanowiono wreszcie szukać nieprzyjaciela, gdziekolwiek się znajdzie. Uchwały te nie pozostają martwą literą; przepisane przez województwa podatki wpływają szybko i bez zawodu do rąk wybranych poborców powiatowych; chorągwie wojewódzkie tworzą się pospiesznie i gromadzą około regimentarza Gniazdowskiego i marszałka Andrzeja Skórzewskiego. Co 30 dymów

w dobrach rycerskich, wystawia „jednego pacholka na dobrym koniu z munderunkiem do wojowania należytem, w barwie jednolitéj“. Prócz tego mówi *laudum* z dnia 29 Czerwca 1716 r. o pospolitém ruszeniu w dobrach królewskich i duchownych: „wyprawę z dóbr duchownych y królewskich miast, miasteczek *in toto secundum laudum Costense reassumimus*, to jest ze 20 dymów pacholka *ad latus* Imci Pana Marszałka Województw naszych, a kto się tylko w województwach naszych być mianuie szlachcicem *sive haereditarius, obligatorius, arendatorius possessor, vel simplicis debiti adesse* skonfederowanym województwom swoim *sub poenis de expeditione bellica sancitis* y naszymi laudami akceptowanych powinien *et praesenti laudo obligatur*. Tęż-że wyprawę wdowy, sieroty y duchowni dobra dziedziczne mające, y w innych województwach mieszkający, tutecznych zaś *haeredes dóbr vel quocunque titulo Possessores* według prawa województwom *in subsidium* bez odwłoki wydać powinni *salva legatione et necessitate*, zlecamy ktoby miał interes pilny odiechania, takowy pacholka z koniem y munderunkiem należytem zostawić ma przy opowiedzeniu się Imci Panu Marszałkowi, iednak z prędkim do Imci Pana Marszałka (gdzie natenczas *subsistet*) powrotem. Do wyżej zaś specyfikowaney wyprawy *tenentur etiam plebeiae personae iuxta laudum Costense*, którzy *in quantum by legi publicae recalcitrare* mieli, *rigor eiusdem legis extendi* na nich *instantanee* powinien. *Co fidei et dexteritati* Pana Marszałka *commitimus*.“

Otóż uchwały i postanowienia, które wprowadzone na ten raz z niezwykłą energią i szybkością w życie, poprzedzają zaledwie o cztery tygodnie zwycięzki czyn, jakim skonfederowane województwa poznańskie i kaliskie wieńczą swą działalność, odbierając szturmem na dniu 24 Lipca 1716 r., pod dowództwem Gniazdowskiego i Skórzewskiego miasto Poznań Sasom i zagarniając w niewolę generała Seidlitz'a wraz z całą załogą. Zwycięstwo to nie kończy przecież jeszcze ani wojny, ani ciężarów jej i kłopotów. Odebrany wprawdzie Sasom zniszczony i splądrowany Poznań; rozrzucono wzniezione przez załogę saską, ręką chłop'a polskiego, szańce i palisady; wyznaczeni ze strony rad szlacheckich osobni komisarze wojewódzcy, którzy rozbrojonych Sasów wraz z Seidlitzem wyprowadzają po za granice Rzeczypospolitej, ale „ponieważ“, jak się następnie *lauda* nakielskie (obozowe) i średzkie odzywają, „traktat uspokojenia jeszcze nie doszedł“, nie przestają województwa do końca roku 1716 ścigać nadzwyczajnych podatków, utrzymywać w stanie zbrojnym chorągwi, czekać w pogotowiu wojenném zmian na wielkiej widowni Rzeczypospolitej. Zmianę tę pożądaną sprowadza nareszcie traktat pacyfikacyjny na tak zwanym *niemym* sejmie warszawskim z r. 1717. Odtąd przedstawiają oba województwa aż do końca panowania Augusta widowisko pewnego wytchnienia i odpoczynku, a polityczna strona w *laudach* szlacheckich zstępuje na drugi plan, by pierwszego odstąpić ekonomicznej

i licznym interessom prywatnym. Rozpatrzmy się jednak w owym, choć szczupłym materiale politycznym, by następnie zastanowić się nad zbiorem naszych *laudów*, jako nad nieocenionem źródłem do stosunków społecznych, obyczajowych i ekonomicznych ówczesnej Wielkopolski.

Rok 1717 stanowi epokę w dziejach panowania króla Augusta, kopiec jakoby graniczny między dotychczasowemi jego burzami a rozpoczynającym się odtąd sennym spokojem. Nie inaczej przedstawia się ta zmiana i w krainie wielkopolskiej. Nasamprzód wyraża się *tém*, że marszałkami zjazdów szlacheckich, coraz teraz rzadszych w miarę powracającego spokoju, że postaciami otoczonemi zaufaniem i popularnością, przestają powoli być wybitniejsze postacie, czy to jednego, czy drugiego walczących dotąd z sobą, przeciwnych obozów. Przez niejaki czas, jest taką postacią po r. 1717 dzielny niegdyś, wypróbowany stronnik Leszczyńskiego, później poseł Rzeczypospolitej do cara Piotra, Franciszek Poniński starosta kopanicki. Następnie jednakże znika Poniński z widowni sejmikowych a miejsce jego zajmują osobistości małoznane i bezbarwne, o których głucho w dotychczasowych dziejach. Daremnie chcielibyśmy dopytywać się i badać, jaką polityczną rolę, jakie polityczne stanowisko wśród minionej, kilkunastoletniej zaniewieruchy, odgrywali i zajmowali marszałkowie późniejszych sejmików, czy to p. Samuel Kierski kasztelan rogoziński, czy to p. Aleksander Gorzeński,

czy p. Łukasz na Kwilczu Kwilecki, czy p. Franciszek z Brudzewa Mielżyński kasztelan śremski, czy p. Kasper Miaskowski. Szlachta, jak powiedziano, oddaje się po r. 1716 wygodzie i rozkoszom długo wyczekiwanego, pokojowego wytchnienia. Zajmują ją sprawy domowe, zajmują liczne interesa prywatne, polityka odzywa się mniej donośnym echem, którego rzadkie pojawy zapiszmy przecież z należną troskliwością.

Kłopotem głównym województw wielkopolskich pozostaje mimo pacyfikacyi Rzeczypospolitej pobyt „wojsk auxyliarnych carskich“. Misya Franciszka Ponińskiego do Cara tyczy się w znacznej części *tego* właśnie przedmiotu. Drugim takim kłopotem jest stosunek pograniczny z Brandenburgią. Nie zapominajmy, że naówczas zajmuje już tron pruski, słynny ze swego oryginalnego apetytu na olbrzymiego wzrostu rekrutów, ojciec Fryderyka II, Fryderyk Wilhelm I. Pominąwszy różne, psujące wiele krwi szlachcie przeszkody, stawiane wywozowi zboża i innych przedmiotów handlu polskiego ze strony Brandenburgii, pojawiają się na pograniczu od Marchii co chwila werbownicy pruscy, by łowić gwałtem i podstępem na przemian poddanych Rzeczypospolitej wysokiego wzrostu. Spotykamy się pod tym względem z częstemi skargami w sejmikowych *laudach*, z żądaniami do w. kancle-rza koronnego, aby drażliwą tę dla honoru i bezpieczeństwa polskiego sprawę załatwił z dworem berlińskim przez jego „ablegata w Warszawie“.

Mniej kłopotliwe są wprawdzie równoczesne stosunki na pograniczu szląskim od Austrii, ale i tu nie zbywa na wypadkach wywracania granicznych słupów polskich, wdzierania się po za pas graniczny, uprowadzania poddanych, zajmowania bydła. Głównym przecież przedmiotem zatargu województw z sąsiadującą cesarską kamerą wrocławską, jest sprawa klasztoru Trzebnickiego panien Cystersek. Wedle dawniejszych układów z książętami szląskimi, miała połowa przynajmniej zakonnicy być rodu wielkopolskiego, uczestniczyć w wyborze i zajmować godność ksieni. Jeszcze za Jana Kazimierza, podczas najazdu szwedzkiego, widzimy ksienią trzebnickiego klasztoru Dorotę Bnińską, ze szlacheckiego w Wielkopolsce rodu. Później nie dopuszcza rząd cesarski Polek do grona zakonnicy, usiłuje klasztor zniemczyć zupełnie, a ztąd powstają liczne zatargi między szlachtą wielkopolską a kamerą we Wrocławiu, spory, które na drodze dyplomatycznej nie mogą się doczekać ostatecznego załatwienia aż do okupacji pruskiej Szląska.

Prócz tego spotykamy się w *laudach* z ową drugą połowę panowania Augustowego, z objawami szlacheckiej opinii w różnych zagadnieniach ówczesnej wielkiej polityki, objawami na przemian zdrowymi i dodatnimi, niekiedy przewrotnymi i przesądnymi, w rodzaju dawniejszych z powodu następstwa księcia Condé po Janie Kazimierzu. Tak n. p., jeżeli winniśmy przyznać szlachcie wielkopolskiej słuszość, gdy wyprawionym na sejm

warszawski r. 1720 posłom każe dbać o obronę kraju, o utrzymanie traktatu warszawskiego z roku 1717 i *polską* narodowość oficera i żołnierza woj-ska Rzeczypospolitéj; jeżeli dalej winniśmy jój przyznać równą słuszność, gdy żąda, „aby agitujący się w Brunświku *Nordski* traktat nie dopuścił uszczuplenia granic Rzeczypospolitéj,“ a księstwo Kurlandzkie, aby po wygaśnięciu rodziny Kettlerów, stosownie do konstytucyi z r. 1589 było wcielone do Rzeczypospolitéj, trudno nam się zgodzić na objawy sejmikowój polityki, przez które przemawiają zadawnione zabobony obaw i ciemnoty szlacheckiej. Jeżeli w ciągu długiego panowania Augusta II *jego* interes zszedł się kiedykolwiek z dobrem kraju naszego, była to z pewnością owa chwila z r. 1718 na 1719, kiedy chcąc się wyemancypować z pod przewagi Pruss i Rossyi, wyprawił Flemminga i Dunina regenta kancelaryi koronnój do Wiednia w celu zawarcia traktatu zaczepnego i odpornego z Anglią, Hanowerem i Austryą. Intryga posła pruskiego Posadowskiego i kniazia Dołgorukowa w połączeniu z niecnotą magnacką, ciemnotą szlachecką, zniszczyła w zarodzie ten wielkie następstwa zapowiadający pomysł. Szlachta wielkopolska objawia tymczasem zadowolenie, że „Rzeczpospolita uniknęła konflagracji wojennój“ i gotowa niemal wytaczać akt oskarżenia tym, co do podobnego dzieła przyłożyli rękę. Fanatyzm istny *pokoju* i wypoczynku przeważa tu nad wszelkimi innymi względami, a w podobny sposób składa wielkopol-

ska szlachta królowi, po zatargach wywołanych sprawą toruńską, bałwochwalcze niemal dzięki, iż ustrzegł Rzeczpospolitą od wojennego zamieszania.

Kończąc na tem zapiski nasze z materiału *politycznego*, jakiego barwna mozaika wielkopolskich *laudów* dostarcza, zwróćmy się teraz do ich nie mniej ważnej, jeżeli nie ważniejszej strony *administracyjnej*, *ekonomicznej* i *społecznej*. Zadanie to wcale nie łatwe, z powodu obfitości i różnorodności materiału. Wprowadzić tu pewien ład i *szuk* organiczny, wskazać pewne wytyczne tem trudniej, że przychodzi łamać pierwsze lody, że jeżeli prawo publiczne Rzeczypospolitej znalazło swoich Skrzetuskich, Bielskich, Lengnichów, Helclów, owa machina administracyjno-ekonomiczna, którą Rzeczpospolita w powszednim swem, wojewódzkim i ziemskim życiu stała, której szczegóły odsłaniają dopiero w najznaczniejszej części archiwa grodzkie, miejskie i *lauda* sejmikowe, stanowi jeszcze dziedzinę mało i powierzchownie dotkniętą. Jakiegokolwiek może być nasze przekonanie o charakterze politycznym, o stanie zewnętrznej siły i potęgi Rzeczypospolitej w owiej smutnej i tragicznej nad wszelki wyraz epoce, winniśmy przecież wyznać, że nawet wtedy, że nawet w tej epoce moralnego i politycznego upadku, że nawet w owych czasach wojny, pożogi, dżumy, najazdów obcego żołnierza, przedstawia nam się, z dziwnie dodatniej strony, ów funkcjonujący nieprzerwanie, wśród wszystkich klęsk, administracyjny, domowy mechanizm, który tylko długimi

wiekami uświęcona praktyka samorządca wykształcić i wychować była zdolna. Nie jesteśmy zbyt pobłażliwymi dla ówczesnej szlachty, nie zamykamy oczu na jej słabości i grzechy, ale cokolwiek bądź, nie możemy się oprzeć uczuciu pewnego podziwu na widok téjże samej szlachty, która mając rozlicznego i groźnego nieprzyjaciela w kraju, która patrząc codziennie niemal na pożogę własnych wsi i miasteczek, często własnego domowego gniazda, która zbiedzona i zniszczona wojennymi kontrybucjami, dziesiątkowana dżumą, nie wypuszcza przecież wśród wszystkich tych klęsk ani na chwilę z ręki *publicznego* gospodarstwa własnego wojewódzkiego domu, zjeżdża się co kilka tygodni, co kilka miesięcy do Środy, do Miłosławia, do Kościana czy Nakła, gdzie można i jak można, czy to na cmentarz kolegiaty średzkiej, czy na „wolne pole dla powietrza,” aby radzić nad miejscową, codzienną potrzebą, aby nie pozwolić runąć w chaos i ruinę „dobru województw.“ Innemu społeczeństwu byłyby wśród podobnych klęsk opadły najprawdopodobniej ręce; zwycięzki chwilowo nieprzyjaciel byłby objął rządy wewnętrzne kraju, zamienił jego mieszkańców, ich mienia i osoby jedynie tylko na przedmiot wyzyskiwania. Gminowładztwo i samorząd, owe dwa podstawne przymioty charakteru publicznego polskiego i słowiańskiego, ocalają nawet w głębiach podobnej „lwiów jamy“ organizm i regularny bieg narodowego, powszedniego życia. Zdrowym tym i cennym instyn-

ktom samorządnej administracyi trzeba było tylko czasu, trzeba było pogody zewnętrznej, trzeba było światła i nauki, jakie zapanowały w tej dziedzinie za naszych dni, aby doskonałością swą, swobodą i prostotą razem, przelicytować wszystkie inne dzisiejsze systemy administracyjne, pasożyt potrzeb militarizmu, posilkowany przez centralistyczną biurokracyą. Nie przesądzając o *przyszłości*, której się niestety nie doczekał, przypatrzmy się niektórym przynajmniej szczegółom owego samorządu, jakim *był* i jak się przedstawia w najsmutniejszej właśnie chwili przeszłości naszej. Zacznijmy od *skarbowości*, od przedmiotu podatków wojewódzkich, których ustanawianiem, rozkładem, ściąganiem zajmują się sejmiki wojewódzkie, ponieważ stale i trwale w dziedzinie tej funkcjonujących władz nie ma.

Jako stałe podatki figurują tu czopowe, szelężne, pogłównne i podymne, według tak zwanych taryf, czyli spisów wsi i dymów sporządzanych dawniejszemi laty. Sejmiki obierają poborców z pomiędzy szlachty-posesyonatów, obierają nadto z pośród tegoż samego grona tak zwaną „komisyą skarbową poznańską“, której termin rozpoczęcia czynności wyznaczają z góry a której obowiązkiem poodbierać od poborców pościągane pieniądze, sprawdzić rachunki, udzielać odpowiednio do tego pokwitowania, lub zakomunikować przeciwnie następnemu sejmikowi, że poborca taki a taki jest jeszcze „retentorem“ publicznych podatków, a że nie zwracając ich, wystawia się na upomnienia

grożące karą egzekucyi i infamią. Takich „reten-
torów“ podatków, prawdopodobnie z powodu zamieszania panującego w kraju, jest naówczas wielu, upomnienia wystósowywane do nich ze strony sejmików, rzeczą bardzo częstą. Ostatecznie jednakże jest wśród tego nieładu, istotnych *przeniewierstw* bardzo mało, a zdarza się nierzadko, że po upływie lat kilku sejmiki udzielają pokwitowania niepunktualnym, uiszczającym się później dopiero poborcom. Taka komisya skarbowa wojewódzka ma nadto zadanie rozpoznawczój i sądowej jakoby instancyi. Odbiera zażalenia i pretensye z powodu rozmaitych szkód i pokrzywdzeń, bądź to przez urzędników wojewódzkich, bądź przez swego i zagranicznego żołnierza, orzeka o tych pretensyach, reguluje i załatwia tego rodzaju sprawy. Administruje nadto komisya skarbowa skarbem wojewódzkim, wypłaca zeń pieniądze różnym osobom prywatnym, korporacyom, instytucyom za asygnacyami marszałka sejmiku połączonych województw. Rozumie się, że z działalnością tą podatkową jest ściśle połączona kontrola nad wspomnianymi wyżej taryfami, nad młynami i browarami, zakładanemi np. we Wschowie i Poznaniu, których właściciele, korzystając z zaniewieruchy wojennej, chcą się uchylić od opłaty czopowego czy szeleżnego, nad różnego rodzaju ludnością, starającą się w podobnyż sposób uniknąć pogłównego. Burmistrze po miastach, proboszczowie i zarządcy dóbr duchownych odbierają w przedmiocie kon-

troli nad tak zwaną ludnością *luźną* ze strony sejmików bardzo surowe przykazy. Zbyteczną naturalnie byłoby powiadać rzeczą, że czasy tak nadzwyczajnie ciężkie i oplakane, jakie przedstawia pierwsza połowa panowania Augusta II, nadzwyczajnych też wymagają materialnych wysileń. Co chwila trzeba pieniędzy *nadzwyczajnych* na utrzymanie wojska saskiego, na podnoszenie chorągwi własnych, na pokrywanie najrozmaitszych potrzeb wojewódzkich. Wtedy to uchwalają sejmiki nadzwyczajne podatki, potrójne i poczwórne pogłównne, dodatkowe podymne, dodatkowe pogłównne żydowskie. Ściągają je osobno wybrani poborcy, oddają komiśsi skarbowej, która znów wypłaca pieniądze w sposób wyżej wskazany. Ciężary te, powtarzające się co chwila, dają się srogo we znaki uciemiężonym i pustoszonym od lat wielu województwom wielkopolskim. Rozpatrzmy się w szczegółach choć jednego takiego nadzwyczajnego podatku. Tak np. mamy uchwałę sejmiku średzkiego z dnia 20 Sierpnia 1711 r., w której czytamy: „Wyprawę wojska, tak *resolvimus*, obligując Ichmościów dóbr I. K. Mości, duchownych y ziemskich possessorów, ażeby się *indilate* do exekucyi tym a nie inszym sposobem przywodzili, to jest ze dwudziestego jednego dymów według taryfy anni 1661 dwieście czterdzieści złotych *contribuendo*, co na dym jeden wyniesie złotych 11 groszy 14 bez pieniążków *circiter* trzech, który podatek do rąk Ichmościów PP. poborców *anteriori laudo* uproszonych, jakoto w województwie

poznańskiem Imci Panu Wojciechowi Szczanieckiemu, w województwie kaliskiém Imci Panu Janowi Kurnatowskiemu, opłacać do rąk obligujemy się na raty, to jest pierwszą ratę *ultimis diebus Septembris in anno praesenti*, drugą zaś *primis diebus Januarii in anno 1712* odwieść deklarując, *salvis* jednak *quietationibus* rękami tychże Imci P. P. Poborców podpisanych, które w likwidacyą regimentów nie weszły; tych tedy podatków *modo et fine et praecautione* przedsięwierzemy, żeby nas nikt *in posterum* nie ważył się aggrawować paletami, ani też po dobrach ziemskich konsystencyami, żeby zaś jakiegokolwiek *alleviamentum* wzwyż wyrażonej kontrybucyi domowej stać się nam mogło, na wszystkich luźnych i parobków, którzy się od gód nie rządzą, chcąc ich mieć *pro personis vagabundis*, po złotych dziesięciu pogłównego, na parobków od gód się rządzących, owczarzy, owczarków, owce swoje własne w najem mających, młynarczyków, czeladź księżą prócz sług kościelnych, po złotych sześć od głowy każdego uchwalamy. Ci zaś owczarkowie, którzy owiec swoich w najem nie mają, *per medium*, to jest po złotych trzy dadzą, do którego pogłównego wszyscy lub Ichmciów duchownych jurysdykcyą zaszczycających się należeć będą, który podatek *in supplementum* podymnego *dispositioni* dóbr Ichmościów Panów *possessorów subiacebit*. Ponieważ niektóre miasta, miasteczka, *ad rationem* uchwalonych Radą Warszawską podatków, wydały *certam quantitatem* postawów sukna, tedy *injungimus*

burmistrzom, ażeby na Komissyą skarbową Poznańską nazajutrz po św. Michale roku terażniejszego przypadającą, *comportent* kwity, aby to wszystko, co *indebite* wybrano, *in commodum cedat* województw... Słuszny wielce żal w koło nasze wzniesiony J. W. M. Xiędza Biskupa Poznańskiego (Tarły), znajdzie w sercach wszystkich nas *singularem compassionem*, którego dobra do biskupstwa y Ichmciów kapituły należące, zasłaniając dobra ziemskie, jednę Hibernę Sasom wydały, drugą tegoż roku, według prawa wojskowego kwarcianemu należącą wypłacić musiały, *injungimus* komissyi skarbowej województw naszych, ażeby *praevia liquidatione* w terażniejszych dziesiątego szeląga podatkach, taż Hiberna *pro persoluto* wytrącona była.“

W podobny sposób odzywa się *laudum* z gorącej w owej epoce chwili 10 Września 1716: „Publiczne województw naszych potrzeby *pro primo* terażniejszej obrady naszej *fundamento* mając y onym *efficaciter* chcąc *authoritate* koła naszego *subvenire*, czworo pogłównego uchwalamy, które w ręku każdego tak królewskich, duchownych, iako y ziemskich dóbr *possessora ad ulteriorem* obrad naszych *dispositionem* być powinno, do którego to pogłównego płacenia uważając *publica necessitate* ludzie Ichmciów xięży Plebanów, jakoto służebni, komornicy, chałupnicy, luźni, *et quocunque titulo* na ich lub kościelnym gruncie mieszkający należeć, oraz y xięża inszej religii także z służebną czeladzią *obligantur*. Potażnicy zaś y ludzie luźni tak

w miastach y miasteczkach, jak i we wsiach bez służby będący, owczarze, owczarkowie, mielcarze y młynarze po złotych ośmnastu *praevio* w miastach burmistrzów, we wsiach starszych chłopów *iuramento de quantitate* luźnych ludzi *pro primis diebus mensis Octobris* wyliczyć *tenentur* do rąk swoich *possessorów sive* dziedziców.“

Przytoczyliśmy umyślnie długie te ustępy z uchwał podatkowych ówczesnych sejmików wielkopolskich, aby przekonać naszych czytelników, nasamprzód, jak ów *system* podatkowy, jeżeli tak wolno powiedzieć, nie oszczędzał nikogo, jak owo pogłównne w razach potrzeby ogarniało zarówno „*possessora dóbr ziemskich*“, jak parobka i owczarka, dalej, jak głęboko umiał tenże system sięgnąć w kieszeń choćby ubogiego człowieka, nakładając nań po trzy, niekiedy po ośmnaście złotych podatku. Uderzającym, zastanowienia godnym pojawem pozostanie, że mimo wszelkich klęsk, ruin, dżumy, nieszczęść, kraj przecież ubogim nie był widocznie, że podatki wpływały, że komisya skarbowa poznańska, pominąwszy inne bieżące potrzeby, wypłaca naówczas ze skarbu wojewódzkiego za assygnacją marszałków sejmikowych znaczne summy, np. 30,000 na ufortyfikowanie Kamieńca, niewiele mniejszą summę na fortyfikację Częstochowy, 12,000 złotych na utrzymanie tak zwanych „więźniów elbląskich“, 60,000 złotych sukcesorom „sławnej niegdyś pamięci Stanisława Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego, w. hetmana koronnego“.

Owe taryfy znajdujące się jeszcze w archiwach wielkopolskich grodów, owe akta komisji skarbowych znajdujące się tamże równie najprawdopodobniej, złożyłyby się w połączeniu z *laudami* wszechstronnie zbadanemi, na drogocenny materiał statystyczny ówczesnego zaludnienia i stanu krajowej zamożności.

Po powyższym, pobieżnym w co nagłówniejszych zarysach przeglądzie systemu i mechanizmu podatkowości wojewódzkiej, nasuwa się naturalną koleją rzeczy pytanie, na jakie cele owe podatki się obracały, jakie ostatecznie przeznaczenie miały? Odpowiedź na pytanie to rzuca charakterystyczne światło na stosunki polityczne, obyczajowe, społeczne wojewódzkiego wnętrza a wychodzi znów na najwyższy zaszczyt domowego zarządu. *Jest* tedy pieniądź zebrany, gotowy. Rozporządza nim nie jakaś skryta, uchylająca się z pod wszelkiej kontroli instancja biurokratyczna, ale rada wojewódzka na sejmiku wśród białego dnia z przyzwoleniem i zgodą wszystkich obradujących. Rozczytując się zaś w uchwałach sejmikowych, trudno zaprzeczyć, że przeznaczenie owego krwawo i z trudem zebranego publicznego grosza jest wszelkiego uznania i pochwały godne. Nasamprzód „podnoszą się“, mówiąc ówczesnym terminem technicznym, i utrzymują z owego grosza chorągwie wojewódzkie; płacą się żołnierz, rotmistrzowie, pułkownicy, wyświadcza się tak zwane *largicje*. Przedmiot owych *largicji* wymaga krótkiego objaśnienia, które zarazem

niechaj będzie obaleniem zakorzenionego dość powszechnie w naszej przeszłości o służbie publicznej przesądu. Przesąd ten utrzymujący się tradycyjnie twierdzi, jakoby wszelkie nasze usługi publiczne były wynikiem gotowej bezinteresowności, nie pytającej o żadną nagrodę ofiarności. *Lauda* są nam przekonywającym dowodem, że było wręcz inaczej, że mogli się zdarzać ofiarni synowie ojczyzny przynoszący jej własne mienie i usługi w bezinteresownym darze, ale że reguła i praktyka powszednia była inną a że przeciwnie, każda usługa publiczna na rzecz województw była wynagradzana przez uchwały sejmikowe, jak na owe czasy, jak na wartość ówczesną pieniądza, dość hojnie nawet. Czy to poborcy, czy to członkowie komisji skarbowej wojewódzkiej, czy deputaci do boku królewskiego, czy posłowie wyprawiani do hetmanów, prymasa, generałów saskich, wszyscy dostają za uchwałą sejmików mniej lub więcej obfitą ze skarbu wojewódzkiego *largicyą* za swe usługi, czasem 5000, niekiedy 2000 i 1000 złotych. Pod tym względem nie zawodzi nigdy szlachecka słowność, wymienia w każdym niemal *laudum* usługę, nazwisko zasługującego, sumę, jaka mu się naznacza. Prócz owych *largicyi* za usługi publiczne, jest jeszcze ich inny, więcej może uznania godny rodzaj, *largicye* ku wynagrodzeniu poniesionej klęski lub ku wsparciu publicznej potrzeby. Nie istnieją naówczas naturalnie dzisiejsze stowarzyszenia zabezpieczeń, kiedy wydarzają się w stokrotnie częst-

szy i sroższy, aniżeli dzisiaj sposób, pożary i inne klęski.

Rozpusta grasującego po kraju żołnierza, własna nieostrożność, niedostateczność środków ratunku, wszystko to razem składa się na smutną prawdę, że oba województwa pokrywają się zgliszczami, że nie ma prawie na całej przestrzeni ich miasta i miasteczka, któreby nie było przez ten czas splonęło, że w dodatku, jak widzimy z *laudów*, pożary niszczą nie mniej liczne wsie prywatnych właścicieli. Pustoszą np. Szwedzi lub Sasi kamienicę browarową kanonika katedralnego i proboszcza farnego poznańskiego ks. Wojciecha Waśniewicza na ulicy Wrocławskiej, obywateli Schönknechta lub Helbinga na ulicy Wronieckiej; płonie pod Kościanem wieś Rąbin pana starosty kopanickiego. Cóż się dzieje w takich razach? Dotknięci pożogą nie żądają żadnej jakiejś nadzwyczajnej łaski, ale powołują się na uświęcone praktyką tak zwane *jus conflagratorum* a województwa uwalniają bądź to na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, zwykle na cztery, czasem na siedm lat takich pogorzalców od wszelkiego podatku, bądź też przeznaczają im ze skarbu swego mniejsze lub większe zasiłki. Nie inaczej dzieje się z zakładami publicznego użytku, z kościołami i klasztorami. Tak np. potrzebuje restauracyi most na Warcie pod Śremem; województwa przeznaczają na nią mieszczanom śremskim pewną sumę z czopowego i szelężnego, wydają odpowiednią asygnacyą do skarbowej komisji poznańskiej. Ka-

tedra poznańska zniszczona w skutek wypadków wojennych, kilkokrotnego oblężenia miasta, zaniebdanej nad gmachami jój troskliwości: Uchwała sejmiku średzkiego przeznacza trzechletnie czopowe i szelężne miast Buku, Słupcy i Chwaliszewa na jój naprawę. Co chwila spotykamy się z takiemiż „largicyami“, z takiemi mniej lub więcej hojnemi asygnacyami na rzecz klasztoru Kamedulów w Bini-szewie, Cystersek w Owińskach, Bernardynów w Poznaniu. Jeżeli w szereg tego rodzaju largicyi zaliczają się kilkokrotnie pewne summy na koszta kanonizacyi św. Stanisława Kostki, nie zapominajmy, że równocześnie a w hojniejszej mierze wchodzi w nie asygnacye na rzecz tak dotykanej potrzeby, jaką przedstawiają koszta fortyfikacyi Kamieńca Podolskiego i Częstochowy.

Largicye takie mają także między innemi za przedmiot *zewnątrzne* ubezpieczenie gmachów sądowych, zabudowań, zachowanie ksiąg i akt grodzkich. Województwa uchwalają i asygnują do komisyi skarbowej mniej lub więcej znaczne summy na reparacyą sklepów i miejsc depozytowych dokumentów i papierów, nakazują sporządzać troskliwe ich spisy, zalecają regentom ziemskim poznańskim pp. Tomickiemu i Lebińskiemu foliować i oprawiać księgi. Nie dość na tem, przekonywamy się, że równocześnie pamiętają sejmiki o biegu sądownictwa i wymiarze sprawiedliwości. Przepisują wyraźnie, w czyjém posiadaniu mają się znajdować klucze depozytów grodzkich, wyznaczają sądom

wojewódzkim miejsce w miasteczku Buku, gdy dżuma i pobyt załogi obcej nie pozwalają na ich odbywanie się w Poznaniu. niesprawiedliwością ze strony późniejszych czasów byłoby zapominać, jak owa wyniszczona kontrybucjami, zagrożona we własnym domu, niepewna życia i bezpieczeństwa od rozpusty obcego żołnierza szlachta nie skąpi largicyi ze skarbu wojewódzkiego i na potrzeby oświaty krajowej niekiedy. Rok 1711, rok inwazyi Śmigelskiego z Pomorza we wielkopolskie kraje, rok ciężkiego pobytu wojsk saskich i carskich w Wielkopolsce, jest jedną z najopłakańszych dat w kronice ówczesnej jej martyrologii. Między innymi wyprawiają naówczas województwa wielkopolskie p. Samuela Kierskiego kasztelanica rogozińskiego do carewicza Aleksego „o allewicyą w nieznośnych ciężarach“. Mimo to czytamy w *laudum* średzkiem z dnia 20 Sierpnia 1711 dosłownie, co następuje: „Widząc znaczną ruinę *Akademii Poznańskiej*, oneyże *in subsidium* dwa tysiące złotych polskich naznaczamy, dając na to komisyi Poznańskiej *in manus*, ażeby téj summy exsolucyę jako nayprędszą obmyśliła.“ W rok później, w *laudum* średzkiem z dnia 13 Września 1712, znów w ciężkiej chwili po inwazyi Grudzińskiego z Wołoszczyzny, po pożarze Pyzdr, Krotoszyna, Międzychoda, Skwierzyny, znajdujemy następną uchwałę: „Bacząc znaczny upadek pana Kielera, mieszczanina y *Bibliopoli* Poznańskiego przez rozbieranie dworca jego y insze ruiny, pozwalamy mu piwowara jednego

(to jest należne odeń skarbowi wojewódzkiemu czopowe i szelężne) w cechu poznańskiego do lat dwóch, nagradzając szkody jego.“

Dowiadujemy się w ten sposób o ówczesnej egzystencji księgarni Kielera w Poznaniu i o troskliwości, jaką szlachta wielkopolska dla dobra i powodzenia jego objawia. W temże samém *laudum* znajdujemy następną zajmującej treści uchwałę: „Oycom Jezuitom *Missionariis* do Persyi Imci xiędzu Krasimskiemu *in vim elemosinae* na Tysiąc Tynfów Imci Panu Marszałkowi Koła naszego z czopowego i szelężnego podatku zleciliśmy dać asygnacją.“

Otóż w najkrótszych, najgłówniejszych zarysach system, jeżeli tak wolno powiedzieć, podatkowości wojewódzkiej a równocześnie krótka, charakterystyczna, o ile możności, specyfikacja rozmaitych celów i przeznaczeń, na jakie się dochody płynące z owych regularnych częścią, częścią nadzwyczajnych podatków obracały. Pozwalamy sobie wyrzec przekonanie, że jeżeli niekiedy poborcy owych podatków, jak widzimy z naszego źródła, nie są regularni i punktualni w oddawaniu pościągane go grosza do rąk obranych komisji, że jeżeli *lauda* grożą podobnym „retentorom“ publicznych pieniędzy egzekucją „dragonii Pana Generała Wielkopolskiego“ i innemi karami, właściwej nieuczciwości przykładów przecież *mało* a sejmiki, jak już powiedziano, po upływie *lat* często, udzielają pokwitowanie osobom, czasem spadkobiercom takich poborców. Również, widzieliśmy, obraca się

ów grosz publiczny za uchwałą powziętą wśród białego dnia przez wszystkich, na cele niesłychanej różnorodności, ale wszystkie niezaprzeczonej użyteczności.

Zwróćmy się teraz od spraw i szczegółów *skarbowości* w inne dziedziny wewnętrznego życia wojewódzkiego, o ile nam na to wzgląd na treściwość sprawozdania z bardzo bogatego materiału pozwala. Wspomnieliśmy już o uchwałach mających za przedmiot bieg sprawiedliwości, wspomnieliśmy o kosztownych a przezornych staraniach około całości sądowych, grodzkich gmachów, około zabezpieczenia dokumentów, depozytów, około przechowania i uporządkowania akt sądowych. Nie mniejsza troskliwość, o ile naturalnie dopuszczają tego niespokojne czasy i wieczna w kraju zaniewierucha, o urządzenie w Poznaniu komunikacji *pocztowej*. Powierzają województwa troskliwe i sumienne zawiadowanie urzędem pocztowym poznańskim raz wdowie p. Barczewskiej, inny raz mieszczaninowi poznańskiemu p. Winklerowi. *Handel* znajduje tu podobnie swoją osobną stronicę. Łatwo pojąć, że tamte czasy nie sprzyjają swobodzie i bezpieczeństwu handlu surowymi płodami, na jakie się ówczesna Polska zdobyć mogła. Wśród ciągłej wojny, nieustannych pożarów, włączeni obcego żołnierstwa i „kup swawolnych“ po kraju, wśród zakazów wywozu zboża przez generała Jahnusa von Eberstädt, nie mogło być naturalnie mowy o regularnym i normalnym biegu stosunków handlowych.

Dodajmy do tego rozliczne przeszkody innego rodzaju. Co chwila skargi na postępowanie władz cesarskich szląskich; co chwila zażalenia na władze brandenburskie, zatrzymujące czy to w Landsbergu, czy w Cylichowie*) wozy ze zbożem polskim, łowiące sobie według upodobania podstarościch lub woźniców polskich, gdy mieli przypadkowo nie szczęście cieszyć się wysokim wzrostem i zapowiadać pożądaną materią dla Poczdamskiej gwardyi olbrzymów. Popsute nadto były tu i owdzie mosty na Warcie, niemożliwy spław na rzece przez pozakładane młyny i jazy. *Lauda* z poza roku 1717 zapobiegają przynajmniej *tęj* potrzebie, uchwalają naprawę mostów, zarządzają usunięcie przeszkód tamujących wolność spławu na Warcie. Jak widzimy, ciążyły też na wywozie wielkopolskich województw z rozporządzenia podskarbiego koronnego Jana Przebendowskiego, który na pogranicznych komorach, jak np. w Wieruszowie, Bolesławcu, Wschowie, Międzyrzeczu utrzymywał tak zwanych „superintendentów celnych“, rozmaite zakazy, które szlachcie wiele krwi psują. Tak np. istnieje zakaz wywozu za granicę wielkopolskiej wełny, kiedy przeciwnie istnieje pozwolenie na wywóz skór. Szlachcie nie idzie w smak ani podobny zakaz, ani podobna swoboda. Zakaz ma chronić od strat i obrać się na korzyść niemieckich i protestanckich

*) Poprawnie w *Żelichowie*, jak widzimy ze współczesnych zapisków po Ponińskim staroście Kopanickim.

sukienników pogranicza szląskiego w Zaborowie, Bojanowie, Rawiczu, Sarnowie, Lesznie i Kościanie, swoboda zaś owa wywozu skór wychodzi na szkodę biednych szewców, zwykle katolików i Polaków. Posłuchajmy, jak szlachta pragnie pod tym względem zmiany. Dzieje się to już po uspokojeniu kraju przez traktat warszawski z roku 1717: „Punkt w instrukcyi I. K. Mci P. N. Miłościwego“, mówi *laudum* z dnia 19 Sierpnia 1720, „*ratione* nie wywożenia wełny za granicę y tacy teyże wełny uczynienia zalecony, ponieważ *tollit libertatem commerciorum*, stanowi szlacheckiemu *competentem*, prawem pozwołoną, a na wzmocnieniu dysydentów nad granicą w miastach i miasteczkach mieszkających *colligat*, tedy obligujemy Ichmościów Posłów naszych, aby na ten punkt *ullatenus* nie pozwalali y zwyczaiów w wywożeniu za granicę welen y skór *infringere* nie dali.“ Równocześnie posłuchajmy dowodu opieki nad przemysłem szewskim w *laudum* średzkim z dnia 22 Lutego 1723: „A że skóry przeciw prawu wyraźnie napisanemu za granicę wywożą y nasi szewcy aż z Wrocławia skóry musieli sprowadzać, więc reasumujemy konstytucye o nie wywożenie skór za granicę, obligując Ichmościów Panów starostów pogranicznych, aby ich wywozić nie pozwalali.“ Często powtarzające się żądania o naprawę monety, skargi na przywożenie złych pieniędzy z zagranicy, zaliczmy również do kategorii szlacheckich usiłowań około przyjscia w pomoc krajowemu handlowi. Zresztą przestrze-

gała szlachta, aby kupcy i przemysłowcy nie stawiali przesadzonych żądań za sprzedawane swym odbiorcom wszelkiego rodzaju przedmioty i wyroby a nakazywała w swych *laudach* podwojewódzimi ustanawiać od czasu do czasu i ogłaszać ich ceny.

Przedmiotem sąsiadującym pono najbliżej z handlem wojewódzkim, figurującym nieprzerwanie na porządku dziennym sejmikowych obrad i postulatów, jest żywo każdy dom szlachecki z osobna obchodząca sprawa tak zwaną *solą suchedniową*. Sól ta mająca swą nazwę i przeznaczenie od *suchych dni*, stanowi istotnie jeden z najwymowniejszych dowodów publicznej dobroczynności i troskliwości dla mieszkańców kraju. Stósownie do kompaktacji między podskarbin koronnym a delegatami województwa, przeznaczano z kopalni soli w Samborze, Bochni, Wieliczce pewną liczbę beczek na każde województwo. Sól tę spławiano lub zwożono na oznaczone miejsca składu, oddawano pod rozporządzenie osobno ustanowionego żupnika, który się zajmował dystrybucją jej na szczególne posiadłości ziemskie. Takim miejscem składu suchedniowej soli dla województwa Poznańskiego i Kaliskiego było miasto Bydgoszcz. Sól spławiona Wisłą do Torunia, była następnie przewożona na kołach do Bydgoszczy, gdzie się znajdowały umyślnie na ten cel zbudowane szopy żupnicze. Żupnik obu województw, w naszej epoce Borucki podczasy Brzesko-Kujawski, wydawał, zjechawszy na miejsce przybywającym z różnych dóbr szla-

checkich furmankom, asygnacye na pewną liczbę beczek soli. Miasto Bydgoszcz dostawało za każdą taką dystrybutę soli po 200 złotych ze skarbu województw, za co miało obowiązek utrzymywać w dobrym stanie miejscowe żupnicze zabudowania. O ile można wnosić z brzmienia *laudów*, dostawały oba województwa wielkopolskie dziesięć tysięcy beczek soli, kiedy tak zwana „*dosypka*“ jedenastego tysiąca opłacała się przez nabywców po trzy złote od beczki. Szczegóły znajdujące się w *laudach* co do dystrybucyi owój soli, są tak liczne a tak drobiazgowój natury, że wchodzić w nie tutaj rzeczą niepodobieństwa. Dość powiedzieć, że sól suchedniowa, że jój dystrybucya, są przedmiotem ciągłych, nigdy nieustających skarg i zażaleń przeciw żupnikom, czy to p. Lipnickiemu, czy p. Boruckiemu. Sól jest regularnie, ani w zupełności rozdawaną. Pokazuje się, że są na prywatnych składach u żupników znaczne jój remanenty; pojawiają się skargi, że szlachta soli nie dostała wcale, albo ją po nad trzechzłotową normę za „*dosypkowe*“ opłacać była zmuszoną. Najbezcere-monialniej przecież, jak widzimy, postępował sobie z dystrybucyą owój soli niejaki p. Blumenthal, który wbrew prawom województw postanowiony przez króla Augusta żupnikiem aż do roku 1717, dopuszczał się licznych nadużyć i przemieszawstw. Jeżeli szlachta już nieszczególnie łaskawa na *swoich*, na pp. Lipnickiego i Boruckiego, zaszczyca przez długie lata Niemca Blumenthala wyjątkową niena-

wiścią. *Laudum* z dnia 22 Lutego 1723 mówi między innymi: „że Imci Pan Blumenthal soli naszej Suchedniowej terazniejszej dystrybuty do téjże żupy nie składał, nietylko z wielką szkodą województw naszych, ale żupy skarbowe z wielką pomienionego miasta (Bydgoszczy) krzywdą na insze z miasta miejsca przeniósł, jako nam to miasto w suplice wyraziło, o co mają proces w sądach I. K. Mości assessorskich z Imci Panem Blumenthałem, upraszamy Imci Pana Marszałka naszego, aby napisał list do Imci Pana Kanclerza Koronnego o manutencję téj sprawy przy prawie i zwyczajach dawnych.“

A teraz, zdążając ku końcowi naszego sprawozdania, nie od rzeczy, ku charakterystyce strony obyczajowej ówczesnego społeczeństwa, przypatrzyć się stosunkowi jego do *dwóch* żywiołów, o których prześladowanie i niesprawiedliwy ucisk obwiniać je się przyzwyczajono, stosunkowi do *Żydów* i *dysydydentów*. Co się tyczy nasamprzód *Żydów*, podlegają oni wprawdzie, jak widzimy, podatkowi pogłównego i podymnego a ile razy nadarzy się ogólna wojewódzka potrzeba, nie zapominają sejmiki średzkie o pociąganiu i *Żydów* do uczestniczenia we wspólnych wszystkim ciężarach. Niechaj nikt jednakże nie zechce przypuszczać nadzwyczajnego jakiegoś uciemienia czy przeciążenia *Żydów* poznańskich. Przeciwnie, obchodzi się z nimi szlachta grzecznie, troskliwie, istnie jak z kurą złote jaja znoszącą. Nie było wówczas papierów procent przynoszących, nie było banków depozytowych,

nie było hipotek. Szlachta tedy, jak widzimy z akt archiwum synagogi żydowskiej w Poznaniu, lokowała różne swe oszczędności, kapitaliki, posagi córek płatne w dniu zaślubin, po $7\frac{1}{2}\%$ na kahałe żydowskim poznańskim. Ztąd tłumaczy się, że wielkopolska szlachta obchodzi się bardzo względnie z Żydami a wydaje uchwały następnie np. brzmiące: (*Laudum* z dnia 16 Kwietnia 1716 r.) „Napisze list pan Marszałek (rycerskiego koła) do Ichmciów Panów Komisarzów od I. K. Mości naczynionych na komissyą między miastem Poznaniem I. K. Mości y Żydami, upraszając, aby osobliwą mieli animadwersacyą *in conservacione* Żydów tamecznych, respektem, że siła Ichmciów Fortun swoich konkredytowało na synagogę poznańską, *ex aliqua decisione* na fortunach swoich *creditores* nie szwankowali.“

Dyssydenci nie znajdują się również w stanie takiego ucisku, jak się przyzwyczajono wierzyć, jakby np. z przebiegu współczesnej a tak bliskiej widownią Wielkopolsce, sprawy Toruńskiej wnosić można. Jedną z najwięcej wpływowych, najpopularniejszych pomiędzy obywatelstwem szlacheckim Wielkopolski postaci, jest naówczas wspomniany tylokrotnie w powyższym opowiadaniu, Franciszek Poniński starosta kopanicki. W papierach po nim znajdujemy następny, świadczący charakterystycznie o usposobieniu jego względem dyssydentów zapisek (w liście do biskupa poznańskiego, Bartłomieja Tarły, z dnia 10 Grudnia 1724 r.);

„Już dalej niżli dwadzieścia lat w Kopanicy gospodaruję, niejednego przeżywszy plebana a podobno żarliwszych, niżeli terazniejszy o wiarę świętą plebanów, a przecież nie miałem téj noty. Nigdym dyssydentom, pod moją juryzdykcyom mieszkającym, nie pozwalał tego, coby było nad prawo i jeżeli się co między nimi *extra orbitam* znajdowało, zarazem predykanta relegował, ale też tego, co przez prawo pospolite tymże dyssydentom jest pozwolono, zabronić *nullo iure* nie mogę i nie powinienem, ile *subalternam* tylko nad nimi mając *potestatem*.“ Z tych słów dostojnika wielkopolskiego przekonywamy się, co najmniej, że w nim żadnej jakiejś fanatycznej zawziętości przeciw dyssydentom nie ma, jak jój też istotnie nie było w sercu szlachty wielkopolskiej wogóle. Jest wprawdzie z powodu zakazu wywożenia wełny za granicę niechęcią nacechowana wzmianka o nadgranicznych sukiennikach, innowiercach, których się podobnym zakazem, ze szkodą prawowiernej polskiej szlachty bogaci. W inném miejscu (*laudum* średzkie z dnia 7 Stycznia 1710 r., po ustąpieniu Szwedów na Pomorze) czytamy: „Ponieważ mieszczenie poznańscy *dissidentes, locum publicum* miasta tegoż łażnią, *in suum* odebrali *usum*, i w kościół swój obrócili, tedy miastu Poznaniowi dajemy moc doskonałą *locum hunc rehabendi*“. Uchwała ta brzmi może twardo i bezwzględnie, chociaż widzimy w niej raczej chęć wprowadzenia miasta Poznania w posiadanie należnego mu prawa, aniżeli czyn religijnej prześladowczości.

Mniemamy zaś do podobnej, korzystnej dla tolerancyi przodków naszych interpretacyi mieć tem większe prawo, że w późniejszym *laudum* z dnia 19 Sierpnia 1720, zapadłem pod laską zacnego Franciszka Ponińskiego, czytamy jako punkt instrukcyi dla posłów, wyprawionych na sejm, co następuje: „Obligujemy Ichmciów Panów Posłów naszych, aby się o to *serio* starali y to utrzymywali, żeby *bracia nasi Ichmci Panowie Dissidenci in religione christiana* przy dawnych prawach byli *inviolabiliter* konserwowani“. Było to już właśnie po wykluczeniu Piotrowskiego, posła wieluńskiego, starosty buczniowskiego, z grona posłów sejmowych r. 1718, jako dyssydenta. Niechaj nam w powyższym punkcie udzielonej posłom obu województw instrukcyi, będzie wolno widzieć uczciwy protest przeciw czynowi podobnej wyłączności religijnej, piękny i zasługujący na ocalenie od niepamięci akt tolerancyi.

Kończymy na tém sprawozdawczą pracę naszą o *laudach* obu wielkopolskich województw za panowania Augusta II. Bogactwo najrozmaitszych szczegółów tak tu wielkie, że ułożona z nich mozaika dałaby się rozszerzyć do nierównie rozleglejszych rozmiarów. Poprzestajemy wszakże na tem, cośmy dali powyżej, w przekonaniu, że wystarczy ku stwierdzeniu wyrzeczonej na wstępie prawdy o ważności *laudów* sejmikowych, jako materiału do *wewnętrznych* dziejów Polski. *Zewnętrzny* ich obraz, choćby najtroskliwszy i najdokładniejszy, nigdy

nam ich nie odsłoni; najdokładniejsza znajomość walnych sejmów, ich głównych aktorów, rozgrywających się nawet na nich zakulisowych sztuk i intryg politycznych nie rozjaśni nam ich również. *Lauda* dopiero odzwierciedlające życie dnia powszedniego, potrzeby jego i kłopoty, zmysł zbiorowy i publiczny, starający się im według środków i możliwości zadosyć uczynić, pozwalają z wszelką dokładnością rozpatrzyć się po gruncie, na którym się cała summa zewnętrznych wypadków odbywa, zrozumieć bardzo często, dla czego owe wypadki biorą obrót, jaki wzięły, dla czego często społeczność ówczesna nie idzie, iść nie może drogami jakie się podobają, jakieby jej przepisać rada nasza aposteryostyczna racya, nasza nieznajomość ówczesnych bied, kłopotów, niedostatków i dolegliwości. A mimo to wszystko, niechaj nam będzie wolno wypowiedzieć dalsze jeszcze przekonanie, że ostateczny sens moralny owych *laudów*, z najtragiczniejszej epoki całej naszej przeszłości, nie obraca się na jej niekorzyść. Gminowładczy ów samorząd, nierozpaczający o sobie i o dobru publiczném, nie porzucający ojczystej nawy wśród dżumy, głodu i wojny na łaskę Opatrzności, radzący nad swém dobrem, obmyślający mu środki, opędzający się biedzie, utrzymujący, czy to więźniów jęczących w niewoli u jakiegobądź nieprzyjaciela, czy karmiący głodnych i dający pomoc pogorzelncom, czy „podnoszący chorągwie ku powstrzymaniu kup swawolnych“, czy wznoszący z gruzów ko-

... wspaniałą podu-
... Warcie,
... Trzeba
... pogody
... całego
... cywiliza-
... od wiek
... i wykształ-
... swobody administracji
... swobody uży-
... zdołały. Nie
... w Polsce, choćby
... Sasów! Otóż pro-
... jasnie ze źró-
... *ksiąg Landrecht* wie-
... choćby sama przez
... nagrodę
... w tej dziedzinie

DWIE MISSYE

Franciszka Ponińskiego

starosty Kopanickiego

do Cara Piotra, w latach 1717 i 18.

Poselstwo Franciszka Ponińskiego starosty Kopanickiego do Cara Piotra, o którym nam tu mówić przychodzi, wymaga dla bliższego objaśnienia swój genezy i zrozumienia przebiegu rzeczy, rozpatrzenia się nieco szczegółowszego w okolicznościach i stósunkach, które je poprzedziły. W tym celu wypadnie zaś sięgnąć w przeszłość dość daleką, bo aż do roku 1703, miesiąca Października, kiedy Patkul jako pełnomocnik Cara Piotra wchodził z królem Augustem w przymierze mające w niespełna rok później, pod dniem 30 Sierpnia 1704, znaleźć potwierdzenie i rozszerzenie przez zawarty w Narwie między Carem a Rzeczpospolitą traktat. Do najważniejszych tegoż traktatu

postanowień należały artykuły zaręczające Rzeczypospolitej prócz posiłków w ludziach i subsydiach pieniężnych, dotrzymania aliansu aż do wywalczenia wspólnego pokoju i zwrot „zabranych jej przez buntownika Paleja twierdz ukraińskich“. *Piąty*, najważniejszy ze wszystkich dla Rzeczypospolitej artykuł traktatu Narewskiego brzmiał następnie: „Jako Jego Carskie Wieliczesstwo po te czasy swoje zwyciężkie oręża nie tylko w Inflantach, ale i innych miejscach, cokolwiek w possessyach wspólnego nieprzyjaciela zostawało, przy pomocy Najwyższego prowadził, tak i na potém prowadzić będzie, takim sposobem, że wszystkie te fortece, miasta y zamki, które w całym Księstwie Inflantskiem i przynależących do niego ziemiach, cokolwiek do Rzeczypospolitej należało i za pomocą Boską do Jego Carskiego Wieliczesstwa wziętych być może, że Królewskiemu Wieliczesstwu i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej bez nagrody z ochotą odda i ustąpi.“ Dodajmy, że w zamian zobowiązywała się Rzeczpospolita *ósmym* narewskiego traktatu artykułem „dopomagać Carowi po uwolnieniu swoich ziem od nieprzyjaciela do zdobyczy mających się dokonać na Szwedach“... Wiadomy przebieg wojny szwedzkiej od chwili zawarcia tegoż traktatu. Od roku 1704 zalewały wojska rossyjskie kraje Rzeczypospolitej z wielkiem uciemieniem ludności, wśród wyprzątania arsenałów polskich, twierdz i zamków ze znajdującą się w nich artyleryi, wśród uprowadzania licznych jeńców strony przeciwniej w głąb

ziem rosyjskich, między którymi dość wspomnieć rozgłośnego długą niewolą i tragicznymi kolejami, wziętego r. 1707 w Bychowie generała wojska litewskiego Siennickiego. Powrót Karola XII z Saxonii w jesieni roku 1707, pochód jego na Cara w roku następnym, zwrot tyle zgubny na Ukrainę zadnieprską uwieńczony tak fatalnie klęską pułtawską, wyprzątnął do roku 1709 kraje Rzeczypospolitej z wojsk rosyjskich. Po bitwie pułtawskiej wracają wraz z Carem Piotrem do Polski od wschodu, kiedy z drugiej strony, od Saxonii, nadciąga August, tak pierwsze, jak drugi w najstraszniejszej, jaka być mogła, chwili, bo nie dość siedmioletnich już klęsk i zniszczeń wojennych, szerzy się z jesienią roku 1709 w Polsce owa straszna, znana dobrze w ówczesnych dziejach północnej Europy dżuma, która wyludnia kraje Rzeczypospolitej i w pustynię je niemal zamienia. Nie przeszkadza to jednakże Augustowi dokładać ręki do restauracyi swego obalonego wojną szwedzką panowania a w tym celu zwołuje w Styczniu 1710 słynną w dziejach owej epoki radę Warszawską, która pominąwszy bardzo wiele innych, obojętnych dla naszego przedmiotu rzeczy, zwraca ostatecznie baczne oko na stosunek Rzeczypospolitej do Cara i postanowienia narewskiego traktatu. Nasamprzód był już strasznym sam przez się ciężarem pobyt „wojsk auxyliarnych Cara Jego Mości“, jak widzimy ze współczesnych *laudów* sejmików wojewódzkich, jak widzimy dalej z niewątpliwiej

wiarogodności sprawozdań posłów zagranicznych. Nie dość na tém przypomniała się *radzie warszawskiej* stypulacja traktatu Narewskiego co do zwrotu Inflant i zamków ukraińskich, przypomniał się nadto późniejszymi okolicznościami spowodowany obowiązek żądania zwrotu zabranéj z twierdz polskich artyleryi Rzeczypospolitéj i licznych jeńców polskich. Z poleceniem domagania się o wszystkie te rzeczy wyprawiła rada Warszawska do Cara z uchwały, swéj powziętéj na dniu 2 Kwietnia 1710 Wołłowicza w. marszałka litewskiego. Poseł Rzeczypospolitéj wzięwszy sobie do boku jako sekretarza ambassady, powiedziawszy po dzisiejszemu, brata swego, Wołłowicza referendarza litewskiego, wybrał się do Moskwy. Z jakim skutkiem? Niechaj na to pytanie odpowiada następny, lakoniczny zapisek dyaryusza sejmu Grodzieńskiego z roku 1718: „*Sessya piętnasta z dnia 19 Października...*“ „Następnie zdawał sprawę Pan Wołłowicz referendarz W. Księstwa litewskiego, brat zmarłego w. marszałka litewskiego, który poselstwo na Moskwę sprawował, w owym zaś czasie uczestniczył w legacyi jako sekretarz, zajmując to samo miejsce, które zwykle zajmuje marszałek izby poselskiej. Nasamprzód przedstawił, jako legacya ta była wyznaczona przez walną radę Warszawską z roku 1710 z żądaniem wyprowadzenia wojsk moskiewskich, satysfakcyi za doznane krzywdy, zwrotu zabranéj artyleryi i jeńców, nadto oddania kraju Inflantskiego stósownie do brzmienia paktów, wresz-

cie innych punktów z dobra i korzyści Rzeczypospolitej wypływających. Uczynił następnie relacją podróży odbytej przez posła, zatrzymania jego na granicy przez dwanaście tygodni kwarantanny z powodu grassującej naówczas dżumy, dalej przybycia jego do stolicy Moskiewskiej i przyjęcia z wszelkimi honorami charakterowi jego należącemi. Czytał potem memoryały i żądania uczynione J. Cesaarskiej Mości wraz z odpowiedzią na pojedyncze punkta, *która to odpowiedź wiele wprawdzie obiecywała, ale wszystko prawie warunkowo i dwuznacznie.* W ten to sposób nie odniosło poselstwo Wołłowicza żadnego prawie rezultatu a upłynęły odeń znów dwa lata ciężkich utrapień i dolegliwości dla przetrzebionego dżumą, niszczonego pożarami, rabunkiem, przemarszem i pobytem wojsk obcych kraju. Podobny stan rzeczy zaciążył wreszcie nawet samemu Królowi Augustowi, tém więcej, że groził pomścić się na trwałości jego panowania w Polsce. Właśnie podczas najsroźszej gospodarki „wojsk auxyliarnych“ w kraju a pobytu króla Augusta w Karlsbadzie, w Maju 1712, nastąpiła słynna swego czasu wycieczka Jana Grudzińskiego starosty Rawskiego, z Benderu, z pod boku Karola XII, do Polski. Po niespodzianie szczęśliwych początkach rozbiła się wprawdzie owa wyprawa, omylona w nadziei pomocy mającej przybyć ze Szwecyi, o przewagę wojsk carskich. Pobity w końcu Czerwca pod Krotoszynem starosta Rawski, znalazł się w konieczności odwrotu. Łatwość jednakże po-

czątkowo jego powodzeń, współczucie, jakie w kraju znalazł, wszystko to wpłynęło nie tylko na co prędzszy powrót Augusta z Karlsbadu do Polski, ale co ważniejsza, na chęć zaradzenia przyczynie złego, które się streszczało głównie we fakcie uciążliwego pobytu „wojsk auxyliarnych“ w krajach Rzeczypospolitej.

W tym celu złożył król August dnia 13 Sierpnia 1712 radę senatu w Międzyrzeczu wielkopolskim i ogłosił na mocy uchwał jej do narodu manifest, w którym obiecywał ewakuacją kraju ze strony wojsk obcych i zapowiadał w tym celu wyprawienie poselstwa do Cara. Missya ta dostała się w roku następnym Jakóbowi Duninowi regentowi kancelaryi koronnej, który jej dopełnił wiernie z tym samym, powiedzmy zaraz z góry, ujemnym, co Wołłowicz, rezultatem. Posłuchajmy znów równie lakonicznej relacyi samegoż Dunina, na téjże samej sessyi późniejszego sejmu grodzieńskiego z dnia 19 Października 1718: „Następnie (po Wołłowiczu) czynił drugą relacją Pan Dunin regent kancelaryi koronnej komissyi swój do Cara Jmci, jaką miał z uchwały rady senatu r. 1712. Odczytał daną sobie instrukcją i sporządzony na podstawie jej memoriał, jak i konferencye z jego strony odbyte zawierały drażliwą materią w przedmiocie ewakuacyi wojsk moskiewskich i satysfakcyi za doznane krzywdy; został z tego powodu nie tylko odprawiony bez expedycyi, ale nawet oskarżony, jakoby się z danego polecenia był źle wy-

więzał. Po ukończeniu tych relacji wspomnieni sprawozdawcy (Wołłowicz i Dunin) wykonali przysięgę na prawdę swych sprawozdań i że po zaobrębem swych poleceń, niczego nie praktykowali." Mimo więc obu wspomnianych co dopiero poselstw, pozostały „wojska auxyliarne“ w krajach Rzeczypospolitej a zbieg okoliczności w latach następnych wpłynął z rozmaitych przyczyn raczej znów tylko na przedłużenie i utrwalenie ich pobytu. Nie zapominajmy, że lata po misyji Dunina, są właśnie epoką przygotowującej się konfederacyi Tarnogrodzkiej i ostatecznego jej wybuchu w roku 1715. Obie wojujące strony, tak król August, jak skonfederowana szlachta, potrzebowały Cara Piotra i odwołały się do jego, reprezentowanej przez posła moskiewskiego Hrehorego Dołgorukiego mediacyi. Rozumie się, że wśród podobnych okoliczności mimo wszelkiego, wypływającego z pobytu wojsk obcych ciężaru, nie mogło być mowy o zbyt energicznych krokach w celu ich wyproszenia z granic Rzeczypospolitej. To też *pierwszy* powód ich przedłużonego pobytu. *Drugi*, ważniejszy nierównie, stanowiła odbywająca się równocześnie ważna, zagrażająca zmianą dotychczasowej postaci rzeczy oscyllacya polityki Carskiej. Karol XII wyparty wówczas (1715, 1716) z całego lądu stałego Europy, przyprowadzony do ostateczności, pozbawiony prawie środków dalszego prowadzenia wojny, oddał się zupełnie niemal w ręce znanego później przez swój tragiczny koniec Hol-

sztynczyka, barona Görtza, przy którym pełnił służby powiernika królewskiego i wyręczyciela Stanisław Poniatowski. Planem Görtza było pogodzić jakimbyż kosztem króla szwedzkiego z Carem, poświęcić prowincye szwedzkie znajdujące się już we faktycznym posiadaniu Moskwy, by w dalszym następstwie a w porozumieniu z Carem odbić swe straty na Danii i Niemczech. Pomysł ten trafił Carowi do przekonania tém więcej, że ułatwiać się zapowiadał olbrzymich rozmiarów akcją, którą korzystając ze swych dotychczasowych tryumfów, Car sam podjąć naówczas zamierzał. Akcja ta zdążyła do opanowania całych, o ile możności, południowych brzegów morza bałtyckiego, Gdańska, Szczecina, Stralsundu, księstw Meklemburgskich, może nawet Kopenhagi. Jednym z pożądaných niezmiernie *środków i sposobności* podobnej akcji, stawała się dla Cara sprawa zatargu księcia Meklemburgsko-Zwierzynskiego, Karola Leopolda, ze stanami swego kraju. Car Piotr postanowił wziąć w tym celu pod swą opiekę nieciekawego z kądną wcale księcia Meklemburgskiego, ożenić go, nie rozwiedzionego jeszcze z pierwszą swoją żoną, z Katarzyną Iwanówną, synowicą swoją, starszą siostrą owdowiałej już wówczas Anny księżnej Kurlandzkiej. Od téj chwili rozpoczyna się ze strony Cara akcja tłumacząca zarazem, jak wyraźniej być nie może, przedłużony pobyt „wojsk auxyliarnych“ w krajach Rzeczypospolitej. W Kwietniu 1716, właśnie wśród najgorętszego żaru kon-

federacyi Tarnogrodzkiej, zjeżdża Car wraz z małżonką Katarzyną, opuszczając na długo swój kraj, do Gdańska. Zjeżdża tu równocześnie król August w otoczeniu dygnitarzy saskich i polskich, dyplomatów zagranicznych mocarstw, w towarzystwie ówczesnej kochanki swojej Denhoffowej, zjeżdżają reprezentanci konfederacyi Tarnogrodzkiej Romanowski podkomorzy chełmski i sekretarz jej Frezer, wszyscy naturalnie w swoich specjalnych interesach, kiedy Car podejmuje przedewszystkiem zabiegłe i energicznie *własne*. Pierwszym na tej drodze krokiem były zaślubiny księcia Karola Leopolda Meklemburskiego z synowicą Carską Katarzyną Iwanówną, odprawione uroczystie w Gdańsku dnia 19 Kwietnia 1716. Stósunek zawiązanego w ten sposób pokrewieństwa stawał się najlepszym pomostem do zawarcia związku politycznego a w sam dzień zaślubin stanął między księciem Meklemburskim a Carem Piotrem traktat przymierza, mocą którego drugi obowiązywał się być pierwszemu pomocą w jego zatargach ze stanami własnego kraju. Stósownie do brzmienia zawartego traktatu połały się szerokiem strumieniem wojska moskiewskie z krajów Rzeczypospolitej wzdłuż nadbrzeża bałtyckiego do księstwa Meklemburskiego i urosły wkrótce w poważną, groźną Rzeszy Niemieckiej, Hanowerowi i Danii siłę 40 tysięcy ludzi pod naczelnem dowództwem generała Adama Weyde. Rzecz naturalna, że wobec podobnych, zakrojonych na północne Niemcy i nad-

brzeża bałtyckie planów, kraje Rzeczypospolitej wychodziły na podstawę operacyjną akcji Carskiej, że interes Carskiej polityki wymagał zatrzymać wojska swe w Polsce, że nadewszystko miasto Gdańsk stawało się dla Cara punktem oparcia nieobliczonej wagi. Podczas pobytu swego w Gdańsku, w Kwietniu i Maju 1716, widzimy też główną jego działalność zwróconą na „zabezpieczenie“ sobie Gdańska i gdańskiego przymierza na wespół podstępem, na wespół przymusem. Obecność równoczesna w Gdańsku króla Augusta i panów polskich nie stanowiła pod tym względem żadnej przeszkody, ponieważ wśród zawichrzeń konfederacji Tarnogrodzkiej Car był pierwszym i drugim *potrzebnym*, tak że polityki choćby nawet nieprzyjaznej miastu wchodzącemu w skład Rzeczypospolitej, krzyżować nie chcieli. Dzięki tedy podobnemu położeniu rzeczy i zbiegowi okoliczności wymusił Car na magistracie w Gdańsku, poparty równocześnie obecnością floty, która się składała z 48 galer o 7 działach z załogą 4000 ludzi a która handel miastu ze strony morskiej zatamowała, słynną następnie na długie lata konwencją, mocą której Gdańsk obowiązywał się wypłacić Carowi znaczną, mającą się oznaczyć później sumę pieniężną i wystawić pięć tak zwanych *Kaprów*, każdy o 18, przynajmniej 12 działach, z majtkami i żołnierzami do połowy gdańskimi, w drugiej połowie moskiewskimi, pod komendą oficerów zamianowanych przez Cara, ku czuwaniu nad brzegami morza bałtyckiego

i przejmowaniu jakiegobądź komunikacyi szwedzkiej z temiż wybrzeżami. Prócz tego miał według brzmienia téjże konwencyi być ustanowiony w twierdzy Weichselmündzkiej osobny komisarz Carski, którego zadaniem było poddawać ściślej rewizyi wszystkie, czy to wypływające z Gdańska na morze, czy przybywające do miasta statki w celu stwierdzenia, czy pomiędzy towarami, jakie wiozą, nie zawierają kontrabandy wojennej.

Magistrat gdański oglądał się w swém zakłopotaniu nadaremno na opiekę króla polskiego i Rzeczypospolitej. Król August nie zatwierdził wprawdzie owéj konwencyi, wstawiał się za magistratem u Cara, ale nie uczynił wraz z otoczeniem swoim nic istotnie, aby jéj trwale i na przyszłość zagrozić. Konwencya przyszła tedy przymusowo wśród podobnych okoliczności do skutku, jakkolwiek chwilowo odroczone. Car opuścił wśród salw artyleryi miejskiej i własnej floty z warującą ją literą w rękę Gdańsk dnia 11 Maja 1716, wybierając się w długą podróż do Niemiec, następnie Hollandyi i Francyi.

„*Wojska auxyliarne*“ zostały tymczasem w kraju, będąc z jednej strony neutralnymi świadkami toczącego się między Sasami a konfederacją Tarnogrodzką boju, z drugiej straszny dla ludności, niechętnie przez nią znoszonym ciężarem. Mnożą się z każdym dniem skargi na postępowanie, „na nieznośne exakcye i aggrawacye wojsk auxyliarnych Carskich J. K. Mości.“ Wśród i tak już dość

dającą się we znaki zaniewieruchy saméjże konfederacyi Tarnogrodzkiej, stanowią Carskie wojska jéj nie najmniej dokuczliwy, krwawo dolegający dodatek. Ówczesne lauda sejmików wojewódzkich pełne ciągłych utyskiwań na gwałty, na ciężary kontrybucyjne w gotowym groszu i naturalnych dostawach. Przez rok 1716 i 17 znajdują się te wojska w stanie marszów po całej przestrzeni krajów Rzeczypospolitéj, stósownie bądź to do potrzeby własnego utrzymania, bądź do ewolucyi polityki Carskiej na widowni nadbałtyckiej a mianowicie w księstwie Meklemburgskiem. I tak n. p. kiedy z początkiem roku 1717 oddziały wojsk rossyjskich zajmujące województwa wielkopolskie zabierają się to niby do wymarszu ztamtąd, zapowiada wkroczenie swe w też same województwa powracający z Meklemburgii korpus generała Weyde. „*Marches und remarches*“ otóż, jak bawiący natenczas w Polsce rezydent Cesarski Martels ruchy ówczesne wojsk Carskich charakteryzuje. O istotnej ewakuacyi krajów Rzeczypospolitéj, nie ma przez te lata wcale mowy.

Magazyny wojska carskiego pozakładane w różnych miastach na całej przestrzeni krajów Rzeczypospolitéj. Spotykamy się z niemi w Skwierzynie nad granicą brandenburgską, w Toruniu, w Starogrodzie, w Grodnie, Kownie, Wilnie. Żołnierz, oficerowie, generalicya żyją sobie dobrze kosztem wycieńczonego kraju. Ściągają gotowe pieniądze, każą sobie do miejsc garnizonowych dostarczać

krupów, mąki, zboża, furazu. „Urzędnik pocztowy pewien, pisze wspomniany wyżej rezydent carski Martels do dworu swego, „który odbywał rewizyą stacyi pocztowych na Rusi aż do Lwowa, a wczoraj tu dotąd (do Warszawy) powrócił, nie może się o tem dość naopowiadać: dla każdego prostego żołnierza winni mieszkańcy prócz codziennego utrzymania w jedzeniu i picciu, kłaść pod talerz szóstaka.“

Ogólna liczba sił moskiewskich w Polsce będących w stanie ciągłego ruchu po kraju i ciągłych przemarszów do Pomorza i Meklemburgii, wynosi razem do 40,000 ludzi. W Wielkopolsce spotykamy się z generałem Matuszkinem kwaterującym w Skwierzynie; podkomendnym jego w pobliskiej okolicy jest pułkownik Campenhausen. W Lesznie kwateruje przez niejaki czas generał Szeremetiew, na Żuławach generał-porucznik Dołgoruki, następnie Repnin i pułkownik Jakowlew, na Litwie brygadier Ropp, w Małej Polsce generał Bauer, nie wyliczając wielu, bardzo wielu innych, żywiły bardzo różnaitej narodowości, pośród których najliczniej reprezentowany niemiecki. Oficerowie, jak już powiedziano wyżej, rozkoszują kosztem stękającej ludności. Jedno z niepodejrzanej wiarogodności, współczesnych sprawozdań opowiada, „jak każdy prawie z tych panów ma po kilka koni a nawet psy do polowania“. W najjaskrawszych przecież barwach skreśla straszliwe w owym tragicznym roku 1716 wycieńczenie i zniszczenie kraju wspomniany już przez nas kilkakrotnie rezy-

dent Cesarski przy boku króla Augusta, baron Martels. Martels, który towarzyszył królowi w jego ówczesnej wycieczce do Gdańska, skreśla z niesłychaną dokładnością wszystkie szczegóły tamtejszego pobytu Augusta i Cara, wszystkie dolegliwości miasta Gdańska. Wrócił następnie w miesiącu Czerwca wraz z Augustem do Warszawy. Posłuchajmy, jak brzmi opowiadanie tego niepodważanej prawdomowności świadka o stanie zniszczenia, jakie naówczas kraj polski, dzięki trwającej już od lat czternastu ciągłej wojnie, przemarszom wojsk swoich i obcych, dżumie i powtarzającym się co chwila pożarom przedstawiał: „Ta, jakkolwiek krótka podróz była jedną z najuciążliwszych, jaką sobie tylko wyobrazić można, zwłaszcza, że wszystkie polskie wsie, przez które przejeżdżaliśmy, odznaczały się takim ubóstwem i nędzą, że w wielu nie można nawet było dostać ani jednego kawałka chleba a cóż dopiero mówić o innej żywności! Pojawiający się w nich, rzadcy mieszkańcy wyglądali raczej na zwierzęta, aniżeli na ludzi, a gdyby J. Król. Mość (August) nie była miała przezorności zabrać z sobą z Gdańska potrzebnych zapasów, byłoby chyba trzeba po drodze z głodu umierać. J. K. Mość była tak dla mnie, jak dla angielskiego posła (Vernon) tyle łaskawą, że nas wszędzie zaopatrywała w kwatery i zapraszała do królewskiego stołu. W Mławie, gdzieśmy znów po raz pierwszy na ziemię polską wstąpili, spotkaliśmy 300 dragonów moskiewskich, składających się z samych dzielnych

żołnierzy, którzy nas aż tu dotąd (do Warszawy) eskortowali.“ Otóż jeden z obrazów ówczesnej nędzy i wyniszczenia kraju polskiego, o jakie zresztą wtedy nie trudno i jakichby się znaleźć dało wiele więcej. Wśród takich to okoliczności rozpoczęły się za mediacją carską, z udziałem Carskiego posła, kniazia Grzegorza Dołgorukiego w Janowcu, Kaźmierzu nad Wisłą, Lublinie, nareszcie w Warszawie saméj owe układy między królem a konfederacją Tarnogrodzką, których ostatecznym rezultatem był słynny w dziejach panowania Augusta II, zatwierdzony przez tak zwany sejm niemy traktat Warszawski z dnia 1 Lutego 1717. Pomiędzy licznemi artykułami owego traktatu znajdują się dwa, które w szczególności przedmiot naszego opowiadania interessują. Jednym z nich obowiązywał się król August z wyjątkiem 1200 ludzi gwardyi, wyprowadzić wojsko saskie w przeciągu czterech tygodni od dnia zawartego traktatu poza granice Rzeczypospolitéj; drugim, nie wprowadzać do kraju nigdy jakiegobądź innego obcego żołnierza bez wyraźnego pozwolenia Rzeczypospolitéj. Stypulacya ta obejmowała według interpretacyi tyle spragnionéj wytchnienia i pokoju szlachty tém niewątpliwiej ewakuacją krajów Rzeczypospolitéj i ze strony „wojsk auxyliarnych“ Carskich, że Car sam w podpisanej przez się własnoręcznie, kontrasygnowanej przez kanclerza Gołowkina assekuracyi, udzielonej posłom konfederacyi Tarnogrodzkiej Romanowskiemu i Frezerowi w Gdańsku pod

dniem 26 Kwietnia 1716 wystawił następane zaręczenie: „Tymczasem aby zadowolnić Wasze i Rzeczypospolitęj życzenia, przyrzekamy Wam i oświadczamy niniejszém pismem i słowem Carskiém, że przez tę ordinacyą nie żądamy z naszej strony wobec Rzeczypospolitęj nic innego, jak tylko rzeczywistęj zgody a doskonałego pokoju i pojednania co najprędzszego między królem a Rzeczpospolitą, to jest, aby Rzeczpospolita była przywróconą do wszystkich swych praw i swobód, tak, aby żaden na przyszłość gwałt nie mógł przeszkodzić ich wykonywaniu i zachowaniu, a *mianowicie, że nie wymagamy za wszystkie nasze starania żadnego wynagrodzenia, ani od króla, ani od Rzeczypospolitęj, poprzestając na jedynę a osobliwęj dla nas korzyści zachowania dawnęj przyjaźni i przymierza.*“ Wobec podobnych stypulacyi traktatu Warszawskiego i zaręczeń Carskich, zdawało się szlachcie rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że wymarsz „wojsk auxyliarnych“ nastąpi z wyruszeniem wojsk saskich, które istotnie do końca miesiąca Lutego 1717 wyszły poza granice Rzeczypospolitęj. Tymczasem stało się inaczej a z wiadomych nam już powodów, pozostały, zagrażały powrócić wojska rossyjskie, kiedy saskie z kraju wyszły! Goertz nie zasypiał swęj sprawy, nie przestawał pracować nad zawarciem partykularnego pokoju między Karolem XII a Carem, Car nie zrzekał się swych szerokowładnych planów bałtyckich; nie zrzekając ich się, uważał Polskę za bezpieczną dla siebie przystań, nie myślał z nięj wojsk swych

wyprowadzać. Podobny stan rzeczy, widoczny coraz wyraźniej od pierwszych dni miesiąca Marca, zaczął ciążyć szlachcie, zaczął być niewygodnym królowi samemu, który nareszcie chciał się wycmiecypować z pod opieki potężnego sprzymierzeńca, który nadto stawał w fałszywem świetle wobec szlachty podejrzewającej go coraz mocniej, iż przedłużony pobyt wojsk Carskich nie dzieje się bez jego przyzwolenia. Car sam, nie zapominajmy, znajdował się naówczas wraz ze swą małżonką Katarzyną, podkanclerzym Szafirowem, osobami zaufania Tołstojem i Kurakinem w Hollandyi. Wśród takich to okoliczności odbyła się dnia 22 Marca 1717 w Warszawie rada senatu, której przedmiotem obrad od początku do końca była sprawa pobytu wojsk Carskich w Polsce wraz z obmyśleniem środków, jakby się tyle ciężących krajowi gości pozbyć. Rada ta senatu zapisuje obecność następujących osób: Nasamprzód samego króla Augusta, dalej biskupa kujawskiego Szaniawskiego, biskupa poznańskiego Krzysztofa Szembeka, biskupa Przemyskiego Bokuma, kasztelana Rawskiego Trzcńskiego, w. marszałka Bielińskiego, kanclerza w. koronnego Jana Szembeka. Po bliższem zastanowieniu, zapadła z ich strony uchwała: wyprawić ze strony króla i Rzeczypospolitej do Cara, gdziekolwiekbądź się znajduje, posła, któryby z powołaniem się na traktaty i przymierze istniejące między Carem a Rzeczpospolitą Polską, upomniał się o jej krzywdy i należności, a przede-

wszystkiem zażądał wyprowadzenia wojsk carskich z jakichbądź krajów polskich, nie wyjmując naturalnie i terytorium miasta Gdańska.

W dodatku wchodziła też jeszcze w program, jeżeli tak wolno powiedzieć, owój uchwały, i sprawa kurlandzka. Z nią miała się rzecz następnie: Owdowiałą od roku 1711 po księciu Fryderyku Wilhelmie Kettlerze, przebywającą stale w Mitawie księżną, była Anna Iwanówna, synowica Cara Piotra. Stósunek jój ze stanami kurlandzkimi nie był najlepszy; mianowicie miała księżna do nich pretensją, iż zalegały od śmierci jój małżonka w wypłacaniu ustanowionego na 40,000 talarów rocznie wdowiego grosza. Car Piotr nie omieszkiał z podobnego zatargu skorzystać i uczynił się opiekunem interesu swój synowicy. W tym celu zajął Kurlandyą korpusem wojsk swoich pod dowództwem generała Bestużewa jako osobnego Carskiego komisarza, obsadził portowe miasta w celu opanowania dochodów celnych a nareszcie obłożył sekwestrem dobra skarbowe kurlandzkie, dopókiy cała zaległość księżnej-wdowy wraz z procentami zupełnie spłaconą nie była. Łatwo pojąć, jak dalece podobny stan rzeczy ciążył szlachcie i stanom kurlandzkim, jak w kłopotach swych i dolegliwościach odnosiły się drogą korespondencyi i częstych poselstw do króla i Rzeczypospolitój... Wszystkie te sprawy razem spowodowały ową odbytą na dniu 22 Marca 1717 w Warszawie radę senatu do uchwały wspomnia-

nego wyżej poselstwa. Wybór osoby na odbycie tej z pewnością nie łatwej w danych okolicznościach misyi, padł na Franciszka Ponińskiego starostę Kopanickiego. Nim pójdziemy dalej w naszym opowiadaniu, zapoznajmy się z osobą, z charakterem, z dotychczasową przeszłością posła... Zobaczymy, że to rzecz wcale nieobojętna, ani dla ocenienia charakteru epoki, ani postawy posła podczas trudnej misyi, jaką mu spełnić przyszło. Starosta Kopanicki, Franciszek Poniński, należał do znaniej, zamożnej, osiadłej oddawna w województwie Poznańskim rodziny, która, jakkolwiek nie świecąc w rzędzie możnowładców wielkopolskich, miała w chwili, kiedy Franciszkowi Ponińskiemu poselstwo do Cara powierzono, już swoją osobną a niewątpliwie zaszczytną kartę w ostatnich kilkunastu latach tej smutnej i ponurzej epoki. Było ich trzech braci: Władysław starosta babiński, podkoniuszy, później referendarz koronny z ramienia Stanisława Leszczyńskiego, gorliwy i wytrwały jego stronnik; następnie Karol, kanonik metropolitalny poznański; wreszcie nasz Franciszek, urodzony roku 1676, ożeniony z Ludwiką Domiechowską, właściciel dóbr Dłuska nad granicą brandenburską, starosta na Kopanicy, miasteczku i dobrach leżących na owym województwa poznańskiego krańcu, który wchodzi ostrym klinem między Szląsk a Nową Marchią. Papiery, które po nim posiadamy a których treść i sens znajdują jak najdowodniejsze stwierdzenie w innych,

nierzadkich co do jego osoby, wiarogodnych dokumentach, odsłaniają nam w staroście Kopanickim przymiot będący niestety tylko szczęśliwym wyjątkiem w owój epoce. Przymiotem owym jest — nieskazitelny *charakter*. Jak większa część Wielkopolski staje starosta Kopanicki z chwilą zawiązania konfederacyi średzkiej w roku 1703 po stronie tejże konfederacyi przeciw Augustowi. Związany, jak widzimy bliskimi stósunkami z rodziną Sobieskich, znajduje się we Wrocławiu, kiedy zamach króla Augusta sprząta z widowni Jakóba i Konstantego Sobieskich, by ich osadzić na kilkoletnią więzienną pokutę w Pleissenburgu i Königssteinie. Po ustąpieniu ze sceny Sobieskich, staje się starosta Kopanicki nie inaczej od brata swego, starosty babimojskiego, gorliwym zwolennikiem sprawy Leszczyńskiego. Wystawiony wśród ówczesnych przemian wążąc się fortuny na dokuczliwe prześladowania Sasów i ich sprzymierzeńców, raz ich twardo traktowanym jeńcem, inny raz ciężko nawet ranny przez oficera saskiego podczas napadu we własnym domu, nie zmienia, jak tylu innych po bitwie pułtawskiej i powrocie Augusta politycznej roli a dzięki podobnej wytrwałości, dzięki prawdziwie obywatelskiemu, tak rzadkiemu w owych czasach charakterowi, staje się mężem zaufania obu województw wielkopolskich, niejednokrotnie marszałkiem ich obrad na sejmikach w Środzie, popularnym mężem ogólnego zaufania, delegatem wreszcie na kongres

mający zagodzić zatarg między królem Augustem a konfederacją tarnogrodzką. Z tą niewątpliwą bezinteresownością, uczciwością i siłą charakteru, łączył starosta Kopanicki bystry i jasny, jak widzimy, przyrodzony rozum, tyle potrzebną dalej na stanowisku dyplomatycznym rutynę towarzyską, śmiałość, wreszcie nie lekceważenia godny stopień nauki nabytej, objawiający się w znajomości języków łacińskiego, niemieckiego, francuzkiego, nie mówiąc o innym naukowym wykształceniu, na jakie ówczesną epokę stało. Jako szczególnie uboczny, obojętny może dla oceny osobistej wartości starosty, ale pewnego znaczenia w dziejach obyczajowości ówczesnej zamożniejszej szlachty wielkopolskiej zapiszmy, że wykwintniejsze meble dla domu swego czy to w Kopanicy, czy to w Dłusku, kanapy, krzesła, taborety, sprowadza sobie przez Hamburg, Berlin, Frankfurt nad Odrą, z Paryża, gdzie widocznie ma dobre znajomości i stosunki.... Otóż to osobistość, której wspomniana wyżej rada senatu warszawska w swych kłopotliwych dniach Marcowych roku 1717 powierzyła trudną misję do Cara. Co na wybór podobnej osobistości wpłynęło? Jeżeli rzecz dobrze rozumiemy, w pierwszym rzędzie bliska znajomość starosty ze stósunkami dzielnicy wystawionej na największe kłopoty z powodu „auxyliarnego żołnierza;“ niewątpliwie dalej wskazane co dopiero przymioty charakteru, umysłu i towarzyskiego obejścia, mianowicie owa gwarancja, jaką

przeszłość polityczna starosty dawała, w obozie przeciwnym szacunek mu nie tylko jednała, ale nawet jego osoby dla *własnego* bezpieczeństwa poszukiwać kazała. Wrzały jeszcze pod świeżem wrażeniem minionej co dopiero konfederacyi Tarnogrodzkiej przeciw królowi Augustowi nienawiści, odzywały się przeciw niemu mniej lub więcej podejrzienia szlacheckie. Wybór starosty Kopanickiego na posła do Cara był szlachcie wystarczającą rękojmią, nakazywał od razu milczenie, czy to nienawiściom, czy podejrzaniom, do tego stopnia, że troskliwe o powodzenie missyi żywioly, wyrażają z *tego* właśnie powodu swe obawy i wątpliwości. I tak n. p. znajdujemy w depeszy nuncjusza papieskiego Paulucciego do Kuryi Rzymskiej z Warszawy dnia 24 Marca 1717 następnny, dotyczący starosty Kopanickiego i jego missyi ustęp: „Nie podobało się księciu Dołgorukiemu (posłowi Cara w Warszawie), że wybrano starostę Kopanickiego na posła do Cara, ponieważ go uważa za człowieka usposobienia do pewnego stopnia szorstkiego, nadto nieszczególnie miłego J. K. Mości, ponieważ w czasach dawniejszych trzymał się strony szwedzkiej.“ Właśnie jednakże może to, co się nie podobało u starosty Dołgorukiemu i Augustowi, było dlań najlepszem poleceniem wobec szlacheckiego narodu a z wiosną r. 1717, wśród kwietniowych ślót i roztopów, widzimy starostę puszczającego się w drogę wraz z księdzem Stanisławem Świecimskim, mężem światłym

i świadomym obcych języków, jako sekretarzem ambasady, powiedziawszy po dzisiejszemu. Dokądże mu należało podróż obrócić, aby poszukać Cara, gdziekolwiekby się tenże znajduje? Car przebywał naówczas w otoczeniu osób wspomnianych przez nas wyżej, w Hollandyi. Nie było pewności, czy tamże pozostanie długo, czy z nastaniem wiosny i lepszej pory nie obróci podróży swęj na południe. Cokolwiekby było, wypadło posłowi Rzeczypospolitej sterować ku Hollandyi, jeżeli się chciał z Carem spotkać a odebrawszy przez umyślnego posłańca z Warszawy uchwałę rady senatu i instrukcją, której cel już znamy a treść poznamy jeszcze niżej, ruszył na Frankfurt nad Odrą, Berlin, Lippstadt, wśród najstraszliwszych, jak powiada, dróg, do miasta Wesel. Żałować należy, że starosta nie pozostawił żadnych zapisków z pierwszej części swojej podróży a że ograniczając się w listach swych do dygnitarzy Rzeczypospolitej, jak do prymasa, do w. kanclerza i w. marszałka koronnego, do biskupa kujawskiego i do biskupa poznańskiego, na wyłącznem traktowaniu powierzonej sobie sprawy publicznej, nie zamieszcza w nich szczegółów, któreby rzucały więcej światła na obyczajową i społeczną stronę owej epoki i jego wycieczki w europejski zachód. Z czém się chyba tylko w opisie jego przeprawy przez Belgią i Flandryą spotykamy, to ze skargami na utrudnienie komunikacyi pocztowej i na przepaściste drogi, w których z powodu nieustających deszczów topić

się można. Stanąwszy 24 Kwietnia 1717 w Brukseli, dowiedział się starosta, że Car opuścił już Holandya i że się znajduje w Dunkierce. W niepewności, czy Car ztamtąd puści się do Anglii, czy może do Paryża, czy nie wróci czasem znów do Holandyi, wyjechał starosta do Lille, gdzie stanąwszy dnia 26 Kwietnia, dowiedział się na pewne, że Car ma zamiar zwiedzić Paryż a że zaproszenie od regenta Francyi księcia Orleanu i karety dworskie wyprawiono doń do Calais. Pamiętny jedynie tylko na obowiązek spełnienia powierzony sobie misyi, choćby nawet z obrazą ceremoniału i powściągliwości dyplomatycznej starosta, doniósł w. kanclerzowi pod d. 26 Kwietnia, iż tego samego wieczoru jeszcze opuszcza Lille, by zatrzymać się w Abbeville i zająć tamże drogę jadącemu z Calais do Paryża Carowi. W Abbeville stanął starosta dnia 28 Kwietnia z postanowieniem cokolwiek bądź odniesienia się tutaj do niego samego lub do jego ministrów w sprawach swój misyi. Tymczasem przypadły na tę właśnie porę święta wielkanocne według starego kalendarza a Car zatrzymał się, aby je uroczyście obchodzić, wraz z całym swym otoczeniem przez kilka dni w Calais. Po całotygodniowym, przykrym pobycie w małym mieście jak Abbeville, doczekał go się tutaj starosta dnia 5 Maja. Przewidywał wprawdzie dobrze trudności w uzyskaniu audiencji u znajdującego się w stanie podróży monarchy, ale odstraszyć się niemi od swój misyi nie pozwolił. Za ledwie karety wiozące

Cara i jego otoczenie zatętniły na bruku Abbeville'u, zaledwie przybyła kawalkada miała czas się rozgościć, udał się starosta do ministrów towarzyszących Carowi, podkanclerzego Szafirowa i Tołstoja, odsłaniając charakter ablegata króla i Rzeczypospolitej Polskiej wraz z żądaniem bezwłocznej u Cara audiencji. Zadziwienie, pomieszanie, widoczny kłopot obu ministrów carskich były rezultatem jego niespodziewanej na ziemi francuzkiej wśród podobnych warunków obecności. „Jakoż za odezwaniem się mojem,“ pisze starosta w liście swym z Abbeville do kanclerza w. koronnego dnia 6 Maja 1717, „Imci Panu Szafirow podkanclerzemu Cara Imci, tak zaraz z wielkiem mieszaniam się Imć Pan Podkanclerzy *incanduit*, że y wierzyć nie chciał o bytności moiey y *copiam* rozmówienia się z sobą nie pozwolił; Cara Jegości zaś od przyjęcia y dania audiencji tem ekuzował, że się teraz rekreacją bawi, nie expedyjami; ani z sobą kancellaryi ma wielkiey, do którey expedycye należą. Uważali tutejsi wielkie w Carze Imci po odebraney o mnie wiadomości pomieszanie y nieukontentowanie. Przecież pojechawszy do Imci Pana Tołstoy ministra carskiego, *tulit Deus alter opem*, kiedy po uprzątnionych trudnościach, po niektórych remonstracyach y rozważeniu honoru tego, który niosę w podziękowaniu za poważną Cara interpozycją, odebrałem zapewnienie, że w Paryżu audiencją po odprawionych z królem Imcim Francuzkim ceremoniach zaraz

mieć będę y prędką expedycyą.“ Po takiej rezolucyi, przedstawiała się tedy staroście konieczność dalszej podróży do Paryża, gdzie się spodziewał uzyskać nareszcie u Cara upragnioną audiencyą, doręczyć mu memoriał w sprawie powierzony sobie missyi, odczekać ze strony ministrów Carskich tak zwanój „expedycyi.“ Donosząc z Abbeville jeszcze o tém wszystkiém do Polski, zapowiadał starosta, „że zapewne nie zgrzeszy przeciw prowincyi swojej, jeżeli za bytnością w Paryżu uczyni równocześnie ze strony króla y Rzpltey komplement Maiestatowi Francuzkiemu, tak Regentowi, iako królowi.“... Nawiasowo powiedziawszy, nie zawierają pozostałe po nim papiery żadnego śladu, aby zamiar ten swój był istotnie spełnił; co natomiast widzimy, to że z uznania godną energią i pośpiechem ruszył za Carem z Abbeville do Paryża, gdzie stanął dnia 8 Maja. Ciekawość spodziewająca się znaleźć w pozostałych po staroście papierach wrażenia ówczesnego jego pobytu paryzkiego, opisy osobliwości, stósunków towarzyskich paryskich, doznaje zupełnego zawodu. Czyż mylimy się? Zdaje nam się wszakże, iż biorący bardzo poważnie powierzony sobie missyą starosta, nie miał ani myśli, ani oka dla czego innego, ograniczał cały czas swój i starania około pisania memoriałów do Cara i jego ministrów, około konferencyi z nimi, około usiłowań, by uzyskać nareszcie upragnioną audiencyą w interessie stęającego i zniszczonego kraju. Pod tym względem

spotykał się przecież starosta z niesłychanemi trudnościami, z niecierpliwąciami go do najwyższego stopnia zwłokami. Autentyczne świadectwo jego potwierdza w najwyraźniejszy sposób, co wiadomo z kądinąd o Carze Piotrze, o jego ruchliwości, jego rodzaju życia, ile razy tylko wychylił głowę na zachód. Niepodobna prawie staroście mimo najusilniejszych starań dostać się do audyencyi u Cara, do konferencyi z jego ministrami. Pod dniem 13 Maja pisze do kanclerza w koronnego: „Stanąwszy tu 8 *praesentis* zastałem Cara Imci zabawnego wizytami tak od księcia Imci Regenta Francyi, jako od IKMci. Francuzkiego.“ „Jużbym był miał dnia dzisiejszego konferencyą, gdyby był *May* Ichmciów P. P. Ministrów Cara Imci zabawnych nie czynił. Największą trudność znajduję w Imci P. Szafirow podkanclerzym Cara Imci a władającym sercem Pana swego. Car JMość w téy umysłu swego rozrywce tak w ciekawości z ministrami swymi pracowity, że prawie noc Cara Imci do lustrowania *curiositatum* z pałacu wyprowadzi, noc przyprowadzi przy szczupłej assystencyi, ponieważ z cudzej nie bardzo kontent.“ Starosta opowiada w swych listach, jak Car zajęty ciągłym bieganiem za osobliwościami paryskimi, wspomina o jego wycieczkach do Marly i Fontainebleau, *ale* nie zapominajmy, jedynie tylko jako o przeszkodach stawających w drodze pośpiechowi interessu. Dowodem gorliwości starosty niechaj będzie, że mimo wyraźnej niechęci Szafirowa,

że mimo tych wszystkich „zabaw“ i zatrudnień Cara, uzyskał odeń już czwartego dnia po swém przybyciu do Paryża, 12 Maja, audiencyą. „Dopiero,“ pisze, „12 *praesentis* miałem audiencyą prywatną u Cara Imci, iako prywatnie y w cudzym Państwie bawiącego się. Odpowiadał mi sam lubo obecnych miał swoich Ichmościów P. P. Ministrów y po podziękowaniu za to dobre słowo, którem Carowi Imci uczynił, we wszystkiém mnie do konferencyi z Ichmościami Pany ministrami swymi odesłał.“ Niechaj dalszym dowodem zabiegłości starosty w powierzonym mu interessie będzie, że już w trzy dni później, mimo wszelkich przeszkód, dnia 15 Maja, wykołotał na Ministrach Carskich Szafirowie i Tołstoj, pierwszą konferencyą. Z przesłanego o niej prymasowi, biskupowi kujawskiemu, w. kanclerzowi koronnemu sprawozdania, nie widzimy, aby starosta kopanicki był szczególnie zadowolniony lub aby się był oddawał optymistycznym ułudom. „Miałem,“ pisze pod dniem 21 Maja, „z Ichmościami Panami Ministrami konferencyą dnia 15 Maja. *In puncto evacuationis* Moskwy siła była obietnic; *in puncto* Kurlandyi więcej trudności, ale wszystkiego rezolucya do Cara Imci zawieszona, o której mnie upewnili, że expedycya nastąpi *ad vota* Rzeczypospolitej. Jakożkolwiekbaż przecież te zwyczajne Ichmościów obietnice nie bardzo mnie kontentuią, uważającego ustawiczne *procrastinationes*, z których biore suspicyą, żeby chcieli jakimkolwiek sposobem *eludere* tę Rzeczypospolitey

rekwizycją, samą tylko nadzieją y obietnicą nas kontentując a tymczasem dłużey woiska swoye o naszym trzymać chlebie. Jużem Ichmościom Panom Ministrom powiedział, zem jako w terażniejszey negocyacyi był do tego czasu dyskretny, tak jeżeli pomyślney *ad vota* Rzeczypospolitey nie odbiorę *expedycyi*, wielkim będę Ichmościom *impertunem*. O Gdańsku widzę nic nie myślą, aleby myśleli, gdyby król z Rzecząpospolitą myślał... Nie mogę wiedzieć intencji K. Imci, dla czego w instrukcyi mnie daney ostrożnie bardzo względem Gdańska poczynać każe, czy dla tego, aby gotowemu na Gdańsk humorowi okazyi nie przypominać, czyli żeby milczenie zdał się K. Imości *contemnere* ten manifest. Dla tego nie śmiem nic mówić, lubobym sądził rzecz potrzebną upomnieć się o remanifest przez którego ministra, jako się stał przeciwko woli Cara Imci. Ale kiedy zrozumiewam, że Car Imość bardzoby był niekontent z jakich między sobą a Rzplitą z IKMością teraz zjednoczoną rozruchów!" Zabawy i zatrudnienia paryskie, jakim się według opowiadania starosty Car i jego ministrowie od rana do późnego wieczora oddawali, opóźniały ową z takim upragnieniem, z taką niecierpliwością oczekiwaną przezeń „expedycją.“ Nareszcie, po upływie dwóch tygodni właśnie od odbytej z ministrami Carskimi konferencyi, odebrał starosta na dniu 29 Maja 1717 expedycją, czyli raczej trzy Carskim podpisem zaopatrzone, datę dnia poprzedzającego noszące dokumenta, które do pewnego sto-

pnia przynajmniej, jak się zdawało, wieńczyły pożądanym skutkiem misją polskiego posła. Posłuchajmy pierwszych po odebraniu tych dokumentów wrażeń starosty, odbijających się w liście jego do prymasa z dnia 30 Maja 1717: „Odebrałem list do IKMości y do Rzplitey od Cara Imci (bo do Waszėj Książęcėj Mości antecedenter odpisano, o com się umawiał) *in puncto evacuationis* rozumiem, że *ad vota* W. Ks. Mości, ponieważ Car Imci zaraz poseła ordinans do woysk swoich jeden, aby się iako nayprędzey ruszały i wynosiły z Polskiej y granic W. X. Litewskiego; drugi na ręce moje, który posełam iako nayprędzey do IMości P. Kancelerza Naszego w. koronnego, żeby tém prędzey mógł doysć woysk moskiewskich. Trzeci *iterato* posyła ordinans sam Car IMość. Posełam kopią ordinansu tego W. XMości. Względem woysk w Meklemburgskiem Xięztwie zostających, starałem się pilno, aby y od tych państwa Rzplitey wolne być mogły, ale się jeszcze Car Imci nie determinował, czy się ztamtąd ruszy, czyli nie. Jednakże deklarowano y assekurowano mnie, iż jeżeli się bez tego obeyść nie będzie mogło, że woyska w Meklemburgii będące powracać będą, tedy wprzód upraszać będą o konsens na to IKMości y Rzpltey y już inszym nie jako przedtem poydzie porządkiem. *In puncto* Xięztwa Kurlandzkiego inszey rezolucyi otrzymać nie mogłem nad tę, że Car IMé ludzi swoich ztamtąd wyprowadzi, jeżeli IKMość i Rzplita ręczyć będą za Xięcia Kurlandzkiego.

Siałam w tey materyi przez konferencye pracował y byłbym jeszcze przez memoriały starał się służyć jako najlepiey Xięztwu Kurlandzkiemu, ale widząc, że tak w tym jest osobliwy sekretny interest Cara Imci, aby tam był *in possessione* w pretensyi (jako powiada) kilku milionów talarów, jako téż dziś zaraz ztąd ruszają do Fontainebleau, by niedługo już chcący pożegnać w kilkanaście dni Francją, czasu do tego nie pozwolą. Musiałem po expedycyi pożegnać Cara Imci.“ Otóż tedy skreślony pod pierwszém wrażeniem odebranéj od ministrów Carskich expedycyi, rezultat dyplomatycznej missyi starosty Kopanickiego. Jakże się przedstawia przebieg jego negocyacyi w rzeczywistém świetle? Car i jego ministrowie, zajęci od rana do wieczora rozglądaniem się w osobliwościach paryskich, wizytami u dworu, wycieczkami w okolice, byli najwidoczniej zakłopotani przybyciem posła Rzplitéj, starali się o ile możności, przewlekać z nim konferencye, odkładać postanowienie ostatecznej rezolucyi. Wobec wiadomości dochodzących ich o wzburzeniu umysłów w Polsce, które w razie jakiego, zapowiadanego już niejednokrotnie przeciw wojskom Carskim pospolitego ruszenia, zagrażało nader szkodliwą dywersją planom Cara nadbaltyckim i pokojowi partykularnemu ze Szwecją, nie chcieli zrażać sobie króla i Rzeczypospolitéj prostą, odmowną odprawą ich posła. Ztąd to owa konferencya pożegnawcza z dnia 29 Maja i owe wspomniane co dopiero expedycye z dnia

poprzedniego, o których nam niniejszem bliżej jeszcze pomówić przychodzi. A więc *nasamprzód* zgadzał się niby to Car na bezzwłoczne wyprowadzenie wojsk swych będących w krajach Rzplitej. Rozkaz Carski wyprawiony do „IMOści Pana Generała Feldmarszałka Graffa Szeremeta, dowodzącego wojskami „auxyliarnemi“ w województwach wielkopolskich,“ zdawał się być kategorycznym i nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości. W rozkazy tym, datowanym z Paryża dnia 28 Maja 1717 pisał Car do Szeremetiewa: „Potwierdzamy pierwsze nasze do Was ordynowane ukazy y rozkazujemy, aby jak nayprędzey możecie przygotować się ku marszu, abyście do naszych maszerowali granic.“ Co się tyczy wykonania owego odwrotu, nakazywał Car swemu feldmarszałkowi wejść w porozumienie z komisarzami wojewódzkimi, którzyby mu byli pomocnymi w regulowaniu kwater, dowozie żywności i furażu, przestrzega nadto, „pod uniknięciem srogości praw wojennych“ przeciw „wszelkim aggrawacyom obywateli,“ gwałtom i grabieżom w marszu. Uszczęśliwiony z wydobycia podobnego ukazu, posłał go starosta niezwłocznie w kopii w kanclerzowi koronnemu i wojewodzie poznańskiemu, oryginał „przez moskiewskiego kuryera“ do samegoż feldmarszałka. Co się tyczy innych punktów instrukcyi i misyji starosty Kopanickiego, mianowicie wojsk Carskich mających powracać z Meklemburgii i sprawy Kurlandzkiej, wyprawił Car na ręce starosty do króla Augusta dwie oso-

bne odpowiedzi pod tą samą datą, w których przypominając, że wprowadzenie wojsk rosyjskich nastąpiło za wspólnem porozumieniem w Gdańsku (w Kwietniu 1716) w celu uspokojenia konfederacyi Tarnogrodzkiej, żalił się, że Rzplita nie tylko nie dotrzymała mu warunków sojuszu, nie tylko zniewoliła go do poniesienia całego ciężaru wojny przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi królowi szwedzkiemu, ale co więcej, poczyniała się już odwoływać „do Porty y Chana Krymskiego, żądając ich Bisurmańskiej pomocy.“ Zatrzymanie dotychczasowe, już po zawartym z konfederacją Tarnogrodzką pokoju, wojsk swych a mianowicie dywizyi generała Bauera, tłumaczył Car prawdopodobieństwem „nowych związków skasowanych chorągwi.“ Sprawę wojsk mających powracać z Meklemburgii pomijał mimochodem uwagą, że „onym powracającym do swoich krajów okrom Polski inszey drogi nie masz, co według sprawiedliwości nie należałoby za trudność poczytać, rozważając to, że te woyska dla dobra pospolitego y przeciwko spólnego nieprzyjaciela użyte były.“ Co rzeczą najwięcej w odpowiedziach tych zastanowienia godną a jak się przekonamy z poniższego opowiadania, wcale nie przypadkową, to że sprawa Carskiej, przeszłoroocznej konwencyi gdańskiej, sprawa owych gdańskich kaprów i wojennej kontrybucyi gdańskiej zupełnie pominięta milczeniem. Dla czego, przekonamy się niżej a tymczasem powiedzmy jeszcze, że drugi, z tejże samej daty list Carski trudnił się

wyłącznie sprawą Kurlandzką. Car występował w tym liście jako opiekun i rzecznik ciężko według niego pokrzywdzonych praw synowicy swój, owdowiałej po księciu Fryderyku Wilhelmie księżnej Kurlandzkiej Anny Iwanówny przeciw królowi, Rzplitej, stanom Kurlandzkim a nadewszystko przeciw bawiącemu w Gdańsku stryjowi jój zmarłego małżonka, Ferdynandowi Kettlerowi. Stósownie do zawartego kontraktu przedślubnego, żądał Car dla swój synowicy 40000 rubli rocznej renty, zwrotu posagowej summy wraz z procentami „y przystojnego zamku dla mieszkania przy jój wdowstwie.“ Dopóki tym wszystkim żądaniom zadość by się nie stało, oświadczał Car, iż nie może wypuścić z pod nałożonego przez się sekwestru „książęcych majątności w possessyi naszej teraz zostających,“ cofnąć z Kurlandyi swego żołnierza, odwołać komisarza swego, którym naówczas był Bestużew. Otóż tedy w zupełnej całości i dokładności rezultat, jaki Starosta Kopanicki z missyi swój paryskiej wynieść zdołał, rezultat, który go, nawiasowo powiedziawszy, wcale nie zadowolniał, ale który lepszym mimo wszelkich jego usiłowań być nie mógł ze względu na środki, jakimi rozporządzał, ze względu dalej na nagły wyjazd Cara z Paryża i Francyi w pierwszych dniach Czerwca 1717. Sam tedy nie lenił się z powrotem, w interessie co najprędzszego zdania sprawy z powierzonoj sobie missyi, w czem przecież, jak widzimy, doznał pewnych przeszkód ze strony władz francuzkich.

Czy w tém domyślać się może jakichś wpływów Carskiego otoczenia lub Cara, nie umiemy powiedzieć a ograniczamy się na zapisaniu samego faktu. Tuż po odebraniu swój ekspedycyi, zabrał się starosta Kopanicki do wyjazdu z Paryża. Trzeba było jednakże do tego i do przejazdu przez Francją paszportu generalnego zawiadowcy policyi (lieutenant-général de police), którym naówczas był markiz d'Argenson. Mimo żądania starosty zwlekał jednakże zawiadowca policyi odpowiedź swą i wystawienie paszportu, co spowodowało starostę do napisania pod dniem 6 Czerwca mocno szorstkiego listu z upomnieniem się o swój charakter posła króla i Rzplitej Polskiej, oraz położeniem przycisku na prawa narodów. Podobne wystąpienie poskutkowało, jak się zdaje, bo nareszcie donosi w. kanclerzowi koronnemu i biskupowi Poznańskiemu pod dniem 10 Czerwca, że Paryż opuszcza. Szczegółów téj podróży powrotnej nie znajdujemy w pozostałych po staroście papierach. Natomiast widzimy z dalszej i późniejszej korespondencyi starosty, że podróż swą w drugiej połowie miesiąca Czerwca, pierwszej Lipca, obrócił na Drezno, aby zdać sprawę królowi, że zaś następnie udał się razem z nim, być może w celu poratowania zdrowia, na krótki czas do Cieplic. Pod koniec miesiąca Lipca wraca nareszcie starosta w domowe strony, do Kopanicy, Dłuska, Poznania, przekonany, jak to widać z listów jego do prymasa i podkanclerzego koronnego, że Szeremetiew

odebrawszy rozkaz Carski, rozpocznie z pierwszymi dniami Sierpnia odwrot swój z krajów Rzezypospolitéj.

Cóż tymczasem dzieje się tutaj? „Donoszę,“ pisze starosta, „jako *tardo gradu* Moskwa idzie, y ta, która z Meklemburgii wyszła. Imci Pan Szeremetiew *persistit* w swoiey u Gdańska pretensyi y podobno wybierze *summę prae-fixam*, kiedy nikt *non impedit*, ani się o to skarżyć będzie, że ukaz Carski *violatur, Majestati et Reipublicae illuditur*. Z tego woyska, które z Meklemburgii wyszło, wróciło się nazad z pod Poznania pod Skwierzynę dwa Regimenty.“ Słowem zaczynało się w początku miesiąca Sierpnia, tuż za powrotem starosty Kopanickiego z podróży paryskiej, na widowni wielkopolskich mianowicie województw powtarzać dawne widowisko, które poseł Cesarski Martels scharakteryzował tak trafnie, mówiąc o *marches und re-marches* wojsk carskich w Polsce. Na istotną i szczerą ewakuacją krajów Rzplitéj ze strony tychże wojsk wcale się tymczasem nie zanosilo. Feldmarszałka Szeremetiewa widzimy naówczas w Lesznie, generała Matuszkińa w Skwierzynie, pułkownika Campenhausena nad granicą marchijsko-szląską. Między Campenhausenem a starostą Kopanickim zawiązała się nader cierpka korespondencya z powodu nadużyć, jakich komenda pierwszego dopuściła się w dobrach starostwa. Równocześnie nadaremne pozostały, mimo niedwuznacznych przecież rozkazów Carskich, wszelkie negocyacye

z feldmarszałkiem Szeremetiewem (przez miesiąc Lipiec, w Lesznie) czy to trybunału Radomskiego za pośrednictwem sędziego bydgoskiego Wolskiego, czy to wojewody poznańskiego przez wyprawionego do Leszna Gruszczyńskiego kasztelana Gnieźnieńskiego o wymarsz wojsk Carskich. Feldmarszałek stawiał wyraźny wszystkim tego rodzaju żądaniom opór, zasłaniając się argumentem, że bez wyznaczenia osobnych, jak tego rozkaz Carski wymaga, komisarzy wojewódzkich, bez obmyślenia etapów marszowych i bez przygotowania potrzebnej w marszu żywności, wojska zostające pod jego komendą wyruszyć nie mogą. Ostatecznie więc pozostały „wojska auxyliarne“, jak dotąd, w województwach wielkopolskich a jeżeli się ruszyły z miejsca, ustępując innym nadciągającym pod dowództwem generała Weydego z Meklemburgii, działo się to w zamiarze wykonania zamachu niebezpieczniejszego Rzeczypospolitej w gruncie rzeczy od prostego ich kwaterowania w jej krajach. Mówimy tu o coraz groźniejszych demonstracjach rosyjskich przeciw Gdańskowi w celu wymuszenia na nim wykonania przeszlorocznej konwencji. Właśnie w owych ostatnich dniach miesiąca Lipca, pierwszych Sierpnia, kiedy starosta Kopanicki pełen najlepszej otuchy wracał w rodzinne strony ze swjej paryskiej missyi, poczęły się komendy rosyjskie pod dowództwem generała-lejtnanta Dołgorukiego, generała Schlippenbacha, pułkownika Jakowlewa, mając swe magazyny w Toruniu, Grudzią-

dzu, Starogrodzie, ściągać coraz bliżej pod Gdańsk a nareszcie ścisnęły miasto pierścieniem ścisłej blokady. Dodać tu zaraz możemy, iż w kilka tygodni później posunęły się w téż same strony komenda feldmarszałka Szeremetiewa i dywizya generała Repnina. Jako reprezentant woli i pretensyi Carskich, stanął wobec wystraszonego magistratu generał-lejtnant Dołgoruki, domagając się wykonania przeszłorocznej konwencyi, wystawienia kaprów i złożenia kontrybucyi. Żądania te były tém niebezpieczniejsze dla miasta, że od strony morza stanęły nader wymownym, popierającym je argumentem, ukazujące się liczne galery rosyjskie z załogą 4—5000 żołnierza, że ze strony lądowej wkroczył na terytorium gdańskie generał Schlippenbach, pułkownik Jakowlew, zapowiadając niezadługo nadejście nowych komend Szeremetiewa i Repnina. Miasto było przerażone, odnosiło się w listach z dnia 24 Lipca do w. kanclerza koronnego, z dnia 2 Sierpnia do samegoż Dołgorukiego. Na tymczasem starał się magistrat przewlekać, o ile możności, negocyacyą, utargować coś z pretensyi, która żądała wystawienia pięciu kaprów i kontrybucyi pół miliona talarów. Wybieg ten nie pozostał całkiem bezskutecznym. Dołgoruki nie chciał ze strony morskiej doprowadzić do ostateczności, ze strony lądowej nie mógł tego z powodu nie wystarczającego żołnierza. Po upływie całego miesiąca jednakże, kiedy komendy Szeremetiewa i Repnina zbliżyły się pod miasto, pod-

nosił się groźny ton Dołgorukowych sommacy, zwiększała się groza środków jego przymusowych. Z listu wystósowanego przez magistrat pod dniem 25 Sierpnia 1717 do w. marszałka koronnego przekonywamy się, że Dołgoruki postawił Gdańsk w wyborze między bezzwłoczném przyjęciem narzuconej przez Cara konwencyi a ścisłą, ogłodzającą i niszczącą blokadą. Gdy miasto ciągle się jeszcze wachało i targowało, urzeczywistnił Dołgoruki groźbę swą do tyła, iż zakazał komendom rossyjskim blokującym miasto od strony lądowej wpuszczać doń chłopskie wozy z żywnością. Niedostatek jój zaczął się dawać miastu we znaki. Wśród takich okoliczności nadszedł początek miesiąca Września. Miasto znalazło w swym kłopotcie pośrednika między magistratem a Dołgorukim w osobie Zygmunta Rybińskiego wojewody chełmińskiego, który wyjednał Gdańszczanom tydzień nowój zwłoki. Wszelkie instancye zanoszone do króla, Rzpltej, jój dygnitarzy, okazywały się nadaremni. W Dreźnie i Warszawie przekonywano się coraz dowodniój, do jakiego stopnia missya starosty Kopanickiego była bezowocną, dane mu w Paryżu przyrzeczenia martwą literą. Po jeszcze dalszych zwłokach i układach, stanęła nareszcie między magistratem gdańskim a Dołgorukim, pod dniem 27 Września, z zastrzeżeniem ratyfikacyi króla Augusta konwencya, mocą której miasto zobowiązywało się dostarczyć Carowi trzech kaprów i wypłacić kontrybucyą 140,000 talarów. Na takie

ultimatum opuścił Dołgoruki pierwotne swe, wygórowane pretensye; oburzył się jednakże, gdy miasto ofiarowało się zapłacić zaraz połowę téj summy a w zamian żądało ustąpienia wojsk rossyjskich ze swego terytorium. Tymczasem właśnie wśród toczących się owych między magistratem a Dołgorukim układów, przybył, wracając ze swéj podróży po zachodniej Europie Car Piotr do Gdańska, dnia 2 Października, witany salwami dział miejskich, przyjmowany uroczyście przez władze miejskie. Car zgodził się na ratyfikacyą zawartego przed pięciu dniami między magistratem a reprezentantem swoim Dołgorukim układu, mocą którego miasto miało do przyszłej wiosny wystawić trzy kapry a tymczasem zapłacić kontrybucyą 140,000 talarów. Summa ta miała być przeznaczona na utrzymanie dywizyi generała Repnina, która pozostawała na Żuławach gdańskich aż do wykonania wszystkich warunków konwencji. Podobnym układem było zniewolone zobowiązać się do równych dostaw i kontrybucyi generałowi Weydemu miasto Toruń. Po podpisaniu konwencji wyjechał Car zaraz z małżonką Katarzyną dnia 9 Października z Gdańska do Królewca, ztamtąd morzem do Inflant. Dołgoruki opuścił nareszcie miasto, zażądawszy odeń dla siebie za podjęcie trudów negocyacyjnych 6000 rubli i obraz pięknego pędzla, przedstawiający *sąd ostateczny*. A więc załoga rossyjska na Żuławach gdańskich, kiedy miasto samo pozostaje pod Damoklesowym mieczem za-

wartej z Carem konwencji; Toruń zobowiązany osobną konwencją z generałem Weydem; generał Matuszkin przy magazynach w Skwierzynie na straży województw wielkopolskich, Jakowlew nad dolną Wisłą; Ropp na Litwie, inne oddziały rosyjskie w krajach Rzpltej w stanie ciągłych „marszów i remarszów“, otóżto stan rzeczy, jaki po nibyto szczęśliwie spełnionej missyi starosty Kopanickiego przedstawia się na widowni polskiej z późną jesienią r. 1717, wywołując coraz to rozpaczliwsze, coraz groźniejsze w całym kraju usposobienie. Nie zbywa zewsząd na poświadczających je licznych objawach; potwierdzają je współczesne pamiętniki, potwierdzają *lauda* sejmików wojewódzkich, potwierdzają depesze rezydenta Cesarskiego Martelsa. Liczne z owej epoki, prywatne listy samegoż starosty Kopanickiego składają się z tém ogólném usposobieniem w dziwnie zgodną, pełną goryczy harmonią. Rzplta wyszedłszy co dopiero z oparów wojny szwedzkiej i ciężkich klęsk konfederacyi Tarnogrodzkiej, dostała się w niebezpieczniejsze może jeszcze kleszcze; sam król August wraz ze swém otoczeniem saskiem począł gorzko odczuwać wszelkie upokorzące przykrości podobnego położenia rzeczy. Jak zobaczymy, stało się ono powodem drugiej, nierównie dalszej i uciążliwszej missyi starosty Kopanickiego, z którą nam się w dalszym ciągu naszego opowiadania zapoznać przyjdzie. Wiadomości coraz to natarczywsze, coraz przykrzejsze nadchodzące z Polski, wyciągnęły naresz-

cie króla Augusta z jego wywczasu Cieplicko-Dre-
zdeńskiego. W pierwszej połowie Października 1717
zjechał w zwykłym otoczeniu swego dworu i oto-
czenia saskiego do Wschowy, na pogranicze polskie,
gdzie dnia 16 Października odbyła się niezwykle
uroczysta i liczna rada senatu. Dyaryusz jój wska-
zuje, pominąwszy zastęp szlachty województwa po-
znańskiego, pośród której obowiązki jakoby go-
spodarza domu pełni znany dobrze w ówczesnych
dziejach Franciszek Radzewski starosta wschowski,
obecność następujących dygnitarzy i ministrów stanu:
Józefa Mniszcha w. marszałka koronnego, Jana Szem-
beka w. kanclerza koronnego; z senatorów Krzy-
sztofa Szembeka biskupa poznańskiego, Bokuma
biskupa przemyskiego podkanclerzego koronnego,
Krzysztofa Jana Szembeka biskupa chełmskiego,
Tarły nominata inflantskiego, Andrzeja Radomickie-
go, wojewody poznańskiego, Sapichy kasztelana tro-
ckiego, Piotra Bronisza kasztelana kaliskiego, Jó-
zefa Potockiego wojewody kijowskiego, Macieja
Radomickiego wojewody inowrocławskiego, gene-
rała wielkopolskiego, Władysława Radomickiego
kasztelana poznańskiego, Czapskiego kasztelana
chełmińskiego, Andrzeja Dąbskiego kasztelana brze-
sko - kujawskiego, Adama Pawłowskiego kasztelana
biechowskiego. Głównym kłopotem zaprzatającym
liczne to i dostojne, zgromadzone w małym mia-
steczku na krawędzi ziemi wielkopolskiej grono,
była nieustanna obecność „wojsk auxyliarnych
carskich“ w krajach Rzpltej.

Pierwsza zaś niemal wobec tego kłopotu czynność jego była „reassumcya charakteru i negocjacyi Imci Pana starosty Kopanickiego.“ A że wiadomość,“ mówi pobieżny dyaryusz wschowskiej rady senatu z dnia 16 Października, „nietylko o nie wyszłych jeszcze z granic litewskich wojskach moskiewskich, ale też i tu w Wielkiej Polsce pozostałe ich *reliquiae alterant* dużo pańskie IKMości serce, tedy *circa numerosam* IMościów Panów senatorów tu *praesentiam* i tak wielu urzędników prowincyi Wielkopolskiej *resolvit* IKMość pan nasz Miłościwy *reassumptionem* charakteru i negocjacyi IMości Pana starosty Kopanickiego do Cara IMości z żywemi *expressyami*, że im mniej pomienione woyska mają przyczyny *praetextu* do bawienia się w państwach i KMości y Rzplitey *contra jura gentium*, przeciw lidze następnej i obronnej i przeciw ostatniemu sojuszowi, tem więcej IKMość i Rzplita ma racyi prawo, aby tego dłużej nie cierpiała i że po uczynionych wszystkich stopniach rekwizycyi przyjacielskiej jeszcze raz na pokazanie przed światem *modestyi, requirere* umyślili. Taką zkoncypowawszy *in bis terminis* ekspedycją dla pomienionego Imci Pana starosty Kopanickiego, owejże kancelarya koronna *praesenti senatui* komunikowała. Aby zaś na tak pilną i nieodbitą wyprawę skarb Rzplitey trudności nie czynił, tedy *vigore novellae legis* wszyscy IMości Panowie senatorowie wyżej specyfikowani podpisali assekuracją na supplement w tę drogę znaczeniem summy 36,000 złotych tak *pro*

praesenti jako i *pro praeterito* za odprawioną już ze dworem Cara IMości negocyacją. Co gdy *factum* niemieszkanie IMci Panu staroście Kopanickiemu odesłana.“ Od dnia 16 Października datuje się tedy ponowna missya starosty Kopanickiego, trudniejsza na ten raz, mozolniejsza od pierwszėj, bo miała wśród ciężkiej zimy, wśród strasznej tragedyi, jaka się naówczas właśnie z roku 1717 na 18 rozgrywała w Rossyi, odbyć do krajów samegoż Cara. Wyjazd starosty opóźnił się blisko dwa miesiące z niewiadomych bliżej powodów. Listy uwierzytelniające zostały dopiero wystawione dlań we Wschowie pod dniem 13 Grudnia 1717. Przytaczamy je w dosłownem brzmieniu, jako najlepszy rzut światła na charakter i przeznaczenie jego ponownej missyi. „Rozumieliśmy,“ mówią owe listy, „że wojska W. Carskiego Wielicestwa nad prawo powszechnie wszystkim państwom y narodom służące, na pakta wieczne dawniejsze y ostatni sojusz następny*) y obronny tak długo w krajach Rzplitey bez żadney racyi y sprawiedliwey przyczyny subsystujące, jusz dotąd według assekuracyi ustnie y na piśmie od W. C. Wielicestwa na instancye y ustawiczne reprezentacye nasze i Rzplitey danych za granicami koronnemi y litewskimi znaydują się. Aliżci za przybyciem naszym (Augusta II.) z państwa dziedzicznego do województw wielkopolskich z wielkiem zadumieniem nie tylko od partikularnych oby-

*) To jest zaczępy.

watelów pełno skarg, żalów y lamentów na aktualną jeszcze subsistencją wojsk W. C. Wieliczestwa, tudzież srogie od niego uciemiężenie, przez zbyt z umysłu leniwy marsz Regimentów tylko po iedney mili na dzień uchodzących a przez trzy dni spoczywających, ale tesz generalny relentiment y rekurs od stanów Rzplitey do nas uczyniony zostaiemy, że dłużey tey nienależytey y ciężkiej krzywdy cierpieć y dissimulować nie mogą, zaczem lubośmy z strony naszej wszystkie stopnie rekwizycyi y perswazyi przyjacielskiej zachowali y to wszystko cokolwiek tylko należało do utrzymania skoligowaney przyjaźni wypełnili, jednak żeby wszystkie narody moderacką przychylności y aplikacją Naszą i Rzplitej do konserwacyi nienaruszonego pokoju widziały, że jako statecznie y skutecznie sąsiedzka i skonfederowaną przyjaźń z W. C. Wieliczestwem utrzymywać pragniemy, tak tego według wszelkiej słuszności y sprawiedliwości pretenduiemy, żeby woyska W. C. Wieliczestwa zaniechawszy nienależytych aggrawacyi y krzywd obywatelom Rzplitey czynić, y nie zostawując żadney partyi tak w Koronie jako y w Litwie, y Kurlandyi spieszny marszem jako nayspieszney za granice do państw własnych wyszli, urodzonego Franciszka Ponińskiego, starostę Kopnickiego na wyrażenie tey intencji y poparcia żądania naszego do W. Wieliczestwa Carskiego ordnujemy, oraz bratersko żądamy, abyś mu W. Carskie Wieliczestwo łaskawy do siebie przystęp, zupełną

w tém wszystkiém wiarę i pożądaną a prędką expedycją dać raczył.“ Jak z tych listów uwierzytelniających, obejmujących zarazem instrukcją posła widzimy, ograniczało się zadanie starosty ściśle do żądania ewakuacyi wszystkich ziem, krajów i miast Rzplitej że strony wojsk Carskich. Nie zmieniało się więc jego zadanie w niczem od czasu missyi paryskiej, stawało się może tylko uciążliwszem ze względu na porę, w której, ze względu na kraj, w którym mu je spełniać przyszło. Po krótkiej raz jeszcze, jak widzimy, wycieczce do Drezna w miesiącu Listopadzie, podejmuje starosta nareszcie swą podróż w miesiącu Grudniu (1717), obraca ją na Wolborz, Częstochowę, Lublin, Brześć Litewski wśród straszliwych dróg i ciężkiej zimowej pory. Zapiski starosty z téj drogi są pod względem politycznym nader interesujące, rzucają charakterystyczne światło na usposobienie ówczesne, na prądy ówczesnej opinii publicznej a zarazem tłumaczą tém samém, dla czego poseł Rzplitej udawał się podobnie ani najprostszym, ani najkrótszym szlakiem na spełnienie swéj missyi. Listy starosty nie są wprawdzie zupełnie pod tym względem jasne i wyczerpujące, każą się więcéj domyślać, aniżeli wypowiadają wyraźnie, składają się jednakże dla nas, jak to zresztą w ciągu poniższego opowiadania bliżej uzasadnić będziemy się starali, na następny rezultat: Chodziło w przedwstępie missyi powierzonyj staroście o stwierdzenie usposobień panujących na Litwie, gdzie się pojawiają widocznie dwa prądy. Bryga-

dier rossyjski Ropp stoi w Grodnie; pretensye Carskiego generała do miejscowej ludności są nader uciążliwe, stają się coraz więcej wygórowanemi. Żąda nie tylko zaopatrzenia obecnych *potrzeb* swego żołnierza, ale co więcej, domaga się ponownej dostawy tego wszystkiego, co Szwedzi idąc w r. 1708 na wyprawę zakończoną tak nieszczęśliwie klęską Pułtawską, w pochodzie swym przez Litwę, z magazynów tamtejszych rossyjskich wyprzętnęli dla siebie. Ludność miejscowa była podobnym postępowaniem rozdrażniona do najwyższego stopnia a jak w lecie roku 1717 trybunał Radomski w Koronie, tak na Litwie szlachta powiatu Oszmiańskiego w zimie z roku 1717 na 18 nosiła się coraz więcej z myślą zwołania pospolitego ruszenia „ku własnej obronie przeciw uciążliwościom wojsk auxyliarnych.“ W przejeździe swym przez Litwę spotyka się starosta z podobnym usposobieniem i usiłuje gwałtowność jego w interesie swój missyi powstrzymać. Z drugiej strony spotyka się przecież starosta na tejże samej Litwie, w sferach wyższych miejscowego społeczeństwa, pomiędzy dygnitarstwem, z usposobieniami o wiele niebezpieczniejszemi tak dla rządów Augusta, jak dla interessu Rzplitej i możliwego powodzenia powierzónéj sobie missyi. Nie wskazaniemi wyraźnie z imienia i nazwiska, ale łatwemi do odgadnienia filarami owego przeciwnego szlacheckiemu kierunku są, nie mówiąc o innych, nie mówiąc o ich licznej klienteli, w. hetman litewski

Pociej, polny hetman litewski Denhoff. Nie należy w oceniu tych stósunków przepominać, co się wówczas działo na *wielkiej* widowni politycznej. Z roku 1717 na 18 przybierają nareszcie, dzięki zabiegłości szwedzkiego ministra Görtza układy między Carem a Karolem XII. o zawarcie partykularnego pokoju, dotykającą postać przez tak zwany kongress allandzki, na który tak Szwecya, jak Car wyprawiają swoich reprezentantów. Krótko przedtém, w Listopadzie 1717, pojawił się sam Görtz w Warszawie, odbywał, w czém listy starosty Kopanickiego zgodne najzupełniej z równoczesnymi depezbami rezydenta Cesarskiego w Warszawie, barona Martelsa, konferencye z różnymi dygnitarzami, mianowicie litewskimi, wyjechał następnie przez Litwę, by tą drogą puścić się dalej do Rygi. Akcya polityczna Goertza, środki jęj i cele ostateczne wchodziły w wyraźną sprzeczność z wołaniami szlachty o wyprowadzenie wojsk rosyjskich z Polski, tém samém z interessem króla Augusta a naturalnie i z zadaniem misyji starosty Kopanickiego. Partykularny pokój między Carem a Karolem XII, mający pierwszemu ułatwić akcya na brzegach południowych morza bałtyckiego, drugiemu przywrócenie może na tron polski Stanisława Leszczyńskiego, czynił przedewszystkiem rzeczą konieczną dalszy pobyt wojsk Carskich w Polsce, jako na widowni bliższej mającym się nadal rozwijać wypadkom. Interes Carski schodził się tedy w oryginalny sposób z interessem polityki

Karola XII., który znów w tym ostatnim jeszcze akcie swego awanturniczo-bohaterskiego zawodu chciał zapróbować szczęścia dla dawnego swego klienta Stanisława. Rozpoczęły się w tym celu ciche szeptki, tuż po podróży Görtza, między panami litewskimi a dworem Sztokholmskim. Jeździł w misyi od w. hetmana litewskiego do Sztokholmu niejaki Sagatowski, który, co ztamtąd przywiózł, niewiadomo, ale którego poselstwo dowodziło jak najwyraźniej, że jeżeli szlachta litewska domaga się wymarszu wojsk rossyjskich, to równocześnie jest pomiędzy dygnitarstwem i panami litewskimi możliwy stanowiskiem i znaczeniem zastęp, który wchodzi w konspiracyę z polityką partykularnego pokoju między Szwecyę i Rosyę a któremu, wręcz przeciwnie, na pozostaniu tychże wojsk w granicach Rzplitej zależy. Otóż stan rzeczy, jaki starosta Kopanicki przez czas przejazdu swego na Litwie miał sposobność stwierdzić, stan rzeczy, z którym obeznać się poprzednio było tém większą koniecznością, że jak zobaczymy niżej, przyszło mu się z nim później niejednokrotnie liczyć w ciągu swego poselstwa. Nie od rzeczy przytoczyć niektóre, co ważniejsze, charakteryzujące sytuacyę ustępy z listów, jakie starosta pisze ze swęj podróży do różnych dygnitarzy Rzplitej. Na samym wstępie spotykamy się z listem do w. marszałka koronnego z Brześcia Litewskiego, 10 Stycznia 1718, gdzie starosta dnia poprzedniego stanął. „Im więcęj,“ pisze starosta, „w instrukcyi sobie do Cara IMci

daney się przeglądam, ażebym od niey tém lepiej *impressam cordi* nie odstępował, tem większe uważam trudności, z których, abym się mógł determinować, proszę uniżenie W Pana, abyś mnie w tém rezolwować raczył. 1) każe mi instrukcyja dwoiakie otrzymać *ordinanse*, z którychbym ieden do woyska, drugi do IKMci posłał, w czym obawiam się, aby podobnych danym *in antecessum* niewydano *in elusionem* *ordinansów*. Czy wtedy uchodząc y w tym grubego żartu bardziej pretendować *assecuracionem in rescripto*, że *in certo determinato tempore* wynidą, czyli też *ex re capere consilium*, jakie lepsze, *suggeret necessitas*. 2) Nie mam w instrukcyi, abym wyrozumiał o partikularnym między Carem y królem szwedzkim pokoju. Jeżeli tedy ma w tym IKMć należytą *certitudinem*, czy być w tym *non intelligens*, czyli *publicum* o tem *famam* Carowi IMci namienić na wyrozumienie y upomnieć się racyi, dla którejby wprowadziwszy Rzplitą z sobą w koligacyą, onęż odstępował. 3) Mam w instrukcyi komiss, abym od Cara IMci nie odjeżdżał, póki by y z Kurlandyi nie była ewakuacya. Kiedy Car IMć nie przyjmuje *medium commissionis* do Kurlandyi, *quo medio* uspokoiony będzie w pretensyach Xiężney synowicy swoiey, bez czego jestem pewien, że od tego iarzma nie będzie wolna Kurlandya. W tych tedy wątpliwościach czekam do Rygi rezolucyi WMPana. W interessach litewskich jeszcze żadney dać nie mogę informacyi, nie mogąc nic tak prędko wyrozumieć, spiesząc się do Cara IMci; ile

jednakże *ex variabilitate linguarum* wnieść mogłem, że *Bibont**) robi *bilinquitatem*." Tymczasem, jak nas przekonywają późniejsze listy, miał starosta czas i sposobność mimo wszelkich niewygód i uciążliwości swój podróży przez Litwę i Kurlandya, powziąć języka i rozpatrzyć się w prawdzie tamtejszych stosunków. Wydawszy z drogi rodzaj otwartego listu do szlachty powiatu Oszmiańskiego, zasięgnąwszy w czasie podróży ze wszech stron potrzebnych informacyi, stanął wreszcie starosta „wśród głodu, mrozów, wilczych dołów, piramid y szpalerów śniegowych litewskich,” dnia 4 Lutego w Rydze. Za przybyciem rozpiisał w te tropy do osób poufnych sobie w Polsce i dygnitarzy Rzplitej listy, z których następny mianowicie daje wyobrażenie o stanie rzeczy na Litwie dotkniętym przez nas wyżej. List ten adressowany „do IMC Pana Ponińskiego oberszterlejnanta“ (w służbie saskiej): „Jakom z samego wyjechał Brześcia, tak żem na żadną nie trafił pocztę; dopiero się ztąd tu *bezpieczniej* odzywam do WMPana. Nie *in tam perfecto statu et ordine* zastałem Litwę, jako o niej pisano, ponieważ ani *motus* szkodliwych nie masz, ani traktatowi idą *perperam*. Powiat tylko Oszmiański głodem u siebie przyciśniony *fortiter negavit* prowiantu Moskwie do Grodna, która grubych z plewami chlebów od nich brać nie chciała, ani broniła przejścia, broniąc tylko stanowisk we wsiach y

*) *Bipont* (Zweibrücken), gdzie wówczas bawił Stanisław Leszczyński.

miasteczkach, ofiarując za to, jeżeliby w polu stawali po 6 groszy na dzień na konia, ponieważ prowiantu sam Pan Bóg im *denegavit*. Komissya Grodzieńska w jednym tylko punkcie *non satisfecit* traktatowi, że Hetmani zasiadali, co się bardziej stało w tumultcie, że przysiągł *cum multorum oppositione* y prawie *sub manu* Moskwy, która tam póty trwała, póki komissya y brygadier Ropp *expresse* wyrażał, że na komissyą zjechał. Działo się to *in favorem IMci Pana Hetmana interessów*, które miał ciężkie do wyrabiania *in rem sui* na tey komissyi, ale się temu (jakom przeszłą opisał pocztą) poradzić może. Bardziej się obawiać potrzeba cichych i skrytych konjunktur, które w mieyscu od Pana (Króla) odległym do wyrabiania łatwieysze i sposobniejsze. Niechcę nikogo *criminare*, ale ile się z różnych relacyi informować mogę, tę u siebie formuję suspicyą, że *duch zamorski* (szwedzki) mając *sposoby do korrespondencyi listowney y ustney, ubi vult spirat*. Mianowicie tam, których zna *capi faciles*, których sobie miał dawno obligowanych y *pensionarios*, których widzi malkontentów z traktatu (warszawskiego z r. 1717), który widzi chcących *per abrupta lapsis privatis succurrere rebus*, których fortuna *ex turbido* y którym *tunc optime, cum omnibus male*. Zagrzewając jednych do poigrania z ruin domu powróceniem *ad pristinam dominationem*, drugich obietnicami, trzecich kartowemi assekuracyami. Z tych zaś iedni tak szlachtę różnemi nowinami *imbuunt*, żeby skłonni byli y gotowi do wszystkiego, byle

się tylko iaka pokazała rewolucyjka, drudzy o jakichsiś skrytych powiadaią rozruchach, nie dla tego że są, ale żeby się autorami ich, gdyby jakie wybuchły, nie pokazali. Czemu, aby się zabiedz mogło, że IMPan Gercz (Görtz) minister króla szwedzkiego, przejeżdżający przez Litwę, miał na dwie godziny sam na sam konferencyą z IMć Panem N. N. (hetmanem) u niegoż samego, poczem wokowany do Litwy Imć Pan XX. Przyiachał także temi czasy do Litwy ze Sztokholmu sługa Imć Pana N. N. (hetmana); zowie się Sagatowski. Z Wrocławia także chodzą korrespondencye (prawdopodobnie od Biebera, agenta Leszczyńskiego), obiecujące ząwsze Szwedów do Polski, jednych utwierdzające, drugich przynajmniey *in metu impendentes*, aby się całym sercem do IKMci (Augusta) nie udawali. IMć Pan XX. także do Cara IMci posłany od N. N. (hetmana) przeciwko traktatowi. To wszystko pochodzi z odgłosu partykularnego pokoju Cara ze Szwedem, na który się zapatrując, albo rekonyliacyi przez Cara szukają, albo konserwacyi fortun zawczasu *provident*, albo upadłe interessa nową jaką rewolucyą chcą podźwignąć, albo mając *metum* przyjscia Szwedów, *domum* sobie z powitaniem chcą uprzędzić. Sposób na to nie inszy widzę, tylką wziąć sądy traktatu (warszawskiego) *in executionem* przeciwko korrespondencyom y nie trzebaby w tym tey iskierce dissimulować, ale ją wczęśnie zgasić. *Clementius erit* IKMci rekwirować co to za konferencya była prywatna z Panem

Görtzem, ale Panu XX. trzeba dać mandat, aby sprawił, co robił u Cara. Wrocław mieć *in animadversione*, osobliwie BB. *) Jeżeli się temu *in herba* zabieży, dawszy na przykład, upewniam, że się zagrozi droga do korespondencyi. Wiedzieć y o tem należy, co ten Sagatowski powiada, żeby się jego pryncypał powrócić chciał (Leszczyński), gdyby *clementiam* znalazł y oddano mu to, co wzięto.“ List powyższy dowodzi mimo wszelkich swych, nierozwiązalnych dzisiaj zagadkowości, jak niepewny grunt przedstawiała w owój chwili Litwa, jak intrzygi Görtza, agentów Leszczyńskiego, polityka partykularnego pokoju zdołały go podminować, jakie ztąd nowe trudności wynikały dla powierzonej staroście Kopanickiemu missyi. Tymczasem za przybyciem do Rygi, doszła wiadomość o legacyi starosty i do Petersburga. Missya jego była tamże pod wielu względami wypadkiem do najwyższego stopnia niepożądanym. Nie chciano ze znanych nam już względów wielkiej akcji politycznej, wyprowadzać wojsk rossyjskich z Polski, nie chciano sobie również jednakże odmową narażać Rzplitą. Równocześnie sprowadził Car synowicę swą Annę, księżnę Kurlandzką do Petersburga, by załatwić ostatecznie jój zatarg ze stanami księstwa Kurlandzkiego a samą wydać za księcia Adolfa Weissenfelskiego. Nie dość na tém wszystkim, trafiał przyjazd starosty Kopanickiego w tra-

*) Prawdopodobnie Biebera, agenta Leszczyńskiego.

giczną chwilę, kiedy sprowadzony przez Tołstoja i Rumiancowa ze schronienia Neapolitańskiego nieszczęsny Carewicz Aleksy powrócił do Petersburga a Car zabierał się do wytoczenia olbrzymiego procesu jemu i jego współnikom. Z wszystkich tych powodów pragnęli Car, kanclerz Gołowkin, wicekanclerz Szafirow, wstrzymać na połowie drogi wyprawę starosty do Petersburga a znajdujący się w Rydze generał Adam Weyde odebrał rozkaz wejść z nim w porozumienie, dać mu najuroczystsze zapewnienie, że wyszły już nowe rozkazy od Cara do dowódców wojsk rosyjskich w Polsce, tak że nadal w przeciągu pięciu tygodni żadnego żołnierza tych wojsk w krajach Rzpltej nie będzie a skłonić tym samém posła do zaniechania dalszej podróży.

Generał Weyde wykonał wiernie dane sobie polecenie, ale nie wpłynął niczem na postanowienie starosty dotrzymania *swojej* instrukcyi z najściślejszą skrupulatnością. Po odbyciu nader uprzejmem konferencyi z generałem Weydem, puszcza się starosta po dwudniowym wypoczynku w Rydze, dnia 7 Lutego, w dalszą podróż do Petersburga. Smutnie brzmi opis jego podróży przez kraj nadbałtycki: „Z Rygi wyjechawszy 7 Februarii, przejechałem przez Narwę 13 *ejusdem*, mil 90, wiorst moskiewskich 397. Gdziekolwiek przez Inflanty przejechałem, nigdzie wsi starój nie widział, ani dworu: wszystko popalono, fortece, miasta y miasteczka do szczętu ogłodzone; Moskwa się tylko buduje. Ludzi bardzo mało, których nie tak woyna,

jako powietrze pozносиło. Wszędzie, gdziekolwiek jechałem przez Inflanty, rudera tylko miast y ledwie miejsce jest, gdzie co było. Wszędzie *tristissima imago*. Chłopi, którzy pozostali, już się do niewoli przyuczili. W Rydze pustki, z Derpt ludzie na Moskwę wybrani. Narew tylko y Rewel Inflanty zdobi. 12 Februarii zjechałem się z kuryerem Carskim nazad od Xcia Repnina powracającym, który był pierwszy wiózł ordinans Carski, aby pospieszali, oraz y dyspozyce zimowe woysku. Ten kuryer zostawił był Xcia Repnina w Kiejdanach, mieście na Żmudzi; nie dziwować się, że z Kaydan powoli idzie. Jużem tu zażył prawdziwie moskiewskich mrozów, w jakich jeszcze nigdy nie bywał. Nie podobno ich wyrazić. Dostyc, że ile sobie przypominam, zaraz zimno człowieka wskroś przejmuje; moim się ludziom dużo taka naprzykrza podróż, ale i mnie nie mniej, nie spodziewając się do tego za upały na południu, mrozy na samey północy podjęte, y tego słowa: *Bóg zapłać*. Jeżeli mi przyjdzie Cara JMci po Moskwie gonić, na co podobno przyjdzie, nie wiem, jako te zniosę mrozy, bo jeden czasem nacyęższy kwadrans, już moim nogi odpadają. Łacniej mi było w tamtych krajach szukać Cara JMci, mogąc się utaić, tu zaś nigdzie się bez paszportu nie ruszę y gdzie przyjadę już wprzód o mnie wiedzą; wszędzie *ingrata persona*, bo wiedzą, z czém idę. Konie jak umyślnie leniwe, zabijaki po pocztach dają, żebym pospieszać nie mógł. Jeszczebym tak mrozów nieczuł, gdyby

prędsza była jazda. W drodze z Narwy potkałem kilkadziesiąt niewolnika szwedzkiego, którego Moskwa z Rewla do Petersburga prowadziła; tych Szwedów na morzu zabrali teraz niedawno, z kądem znać, że traktat nie doszedł. W Petersburgu stanąłem szczęśliwie na południe 16 Februarii wiorst 164 z Narwy; Cara JMci nie zastałem y nie zaraz go się tu spodziewają; ruszam tedy za nim na Moskwę.“ Otóż sprawozdanie starosty z pierwszego aktu swój podróży, która miała rozpocząć się znów po kilkodniowym zaledwie wypoczynku na nowo, ponieważ, jak ostatnie słowa przytoczonego wyżej listu dowodzą, Cara w Petersburgu nie zastał. Zauważyliśmy już wyżej, że w tych samych dniach niemal, kiedy starosta Kopanicki przybył do Petersburga, rozpoczynała się straszna tragedia Carewicza Alexego. Carewicz sam znajdował się już pod kluczem więziennym; za bytności starosty uwięziono w Petersburgu poufnego przyjaciela Carewicza Aleksandra Kikina i senatora Apraxyna. Car Piotr sam wybrał się na kilka dni przedtem wśród najcięższej zimy do Moskwy, napastowany, jak starosta donosi, po drodze przez rozbójników, aby w starodawniej stolicy Rossyi poszukać współników wielkiego spisku i prowadzić dalej rozpoczęte śledztwo. Z powodu tego panowało, jak starosta pisze, ponure w całym kraju usposobienie, komunikacye nadzwyczaj utrudnione, korespondencya bardzo niepewna, podróż bez paszportu całkiem niepodobna. Po pe-

wnych staraniach, uzyskał przecież starosta paszport od księcia Mężykowa a oddany mimo osłabionego zdrowia i strudzenia uciążliwą podróżą jedynie tylko obowiązkom powierzonej sobie misji, wyjechał już dnia 20 Lutego z Petersburga do Moskwy. Podróż ta odbywała się, jak na ówczesną porę, stan dróg i środki komunikacji, z niesłychaną szybkością. Dnia 1 Marca stanął już starosta w Moskwie jako gość nader niewygodny i niepożądany ze względu tak na chwilę, w której, jak na żądania, z którymi przybywał. „Zastałem tu rzeczy“, pisze starosta, „y całą Moskwę *in summa consternatione* z okazji tak dekretowanego przez ojca Carewicza y odsądzonego *tanquam incapem et rebellem* od Carstwa *et successionis*, jako z zabrania *siccariorum, conspiratorum* y onych na inkwizycją moskiewską danych.“ Mimo to nie bawił się starosta z wykonaniem swych poleceń. Z osób obcej dyplomacyi, na których mógł nieco liczyć, znajdował się naówczas w Moskwie jako reprezentant saski u Cara baron Loos. Znajdowali się nadto przy boku Cara, jak zwykle: kanclerz Gołowkin i wicekanclerz Szafirow; był nareszcie wpływową wtedy w otoczeniu Carskiem osobistością arcybiskup Rieżański Jaworski. Tuż po swém przybyciu do Moskwy, kołatał starosta do drzwi ministrów carskich. Z początku nie było ich dlań w domu. Dnia 5 Marca dopiero, udało mu się zastać ich, doręczyć listy uwierzytelniające i prosić o audiencyą u Cara. Gdy mimo to posłucha-

nia nie wyznaczano, udał się starosta dnia 8 Marca ponownie do kanclerza Gołowkina, który oświadczył, „iż jeszcze nie miał okazji mówić z Carem JMcią“ a zarazem dał do zrozumienia, „iż poseł staje się nieco uciążliwym swemi żądaniami.“ Starosta odparł na to: „Przyznałem mu, że się naprzykrzam JMci, ale proszę o wybaczenie, że się y dalej naprzykrzać muszę, *kiedy się woyska Carskie bardziej oyczyźnie naprzykrzają.*“ Dzień po dniu odtąd, od 8 do 12 Marca, zapisują listy starosty coraz to natarczywsze nalegania o udzielenie audiencji, „ponieważ Rzplta już do niecierpliwości jest dowiedziona“ a „o dalszej zwłoce musiałby *evincendo fide* donieść.“ „Nazajutrz tedy“ (t. j. dnia 13 Marca), pisze starosta, „*insperate* dano mi znać w kościele, że Car JMć czeka z audiencyą. Niedokończywszy tedy nabożeństwa pojechałem zaraz na audiencyą, po której oddałem ramotę. Uważałem, że pomieszany był Car JMć y niesmaczno słuchał, chociażem go chwalił; ani dziękował, ani odpowiadał, tylko do konferencyi odłożył wszystko. Stali wszyscy jego ministrowie. Kanclerz sam (Gołowkin) odpowiedział tak, że będzie konferencya z nami. Pożegnałem zatem Cara JMci.“ Że mowa wypowiedziana przy tej sposobności przez starostę, nie podobała się ani Carowi, ani jego ministrom, mamy dowód w zarzutach, jakie później robili mu z tego powodu ministrowie Carscy, mianowicie Szafirow. „WPan“, wymawiał staroście podkanclerzy Szafirow, „*exkuzujesz a urażasz, jako*

w audiencji u Cara JMci drwiłeś Waszecz z Cara mówiąc, że go cały świat słucha a woyska jego nie. Chwaliłeś Waszecz po retorycku Cara JMci a przecież nie bez przymówki; y my po retorycku potrafimy, gdzie tego potrzeba." Cokolwiekbądź, stało się jednakże według przyrzeczenia danego staroście na audiencji. W dniu 17 Marca 1718 odbyła się konferencya między nim a Gołowkinem i Szafirowem, dająca według relacyi spisanej troskliwie przez posła Rzplitej nie mniej dobre wyobrażenie o przebiegu toczącej się sprawy, jak o stanowczości i energii samego posła. Po krótkiej rozmowie w przedmiocie partykularnego pokoju między Carem a Szwecyą, o której to materyi obaj dygnitarze Carscy znaczące starali się zachować milczenie; po cierpkiej z obu stron wymianie słów w przedmiocie mowy, z jaką starosta wystąpił na udzieloném sobie posłuchaniu w dniu 13 Marca, zainteresował starosta obu ministrów wprost o przyczynę i rację przedłużającego się pobytu wojsk rossyjskich w Polsce i czy prawda, czemu Rzplita nigdy wiary dać nie zechce, że Car JMość już po rozkazach wydanych do swych generałów w Polsce z Paryża, powydawał następnie „kontrordry“ nakazujące im w krajach Rzplitej pozostać? Odpowiedź kanclerza Gołowkina na to zapytanie, odsłoniła od razu prawdę sytuacji. Gołowkin odpowiedział, że Car wydał istotnie rozkazy do dwóch dywizyi swych w Polsce, aby wychodziły, że jednakże trzecia, pod dowództwem Xcia Repnina pozostanie

o pięć marszów od granic rossyjskich w krajach Rzplitej tak długo, „dopóki król i Rzplita nie zaaprobuja konwencyi zawartej z miastem Gdańskiem“. Ztąd rozwinęła się na konferencyi owej z dnia 17 Marca między posłem Rzeczypospolitej a ministrami Carskimi długa i cierpka dyskusya, z której zarazem wypłynęły jako *istotnie* sporne między konferującymi stronami punkta 1) sprawa konwencyi Gdańskiej; 2) sprawa Kurlandzka. Co się tyczy *pierwszej*, okazywali obaj ministrowie Carscy niesłychaną i niecierpliwą drażliwość, ile razy tylko poseł polski im usiłował wytłumaczyć, że król i Rzeczpospolita nie mogą żadną miarą konwencyi gdańskiej zatwierdzić, raz dla tego, że się sprzeciwia sojuszowi zawartemu z Carem w r. 1704; następnie, że obchodzi się z Gdańskiem jakoby z osobną potęgą, której chce nakładać osobne jakieś ciężary wojenne, nareszcie że stawia Rzpltą w przykry dylemat: albo wyparcia się opieki nad Gdańskiem jako częścią swego ciała, albo uznania się hołdowniczą zależnością Cara. Uległość podobna otworzyłaby oczy i innym sąsiadom Rzplitej, dla czego żadną miarą zatwierdzać jej nie można. Przychodziło z tego powodu w czasie konferencyi do ostrzej wymiany słów. „Kiedym te proponował racye“, pisze starosta w swoim sprawozdaniu z owej konferencyi, „wpadał mi często JMć Pan podkanclerz (Szafrow) *impatienter*, pytając się, w czym konwencya gdańska jest przeciwko sojuszowi? Pytałem się na to, jeżeli w sojuszu jest: wziąć sumę pie-

nięzną od Gdańszczanów? Odpowiadał, że to była sztrofa za korespondencye ze Szwedami. Pytałem się, czy mają dokument? Odpowiedział, że jest; prosiłem o kopią. Pytali się, jeżeli mam instrukcyą na to, abym się o to pytał y upominał o pieniądze wzięte. Odpowiedziałem, że nie mam instrukcyi teraz, abym się o to upominał, ale IKMć y Rzeczpospolita inszego czasu o to rekwirować będzie. Tłumaczył to inaczey IMć Pan podkanclerzy, obiecując woyskiem na tę odpowiedzieć rekwizycyą.“ Co się tyczy sprawy Kurlandzkiej i ewakuacyi Księztwa przez wojska Carskie, trwali obaj ministrowie Carscy przy dawniej objawioném postanowieniu, że ewakuacya owa przed zaspokojeniem pretensyi księżnej kurlandzkiej nastąpić nie może, kiedy starosta oświadczał natomiast, że dla rozpoznania tych pretensyi będzie wyznaczona osobna komissya sejmowa, która, „gdyby się nie podobala, upraszam się teraz najuniżeney o podanie inszego do tegoż pomiarkowania sposobu.“

Na tle powyższych oświadczeń swoich, wypracował starosta obszerny memoriał i doręczył go pod dniem 20 Marca w Moskwie ministrom Carskim, „upraszając imieniem króla y Rzplitej o jak najpożądańszą expedycyą.“ Otóż to streszczony w krótkości obraz usiłowań, jakie starosta podjął ku spełnieniu powierzonego sobie zadania. Tymczasem, pominąwszy już nawet drażliwość jego i trudności, z jakimi się na dworze moskiewskim spotykało, stanowiła przybierająca coraz groźniej-

sza i większe rozmiary sprawa Carewicza niepospolitęj doniosłości przeszkodę w uzyskaniu ze stron starosty „owey prędkiey i najpożądańszey expedycyi.“ Czekał za nią starosta w Moskwie do ostatniego dnia miesiąca Marca, dopraszając się nadaremno choćby prywatnej audiencji u Cara, który załatwiwszy się ze spiskowymi w Moskwie, wybierał się w podróż do Petersburga, dokąd i starosta Kopanicki ruszyć za nim sobie przedsięwziął, „gdzie wolniejszy z większą wziąć może tę materyą reflexyą.“ Tymczasem, pisze starosta pod dniem 31 Marca 1718 roku do w. kanclerza koronnego Jana Szembeka, „zostawa tu widowisko tey, która się przed kilku dniami odprawiła tragedyi. Jednego na pal żywo wbito, na którym żył godzin 15, był to major Glebow. Czterech na kołach ścięto, między którymi Kikina y arcybiskupa Rostowskiego, kilku na kołach tłuczono żywo, inszym nosy poprzebijano, majora z pala zdjętego, już umarłego, z sukien zewleczonego, położono na pręt żelazny, wmurowany na to umyślnie; inszych pościananych głowy na pręty żelazne także wmurowane powszadzono, tak że major we środku jak na maiestacie siedzący, tych zaś głowy jako konsiliarzów koło niego wydawają się.“ Pojąć łatwo, że wśród podobnych wypadków, sprawa reprezentowana przez posła Rzeczypospolitęj zstąpiła na drugi plan, że ministrowie Carscy z żadaną przezeń expedycją się nie spieszyli. W ostatnich dniach Marca opuścili Moskwę i pojechali wraz z Carem do Peters-

burga, ograniczając całą swą ustępczość dla posła Rzplitej na udzieleniu paszportu do podobnej podróży. Korzystając zeń, wybrał się starosta dnia 9 Kwietnia i odbył drogę wśród śniegów i mrozów, następnie roztopów, częścią kolaską, częścią sankami, częścią wodą w przeciągu 32 dni. Dnia 11 Maja stanął ponownie w Petersburgu, we dwa dni odbył konferencyą z kanclerzym Gołowkinem, która znów obracała się około trzech znanych nam już spornych punktów: pobytu wojsk Carskich w Polsce, konwencyi gdańskiej i Kurlandyi a nie posunęła mimo wszelkich nalegań starosty głównej rzeczy, o którą chodziło, ani o jeden krok naprzód.

Starosta znajdował się w ciąglej, jak widzimy, korespondencyi ze szlachtą Kurlandzką. W Gdańsku był jego głównym a najbezpieczniejszym jeszcze wśród bardzo utrudnionej komunikacyi korespondentem, tamtejszy „generalny pocztmagister“ pruski Sardi. Dochodziły go więc wciąż czy to z Gdańska wiadomości o posuwaniu się dywizyi Repnina na Żuławach ku terytorium miejskiemu lub o ponownej wyprawie galer rossyjskich zagrażających blokadą od strony morskiej, czy z Kurlandyi o nieprzestannym sekwestrze dóbr książęcych, jako i „o przymuszaniu szlachty *et status Curlandici* do podania Xięcia na miejsce *viventis*.“ Wiadomo dobrze, jak trudnym, jak kłopotliwym jest położenie dyplomacyi opierającej się jedynie na podstawie *prawa*, które nie ma za sobą argumentu *sily*. Starosta Kopanicki, jak to na pochwałę jego by-

strości politycznej powiedzieć możemy, był o tej prawdzie głęboko przeświadczony, dopomina się w listach swych do prymasa, do w. kanclerza koronnego, do w. marszałka koronnego Józefa Mniszcha, częstokroć o konieczność jakiejś zbrojnej demonstracji pułków koronnych na Żuławach gdańskich a tymczasem grozi zrzeczenie Portą Otomańską, która bliską będąc zawarciu pokoju z Cesarzem, „gotowe siły czy to do Polski, czy do państw Carskich obrócić może.“ W takim razie zaś potrzebniejsze Carowi, niż kiedykolwiek, dobre porozumienie z Rzeczpospolitą. Na wszystkie te przedstawienia odbierał starosta od Gołownina i Szafirowa tylko w przedmiocie ewakuacji wojsk rossyjskich jakokolwiek pożądaną odpowiedź. Gdańsk i Kurlandya natomiast stanowiły skopyły, o które się wszelka ustępczość dygnitarzy Carskich rozbijała. „Na wszelkie,“ pisze starosta pod dniem 13 Maja 1718 do w. kanclerza koronnego, „*in materia* Gdańska remonstracye to tylko *repositum*, że Car IMość tego nie odmieni co deklarował y póty na Żuławach Xzę Repnin będzie, póki kaprów nie wystawia. Przydał, że od Porthy nie ma *metum* Car IMć przeciwko sobie, chyba przeciwko Polsce, *exprobrando* oraz, żeśmy nie chcieli poyść *in societatem armorum* przeciwko Turczynowi, na co *reposui*, że Rzplita doznawszy *fluctus colligacyi* z Carem IMcią, dla której wszystkie *incommoda belli* na grzbiecie swoim do tego czasu znosiła, nie zbierała się w tąż kolligacyą nowey wojny wda-

wać. Kontynuował dalej IMci Pan kanclerz, że jeżeliby Polska była niecierpliwa, niechay czyni co chce. Interess Carski jest *impedire* wszelkie ze Szwecyą korespondencye, *in quem finem negotiantes Ducatus Prussiae* ze Szwedami, zabierać na morzu rozkazał. *In materia* Kurlandyi przyznał reprezentowane przezemnie konsekwencye wdania Cara IMci y Rzplitey w wojnę.“ Tymczasem domagał się starosta nadaremno tak „reskryptu“ na podany przez się memoriał i „expedycyi“ na swe konferencyjne żądania, kiedy przez cały miesiąc Maj dochodziły go pod bezpieczną kopertą kupca Thieringa z Rygi coraz to więcej alarmujące doniesienia od pocztmistrza Sardego z Gdańska, od szlachcica Kurlandzkiego Bülowa z Mitawy. Nadszedł tak wśród owych żądań z jednej, odmów czy zwłok z drugiej strony miesiąc Czerwiec. Wśród ciągłych, ponurych zajęć, jakie wywoływał i na widowni petersburskiej process uwięzionego Carewicza Alexego, nie mogła się mimo nalegań i kołatań starosty doczekać załatwienia i końca powierzona mu sprawa. Natomiast zebrało się niespodzianie kilka okoliczności, które jój mniej lub więcej otwarcie przeszkadzać poczęły. Jedną z takich był dokonany przez Sapiehów zajazd na dobra litewskie księcia Mężykowa Dąbrowę. Bliższych szczegółów téj sprawy nie wyjaśniają listy starosty, ani inne znajdujące się w naszym ręku dokumenta. Być może, iżby się znalazły takowe gdzieindziej. Cokolwiekbądź stanowił ów zajazd Sapieżyński na

Dąbrowę przykry wypadek, który wpływał niekorzystnie na usposobienie księcia Mążykowa i wychodził na przeszkodę w staraniach posła Rzplitej. W gorszym mianowicie świetle przedstawia się inny, nie mniej przeszkadzający jego missyi, zagadkowy nieco fakt następny, dowód widoczny owych prądów i usposobień, jakie starosta Kopanicki miał sposobność stwierdzić w Styczniowym swym przejeździe przez Litwę. W miesiącu Czerwcu, właśnie kiedy starosta nie przestaje kołatać coraz energiczniej, coraz natrętniej, choć ciągle nadaremno o „reskrypt“ i „expedycyą,“ pojawił się w Petersburgu, niby to mu do pomocy, niby to aby mu dodać ostrogi Galiński stolnik wołkowyski. Starosta Kopanicki spoglądał na tę missyę poza plecami króla i Rzplitej z pewnym niedowierzaniem od samego początku, podejrywał tu nawet, choć jak się przekonał później niesłusznie, skrytą rękę króla Augusta a wypadki okazały wkrótce, że Galiński zamiast pomagać staroście w spełnieniu trudnego zadania, był raczej równie zabiegły, jak intrygancko nurtującą jego przeszkodą. Stolnik wołkowyski przybywał po prostu, jak się pokazało, w skrytej missyi od obu hetmanów litewskich, Pocieja i Denhoffa, z poleceniem, by wejść w porozumienie z ministrami Carskimi i postarać się o zatrzymanie wojsk rossyjskich w Polsce. Galiński przyjechawszy w podobnej missyi, odnosił naturalnie sukcesy, jakich Poniński z powodu cierpkiej postawy i niewygodnych żą-

dań odnosić nie mógł. Stolnik wołkowyski zyskał posłuchanie u Cara, odbywał konferencje z ministrami Carskimi, był widocznie osobistością dobrze i chętnie widzianą na dworze petersburskim i w świecie wysoko urzędowym, kiedy starosta Kopanicki nie tylko uwzględnienia swych postulatów, ale nawet odpowiedzi na nie uzyskać nie mógł. Nie dość, że w ten sposób zaszczepiano, jak pisze, za pomocą Galińskiego nieufność między królem a narodem, „*inter libertatem et majestatem*,” wstąpiła też równocześnie, jak donosi starosta w liście swym do brata swego, starosty Babimojskiego z dnia 24 Czerwca, i Brandenburgia w rząd czynników zamających do wspólki z Petersburgiem, sprawę Kurlandzką. „Car chce zrobić Rzplitey zabawkę z Brandenburczykiem,” pisze starosta, a rzeczywiście wystąpił naówczas król pruski Fryderyk Wilhelm I. z planem osadzenia na tronie kurlandzkim krewnego swego margrabiego Brandenburg-Szwedtskiego przez ożenienie jego z księżną kurlandzką, na co Car zdawał się przez niejaki czas przynajmniej przyzwalać. Pomysł podobny jednakże sprzeciwiał się wręcz równie prawom żyjącego jeszcze i przebywającego w Gdańsku księcia Ferdynanda Kettlera, jak najwyraźniejszym prawom Rzplitej, stawał się zaś tém niebezpieczniejszym, że zamiast jednego, tworzył Rzplitej dwóch przeciwników na widowni kurlandzkiej, wikłał coraz gorzej zatarg z Carem i utrudniał naturalnie w nieukończoność missyą starosty. Wobec tych wzra-

stających z każdym dniem przeszkód i trudności, wobec nieprzestających gróźb Gdańskowi i pobytu dywizji Repnina na Żuławach, radzi starosta w liście do w. kanclerza koronnego zdobyć się na energiczniejszą akcją i wyprawić na Żuławy „regimenty koronne.“ „Gdyby sobie tak postępowano wszędzie,“ pisze nie bez widocznej goryczy, „skuteczniejsze by były moje remonstracye, ale widząc waszą dissimulacją, dalej *progređiuntur*.“ Z długiego szeregu listów ówczesnych starosty, skreślających utrapienia jego stanowiska, pozwolimy sobie przytoczyć w co ważniejszych i charakterystyczniejszych ustępach niektóre. I tak pisze pod dniem 3 Czerwca do brata swego, starosty Babimojskiego: „Tak długo doczekać nie mogąc na podany mój memoriał reskryptu, od którego cała determinacya *dependet*, posłałem znowu 30 Maia, upominając się o ten reskrypt, który, gdy znowu *differebant*, pojechałem sam nazajutrz. Konfundował się IMOść Pan kanclerz z tego przedłużenia, prosił, aby jeszcze zaczekać. Prosiłem y ja o przebaczenie, że się tak często naprzykrzam y naprzykrzać będę, kiedy ludzie w Litwie y na Żmudzi od głodu umierają z okazji będącey tam jeszcze dywizji Xięcia Repnina. Przypominałem, że na rekwizycyą Ichmościów dałem memoriał zaraz we trzy dni a reskryptu nań czekam już trzeci miesiąc. Przyznał że *tak*, dokładając, że ten memoriał potrzebuje czasu, aby nań dobrze y należycie odpisać, dla tego upraszał o pacyencyą jeszcze. Przypomnia-

łem na to rezolucją moją, że jeżelibym widział zwłokę, tedybym o paszport upraszał y jeżeliby rezolucya nie *ad vota* Rzplitej być miała, na cóżbym za nią miał czekać? I gdy mi odpowiedział, że takowa będzie, jaka dana na pierwszej konferencyi, znowużem przekładał idące za tem konsekwencye, nowe ztąd w Polsce zamieszanie, podanie nieprzyjacielowi okazji do czynienia praktyk szkodliwych wspólnym interessom. Jeżeli interest Cara IMCi jest, aby Rzplita była *in tranquillo statu, in quem finem* woyska Carskie (jako w tym w Paryżu na konferencyi rezolwowano), w Polsce przebywały, na cóż po uspokojeniu się Rzplitej też woyska u nas bawiące się okazyą dają do zepsucia tego interestu? Przyznałem się, że uważający interessa y okoliczności y dobrą ku Rzplitey Cara IMOści wolę, przy których nic nie chce uczynić *ad desideria* Rzplitey, nie inaczej sędzę, tylko że z samey naszey Polski musi być kto taki, który Cara IMCi perswazyami w tym utrzymuje. Nic mi na to nie odpowiedziano, tylko że jeszcze za listami od Xcia Dołgorukiego do Króla IMci posłanego, z reskryptem zatrzymują się. Pytałem się tedy, czy jaką mają od niego wiadomość względem determinacyi na rekwizycye Króla IMci. Odpowiedziano mi że żadney. Upewniłem tedy, że inszey rezolucyi mieć nie będą nad tę, którą tak często w remonstracyach moich na konferencyach przełożył Ichmciom, dla czego upraszałem, aby się Car IMOść chciał prędko determinować y obli-

gować Rzplite, nie mogąc dłużej czekać nad Sobotę przyszlą, to jest *diem 4 Junii*." Jak się przekonamy, przedłużył się jednakże pobyt starosty w Petersburgu bardzo znacznie nad powyższy termin, na co się złożyły bardzo różne okoliczności: wspomniana wyżej missya Galińskiego, przeszkadzający ciągle innym sprawom process Carewicza, wreszcie umyślne zwłoki, których energia jego zwyciężyć nie mogła. Świadomość tego uprzykrzonego stanu rzeczy powtarza się ciągle w rozpaczliwych listach starosty, jak znów ze strony ministrów Carskich powtarza się niezmiennie odpowiedź, „że póty trzecia dywizya nie wynidzie, póki approbować nie będzie Rzplita konwencyi z Gdańskiem uczynioney y póki Gdańsk nie wystawi fregat obiecanych." Najciekawszą i najważniejszą pod tym względem była nowa konferencya dnia 24 Czerwca, którą starosta w następnym opisuje sposób: „Byłem 24 Junii po poczcie expedyowaney u Imci Pana Kanclerzego tutejszego upominając się reskryptu, na co gdy według zwyczaju odpowiedział, że gotują, pytałem się, jeżeli Car IMość nie odmienił intencyi względem trzymania trzeciej dywizyi w granicach Rzplitey? Odpowiedział, że jako na pierwszej deklarowano konferencyi, tak toż y teraz Car IMość mówi, gdyż znowu w tey materyi chciał mówić, czyniąc znowu niektóre remonstracye, nie chciał y słuchać, mówiąc, żeśmy dosyć już w tey materyi mówili. Pytałem się jednak na jakim fundamencie ta dywizya jeszcze

subsistit po wydanym już w Paryżu ukazie, aby wyszła. Odpowiedział, ponieważ Gdańszczanie konwencji zadosyć nie czynią. Pytam się: Ta sama konwencya Gdańska na jakim fundamencie czyniona? Wszystkie państwa mają prawa swoje, któremi się rządzą. Państwo zaś między państwem niczem się nie rządzi, tylko sojuszami. Jestże ta konwencya Gdańska na fundamencie sojuszu? y owszém wyraźnie jest przeciwko sojuszowi. Przyznał, że tak jest, ale Cara IMości wola. Wola, mówiłem, żeby była trwała, powinna być gruntuwna, na fundamencie dobrym czyniona. Odpowiedział, że Gdańszczanie mają na wszystko gotowość y pieniądze, tylko Rzplita nie chce pozwolić. Odpowiedziałem, czy może to czynić z racyi, którem dawno powiedział. Pytałem się, jaka rezolucya o Kurlandyi, do której pretensye pomiarkować by się mogły. Powiedział, że może być tak, jakim projekt uczynił. Żeby zaś przymuszała Moskwa *status* do nominacyi Xięcia, tego nie było. Przypomniałem list, którego kopią podał, P. Bestużewa; ekuzował ten list, że to nie jest przymuszanie. Wziąwszy tedy informacyą nieodmienney Cara IMci rezolucyi, prosiłem o reskrypt. Y kiedy P. Kanclerz także prosił o poczekanie, mówiąc, że go gotują, odpowiedziałem, że już czekam responsu tego cztery miesiące. Przypomniałem, że już przed kilką niedziel namienił, że mam w instrukcyi, abym y bez ekspedycyi odjechał, chociażby ewakuacya woyska Carskiego była,

gdyby miała być późna y zwłoczona, dopieroż kiedy nie *ad vota* Rzplita rezolucya. Dla tego, ponieważ przez cztery miesiące nie możecie WMPanowie racyi fundamentalnych znaleźć, dla których trzymacie u nas woyska, abym się więcej nie przykrzył, proszę o paszport. Odpowiedział, że paszportu nie damy, ale reskrypt damy. Mówilem na to, żeby to był polityczny sposób mnie przyaresztowania, nie dając ani reskryptu, ani paszportu. Iustyfikował się z tey suspicyi IMci Kanclerz, y gestem y *admirationis notis*, nie mając tego nigdy w pomyśleniu, upraszał jeszcze o jakiś czas do tego reskryptu. Prosiłem, aby determinował dzień, w który reskrypt ma być oddany obiecując cierpliwość moją do owego dnia. Nie chciał tego czynić, mówiąc: żem jest sługą Cara IMci, deklarować tego nie mogę, ale jak sam Car IMci rozkaże. *Ex hac immediata dependentia* od Cara IMci determinacyi czasu oddania reskryptu, domyślałem się, dla czego *retardant*. Dla tego tem bardziey *urgebam*, wyrażając, jakom tak długo był cierpliwy y dissimulujący, tak dłużej nie mogę znieść tego, aby Rzplita cierpiała. Widząc tę prolongacyą, upraszałem o paszport. Pytał się tu IMci P. Kanclerz, dosyć niedyskretnie pretendując, żebym pokazał, czy to mam w instrukcyi? Odpowiedziałem, że instrukcyi mojej nikomu pokazać nie mogę, ale mi krzywdę każdy czyni, ktokolwiek powątpiewa, żebym się według instrukcyi nie sprawił; prosząc zatem o wybaczenie,

prosiłem IMci, jeżeli Imć miał ukaz od Cara IMci pytać się mnie, czy to mam w instrukcyi? Lepiej by mi było nie dawać audiencyi, niżeli dawszy nie wierzyć. Nic na to nie powiedział. Prosiłem daley o przebaczenie, że dłużej czekać nie mogę. Mogą Ichmość zważyć y w Xięstwie Litewskiém do osoby moiey nieukontentowanie, kiedy iakobym tu próżnował, wysłali do Cara IMci z trybunału Litewskiego.*) Odpowiedział, że żadnego listu nie było z trybunału do Cara IMci. Inszym zaś Ichmościom korespondencya z Carem Imcią żadnym sposobem zabroniona być nie może. Nie chciałem się w to głęboko wdawać, jednak widząc, że to mówił nagotowany, spodziewając się, że tym korespondencyom przeszkadzać miałem, przypomniałem, że to przeciwko powadze Cara Imci, utrzymawszy po traktacie warszawskim powagą swoją tę konstytucyą zabraniającą korespondencye, oneż *fovere*, odpowiedział, że się to zabronić nikomu nie może. Pytałem się, czyby miło było Carowi Imci, gdyby kto z poddanych iego korespondował z królem IMcią P. N. N. Odpowiedział, że tego Car Imci zabronić nie może, a jako to przedtym bywało, tak y na potym będzie. Przydał: Macie WMPanowie konstytucyę, ale się według nich nic nie dzieje. Odpowiedziałem, że jeżeli konstytucyę podczas zamieszania zawieruszyły się gdzie w ką,

*) Galińskiego.

to teraz przyszedłszy wolność z majestatem do konfidencyi, prawa te wezmą się na stół y otworzą się, byle komu z tem ciężko nie było. Ponieważ zaś nadzieję czynił prędkiego reskryptu, prosiłem o prywatną u Cara JMci audyencyą, którą obiecał, byle się Car ułacnił.“

Przytoczyliśmy umyślnie długie powyższe sprawozdanie starosty z konferencyi, jaką odbył z Gólowkinem i Szafirowem, ponieważ *ono* właśnie daje najlepsze wyobrażenie nie mniej o charakterze i postawie posła, jak o intrydze podkopującej jego działalność ze strony dygnitarzy litewskich, jak o samémże położeniu rzeczy. Biada wszelkiej dyplomacyi, która nie ma za swemi słowami argumentów czynu i siły. Czuł to i rozumiał bardzo dobrze starosta, nalegał dla tego, jak widzieliśmy wyżej, na jakąbądź w okolicy gdańskiej zbrojną demonstracyą ze strony Rzeczypospolitój, jeżeli akcyja jego w Petersburgu ma choć do pewnego stopnia być skuteczną. W razie przeciwnym, *istniejącym* niestety niezaprzeczenie, przedstawiała się częzą dla Polski a dla missyi starosty w najtragiczniejszej postaci. A więc nasamprzód niespełniona w niczem *obietnica* wyprowadzenia wojsk rossyjskich z krajów Rzplitėj; następnie stanowcze oświadczenie wymuszenia siłą zbrojną na Gdańsku zawartėj z nim konwencyi; wreszcie okupacya Kurlandyi aż do zadosyćczynienia pretensyom owdowiałej księżnej. W takiem położeniu rzeczy pozostawało naturalnie tylko staroście Kopanickiemu uważać

układy za zerwane, missyą swą za chybioną, domagać się paszportu. Jak widzimy jednakże, zabraniał ten sam interes, który wymagał pozostawienia wojsk rossyjskich w Polsce, stanowczego i wyraźnego z Rzplitą zerwania. Zerwanie z Rzplitą zagrażało rozpoczętym ze Szwecyą na wyspach Allandzkich rokowaniom. Niepewna, co najmniej, postawa Anglii, Hannoveru, Cesarza niemieckiego, Porty Ottomańskiej zapowiadała, iż w razie istotnego zatargu z Carem, Rzeczpospolita Polska nie pozostałaby prawdopodobnie bez sprzymierzeńców, jak się też rzeczywiście w kilka miesięcy później stwierdzić miało. Ztąd to tłumaczyć sobie należy owe zwłoki stanowczej decyzji, owe obietnice „reskryptu“ i „expedycyi“, owo odmawianie starości paszportu, gdy zniecierpliwiony a zgodnie z udzieloną sobie instrukcją, oświadczał chęć wyjazdu z rossyjskiej stolicy. Tymczasem, pod koniec Czerwca, w pierwszych dniach miesiąca Lipca (1718), zachmurzał się coraz bardziej horyzont około starosty. Podkopywał go u Cara z polecenia dygnitarzy litewskich starosta wołkowyski Galiński. Słabą podporę, jeżeli nie wyraźną przeszkodę znajduje w pośle saskim Loosie, którego, niewiadomo o ile słusznie, podejrzywa o współintrygowanie z Galińskim i o chęć zatrzymania wojsk saskich w Polsce w interesie króla Augusta. Komunikacya z Polską była nadzwyczaj utrudnioną, zwłaszcza wśród toczącego się ciągle jeszcze procesu Carewicza Alexego. Nie dochodziły go, jak się częstokroć

uskarża, listy z Polski, nie dochodziły listy jego do Polski.. Najbezpieczniejszymi, jak dotąd, pośrednikami korespondencyi starosty pozostają kupiec Thiering w Rydze i generalny pocztmistrz pruski w Gdańsku Sardi, kiedy on sam, do Petersburga, każe sobie nadsłać listy pod adresem „leytnanta Ackerfelda“. Męcząca, ponura, chwila na wpeł zwłoki, na wpeł niewoli, pośród której wyrrywają się od czasu do czasu malowniczej istnie natury głosy. I tak czytamy w liście do Sardego z dnia 7 Lipca: „Carewicz powiedział Oycu: Jeżeli chcesz moich wytracić przyjaciół, toby potrzeba wszystką wytracić Moskwę. Czym ojciec bardzo *consternatus* syna *strictissime* trzyma. Kazał go sądzić tutejszemu senatowi. Senat *in consternatione* nie wiedząc, co czynić, bo to *negotium* wszystko zlecił senatowi a sam na kilka dni wyjechał do Peterhoff. Jednak osądzono go na śmierć; sądzili zaś senatorowie, Archirejowie i władcy, Kniaziowie, Bojarowie, generałowie y oberofficyerowie wszyscy. 2 Julii knutowano pierwszą żonę Cara, siostrę, syna, któremu y ikra u nóg palono. Dołgoruki pod knutami był zemdlął, toż się działo i innym, ale tych naybardziej examinują. Żałuje teraz, że Kikina *omnium conscium* stracił, który był *tenax secreti*. Po Szeremeta posłano“... Równocześnie trwa męcząca zwłoka, bez odpowiedzi, bez paszportu, stan istnej niewoli, wśród której raz po raz powtarzająca się obietnica „rychłego responsu“. Jakżeż to inaczej wszystko w porównaniu z prze-

szloroczną missyą paryską, której paralela nasuwa się częstokroć pod pióro staroście w jego listach! Jakże rozpaczliwie i ponuro brzmi następny ustęp w liście z dnia 4 Lipca: „... ale ani paszportu dać nie chcą y już y manifestem grożę; jednak tego nie uważają, kiedy króla (Augusta) i hetmanów (litewskich) mają, tamtego dla Kurlandyi (dla zamierzonego następstwa Maurycego Saskiego), tamtych dla pieniędzy“... Jedyną pociechą w ówczesnych utrapieniach i kłopotach starosty a być może, iż i niezupełnie bezskuteczną okolicznością dla zakończenia jego męczeńskiej missyi i uwolnienia przynajmniej jego osoby, był fakt rady senatu Rydzynskiej odbytej dnia 10 Czerwca 1718 pod przewodnictwem samego króla Augusta a zdobywającej się przeciw na jakiebądź energiczniejsze postanowienia względem carskiego reprezentanta w Polsce, kniazia Hrehorego Dołgorukiego. Przebieg wspomnianej co dopiero rady senatu był następny: Kiedy starosta Kopanicki męczył się w najlepsze nad spełnieniem powierzonych sobie missyi a wojska Carskie mimo wydanych rozkazów pozostawały po dawnemu w krajach Rzeczypospolitej, zjechał król August na dniu 31 Maja z Drezna do Rydzyny, gdzie w zamku wystawionym przez króla Stanisława bawiącego na wygnaniu Zweibruckeńskim, zabierał się odbyć radę senatu. Była ona zewnętrznie świetniejszą, zapowiadała się nadto znaczeniem politycznym ważniejszą i poważniejszą od innych. Zjechał równocześnie do Rydzyny a dostał pomie-

szczenie w pobliskiej wsi Dębca wysłannik Porty Ottomańskiej Kapidzi Basza, co najważniejsza, z ofiarami przyjaźni i przymierza Rzplitej przeciw Carowi. Na siedemnastu obecnych senatorów i ministrów Rzplitej było trzynastu Wielkopolan, czyli reprezentantów województw, które nieprzestannie cierpiały dotąd najdotkliwiej przez pobyt wojsk carskich. Rezultatem ztąd dość naturalnym, że rada senatu mogła być i była też istotnie więcej, niż kiedykolwiek, stanowczą i śmiałą w postulatach swych do Cara i jego reprezentanta Dołgorukiego. Odbyła się rada senatu Rydzyńska, jak co dopiero powiedziano, dnia 10 Czerwca a pominawszy inne jój, obojętne dla naszego przedmiotu uchwały, przedstawia się jako jój najważniejszy czyn: wygotowanie do kniazia Dołgorukiego długiego, obszernego i argumentami popartego, stanowczego w swych postulatach listu, w którym rada senatu imieniem Rzplitej żądała wyprowadzenia wojsk rossyjskich z wszystkich krajów polskich, *nie* wyjmując owęj trzeciej dywizyi generała Repnina przeznaczonej iść pod Gdańsk, w którym dalej odmawiała zawartej między Gdańskiem a Carem konwencyi wszelkiego obowiązującego znaczenia, dopóki jój król i Rzplita sankcyi swój nie udzielią. Oświadczenie podobne, jakkolwiek tylko akt papierowy, nie poparty żadnym czynem, ani nawet jak tego chciał starosta Kopanicki, żadną choćby demonstracją zbrojną, nie pozostało przecież bez wpływu i dodało postawie jego więcej

śmiałości. Za odebraniem wiadomości o wystąpieniu rady senatu Rydzyńskiej, udał się starosta dnia 28 Czerwca ponownie do Gołowkina i Szafirowa, powołując się na odebrane z Polski wiadomości, żądając natarczywie albo szybkiej odpowiedzi, albo paszportu, w każdym zaś razie audiencji u Cara. Ze strony ministrów spotkała go znowu taż sama, zwlekająca rzecz, pełna nowych wybiegów odpowiedź. Co się zaś tyczy żądanej u Cara audiencji, wpłynęło na to żądanie starosty najniewątплиwiej rozwiązanie ostateczne strasznej tragedyi, jakiej od pół roku już widownią były Moskwa naprzód, następnie Petersburg. Nieszczęsny Carewicz Alexy, o którego procesie i śledztwie spotykamy się jeszcze niejednokrotnie w pozostałych po staroście Kopanickim papierach, zakończył nareszcie oplakany żywot w twierdzy petersburgskiej dnia 8 Lipca. Car, po wyprawieniu uroczystego pogrzebu, wyjechał natychmiast do Kronslot, następnie do Rewla, potem zamierzał się udać na wyspy Allandzkie, podobno dla osobistego spotkania się z królem szwedzkim. Dość, nie uzyskał starosta Kopanicki mimo wszelkich starań żądanego u Cara posłuchania. Przeciągnęły się w takim stanie negocyacye do dnia 23 Lipca. Missya starosty, nie poparta akcyą z kraju, paraliżowana nawet do pewnego stopnia z Litwy, znajdująca pierwszą i ostatnią pomoc we wspomnianej wyżej uchwale rady senatu Rydzyńskiej, chybiła; poseł sam domagał się tylko osobistej wolności, możność wyjazdu, paszportu, domagał się

interwencji królewskiej, aby mu swoboda osobista przynajmniej była przywrócona. „Jestem jako w więzieniu“, pisze do Sardiego, „z którego wybawienia codziennie czekam. Jużem nieodmienną odebrał ustną rezolucją, że trzecia dywizya póty zostanie, póki Rzplita konwencji gdańskiej approbować nie będzie, ale to *praetext*, w rzeczy samej zaś, aby bliższymi y gotowszymi byli *in succursum* do Meklemburgii. Choćby ta trzecia dywizya wyszła, jednakowoby nie dotrzymano, y *miawszy sobie Polskę za kamienicę przechodnią*, zawszeby się do Meklemburgii przechodzili.“ Nareszcie, dnia 31 Lipca, odebrał starosta z rąk ministrów carskich datowaną dnia 12 Lipca 1718 z Kronsłotu odpowiedź na swój podany Carowi pod dniem 20 Marca memoriał. Uważając ją za niewystarczającą, upominał się starosta o list Cara do króla i Rzplitej, uwierzytelniający carski „reskrypt“ i uzyskał też takowy po niejakiach targach. „Dali“, pisze pod dniem 31 Lipca, „paszport y expedycją a sposobu wyjachania bronią“ (podorożnego nie dają). Reskrypt Carski co dopiero wspomniany, nieznany dotąd i niedrukowany nigdzie, przytaczamy tu w całej rozciągłości ze względu na jego wagę i jako na dokument stwierdzający smutną prawdę ówczesnych stosunków Rzplitej do przemożnego, sąsiadującego z nią i sprzymierzonego niabyto mocarstwa. Objęta nim zarazem historia stosunków między Rzplitą Polską a Carem, missją starosty Kopanickiego poprzedzających: „O wyprowadzeniu Jego Carskiego Wieli-

czestwa woysk z ziem Rzplitej przy odprawiającej się na Moskwie konferencyi, od ministrów *status* obszernie jest JMci Panu Staroście Kopanickiemu objawiono, że kiedy JMć od Jego Królewskiego Wielicestwa y Rzplitej z rekwizycją o wyprowadzenie tych woysk przysłany był do Jego Carskiego Wielicestwa, natenczas z tymże JMścią odprawione były Jego Carskiego Wielicestwa ukazy do komenderującego JMci Pana Generała Feldmarszałka Graffa Szeremeta i drugich generałów o ustąpieniu onych z temi woyskami w granice Jego Carskiego Wielicestwa, według którego Jego Carskiego Wielicestwa ukazu, że generałowie jak prędko sposobny czas do tego onym posłużyli, marsz swoy odprawowali y już dawno większa część wyszła w granice Jego Carskiego Wielicestwa, tylko jeden generał Xżę Repnin po ukazu Jego Carskiej Wielicestwa z dywizją swoją na pięć marszów od granicy był ostawiony y to dla tego, że Gdańszczanie po uczyniony z Carskim Wielicestwem konwencyi przyobiecali poprzestać z Szwecją odprawować targów y korespondencyi, jako z spólnym nieprzyjacielem, tak Jego Carskiego Wielicestwa, jako y Jego Królewskiego Wielicestwa y Rzplitey (ponieważ przeto wielka pomoc y przybytek jest nieprzyjacielowi) y aktualnie przeciwnych siebie owszem pokazawszy, chcieli wystawić trzy fregaty wojenne swoim kosztem pod imieniem Jego Królewskiego Wielicestwa i na iedno przy orężu Jego Carskiego Wielicestwa z temi

fregatami starać się chcieli wszelką czynić przestrożę targom szwedzkim, o czym Jego Carskie Wielicestwo tego i samego czasu hramotą swoją do Jego Królewskiego Wielicestwa pisać raczył. Oraz i posłowi swemu o tym Jego Królewskiemu Wielicestwu y Rzplitey przelożyć rozkazał, aby dla dobra pospolitego y spólnego soiuszu na tę uczynioną konwencyą approbacyą swoją Jego Królewskiego Wielicestwa uczynić raczył y na wypełnienie wszystkiego tego należące ukazy do magistratu gdańskiego odprawione były. A ponieważ według żądania Jego Carskiego Wielicestwa dotychczas od Jego Królewskiego Wielicestwa aprobacya na to nie jest uczyniona y przynależące ukazy, odkładając do następującego seymu, do magistratu gdańskiego nie odprawione, przeto rozkazano generałowi Xciu Repninowi z jego dywizyą dotychczas być w ziemiach Rzplitej, póki Gdańszczanie według obietnic swoich wszystko wypełnią, gdyż Jego Carskie Wielicestwo sprawiedliwe ma przyczyny do tego ich przymuszać y dla tego generał Xżę Repnin ma rozkaz zbliżyć się ku miastu Gdańskowi. A naybardziej że z wielu miejsc mamy wiadomości, iż król szwedzki nie mogąc więcej armią swoją, *de novo* teraz w niemałych tysiącach zebraną, na swoim koszcie w swoich utrzymywać ziemiach, dla tego ma przedsięwzięcie z tą armią swoją transport uczynić ku Gdańskowi w Polskę, albo też w Prussy i Germanią. Przeto tym Jego Carskiego Wielicestwa

woyskom dla dobra pospolitego wszystkich skoligowanych aliantów poblížey być należy, ażeby w takiej okazy z wojskami wysokich Jego Carskiego Wielicestwa aliantów a osobliwie Jego Królewskiego Wielicestwa Pruskiego złączywszy się, szwedzkie przedsięwzięcia przeszkodzić mogli. Jeżeli zaś Jego Królewskie Wielicestwo uczynioną z miastem Gdańskiem konwencyą aprobować y należące o tym ukazy a osobliwie o wórzęniu fregatów do magistratu gdańskiego posłać y ich do wykonania tego wszystkiego przymusić y pobudzić raczy, y żadnego niebezpieczeństwa od transportu szwedzkiego nie będzie, w tym tedy Jego Carskie Wielicestwo Jego Królewskie Wielicestwo y Rzplitą upewnić raczy, że na ten czas bez zamieszkania tę pozostałą część woyska z ziem Rzplitey do swoich granic chce wyprowadzić.

Gdy zaś IMci Pan starosta Kopanicki w podanym swoim memoriale *inter caetera* y to wyraził, że Jego Królewskie Wielicestwo dla tego tey uczynioney z miastem Gdańskiem konwencyi aprobować nie może, ponieważ tę konwencyą uczynił magistrat bez dania wiadomości y konsensu Jego Królewskiego y Rzplitey, dla tego na to daie się ten respons, że przed dwiema roki, kiedy Jego Carskie Wielicestwo podróżą swoją w Germanią odprawować raczył, w którém z Jego Królewskim Wielicestwem miał powitanie w Gdańsku, natenczas tedy tak Jego Królewskiemu Wielicestwu, jako y znanym Rzplitey osobom, przy Kró-

lewskiem Wielicestwie będącym a mianowicie biskupach Warmińskim y Kujawskim, podskarbin Przebendowskim, wojewodzie Chełmińskim Rybińskim, o wszystkich od tego miasta spólnemu sojuszowi czyniących się przeciwnościach, obszernie takim sposobem przekładać raczył, iż miasto Gdańsk nazywa się być Jego Królewskiego Wielicestwa y według obligacyi sojuszu należy onym przeciwko spólnego nieprzyjaciela dopomagać y z nim iako z nieprzyjacielem postępować. Lecz oni miasto tego wszystko czynią *in favorem* Szwecyi, ponieważ wspomagają onych pieniędzmi przez wexel y swobodne targi z nią odprawują; przez ich albowiem sukkurs tak długą Szwedzi przeciągają woynę. Dla tego tedy, aby Jego Królewskie Wielicestwo y Stany Rzplitey ich Gdańszczan przymusili, ażeby oni odprawowania targów z Szwecyą poprzestali, y żadnego wspomżenia nie czynili, lecz naybardziej aktualnie według spólnego sojuszu przeciwko oney dopomagali, o czym Jego Królewskie Wielicestwo y Stany Rzplitey przy Ich Królewskim Wielicestwie natenczas będące, chociaż Gdańszczanom przekładali. No, ponieważ wtedy żadney skłonności od nich na to nie było, przeto Jego Carskiemu Wielicestwu Jego Królewskiemu Wielicestwu raczył oznajmić, że po wielu remonstracyach Gdańszczanie na to skłonności swey nie pokazują y że Jego Królewskie Wielicestwo siłą przymusić ich do tego nie może, lecz żeby sam Jego Carskie Wielicestwo dla dobra pospo-

litego do tego onych przymuszać raczył. Co Jego Carskie Wielicestwo natenczas zaniechał, gdyż woyskom potrzeba była nie opuszczając czasu, marsze swey w Duńską kontynuować ziemię dla mających się odprawować akcyi przeciwko spólnego nieprzyjaciela. Przy powracaniu się tedy woysk Jego Carskiego Wielicestwa z Germanii, o pominięney konwencyi z Gdańszczaninami konsentiment jest uczyniony. O czym tegoż czasu Jego Carskie Wielicestwo przez hramotę swoją Jego Królewskie Wielicestwo uwiadomić raczył. Z czego IMOść Pan starosta Kopanicki poznać może, że nie bez komunikacyi o tém Jego Królewskiemu Wielicestwu y *znałym* Rzplitey osobom jest to uczyniono. A do tego, gdy ta konwencya ku dobru jest Rzplitey, przeto nie z małym Jego Carskiego Wielicestwa podziwieniem, dla czego Jego Królewskie Wielicestwo konwencyi tey approbować nie zezwala, kiedy ona uczyniona iest nie w przeciwność interessom Rzplitey, a bardziey pożyteczna wszystkim skolligowanym aliantom. Dla tego tedy y samym należałoby wszelkiemi sposobami pobudzać do tego Gdańszczan, aby przyobiecanemi *worężnemi* swemi fregatami mogli iaki uszczerbek przynieść nieprzyjacielowi, ponieważ samych ich wymaga interest szukać tego wszelkiemi sposobami, aby nieprzyjaciela bezsilnym uczynić y ku pożywieniu onego potrzebnych materyałów y chleba nie przepuszczać, ponieważ on większą część do susten-

towniania się z Gdańska otrzymał. Tu zaś przeciwnym sposobem od przedsięwziętego ich samych woreżenia otrzymują y oną wypełniają bronią, przez co samo przeciwność czynią postanowionemu z Jego Carskiem Wielicestwem sojuszowi, gdyż sami nic poczynać nie chcą. Tym zaś, którzy przeciwko nieprzyjaciela postępować y onemu iaki mały uszczerbek uczynić są skłonni, od Rzplitey zabrania się. Wszystek zaś ciężar tey wojny na jednego tylko Jego Carskie Wielicestwo składają, którą dotychczas Jego Carskie Wielicestwo z wielkim swoim kosztem musiał ieden ponosić, bez żadnego według obligacyi sojuszu wspomżenia. Mniemamy oraz, że Jego Królewskiemu Wielicestwu y Rzplitey jest pamiętno, kiedy Turcy wszczęli wojnę przeciwko Jego Carskiego Wielicestwa, tylko z tey przyczyny, gdy faworyzując oni królowi szwedzkiemu, to przedsięwzięcie z spólnym nieprzyjacielem wzięli, aby do Polski wstąpiwszy, siłą postanowili królem Stanisława. Co Rzplita w pilny przyiąwszy rozsądek obaczyć może, jakie Jego Królewskiemu Wielicestwu niebezpieczeństwo y iak cierpka Rzplitey ruina y naruszenie wolnościom przez to przytrafić się mogłoby. Co widząc jego Carskie Wielicestwo y do tego zła Jego Królewskie Wielicestwo y Rzplitą dopuścić nie chcąc, rozkazał przeciwko tego u Porty protestować, przez co od Turków nawiódł na siebie wojnę y przy początku onęj, chociay Jego Królewskie Wielicestwo y

Rzplita *in senatus consilio* w Jarosławiu byli postanowili y według obligacyi rozhoworu wiecznego pokoju *et secundum defensivum foedus* przyobiecali z woyskami swemi przeciw Turkom dopomagać, naznaczywszy posłać *corpus* woysk koronnych y litewskich. Lecz potem uwidział Jego Carskie Wielicestwo, że te woyska nie tylko przeciwko Turkom, ale też y za granicą nie wychodziły a Jego Carskie Wielicestwo za przeciwnym przytrafiwszy się trafunkiem y za niedostatkiem prowiantu, nietylko niebezpieczeństwo wielkie, lecz y niezliczone poniósł ubytki. Przytem y prowincyą Azowską z miastem y *Hawen**) na Taganrogu, gdzie okręty przystają z drugimi miasteczkami dla otrzymania pokoju oddać Turkom musiał, ażeby z swoiey strony wojnę ukończyć, swobodne mieć zaś ręce przeciwko króla szwedzkiego. Oraz należałoby pamiętać przeszley konfederacyi Tarnogrodzkiey domową wojnę, przez którą Jego Królewskiego Wielicestwa wysokiey osobie i władze, ilitież wolnościom Rzplitey naruszenie wyniknęłoby, ieżeliby Jego Carskie Wielicestwo według prośby Rzplitey nie przedstawił mediacyi swoiey y przez *authoritet* swoią co *opasnędzilo* (sic), nie przyprowadziłby do dobrego y na wszystkie strony pomiarkowanego przymierza, nie szukając przy tym y nie wymagając żadnego sobie interesu; według której całemu światu pochwalney,

*) *Hafen*, port.

pozyskaney zaś interessom Jego Królewskiego Wielicestwa y Rzplitey od Jego Carskiego Wielicestwa uczynioney skłonności, można Jego Carskiemu Wielicestwu oczekiwać było podziękowania. Lecz przeciwnym sposobem przymuszony widzieć od IMci P. starosty Kopanickiego przy podaney onemu audiencyi kontenta oracyi, także y na konferencyach bardzo urażające z niektórym ugrożeniem narzekania, czego Jego Carskie Wielicestwo za takowe swoje dobre sprzyjające chęci, których wszystkich y wypisać trudno, nie zasłużyła. Chociaż tego nie jest wiadomo, jeżeli to pomieniony starosta po ukazu, iliteż sam sobą uczynił. O czym wszystkiem ukaz iest Posłowi Jego Carskiego Wielicestwa Jego Królewskiemu Wielicestwu y Stanom Rzplitey przedłożyć y iawnno uczynić. I tey jest Jego Carskie Wielicestwo nadziei, że kiedy Jego Królewskie Wielicestwo y Stany Rzplitey przyjmą wszystkie te Jego Carskiego Wielicestwa w pilny rozsądek przedłożenia, te nietylko temu, że woyska Jego Carskiego Wielicestwa zbliżają się ku Gdańskowi, nie będą przeciwni, lecz rozważając o dobru pospolitym a osobliwie o swoim partykularnym bezpieczeństwie, sami do tego ich Gdańszczan pobudzić nie zaniechają y approbowawszy zawartą konwencyą ku wykonaniu oney należące ukazy do magistratu poszlą, nie dopuszczając do ostatniego przedsięwzięcia przeciw tego miasta. Co zaś należy o pretensyach Jego Carskiego Wielicestwa do

Kurlandii, według rozhoworu małżeństwa między nieboszczykiem Xięciem Kurlandzkim y Synowicą Jego Carskiego Wielicestwa Jaśnie Oświeconą Carówną Anną; y o tém już wielokrotne prośby od Jego Carskiego Wielicestwa Jego Królewskiemu Wielicestwu y Stanom Rzplitey o satisfakcyę przedłożone były, lecz nigdy w tém skłonności nie pokazano było, dla tego tedy sam Jego Carskie Wielicestwo satisfakcyi szukać był przymuszony. O czym Jego Carskiego Wielicestwa Poseł ma ukaz przekładać Jego Królewskiemu Wielicestwu y Stanom Rzplitey: (Podp.) *Kanclerz Graf Gołowkin, podkanclerz Baron Piotr Szafirow.**) Nieznany ten dotąd w historyografii naszej epoki Augustowej, ważny dokument zamieściliśmy w całości z dwojakięj przyczyny. Nasamprzód ze względu na ciekawy szczegół, jaki odsłania pod względem *formalnym*. Jak widać z całego stylu, układu i języka niepoprwanego owego dokumentu, toczyły się, jeżeli nie ustne konferencye między posłem Rzplitej a kanclerzami Carskimi, to z pewnością piśmienna korespondencya w języku *polskim*, takim naturalnie, jakiego charakterystyczną próbkę dostarcza nam powyższy dokument. Nie mniej ciekawym jest on pod względem treści. Reprezentanci Cara odzywają się do sprzymierzonej z sobą Rzeczypospolitej to-

*) Nie zmieniliśmy umyślnie *nie* w owym dokumencie spisany niepoprwaną i dziwaczną *polszczyzną* przez ministrów Carskich.

nem nie sprzymierzeńców, ale wszechwładnych panów. Obietnica wyprowadzenia wojsk z Polski, pozostaje obietnicą bez jakichbądź widoków dotrzymania. Gdańsk, miasto wchodzące w skład ziem Rzeczypospolitej, ma być bezceremonialnie zmuszone przez dywizyą Repnina do wykonania narzuconej sobie przed dwoma laty konwencji w przedmiocie wystawienia kaprów i zapłacenia kontrybucyi. Co się tyczy Kurlandyi, również części Rzplitej, zapowiada Car, że myśli sobie poszukać sam odmawianej satysfakcyi. Nie dość na tém, poczynione królowi i Rzeczypospolitej zarzuty, że nie dotrzykali sojuszu, że zrzucili cały ciężar wojny na Cara, że go bez pomocy pozostawili wobec całej potęgi Porty Ottomańskiej. Z oskarżającą stała się w dokumencie tym Rzeczpospolita oskarżoną a jeżeli kto wyszedł obronną ręką, to starosta Kopanicki, który „czy to na audiencyi, czy na konferencyach,“ choć pozbawiony wszelkich środków wspierających zwykle akcyą dyplomatyczną, „odzywał się z narzekaniem i ugrożeniem.“ Rozdrażniony i rozżalony do najwyższego stopnia, wśród ciągłych jeszcze sporów i targów z ministrami Carskimi o list do króla i Stanów Rzplitej, o kopią powyższej, udzielonej sobie rezolucyi, znalazł się starosta nareszcie w jej posiadaniu w pierwszych dniach miesiąca Sierpnia (1718) a po uzyskaniu paszportu i podorożnego, widzimy go z wielkiem zadowoleniem, po półrocznym przeszło, męczeńskim istnie pobyć,

przygotowującego się do wyjazdu z Petersburga. Kiedy Petersburg opuścił, nie widać dokładnie z pozostałych po nim papierów. Najprawdopodobniej nastąpiło to jednakże około połowy miesiąca Sierpnia, ponieważ dnia 20 tegoż miesiąca widzimy go w Rydze, z kąd wyprawia jeszcze cierpki w przedmiocie swęj missyi list do kanclerza Gołowkina. Złamany na duchu, zmitrężony doznaniami przykrościami i niepowodzeniem swęj legacyi, wyjeżdża następnie do Mitawy, dokąd przybywa 22 Sierpnia. „Y tu ztąd,“ pisze do brata swego, starosty Babimojskiego, „zadosyć czynię powinności moiey, gdzie z moskiewskich krajów stanąwszy, imaginuję sobie, *żem z piekła wyszedł*, do którego miałem weyście łatwe, ucierpiałem siła, wyście zaś trudne. W czym mnie tylko mogli mortyfikować, nie omieszkali, nie mogąc ani *pretio*, ani groźbami *frangere*.“ Istną rozpaczą jest nacechowany inny, równoczesny list starosty, wyprawiony z Mitawy do prymasa: „Jakże *una manus* (starosta sam) miała *aedificare*, kiedy druga (Galiński, dygnitarze litewscy) ruynowała, ale o tym pisać trudno. Prosiłem kopie, z których się W. X. Mość doczytasz y domyślisz, jakie jeszcze formować będą pretensye. Chociażby y ta trzecia dywizya wyszła, jednakby nie dotrzymano y *pro libitu* by wchodzili, kiedy im potrzeba będzie, do Meklemburgii.“ Przewidywania te starosty spełniły się bardzo prędko, bo już za przybyciem do Tylży, dnia 17 Września, doszła go wiadomość o wkroczeniu nowych dzie-

sięciu pułków rossyjskich od strony Smoleńska na Litwę pod Mińsk. Nie zatrzymując się nad szczegółami przykrój i utrapionój podróży starosty przez Żmudź, podróży połączonej z tak drażliwemi zajęciami, iż się w przedmiocie ich udawał ze skargą do ówczesnego biskupa Żmudzkiego Horaina, powiedzmy, że starosta po kilkunastodniowym wy-poczynku na terytoryum pruskiem w Tylży, ruszył do Grodna, gdzie stanął dnia 3 Października 1718. Tutaj to wrzało wszystko gwarem i życiem wobec zbierającego się, pierwszego po uspokojeniu Rzeczypospolitej na sejmie niemym, walnego sejmu Rzeczypospolitej. Zjechał już był na miejsce król August w zwykłym otoczeniu dworu saskiego, panów i ministrów Rzeczypospolitej, zjeżdżali się powoli posłowie, znaleźli się na miejscu ambassador Carski, jednooki książę Hrehory Dołgoruki, reprezentant króla pruskiego baron Kunheim. Jak w 75 lat później na téjże samój widowni, tak i naówczas przedstawiali Dołgoruki i Kunheim ligę, wspólny interest obu państw sąsiadujących z Polską, zwłaszcza, że Prussom podobnie jak Carowi chodziło o wytrącenie z rąk Augustowi naczelnictwa nad wojskiem Rzplitej, co się spełniło przez rezygnacyą z dowództwa obu hetmanów, zwłaszcza dalej, że Prussy poczęły zaglądać do Kurlandyi z cichem przyzwoleniem Cara, podejmując plan ożenienia margrabiego Brandenburgsko-Schwedtskiego z owdowiałą księżną Kurlandzką. Co się tyczy zgromadzonej na sejm szlachty, wrzała ona rozdrażnie-

niem i gniewem z powodu nieustającego ciężaru, jaki na nią spadał przez pobyt wojsk rosyjskich, domagała się natarczywie nowych środków zaradczych, odkazywała się przeciw Dołgorukiemu, wyprawiała doń nawet deputacye z groźnemi, jak byśmy powiedzieli po dzisiejszemu, *interpellacyami*, co nie przeszkadza, że w gruncie rzeczy nie zbywało na licznych mniej lub więcej otwartych zwolennikach rosyjskiego interessu. „Przyjaciół moskiewskich siła tutaj“, pisze starosta pod dniem 26 Października, ulegając temu samemu usposobieniu, tym samem wrażeniem, jakie wywiózł z sześciomiesięcznego przeszło w Moskwie pobytu. Akcja jego w Grodnie przedstawia się następnie: Naza jutrz po przybyciu, dnia 5 Października, „przywitałem“, pisze, „Króla JMci, u którego miałem prywatnej audiencyi z godzinę. Byłem i u innych JCMości, osobliwie Ichmościów P. P. ministrów; wszędzie obawiałem się nagany za to, że list odesłał od Cara JMci nazad, ale to wszyscy pochwalili.“ Odtąd, przez kilkanaście dni, widzimy starostę, nie będącego ani posłem, ani ministrem Rzpltej, na uboczu, co najwięcej baczny i bystry widzem czynności i ludzi sejmowych. Raz po raz, jak sam powiada, przychodziło między nim a księciem Dołgorukim do ustnej, jakkolwiek dyplomatyczną galanterią osłonionych przemówek.

„Byłem ja tamże (u prymasa)“, pisze starosta w swym grodzieńskim dzienniku 17 Października, gdzie mnie Xzę Dołgoruki nadzwyczaj obliował

sobie y sekretarz Carski z nim będący zapraszał mię znowu do Moskwy, chcąc poprawić tego, z czymkolwiek w traktowaniu mnie *peccatum*. Odpowiedziałem, żeby mi znowu gospody nie dali (dając *ad intende*), że y im w Grodnie dla tego gospody nie dano). Obierali na to gospodę jak najlepszą; *reposui*: chyba *na kole* (*significando*, że jako *ex primoribus* na kole tam traktowano okrutnie). Odpowiedziano, że mię Car JMość kocha i przyjmie dobrze. *Reposui*: zem Pana Boga o to w Moskwie prosił, aby mię Car JMość nie kochał tak, jako syna swego (dając *ad intende*, że synowi kazał szyję uciąć).“ Dzień 19 Października 1718 dopiero zapisuje się w kronice ówczesnego sejmu ważnym istotnie aktem, w którym widzimy uczestniczącego i starostę Kopanickiego. W dniu tym otóż, po ustąpieniu arbitrów, w obecności Króla, kanclerzy i ministrów stanu obojga narodów, połączonych izb poselskiej i senatorskiej, składali wszyscy z kolei wyprawieni kiedybydź do Cara posłowie Rzeczypospolitej, sprawozdanie ze spełnionych przez się legacyi. Pierwszy zdawał taką sprawę Wołowicz referendarz litewski, jako sekretarz missyi odbytej przez zmarłego później brata swego, marszałka litewskiego, w roku 1710. Jako drugi zdawał podobną sprawę Jakób Dunin regent kancelaryi koronnej z missyi swęj odbytej do Cara w trzy lata później: Wszystko, powiedzmy niestety, nadaremne tylko próby *bezsilności*, starającęj się przekonać siłę argumentami pisanego prawa i literą traktatów. Jako

trzeci zabrał głos starosta Kopanicki i odezwał się w następane słowa: „Posłany na południe, posłany na północ, w ukazach wojska moskiewskie wyprawdzających *ramum olivae* przynosiłem. Z północy *ab aquilone* oziębłą Cara JMci ku Rzplitej niosę chęć i ochotę. Niosę *ex centro cordis* jako najniższą Maiestatowi W. K. Mości P. N. M. *submissyą*. Podnoszę przed Najjaśniejszym Jego Thronem wesołości twarzy o otrzymanych na południu ukazów. Zalewam się wstydem pod nogami W. K. Mości za niedotrzymanie na północy przez Moskwę ukazów swoich. Odmienności słowa, obietnic *assekuracyi*, język wyrażać wzdryga się y musiałbym ten wszystek czas, którym u Cara JMci bawił, relacyi *impendere*, gdybym należytą wszystkiego wyprawdząć miał kategorię. Nie wspominam, *quibus artibus* tey od Rzplitej rekwizycyi uchronić się chciano. Nie wspominam *modum tractandi exoticum*; nie wspominam nieukontentowania ze zjednoczenia *inter majestatem et libertatem*, aby *in turbido piscari* mogli. Mijam *elusiones* y zapierania się wszystkiego, przepominam tak wiele trudności *et mille discrimina*. Z tym narodem się traktowało, który jeżeli *flectitur*, to albo z interessu swego, albo przymuszany *flectitur*, który interessa nasze *suis metitur utilitatibus*, który *in tantum* sobie więcej pozwala, *in quantum* u nas więcej widzi *dissimulacyi*. Pokaże to obszerniey relacya *in scripto* ułożona. Tymczasem dosyć namienić, że po nakłonieniu się do wyjścia z państw Rzplitej, wydano *ordinanse*, aby jako najprędzey

wyszli, nic nigdzie nie pretendując. Przyznać muszę, że nie tak na sprawiedliwe remonstracye to czynili, iako dla tego, że z iednej strony wyjazd Carewicza JMci nieboszczyka z Moskwy pewną tamże obiecywał rewolucyą, z drugiej strony oświadczona z komissyi Radomskiey do W. K. Mości przez legacyą do obrony naturalney przez pospolite ruszenie ochota, Cara JMci w publicznych gazetach *permovebat*. Uczynili prawda y temu ukazowi *in parte* zadosyć, leniwszym, niż żółwim krokiem przez 9 miesięcy za granice *progradiendo*; ale się nazad wrócili, *eo* niby *praetextu*, jakoby Rzplita na konwencyą z miastem Gdańskiem konsensu nie dała. Był to niby *praetext* y nie *praetext*. *Praetext*, bo do Meklemburgii intencya; nie *praetext*, bo wyrokiem Cara JMci *ad tractanda commercia* intencyom, potrzebna na potym do portowego miasta *ad dispensandas merces* pretensya. Jakożkolwiekbądź, chociażby byli wyszli, jednakby potym wracali y bawili się póty, pókiby Car JMość woyskami swoiemi do potrzebnego sobie interessu Rzplitej nie przymusił. Propozycya w konwencyi gdańskiej próba to jest i stopień do inszych propozycyi. Jeżeli aprobacyą konwencyi gdańskiej woyska moskiewskie wymuszają? Jeszcze nie wynijdą póty, póki nie będzie *renovatio foederis* i kolligacyi a przez to zapomnienie wszelkich uraz. Póty nie wynidą, póki Rzplita przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom wspólnym *in foedus* nie pójdzie; póty do kolligacyi przymuszać nas z sobą zechcą, póki Car JMość *cum vicinis*

Rzplitéj, Turczynem y Cesarzem JMcią (jako się zanosì), wojnę prowadzić zamyślając, potrzebować będzie państw Rzplitéj *ad belli sedem* y ochronę kraiu swego. Póty nie wynidą, póki Rzplita re-kompensować nie będzie Cara JMci za Azow i prowincyą tameczną, niby na obronę naszą straconą. Jeszcze póty nie wynidą, póki inszych, których nie wspominam, nie przymuszą propozycyi. I to donieść muszę W. K. Mości y całej Rzplitéj, że przy odmianie praw dawnych y nadaniu nowych, już zakazano kraiu zwać Moskwą, ale tylko Rusią, ani się już zowie *imperium* jako przedtym *moschoviticum*, ale *imperium Russicum* a przecież w państwach Rzplitéj dwie części Rusi, jedna Biała w W. X. Litewskiem, druga Czerwona w Małey Polsce, trzecia tylko Czarna w państwach moskiewskich znajduje się. Przepomnieć nie mogę poddanych W. K. Mości, braci naszych, *os de ossibus nostris* w niewoli moskiewskiej zostających, jednych za terażniejszey wojny zabranych, drugich aż na granicę chińską po wojnie przeszłej, aby się o nich Rzplita kiedykolwiek dowiedzieć nie mogła, zasłanych. Tamci wrodzoney W. K. Mości klemencyi, ci wzywają ratunku... Szedłem potym do czytania rozgovorów y inszych tranzakcyi Króla JMci. Po przeczytaney relacyi oddałem list, który mi przyszedł y oddany był od Xcia Dołgorukiego tegoż dnia relacyi, to jest respons Cara JMości z kopią tegoż, którym to respons nie chciał był odebrać w Petersburgu y odesłał go nazad z tey

racyi, że mi był oddawany bez kopii jego a potym ponieważ go odemnie odebrać nie chciano, odesłałem do JMci p. kanclerza W. Cara JMci. Kopia responsu tego taka była: Przybył do nas posłany od Waszego Królewskiego Wielicestwa y od Stanów Rzplitej urodzony Poniński starosta Kopanicki, któremuśmy audiencyą nie bawiąc dali y Waszą Królewskiego Wielicestwa z nim do nas posłaną Hramotę u niego przyjęli; przytym zleczone onemu od Waszego Wielicestwa komissye naszym ministrom u niego wysłuchać a potym na podany od niego memoriał przez ministrów naszych rezolucyą naszą onemu objawić rozkazaliśmy. Dla jakich ważnych racyi niektórą część woysk naszych zastanowić *in confinibus* granic naszych w prowincyach Rzplitey przymuszeni jesteśmy. O czym *in antecessum* extraordinaryjnemu y pełnomocnemu posłowi naszemu Xciu Dołgorukiemu przy dworze Waszego Królewskiego Wielicestwa zostającemu rozkazaliśmy Waszemu Królewskiemu Wielicestwu, senatorom i ministrom Rzplitej donieść y jesteśmy tego zdania, że Wasze Królewskie Wielicestwo przez tegoż extraordinaryjnego y pełnomocnego naszego posła, jesteś już o tym informowane. I Wasze Królewskie Wielicestwo mocą sojuszu dla spólnego dobra całej Nordskiej kolligacyi, chciey w tym także uczynić dispozycye, któreby się zgadzały z przyjaźnią i sojuszem jako to obszerniej od pomienionego naszego extraordinaryjnego y pełnomocnego posła Waszemu Wielicestwu do-

niesiono. Takż y ten Wasz przysłany starosta Kopanicki Waszemu Wieliczestwu według uczynioney onemu od nas rezolucyi doniesie, któregośmy z tą naszą Carskiego Wieliczestwa Hramotą do Waszego Królewskiego Wieliczestwa od dworu naszego expediowali. Przytym życzymy Wam, Bratu Naszemu, Waszemu Wieliczestwu, od Boga długoletniego zdrowia y szczęśliwego panowania. „Czyniłem potym“, mówi starosta w swych zapiśkach dalej, „informacye, pierwszą względem Kurlandy y pretensyi do niey Cara JMci. Złożyłem zatym pod nogi KMości prace i starania moje, suplikując najuniżenicy Majestatowi, tudzież y Rzplitey, aby nieiakiey w aplikacyi oziębłości, ale kraiu y narodu nieużytości przypisano było, że co połodnie w wydanych ukazach *illustravit*, to północ w niedotrzymaniu słowa zaćmiła. Poszliśmy potym do przysięgi relacyą czyniący. Approbował zatym *a Maiestate* JMć Pan kanclerz prace y starania, lubo *eventu infelicia*, obiecując za to respekta Pańskie.“ .. Relacye Wołowicza, Dunina, przedewszystkiem jednakże starosty Kopanickiego, jako najświeższėj daty, najświeższe wrażenia skreślająca, najwyraźniej oczy na grożące Rzplitej niebezpieczeństwo zwracająca, wzburzyły do głębi opinią szlachecką i stały się powodem drażliwych zajść między większością sejmujących a księciem Dołgorukim, który się śmiało czynionych sobie zarzutów wypierał. Wypełniły one nadto cały szereg następnych sessyi wołaniami o wyprowadzenie wojsk Car-

skich, o zadośćuczynienie krzywdom Rzplitej, domaganiami o wyprawienie nowego poselstwa do Cara. „Siła tam była“, mówi starosta Kopanicki, „przyjaciół, Moskwy.“ Kiedy jedni domagali się głośno wyprawienia „zwyczajnego emissaryusza“ do Cara, coby było mogło nastąpić prędkiej, a wybór padł najprawdopodobniej znów na osobę starosty Kopanickiego, żądali owi „przyjaciele moskiewscy“ wyprawienia osobnego posła Rzeczypospolitej do Cara. Druga ta opinia zwyciężyła a na dniu 14 Listopada 1718 zapadła na sejmie grodzieńskim uchwała powierzająca poselstwo to Stanisławowi Chomentowskiemu wojewodzie Mazowieckiemu, który je pod zmienionemi, jak zauważyć winniśmy, warunkami, miał spełnić w następnym roku 1719.

Wyraźnie mówimy, w zmienionych faktycznych warunkach, bo przyniesiona właśnie w dzień Bożego Narodzenia 1718 na wyspy Allandzkie wiadomość o zgonie Karola XII w przykopach Frederikshallu, zmieniła od razu całą sytuacją, obaliła wszystkie plany Cara opierające się na porozumieniu z królem szwedzkim, zwichnęła szeroko sięgającą politykę bałtycką Cara, czyniła mniej potrzebnym pobyt wojsk carskich w Polsce, również zbyteczną konwencją gdańską i kaprów gdańskich. Z uchwałą grodzieńskiego sejmu powierzającą nowe poselstwo do Cara wojewodzie Mazowieckiemu Chomentowskiemu, kończą się dzieje poprzedniej, dwukrotnej starosty Kopanickiego missyi, które opowiedzieć niniejszém sobie zamierzaliśmy. Po-

zostałoby nam tylko jeszcze dodać kilka słów ogólnego o niej historyczno-politycznego sądu. Nasamprzód tedy, co się tyczy ogólnego charakteru skreślonego przez nas epizodu, przedstawia on się w niezrównanie smutnych i groźnych dla Polski barwach. August chcąc się ocalić z toni niebezpieczeństwa szwedzkiego, sięgnął po brzytwę przymierza, która, jak to pokazują trzykrotne missye Wołłowicza, Dunina i Ponińskiego, traciło coraz więcej pierwotny swój charakter, zamieniało się dość wyraźnie *już wtedy* na twarde nad Polską panowanie. Zabór nadbałtyckich krain, zajęcie Kurlandyi, pobyt wojsk rosyjskich w krajach Rzplitej, konwencya zawarta z Gdańskiem i groźny, wiszący nieprzestannie nad miastem w przedmocie jej wykonania przymus, wszystko to razem składało się na prawdę, że Polska zamiast sprzymierzeńca z wojny szwedzkiej, zamiast bezinteresownego pośrednika z konfederacyi Tarnogrodzkiej, zyskała *pana*, z którym się odtąd liczyć będzie trzeba. Szlachta owój epoki nie rozumiała jeszcze tego. *Czuła* tylko, jak dawniej żołnierza szwedzkiego, jak później żołnierza saskiego, tak teraz ciężar pobytu żołnierza Carskiego, nie sięgając tępém okiem z ciasnej sfery domowego kłopotu w dalszą i szerszą widownią polityczną. Niepoślednią zasługą starosty Kopanickiego *rozumu* politycznego pozostanie, że, jak przytoczone przez nas wyżej memoryaly jego i relacye przekonywają, *on* położenie rzeczy zrozumiał, na niebezpieczeń-

stwie się poznał, szczegóły jego wskazywał, przed następstwami ostrzegał. Że skromny starosta wielkopolskiego zakątka nie jest nadto pozbawiony ani dyplomatycznego oka, ani politycznego jasnowidzenia, dowodzą jego spostrzeżenia nad toczącym się processem Carewicza, spostrzeżenia, których naturalnie *wszystkich* w ciągu opowiadania naszego zamieścić nie mogliśmy; dowodzą dalej wielce zajmujące uwagi nad akcją Cara Piotra w okolicach kaspijskiego morza, w Bucharyi, w środkowej Azji. Nie dość na tém, spoglądając zwłaszcza na zepsucie i demoralizacją epoki, na straszny upadek moralny ludzi jój politycznych, możemy z wszelkiem zadowoleniem oddać należną cześć i uznanie *charakterowi* starosty na jego stanowisku. Różnych przedtém i potém miała Rzeczpospolita reprezentantów na dworze petersburgskim. Nie każdy z nich wyszedł, jak on, z czystemi rękami i czystem sumieniem. Wszędzie, zawsze i na każdym kroku, widzimy go przejętego uczuciem obowiązku dla podjętej misyi i dobra Rzplitej. Podkopywany przez intrygę swoich i na petersburgskim gruncie jeszcze, pozbawiony podstawy materialnej siły, podtrzymuje powierzoną sobie sprawę energią, czynnością, śmiałością, jak gdyby po za każdym jego słowem, poza każdym jego żądaniem stały gotowe na pierwsze lepsze skinienie armie. Najlepszym pod tym względem dlań świadectwem pozostaną owe skargi w liście Cara do króla Augusta, „iż

Wojna Węgry i Polska, ale w szczególności lat 1704-1705, kiedy to August II, król polski, został pokonany przez Karola I, króla Węgier, który w tym czasie był królem polskim. W tym czasie doszło do wojny, która zakończyła się zwycięstwem Węgrów. August II został zmuszony do abdykacji i wycofania się z Polski. W tym czasie doszło do wielu zmian politycznych i społecznych w Polsce i na Węgrzech.

EPIZOD RAKOCZOWY w dziejach Augusta II.

Powyższy przedmiot mógłby, powinienby może nawet w dziejopisarstwie polskim zająć obszerniejsze miejsce, aniżeli *my* przeznaczyć mu w niniejszej naszej rozprawie zamierzamy. Co do nas, ograniczymy się tutaj na skreśleniu ubocznego epizodu stósunków, jakie się wywiązały przez sąsiedztwo, tradycye, wspólność interesów politycznych między narodem węgierskim i polskim a które stwierdzają akt swój obecności i w epoce pierwszych lat panowania Augusta II. Dla lepszego zrozumienia rzeczy, wypadnie nam zastanowić się w kilku słowach nad poprzedzającemi go wypadkami. Dość potrącić o przeszłość Polski i Węgr, aby sobie przypomnieć owo długie pasmo wypadków stwierdzających fakt wspólnych między obu narodami kolei i losów. Dzieje Piastów i Jagiellonów zapisują na każdej niemal stronnicy raz

wrogie, inny raz przyjazne, ale *ciągle* z Węgry stósunki, które począwszy od końca XIV. wieku stają się nie tylko trwale dobremi, ale co więcej wskazują niejednokrotnie na tronach obu narodów jednych i tych samych władców. Ludwik król węgierski i polski, bohaterski Władysław Warneńczyk król węgierski i polski razem rozpoczynają ów szereg wspólnych monarchów, po których zgonie w długie lata, Węgry biorą sobie z Polski na tron swój latorośl świetnego rodu Jagiellonów. Po śmierci Ludwika Jagiellończyka pod Mohaczem, po przejściu Węgier pod panowanie domu austriackiego zmienia ten stósunek dotychczasowy charakter. Kraj i naród węgierski objawiają wzrastające coraz więcej i ogólniej niezadowolenie z rakuskich rządów, w wieku XVII. stawiają im coraz energiczniejszy opór znajdujący na przemian wyraz bądź to w konspiracyi niechętnych Austrii żywiołów, bądź w otwartych wręcz przeciw domowi austriackiemu powstaniach. W ciągu długiego panowania Cesarza Leopolda I. są dwa mianowicie mocarstwa, ku którym się oczy malcontentów węgierskich zwracają, a które znów ze *swojej* strony niezadowolnienie ich na *swoje* wyzyskują cele. Jednym jest Francya, drugim Porta Ottomańska. Czy to Ludwik XIV. rywalizując z domem habsburgskim o wpływ i panowanie nad kontynentem europejskim; czy Porta sięgając po zdobycze lub prawo protektoratu w Siedmiogrodzie i Węgrzech, opierają swą akcyą na przymie-

rzu z malkontentami krajowymi. Ludwik XIV. utrzymuje pomiędzy nimi licznych agentów, płaci im znaczne subsydia pieniężne, zaopatruje powstania węgierskie w żołnierzy, nadewszystko w oficerów. Dzięki téj polityce Ludwika XIV., dzięki niemniej dawnym tradycjom dziejowym, jakie łączyły oba narody, spostrzegamy od początku panowania Michała Wiśniowieckiego występującą na téj widowni i *Polskę*.

Znaną powszechnie rzeczą, jak Ludwik XIV., jak minister jego spraw zagranicznych, markiz de Pomponne, usiłowali Polskę wciągnąć w system swojej polityki, jaką jój przeznaczali rolę, jak na przemian widokami *odzyskania* bądź to Księstwa Pruskiego, bądź *pozyskania* Szląska, usiłowali okupić sobie jój udział w olbrzymiej akcji przeciw domowi habsburgskiemu i elektorowi brandenburgskiemu. Z osieroceniem tronu polskiego po zgonie Michała Wiśniowieckiego, wstąpieniem nań Jana Sobieskiego jako stanowczego natenczas zwolennika interessu francuzkiego, podczas dwóch ambasad francuzkich w Polsce, biskupa Marsylskiego Forbin-Jansona i markiza de Béthune, rozwija się akcja polityki francuzkiej w tym kierunku, w coraz energiczniejszy sposób z coraz większą zabiegłością, a ma przedewszystkiem na celu — *widownią węgierską*. Jak przypomnieć nie od rzeczy, są pierwsze lata panowania Jana III., aż do roku 1679, aż do kongressu Nimwegskiego, epoką przeważnie wpływu francuzkiego, wielkich,

daleko sięgających planów politycznych, które znajdują podstawę w traktatach pozawieranych w roku 1675 z Francją, w roku 1677 ze Szwecją a których celem „odwet“ przeciw elektorowi brandenburskiemu, następnie może odzyskanie Szląska, może nawet federacya z Węgrami. Nie wchodząc w rozbiór pytania i przyczyn, dla czego *wielka* ta prawdziwie polityka Polski została zwi-chnioną, dla czego daleko sięgające jój pomysły spełzły na niczém, należy natomiast w interesie zrozumiałości niniejszego opowiadania przypomnieć, że nie ostatnią część *polskiej* polityki Francyi stanowiły właśnie *Węgry*. Polska przedstawiała dla owój polityki, dla ambassadorów francuzkich i ich licznych pomocników, jak Forbin-Jansona, de Béthune'a, Baluze'a, Akakii, nie wymieniając innych, bezpieczną przystań i jakoby spiżarnią, z której utrzymywali stósunki z malkontentami węgierskimi, żywili ich powstanie, zaopatrywali w żołnierzy, oficerów i pieniądze. Położone na wschodnim stoku Karpat, na trakcie wiodącym ze Stryja ku granicy węgierskiej, nędzne, ale upamiętnione w dziejach tego politycznego przemytnictwa miasteczko Skole, było stacją, przez którą z Węgier do Polski, z Polski do Węgier przekradały się co chwila osobistości zapisane wysoko w arystokratycznej hierarchii Węgier, jak Wesselenyi, Nemezany, Teleki, by się porozumiewać z agentami francuzkimi i przychylnymi sobie panami polskimi. Przez toż samo

Skole szły z Polski do Węgier transporty broni, pieniędzy, przekradał się werbowany w granicach Rzeczypospolitej żołnierz. Cesarska dyplomacya ma na podobną praktykę otwarte oczy. Ambasadorowie austriaccy, jak hr. Meiersberg, jak *Zierowski*, jak później Waldstein, zanoszą często skargi do dworu warszawskiego, niekiedy do przychylnych sobie panów i dygnitarzy polskich na tego rodzaju robotę. Ztąd wywięzuje się ciekawa na widowni polskiej walka. Dwór sam, mianowicie król Jan III., choć w przymierzu z Francją, nie może naturalnie pozwalać otwarciu na owe zaciągi ludzi, na owe wysyłki rekruta, broni i pieniędzy do Węgier, ale nie myśli na prawdę Francuzom przeszkadzać. Z pośród panów polskich jest Hieronim Lubomirski, syn Jerzego, chorąży koronny, „kawaler maltański,“ później za Augusta II. hetman w. koronny, głównym na téj widowni reprezentantem francuzko-węgierskiego interessu. Około *jego* osoby, można bez przesady powiedzieć, koncentrują się wszystkie usiłowania i praktyki; do niego odnoszą się z jednej strony reprezentanci, jakich Ludwik XIV. ma w Polsce, z drugiej emisaryusze malkontentów węgierskich.

Stosunek ten Hieronima Lubomirskiego do Francyi i Węgrów, datujący się z pierwszych pięciu lat panowania Sobieskiego, zasługuje na tém większą uwagę, że, jak zobaczymy niżej, dziedzi czy się w jego rodzinie na późniejsze czasy i odegra właściwą sobie, oryginalną wielce rolę

w epoce będącej przedmiotem naszego opowiadania. Tymczasem, jeżeli król Jan III., jeżeli taki Hieronim Lubomirski popierają mniej lub więcej otwarcie Węgrów i węgierską politykę Francyi, znajduje dom habsburgski w Polsce gorliwych a potężnego wpływu stronników, którzy podobnej polityce wypowiadają zaciętą wojnę. Obaj Pacowie, w. hetman i w. kanclerz litewscy; Andrzej Trzebicki biskup krakowski, nadewszystko zaś Dymitr Wiśniowiecki w. hetman koronny, — otóż filary stronnictwa austriackiego w Polsce z pierwszych lat panowania Jana III., filary, które ostatecznie przerosły znaczeniem partya przeciwną a mają prawo szczycić się smutną zasługą, iż zwichnęły wielkie zamysły, jakie żywił Sobieski w początkach swego królowania. W. hetman koronny przeszkadza zaciągom na rzecz Węgier, każe rozstrzeliwać tu i owdzie trudniących się niemi agentów francuzkich i węgierskich. Sam Hieronim Lubomirski, mąż wielkiego w Polsce rodu, „kawaler maltański,“ chorąży koronny, zagrożony na sejmie grodzieńskim z roku 1679 oskarżeniem domagającym się jego głowy z powodu pomocy dawanej przeciw „Cesarzowi chrześcijańskiemu malkontentom węgierskim...“ Cokolwiekbądź, stwierdzają owe pierwsze lata panowania Sobieskiego fakt dawniej, tradycyjnej przyjaźni między Węgrami a Polską wśród charakterystycznej mieszaniny szlacheckiej fantazyi, chęci przysłużenia się królowi francuzkiemu, magnacko-

wojowniczej konfraternii między spotykającymi się na pograniczu Karpackim, czy to w Skolu, czy w Stryju reprezentantami polskiej i węgierskiej szlachty. Przyjaźń słowem i związki mające przetrwać w późniejszą epokę, jak zobaczymy niżej... Wiadoma powszechnie owa zmiana dekoracyi, jaka od roku 1679, w skutek stypulacyi kongressu Nimwęgskiego, nastąpiła w stósunkach między Francją a Polską, nie bez odbicia się na stósunku do Węgier. By nie przedłużyć niniejszych słów wstępnych, dość powiedzieć, że kulminacyjnym a najświetniejszym wypadkiem owęj zmienionęj z rokiem 1679 polityki polskiej, pozostanie wyprawa i odsiecz wiedeńska Jana III, z r. 1683. Znana podczas nięj rola Węgier i Węgrów. Młody, 25-letni naówczas magnat węgierski, tyle głośny i w naszych dziejach Emeryk Tekieli staje na czele malkontentów węgierskich, zyskuje turecką pomoc, występuje na równinach Esseku jako król Kuruców z ramienia tureckiego, staje się przewodnikiem nawałnicy tureckięj pod Wiedeń. Dziwna zmiana dekoracyi: Ten sam Hieronim Lubomirski, ten sam chorąży koronny, którego głowa przed kilku laty była zagrożona na sejmie grodzieńskim z powodu zaciągów polskich na rzecz zbuntowanych przeciw domowi austryackiemu Węgrów, znajduje się teraz na długo jeszcze przed nadejściem Jana III. w usługach cesarskich, jako jeden z najwaleczniejszych armii księcia Lotaryńskiego wojowników

przeciw Turkom i ich sprzymierzeńcom węgierskim. Mimo to, czyż wśród téj walki, czyż we krwi podczas niéj przelanej utonęły może dawne tradycje przyjaźni, pamięć odwiecznych związków między Polską a Węgrami? Z pewnością *nie*. Jak się przekonamy z poniższego opowiadania, utrzymały się przedewszystkiem te tradycje nie bez doniosłych politycznych następstw w saméj już rodzinie Lubomirskich, stwierdziły swą obecność również w umowie cichéj, zawartéj między Janem III. a Tekielim za pośrednictwem francuzkiego agenta Forwala. Król polski przyrzekł oszczędzać w swym pochodzie Węgry, Tekieli zobowiązał się ze swéj strony oszczędzać podczas nieobecności Jana III. bezbronnych od Węgier krajów Rzeczypospolitéj. Wojna tocząca się między Polską a Turkami, nie toczy się z równą zawziętością ze strony polskiéj przeciw Węgom a wojskom polskim wkraczającym do ich kraju, przewodniczącemu im królowi przytomna ciągle myśl, że „to przecież naród chrześcijański, który z Polską miał wspólnych królów i dzielił z nią wspólne losy.“

Wiadomy koniec ówczesnéj wojny tureckiéj, wiadomy ostateczny jéj rezultat dla Węgier. Sejm węgierski z r. 1687 oświadczył gotowość poddania się domowi habsburgskiemu a Tekeli podjął rolę, jaką w dziejach Węgier miały odegrać kilkakrotnie jeszcze wybitnego charakteru, wysokiéj ambicyi i niepospolitego uzdolnienia osobistości, za dni naszych n. p. Koszut. Ogromna większość

narodu znużona wojną i strasznymi jej klęskami, ukołyszana przyznaniami ze strony panującego domu ustępstwami, pogodziła się chwilowo przynajmniej ze stanem obecnym. Tekeli pozostał na stanowisku bezwzględного protestu i daleko sięgających ambitnych pretensji. Na przemian więźniem i sprzymierzeńcem Turków, walczył wraz z nimi przeciw Cesarstwu jawnie pod Zentą (1697); traktat Karłowicki z roku 1700 zdołał go tylko zabezpieczyć od wydania Austrii. Zakończył życie na ziemi tureckiej jako wygnaniec, licząc zaledwie 47 lat. Rola jego przeszła na pasierba, młodego Franciszka Rakoczego II., bohatera naszego opowiadania. Nie mając zamiaru kreślić szczegółowo jego żywota, zawodu politycznego i wojennego, nie możemy przecież w interesie opowiadanego przez nas przedmiotu pominąć rodowodu, polityczno - psychologicznej genezy i *po-czątków* wystąpienia na widowni dziejowej tej ciekawej pod każdym względem postaci. Na jego osobie stwierdza się z dziwną, fatalistyczną koniecznością prawda politycznego atawizmu. We krwi rodu, do którego należał, w otoczeniu, w jakim dziecinne lata przepędził, we wrażeniach, jakie wtedy odbierał, w tradycjach, jakie się w nim wbrew wszelkim zewnętrznym przymusom odezwały, znalazło się zakreślone z góry przeznaczenie jego. Znany dobrze w dziejach Siedmiogrodu, Węgier i naszych, ambitny, awanturniczy, przedsiębiorczy, nie wybredny w środkach, poszukujący

na przemian opieki tureckiej lub patronatu habsburgskiego, sięgający po tron książęcy w Siedmiogrodzie po koronę królewską we Węgrzech i Polsce, posiadający ogromne włości, spowinowacony z pierwszemi familiami Węgier i Europy, *ród Rakoczych*. Jerzy, który za Jana Kaźmierza, do wspólni z Karolem Gustawem, Chmielnickim i Moskwą, przyszedł przymnażać nam klęsk, był ożeniony z Zofią Batorówną, co go najprawdopodobniej spowodowało doświadczać szczęścia w Polsce. Małżonek Batorówny mógł sobie rość pretensye do korony polskiej. Wiadomy koniec jego awanturniczo-lupieżnej wyprawy do Polski, wiadomy koniec jego osoby, jeden i drugi dostarczający niezupełnie może szczęśliwie materyału humorowi naszego Paska.

Syn Jerzego, Franciszek Rakoczy, ożeniony z Heleną Zrinyi, był w młodym bardzo wieku uczestnikiem wielkiego przeciw domowi habsburgskiemu spisku, który mnóstwo magnatów węgierskich, między innymi teść jego Piotr Zrinyi, śmiercią na rusztowaniu opłaciło. On sam ocalony skuteczną u dworu austriackiego interwencją matki swój, Batorówny z domu, wskazał się na dobrowolne więzienie w dziedzicznym swym, ponurym zamku Munkaczu, gdzie zgasł z żalu i zmartwienia w r. 1676, licząc zaledwie 31 lat. Pozostawił córkę Julią i pięciomiesięcznego syna, Franciszka,*) pod opieką dumnej, energicznej matki, która nie mo-

*) Urodzonego 27 Marca 1676,

gąc darować domowi austriackiemu śmierci ojca na rusztowaniu, poświęciła wszystko, czém rozporządzała, własną osobę, syna, ogromny majątek, dziełu zemsty. Po pięciu latach wdowieństwa, wyszła Helena Rakoczowa z domu Zrinyi, za Emeryka Tekielego, oddając pod jego rozporządzalność ogromne zasoby, jakich dostarczały rozległe stosunki i nie mniej rozległe włości domu Rakoczów. Syn Franciszek był przez matkę i ojczyzna wychowywany pod wrażeniami doznanych krzywd i w uczuciach zemsty. Pełne awanturnicznych przygód i jaskrawych wypadków są dziecinne lata Franciszka Rakoczego. Ktoby chciał, mógłby w nich bez krzywdy przeciw historycznej prawdzie dopatrzeć się podobieństwa ze wspaniałe ponurym obrazem Konrada Wallenroda w poemacie naszego wielkiego wieszczka. Tekieli wojował w polu. Cesarscy oblegli tymczasem Munkacz, w którego twierdzy zamknęła się z wierną załogą małżonka jego, Helena Zrinyi. Po długiej, walecznej obronie poddał się zamek. Matkę z obydwoma dziećmi zawieziono do Wiednia. Źą zamknięto w klasztorze Urszuliniek, gdzie pozostawała przez trzy lata, dzieci wzięto pod opiekę Cesarską. Córkę Julję oddano do klasztoru, syna Franciszka powierzono wychowaniu Jezuitów w Neuhausie, następnie w Pradze.

Z owiej epoki życia młodego Rakoczego, zachował się ciekawy, charakteryzujący go dokument, list pewnego Jezuity kolegium Neuhauskiego,

skreślający szczegóły jego przybycia do Neuhausu. „Rakoczy,” pisze ów Jezuita, „skończył dnia 27 Marca (1688) dwunasty rok życia, jest jednakże takiej postawy i siły, że się o 3 do 4 lat wydaje być starszym. Mówi tylko po węgiersku i po łacinie a to dokładnie. Nie ma w sobie nic popolitego, wszystko przeciwnie nakazuje szacunek; w mowie, gestach i chodzie okazuje powagę i godność. Trzeba było nie małej trudności, by uspokoić młodzieńca, gdy tyle drogi mu ochmistrz (Badinyi), bez wiadomości jego (Rakoczego) o rozkazie przepisującym mu powrót, wczoraj przybywszy do miasta (Neuhaus), już następnego poranku był odeń oderwanym. Wtedy to zawołał płacząc: że woli raczej umierać, aniżeli wlec nędzny żywot. Dnia 5 bm. (Kwietnia 1688), w towarzystwie dwóch młodych hrabiów i innych dostojnego rodu wychowalców kollegium przez czterech ojców na zamek zaprowadzony, spostrzegł mapę Węgier, pochwycił ją a poszukawszy gorączkowo i znalazłszy Munkacz, począł we łzach tonąć. Pocieszany, upominany, aby był dobrej myśli, osuszył potajemnie łzy i rzekł z głębokim westchniem: *Impossibile est, tam cito oblivisci!* (Nie podobna tak prędko zapomnieć!) Przyrzeka już teraz, że się będzie uczył po niemiecku, (ponieważ z początku chciał się tylko uczyć po czesku, do czego więcej ochoty okazywał) i że będzie według obyczaju niemieckiego nosił włosy spadające po obu stronach, kiedy dotąd nosił tylko włosy spa-

dające szeroko na ramię po jednej stronie. Mówił do mnie, gdyśmy byli sami: Czemuż mnie to nazywają *panem hrabią*? Jestem przecież księciem a tacy hrabiowie *służyli* mi. Gdy mu jednak odpowiedziałem, iż jest u nas zwyczajem młodych książąt, nim obejmą swoje włości, nazywać hrabiami, uspokoił się. Otóż młody Rakoczy, jakim był przy pierwszym swym wstępie do collegium Jezuickiego w Neuhaus, do instytutu, którego zadaniem miało być zatrzeć wrażenia ojczystego kraju i domowych tradycji.

Nie była to naturalnie szkoła, któraby młodego magnata była *uczyla* patryotyzmu węgierskiego. Odebrane z lat dziecinnych wrażenia były jednakże za silne, aby go była mogła *oduczyć*. Co w nim za to wykształciła do wysokiego stopnia, to zmysł i zdolność *dysymulacji*. W miarę dojrzewającego wieku, w miarę przedłużającego się zewnętrznego przymusu zwrastała ta smutna zdolność. Z młodego księcia wyrastał coraz więcej istny Wallenrod, *ale* Wallenrod najrzeczywistszej, historycznej prawdy. Młody Rakoczy usiłował z pewną gorączkowością przekonać swą „opiekę,” do jakiego stopnia na wiarę *jęj* i ufność zasługuje. Unikał osobistych i listowych stosunków ze swymi ziomkami: zarzucił węgierski strój i węgierski język, mówił tylko po niemiecku, powtarzał, „że gdyby wiedział, które żebro jego jeszcze pozostało węgierskiem, gotówby je sobie wyrzeć!” Siostra jego Julia wyszła tymczasem

za Belgijczyka w służbie austryackiej, hr. Aspremont; on sam zaś zdołał nareszcie pozyskać do tyła zaufanie swych opiekunów, iż dostał pozwolenie na wyjazd za granicę. Młody, pięknej powierzchowności, smukłej postaci, czarnych, spadających na ramiona włosów, ognistego oka, umiał się podobać w podróży swój po małych dworach niemieckich a w r. 1699 pozyskał serce i rękę córki landgrafa heskiego, Aleksandryny hr. Leinigen. Związek ten, niechętnie wdziany we Wiedniu, zyskał młodemu Rakoczemu wyniesienie na godność księcia Rzeszy a tém samem podniósł jego znaczenie i w ojczystym kraju, który mimo wszelkich pozorów inaczej mówiących z oka go nie tracił a w razie nieprzewidzianych wypadków jako sztandarem posłużyć się nim zamierzał.

W kraju, jak ówczesne Węgry, nie zbywało na malkontentach, na palnym materyale. W r. 1697 podniósł sztandar powstania awanturnik niskiego pochodzenia, ale dawny żołnierz Tekielowego powstania, Franciszek Tokaj, zebrał około siebie tłum ochotników, zajął kilka zamków i postanowił podobno pochwycić obecnego w kraju Rakoczego, aby się jego imieniem posłużyć. Ani kraj, ani Rakoczy nie mieli chęci wdawać się w ruch nie zapowiadający żadnego powodzenia. Rakoczy wrócił tedy do Wiednia, poczynił wszelkie możliwe oświadczenia wierności, oświadczył nawet gotowość zamiany swoich posiadłości węgierskich na włości w jakiejbądź innej stronie monarchii austryackiej.

Wszystko to jednakże nie starczyło do uspienia podejrzeń dworu wiedeńskiego przeciw jego osobie. Otaczali go tajni agenci, zewsząd zbiegały się wiadomości o złowrogich przeciw jego osobie zamiarach dworu. Wzajemne niezaufanie wywoływało coraz większe, zobopólne rozdrażnienie i przyspieszało katastrofę, która bez owój nieufności nie byłaby może nastąpiła. W takiej to chwili niebezpiecznego naprężenia obustronnych usposobień, zapisuje kronika ówczesnych wypadków fakt ważny i stanowczy w losach Rakoczego i Węgier. Zbliża się doń, korzystając z naprężenia takowego kilku energicznych, stanowczo wrogich panowaniu austriackiemu osobistości, wojowników Tekielowego powstania. Znajdują się pomiędzy nimi hr. Mikołaj Berczenyi, hr. Antoni Szirmaj i dwaj bracia Vay. Pierwszy z nich, Mikołaj Berczenyi, odgrywa później jako główny kierownik polityki Rakoczego, jako jego prawa ręka, czy to na Węgrzech, czy w Polsce, czy jako organizator wojskowy, czy jako dyplomata, zbyt ważną rolę, abyśmy jego osobę choć w niniejszym wstępie do właściwego naszego przedmiotu, pominąć mogli. Austriaccy historycy, jak n. p. Arneth, wyrażający uczucie wstępu do węgierskiego „buntu,” odzywają się o Rakoczym jako o człowieku ambitnym, zapalnym, próżnym, obchodzą się z nim jednakowoż jeszcze z pewną powściągliwością. Solą w oku natomiast jest im Mikołaj Berczenyi, którego nazywają złym duchem Rakoczego i właściwą, ciągle

gorejącą pochodnią buntu. Niezaprzeczenie jest Berczenyi jego duszą, jest *Kosztem* Rakoczowego powstania, nie wyrzekającym go się wtedy nawet, kiedy Rakoczy sam upadł na duchu, wynajdującym mu ciągle nowe środki, kiedy się już wszystko zdawało stracone, mającym wszędzie swoje stosunki, utrzymującym wszędzie swoich agentów. Rozległymi mianowicie są związki i znajomości jego pomiędzy Polakami, w czym mu wielką pomocą, niewiadomo z kąd i od kiedy datująca się, dość dokładna znajomość języka polskiego. Berczenyi trafi ostatecznie wszędzie, trafi do Ludwika XIV i do Karola XII, czy to w obozie Altransztiedzkim, czy w okopach Benderskich; utrzymuje związki z panami i dygnitarzami polskimi, nie zaniedbując ich z Augustem II; wchodzi w porozumienie z Carem Piotrem i kanclerzem jego Gołowkinem, nie zrywając równocześnie z Portą Ottomańską. Łatwo pojąć, że osobistość tego rodzaju nie mogła pozostać bez wpływu na chwiejny, zapalny i ambitny razem umysł młodego potomka wielkiego rodu, znajdującego się istnie na Herkulusowém rozdrożu, wachającego się między wiernością dla coraz podejrzliwszego względem siebie domu austriackiego a wołaniami własnego narodu. Wpływy Berczenyiego i jego zwolenników zwyciężyły nareszcie a z ostatnimi niemal dniami siedmnastego wieku spoglądamy we Węgrzech na prolog ponurego dramatu, mającego stanowić ogniwo równoczesnych wypadków na wielkiej widowni europejskiej. W dra-

macie tym dostaje się, jak zobaczymy niżej, nieskapa rola, mimo własnych oparów i kłopotów, i Polsce. Rzut oka na współczesną widownię europejską uprzytomni nam od razu całe położenie rzeczy i związek *embryonicznie* kielkującego wówczas ruchu węgierskiego z czynnikami i interesami wielkiej polityki europejskiej. Zgon króla hiszpańskiego Karola II wywołuje znane pretensje Ludwika XIV, otwiera wobec równoległych pretensji domu austriackiego perspektywę śmiertelnych zapasów między Francją a większą połową kontynentu europejskiego i Anglią. Z drugiej strony daje wykonany przez Augusta II i Cara Piotra napad na Inflanty hasło rozpoczęcia wojny północnej. Ogólny ten charakter sytuacji europejskiej staje się naturalnym regulatorem jej szczegółów na rozmaitych, zależnych od niej widowniach. Rozpoczynając śmiertelną grę z domem austriackim, nie mógł Ludwik XIV nie posłużyć się ostatecznie tradycyjnym swym, odwiecznym specyfikiem dywersyjnym, jaki dlań od niepamiętnych czasów przedstawiały *Węgry*. Malkontenci węgierscy znów ze swjej strony, dążąc do oderwania się od Austrii, nie mogli nie rozpocząć swego dzieła od porozumienia z Francją. Spiżarnią powstania węgierskiego mogła być również tylko, jak w pierwszych latach panowania Sobieskiego, *Polska*; szafarzami tej spiżarni, jak później jeszcze zobaczymy, nie kto inny, niżli panowie polscy. Pozyskany przez Berczenyiego

i jego otoczenie dla sprawy narodowej Rakoczy, rozpoczął pod koniec roku 1700 z dworem wersalskim za pośrednictwem niejakiego Longuevala, Belgijczyka w służbie austriackiej korespondencyą, która jakkolwiek nie przechodziła zakresu objawianych *uczuć* a nie mówiła nic jeszcze o zamiarach jakiegobądź *czymu*, starczyła przecież Wiedniowi jako materiał do podjęcia kroków przezorności przeciw nieostrożnemu magnatowi węgierskiemu. Longueval był tém, co się w dzisiejszym słowniku policyjnym nazywa *agentem prowokacyi*. Wydobywszy od Rakoczego memoriał przeznaczony dla dworu wersalskiego, doręczył go Longueval prezydentowi rady stanu austriackiej, hrabiemu Oettingen. Upoważniony przezeń potajemnie do utrzymywania intrygi między Wersalem a Rakoczem dalej, wydawał wszystkie listy obu stron korrespondujących z sobą, gabinetowi wiedeńskiemu. Nie wdając się w opis dalszych szczegółów téj ciemnej sprawy, dość powiedzieć, że w Maju 1701 dwóch wyższych oficerów austriackich w assystencyi całego batalionu piechoty ruszyło z wyższego rozkazu uwięzić Rakoczego wraz z małżonką na ich wiejskiej posiadłości pod Munkaczem, że nadto równocześnie przytrzymano przyjaciół jego i współspiskowców jak Szirmaja, trzech braci Vayów, *Okoliczaniego*, nie wyliczając innych. Zagrożony tym samym losem, najniebezpieczniej z wszystkich skompromitowany, znany nam już Mikołaj Berczenyi, uprzedził zrećźnie grożącą sobie burzę, umknął z domu

otoczonego przez żołnierzy piechoty austriackiej w lasy i przedostał się po różnych awanturniczych przygodach szczęśliwie do Polski. Rakocze go tymczasem odprowadzono jako więźnia nasamprzód do Preszowa, następnie do Wiednia i rozpoczęto z nim surowe śledztwo. Przebiegu jego nie będziemy opowiadali. Dość nadmienić, że zagrożony mimo wszelkich protestów oddaniem pod sąd wyjątkowego trybunału, a obawiając się nie bez słuszności losu swego dziada Zrinyiego i tylu innych ziomków, zdołał umknąć w Listopadzie r. 1701 z więzienia i przedostać się przez Górne Węgry, podobnie jak jego przyjaciel Berczenyi, za granicę do Polski.

Od téj to chwili poczynają się losy Rakocze go i Berczenyiego splatać nierozzerwalnie ze współczesnymi wypadkami i ludźmi w Polsce. Uprzytomnijmy sobie owe ponure w życiu Rzeczypospolitej chwile, w których obaj wygnańcy węgierscy, Berczenyi naprzód, Rakoczy następnie, znaleźli się na polskiej ziemi. Są to pierwsze miesiące r. 1702, kiedy Ukraina płonie pożogą Palejowego buntu; kiedy Żmudź i Kurlandya zajęte już przez Szwedów a Karól XII. zabiera się z wiosną do wkroczenia w kraje koronne Rzeczypospolitej; kiedy Sapiehowie podają na Litwie rękę szwedzkiemu najezdnikowi; kiedy w Koronie umysły i serca podzielone nie myślą tyle o obronie zagrożonej ojczyzny, ile o rozlicznej prywacie i załatwieniu obrachunku z nienawistnym większością polskiej

królem Augustem. Smutny słowem przeddzień sromoty Kliszowskiej i Pułtuskiej, zdeptania i zakrwawienia Polski przez najazd różnonarodowego i różnojęzycznego żołnierstwa. Mimo to, a powiedzielibyśmy, że w *tém* właśnie kto wie czy nie najstraszniejsza tragika ówczesnych losów Polski, — otacza obu wygnańców węgierskich, mianowicie Rakoczege, gorączkowe, energiczne i czynne współczucie. Składają się na ten fakt dwie przyczyny. *Pierwszą* jest opieka, jaką nad młodym, zagrożonym mściwością habsburską magnatem węgierskim roztacza za pośrednictwem swych reprezentantów w Polsce, du Hérona początkowo, Bonaca następnie, Ludwik XIV. Głos króla francuzkiego, grzeczność doznana z jego strony, cóż dopiero list odeń odebrany sprawiał zawsze swe niezawodne wrażenie na umysły i usposobienia panów polskich. *Służyć* królowi francuzkiemu, *zasłużyć* mu się radą i czynem, zyskać odeń dowód wdzięczności, równoważyło u szlachty polskiej niespożytemu zaszczytowi. Bonac zna tę słabość narodową, otwiera na nią oczy Ludwika XIV., zaleca mu nie szczędzić dla magnatów polskich uprzejmości i bilecików w sprawie Rakoczege. Skutek odpowiada podjętym staraniom. Mniejsza, że Polska nie broniona szczerze niczyją ręką, płonie strasznym pożarem wojennym. Dla patronowanej przez króla francuzkiego sprawy Rakoczege znajdują się chętne serca, znajdują się liczne ramiona, znajdują się pieniądze nawet...

Drugą przyczyną powodzenia Rakoczego w Polsce była nadzwyczajność jego przygód młodości, urok osoby, odgrywająca wreszcie tradycyjnie w Polsce rolę wielkopańska fantazyja, co to lubiła sobie wyprawiać harce bądź na Moskwie, bądź na Wołoszczyźnie. Fantazyja polska spotkawszy się z butną, pokrewną sobie fantazyją węgierską, gotową była wyprawiać ku zadowoleniu francuzkiego króla sztuki swe bez względu na wszelkie przykazy i wymagania urzędowej polityki. Poseł austriacki hr. Strattmann otaczał Rakoczego i Berczenyiego siecią szpiegów, zanosił częste na nich i ich polskich stronników zazenienia do króla Augusta. Umiął przecież trafić ze strony przeciwnej do ówczesnej kochanki królewskiej, podkomorzyny Urszuli Lubomirskiej, poseł francuzki Bonac, zdołał przekonać ją o bezużyteczności aliansu austriackiego, tak że król sam, wachając się, gotów był raz pożyczać saskiego żołnierza Cesarzowi Leopoldowi na stłumienie powstania węgierskiego, drugi raz sprzedawać broń tymże samym Węgom. W gruncie rzeczy zaś patrzył na wszystko, co się na téj widowni działo przez szpary i nie przeszkadzał „exulantom“ węgierskim w ich robocie...

Nie dość na tém, znalazł Rakoczy, dzięki zręczności Berczenyiego, dzięki wpływom Bonaca, wstęp i przystęp do panów i dygnitarzy polskich. Nie wahał go się wspierać bardzo hojnym kredytem prymas Radziejowski za wstawieniem się

francuzkiego posła. Marcin Kątski wojewoda krakowski, Józef Potocki, pan na Stanisławowie, wojewoda Kijowski wychodzą na jego energicznych, ofiarnych opiekunów. Czy serca niewieście skłonne ulegać zawsze urokowi nadzwyczajnych przygód i śmiałych przedsięwzięć, zwłaszcza skoro bohaterem ich, jak w obecnym przypadku, był młody i piękny magnat węgierski, odegrały przy tej sposobności także swoją rolę, nie wiemy wprawdzie stanowczo, ale gotowibyśmy prawie przypuścić. Potrącając o ten przedmiot, winniśmy wzmiankę najskuteczniejszej, najpoważniejszej, najwytrwalszej razem opiece, jaką Rakoczy w ciągu swego pobytu w Polsce i przez całe swe późniejsze życie znajduje. Mówimy tu o małżonce wojewody bełzkiego i ówczesnego hetmana polnego koronnego, Adama Mikołaja Sieniawskiego, Helenie Elżbiecie z domu Lubomirskiej, córce w marszałka Stanisława, synowicy Hieronima, owego „kawalera maltańskiego“ i sprzymierzeńca Węgrów z pierwszych lat panowania Jana III. Byłyż to tradycje dawniej rodzinnej przyjaźni, reminiscencje owych zaciągów polskich na rzecz Węgier: byłoż to uczucie osobiste a świeższej daty? — Cokolwiekbądź, wychodzą małżonkowie Sieniawscy na głównych opiekunów, na uprzywilejowanych protektorów i patronów Rakoczego w Polsce a ponieważ małżonka hetmańska obok w cieniu pozostającego męża, pierwszorzędną, pokazną odgrywa rolę, wypadnie się nad tą ciekawą, a ma-

ło znaną w dziejach Augustowych postacią bliżej zastanowić. Jest to osobistość, któraby zasługiwała na osobnego historyka, jak stanowi osobny swój epizod w ówczesnych dziejach Polski. Archiwum rodzinne Sieniawskich, *jeżeli* istnieje gdziekolwiek bądź, *jeżeli* istnieje w *całości* z epoki, o której mowa, powinnyby zawierać obfity materiał do dziejów niezmordowanej, wszechstronnej, od Wersalu do Konstantynopola sięgającej, na nieszczęście tylko *nie* dobro ojczyście mającej na celu działalności, téj znakomitej w swoim rodzaju postaci. Współczesny pamiętnikopisarz Otwinowski ma dla wojewodziny bełzkiej w malowniczym swym stylu charakterystyczny epitet, „*wielkiej rządzoichy*.” Wojewodzina Bełzka figuruje pierwszorzędnie w korespondencji Bonaca z Ludwikiem XIV., w konferencyach wiedeńskich między posłem saskim, generałem Wackerbarthem a tajnym radcą Cesarskim hr. Wratisławem, w listach pomiędzy Berczenym a Rakoczym. Wojewoda Bełzki, wówczas polny, później w. hetman koronny, zajmuje obok małżonki dziwnie małe i podrzędne stanowisko. Szczególna to, osobna w swoim rodzaju epoka, epoka prawdziwego panowania kobiet. Królem rządzą kochanki, Lubomirska i Cosel, prymasem Radziejowskim osławiona wojewodzina Łęczycka Towiańska; główną sprężyną niepojętego nawrócenia się Mazeppy na rzecz Szweda i Stanisława Leszczyńskiego jest przebiegła księżna Dolska z domu Wiśniowiecka, dyktatorem inte-

ressu Rakoczowego w Polsce, mniejsza, czy z przyczyn sympatii osobistych, czy z ambicji, czy z powodów politycznych, czy z pobudek próżności podrażnionej przez Ludwika XIV., jest Helena Elżbieta Sieniawska wojewodzina bełzka. Z jednej strony król francuzki, z drugiej *ona* biorą w opiekę Rakoczego, w latach pamiętajmy, 1702 i 3, czyli właśnie w chwilach najgroźniej srożącego się pożaru wojny szwedzkiej.

Wpływ i energia téj dziwnej kobiety, zwrócone w stronę dobra *ojczystego*, nie byłyby dlań z pewnością pozostały bez zbawiennych następstw. Tragikomicznie brzmią świadectwa dyplomatów, ministrów, generałów saskich i cesarskich, przyznających się z rezygnacyjną pokorą do bezbronności wobec wojewodziny bełzkiej, „Jest rzeczą pewną,“ pisze n. p. między innemi Flemming w liście datowanym z Drezna dnia 31 Stycznia 1710 do hr. Wratysława kierownika zagranicznej polityki cesarskiej, „że Pani wojewodzina Bełzka jest niewiastą wielce przedsiębiorczą, intrygantką i nader niebezpieczną, lecz i to prawda, że małżonek nie jest z nią zawsze w zgodzie i wyrządzałoby mu się krzywdę, przypuszczając, że rozpuścił część swego żołnierza, aby go przeprowadzić do Węgier.“ Imię „*wojewodziny bełzkiej*“ nie przestaje być co trzeciem słowem korespondencji między Dreznem, Warszawą a Wiedniem. Za inicjatywą *wojewodziny bełzkiej* przechodzi cała niemal rodzina Lubomirskich w pierwszych owych latach wojny pół-

nocnej z sympatjami i cichą pomocą do obozu Rakoczego. W. hetman koronny, stryj Hieronim, przypomniawszy sobie, być może, dawne czasy roboty swój dla Węgrów, zamyka oczy na praktyki synowicy. Bracia Jerzy podkomorzy, awanturniczy Teodor starosta Spiski, są podobnie jak wojewodzina sama, jak Tarło, znany stronnik Leszczyńskiego, jak Józef Potocki wojewoda kijowski, stałymi korespondentami Rakoczego i Berczenyiego. Pod taki to tedy, z pewnością nie lekceważenia godny patronat, oddał się w Polsce Rakoczy wraz z nieodstępnym od swego boku Berczenyim. Wszelkie reklamacje dworu wiedeńskiego, wszelkie jego sięgające aż do Polski środki podstępny i ostrożności okazywały się nadaremnie wobec obojętności króla, wobec energicznej opieki wojewodziny bełzkiej, rodziny Lubomirskich, Potockich, Radziejowskiego, Kątskiego. Rakoczy wraz z Berczenyim są przedewszystkiem ciągłymi gośćmi i domownikami w Jarosławiu, Sieniawie, Puławach, Lwowie, Lublinie, Warszawie, Częstochowie, Brzeżanach, Stanisławowie na przemian, bądź to u województwa bełzkiego, bądź u wojewody kijowskiego. Opieka taka była dla nich nasamprzód puklerzem osobistego bezpieczeństwa przeciw wszelkim możliwym krokom wiedeńskiego dworu. Nie dość na tém, była też sama opieka ważniejszą jeszcze i skuteczniejszą podstawą zamierzonej przez „exulantów“ węgierskich, układanej do wspólki z Francją akcji wo-

jenno-politycznej na Węgrzech. Hieronim Lubomirski wielkim, Sieniawski polnym hetmanem koronnym; Teodor Lubomirski starostą tyle wygodnego we wszelkich zamachach na Węgry progu Spiskiego; nadto długi ów i szeroki, w mniejszej lub większej od niej odległości, pas wielkich posiadłości Lubomirskich, Sieniawskiego, Potockich wzdłuż granicy węgierskiej. Cóż to za wyborna, coś za niewyczerpalna spiżarnia dla jakichbądź zaciągów francuzko-węgierskich, coś za bezpieczna dla nich przystań, coś za niezrównane miejsce schronienia i przytułku w razie możliwej klęski! A nie zapominajmy, że w płonącym równocześnie pożogą szwedzką kraju urzędowa jakabądź polityka czy to króla, czy Rzeczypospolitej podobnej robocie w niczem przeszkodzić nie jest w stanie, że potężne rody polskie prowadzą swoją osobną politykę wolnej ręki, że mianowicie ów „epizod Rakoczowy“ traktują jako sprawę swoich partykularnych, politycznych czy osobistych gustów i upodobań bez względu na to, co się w kraju dzieje i czy z tém krajowi dobrze. Lato roku 1703 stanowi punkt kulminacyjny w przygotowaniach Francyi, Rakoczego i ich przyjaciół polskich.

Właśnie w tragicznych dla Polski chwilach, kiedy po pogromie Kliszowskim, po klęsce Pułtuskiej, Karol XII oblega Toruń a August zgromadza całą niemal Rzeczpospolitę na sejm lubelski, urządzają na pograniczu Karpackiem panowie polscy

i wojewodzina bełzka na ich czele, niechaj nam czytelnicy raczą wybaczyć ten nieparlamentarny może w poważnym opowiadaniu historycznym, ale zrozumiały i malowniczy za to wyraz, „*sport*“ węgierski. Hasło naturalnie, jak inaczej być nie może, wychodzi z Wersalu, od Ludwika XIV, od ministra spraw zagranicznych Torcego. Groźna, stworzona przez nie żyjącego już naówczas Wilhelma księcia Oranii koalicja ściska śmiertelnym pierścieniem Francją rozpoczynającą zapasy o sukcesyą hiszpańską. Dywersya przeciw domowi habsburgskiemu staje się dla polityki francuzkiej, dla interessu jej koniecznością. Węgry jej tradycyjną, naturalną widownią; narzędziami Rakoczy i malkontenci węgierscy; tradycyjnymi ich w podobnym dziele współpracownikami znajoma nasza wojewodzina bełzka, dygnitarze i magnaci polscy. Dalejże tedy usilne, natarczywe rady posła francuzkiego Bonaca, przesyłane do Wersalu, by wyprawiać wexle drogą gdańską ku wspieraniu Rakoczego; dalejże niemniej natarczywe upominania, aby czy to prymasa Radziejowskiego, czy wszechwładną u niego wojewodziną Towiańską, czy wojewodzinę bełzką, czy jej wiernie podwładnego małżonka, czy to Lubomirskich, czy wojewodę kijowskiego ujmować sobie grzecznościami, przekupywać własnoręcznymi królewskiej ręki pismami. Rada posłuchana w Wersalu, okazuje się skuteczną w Polsce. „Mieszkańcy tutejszego kraju“, pisze Bonac do Ludwika XIV, „są tak pełni próżności,

że nie ma lepszego środka pokierowania nimi według własnej potrzeby, jak chwytając ich za tę słabą stronę. Wiedząc, że W. K. Mość pisywałaś niegdyś do zmarłego króla polskiego i owdowiłej królowej, kiedy jeszcze byli hetmaństwem, uważają się wszyscy za równych a oddawszy pewne usługi W. K. Mości, mniemają téż mieć prawo do tych samych dowodów życzliwości, jakimi W. K. Mość obdarzałaś innych.“.. Dobra rada, powtarzamy, *posłuchana*, działa w Polsce z cudowną skutecznością. Przypatrzmy się jój szczegółóm, przekonajmy się naocznie i dotykalnie niemal, jak na rzecz sprawy francuzko-węgierskiej znalazła się nawet w ówczesnej, pod względem moralnym tak bardzo podupadłej Polsce szczerza bezinteresowność, jak się dla niej znalazły ofiarnie sypane pieniądze. Patrząc na podobne objawy, ściska żal serce, że się nie obracają na rzecz *ojczystego* dobra! Przekazy i wexle na Gdańsk nie nadchodzą na czas. Bonac w obawie, bo podobny niedostatek opóźni zaciągi dla Węgier. Wydobywają go jednakże z kłopotu kardynał-prymas Radziejowski i niezawodna poręka wojewodziny bełzkiej. Pierwszy służy posłowi francuzkiemu kredytem 15,000 dukatów, druga jeszcze hojniejszym, również Lubomirscy i wojewoda Kijowski. Podobna, ale tu już stanowczo zdrożniejsza ofiarność ze względu na równoczesne położenie własnej ojczyzny, objawia się ze strony pokumanych z Rakoczym panów polskich w wystawianiu i dostarczaniu mu *żołnierza*.

Zastrzegając sobie w téj mierze podać poniżej niektóre, co ciekawsze szczegóły, przypatrzmy się teraz pokrótce położeniu rzeczy na Węgrzech samych, odkąd Rakoczy z Berczenym zbiegli do Polski a dwór wersalski rozpoczął swe roboty około poruszenia kraju. Niezapominajmy ciągle, że nasze opowiadanie w tém miejscu ograniczone datą dwóch lat, 1702 i 1703. Kraj węgierski wrzał cichym fermentem; nie ustawały ani gniewy przeciw panowaniu austriackiemu, ani chęci wydobyć się z pod jego rządów, ani nie zamarły świeże jeszcze wrażenia powstania Tekielowego. Mimo to panował jako tako *zewnątrzny* przynajmniej spokój aż w pierwsze miesiące roku 1703. W Kwietniu tymczasem, właśnie kiedy Rakoczy z Berczenym bawili w Brzeżanach, schwycili za broń włościanie z dóbr jego Munkackich, jak się zdaje tylko z powodu przeciążenia podatkami i dokazywań niemieckiego żołnierza; schronili się uzbrojeni do pobliskich lasów i rozpoczęli przeciw Cesarskim partyzantkę. Wojska cesarskiego, prócz niezbędnych załóg, było w kraju mało, bo wszystkie rozporządzalne siły wyprowadzono do Włoch przeciw Francuzom. Ruch ten chłopski w dobrach Rakoczego przedstawiał się jednakże tak mało niebezpiecznym w oczach władz cesarskich, miał nadto tak dalece wszelkie pozory zwyczajnego chłopskiego przeciw uciskowi szlacheckiemu buntu, że poprzestano na powołaniu przeciw niemu pospolitego ruszenia szlachty pobliskich komitatów. Powstańcy chłopscy okazali

jednakże więcej zmysłu politycznego, aniżeli by się po nich spodziewać było można i wyprawili w Maju 1703 do bawiącego, jak powiedziano, w Brzeżanach u Sieniawskiego, wojewody belzkiego Rakoczego deputacją składającą się z ruskiego księdza nieznanego nazwiska i poddanego z dóbr Munkackich, Laslo Bigy. Oryginalne to, ale w żywych barwach wyrażające usposobienie ziomków poselstwo, oświadczyło księciu, iż cały kraj za wstąpieniem jego na ziemię węgierską gotów wziąć się do broni a że dla tego wzywają go do czém prędszego powrotu. Rakoczy niepewny swych postanowień, nie zawierający sile chłopskiego ruchu, wysłał po cichu z Brzeżan do Węgier zaufanego człowieka, któryby mu o prawdziwym położeniu rzeczy i usposobieniu kraju mógł dać wiarogodne informacye. Wypadły one za powrotem wysłańca zupełnie na korzyść zamierzonego przedsięwzięcia. Zostawiwszy Berczenyiego chwilowo na miejscu, rozporządzając nielicznym zastępem zbrojnych ludzi, których mu dostarczył Marcin Kątski wojewoda krakowski, puścił się Rakoczy w końcu Maja 1703 z Brzeżan, dawnym szlakiem zaciągów węgierskich w Polsce, przez Drohobycz i Skole ku ojczystemu krajowi. Dnia 1 Czerwca 1703 pod wsią Klińcem przekroczył granicę i znalazł się na zachodnim stoku Karpat pośród niedobitków powstania chłopskiego, które tymczasem ze strony pospolitego szlacheckiego ruszenia pod wodzą Karolyiego zupełnej porażki doznało.

Widoki powodzenia zaczęły tedy słabnąć za przekroczeniem granicy polskiej, ale cofać się było już niepodobieństwem. Gdyby celem niniejszego opowiadania były dzieje powstania Rakoczowego; gdybyśmy się lubowali w jaskrawych obrazach i drażniących wyobraźnią opisach awanturniczych przygód, znaleźlibyśmy w pierwszych owych chwilach pobytu Rakoczego na ziemi węgierskiej nie zrównanie wdzięczny materiał. Niepewności, klęski nadzieje, pogodniejsze raz, inny raz chmurniejsze widoki, przypominają tu bądź pierwsze dni Napoleona po wylądowaniu z wyspy Elby, bądź awanturnicze przeprawy pretendentów Sztuartowskich za ukazaniem się ich na rodzinnej ziemi szkockiej... *Przed* nim zamki, choćby tylko dziedziczny Munkacz, zajęte przez niemieckie załogi; w polu *przeciw* niemu stary, nieliczny, ale doświadczony żołnierz cesarski Montecuculego; *około* niego dziki, uzbrojony we widły, cepy, kosy, rzadko w broń palną wieśniak węgierski, na wpół partyzant, na wpół bandyta; *pośród* niego z rzadka żołnierz polski dostawiony przez wojewodę krakowskiego. Położenie groźne, niepewne, zapowiadające może w ostatecznej perspektywie rusztowanie, na którym położyli głowę Tettenbach, Frangipani, własny dziad Zrinyi, może, co niewiele lepiej, sromotę ucieczki, niezaszczytny powrót do Polski. W krytycznym tém położeniu znajduje Rakoczy *dwoch* sprzymierzeńców, jak się pokazało, *skutecznych*: *urok własnego imienia* i znów — *wojewódzkie*

Bełzka. Wszelką niepewność co do ostatecznych celów ruchu o niejasnych dotąd, zagadkowych barwach, usunął dla narodu węgierskiego, ogłoszony Rakoczego pod dniem 7 Czerwca 1703 z Munkacza manifest. Dokument ten, długi, obszerny, wytaczający akt ciężkiego oskarżenia panowaniu austriackiemu, wypowiadał mu ostatecznie posłuszeństwo, powoływał naród węgierski do rozpoczęcia walki o niepodległość. Podobnie wymowny, podobnie pokazną firmą zaopatrzony komentarz ruchu niejasnego w swych początkach, noszącego wszelkie cechy chłopskiego przeciw szlachcie buntu, zelektryzował Węgrów, uczynił od razu przedsięwzięcie Rakoczego sprawą *narodową*. Zebrane dotąd na rzecz Cesarską i z nakazu władz cesarskich pospolite ruszenie węgierskie rozeszło się lub przeszło na stronę Rakoczego. Otóż to korzyści zyskane na nieprzyjacielu *urokiem imienia*. Wspomnieliśmy wyżej o *drugim* jego sprzymierzeńcu wśród tych trudnych i ciernistych początków. Była nim, jak powiedziano, wojewodzina Bełzka, dusza wszelkich robót w téj chwili na rzecz Rakoczego. Kiedy on sam zagłębia się na Węgry i rozpoczyna walkę z Cesarzskimi, organizuje wojewodzina do spółki z Berczenyim, Bonakiem, wojewodą kijowskim, wojewodą krakowskim energicznie i pospiesznie materialną dlań pomoc. Posłuchajmy w tym względzie posła francuzkiego i relacyi innych naocznych świadków. Bona c donosi Ludwikowi XIV o szczegółach ofiarności polskiej

na rzecz Rakoczego a t \acute{e} m sam \acute{e} m i Francyi. „Pan Potocki wojewoda Kijowski,“ pisze Bonac w Sierpniu 1703 do Ludwika XIV, „rozwi \acute{a} w t \acute{e} j sprawie wiele gorliwosci. *Odda $\acute{ł}$ ksi $\acute{e$ ciu Rakoczemu bez pi $\acute{e$ ni $\acute{e$ dz \acute{y} to troch \acute{e} \acute{z} o $\acute{ł$ nierza, kt $\acute{o$ rego wodzi \acute{l} z sob \acute{a} . Ostatniemi czasy o $\acute{s$ wiadczy \acute{l} mi si \acute{e} z gotowosc \acute{a} u $\acute{l$ atwienia wszystkiego, coby \acute{s} W. K. Mo \acute{s} c w t \acute{e} j stronie (na W \acute{e} grzech) chcia \acute{l} a uczyni \acute{c} i pozwoli \acute{l} w swych dobrach na odbywanie zaci \acute{a} g $\acute{o$ w, jakieby si \acute{e} okaza \acute{l} y potrzebniemi, b \acute{a} d \acute{z} to jazdy, b \acute{a} d \acute{z} piechoty.“ „Wyprawi \acute{l} em,“ pisze p $\acute{o$ zniej Bonac do kr $\acute{o$ la francuzkiego, „pewnego, znajduj \acute{a} cego si \acute{e} przy boku moim W \acute{e} gra, aby szed \acute{l} *zakupi \acute{c}* 400 ludzi u wojewody Kijowskiego, kt $\acute{o$ rzy zarazem odstawi \acute{a} do W \acute{e} gier pozosta \acute{l} e pi $\acute{e$ ni $\acute{e$ dz \acute{y} .“ „Pani wojewodzina be \acute{l} zka,“ pisze prawie r $\acute{o$ wnoczesnie w inn \acute{e} m jeszcze miejscu Bonac, „wyprawi \acute{a} w $\acute{l$ asnie jeszcze dwustu czy trzystu Wo $\acute{l$ och $\acute{o$ w do ksi $\acute{e$ cia Rakoczego, aby \acute{z} ywi \acute{c} w umys \acute{l} ach W \acute{e} gr $\acute{o$ w przekonanie, \acute{z} e Polska da poparcie ksi $\acute{e$ ciu a \acute{z} e mo \acute{z} e b \acute{e} dzie wspierany i przez Tatar $\acute{o$ w.“*

Wszystko to, nie zapominajmy, dzieje si \acute{e} w tych ci $\acute{e$ zkich dla Polski chwilach, kiedy Ukraina dymi si \acute{e} jeszcze i krwawi nieprzebol \acute{a} lemi skutkami Palejowego buntu, kiedy Litwa odprawia nieprzestannie sw \acute{o} j harc szlachecko-sapie \acute{z} y \acute{n} ski, kiedy Karol XII bombarduje i pali Toru \acute{n} , kiedy Renski \acute{o} ld z \acute{l} atwym wysi $\acute{l$ kiem zdobywa wielkopolsk \acute{a} stolic \acute{e} , kiedy August stara si \acute{e} na-

daremno wprowadzić w życie uchwały zakończonego co dopiero sejmu lubelskiego. Jakżeby ci ludzie uprowadzani z Polski na Węgry, jakżeby te pieniądze wywożone do Munkacza i do obozowych kass Rakoczego były się przydały Polsce wśród jej strasznych opalów! Swoją drogą zaś ma w tej całej robocie nie małą część niewieści entuzjazm dla rzucającego się w niebezpieczne przedsięwzięcie młodego magnata węgierskiego. Wojewodzina bełzka poczytuje sobie za zaszczyt, obdarzać przebierające się z jej dóbr do Węgier zaciągi w chorągwie z czerwonej tafty, na których błyszczą wyszywane jej ręką złote herby i cyfry Rakoczego i Berczenyiego. Awanturnicza początkowo wyprawa Rakoczego, doznająca w ten sposób pomocy i poparcia nadgranicznych panów polskich, wspierana nadto przez dwór wersalski, zyskiwała grunt, podstawę i widoki powodzenia. Co wreszcie zdecydowało na długie lata sukces Rakoczowego przedsięwzięcia, to oświadczenie się za nim cesarskich generałów, Węgrów rodem. Alexander hr. Karolyi, Szymon hr. Forgacz, pułkownik Antoni hr. Esterhazy przeszli w ciągu r. 1703 na stronę powstania, które w skutek tego właśnie urosło w groźną dla domu austriackiego potęgę. Ruch węgierski wychodzi odtąd na ważny czynnik współczesnej europejskiej polityki, z którym się wojujące strony troskliwie na każdym kroku liczą. Nie kreśląc historii powstania węgierskiego, które nas do tyła tylko obchodzi, o ile

ma łączność z Polską, powiedzmy przecież, że mimo wszelkich usiłowań, dwór austriacki poradzić sobie z niém nie może. Czy to srogość generała Heistera, czy łagodne rady i przedstawienia księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, czy to akcja wojenna, czy próby podejmowane przez dyplomacyą, wszystko to nie skutkuje a coraz powszechniejszy, coraz groźniejszy dla panowania austriackiego pożar obejmuje całe Węgry. Ostatcznym, przyznany i ogłoszonym programem powstania jest niepodległość Węgier pod berłem Rakoczego. Pomoc z Polski i Francyi płynie mu przez następne lata mimo strasznych obu krajów kłopotów dotychczasowym trybem. Pozostają mu jeszcze w wojewodzinie Bełzkiej, w bracie jój starości spiskim Teodorze Lubomirskim, w Józefie Potockim wojewodzie kijowskim wierni przyjaciele, kiedy *innych*, jak prymasa Radziejowskiego, jak w. hetmana Hieronima Lubomirskiego, jak Marcina Kątskiego wojewodę krakowskiego jednego po drugim powoli śmierć uprzęta.

Co by tu może jeszcze zasługiwało na szczególną wzmiankę, to wszechstronność i zręczność dyplomatycznej akcji Rakoczego. W organizacji jój, w umiejętném wyszukiwaniu sprzymierzeńców, w pozyskiwaniu jednych, w utrzymywaniu w związku przyjaźni drugich, widzimy stwierdzającą się i wówczas przysłowiową niemal i ogólnie uznaną, przyrodzoną Węgom zdolność politycznego zmysłu. Jeżeli Rakoczy jest na *tém* polu

mistrzem, należy się ważna część jego zasługi nieodstępemu odeń Berczeniemu. Gdzież on to wszędzie jest i gdzie go wszędzie nie ma! Ciągła korespondencya na wszystkie strony z wojewodziną bełką i panami polskimi. Ciągłe, z tysiącznemi niebezpieczeństwami i trudami połączone podróże do Polski w celu porozumiewania się osobistego bądź to z posłem francuzkim Bonakiem, bądź z przyjaciółmi polskimi. Pamiętajmy zaś, jakie to widowisko przedstawia Polska przez straszne owo siedmioletie od r. 1703—1710: Polska zniszczona, stercząca zgliszczami, deptana przez rozpasane żoldactwo wszystkich sąsiadujących z sobą narodów, zadżumiona, nie pozwalająca nigdzie złożyć spokojnie głowy ani swoim, ani obcym. Mimo to, jakże częstym tutaj gościem Mikołaj Berczeni, to u wojewodziny bełkiej w Brzeżanach, Sieniawie, Puławach, to później u Cara Piotra w Lublinie i Warszawie! Prócz niego zaś, cóż za rój węgierskich dyplomatów i agentów zasypuje Polskę, wszystkie dwory i obozy wojującej naówczas Europy z ramienia Rakoczego, który ze swęj rezydencyi na Munkaczu rządzi po dyktatorsku ojczystym krajem, nie zaniedbuje żadnych starań, by wśród wydarzających się na przemian klęsk i powodzeń, ocalić sprawę ojczyzny, nie zapominając o *własnej*! W Konstantynopolu reprezentuje go Franciszek Horwat, w Wersalu Kökenyesdy, w Polsce opat Spiski Brenner, w Berlinie wsławiony później tragicznym

końcem Klement. Nadto spotykamy się z dwoma polskimi nazwiskami agentów niższego widocznego rzędu, z Tomaszewskim i Nideckim. Obaj pośredniczą w stosunkach z wojewodziną bełką i starostą Spiskim Teodorem Lubomirskim, jej bratem. Jednym z najważniejszych zadań agentów wyprawianych do Polski, było wierne i sumienne przewożenie przesyłek pieniężnych nadchodzących z Francji przez Gdańsk. Coroczne subsydia Rakoczego z Francji wynosiły dla jego osoby 200,000, dla małżonki z domu hrabianki Leiningen, przeszło 16,000 talarów. Summy te szły w postaci wexli, dwojaką drogą, na Gdańsk i Konstantynopol. Między innymi spotykamy się tu jako z takim agentem Rakoczego, przewożącym pieniądze z Gdańska do Munkacza, z Jakóbem Krayem, najwyższym sędzią z Kezmarku na Spiżu. Wyseła nadto Rakoczy agentów czy to do obozu Karola XII pod Altranstädtem podczas jego pobytu w Saxonii, czy do Marlborougha, czy do Cara Piotra podczas pobytu w Polsce. Słowem, ogromna, niezmordowana czynność rozwinięta na wszystkie strony, w której *Polska* jako wdzięczna a skutecznie wyzyskiwana widownia nie ostatnią odgrywa rolę.

Wpatrując się w oblicze ówczesnych wypadków, rozpatrując się w charakterze ówczesnej chwili, w strasznych kłopotach Polski, trudno oprzeć się smutnemu przekonaniu, jak zgubne, jak niebezpiecznych rozmiarów *rozłargnienie*, jak

wielką dywersją ze szkodą własną, stanowiła dla niej współczesna sprawa węgierska. Scharakteryzowawszy w ten sposób *ogólne* położenie rzeczy, którego czy to wewnętrzne warunki, czy zewnętrzna fizyonomia nie zmieniają się wśród tragicznych wypadków, jakimi były czy to detronizacja Augusta, czy elekcya Leszczyńskiego, czy koronacya nowo-wybrańca, czy pochód Karola XII do Saxonii, czy traktat Altransztadzki, czy wkroczenie wojsk Carskich do Polski, będziemy się nie trudnili *szczegółami* Rakoczowych kolei, jako obchodzącemi tylko dzieje Węgier. Dzieje się na téj widowni ze strony polskiej wszystko co się praktykowało dotąd. Idącą po sobie na teatrze wojny raz powodzenia, inny raz klęski bez radykalnej zmiany ogólnej postaci rzeczy a rok dopiero 1707, rok spełnionej abdykacyi króla Augusta, rok uznania Leszczyńskiego przez większość dworów europejskich, nie wyjmując wiedeńskiego, rok trwałego pobytu Cara Piotra w Polsce, wprowadza znów Rakoczego w szczególną i osobnego rodzaju styczność z Polską.

Uprzytomnijmy sobie ówczesne położenie rzeczy: Traktat Altransztadzki i jego upokorzące stypulacye były przez obecnego w Polsce podczas toczących się w Saxonii negocyacyi pokojowych Augusta trzymane długo w tajemnicy tak przed dygnitarzami polskimi, jak przed Carem. Wymownie mianowicie odbywało się na zjeździe Lwowskim, w Lutym i Marcu r. 1707, oburzenie

wypróbowanych stronników sprawy królewskiej, jak prymasa Stanisława Szembeka, jak podkanclerzego koronnego Jana Szembeka, jak miecznika koronnego Stanisława Denhofa, zięcia w. hetmana koronnego Sieniawskiego, z powodu dobrowolnej abdykacji Augusta, Nie mniejsze było oburzenie Cara Piotra, którego ustąpienie z placu Augusta wystawiało na niebezpieczne ciosy mściwego Szweda. Car Piotr nie znał granic gniewu, wchodził w porozumienie z panami polskimi w celu obsadzenia tronu polskiego, nazywał w liście (z dnia 27 Kwietnia 1707) do Cesarza Józefa I Augusta „niepamiętnym przykazań honoru monarchą.“ W podobnym usposobieniu uczynił Car Cesarzowi Józefowi dalszą propozycją, czyby nie zezwolił księciu Eugeniuszowi Sabaudzkiemu wstąpić na tron polski, gdyby go nań *jego*, Cara, protekcya i głosy zgromadzonych na nowy, wolny sejm elekcyjny Polaków powołały? Cesarz Józef pozostawił decyzją tój sprawy wolnej woli swego znakomitego wodza i męża stanu, który przecież w liście niemieckim do Cesarza z Medyolanu (dnia 29 Maja 1707) oświadczył, iż pragnie jedynie tylko służyć *jemu*, jak służył jego „w Bogu spoczywającemu ojcu,“ (Leopoldowi). Tymczasem przychodziło w pomoc gniewom i drażliwościom Carskim przeciw Augustowi usposobienie dygnitarzy i panów polskich, nieobojętnych tak zupełnie na rzeczywistą potrzebę i kłopot kraju. Mówimy tu zaś *nie* o stronni-

kach Szweda, *nie* o zwolennikach młodej i chwiejnej królewskości Leszczyńskiego, ale wyraźnie o zastępie wiernym dotąd Augustowi, o prymasie Stanisławie Szembeku, o podkanclerzym Janie Szembeku, o mężu wojewodziny bełzkiej Adamie Sieniawskim w. hetmanie koronnym, o Stanisławie Denhoffie mieczniku koronnym, marszałku konfederacyi Sandomierskiej, hetmańskim zięciu. O innych licznych zajmujących wpływowe stanowiska osobistościach nie ma tu mowy.

Mimo wszelkiej wierności dla Augusta, mimo wstrętów do Szweda, stanęły przecież w obliczu choćby i *tego* zastępu dwa spełnione fakta, dwa *faits accomplis*, z którymi się liczyć trzeba było. *Pierwszym* była gniewająca, rozdrażniająca ich do najwyższego stopnia, ale nie dająca się zaprzeczyć *abdykacja* tegoż Augusta; *drugim* straszny ucisk kraju przez Kałmuków, Kozaków, istną szarańczę różnonarodowych awanturników, jakich armia Carska posiadała naówczas mnogo. Jeden i drugi fakt wymagał zarady i naprawy. Obie strony, Car i dygnitarstwo polskie, *potrzebowali* się w tej chwili nawzajem. Przypatrzmy się ich zetknięciu i wspólnej przez niejaki czas robocie. Car bawi od końca roku 1706 wraz z synem Alexym, Mężykowem, Dołgorukim, kanclerzem Gołowkinem w Żółkwi, zaglądając raz po raz do pobliskiego Lwowa, assistując nawet odbytej w katedrze lwowskiej ceremonii wyświęcenia biskupa Kujańskiego, Szaniawskiego. Od miesiąca Lutego

zjeżdżają się tamże panowie i dygnitarze polscy Augustowego stronnictwa, o których wyżej była mowa. Car i zgromadzeni dygnitarze polscy, wystawiają sobie nawzajem pod dniem 30 Marca 1707 we Lwowie tak zwany dokument assekuracji, mocą którego Car zaręcza Rzeczypospolitej najuroczyściej całość granic i dotychczasowe swobody; zjazd lwowski pomoc Rzeczypospolitej Carowi przeciw Szwedom, jedna i druga strona niezachwiane trwanie przy traktacie przymierza Narewskim zawartym między Rzeczpospolitą a Carem dnia 30 Sierpnia 1704 przez Tomasza Działyńskiego wojewodę chełmińskiego. Co ze względu na nasz przedmiot w zaopatrzonej licznymi podpisanymi stronników Augustowych assekuracji polskiej na uwagę zasługuje, to ustęp brzmiący dosłownie, jak następuje: „Tego jedynego tylko uznamy za króla i pana naszego, którego wolnemi, całej a niepodzielnej Rzeczypospolitej głosami na tronie osadzimy, bez oglądania się na adherentów szwedzkich, na stronie nam przeciwniej się znajdujących.“ Ustęp ten „assekuracji“ polskiej świadczył, że jeżeli zjazd lwowski pod patronatem Cara nie uznawał Leszczyńskiego, uznawanego w tej chwili właśnie, podczas pobytu w Saxonii, przez większość mocarstw europejskich, nie wynosił też wcale królewskości Augusta na stopień jakiegoś dogmatu nieomylności politycznej. W gruncie rzeczy ogłaszała assekuracja polska temi wyrazami tron polski za wakujący a pod tym względem schodziły

się intencje zgromadzenia lwowskiego z intencjami Cara. Co więc, widzimy z korespondencji toczącej się między w. hetmanem koronnym Sieniawskim i jego małżonką a Besenvalem, posłem francuzkim przy boku Karola XII., mianowicie z listu hetmana z dnia 2 Sierpnia 1707, że owo niby-to Augustowe stronnictwo w Polsce starało się usilnie wpływać na króla szwedzkiego, aby z Carem zawarł pokój, zgadzając się nawet ostatecznie na królewskość Leszczyńskiego. „JKMość Szwedzka,“ pisze Sieniawski w pomienionym liście, „utrwali najlepiej nowo-koronowanego za pomocą pokoju z JCarską Mością i Rzeczpospolitą skonfederowaną.“

Była, zapytałby teraz należało, w podobnym oświadczeniu szczerść i prawda?

Mamy prawo *wątpić*, tém większe, że równo cześnie właśnie, jak mieliśmy się sposobność przekonać naocznie w archiwum drezdeńskim, toczyła się poufna korespondencya między królem Augustem i małżonkami Sieniawskimi a obojga listy z Sierpnia i Września r. 1707 wyrażały uczucia wierności dla zdetronizowanego króla. Co rzeczą pewną, to że hetman Sieniawski grał wówczas dwulicową rolę, że przemyślał może o koronie dla samego siebie. Za to trudno odgadnąć z dostępnego nam materiału, o ile wraz ze swą małżonką, dawną przyjaciółką Rakoczego, był raczej tylko neutralnym i ubocznym widzem, aniżeli współuczestnikiem planu, którego inicjatywa była

widocznie dziełem przebywającego w Warszawie Cara i jego otoczenia. Otóż tedy w nienawiści swój do wiarołomnego Augusta, pomyślał Car Piotr — o kandydaturze Franciszka Rakoczego na tron polski. Że naczelnik powstania węgierskiego miał licznych i wpływowych przyjaciół z dawniejszych czasów w Polsce, nie nowiną dla nas. Więcej za to zastanawia, że Car Piotr, który poprzednio chciał ofiarować koronę polską Eugeniuszowi księciu Sabaudzkiemu, przerzucił się obecnie w stronę wręcz przeciwną i uczynił się z pewnym uporem patronem kandydatury pogniwanego śmiertelnie z domem austriackim Rakoczego. O ile różni panowie polscy brali tę kandydaturę na seryo, o ile byli gotowi przyjąć ją w ostatecznym razie, pozostanie rzeczą wątpliwą, tém więcej, że na pozór tak nawet życzliwa Rakoczemu osobistość, jak miecznik koronny Denhof wyraża się później, „że Węgrzy podjęciem myśli téj kandydatury przyczynili się tylko do powiększenia zamieszania w Polsce;“ że sama hetmana Sieniawska, mimo wszelkiej życzliwości dla Rakoczego, robiła jego reprezentantowi Berczenyiemu ze łzami w oczach wyrzuty, iż bez poprzedniego z nią porozumienia pozwolił z sobą traktować o koronę polską. Faktem mimo to niezaprzeczonem pozostanie, iż pomysł Cara, by osadzić Rakoczego na tronie polskim, był wiadomym prymasowi, Szaniawskiemu biskupowi kujawskiemu, małżonkom Sieniawskim, późniejszemu ich zięciowi

Denhoffowi, Pocijowi podskarbiemu litewskiemu Morsztynowi wojewodzie Sieradzkiemu, Potockiemu staroście Ropczyckiemu. Wszyscy oni, mniejsza o to z jakim stopniem zapału i szczerości, traktowali sprawę kandydatury Rakoczego, co najmniej, bez jakiegobądź zgorszenia. Co się tyczy odbywającej właśnie wówczas swe posiedzenia Rady lwowskiej, miał u niej Rakoczy stałego swego reprezentanta w osobie księdza Nideckiego; główną zaś podporę *pośród* niej znajdował w wojewodzie wołyńskim, Janie Stadnickim. Dodać przy tej sposobności należy, że w epoce owój, złotój istnie dla wszystkich zręczniejszych nieco awanturników i „rycerzy przemysłu.“ Car używał w interesie Rakoczego, jako pośrednika, raz między Munkaczem, inny raz radą lubelską, zmarłego później w początku Września 1707 w Warszawie Francuza Corbé...

Rada lwowska ogłosiła dnia 11 Lipca 1707 bezkrólewie, w skutek czego zarządzono wybór sądów kapturowych. Naznaczono termin na dzień mającemu się zebrać w Lublinie sejmowi nowemu, 11 Sierpnia. Car korzystając z tego położenia rzeczy, wyprawił, niewiadomo nam o ile w porozumieniu z pomienionymi panami polskimi, tajnego sekretarza swego, wspomnianego co dopiero Francuza Corbé do Rakoczego, na zamek Munkacki z zapytaniem, czy gotów przyjąć koronę polską? Cała ta negocyacya, przypominamy, jakkolwiek przeniknęła ostatecznie w publiczność, toczyła się zakulisowo, potajemnie. Rakoczy chciał początko-

wo dać odmowną odpowiedź na propozycją Cara. Przedstawienia Corbégo stały się dlań jednakże powodem innych postanowień. Corbé tłumaczył z polecenia Cara, że w razie jego odmowy Car powróci do swój pierwotnej kombinacji i będzie się starał osadzić na tronie polskim księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, który pozostając jako król polski w przymierzu z Austryą, stanie się naturalnie niebezpiecznym powstaniu węgierskiemu i sprawie Rakoczego. Nadto przedstawiał Corbé, że Car pragnie gorąco zawrzeć pokój z Karolem XII. i pozostać w dobrych stosunkach z Ludwikiem XIV., w czém liczy na pośrednictwo Rakoczego. Że Car chciał istotnie zawrzeć naówczas (w miesiącach latowych 1707) pokój z królem szwedzkim, najlepszym tego dowodem powyżej przytoczony list w. hetmana koronnego Sieniawskiego do posła francuzkiego Besenvala. Co się zaś tyczy Rakoczego, to kandydatura jego, jak z jednej strony była pomysłem tak wpływowej w Polsce potęgi, jaką był Car Piotr, tak z drugiej odpowiadała najzupełniej interessom i życzeniom dworu wersalskiego. Mieć w Polsce króla, któryby rozporządzał równocześnie krajem i zasobami Węgier, znaczyło to samo, co wynieść do wysokości podwójnej potęgi i tak już tyle niebezpieczną dla domu austryackiego dywersyą węgierskiego powstania. Mimo to wahał się Rakoczy z przyjęciem ofiary Carskiej, aż w początku Sierpnia 1707 stanął w Munkaczu ponownie Corbé, nalegając na sta-

nowczą odpowiedź. Pod wrażeniem podobnych okoliczności, rozpoczął Rakoczy sam, rozpoczęto nadto w jego interesie i imieniu na téj widowni akcją, której szczegóły pokrótce opowiemy, zaczynając od strony jej *francuzkiej*. Jak się przekonamy, stała ona się tłumaczem intencji Rakoczego tam, gdzie tego *głównie* było trzeba, w sposób nader ostrożny a zarazem i podstępny. Mamy tu na myśli obóz Altransztadzki Karola XII. Wspomniany już kilkakrotnie w naszym opowiadaniu Besenval, poseł francuzki przy boku Karola XII, zawiadomił go z polecenia Rakoczego (w początku Sierpnia 1707 w Altranstädt) o projekcie Cara i zapytał, jakby się na kandydaturę polską węgierskiego magnata zapatrywał? Widocznie nie mieli ani Besenval, ani Rakoczy zamiaru występować wobec dumnego Szweda z *całą* prawdą. Obaj kładli jako wstępny téj negocyacji warunek zawarcie *pokoju* między królem szwedzkim a Carem. Rakoczy, w razie zezwolenia Karola XII. na swą kandydaturę, ofiarował się pójść do Polski a po pacyfikacji kraju ustąpić tronu Leszczyńskiemu. Słowem, przedstawiały się owe propozycye francuzko-Rakoczowe na pierwszy rzut oka jako zamiar łowienia ryb w mętnej wodzie, jako intencya wyprowadzenia Szweda w pole, jako ryzykowna próba uspienia jego podejrzliwości, może i jego czynności, ku tém łatwiejszemu podjęciu *własnej* akcji w Polsce. Że *tak* było a nie inaczej, najlepszym dowodem równoległe roboty

Rakoczego w Polsce, o których zaraz niżej będzie mowa. Co się zaś tyczy Karola XII, powiedzmy tylko tyle, że dumny odniesionemi powodzeniami, że uparty w postanowieniu obrony królewskości Leszczyńskiego, odrzucił z wyniosłością propozycyę Besenvala a Rakoczemu kazał oświadczyć, iż będzie uważał za nieprzyjaciela każdego, kto by się wdał z Carem w podobnego rodzaju negocyacyą. Zresztą żywił niechętnę usposobienie Karola XII. dla Rakoczego reprezentant dworu wersalskiego przy jego *) boku des Alleurs, osobisty nieprzyjaciel Berczenyiego.

Zobaczmy teraz, co Rakoczy, sparzywszy się na widowni saskiej u króla szwedzkiego, robił *równocześnie* na polskiej. Pod koniec Sierpnia 1707 wyprawił ze swój Munkackiej rezydencyi poselstwo składające się przedewszystkiem z zaufanego Mikołaja Berczenyiego, następnie z Franciszka Kłobusickiego, Franciszka Berthotego, Alexandra Ketzera i Pawła Radaja do Polski. Zadaniem tego poselstwa było: *zobaczyć, co się da zrobić* dla Rakoczego i sprawy węgierskiej między młotem szwedzkim a kowadłem Carskim i wejść w tym celu w bliższe porozumienie na miejscu, nie mniej z Carem i jego doradcami Mężykowem, Golowkinem i Corbém, jak z przychylnymi Rakoczemu panami polskimi. Zauważyć tylko należy, że prymas Stanisława Szembeka już naówczas w Polsce nie było. Usunął się tymczasem do Opawy na

*) Rakoczego.

Szląsku. Naczelnikiem tego poselstwa a zarazem dokładnym z jego podróży i czynności sprawozdawcą był Berczenyi. Dziwaczna to, jaskrawa, ale żywa i barwna, w języku madziarskim utrzymywana, przeplatana łacina, ustępami polskimi i rosyjskimi korespondencya owego *adlatusa* Rakocznego. Podajemy jęj próbkę zdającą sprawę z konferencyi z podskarbisem litewskim Ludwikiem Pocijem: „De praeter complementum nihil; *hanem feci, occasione data, sermonem de amore libertatis et ejus conservatione, ac gloria nobilitari; Kit, ugy lattam, cum aviditate hallgatak* a poszli.“

Węgierskie poselstwo, przebywszy granicę polską około 20 Sierpnia, znalazło się 23 tegoż miesiąca w Rymanowie. Tutaj to doszły Berczenyiego, jak pisze, „przez Wołoszyna“ z Warszawy listy od Cara, żądające spieszego Węgrów przybycia, co się przecież żadną miarą uskutecznić nie dało, ponieważ drogi były najgorsze, powozy się co chwila psuły, ludność miejscowa okazywała się niechętną, konie, jakich dostarczała, były nędzne a trudność o wyżywienie ludzi i koni niesłychana. W dalszym ciągu podróży dopiero, za Sandomierzem, postarał się Car Piotr o lepsze wygody węgierskiego poselstwa. Nie należy teraz zapominać, że kiedy Car przebywał w Warszawie, rada polska odbywała posiedzenia swe w Lublinie, że więc zdążając do Warszawy, nie można było w interesie Rakocznego zaniedbywać zupełnie wi-downi lubelskiej. W tym celu podzielilo się tedy

węgierskie poselstwo i kiedy Berczenyi z Berthothim puścili się w dalszą podróż ku Warszawie, Kłobusicki i Raday udali się do Lublina, aby tamże pracować u rady dla sprawy Rakoczego. Wśród podróży ku Krosnu dochodziły Węgrów doniesienia od ks. Nideckiego z Lublina o korzystnym usposobieniu Polaków dla Rakoczego, o prawdopodobnym przybyciu hetmana Sieniawskiego wraz małżonką, wreszcie o wrogiem usposobieniu miejscowej ludności dla wojsk rossyjskich, „których Polacy kochają równie, jak my Węgrzy Niemców.“ Dnia 24 Sierpnia zajechało poselstwo węgierskie z chorym Berczenyim na czele do Krosna, w pięć dni później wreszcie dobili szczęśliwie do Sandomierza. Tutaj to naładowali swe bagaże na statki i wyprawili je Wisłą, kiedy sami w trzech powozach z wyborną uprzężą ruszyli traktem wzdłuż rzeki do Warszawy. Po drodze zajeżdżali im drogę raz po raz różni panowie polscy. Mianowicie wspominają sprawozdania Berczenyiego do Rakoczego: Potockiego starostę Ropczyckiego i Morsztyna wojewodę sieradzkiego. Morsztyn przywiózł wiadomość, że wprawdzie Nidecki i Corbé spotykali się w Lublinie z głosami na rzecz kandydatury Rakoczego, ale że równocześnie pojawia się kandydatura hetmana Sieniawskiego, którego w Lublinie dotąd nie ma a któryby tam dotąd chyba wtedy tylko pojechał, gdyby się tamże i Car Piotr pojawił. Zakomunikował nadto wiadomość, że rada lubelska ma być prawdopodobnie prze-

niesiona do Warszawy. Nad tém wszystkim ciążyła jednakże, według relacyi Berczenyiego obawa, aby Szwedzi powracając z Saxonii, nie obalili całej téj z kart budowy i nie zapobiegli owej „wolnej elekcyi“ projektowanej przez radę lubelską a mającej się obrócić na korzyść Rakoczego. Mimo to, aby nie pozostawiać na połowie drogi podjętego dzieła, wyprawił Berczenyi za Kłobusickim i Radayem inną jeszcze swego otoczenia osobistość, Kőköneszdiego, do Lublina ku rozjaśnieniu zamglonej nieco sytuacji. Potrzeba tego była tém większa, że według doniesień Nideckiego z Lublina, rada nie chciała przyjmować Radaya i Kłobusickiego, jako nie będących „*capita legationis*“, że rada sama postanowiła się do dnia 9 Września limitować, że wreszcie hetmaństwo Sieniawscy, na których wśród obecnych okoliczności tak bardzo wiele zależało, nie tylko nie stanęli w Lublinie, ale co więcej, jakoby zjeżdżając z drogi poselstwu węgierskiemu, opuścili swą rezydencyą puławską i udali się, hetman do obozu wojska koronnego o 6 mil od Warszawy, hetmanowa do Warszawy samej. Wśród podobnych, niekoniecznie pogodnych dla poselstwa węgierskiego w podróży między Sandomierzem a Puławami konstellacyi, pocieszającą była wiadomość, że reprezentujący Cara u rady lubelskiej książę Dołgoruki przyjął bardzo uprzejmie przybywającego do Lublina Kőköneszdiego. Już to wogóle nie mieli Węgrzy powodu skarżyć się w téj podróży na brak uprzejmości carskiej. Przyby-

wając do Puław dnia 2 Września, nie zastali Węgrzy, jak powiedziano, obojga małżonków Sieniawskich, którzy na cztery dni przedtem Puławę opuścili. Raził ich oczy, jak powiada sprawozdanie Berczeniego, widok spustoszenia, jakie piękna włość po przeszłorocznej pożodze i zniszczeniu szwedzkiem przedstawiała. Ludność miejscowa unikała ich i schodziła im z drogi w obawie nowych jakich ciężarów i kontrybucyi; za to jednakże nie zbywało Węgom na coraz to liczniejszych i energiczniejszych objawach uprzejmości ze strony Cara i jego dygnitarzy. Pod tym względem nie mają się powodu skarżyć. I tak przybywa dnia 1 Września z Krosna do znajdujących się właśnie w Kaźmierzu nad Wisłą Węgrów *carski* kurjer z wiadomościami od księdza Nideckiego w Lublinie. Tuż następnie doszedł do kanclerza carskiego Gólowkina list wzywający ich do czém prędszego przybycia do Warszawy. Z takimże samém wezwaniem przybył do nich z Warszawy do Puław wyprawiony ze strony Carskiej pewien niewymieniony z nazwiska starosta polski; z takimże wreszcie naleganiem doszedł ich również w Puławach list od kniazia Dołgorukiego z Lublina. Nie zbywało więc, jak ztąd widzimy, podczas kilkodzielnego pobytu poselstwa węgierskiego w Kaźmierzu i Puławach na dowodach, iż Carowi zależało z pewną gorączkową niecierpliwością na oglądaniu go co prędej w Warszawie. Jeden książę Mężykow podobno tylko z otoczenia Cara miał okazywać

niechętnie usposobienie dla osoby i pretensyi Rakoczego, być zwolennikiem domu austryackiego. Tymczasem dochodziły tutaj, według sprawozdania Berczenyiego, poselstwo węgierskie wiadomości z różnych innych stron, bądź to o swobodnym gospodarowaniu Szwedów na Szląsku, bądź o zgonie i świetnym, wyprawionym przez Cara pogrzebie Carbégo w Warszawie, bądź o usposobieniach panujących w Polsce i pomiędzy Polakami dla kandydatury Rakoczego. Pod tym względem zdaje się być dla Węgrów głównem, niewiadomo, o ile autentycznym źródłem niewymieniony z nazwiska, pozostały na miejscu w Puławach, przyboczni lekarz francuzki hetmana Sieniawskiego. On to komunikuje *sub sigillo* Węgrom, że wojsko koronne gotoweby może oświadczyć się za Rakoczym, on dalej tłumaczy im, że Sieniawski sam o tronie polskim nie myśli a że jego kandydatura w żadnym razie niebezpieczną dla Rakoczego nie jest... Wieczorem dnia 6 Września przybyli nareszcie Węgrzy do Warszawy, gdzie jak nam już wiadomo, pozostawał Car, dokąd równocześnie przybyli od zalimitowanej rady lubelskiej z „sumarycznymi punktami“, jak pisze Berczenyi, przyszłych *pactów conventów* dla Rakoczego. Nawiasowo powiedzmy, iż Berczenyi nie był z nich zadowolnionym. Tymczasem nadmienić należy, że już w drodze między Puławami a Warszawą nie zbywało na nowych wysłańcach carskich, naglących Węgrów, by przyspieszali swe przybycie, na przygotowaniach, aby

ich na miejscu uroczyste przyjąć. Berczenyi sam był tyle skromnym czy ostrożnym, iż się wyprasał od zbyt okazałych uroczystości przyjęcia, że przeciwnie pragnął, aby wjazd jego do stolicy polskiej odbył się niepostrzeżenie. Na samym progu niemal stolicznym spotkał się wyręczyciel Rakoczego z wyraźnym dowodem antagonizmu, jaka sprawa jego mocodawcy wywoływała ze strony dawnych przecież i wypróbowanych przyjaciół, jakimi się zdawali dlań być małżonkowie Sieniawscy. W Czerniakowie zajęchała Berczeniyemu drogę hetmanowa Sieniawska. Przy sposobności tego spotkania występowała z pewnym namiętnym rozdrażnieniem, że łzami w oczach, przeciw postępowaniu ks. Nideckiego i Radaya w Lublinie, następnie i przeciw Rakoczemu samemu, że bez jej wiedzy i bez poprzedniego z nią porozumienia, oświadczył się za przyjęciem korony polskiej. Straszyla go dalej Pani Sieniawska, że z całej zamierzonej elekcyi nic nie będzie, że takowa odbędzie się tylko *pro forma*, bez rzeczywistych następstw, że Francya sama kandydaturze Rakoczego przeciwna, że Car nawet sam dziwi się chęci jego porzucenia Węgier dla Polski, że bliskie nadejście Szwedów całą tę budowę obali, że niedorzecznością było ze strony Węgrów przyjeżdżać na tak niepewne rzeczy do Polski. Co tu przez Panią Sieniawską mówiło, czy przywiązanie do sprawy detronizowanego Augusta, czy własna ambicya, nie umiemy powiedzieć. Tyle tylko pewna,

że Berczenyi przyjął tę niewieścią burzę z pewną równowagą, że się starał hetmanową uspokoić, że wreszcie donosząc o tém wszystkiem Rakoczemu, odpowiada na zadane sobie samemu pytanie: „A więc cóż robić?“, iż należy podjęte dzieło prowadzić dalej na „dobrych podstawach.“

Co w rozumieniu Berczenyiego reprezentowało „owe dobre podstawy,“ pojmiemy najlepiej, gdy sobie uprzytomnimy stósunki z jego wszechwładnym chwilowo w Polsce Carem, gdy sobie przypomnimy nie przytoczony jeszcze przez nas szczegół, iż pełnomocnik Cara na radzie lubelskiej, zjechawszy się za Puławami z Węgrami, odpowiedział na ich obawy i skrupuły co do możliwych współkandydatów polskich, lekceważącym ich wykrzyknikiem: „*sem primas, sem marszał.*“ W przeświadczeniu podobnej opieki przeciw łzawemu rozdrażnieniu hetmanowej Sieniawskiej, zjechał tedy Berczenyi, jak powiedziano, 6 Września wieczorem o godzinie 9 do Warszawy i dostał kwatery w pałacu Radziwiłłowskim. Do znużonego podróżą, chorego posła przyszedł już rano o godzinie 7-mej wystrojony, przybrany w order św. Andrzeja komisarz Carski z tłumaczem i zapytał w imieniu kanclerza Gołowkina, kiedy mu stan zdrowia pozwoli stawić się u Cara? Oświadczwszy, że ciężka migrena nie dopuszcza mu żadną miarą stawić się dzisiaj na konferencyą, odebrał Berczenyi po południu ponowne wezwanie, aby przybył do Cara w następny poniedziałek.

Rano o godzinie 10 tegoż dnia zajechał po niego kolasa kanclerz Gołowkin wraz z innym jeszcze wysłańcem Carskim i zawiózł go do Cara. Oryginalne było to spotkanie między reprezentantem Rakoczego a Carem Piotrem. Car wszedł do komnaty wraz z tłumaczem posiadającym język łaciński i przywitał Berczenyiego dobrą wiadomością o klęsce Austryaków pod Toulonem. Berczenyi pocałował Cara w rękę, poczem rozpoczęła się konferencya na wpół w języku rossyjskim, na wpół polskim, który Berczenyi jako tako z pobytu swego w Polsce posiadał. „Wasza Miłosti,“ odezwał się Car według sprawozdania Berczenyiego, „goworisz po rusku, ja tak czuję, możemy goworiti. Jak widzę, Miłosti Wasza rozumiesz!“ Rubaszna ta uprzejmość przenosiła się na dygnitarzy Carskich, na Mężykowa, Gołowkina, Dołgorukiego. Tak n. p. odzywa się Mężykow do Berczenyiego: „Ja sługa i kniaziu Rakoczemu i Twojej Miłosti. Jakoż się masz?“ Nie znamy wprawdzie ceremoniału na wędrownym wówczas dworze Carskim, zdaje się jednakże, iż nie bronił Cara od różnych sollicytantów, ponieważ Berczenyi nadmienia, że wobec napływu różnych osobistości, mianowicie posłów polskich z Lublina, Car sam przerwał konferencyą, odroczył ją, a do Berczenyiego powiedział z akcentem pewnej życzliwości: „Dobrze, dziękuję, możecie teraz pójść!“ Istotnie odbyła się też po południu tegoż samego dnia nowa konferencya między Gołowkinem i to-

warzyszającym mu sekretarzem a Berczenyim. Z konferencji téj był Berczenyi do tyła mniej zadowolonym, że Gołowkin z dwóch przyczyn zalecał być Rakoczemu ostrożnym i nie pospieszać zbyt elekcyi. *Pierwszą* był wzgląd na Cesarza, z którym Car zbyt otwarcie i zbyt szybko dobrych stosunków zrywać nie chciał; *drugą*, zbliżające się coraz więcej w dotykalméj postaci prawdopodobieństwo pojawienia się na widowni warszawskiej zwycięzkiego Szweda. Nie przeszkadzało to jednakże, iż Gołowkin przedłożył Berczeniyemu punkta *pactów conventów* ułożone z Kłobusickim w Lublinie, że Berczenyi na wezwanie Gołowkina zreagował krótko i treściwie własne wobec nich zastrzeżenia i uwagi. Wieczór po téj konferencji z Gołowkinem przepędził Berczenyi u hetmanowej Sieniawskiej, gdzie zastał marszałka konfederacyi Sandomierskiej Denhoffa. Polityka nie była tu jednakże traktowaną a cały wieczór przeminał na pogadance i na wzajemnych komplementach. Natomiast przybył tego samego wieczora do Warszawy sam hetman Sieniawski i odbył niezwłocznie konferencyą z Carem. Odtąd, to jest od tego poniedziałku, nie ma prawie dnia, w którym by się nie toczyły narady między panami polskimi, hetmanem Sieniawskim, miecznikiem Denhoffem, biskupem Kujawskim Szaniawskim, podskarbisem litewskim Pocijem, hetmanową Sieniawską a Berczenyim i przybyłym tymczasem do Warszawy ks. Nideckim, w interessie kandydatury i elekcy

Rakoczego. Obiady, wieczory, poufne przechadzki po ogrodzie sam na sam z hetmanem Sieniawskim, dostarczały sposobności do aż nazbyt dostatecznego omówienia Rakoczowej sprawy. Przybyło nadto do Warszawy ośmiu nie wymienionych bliżej w listach posłów rady lubelskiej. W tem to gronie, za inicjatywą stojącego poza tém wszystkiém Cara, przyszła do skutku decyzja, „aby dobro wolności w jednym i drugim kraju, w Polsce i Węgrzech powierzyć wraz z tronem męzkemu umysłowi, gotowemu do wszystkiego, przez co wolność Węgier odżyć, rany Polski uleczyćby się mogły.“ Przrzeczono sobie nawzajem nie odstępować od podjętego dzieła, dopóki Rakoczy pozostaje w przymierzu z Carem; ułożono się wreszcie w przedmiocie zabezpieczenia szlacheckich swobód i w sprawie zapłaty wojska. Że Car sam brał kandydaturę Rakoczego w nienawiści swój chwilowej do Augusta bardzo na seryo, nie ma najmniejszej wątpliwości. Między innemi, na jednej z licznych konferencyi, odezwał się Car do Bercezyńskiego i Polaków: „Zaraz trzeba króla obierać!“ Po wyjściu zaś Szweda, obiecywał Car Rakoczemu spokojne rządy i mówił: „Życzę sobie w sąsiedztwie mojem dzielnego człowieka, nie takiego Augusta!“ Spodziewał się nadto Car, spodziewali się Węgrzy sami bardzo wiele dla powodzenia sprawy Rakoczego po przymierzu francuzkiem. Czyż jednakże owemu chwilowemu zapalowi Cara Piotra dla sprawy Rakoczego, dotrzymanywał ró-

wnego kroku zapal dlań choćby tylko *tych* panów polskich, których widzimy komplementujących i częstujących poselstwo węgierskie w Warszawie, którzy odbywają konferencye z Berczenym wśród uprzejmych i grzecznych oświadczeń dla jego mocodawcy? Mamy wszelki powód przypuszczać, że *nie*, że wszystko, co w tym względzie czynią, czynią przez obawę Cara, przez chęć nie narażania się na jego gniewy. Przypuszczenie nasze opieramy na fakcie nasamprzód, iż wszyscy ci panowie i pani hetmanowa Sieniawska znajdują się równocześnie w zabiegłej korespondencyi z królem Augustem; opieramy je dalej na sprawozdaniach do Rakoczego samegoż Berczeniego. Jakiż to śliski ów polski grunt, po którym pełnomocnik Rakoczego poza plecami Cara stąpa! Najwypróbowawszy, jak się zdaje, z pomiędzy Polaków zwolennik Rakoczowej sprawy, Jan Stadnicki wojewoda wołyński, nie był na miejscu, znajdował się w podróży do Rakoczego a teraz utknął z niewiadomych przyczyn z powrotem, w Skolu. Marszałek konfederacyi Denhoff, miał się, jak już wspomnieliśmy wyżej, wyrazić: „iż Węgrzy chyba na to tylko przybyli do Warszawy, by zwiększać zamieszanie;“ hetman Sieniawski był, mimo wszystkich uprzejmości i komplementów dla Berczeniego bardzo niepewnym dla sprawy Rakoczowej filarem, być może nawet, iż i współzawodnikiem księcia węgierskiego do korony polskiej, jak to z różnych stron Berczeniemu donoszono. Co się tyczy het-

manowej Sieniawskiej, walczyły w niej z sobą, o ile można wnosić z nie dość wyraźnej pod tym względem korespondencyi Berczenyiego dwa sprzeczne prądy: dawna przyjaźń dla Rakoczego z własną ambycją i z obawą nadciągającego Szweda. Pani Sieniawska przestrzega reprezentanta Rakoczowego, aby się miał na ostrożności przeciw niepewnym przyjaciółom, aby nie wierzył wszystkim, którzy w obawie narażenia się Carowi, udają zwolenników jego kandydatury tronowej, ale równocześnie okazuje jej i *sama* dość wyraźną niechęć, odradza pospiech, wyrzuca Berczenyiemu i posłom węgierskim, że przybyli bez należytego przygotowania na niepewne rzeczy. Ostatecznie jednakże przyszło o tyle do porozumienia między hetmanową a reprezentantem Rakoczego, że ją Berczenyi pozostawił w Warszawie jako osobistość szczególnego swego zaufania, że hetmanowa rolę tę przyjęła i przyrzekła nawet w razie potrzeby udać się na granicę węgierską w celu osobistego skomunikowania się z Rakoczym. Ostatecznie jednakże pozostał główną podporą i nadzieją Rakoczowych planów na Polskę Car Piotr, który chciał rzecz pospieszać, do elekcyi co prędzej przystępować, tak że Berczenyi pod wrażeniem podobnych usposobień Carskich, pisze do Rakoczego: „Była to dziś dla nas szczęśliwa środa, niech Bóg zrobi dobry koniec w sobotę!”

W niedzielę po téj sobocie (dnia 14 Września), postanowił Berczenyi opuścić Warszawę

i powrócić do Rakoczego. Przyczyna podobnego postanowienia była bardzo naturalna. Właśnie w chwili rozpoczęcia owych konferencyi warszawskich między poselstwem węgierskiem a Carem i panami polskimi, nadeszła wiadomość, że król szwedzki wyruszył w pierwszych dniach Września z Saxonii; nieco później, że już przekroczył Odrę, wkrótce potem, że się już znajduje w okolicy Poznania. Ponowna, podjęta przez Rakoczego próba, by się zbliżyć za pośrednictwem Renskiölda do Karola XII. okazała się nadaremna. Podobnie jak po raz pierwszy odpowiedział król szwedzki, że będzie uważał za własnego nieprzyjaciela kogośbądź w Polsce, kto wejdzie w stósunki i negocyacye z Carem. Car ani panowie polscy nie mogli myśleć o stawianiu jakiegobądź skutecznego oporu królowi szwedzkiemu w Polsce saméj. Nie ma żadnej wątpliwości, że Car wziął sobie naówczas kandydaturę Rakoczego do tronu polskiego bardzo na seryo do serca. W obecnej chwili nie miało jednakże to wszystko żadnego znaczenia, ani uprzejmość i aspiracye carskie, ani zapadające choćby w dyskretne porozumieniu postanowienia szczupłego grona stronników polskich Rakoczego. Decyzya spoczywała, jak sobie tego nikt nie taił, w ręku króla szwedzkiego nadciągającego coraz bliżej i bliżej ku sercu Polski w powrocie swym z Saxonii. Z jego ukazaniem się na widowni polskiej, kończyła się możność podjętej między Carem, panami polskimi a węgierskiem poselstwem

roboty. Czuli to dobrze oni wszyscy, czuł mianowicie sam Rakoczy, zalecając z przyzwoleniem Cara poselstwu swemu utrzymać na tymczasem całą negocjacją co do swęj kandydatury w tajemnicy. Właśnie w tych samych dniach prawie, kiedy król szwedzki, zabierając się do egzekucyi nieszczęsnego Patkula, zakładał główną swą kwatery w Słupcy, opuściło poselstwo Rakoczego Warszawę i ruszyło z powrotem do Węgier. W okolicy Kaźmierza nad Wisłą zabrało z sobą po drodze przybywających z Lublina ks. Nideckiego i Kłobusickiego; dnia 24 Września znajdujemy je w Bełżu. Na tęg poronionęj próbie skończyły się zabiegi Rakoczego o koronę polską a miecznik Denhoff nie był bez racyi, mówiąc, „że Węgrzy chyba na to tylko do Warszawy przybyli, by zwiększać tutajsze zamieszanie.“ W liście z końca Września do agenta Augustowego Goltza, pisze hetman Sieniawski: „O Węgrach opowie oddawca.“ *) Dodać by nam chyba tylko wy-

*) Przy tęg sposobności zauważmy nawiasowo, że znajdująca się w archiwum drezdeńskiem korrespondencya małżonków Sieniawskich z królem Augustem, w języku francuzkim, nosi ślady swęj epoki a ortografia nie pozostawia niczego do pozazdroszczenia ortografii Maurycego Saskiego. Tak n. p. próbka listu hetmana Sieniawskiego do króla Augusta z dnia 28 Września 1707: „Sire, je resü aveq profont respect s'el quel ma honorer Votre Majesté je ne vet pas rien metr isi mes ge me remet etc.“

Próbka listu hetmanowęj Sieniawskięj do króla Augusta z dnia 5 Maja 1708: „Sire, Je me croiez la plus malheureuse de cete Siecl etant esuiet tant de traverse, mais le souvenir de Vostre Maiesté et

padało, że te niekoniecznie dobrém powodzeniem uwieńczone *polityczne* zabiegi Rakocze-
go, nie wpłynęły niekorzystnie na jego dotychczasowe
stósunki przyjaźni *osobistój* z hetmanową Sieniaw-
ską i panami polskimi. Co zaś najważniejsza, po-
zostawiły one trwałą ślad związków z Carem i je-
go otoczeniem. Zobaczymy niżej, jaką związki te
odegrały rolę w dalszych i późniejszych Rakocze-
go kolejach. Fakt zaś sam téj kandydatury sta-
nowi punkt kulminacyjny w epizodzie Rakoczo-
wym dziejów Augusta II. Przypatrzmy się jego
dalszemu przebiegowi wśród zmienionych na wi-
downi polskiej okoliczności. Nie przestaje być
i nadal ciekawym, choć, jak się przekonamy, zmie-
nia dotychczasowy charakter i zewnętrzny fizyo-
nomię.

II.

Zmiana, której wzmianką zakończyliśmy po-
przedzający naszego opowiadania ustęp, była na-
turalnym i koniecznym wynikiem wydarzeń, jakie
nastąpiły tymczasem tak we Francyi, jak w Pol-
sce. Ludwik XIV. poniósł długi szereg strasz-
nych klęsk, które się odbiły zabójczo na jego po-

*L'honneur qu'il ma fait dans la lettre de Mr le Palatin me recompense
toute ma malheur et il me rend de ne (?) toute ma vie des ces graces
que j'ousqu' au dernier soupir ie serai Sire de Vostre Maiesté la très-
humble et tres obeissante servante La Palatine de Belz.*

tędze i złamały energią akcji niezwyčajnego przeciwności króla. Höchstädt, Ramillies, Turyn, Audenarde, Malplaquet, otóż dziejowa nomenklatura stwierdzająca powolny zachód potęgi Ludwika XIV. w początku XVIII. stulecia. Nie ustaje wprawdzie interes dworu wersalskiego dla Rakoczego i sprawy węgierskiej. Bonac przebywający przez lata 1708 i 9 w Gdańsku, odbiera jak dotąd wexle z Francyi, które zrealizowawszy, wyprawia summy pieniężne znanemi szlakami i drogami przez polskich i Rakoczowych agentów do Munkackiego dworu. Akcy francuzka słabnie jednakże, następuje pewne jój omdlenie, zbywa na śmiałości *inicjatywy*. Rzeczą zastanowienia godną, że równolegle i równocześnie z zachodnią potęgą Ludwika XIV., blednie i na wschodzie gwiazda bohaterskiego króla szwedzkiego. Pochód jego na Ukrainę, zagłębienie się w kraj wygłodzony, pusty, w którym nie znalazł spodziewanego poparcia a w którym własne jego zasoby zmarniały i stopniały powoli, nie mógł się skończyć czém inném, niżli katastrofą, jaką stanowi bitwa Puławska. Obie klęski, tak Ludwika XIV., jak Karola XII. nie omieszkały odbić się zgubnemi następstwami na sprawie Rakoczego. Akcy francuzka słabnie jak powiedziano, Ludwik XIV. rozpoczyna usiłowania około zawarcia pokoju z domem austryackim. Polscy panowie a nadewszystko hetmanowa Sieniawska, pozostają wprawdzie wierni *osobiście* Rakoczemu, nie myślą już jednakże o jego kan-

dydaturze tronowej, zwracając się zbiorowo, bez wyjątku prawie do przygotowującego w r. 1708 powrót, do wracającego po Puławie do Polski króla Augusta. Ciekawe widowisko przedstawia od téj chwili polityka i dyplomacja Rakoczego, widowisko akrobatyki usiłującej pozostać w równowadze wśród najsprzeczniejszych z sobą żywiołów i interesów. Przypatrzeć się téj grze rzeczą tém potrzebniejszą, że, jak zobaczymy, Polska i rozmaite jéj pierwiastki zajmują wśród owych przeciwnieństw, z któremi się naczelnikowi węgierskiemu liczyć przychodzi, nie ostatniej wagi stanowisko... Przedewszystkiém przecież wychodzi odtąd w rachubach politycznych Rakoczego Car Piotr na najpodstawniejszą i najważniejszą cyfrę, czém mu wielką pomocą i sprzyjającą okolicznością dobre stósunki i znajomości pozawierane w czasie warszawskich negocyacji o kandydaturę tronową polską z roku 1707. Na zbliżenie to Rakoczego do Cara składało się wiele rozmaitych okoliczności. Jak już powiedziano, omdlała akcyja Francyi. Nie dość na tém, ponosiły od niejakiemu czasu wojska Rakoczego ciągle klęski. Dotkliwy mianowicie cios zadała sprawie węgierskiej w roku 1708 bitwa pod Trenczynem, w której po stronie Cesarskich dowodził równie waleczny, ile mściwy feldmarszałek Heister.

Wśród podobnego położenia rzeczy nastąpił pod koniec Czerwca 1709 grom puławski, który zmiotł z sąsiedniej, tyle ważnej dla Węgier wi-

downi polskiej króla szwedzkiego, Leszczyńskiego ich zwolenników i stronników, zaludniając ją nowymi aktorami, Carem Piotrem, restaurowanym królem Augustem, wojskami carskimi i saskimi. Wobec téj zmiany dekoracyi znalazł się Rakoczy w tém trudniejszym położeniu, że w również sąsiedniej Bessarabii, na naddniestrzańskiej płaszczynie pod Benderem zyskał gościnę wraz z niedobitkami pułtawskimi król szwedzki, przygotowujący w porozumieniu z Francją i Portą Ottomańską, ze zwolennikami Leszczyńskiego i swoimi w Polsce, wszystko żywiołami pokumanemi nierozwalnie ze sprawą węgierską, odwet przeciw temuż samemu Carowi, który teraz panował faktycznie w Polsce a którego sobie jakim bądź kosztem Rakoczemu ugłaskać i pozyskać należało. Istniała więc dyplomatyczna, w której szczęśliwem do pewnego czasu i stopnia rozwiązaniu należy przyznać Rakoczemu i jego agentom prawdziwe mistrzostwo. Car nie był dobrze usposobiony dla dworu wiedeńskiego. W roku 1707, podczas pobytu Karola XII. w Saxonii, poszukiwał początkowo przymierza austriackiego, ofiarował nawet Cesarzowi Józefowi pomoc przeciw zbuntowanym Węgrom. Obawa wejścia w zatarg z niebezpiecznym królem szwedzkim spowodowała dwór wiedeński do odrzucenia propozycyi Cara, który dotknięty odmową, odpowiedział bezzwłocznie przerwaniem się w stronę przeciwną i wia-

domém nam już podjęciem kandydatury tronowej Rakoczego w Polsce.

Plan ten spełznął wprawdzie na niczém, powrót Augusta po bitwie pułtawskiej uczynił ponowienie jego rzeczą niewykonalną. Cokolwiekbydz przecież, utrzymała się tradycya przyjaznych stó-sunków między Rakoczym a Carem, pozostała zimnota między dworem wiedeńskim a Carem, przetrwały przypominane co chwila w zobopólnej korespondencyi stó-sunki zażyłości i dobrej znajomości między dygnitarzami Carskimi a magnatami i dyplomatami węgierskimi. Tuż po gromie pułtawskim, za wkroczeniem Piotra, za powrotem Augusta do Polski, od miesiąca Października 1709, rozpoczyna Rakoczy dyplomatyczną grę niezró-wnanęj zręczności na podstawie podobnych danych. Stałym reprezentantem jego sprawy na widowni warszawskiej, bez względu na zmieniających się jój panów jest opat Spiski, zręczny i przebiegły ksiądz Brenner. Nie należy zapominać, że wśród wszystkich przemian spełnionych na widowni polskiej, pozostali na nięj jako wierni i wytrwali a wielce wpływowi u Cara i Augusta razem przyjaciele w. hetman koronny Sieniawski i jego tak dobrze z dotychczasowego opowiadania znana nam małżonka, słynna „wojewodzina Bełzka.“ U nich reprezentują Rakoczego dwaj agenci: Nidecki przebywający najczęściej we Lwowie i Tomaszewski. Do nadzwyczajnych missyi między Munkacką rezydencyą Rakoczego a Polską służą

wiernie inny opat Spiski, ks. Frey i poufny Wołoch imieniem Mikołaj. Wszelkie przesyłki pieniężne z Gdańska lub Warszawy, wszelkie przewożenie depesz dyplomatycznych, odbywają się przez Lublin, Jarosław, Lwów, Stryj i Skole. Przez ostatnie miesiące roku 1709 bawi Car w Polsce, w Warszawie, w Toruniu, w Kwidzynie na przemian wraz z kanclerzem Gołowkinem, Mężykowem, Dołgorukim, generałami Goltzem, Gordonem, Rhennem.

Z początkiem roku 1710 opuszcza Piotr Polskę, zabierając się do kampanii inflantskiej, kiedy Karol XII. przygotowuje odwet w porozumieniu z Turkami. W Polsce zostają tymczasem jako poseł Carski, Dołgoruki w Warszawie, nadto wspomniani wyżej generałowie z rozrzuconemi po całej przestrzeni kraju komendami. W Październiku tedy roku 1709 rozpoczyna Rakoczy ku ocaleniu tonącej sprawy węgierskiej dyplomatyczną akcją, której charakter i cel określiła najwyraźniej udzielona naówczas Brennerowi instrukcja. Według téjże instrukcyi sterował Rakoczy głównie ku zawarciu generalnego pokoju, którego stypulacyami sprawa węgierska miała być objęta a z którego on sam miał, co najmniej, wynieść prawa dziedzicznego pana w Księstwie Siedmiogrodzkiem. Przedstawiając równocześnie Carowi i Augustowi niebezpieczeństwo powrotu Karola XII. do Polski, może i do Saxonii, przestrzegając ich przed Francją i Austryą razem, zalecał za-

warcie pokoju między Carem a królem szwedzkim, w czém sam ofiarował swe pośrednictwo, zapowiadając podobne ze strony Francyi. Istotnie rozpoczął w tym celu starania na dworze wersalskim a równocześnie wyprawił do Benderu, do Karola XII. posła francuzkiego des Alleursa, aby króla szwedzkiego do zawarcia pokoju skłonić. Zarazem pracował nad urzeczywistnieniem tego planu u Cara i Augusta za pośrednictwem niezmordowanej wojewodziny bełzkiej.

Właśnie przecież, kiedy Rakoczy w interesie ocalenia własnej sprawy rozpoczął grę ekwilibrystyki dyplomatycznej między żywiołami i interesami tak z sobą sprzecznymi, jakie przedstawiają w owej chwili Car Piotr, Karol XII. i król August, nastąpił niespodziewany wypadek, który zagroził popsuciem tak sztucznie usnutej tkanki a do istniejących już jej sprzeczności i trudności dodał nowe. Przenieśmy się teraz dla lepszego zrozumienia wydarzeń, które nam opowiedzieć przyjdzie, na widownię *polską*. Taż sama druga połowa miesiąca Października 1709, która jest datą podjęcia wspomnianej co dopiero roboty dyplomatycznej Rakoczego, jest zarazem w Polsce datą ostatnich wysiłków panowania szwedzkiego i Stanisławowego. Po Puławie, wobec Cara nadciągającego od wschodu, wobec Augusta wkraczającego do Wielkopolski od zachodu, koncentruje Leszczyński wszystkie, jeszcze bardzo poważne siły, szwedzkie pod dowództwem generała Krassaua,

polskie pod naczelnictwem dzielnego Józefa Potockiego wojewody Kijowskiego, wypróbowanego przyjaciela Rakoczego i Rakoczowej sprawy, w województwie poznańskim, nie na to niestety aby się bronić, ale na to, aby mieć liczną eskortę aż do granicy pomorskiej. Józef Potocki był niewątpliwie najdzielniejszą, najenergiczniejszą osobistością w jego otoczeniu. Ogłosił z własnego ramienia manifest przeciw Powrotowi Augusta do Polski i prawom jego do korony, chciał zatrzymać Krassaua w kraju, obrócić się przeciw Carowi i Augustowi, zniewolić samego Leszczyńskiego do wytrwania na miejscu. Wszystko nadaremno. Niechętny Polakom, odznaczający się tylko rabunkiem i łupieztwem Krassau postanowił opuścić kraje Rzplitej, odgrażał się nawet uderzyć na wojewodę Kijowskiego. Leszczyński wolał przenieść się w taborze niechętnego sobie generała szwedzkiego na Pomorze, aniżeli pozostać w obozie Potockiego. W drugiej połowie Października 1709 rozstali się sprzymierzeńcy szwedzcy z polskimi. Pierwsi przekroczyli granicę brandenburską za Wieleńiem, ruszając ku Szczecinowi, drudzy w liczbie dziesięcioletniej, bardzo różnorodnej zbieraniny, zawrócili ku Małopolsce, ścigani przez przemagające siły Carskie pod dowództwem generała Goltza. Przez kilka dni odbywał się pochód wojewody Kijowskiego z jakim takim ładem i bezpieczeństwem. Zaslaniał go jako do-

wódzca tylnéj straży dzielny i zręczny partyzant Dobrosołowski.

W pierwszych dniach Listopada zachwyliła wojewodę Kijowskiego pogoń moskiewska pod Odolanowem. Przyszło do krwawego spotkania. Z początku stawał zastęp wojewody dzielny opór. Poległ jednakże Dobrosołowski a jego zgon stał się hasłem rozstroju i rozbicia. Próżne były usiłowania wojewody, aby pierzchających powstrzymać. Jedni poczęli uciekać na Szląsk, drudzy rozbiegali się po okolicy, o dalszym oporze przeciw przemagającej sile nieprzyjacielskiej nie można było myśleć; wojewoda Kijowski powziął śmiały zamiar przerznąć się z pozostałemi przy sobie niedobitkami do króla szwedzkiego. Szedł pograniczem między Szląskiem a Polską; w marszu przez Szląsk ubywało mu ciągle ludzi, w dalszym pochodzie prowadziła droga przez Węgry, przez owe Węgry, w których panował przecież jeszcze z Munkackiego zamku ów Franciszek Rakoczy, dawny gość wojewody ze Stanisławowa i Brzeżan. Przed siedmiu i sześciu laty był Rakoczy wygnanym z własnego kraju, potrzebującym gościnności, znajdującym ją w domach panów polskich. Obecnie zmieniła się fortuna. Wojewoda Kijowski, pan na Stanisławowie, był sam teraz z kolei rzeczy wygnanym, znalazł się w konieczności szukać przytułku wraz ze swoją drużyną na Węgrzech u Rakoczego. Jeżeli względ ten nie odgrywał roli w działaniach i postanowieniach wojewody

Kijowskiego, znajdujemy przeciwnie pojawiającym się kilkakrotnie i z pewnym naciskiem w dyplomatycznej korespondencji Rakoczego. „Nie mógłem“, powtarza Rakoczy, powtarza za nim Berczeni, „odmówić przytułku i gościnnego przyjęcia komuś, od kogo sam swego czasu gościnności doznawałem.“ Nie wchodząc na tymczasem w rozbiór przyczyn i powodów, powiedzmy dość, że wśród ciężkiej i śnieżnej zimy, wśród dziesiątkującej Polskę i Węgry dżumy, w samej niemal chwili przesilenia starego roku 1709 na nowy 1710, zawędrował zbrojny zastęp wojewody Kijowskiego, ścigany aż do granic węgierskich przez generała carskiego Goltza, wskroś karpackich gór, lasów i bezdroży, pod rezydencją Rakoczego Munkacz.

Był naówczas reprezentantem dworu wiedeńskiego przy królu Augustie i Rzeczypospolitej baron Tiepolt, posłem saskim we Wiedniu generał Wackerbarth, kierownikiem zagranicznej polityki austriackiej hr. Wratisław. Wszyscy razem byli najwidoczniej mocno zaalarmowani owym marszem wojewody Kijowskiego, zwłaszcza, że każdy z nich upatrywał w tym drobnym jak na teraz wypadku, symptom ważnych i przykrych dla reprezentowanych przez się dworów zawikłań. Tiepolt donosi w liście do Wackerbartha z Wrocławia dnia 22 Grudnia 1709, że przejęto korespondencją między wojewodą Kijowskim a Stanisławem, według której Rakoczy przyjął z wszelką gotowością 4000 niedobitków polskich. Wackerbarth

uważał w podobnym wypadku zapowiedź nowej akcji króla szwedzkiego, Wratisław (w liście do Flemminga z dnia 8 Stycznia 1710) fakt dla domu austriackiego do tyła groźny, że w nim dopatrywał się skrytej ręki Francji. Według przejętych listów, pośredniczył poprzednio poseł francuzki Bonac między wojewodą Kijowskim a Rakoczym i wyjednał pierwszemu u drugiego owo nadspodziewanie dobre przyjęcie. Rozpatrzywszy się tymczasem bliżej w rzeczy, przekonywamy się, że jakkolwiek alarmy dyplomacyi mogły być słuszne, wpływ francuzki nie był jedynym czynnikiem skłaniającym Rakoczego do przyjęcia Polaków. Rozpatrzmy się przedewszystkiem w ich sile.

Zastęp przyprowadzony przez Potockiego składał się z 4000 blisko koni, podniszczonych strasznie długim marszem, zdezorganizowanych kłęską odolanowską, moskiewską pogonią i dezercją na Szląsku. Jako drobiazg uboczny zapiszmy, że Potocki prowadził z sobą prócz nie wielkiej liczby żołnierzy czterech oficerów moskiewskich wziętych do niewoli, których za wkroczeniem w granice węgierskie za instancją Rakoczego na wolność wypuścił. Były w przyprowadzonym przez Potockiego zastępie trzy pułki dragonów szwedzkich pod dowództwem pułkownika Bielkego, zamówione już dawniej do służby Rakoczego, zatrzymane przecież w Polsce przez Stanisława; niewiadomej liczby oddział Francuzów, których burza ówczesnej wojny zawiąła w charakterze na wpół jeńców, na wpół

awanturników z widowni nadreńskiej i nadalpejskiej na równiny Polski i Podkarpacie węgierskie; reszta składała się z hussarskich i pancernych chorągwi polskich, w liczbie których dowódców świecą jaśniejszym światłem imiona Jana Grudzińskiego starosty Rawskiego, Zagwojskiego i Urbanowicza, dzielnych i wypróbowanych towarzyszy Potockiego... Goście podobni przybywali Rakoczemu jakby na zawołanie w bardzo krytycznej chwili a nie było zaiste potrzeba jedynie tylko instancyi dworu wersalskiego i Bonaca, aby im dobre i ocho-
cze wyjednać przyjęcie. Gwiazda Rakoczego zaczęła blednąć; klęski następowały po klęskach, nie zbywało na pieniądzach, które dwór wersalski mimo własnej biedy przez Gdańsk i Konstantynopol nadselał, ale poczęło zbywać na ludziach, na bitnym i dzielnym żołnierzu, jakim być zapowiadał żołnierz chorągwi Grudzińskiego i Zagwojskiego. Ową potrzebę *ludzi* przedewszystkiem przedstawia aż nazbyt wyraźnie nie wiele co późniejszy list Berczenyiego do posła węgierskiego Vetesiego w Konstantynopolu z dnia 4 Marca 1710: „Nic nam teraz więcej potrzebnem, niżli to, abyśmy dla tych wojsk (Potockiego) mieli pieniądze na żołd. Nie dość na tém, aby znów cała sprawa wojenna na Węgrzech odżyć mogła, chcielibyśmy zwerbować więcej jeszcze żołnierza. Tak to mamy już pozwolenie na werbowanie Arnautów, jak to nam P. Des Alleurs przed wyjazdem swoim ztąd oznajmił. Spodziewamy się dla tego, że Jego

Arcy-Chrześcianańska Mość Królewska (Ludwik XIV), okaże tém większą gotowość dostarczenia nam subsydiów pieniężnych, im ztąd większe dla Nięj nastąpią korzyści.“ Z roku 1709 na 10 było więc trzeba przedewszystkiem Węgom *ludzi* a wojewoda Kijowski nadarzał się w nader pożądanęj chwili.

Prócz tego nie zbywało i na innych, szczerze ludzkich i naturalnych powodach, które zgotowały wojewodzie Kijowskiemu i jego drużynie ochocze i gościnne przyjęcie. Pierwsze pośród nich miejsce zajmowała tradycyjna, dziejami uświęcona między obu narodami przyjaźń; drugie, nie mniej ważne, przyznana nawet głośno i oficjalnie w dyplomatycznęj korespondencyi Rakoczego, *osobista* jego przyjaźń z panem na Stanisławowie, który go podczas wygnańczego pobytu w Polsce u siebie gościł. Ugościwszy więc wojewodę Kijowskiego na swym zamku Munkackim, przyjął Rakoczy cały jego zastęp w służbę węgierską i wypłacił mu z góry żołd miesięczny w summie 18,000 florenów. Teraz jednakże zależało głównie na usunięciu wszelkich dyplomatycznych zawikłań, jakie przyjęciu Polaków w służbę węgierską zagrażały, na zręcznym uprzątnięciu różnych sprzeczności, jakie obecność i przeznaczenie Polaków we Węgrzech przedstawiały. Zawikłania te i sprzeczności były istotnie liczne i trudne do pogodzenia. Co się tyczy nasamprzód samego wojewody Kijowskiego, wkraczał on na Węgry, chroniąc się przed

pogonią moskiewską, nie na to, aby tu pozostać, ale, aby sobie wypocząć, aby przezimować, aby się zrestaurować, a następnie przedostać się do Karola XII. do Benderu, rozpocząć wraz z nim dzieło odwetu przeciw Sasowi i Carowi w Polsce. Nieszczęście Węgrów i Potockiego chciało, że zamiar podobny stał się od samego początku jego wkroczenia na Węgry, wiadomy generałowi moskiewskiemu Goltzowi zajmującemu Kraków. Król Szwedzki wyprawił z Benderu do Potockiego, poufnego oficera szwedzkiego z listem wzywającym go do siebie. Oficer ten schwytyany na Spiżu przez ludzi starosty Spiskiego Teodora Lubomirskiego został odstawiony wraz z papierami do Krakowa. Generał Carski Goltz dowiedział się z nich od razu, że tutaj nie chodzi o proste schronienie przed pościgiem, na które byłby może patrzył z pobłażliwą obojętnością, ale że się zabiera na początek wojennej akcji, która z czasem mogłaby się stać groźną i niebezpieczną Carowi. Nie czekając więc dalszych rozkazów, uważał generał moskiewski za rzecz wojennego swego zadania nie ustawać w pościgu za wojewodą Kijowskim, wkroczył za nim w początku Stycznia 1710 na Spiż, zajął trzynaście miasteczek Spiskich, nie kłopotąc się o prawa starosty Teodora Lubomirskiego i założył główną kwaterę w stolicy kraju Lubowli. Władzę Rakoczego reprezentował tutaj brygadier Bertoti, który nie miał sił, aby się Moskałom opierać, nadto zaś

odpowiednio do odbieranych z Munkacza instrukcyi opierać im się nie chciał.

Wkroczenie Moskali na Spitz, groźba dalszej pogoni, jeżeli Potocki wraz ze swym oddziałem na Węgrzech pozostanie, wszystko to składało się na przykry konflikt, na dyplomatyczne zawikłanie, z którego wyjście przedstawiało nieprzerwyżone prawie trudności, tém bardziej, że dyplomacya austryacka i saska nie spała, że otwierała ciągle oczy Carowi i Dołgorukiemu na niebezpieczeństwo wynikające z pobytu Potockiego na Węgrzech. Cała taktyka dyplomacyi Rakoczowej, opierająca swą akcyą na utrzymaniu dobrego porozumienia z Carem, znalazła się w skutek tego ciężko zagrożoną, a jakże tu była możność pogodzenia tylu sprzecznych interessów! Potocki dążył bardzo naturalnie do Benderu po wywczasie węgierskim, by następnie z wiosną rozpocząć wraz z królem szwedzkim odwetową robotę, która całym ciężarem swego niebezpieczeństwa obracała się przeciw Augustowi, nadto przeciw tyle poszukiwanemu, zarzucanemu pochlebstwami i grzecznościami przez Rakoczego Carowi. Jakże więc *nasamprzód* pogodzić ów bardzo przezroczystry zamiar Potockiego z polityką opierającą wszelkie swe nadzieje na patronacie Carskim! Nie dość na tém, zależało, jak nam wiadomo, Rakoczemu *mimo* to na trwałém zatrzymaniu Potockiego i dzielnych jego towarzyszków w usługach węgierskich, kiedy Karol XII niecierpliwił się i wysłał emissaryuszów jednego po drugim,

domagających się jak najprędzszego przybycia wojewody Kijowskiego. Króla szwedzkiego należało zaś Rakoczemu *również* oszczędzać ze względu na Francją, ze względu na Portę Otomańską, z którymi mu się bardzo poważnie liczyć należało. Prócz tego wszystkiego wchodził w tę sprawę jako ważny czynnik, wspomniany już przez nas wyżej, stosunek osobistej zażyłości między Potockim a Rakoczem.

Zobaczmy teraz, jak naczelnik węgierskiego powstania do wspólni z nieodstępnym od swego boku Berczenym potrafił rozwiązać podobną łamigłówkę, jaki obrót ostateczny wziął ów *epizod polski* w przebiegu węgierskiego powstania. Rozumie się, że *wewnętrzna i rzeczywista* prawda tej roboty ma się wręcz inaczej od dyplomatycznych pozorów, jakie jej na zewnątrz ze strony Rakoczów nadać wypadło. Co tylko, nawiasowo powiedziawszy, podziwiać, to że robota ta mimo wszelkiej swjej trudności, *powiodła* się Rakoczemu, jak zobaczymy. Nie mylimy się, wnosząc nie tylko z przebiegu wypadków, wnosząc dalej, jak mówić zwykli, „z pomiędzy wierszy“ toczącej się między Berczenym, Dołgorukim, generałami Carskimi Goltzem, Gordonem, Jahnusem von Eberstädt, wojewodą Kijowskim i Grudzińskim starostą Rawskim korespondencyi, że rzeczywisty, poufny między Potockim a Rakoczem ułożony program był następujący: Rakoczy zgadzał się na przezimowanie wojewody Kijowskiego wraz z całym jego zastępem,

przyzwalał po cichu z nadzieją wiosny na jego marsz do Benderu, postanowił jednakże przez zimę, do ostatniej chwili, dopóki tylko będzie można, korzystać z obecności doświadczonego i wypróbowanego żołnierza w walce przeciw Cesarzowi. Potocki zgadzał się na spełnienie podobnego przeznaczenia, na odwołkę pochodu do Benderu wśród poddania się wszelkim pozorom, jakie Rakoczy w interesie swjej sprawy uzna za stosowne. Tymczasem zaś, aby nieuniknione z wiosną ustąpienie Potockiego z węgierskiej widowni nie dało się zbyt dotkliwie we znaki sprawie Rakoczego, rozpoczęła się cicha, tajemna, dostrzeżona tylko okiem agentów austriackich robota, w której spotykamy się znów z dawną, dobrą naszą znajomą, wojewodziną bełzką, panią Sieniawską, obecnie małżonką w. hetmana koronnego. W. hetman koronny jest stronnikiem króla Augusta, mężem zaufania Cara Piotra. Nie przeszkadza to jednakże, iż za kulisami tej oficjalnej i okazałej przyjaźni, podaje sobie w interesie Rakoczego rękę ze śmiertelnym wrogiem Cara i Augusta, goszczącym w Munkaczu wojewodą Kijowskim! Co zaś przedewszystkiem rzeczą uwagi godną, to że pani hetmanowa gorliwszą i energiczniejszą o wiele od ulegającego jej wszechwładnej woli małżonka. Obojga zaś robota na rzecz Rakoczego streszcza się w pierwszych owych dniach roku 1710 około następujących szczegółów:

Pośrednikami między hetmańskimi małżonka-

mi a Rakoczym są znani nam już agenci Nidecki i Tomaszewski. Celem podjętej między obu stronami negocyacji, jest *pośrednio* zaopatrywanie Rakoczego w żołnierza, naturalnie znów tylko kosztem nieszczęsnej Rzeczypospolitej. Pod tym względem niechaj na chwilę wyręczy własne nasze opowiadanie, list hr. Wratisława do Flemminga z dnia 22 Stycznia 1710: „Przed niejakim czasem odebraliśmy doniesienie, że Wojewodzina Bełzka miała na granicy spotkanie z Rakoczym, Berczenym i des Alleursem. Poczynamy widzieć skutki obecne tej negocyacji, ponieważ Pan Wojewoda Bełzki (Sieniawski), pod pozorem rozpuszczenia pewnej części swego żołnierza, wyprawia go małemi oddziałami do Rakoczego, który go wciela do korpusu Wojewody Kijowskiego. Wiemy nadto,“ pisze kierownik austriackiej polityki dalej, „a na drodze pewnej, że Wojewodzina Bełzka podjęła się przeprowadzić wszystkie listy króla szwedzkiego do jego państw. Będziemy bardzo czujni, aby niektóre z nich móżdż przejąć a proszę Cię (Flemminga), miejże to samo staranie czy to w Polsce, czy w Lipsku, czy na drogach wiodących do Hamburga. Zdaje mi się, że Ci już donosiłem innym razem, że taż sama Wojewodzina ofiarowała się przeprowadzić osobę króla szwedzkiego potajemnie przez Polskę i postarać się o dalszą jego bezpieczną podróż do Pomeranii. Wszystko złe wynikające z postępowania tej kobiety obraca się obecnie na naszą szkodę, lecz na przyszłość

ucierpi na niem Król znamienicie, a sędzę, że zobopólny interes obojga dworów wymaga, aby się w tym przedmiocie porozumieć i powziąć stosowne środki choć raz przecież ku położeniu końca tym intrygom, gdyż, co do mnie, jestem zawsze zdania, że skoro król szwedzki ukaże się na nowo na teatrze wojny, wciągnie nas w nią wszystkich więcéj, aniżeli przypuszczamy, mimo wszelkich środków, jakie podjęto, i jakie jeszcze przeciw niemu podejmą. Wiadomo Ci już zapewne za pośrednictwem generała Goltza, jak korpus wojewody Kijowskiego się wzmacnia a on (Goltz) sam był w skutek tego zmuszonym opanować 13 miast należących do starosty Spiskiego. Nie zdaje mi się to, jak na teraz rzeczą stosowną a sędzę, że przed przybyciem hr. Wackerbartha i przed środkami ułożonemi z nim razem, nie trzeba nic przedsiębrać z saméj tylko obawy, bez dokładnego porozumienia, gdyż inaczej postępując, psuje się tylko rzecz po kawałku."

Jak ztąd widać, nie szło w smak gabinetowi wiedeńskiemu owo trochę zbyt natarczywe mieszanie się wojsk Carskich w sprawę węgierską. Z drugiejj zaś strony dostarcza przytoczony przez nas dokument dowodu, jak bardzo sprawie Rakoczowej w owéj chwili było trzeba ludzi, jak Potocki, des Alleurs, Berczenyi, hetmaństwo Sieniawscy pracowali zawczasu, aby pewny z wiosną ubytek partyzantów wojewody Kijowskiego zastąpić nabytkiem również polskim, ale innym. Rzeczywiście też

poczęła się z rozłożonego na Rusi pod dowództwem w. hetmana wojska koronnego tłumna wędrownika żołnierza do Węgier. Dwór wiedeński podniósł z tego powodu niesłychaną wrzawę a hr. Wratisław obwinił głównie „wojewodzinę Bełzką,“ czynił odpowiedzialnym za to, co się dzieje, brata jej Teodora Lubomirskiego starostę Spiskiego, odwoływał się na traktat przymierza i przyjaźni zawarty w r. 1702 między Cesarzem Leopoldem a Augustem II.

Hetman tłumaczył się przecież wobec czy to Flemminga, czy Wackerbartha dość przekonująco, że dezercya podobna żołnierza koronnego winą jego nie jest.

W sprawozdaniu Wackerbartha z konferencji odbytej w miesiącu Marcu 1710 z hr. Wratisławem, czytamy: „Nareszcie dał Pan hr. Wratisław do zrozumienia, że hetman koronny, Pan Bełzki wojewoda, ku swojemu uniewinnieniu z powodu żołnierzy wychodzących na Węgry zauważył, że odebrał rozkaz od I. K. M. (Augusta), rozpuścić pewną część wojska koronnego. Gdy rozkaz ten wykonał, nie może żadną miarą rozpuszczonym ludziom zabronić szukania chleba wszędzie tam, gdzie go znaleźć mniemają.“

W takiż sam mniej więcej sposób tłumaczył postępowanie Sieniawskiego i jego małżonki, Flemming, pisząc w liście z Drezna 31 Stycznia 1710 do Wratisława: „Panowie Polacy znajdując się mocno zakłopotanymi niepotrzebnym żołnie-

rzem, jakiego mieli na karku, nalegali natarczywie, aby go rozpuścić i uskuteczнили też to *przeciw* zamiarom w. hetmana i *mimo* niego.“

Nie wchodząc w kwestyę, o ile gabinet wiedeński czuł się przekonany podobnemi argumentami Sieniawskiego i Flemminga, z których przemawiała źle zamaskowana obojętność dla Austrii, również źle pokryta życzliwość dla sprawy Rakoczego, zobaczymy jeszcze, jak niez mordowany hr. Wratisław tak Augustowi bezpośrednio, jak Carowi pośrednio, nie przestawał otwierać oczu na niebezpieczeństwo Rakoczowe, jak odsłaniał *prawdę* stosunków wiążących Potockiego z powstaniem węgierskiem.

W liście z dnia 8 Stycznia 1710 pisze hr. Wratisław do Flemminga: „Za pośrednictwem posła francuzkiego (Bonaca), został żołnierz wojewody Kijowskiego przyjęty w służbę Rakoczego. Warunki zaś między wspomnianym wojewodą a Rakoczym są następane: 1) Rakoczy bierze te 4000 ludzi w swoją służbę, da im kwatery, żywność i 18,000 florenów, aby się mogli zrestaurować, ponieważ w górach i w marszu, jaki odbyli, stracili wszystkie swe bagaże i połowę swojej siły. 2) Wojewoda Kijowski nie będzie nibyto dowodził temi wojskami a żądał tylko dla swój osoby takiego samego schronienia, jakie sam dał niegdyś Rakoczemu. 3) Wojska te utrzymywane, będą służyły i działały we Węgrzech przeciw nieprzyjaciołom Rakoczego i konfederacyi węgierskiej pod wodzą Rakoczego.

4) Jeżeli król szwedzki ich zażąda lub jeżeli wkroczy do Polski, połączą się z nim, skoro to tylko będą mogły uczynić, lub gdy tego król szwedzki chcieć będzie. 5) Gdyby J. Carska Mość lub Król polski wyrażali z tego powodu swe niezadowolenie, Rakoczy oświadczy tym dwom monarchom, że wojska te ofiarowały mu się same z usługami a że je przyjął z obawy, aby nie być zgniecionym przez Cesarzów. Celem podobnego postępowania jest, że Rakoczy pragnie się pogodzić z królem szwedzkim i Stanisławem, po których swego czasu spodziewa się wielkich dowodów wdzięczności, a być może, iż liczy na wciągnięcie Porty w swój interes. Posel francuzki naobiecował mu też cudów ze strony króla, swego pana, za usługi, które oddał królowi szwedzkiemu i przyrzekł, że Francya wstawi się u Króla, Twego Pana (Augusta II), aby ten krok nie był mu szkodliwym i że Francya przeszkodzi, aby wojska króla (Augusta), i Cara nie ściagały Polaków na Węgry.

Ostatnie to zapewnienie skłoniło Rakoczego wzięść wspomnianego żołnierza w swą służbę, jakkolwiek się z początku mocno wahał, z obawy, aby wojska króla (Augusta) i Cara nie ściagały Polaków i nie zgmiotły ich od razu w oplakany stan, w jakim się znajdują. Mamy też wiadomości z Konstantynopola, że Turcy nie przestają się zbroić, że król szwedzki żyje i że się ma dobrze a że Porta pochlebia mu nadzieją, iż go każe odprowadzić znacznemu korpusowi do Polski dla

połączenia się z jego tamtejszemi wojskami. Również jest prawdą, że Turcy pochlebiają równocześnie posłowi moskiewskiemu, jakoby chcieli przedłużyć zawieszenie broni, lecz my sądzimy, że Turcy łudzą go dwuznaczném postępowaniem i że powiedzą, iż to nie jest zerwaniem z Carem, skoro tylko każą *odprowadzić* króla szwedzkiego do jego armii. Winienem Ci przecież oznajmić, że gdy listy te były pisane, nie wiedziano jeszcze w Konstantynopolu, że korpus generała Krassau wyszedł z Polski." Otóż informacye udzielone ze strony Wratisława Flemmingowi i Carowi, otwierające im aż nazbyt wyraźnie oczy na prawdę stósunków między Rakoczym a Potockim, na stanowisko i przeznaczenie oddziału wojewody Kijowskiego we Węgrzech.

Wobec podobnego niebezpieczeństwa, wobec nieprzestannego mianowicie pobytu Moskali na Spiżu, z kąd każdej chwili dalej posunąć się mogli, wyteżyła dyplomacya węgierska we własnej osobie Rakoczego i Berczenyiego całą swą zręczność i energią na zażegnanie burzy. Tomaszewski i Nidecki odebrali instrukcyą, aby wojewodzina bełzka, korzystając ze swego wpływowego stanowiska, usposobiła dobrze dla sprawy Rakoczowej Augusta, Cara i Cesarskich w Polsce dygnitarzy, mianowicie Mężykowa i Dołgorukowa. Des Alleurs został wyprawiony do Karola XII, do Benderu, aby go uspokoić co do Potockiego i skłonić do przyjęcia po-

średnictwa francuzkiego w negocjacyach pokojowych z Carem.

Główna praca Berczenyiego zwracała się jednakże w *dwie* strony, na Spiż i do Warszawy, by uspić i uciszyć wszelkie, jakiebądź obawy moskiewskie z powodu Polaków w służbie węgierskiej. W Warszawie bawili jako poseł Carski Dołgorukow, prócz niego Mężykow, generał Rhenne i radzca Carski Urbich. Do *nich* mieli polecenie zwrócić się z osobnemi przedstawieniami stały reprezentant węgierski w Warszawie opat Brenner i wysłany w nadzwyczajnej missyi ksiądz Frey. Co się tyczy korpusu moskiewskiego zajmującego przez pierwsze miesiące roku 1710 Spiż, zmieniało się jego dowództwo. Nasamprzód miał je generał porucznik Goltz, zwycięzca wojewody Kijowskiego z pod Odolanowa; następnie generał Gordon, nakoniec generał Jahnus von Eberstädt, który później przeszedł w służbę saską. Wobec *nich* reprezentowali interest Rakoczego brygadier węgierski Bertoti i wyprawiony w osobnej missyi generał Szant-Iranyi. Instrukcyje wszystkich tych agentów interestu węgierskiego, czy to na Spiżu, czy w Warszawie, były w sprawie Polaków wojewody Kijowskiego prawie równobrzmiące a mniej więcej następane: Czy to Brenner i Frey w Warszawie, czy Bertoti i Sant-Iranyi na Spiżu mieli polecenie zaręczać Moskalom, że Rakoczemu ani się nie śni przyjmować i trzymać Polaków na Węgrzech w jakichbądź nieprzyjaznych, bądź to

dla Cara, bądź dla króla Augusta zamiarach. Tłumaczyli, że Potocki żadnego już faktycznie dowództwa nad przyprowadzonym przez się oddziałem nie ma, że żołnierz jego poprzydzielany do rozmaitych korpusów wojska węgierskiego. Przedstawiali go nadto jako zbieraninę nie wielkiej wojskowej wartości, obniżali umyślnie jego rzeczywistą liczbę. Przyjęcie Potockiego na dwór Munkacki tłumaczyli osobistemi stósunkami przyjaźni, jakie między nim a Rakoczym od czasu pobytu polskiego panowały. Co się zaś tyczy żołnierza, starali się przekonać generałów i dyplomatów carskich, że oddział szwedzki pułkownika Bielkego, to już oddawna przez Rakoczego przyjęty w służbę węgierską zastęp, który Leszczyński przez nadużycie w Polsce dla siebie zatrzymał. Francuzi oświadczyli chęć wstąpienia dobrowolnie w służbę węgierską; Polacy zaś Grudzińskiego Zagwojskiego i Urbanowicza poszli również dobrowolnie za ich przykładem, podobnie jak część ich w czasie przemarszu przez Szląsk, wstąpiła w służbę Cesarską.

Nie dość na tém, kazał Rakoczy wystawić staroście Rawskiemu Janowi Grudzińskiemu, istnemu *alter ego* wojewody Kijowskiego, pod dniem 12 Lutego 1710 rewers, w którym chorągwie polskie obowiązywały się *nie* chodzić do króla szwedzkiego, ani *nie* walczyć przeciw Carowi i Augustowi. Rewers ten posłał Berczeni w oryginale generałowi Goltzowi na Spiż; następnie zakomunikował go Dołgorukiemu w Warszawie. Prócz tego

starali się dyplomaci węgierscy przekonać Carskich argumentem, że przecież Karol XII wcale w nieprzyjaźni z dworem wiedeńskim nie jest, że dwór tenże myśli przeciwnie przeprowadzić go przez swe kraje do Pomeranii a że w gruncie rzeczy nie można nieprzyjaciółom Szweda lepszej wyświadczyć przysługi, niż zatrzymując Polaków na Węgrzech i nie puszczając ich do Benderu. Najpokaźniej przecież mogła świadczyć za prawdą podobnej argumentacji węgierskiej rzeczywista, wojenna akcja Polaków w samych Węgrzech i na nią też widzimy głównie powołującego się Berczenyiego w korespondencji jego z dyplomatami i generałami moskiewskimi. Żołnierze Potockiego, mianowicie polskie chorągwie Grudzińskiego, Zagwojskiego, Urbanowicza, były cokolwiek bądź dzielne i wypróbowanej waleczności. Nie dając im zbyt długiego wypoczynku, postanowił Rakoczy około połowy Stycznia (1710) wyruszyć z niemi w pole, zostawiając tymczasem ciężar rządów krajowych Berczenyiemu, przebywającemu na przemian w Koszycach i Munkaczu. Cesarskimi dowodził właśnie w tej chwili feldmarszałek Sikkingen, zajął silną pozycją o kilka mil odległości na północ Dunaju, zasłonił ją u stoku wzgórz pod miasteczkiem Vadkert a właściwie pod wsią Romhany szanćami, które nie dopuszczały komunikacyi między armią Rakoczego a znajdującą się jeszcze w ręku węgierskiem twierdzą Neuhattsel. Rakoczy postanowił Cesarskich z tej pozycyi wyrugować, zgro-

madził wszystkie swe regularne i nieregularne siły, między innymi cały oddział Potockiego wraz z chorągwiami Grudzińskiego, Zagwojskiego, Urbanowicza i ruszył nad Dunaj. Dnia 22 Stycznia 1710 przyszło pod Vadkert do krwawego, uporczywego spotkania, w którym według świadectwa Węgrów, Polacy walczyli z niezrównanym mężstwem. Chorągwie polskie przełamały szyk Cesarских; feldmarszałek Sikkingen spadł z konia, który się dostał w ręce Węgrów. Rozbiegła się w skutek tego nawet wieść o śmierci feldmarszałka i doszła w Koszycach Berczenyiego. Korzystając z wygranej już, jak się zdawało, stanowczo bitwy, rzucił się nieregularny żołnierz węgierski na bagaże Cesarских.

Wtedy to znów, dostrzegając nieładu, jaki się w skutek tego wkraśl w szeregi zwyciężkich już Węgrów, nakazał nie tracąc przytomności Sikkingen kawaleryi swojej, mianowicie pułkowi księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, który sam jeden zdołał zachować przez ciąg bitwy ład i szyk wojskowy, uderzyć na rozprzężonych, rozwleczonych pogonią i rabunkiem Węgrów. Atak ten wykonany wśród zapadającego wieczornego zmroku, odniósł do tyła pożądaný skutek, że przywrócił *równowagę* między walczącemi stronami. Nastąpiło, dziwna rzecz, to samo prawie, co w półtora wieku niemal później, dnia 9 Sierpnia 1849, powtórzyło się między temiż samemi stronami, na polu bitwy pod Temeswarem. Obie armie, tak cesarska pod feld-

marszałkiem Sikkingen, jak węgiersko-polska pod dowództwem Rakoczego i Potockiego cofnęły się jedna przed drugą. W ocenieniu zaś skutków bitwy były i są obie strony dotąd jeszcze niezgodne. Cesarscy, między innymi austriacki historyograf Arneth, uważają ją za cios śmiertelny zadany sprawie Rakoczego; Berczenyi rozgłaszał ją swego czasu w depezbach swych dyplomatycznych jako klęskę Cesarskich i donosił w nich nawet o śmierci feldmarszałka Sikkingena. Nie inaczej prawie zapatruje się i dzisiaj na bitwę pod Vadkert znakomity historyk epoki Rakoczowej, Koloman Thaly, stwierdzając w liście do nas pisanym fakt zwycięstwa Rakoczego i oddając cześć męztwu Polaków. Bitwę tę można też istotnie uważać do tyła za wygraną dla Węgrów, że sami stracili 451 ludzi, kiedy Cesarskich padło do 2000; nadto, że Cesarscy cofając się, opuścili szaniec pod Vadkert a t \acute{e} m sam \acute{e} m przywrócili swobodę komunikacyi między armią Rakoczego a załogą węgierską twierdzy Neuhausel. Po pierwsz \acute{e} m t \acute{e} m spotkaniu, widzimy Polaków oddziału Potockiego, biorących żywy i skuteczny udział w dalszych czynnościach podjętej przez Rakoczego kampanii.

W pocz \acute{a} tku Marca ju \acute{z} donosi Berczenyi agentowi węgierskiemu w Konstantynopolu Vetesiemu, że t \acute{e} m bardziej trzeba W \acute{e} grom żołnierza posiłkowego z Polski, im u \acute{z} yteczniejszym pokazuje się *ten* żołnierz polski, kt \acute{o} rego *ju \acute{z}* mają. Ju \acute{z} po spotkaniu pod Vadkert, oddano cześć oddziału

Potockiego pod rozkazy jednego z najdzielniejszych i najenergiczniejszych wojowników sprawy Rakocznego, generała Antoniego Esterhazego. Jeżeli rezultat bitwy pod Vadkert mógł mimo waleczności chorągwi Grudzińskiego, Urbanowicza i Zagwojskiego być wątpliwym, nie był nim z pewnością rezultat wyprawy Esterhazego, przedsięwziętej razem z Polakami. Obsadzone przez cesarskie załogi zamki Tavnok i Bosany zdały się na łaskę i niełaskę węgierskiemu dowódcy a zwycięstwo *tutaj* odniesione było tém pożądanśsze, że w zdobytych twierdzach znajdowały się cesarskie magazyny wraz z zapasami zboża, mundurów, amunicji i broni. Chorągwie polskie przeprowadziły zdobycz do Ujwaru. W czasie pochodu atakowali ich po trzy razy Cesarscy, chcąc jeńców i utracone zapasy odbić. Nadaremno. Odparci po trzy razy, stracili sami 300 jeńców a Polacy odstawili ich szczęśliwie wraz z całą inną zdobyczą do Ujwaru.

Takie fakta, jak bitwa pod Vadkert, jak wyprawa Esterhazego, jak udział w nich pokaźny i głośny Polaków, były wymownym i przekonywającym argumentem, z którego dyplomatyczna korespondencya węgierska i kierujący nią Berczeni nie omieszkali aż do ostatniego przesytu korzystać. Brenner, Frey, Nidecki, Tomaszewski w Warszawie i Lwowie, Bertoti i Sant-Iranyi na Spiżu odebrali instrukcyą, *pierwsi*, aby przekonywać Dołgorukiego i Mężykowa, *drudzy*, aby tłumaczyć Goltzowi, Gordonowi, Jahnusowi von Eberstaedt, że

żołnierz, który w usługach sprawy węgierskiej walczy w krwawych bitwach przeciw nielubionym przez Moskali Cesarskim, nie może równocześnie być uważanym za żołnierza posiłkującego sprawę króla szwedzkiego a tém samém zagrażać w czémkolwiek bądź interessowi Cara i króla Augusta. Argument ten zdawał się być tém więcej przekonywającym, że dyplomacya węgierska nie szczędziła równocześnie *niczego*, aby sobie dyplomatów i generałów moskiewskich ugłaskać. Pominąwszy kadzidła grzeczności, na jakich nie zbywało w depeszach Berczeniego i w oświadczeniach podrzędniejszych dyplomatów węgierskich, odgrywa zupełnie poślednią w ciągu téj negocyacji rolę — węgierskie wino, Tokaj najprzedniejszego gatunku. Mężykow, Dołgoruki lubią dobre wino węgierskie nie mniej od swych generałów kwaterujących na posterunku Spiskim. Berczenyi wydaje też co chwila rozkazy do zawiadowców Rakoczowych sklepów, aby wyprawiali dla nich beczki wina, „*ex nostro cellario nonnulla dolia*“ temu i owemu z dyplomatów i generałów moskiewskich. Nie kończąc przecież na pokusach, grzecznościach i Tokaju, widzimy, że dyplomacya węgierska sięgała w swój robocie około osobistości znaczących w obozie Carskim do argumentów poważniejszego znaczenia. Do osobistości, na których akcyja Rakoczowa opierała bardzo ważne nadzieje, należeli mianowicie Carski generał Rhenne i tajny radzca Carski Antoni Urbich. Co się tyczy pierwszego, dobrze znajo-

mości Berczenyiego z epoki jego missyi do Warszawy w r. 1707, uważano usługi jego dla sprawy węgierskiej widocznie za bardzo ważne, skoro za pośrednictwem agenta węgierskiego w Berlinie Klementa i tamtejszego nadwornego kaznodziei Jabłońskiego, z wiadomością opata Brennera w Warszawie, Rakoczy wraz z Berczenyim przekazywali mu znaczną summę 50,000 talarów do dyspozycji i odbioru. Również był pozyskany dla sprawy węgierskiej tajny radzca Carski Urbich, więcej może, niż się to później zgadzało z intencjami dworu petersburgskiego. Nie mniej przychylnie dla Węgrów usposobienie żywili na Spiżu generałowie moskiewscy, do *tego* stopnia, że to poczęło obudzać gniewy i podejrzenia gabinetu wiedeńskiego. Na konferencyi odbytej dnia 2 Kwietnia 1710 z posłem saskim generałem Wackerbarthem, skarżył się hr. Wratislaw na postępowanie dowódców Carskich w starostwie Spiskiem. Objawiał najwyższe niezadowolenie z powodu, że Moskale trzymają w swoim posiadaniu zamki Spiskie, że furają, wybierają żywność, że się posuwają w głąb Węgier ze szkodą interessu Cesarskiego, że wchodzi w coraz podejrzawsze stósunki z malkontentami węgierskimi, mianowicie Berczenyim. List Wackerbartha z dnia 16 Kwietnia 1710 odzywa się w sposób o wiele pod względem faktycznym kategorięczniejszy: „Hrabia Wratislaw oświadczył mi przy tej sposobności w najwyższym zaufaniu, że się znajduje w posiadaniu przejętych

listów, które najwyraźniej stwierdzają, jako między wspomnianymi Moskalami a Berczenyim rzeczywista korespondencja była utrzymywana.“ W skutek tego przyszło do wymiany ostrych depeesz między dworami wiedeńskim, drezdeńskim i petersburskim a generał moskiewski Goltz dowodzący na Spizu, przedłożył ku wytłumaczeniu swemu listy całkiem niewinnej i obojętnej treści generała Vaya, plackomendanta Munkacza i Berczenyiego. Słowem, udało się dzięki temu wszystkiemu razem dyplomacyi Rakoczowej uspić nie tylko najdoskonalej podejrzenia i drażliwości moskiewskie przeciw Polakom z powodu gościnnego przyjęcia Potockiego, ale, co więcej, zainteresować wojskowych i dygnitarzy Carskich dla swój sprawy.

Najlepszym tego dowodem pozostanie wyprawa tajnego radzcy Carskiego Urbicha do Pressburga w interesie pośredniczenia między Rakoczym a wiernym Cesarzowi generałem węgierskim Janem Palfym. Urbich posunął w ciągu tych rokowań przychylną swą dla sprawy Rakoczego do tego stopnia, że miał przy swym boku w charakterze wyręczyciela i pomocnika generalnego kwatermistrza armii węgierskiej, Jerzego Sago. Palfy oburzony obecnością generała buntowniczej armii, kazał go bez względu na charakter dyplomatyczny, na obecność i protesty Urbicha aresztować i osadzić w więzieniu. Fakt ten, wyzyskany do wspólnki przez Berczenyiego i Urbicha, nie przyczynił się także do serdeczności i tak już nie zbyt dobrych

stósunków między dworami wiedeńskim a petersburgskim, polityka Rakoczowa miała już wszelkie prawo tryumfować, — gdy w tém nastąpił wypadek, który jeżeli od razu nie wystawił Węgrów na niebezpieczeństwo kroków zaczepnych ze strony Carskiej, oziębził przecież najniewątpliwiéj dobre porozumienie między Rakoczym a Carem. Bohaterami tego wypadku, przyczyną podobnéj zmiany dekoracyi są: *Polacy Potockiego*... Nadeszła nareszcie wiosna, polskie chorągwie wraz z innym żołnierzem oddziału wojewody Kijowskiego, obozowały w okolicy miasta Erlau. Nie mylimy się zapewne przypuszczając, że właśnie z tą porą, że właśnie z wiosną nadeszła owa z góry przewidywana chwila, w której wypoczętym, zrestaurowanym, przezimowanym, wreszcie i zasłużonym wojennie około sprawy węgierskiej chorągwiom polskim, wypadnie się pożegnać ze swymi gościnnymi gospodarzami, usłuchać wezwania gotującego odwet króla szwedzkiego, powędrować do jego obozu benderskiego. Formalne, jawne i spokojne spełnienie aktu podobnéj separacyi nie mogło żadną miarą nastąpić, byłoby od razu Rakoczego i Węgrów kompromitowało wobec Cara jako współników przedsięwzięcia, które się ostatecznie obracało *przeciw* niemu i królowi Augustowi. Pozostawało więc tylko wojewodzie Kijowskiemu, Grudzińskiemu i ich podkomendnym, jeżeli chcieli wyrwać się z objęć węgierskich i podążyć ku Benderowi, uczynić to drogą spełnionego niybyto przeciw zawartéj z Rakoczym

umowie gwałtownego wybryku, któryby był, o ile
możności, upozorowany nieprzewidzianą niczém
przypadkowością. Wojewody Kijowskiego, staro-
sty Rawskiego, czyli głównych dowódców od-
działu polskiego, nie było *umyślnie* przy nim w owych
pierwszych kilkunastu dniach kwietniowych r. 1710.
Wtém nadeszła do Munkacza i do Koszyc, do
Rakoczego, Berczenyiego, plackomendanta Munka-
ckiego generała Vaya przerażająca wiadomość, że
obozujące pod Erlau chorągwie polskie Zagwojz-
skiego i Urbanowicza, zbuntowały się dnia 12
Kwietnia „za widoczném podżeganiem kilku niesfor-
nych, oddanych pijaństwu ludzi“, że wypowiedziały
posłuszeństwo swój komendzie, opuściły swe leże
i zdążają widocznie w pochodzie swym ku Mołda-
wii. Za nadejściem tego doniesienia do natural-
nych ognisk Rakoczowego rządu, pospieszyli co-
prędzej Berczenyi i Vay wyprawić dopesze do ge-
nerałów Carskich na Spiż, do Dołgorukiego za po-
średnictwem Brennera do Warszawy, że „awantur-
nicy niektórzy z pośród oddziału polskiego urwali
się z częścią chorągwi, istnie jak niesforny rumak
z łańcucha stajennego“ i dążą bez wiedzy i woli
rządu węgierskiego, niewiadomo dobrze dokąd, ale
że w tym niegodziwym i przykrym dla Węgrów
wybryku, nikt z rozsądniejszych ludzi, mianowi-
cie zaś ani wojewoda Kijowski, ani starosta Ra-
wski, nie mają najmniejszego udziału. Nie wchódź-
my zbyt głęboko w rozbiór kwestyi, o ile te gniewy
Rakoczego i Berczenyiego były *szczerze*. Co nato-

miast pewna, to że mistyfikacja długo utrzymać się nie dała. W kilka dni zaledwie po pierwszych, w powyższy sposób brzmiących depeszach z 14 i 16 Kwietnia, wypadło Berczeniemu do tychże samych adresatów wyprawić inne, nowe, lepiej poinformowane, w których z wszelkimi pozorami gniewu i oburzenia donosił, że Potocki sam niepomny danego słowa i swój rezygnacyi z dowództwa, że i Grudziński niepomny na swój rewers z dnia 12 Lutego, wyrwali się również z miejsca swego zwykłego na Węgrzech pobytu, że podążyli za zbuntowanymi chorągwiami a że pochód ich zwraca się widocznie ku Siedmiogrodowi. Rząd węgierski znalazł się w obliczu tego, co się w słowniku dzisiejszym politycznym nazywa *fait accompli*: Polacy byli w pełnym marszu ku obozowi króla szwedzkiego pod Benderem. Po drodze, według raportu datowanego z Wiednia, 23 Kwietnia 1710, zachwyliła ich pod Segedynem pogoń Raiców i piechoty Cesarskiej. Przyszło do krwawego spotkania, w którym, jak nam się zdaje, bardzo przesadnie, raport austriacki oblicza straty polskie na 600 poległych, 200 rannych, 20 jeńców. Cokolwiekbądź, nie zdołała cesarska pogoń przeszkodzić Polakom w dalszym pochodzie, który się następnie zwrócił przez północne okolice Siedmiogrodu, wzdłuż granicy polskiej ku Bessarabii. W pierwszych dniach Maja znalazł się wojewoda Kijowski ku niesłychanemu zadowoleniu króla szwedzkiego w obozie benderskim. Była to znów od bitwy pułtawskiej pierwsza poważniejsza

siła, na jakiej w oczekiwaniu tureckiej decyzji i akcji działania swe mógł oprzeć. List datowany z Konstantynopola, dnia 15 Maja 1710, odzywa się w tym przedmiocie jak następuje: „Pan Potocki wojewoda Kijowski przybył ostatnimi dniami do Jass w orszaku około 40 osób. Pojechał złożyć swe uszanowanie królowi szwedzkiemu w Benderze a pozostawił korpus blisko 3000 Polaków na granicy Polski i Mołdawii. Mówiono mi“, dodaje autor listu w *dopisku*, „że wojska wojewody Kijowskiego wkroczyły do Mołdawii.“ Dość tedy, znalazły się ostatecznie wszystkie siły polskie, jakie Józef Potocki zdołał wyprowadzić z Węgier, około połowy miesiąca Maja w obozie benderskim, tworząc wraz z Kozakami Orlikowymi po Mazepie zastęp, który czy to w roku 1711, czy w roku 1712 robi wyprawy do Polski stósownie do wielkiego planu ułożonego przez króla szwedzkiego. Z buntem tym chorągwi polskich, z wymarszem ich do Bessarabii kończy się wprawdzie czynna rola Polaków w ówczesnej *wojnie* węgierskiej, ale rozpoczyna tem przykrzejsza dla Węgrów obecność ich na widowni *dypłomatycznej*. Jakkolwiek nie zbywało ze strony węgierskiej na usiłowaniach, aby owo wyrwanie się Polaków z obozu Erlauskiego do obozu Karola XII pod Benderem upozorować, o ile możności, była cała ta sprawa zbyt przezroczytą, aby jej dyplomacya Carska nie była miała zrozumieć. Swoją drogą utrzymały się wprawdzie *osobiście* dobre stósunki, jakie umiał oddawna już zawiązać Berczenyi

i Rakoczy z dygnitarzami Carskimi. Utrzymały się tém łatwiej, że przebiegły naczelnik powstania węgierskiego nie zanieczywał i nadal posługiwać się argumentami, które mu dotąd powodzenie w obozie moskiewskim zyskały, grzecznymi słowami, Tokajem i pieniędzmi. Nie przestawał nadto kołatać przez Nideckiego i Tomaszewskiego do Pani hetmanowej Sieniawskiej o interwencją u Cara i Augusta. Wszystkie te starania nie pozostały do tyła nadaremne, że Car nie przerzucił się wyraźnie na stronę dworu wiedeńskiego, ani nie nakazał swym wojskom zajmującym starostwo Spiskie posuwać się dalej na Węgry. Ów wojewoda Kijowski przezimowany, przyodziany i wykarmiony wraz ze swym oddziałem na Węgrzech tak widocznie dla króla szwedzkiego, tak widocznie na szkodę Cara i Sasa w Polsce, był przecież przedmiotem zbyt kłującym w oczy, zbyt drażliwym, aby się nie był miał przyczynić do oziębienia stosunków między Rakoczem a dworem petersburskim, aby nie był miał odebrać Moskwie ochotę do wstawiania się w Wiedniu dla Rakoczego o księstwo Siedmiogrodzkie. List kanclerza Carskiego Gołowkina do Rakoczego, z Petersburga dnia 16 Lipca 1710, nie pozostawia pod tym względem najmniejszej wątpliwości. W liście tym wskazywał Gołowkin wyraźnie sprawę przyjęcia i przeprawy wojewody jako powód uchylecia się Cara od podjęcia pośrednictwa w interesie Rakoczego, stwierdzał, „że przeprowadzenie oddziału Potockiego

przez poddanych węgierskich do Mołdawii w celu połączenia się ze Szwedami, wychodzi na czyn wyraźnej nieprzyjaźni ze strony księcia przeciw Carowi;" groził wreszcie, „że gdyby wojewoda Kijowski lub stronnicy jego znaleźli się w granicach Węgier, wojska J. Carskiej Mości byłyby zmuszone zaczepić go stósownie do prawa narodów, wszędzie, gdzie go tylko znajdą.“ Że wojewoda Kijowski miał wszelki powód ściągać na siebie podobne gniewy i gromy dyplomacyi Carskiej i Saskiej, że nie przestał być kamieniem obrazy w dalszych rokowaniach między Wiedniem, Dreznem, Warszawą, Petersburgiem a Munkackim dworem, że wywołał nawet we Wrześniu r. 1710 ze strony króla Augusta postanowienie odstąpienia Cesarzowi 8000 żołnierza saskiego na stłumienie powstania węgierskiego, uważać należy za rzecz aż nazbyt naturalną i usprawiedliwioną wobec dwóch późniejszych wypraw do Polski, Potockiego w roku 1711, Grudzińskiego w roku 1712.

III.

Tymczasem staje się ustąpienie wojsk Potockiego z widowni węgierskiej, nie powiemy koniecznie, aby *powodem*, ale, co pewna, to hasłem i datą coraz to pospieszniejszego upadku sprawy Rakoczego na Węgrzech a zarazem prologiem nowej i ostatniej odsłony owego pełnego prze-

mian dramatu Rzeczywistości, którego aktorami przyszło być Polakom razem z Węgry. Koniec roku 1710, początek roku 1711, zapisują coraz widoczniejsze objawy klęski Rakoczwów. Coraz słabiej podtrzymywany przez Francją, opuszczony przez Cara, nie mogąc liczyć na Portę Otomańską, sprostać przewadze Cesarskiej, tracąc coraz więcej gruntu pomiędzy swoimi, znajduje się Rakoczy w rozpaczliwym położeniu. Topnieją jego siły, Munkacz obsadzony załogą składającą się z samych poddanych dóbr jego znajduje się wprawdzie jeszcze w jego posiadaniu, podobnie jak i niektóre inne twierdze węgierskie, ale katastrofa zbliża się niepowstrzymanymi krokami. Z wiosną r. 1711 zwracają się znów oczy zagrożonego Rakoczego coraz więcej i coraz częściej ku tej samej Polsce, która mu już przed siedmiu laty była przybytkiem osobistego schronienia, podstawą politycznego oparcia, arsenałem wojennym. Teraz właśnie stawało się poszukiwanie schronienia polskiego ze strony Rakoczego tém naturalniejszém, że Ludwik XIV nabył dlań na Czerwonój Rusi dobra Wysoką pod Jarosławiem.

Z wiosną r. 1711 widzimy istnie, jak wobec zbliżającego się końca powstania r. 1831 z Puław do Sieniawy, tak i tutaj skarby archiwalne, kosztowności, zapasy pieniężne wędrujące z zagrożonego Munkacza na ziemię polską, do Wysoki, Jarosławia, do majątności Konstantego Sobieskiego, Żółkwi i Jaworowa. Doświadczeniem powtarzają-

cém się wiernie i niezmiennie we wszystkich rzeczach ludzkich pozostanie, że każda upadająca sprawa wywołuje zwątpienie, zwątpienie nie tyle zdrajców, ile raczej odstępców. Miała sprawa węgierska w roku 1849 swego Görgeja, znalazła sprawa Rakoczego całkiem podobnego w osobie generała Karolyiego, tego samego Karolyiego, który przed ośmiu laty odstępstwem od sprawy Cesarskiej, dał główne hasło wybuchowi węgierskiego powstania. Karolyi nie pytając o Rakoczego rozpoczął na własną rękę rokowania z dowódcą wojsk Cesarskich na Węgrzech, feldmarszałkiem Janem Palfym. Wobec podobnego położenia rzeczy, nie czuł się już Rakoczy bezpiecznym na Węgrzech, wyniósł się w miesiącu Kwietniu r. 1711 wraz z najenergiczniejszymi stronnikami swój sprawy Mikołajem Berczenyim, Szymonem Forgaczem i Antonim Esterhazym do Polski. W téj to właśnie chwili nastąpił ze strony Karolyiego i innych dowódców węgierskiego powstania akt, który sprawie Rakoczego zadał cios śmiertelny. Parci przemagającymi siłami przez Cesarskich, nie mogąc liczyć na Cara i Francją, opuszczeni nawet chwilowo przez Rakoczego, udali się w rozpaczliwém swém położeniu na konferencyą z Palfym do Nagy Karolyi w komitacie Szatmarskim. Sztuka pozyskania ich dla sprawy Cesarskiej okazała się tém łatwiejszą, im ofiarowane przez Palfego warunki były przystępniejsze. W zamian bezwarunkowego uznania

Cesarza Józefa i jego następców królami Węgier, złożenia broni i oddania Cesarskim wszystkich twierdz obsadzonych jeszcze przez załogi powstańcze, zatwierdzał Cesarz nie tylko wszystkie prawa polityczne Węgier, ale nadto darzył wszystkich uczestników powstania, nie wyjmując nawet Rakoczego i Berczenyiego, bezwarunkową amnestyą, pozostawiał ich w posiadaniu dóbr i majątków, pozostawiał nawet na dawniej zajmowanych urzędach i przy stopniach wojskowych. Karolyi przyjął warunki ofiarowane sobie przez Cesarskich a tak przysłała do skutku konwencja znana w dziejach Węgier pod nazwą *Szatmarskiej*, która, jak z jednej strony kładła koniec powstaniu Rakoczego, tak z drugiej stanowiła akt fundamentalny organizmu politycznego Węgier i stosunku ich do domu austriackiego.

Dnia 30 Kwietnia 1711 r. odbył się na szerokiej równinie pod miejscowością Majtany akt przypominający dziwnie kapitulacją Görgeya pod Villagos w 138 lat później. Cała jazda powstania licząca jeszcze 10 tysięcy koni, wyjechała naprzeciw rozwiniętego w długich liniach wojska Cesarzskiego pod dowództwem Jana Palfyiego, posiadała z koni, złożyła broń i sztandary, wykonała następnie za przykładem Karolyiego przysięgę na wierność Cesarzowi. Mogłoby się zdawać, że wobec podobnego wypadku nie dopuszczającego żadnych dalszych złudzeń, sam Rakoczy i jego towarzysze zrezygnują również z oporu i podda-

dzą się nieubłaganej konieczności, tém bardziej, że konwencya Szatmarska oszczędzając byt polityczny Węgier, zapewniała im w razie poddania się jój warunkom, nietykalność fortun i osób. Nie trzeba jednakże znać chyba fizyologii wszelkich powstań i wszelkich emigracyi, aby przypuszczenie podobne stawiać i w obecnym przypadku a ruch Rakoczego miał także, już po swój katastrofie, znaleźć swoich Koszutów, Klapków, Mesarosów i Türrów. Przedłużona zaś ta rola „nieprzeblaganych“ żywiółów Rakoczego powstania składa się na interesujący epilog, który nas znów wprowadza na widownię polską. Dziwnie zmienne koleje bohaterów i co wybitniejszych postaci tej wojny.

Do roku 1703 widzimy Rakoczego i Berczenyiego wygnańcami z własnego kraju, korzystającymi z gościnności i opieki panów polskich, głównie hetmana Sieniawskiego i wojewody Kijowskiego Józefa Potockiego, W siedm lat później gości Potocki jako wygnaniec z ojczystego kraju u panującego na Węgrzech Rakoczego. W rok później, w trzecim akcie, znów zmiana dekoracyi: Rakoczy ponownie zmuszony uchodzić z ojczyzny, znajduje schronienie w tej samej Polsce, u tych samych przyjaciół, u których go poszukał przed rozpoczęciem swego świetnego i tragicznego na przemian zawodu. W Maju, Czerwcu, Lipcu r. 1711 znajdujemy go w dobrach Jaworowskich, we własnych posiadłościach Załusiu lub

Wysoce, w pobliżu znów i pod skuteczną zasłoną wojewodziny Bełzkiej i Sobieskich. Otoczenie Rakoczego jest liczne, składa się z wypróbowanych wszelkiej ugody przeciwników. Widzimy mianowicie około jego osoby: Antoniego hr. Esterhazego, Szymona hr. Forgacza, Stefana hr. Czakięgo, Michała hr. Czakięgo i podrzędniejsze postacie, jak Franciszka Galambosa, Adama Vaya, Stefana Soosa, Stefana Radoczego i Pawła Radaya. Otóż to skład emigracyi węgierskiej w Polsce, piorunującej w depeszach i protestach z dni 12, 13 i 17 Maja, datowanych z Załuska przeciw konwencyi Szatmarskiej i jakiejbądź ugodzie z Cesarskimi.

Sądząc z instrukcyi, jakie Rakoczy w tych krytycznych chwilach przesyłał swym dyplomatycznym agentom, sądząc z późniejszego listu datowanego z Jaworowa do Cara, łudził się Rakoczy ciągle jeszcze nadzieją pomocy *jego* i Ludwika XIV a tymczasem, przeprawiwszy do bezpiecznej przystani polskiej kosztowności, pieniądze, tajne swe archiwum z Munkackiego zamku, nie przedstawiał upominać załogę jego do wytrwania i dalszej obrony. Składający ją przeważnie chłopci z dóbr Rakoczego pełnili istotnie obowiązek swój bohatersko i przedłużyli obronę aż do dnia 23 Czerwca 1711. W dniu tym poddali się za poprzednią kapitulacją Palffyemu i feldmarszałkowi Löffelholzowi. Wiadomość o tym wypadku była prawdziwym gromem dla Rakoczego i emigracyi

węgierskiej przebywającej w Polsce. Nie zrzekając się, jak niżej będziemy mieli sposobność wykazać, ani swych pretensyi, ani swych nadziei, uznał przecież sam Rakoczy chwilowo akcją swą na widowni ojczystej za skończoną i rezygnuje się na wygnańczy pobyt w Polsce, podczas którego mu nie zbywa na znanych nam z poprzedniego opowiadania przyjaciółach. Wśród nich Pani hetmanowa Sieniawska, jak dotąd, pierwszorzędne zajmuje stanowisko. Przyjaźń ta nie ograniczała się jedynie tylko na stósunkach politycznej natury. Pani hetmanowa, zasłaniając Rakoczego fortunę od nieprzewidzianych ciosów, wzięła n. p. wobec gotującego się jego wyjazdu z Polski, dobra Wysokę i Załusie w ubezpieczający zastaw. On sam tymczasem, powierzwszy kierownictwo swój sprawy pozostałemu w pobliżu Węgier na terytoryum Rzeczypospolitej Antoniemu hr. Esterhazemu, postanowił szukać pomocy dalej, w Anglii i Francyi, wyjednać sobie jakiebądź uznanie w mającym nastąpić „generalnym traktacie pokoju.“

Z początkiem Września 1711 opuszcza Rakoczy swe schronienie ruskie i wyjeżdża na kilka dni do Warszawy; 9 Września widzimy go w Toruniu, następnie w Elblągu, od 11-go Grudnia w Gdańsku, gdzie bawi blisko rok cały, mając przy swym boku jako nieodstępного towarzysza, „kanclerza“ Pawła Radaya. Czas jego gdańskiego pobytu, obojętnego dla dziejów i spraw polskich

wypełniają korespondencye z małżonkami Sienia-wskimi, innymi panami polskimi i dworem wersalskim, wreszcie daremne kołatania o interwencyą Carską. Dnia 16 Listopada 1712 wsiadł Rakoczy w porcie gdańskim na okręt, który go naprzód zawiózł do Anglii, zkąd po krótkim pobycie udał się do Francyi. Z Węgrami i Polską pożegnał się na zawsze, na dworze wersalskim doznał świetnego przyjęcia. Znika więc z ostatniemi dniami roku 1712 z widowni polskiej ciekawa i zajmująca cokolwiek bądź postać Rakoczego a i my moglibyśmy się z nią w opowiadaniu naszym rozstać, gdyby, jak już powiedzieliśmy, niezarzucone pretensye, nie pogrzebane nadzieje naczelnika powstania węgierskiego i jego nieprześląganym kilkunastu stronników, nie były jeszcze wywołały epilogu rozgrywającego się na ziemi polskiej. Poświęćmy mu jeszcze kilka słów uwagi.

Kiedy Rakoczy w późnej jesieni r. 1712 żegnał się, o smutnej porze i zasmuconém sercu, w przystani gdańskiej z gościnną mu tyle i wytrwale przychylną Polską, pozostali na ziemi polskiej, mimo i wśród zaniewieruchy ją ogarniającej, mimo dżumy i klęsk wojennych w Wysoce, Załusiu, Jarosławiu, Jaworowie, w pobliżu ojczystych Węgier, z okiem zwróconém na obsadzony już teraz nie przez swoich Munkacz, wspomnieni wyżej zwolennicy jego sprawy, czekając na to, co Bóg da, licząc, jak każda stęskniona emigracya,

na niespodzianą odmianę fortuny. A dobrze i bezpiecznie było téj emigracyi w gościnnych dworach Sieniawskich, Potockich, Lubomirskich, obu Sobieskich, mianowicie w klassycznym zamku Żółkiewskim, zamieszkałym obecnie przez Konstantego Sobieskiego. Z roku 1712 na 13, właśnie o tym samym czasie, kiedy Rakoczy z przystani gdańskiej steruje ku brzegom Anglii i Francyi, widzimy rozbitków powstania węgierskiego rozproszonych po najrozmaitszych stronach i zakątkach Rzeczypospolitéj. Kilku z nich, między nimi najprawdopodobniej Paweł Raday, kanclerz czyli pofny sekretarz Rakoczego, pozostaje w Gdańsku, by pośredniczyć na tym posterunku między nim a Węgrami i pozostałymi w Polsce stronnikami. Małżonka Rakoczego z domu hrabianka Leiningen, przebywa częścią w Warszawie, częścią w Wilanowie pod opieką na przemian hetmaństwa Sieniawskich i braci Sobieskich. Pozostaje zaś długo, bo spotykamy się tu z nią jeszcze w cztery lata później, w roku 1717. Mikołaj Berczenyi, Szymon Forgacz, Antoni Esterhazy, Czaki, przebywają z żonami i dziećmi w pobliżu Lwowa, w Jarosławiu, w Jaworowie, w Wysoce, w Żółkwi, zagładając w pierwszych miesiącach roku 1713 nie często do Lwowa, trwożni o przyszłość, obawiający się nie bez słuszności zamachu cesarsko-saskiego na bezpieczeństwo swych osób. Berczenyi i Esterhazy zajeżdżają raz po raz do Lwowa z wiejskich swych ustroni

i schronień, obierają sobie zawsze przezornie kwatery w zasłoniętych przywilejem nietykalności klasztorach O. O. Bernardynów lub Teatynów lwowskich. Znaleźli mianowicie wychodźcy węgierscy w przeorze Teatynów Ojcu Trombettim, serdecznego, gorącego swęj sprawy rzecznika. Dowodem tego pozostanie list jego do posła austriackiego w Warszawie, wstawiający się za nimi, z dnia 13 Kwietnia 1713.

Potrąciliśmy powyższemi słowy o osobę reprezentanta dworu wiedeńskiego w Warszawie. Był nim naówczas (rok 1713) znany nam baron Tiepolt, doświadczony, jak widzimy, czujny na swém stanowisku dyplomata, wojujący na dworze Augustowym, u hetmaństwa Sieniawskich, u przemożnych wówczas marszałkostwa Bielińskich, u córki ich Denhoffowej, wszechwładnej naówczas kochanki królewskiej, z odmienném szczęściem przeciw reprezentantowi Francji Besenvalowi i z daleka sięgającym wpływem niejakiego Fierville'a, agenta francuzkiego przy boku Karola XII. w Benderze. Tiepolt rozciągał w pierwszych miesiącach roku 1713 nadzwyczajną kontrolę nad emigracją węgierską w Polsce, dopominał się wciąż na posłuchaniach u króla, prymasa Szembeka, w hetmana koronnego Sieniawskiego, Flemminga, wydania władzom Cesarskim przebywających w granicach Rzeczypospolitej „buntowników węgierskich,“ mianowicie Berczenyiego. Równocześnie żalił się w swych sprawozdaniach do dworu cesarskiego,

że środki pieniężne, jakimi rozporządza, nie dozwalają mu z Warszawy, w odległości 50 mil od Lwowa, zkąd zaledwie raz w tydzień list swego agenta odbiera, rozwinąć należytej kontroli nad wychodźcami węgierskimi, że mu potrzeba przynajmniej 2000 florenów na utrzymanie odpowiednich „korrespondentów“ z Krakowa i Lwowa.

Jak na obecną chwilę, mówimy zaś o pierwszych miesiącach roku 1713, nie miał przecież baron Tiepolt powodu żywić ciekawości swego dworu jakimibądź nadzwyczajnościami w sprawie „buntowników węgierskich.“ Bawiąca w Wilanowie małżonka księcia Rakoczego zaręczała baronowi Tiepoltowi przez hetmanową Sieniawską, że jest jój silném postanowieniem trzymać się na uboczu i że prosi dwór cesarski o oszczędzanie swego spokoju. Forgacz, Esterhazy i Czaki kazali zapytywać przez znanego już O. Trombettego, czy i pod jakimi warunkami mogliby wrócić do Węgier. Rakoczy sam, oni, dokładali wszystkich starań, aby tymczasem uzyskać *indigenat polski*, czemu się Tiepolt wszelkimi siłami opierał a czego zerwanie warszawskiego sejmu w Lutym r. 1713 nie dopuściło. Berczenyi sam, chory, znużony, zmitrężony moralnie, zawiesił, jak się zdaje, chwilowo polityczną działalność. Rozeszła się wprawdzie wieść, że Berczenyi i jego towarzysze zjechali do Lwowa pod koniec Lutego 1713, aby przy sposobności odbywającej się tamże komissyji hibernowej złożyć walną naradę z polskimi swymi

przyjaciołmi. Wiadomość ta jednakże okazała się fałszywą a dwóch wiarogodnych świadków, Mikołaj Krosnowski wojewoda Czernichowski i biskup Kujawski Szaniawski zaręczali posłowi austriackiemu, że Berczeni był wprawdzie u pierwszego z nich z wujem króla Stanisława, wojewodą ruskim Janem Jabłonowskim, ale że się wcale nawet nie odzywał. Takież same zaspokojające oświadczenia co do zachowania się księżnej Rakoczowej w Wilanowie czy Warszawie i wychodźców węgierskich na Rusi dawali baronowi Tiepoltowi wszyscy zapytywani przezeń dygnitarze polscy, mianowicie hetman i hetmanowa Sieniawscy, tak że istotnie czujność jego byłaby trochę ukołysaną a pobyt Węgrów spokojnym, gdyby nie następny, przykry dla nich pośrednio, niespodziany wypadek. W lecie r. 1713 wpadł król August na trop wielkiego spisku knowanego przez Jana Jabłonowskiego wojewodę ruskiego, wuja i kanclerza króla Stanisława. Uwięziono wojewodę w Sierpniu r. 1713 w Warszawie, poddano ścisłemu śledztwu, wywieziono zaraz do Saxonii i osadzono na Königssteinie. Między zabranymi mu papierami znaleziono i listy Berczenyiego, świadczące, że wychodźcy węgierscy umaczali rękę w spisku wojewody ruskiego na rzecz króla Stanisława, że mieli o nim dokładną wiadomość, że byli gotowi wspierać robotę wojewody.

Nie omieszkał korzystać z tego wypadku Tiepolt i wyzyskał go na szkodę wychodźców

węgierskich. Wykazując, że są nie tylko buntownikami przeciw prawowitej Cesarskiej władzy, ale nadto niewdzięcznikami nie umiejącymi uszanować praw monarchy, w którego kraju znaleźli gościnne schronienie, nie przestawał poseł austriacki domagać się ponownie wydania ich cesarskim władzom. August sam i Flemming nie byli chwilowo tak bardzo przeciwni żądaniu cesarskiego posła, który przez dwa miesiące, Wrzesień i Październik 1713, powraca z pewną natarczywością do coraz to nowych w tym przedmiocie szturmów. Wielki kanclerz koronny Szembek dawał tymczasem wymijające odpowiedzi, hetman Sieniawski udając gniewy, przyjmował zaręczenia Berczeniego, że niczego przeciw królowi i Rzeczypospolitej Polskiej nie przedsiębrał. Co zaś najważniejsza, rozbił się cały plan zagrażającego Berczeniemu wydania o stałość i energią księcia Konstantego Sobieskiego. Berczenyi bawił natenczas u niego w gościnie na zamku Żółkiewskim. Syn Jana III. postarał się o bezpieczeństwo swego gościa, którego podstęp saski mógł uprzątnąć. Sprowadził do miasta Żółkwi trzy swego imienia chorągwie i kazał im mieć baczne oko na zamek, w którym się mieścił Berczenyi. Do gwałtu nie chciał się król August, tém mniej naturalnie hetman Sieniawski posuwać. Wstawili się zresztą ku wielkiemu niezadowoleniu Tiepolta za Węgrami u króla Augusta poseł francuzki Besenval i zaprzyjaźniona z nim kochanka królewska, Pani

Denhoff. Sprawa wydania Węgrów poszła w odwłokę, usnęła, Berczeni prosił przeciwie króla polskiego o list żelazny (*litterae protectionales*), rzecz zaś całą przekazano ze strony Rzeczypospolitej jako przedmiot do załatwienia w Wiedniu między tamtejszym dworem a wyprawionym doń w nadzwyczajnej missyi Krzysztofem Szembekem, biskupem inflantskim. Tak więc utrzymali się szczęśliwie pod koniec roku 1713 Berczeni i inni wychodźcy węgierscy, pierwszy w Żółkwi jako gość Konstantego Sobieskiego, drudzy po różnych miejscowościach Czerwonej Rusi, utrzymując korespondencyą z Rakoczym, który nieprzerwanie bawił w Paryżu, czekając, jak dotąd, co losy przyniosą.

Tymczasem, nie zapominajmy, spełniła się powoli w nadziejach i kombinacjach polityki Rakoczego i jego stronników ważna przemiana. Dotąd opierali całą swą akcyą na Francyi, w nieskapėj mierze i na Carze. Obecnie zmieniły się okoliczności. W r. 1714 zakończył traktat Utrechtski wielką wojnę sukcesyjno-hiszpańską, nie znalazłszy w stypulacyach swych tyle upragnionego przezeń miejsca dla Rakoczego. Francya nie przedstawiała go darzyć gościnnością, subsydiami pieniężnymi, tradycyjną sympatyą, ale nie było już mowy o jakiejbądź czynnej pomocy dla powstania węgierskiego. Że na *Cara* liczyć nie można, przekonał już Rakoczego rezultat jego dawniejszych w tym kierunku starań. Jedyny punkt

oparcia przedstawiała jeszcze Porta Ottomańska, wytrwale nieprzyjazna domowi austriackiemu, żądna odwetu za dawniej poniesione klęski, zwłaszcza po szczęśliwej wojnie przeciw Rzeczypospolitej weneckiej. Rakoczy liczył za pomocą turecką na zyskanie, co najmniej, księstwa Siedmiogrodzkiego, Porta nie mogła go, jak bardzo naturalnie, nie uważać za potężny czynnik dywersyjny w jakimkolwiek przedsięwzięciu przeciw domowi austriackiemu. W tej ponownej zmianie przyjdzie znów odgrywać osobną rolę Polsce z tej prostej przyczyny, że emigracja węgierska, jak bawiła dotąd, tak bawi i nadal na ziemi polskiej. Główną ich kwaterą Żółkiew, głową, jak zawsze Mikołaj Bercezy, gościnnym gospodarzem domu Konstanty Sobieski, wytrwałymi, choć zmuszonymi ze względów politycznych maskować swoją przyjaźń i współczucie opiekunami, oboje hetmaństwo Sieniawscy. Oba lata 1714 i 15 uszły wychodztwu węgierskiemu w jakim takim spokoju. Kiedy wojska saskie i „auxyliarne wojska J. Carskiej Mości“ deptały i gnębiły kraj we wszystkich jego stronach i zakątkach; kiedy dotknięta do żywego szlachta gotowała się z rokiem 1715 do odwetu przez konfederację Tarnogrodzką, siedzieli sobie wychodźcy węgierscy, zapomniani i bezpieczni w Żółkwi i jej okolicy.

Wiosna roku 1716 zapowiadająca wybuch wojny między Austrią a Portą Ottomańską, wyprowadza ich znów na scenę z narażeniem oso-

bistego bezpieczeństwa. „Buntownicy węgierscy“ z Berczenyim na czele, wychodzą ponownie na stały przedmiot dyplomatycznej korespondencji między Warszawą a Wiedniem. Reprezentantem Austrii na dworze warszawskim jest natomiast po Tiepolcie baron Martels, którego niekiedy zastępuje rezydent Zach. W miarę zbliżającego się niebezpieczeństwa wojny z Turcyą, wzrastają obawy dworu wiedeńskiego co do możliwej akcji emigracyi węgierskiej w Polsce. Pod wrażeniem zaś téj obawy rozpoczyna się, jak zaraz zobaczymy, dyplomatyczno-konspiracyjna akcja równie mało zaszczytu wszystkim swym uczestnikom przynosząca, ile przytém niedołączna, powolna i niezręczna. Pamiętajmy, że księżna Rakoczowa bawi ciągle w Warszawie lub Willanowie, że Berczeni, Forgacz, Esterhazy, Czaki przebywają w Żółkwi i w okolicy Lwowa. Poselstwo austriackie, jak o tém najwyraźniej wspomina depesza Martelsa z Gdańska, dnia 16 Maja 1716, dostało od samego Cesarza Karola VI. instrukcją „wziąć się do osoby Berczenyiego i dostać go w moc władz Cesarskich.“ Słowem, przedsięwzięcie na ziemi polskiej, biorące sobie najwierniej za wzór naśladowania godny, zamach elektora brandenburgskiego wykonany przed 46 laty przez rezydenta Brandta przeciw osobie nieszczęsnego Kalksteina. Zależało naturalnie na pozyskaniu dla podobnego przedsięwzięcia króla Augusta, Flemminga, Sasów, gdyż z poręki *polskiej* w podobnym dziele zrezy-

gnowali z góry jego inicjatorowie po chybotliwej próbie z roku 1713.

W Kwietniu r. 1716, właśnie wśród wzrastającego coraz groźniej nurtu konfederacji tarnogrodzkiej, udał się król August z licznym dworem, w towarzystwie pani Denhoffowej, w otoczeniu całej dyplomacji do miasta Gdańska w celu spotkania się i konferencji z Carem Piotrem. Między innymi znalazł się przy boku króla Augusta i poseł austriacki. Przez blisko dwa miesiące, do końca prawie Maja trwał ten pobyt obu monarchów, wśród obiadów, festynów, zabaw, których królową była pani Denhoffowa. Na jednym z takich festynów, jak pisze do Cesarza we wspomnianej już depeszy z dnia 16 Maja, znalazł poseł austriacki sposobność zbliżyć się do Flemminga i zwierzyć mu się z instrukcyi, jaką odebrał od swego dworu w przedmiocie pochwycenia Berczenyiego i jego towarzyszków. Flemming, „aby pokazać swą dewocyą dla W. C. Mości,“ oświadczył, iż chętnie przyczyni się do pochwycenia bawiącego ciągle w Żółkwi Berczenyiego przez żołnierzy saskich, skoro za powrotem z Gdańska, znajdzie się w Jarosławiu ku traktowaniu z konfederatami. Prosił zarazem przy tej sposobności Flemming, aby komenderujący w pobliżu granic polskich generał lub jakibądź oficer cesarski dostał przez księcia Eugeniusza Sabaudzkiego polecenie zawiązania z nim, Flemmingiem, w tym celu osobnej korespondencyi.

Plan ułożony w ten sposób między Martelsem a Flemmingiem przy „festynie“ w Gdańsku, miał za powrotem z Gdańska zyskać sankcyą króla Augusta przy sposobności innego, podobnego festynu, w królewskim ogrodzie w Warszawie. Doniosłszy już poprzednio, z Gdańska, jeszcze pod dniem 23 Maja, że, jak mu Flemming zakomunikował, król August przyzwala chętnie na pochwylenie emigrantów węgierskich w Żółkwi, pisze Martels później pod dniem 13 Lipca 1716 z Warszawy: „Nie omieszkuję zawiadomić W. Cesarską Mość, jako wczoraj u dworu, gdy wyszedłem na spacer z generałem Wackerbarthem do królewskiego ogrodu, tenże mnie zapytał, jaką odpowiedź odebrałem na ułożony w Gdańsku z feldmarszałkiem Flemmingiem projekt w przedmiocie uprowadzenia Berczenyiego. Przychodząc do dworu, mógłem być pewnym, że obaj ministrowie znajdują się w tak ściślejszej przyjaźni, że żaden przed drugim niczego nie ukrywa, jak też rzeczywiście wszystkie sprawy wspólnie traktują. Dla tego też nie robiłem względem niego (Wackerbartha) żadnej tajemnicy, ale oświadczyłem mu, że W. Cesarska Mość dobrą intencyą króla (Augusta) z wdzięcznością uznajesz a że ja oczekuję od godziny do godziny rozporządzenia nadwornej rady wojennej (Hofkriegsrath) i że się spodziewam, iż takąż sama dobra wola objawi się, bądź to przez wydanie, bądź przez wypędzenie innych buntowników węgierskich. Zaręczał za to (generał Wackerbarth)

swą gorącą chęć służenia interessowi W. Cesarskiej Mości, słauił dobrą wolę króla (Augusta), nie zatajał jednakże przy téj sposobności, że władza jego tak daleko nie sięga. Tłumaczył mi, że teraz już prawie minęła odpowiednia temu przedsięwzięciu pora, że przez zawarte (z konfederatami Tarnogrodzkimi) zawieszenie broni, w skutek którego Lwów opuszczono a królewskie wojska z tamtéj okolicy wyprowadzono, łatwa możność wykonania podobnego zamachu mocno utrudnioną została.“ Jakkolwiek Wackerbarth wspominał Martelsowi o trudnościach przedsięwzięcia w obecnej chwili, jakkolwiek przedstawiał niedostateczność królewskiej władzy polskiej w tego rodzaju wypadkach, jakkolwiek już się zaczęła rozchodzić wieść o wyjeździe Berczenyiego i jego towarzyszków z Żółkwi, podjętego planu przecież nie zaniechano, przeciwnie przystąpiono do jego wykonania. Obrano zaś sobie za główny punkt oparcia podjętej przeciw Węgrom roboty tenże sam zamek Munkacki, który przed kilku laty był rezydencyą Rakoczego i centralnym ogniskiem węgierskiego powstania. Munkacz był najbliższą teraz granic polskich cesarską twierdzą. Plackomendantem jej był cesarski podpułkownik Spett. Między nadworną radą wojenną wiedeńską, baronem Martelsem a Spettem rozpoczęła się tedy w Sierpniu 1716 korespondencya, której odcyfrowana część nie pozostawia najmniejszej wątpliwości co do przygotowywanego przeciw Berczenyiemu

i innym bawiącym w Polsce emigrantom węgierskim zamachu. Rzecz zasługująca na uwagę, iż ze strony saskiej był do wykonania tego zamachu przeznaczony tenże sam, obecnie już *general* Kospoth, który jako pułkownik kawalerów gwardyi saskich przed dwunastu laty wykonał pod Wrocławiem znany napad na braci Sobieskich. Plan ułożony między ambasadą austryacką w Warszawie, Flemmingiem a placomendantem Munkackim Spettem był następujący: Komenda saska pod wodzą Kospotha miała uprowadzić z Żółkwi Berczenyiego i innych wychodźców węgierskich, oddać ich oddziałowi jazdy cesarskiej, króyby był przekroczył granicę polską. Aresztanci mieli następnie być odstawieni do Munkacza, okuci w kajdany i osadzeni w więzieniu.

Korrespondencya w tym przedmiocie pomiędzy wzwyż wspomnianemi osobami jest nader obszerna, częsta, wchodząca w najdrobniejsze szczegóły a streszcza się ostatecznie około zamiaru i rezultatu wskazanego przez nas co dopiero wyżej. Nie mogąc wchodzić we wszystkie jej drobiazgi, przytaczamy przecież w całości a w dosłownym przekładzie jako dokument ważny, wyjątkowej ciekawości następane rozporządzenie nadwornej wojennej rady wiedeńskiej do barona Martelsa w Warszawie z dnia 22 Lipca 1716: „Jest rzeczą radzie wiadomą, jako Berczenyi i inni naczelnicy węgierskich buntowników przebywają w pogranicznym Królestwie Polskiem, a należy się obawiać,

że przy nadarzającej się, odpowiedniej sposobności, będą usiłowali wywołać nowe rozruchy w dziedzicznym królestwie węgierskim, dla czego też J. C. Mość, pragnąc zapobiedz wyniknąć ztąd mogącym dla dobra publicznego złym następstwom, widzi się spowodowaną użyć wszelkich środków i sposobów, aby wspomnianych naczelników buntu, w pierwszym zaś rządzie Berczenyiego pochwyć i w więzieniu osadzić, czego się teraz największa łatwość nadarza, ponieważ król polski feldmarszałek hr. Flemming z wiedzą i pozwoleniem króla zobowiązał się potajemnie do tego przedsięwzięcia ręki przyłożyć. Dla tego też rozporządziła J. C. Mość wedle kopii tutaj załączonej swemu rezydentowi w Polsce, baronowi Martelsowi, co czynić należy a mianowicie postarać się o to, aby szczegóły mającego nastąpić pochwyćcia były ułożone między pomienionym feldmarszałkiem a placikomendantem Munkacza jak najostrożniej i w jak największej tajemnicy. Stósownie do tego ma na oznaczone miejsce być wyprawiona bezzwłocznie komenda a oficer towarzyszący jej być dokładnie poinformowanym, jak się zachować. W tym celu należałoby sobie życzyć, aby wszyscy a przynajmniej większa część naczelników buntu, jako to Berczenyi, Szymon Forgacz, Antoni Esterhazy, Michał Czaki, Adam Vay wraz z całym swym otoczeniem pochwyćci być mogli. Ponieważ jednakże główny zamach jest skierowany na wzmiankowanego Berczenyiego,

który ma się znajdować w Żółkwi, w niewielkiej odległości od Munkacza, inni zaś w rozproszeniu znajdują się nieco dalej, należy rzecz urządzić w ten sposób, iż Berczenyi ma być pierwszy pochwycony, aby przez *równoczesne* przedsięwzięcie przeciw innym współnikom cały zamiar nie wyszedł na jaw a tém samém nie został udaremniony. Zresztą wiadomo panu plackomendatowi Munkacza, że cała Cesarska jazda jest obecnie oddaloną w polu, tak że ją bez zwrócenia uwagi w tutejszą okolice, ściągnąć nie łatwo. Ponieważ zaś pograniczne terytorium polskie jest górzyste, możnaby się tamże z piechotą łatwiej dostać i tenże sam cel osiągnąć.

Trzeba więc w szczególności o tém pamiętać, aby téj komendzie był dodany zręczny a zaufany oficer z kilku furierami, strzelcami i sługami na koniu. Również trzebaby na ten cel wybrać jeszcze dobrze wyćwiczonych, zaufanych podoficerów i prostych pieszo. Jak silna by ta komenda była, o jakim czasie i w jakim miejscu do Polski by wkroczyła, będzie to zależało od poprzedniego porozumienia ze wspomnianym cesarskim rezydentem baronem Martelsem i królewsko-polskim feldmarszałkiem hr. Flemmingiem. Dla dobrej ostrożności jednakże będzie trzeba nad granicą węgierską, w pobliżu miejsca, w którym ta komenda do Polski wkroczy, rozstawić inny jeszcze oddział, aby mieć zabezpieczone plecy, w razie zaś potrzeby, aby módz komendę do Polski wkraczającą wzmoćnić. Prócz tego należy też wprowadzić pod każ-

dym warunkiem baczyć na to, aby Berczeni i jego współnicy, których będzie można pochwy-
cić, byli dostawieni *żywo*. Gdyby jednakże wypra-
wiona do ich pochwylenia komenda miała być za-
czepiona przez polską lub jakąbądź inną nieprzy-
jazną partya a w takim razie było niebezpieczeństwo,
iżby więźniowie mogli umknąć, natenczas należałoby
się chwycić innych ostateczności i trzebaby ich albo
natychmiast na śmierć zarąbać lub zastrzelić. Jeżeli
jednakże, jak się tego spodziewamy, wspomniany
Berczeni szczęśliwie pochwycony i odstawiony
będzie, należy nań tak w ciągu marszu mieć do-
stateczną baczność, jak za przybyciem do Mun-
kacza, wraz z jego pochwyconymi współnikami
okuć go w kajdany i trzymać pod szczególną
strażą pod osobnym nadzorem wyższego oficera
a Nam*) przez osobnego posłańca dać o tém bez-
zwłoczną wiadomość. Ponieważ korespondencya
w Polsce nie jest najbezpieczniejszą a ztąd
łatwo ten lub ów list mógłby być przejętym,
w ten zaś sposób mogła by być dana wiadomość
osobom interessującym się więźniami lub ich przy-
jaciołom, ma pan komendant Munkacza posłużyć
się załączoną tutaj cyfrą, która równocześnie została
zakomunikowaną baronowi Martelsowi i hrabiemu
Flemmingowi. Wreszcie zależy to ważne przed-
sięwzięcie po największej części od wiernego za-
chowania tajemnicy i zřeczności, w co też Jego

*) Cesarzowi Karolowi VI.

Cesarska Mość pokłada ufność a na ten cel rozkazała wysłać umyślnego kuryera, aby rozkaz ten był doręczonym rezydentowi austriackiemu własnoręcznie i pozostał nader sekretnym. Odpowiednio temu, należy przeznaczonemu do tego przedsięwzięcia oficerowi, tajemnicę tę odsłonić dopiero na jedną lub półtora godziny przed wymarszem. Aby zaś pojawienie się kuryera w tej okolicy nie wzbudziło podejrzania, należy rozpuścić wieść, że żądamy spieszego raportu o stanie munkackiej artylerii. Ma też dla tego pan komendant Munkacki udać się sam do arsenału, obejrzeć wraz z nadzorcą artylerii wszystkie działa i doręczyć kuryerowi sporządzoną ich specyfikacją. Równocześnie załączony tutaj Cesarski paszport, aby się nim posłużyć, skoroby kogobądź z listami do Cesarskiego rezydenta barona Martelsa (w Warszawie) wyprawić przyszło.“

Przytaczamy umyślnie w dosłownym przekładzie całe to rozporządzenie nadwornej rady wojennej Wiedeńskiej z dnia 22 Lipca 1716, ponieważ dostarcza dotykającego dowodu na fakt przygotowywanego ze strony Cesarskiej w porozumieniu z królem Augustem i Flemmingiem zamachu przeciw bawiącemu w Żółkiewskiej gościnie u Konstantego Sobieskiego wychodźcom węgierskim.

Jak już nam wiadomo, miał bohater wykonanego pod Olawą na Sobieskich zamachu, saski generał Kospoth, złożyć ponowny dowód wypróbowanej zrzeczności, wykraść gwałtem lub podstępem

pem Berczenyiego i jego wspólników z Żółkwi, oddać ich w ręce pobliskiej komendy Cesarskiej. W całym tym przygotowującym się zamachu naśladowano z dziwną wiernością i tożsamością wszelkich szczegółów, sztukę elektora brandenburgskiego w sprawie nieszczęsnego Kalksteina. Naśladowano Brandenburgczyka do tego stopnia, że podobnie jak *on* z Pruss do Prasnysza i Warszawy wyprawił porucznika Montgommerego z dragonami na pochwylenie Kalksteina, tak i w obecnym przypadku wyprawiono po cichu z Munkacza do Warszawy wachmistrza Antoniego Ferdynanda Scholly, „jako człowieka zaufania,” który w stanowczej chwili, miał się z Sasami udać w okolicę Żółkwi i być im pomocnym w wykonaniu zamachu na Węgrów. Tymczasem zbywało *tej* akcji na zręczności i szczęściu brandenburgskim. Właśnie w chwili kiedy nastawiano sieci na wychodzców węgierskich, wymknęła się niespodzianie upragniona zwierzyna. Baron Martels zajęty w najlepsze układaniem szczegółów zamachu, odebrał nagle od hetmanowej Sieniawskiej list datowany z Łęczny 26 Lipca 1716, w którym mu pani ta, rękując za uczucia najszczerzej dewocyi dla wiedeńskiego dworu, donosi nie bez jakoby ironią tchnącego dopisku, „że hrabia Berczenyi, Forgacz i Esterhazy wyjechali właśnie z Żółkwi do Chocimia do Turków!” List ten dawniej przyjaciółki Rakoczego wprowadził widocznie w bardzo niedobry humor barona Martelsa, który pod dniem 3 Sier-

pnia 1716 zawiadomił o przykrój tej niespodziance placomendanta Munkacza, oświadczył, że jak na teraz nic do roboty w tej sprawie nie ma, a jeszcze tylko później polecił pieczolowitości nadwornego radzcy wojennego Ethla „biednego Schollego, który na wielkie niebezpieczeństwa był wystawiony, konia i wszystkie swoje rzeczy stracił.“

Tragicznie brzmi ustęp późniejszej depeszy, jaką baron Martels pod dniem 17 Sierpnia 1716 z Warszawy do podpułkownika Spetta w Munkaczu wyprawił. Doniósłszy, że o wyjeździe istotnym Węgrów z Żółkwi do Chocimia, zawiadomili go nie tylko już pani hetmanowa Sieniawska, którą jako przyjaciółce Rakoczego nie zupełnie wierzyć było można, ale na ten raz już i sam Fleming, pisze baron Martels dosłownie jak następuje: „Wśród takiego położenia rzeczy, ponieważ ptaki już wyleciały (da die Vögel schon ausgeflogen waren), nie wiedziałem co mam innego do roboty, aniżeli dać o tém Wielmożnemu Panu wiadomość pod dniem 3 b. m. a nie wątpię, że pismo moje punktualnie go doszło.“ Nie należy wątpić, że w krytycznej chwili zagrożeni wychodzący węgierscy znaleźli w Polsce przyjaciół, którzy ich ostrzegli. Należeli do nich otwarcie hetmanowa Sieniawska, Konstanty Sobieski, mniej lub więcej skrycie sam hetman Sieniawski. Rozległe stósunki, jakie wpływowe te osobistości na wszystkie strony posiadały, nie dopuszczają wątpić, że zamierzony przeciw Węgom zamach *nie* pozostał dla nich

tajemnicą. Mimo to była, jak widzimy, powodem wyjazdu wychodźców węgierskich do Chocimia, do Turków, nie tyle obawa o bezpieczeństwo osobiste, któregooby panowie polscy a mianowicie Konstanty Sobieski byli jak dotychczas skutecznie bronili, ile raczej otwierające się na nowo widoki skutecznego działania na Węgrzech. Rozpalała się z roku 1716 na 1717 coraz silniej i groźniej wojna między Austryą a Portą Ottomańską. Jeżeli Austrya, jak widzimy z korespondencji jej dyplomatów, sięgała naówczas głęboko w tajemnice tureckie, jeżeli zaglądała przez licznych i zręcznych agentów w stósunki i położenie ludności półwyspu Bałkańskiego, odwodziła jej się nie mniej zręczna i przezorna Porta podjęciem sprawy Rakoczego, wzięciem w opiekę jego tytułu i roszczeń do Księstwa Siedmiogrodzkiego.

W roku 1717 wyjechał osobny Aga turecki do Francji, aby sprowadzić Rakoczego z Paryża do Konstantynopola. Tymczasem przygotowywali w Chocimiu pod opieką turecką, dawni nasi znajomi Berczeni, Czaki, Forgacz, Esterhazy nowy wybuch we Węgrzech. Było w Chocimiu 25 tysięcy Turków pod dowództwem nasamprzód Mustafy Baszy, następnie dobrze znanego i w dziejach naszych, wielkiego przyjaciela Karola XII i otaczających go Polaków Abdy Baszy. I teraz nie miała Polska pozostać obcą przygotowującemu się ponownie dziełu powstania węgierskiego. Węgrzy w Chocimiu nie przestają, jak widzimy z de-

pesz poselstwa austriackiego w Warszawie, być przez cały rok 1717 istną zmorą gabinetu wiedeńskiego i jego dyplomacyi. Dzięki szczerobliwości Francyi i Porty Ottomańskiej rozporządzają znacznemi środkami pieniężnymi. Po dawnemu też, istnieje jak to bywać zwykło w najświetniejszych chwilach Rakoczowego powstania na Węgrzech, sypią im się do Chocimia liczni ochotnicy z Polski, przybywają nadto liczni oficerowie francuzcy. Zajmujący ciągle jeszcze stanowisko reprezentanta Austrii na dworze Warszawskim baron Martels sądzi co chwila mieć powód uzalenia się, czy to wobec wielkiego hetmana koronnego Sieniawskiego, czy to wobec prymasa Stanisława Szembeka na zbyt pobłażliwe postępowanie w tym względzie wielkiego hetmana litewskiego Pocieja. Czy to Sieniawski, czy prymas Szembek ze Skierniewic, zdają na to z wiernie powtarzającą się regularnością zaniepokojonemu reprezentantowi gabinetu wiedeńskiego zaspokajające oświadczenia. Złe jednakże trwa nieprzerwanie, ochotnicy polscy nie przestają się sypać Węgrom do Chocimia a obawy posła austriackiego tém żywsze, im częściej i skwapliwój podsycane alarmującemi doniesieniami, jakie o napływie ludzi z Polski, o niebezpiecznych zamiarach wychodzców węgierskich, przesyła baronowi Martelsowi Wielopolski starosta krakowski, odgrywający wówczas najwidoczniej rolę stałego Austrii w Polsce agenta.

W takich to barwach przedstawiają się stosunki na owym pograniczu turecko-polskim przez cały rok 1717 a obawa inwazyi turecko-węgierskiej z Bessarabii do Siedmiogrodu i Górnych Węgier ku wznieceniu ponownego powstania, nie przestaje niepokoić przez cały ten czas Austrii i jej warszawskiego reprezentanta. Trudno istotnie odgadnąć, coby się na tej tyle niebezpiecznej, tyle drażliwej dla Austrii widowni z pomocą turecką, z pobłażliwością i „fantazyą“ polską było zrobiło, gdyby wojna austriacko-turecka była potrwała dłużej, gdyby była miała szczęśliwszy nadesz wszystko dla Porty przebieg. Zaledwie jednakże Rakoczy miał czas przybyć z Francyi do Konstantynopola, zaledwie go z pretensyami na Księstwo Siedmiogrodzkie wyprawiono do Adryanopola, znalazła się Porta pod wrażeniem ciężkich klęsk zadanych sobie przez księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, zmuszoną w roku 1718 do zawarcia pokoju w Passarowcach. Dnia 21 Lipca tegoż roku podpisano ze strony Austrii i Porty Ottomańskiej traktat, którego jednym z głównych warunków było oddalenie węgierskich wychodźców z pobliza granic cesarskich krajów. Odtąd też a więc po siedemnastu przeszło latach, kończy się nareszcie owa spółka interesów, wiążąca zakrwawioną, zadżumioną, zniszczoną wojną i szarańczowemi nawiedzeniami obcych wojsk Polskę z losami wierzgających przeciw panowaniu austriackiemu Węgier. Węzeł obu narodów słabnie odtąd, tradycya

wspólnych niegdyś kolei zachodzi mgłą jakoby, pamięć jej przedawnia się, aby, rzecz dziwna, odżyć dopiero w 130 lat później, wśród zewnętrznych obu narodów stosunków, jakże zmienionych z jednej, jakże podobnych do stosunków epoki Rakoczowej z drugiej strony!

Pozostaje nam teraz, istnie jak w opowiadaniu powieściowém, *dopowiedzieć* kilka słów jeszcze tylko o dalszych losach głównych, występujących w niem osób. Dobra polskie Rakoczego na Czerwonéj Rusi, ową Wysokę pod Jarosławiem, wzięła w zastaw jego przyjaciółka hetmanowa Sieniawska wraz z tajnem archiwum, które dużo później, już po jego śmierci na Węgry wróciło, aby się stać dzisiaj przedmiotem naukowych badań patrioty i uczonego węgierskiego Thalego. Berczenyi, Czaki, Forgacz, Esterhazy, nie doczekali się możliwości powrotu do ojczyzny, pomarli w tureckiej obczyźnie. Rakoczy sam, omylony w nadziejach, zawiedziony w pretensjach do tronu choćby tylko siedmiogrodzkiego, jeżeli już nie węgierskiego, wskazany przez Portę Ottomańską na przymusowy pobyt w Rodosto, rumelijskiem mieście nad morzem Marmara, kiedy małżonka jego bawi jeszcze w roku 1721 w Piotrkowie, nie przestaje być przedmiotem ciągłych strachów i niepokoików ze strony wiedeńskiego dworu. Jeszcze w r. 1731 spotykamy się w liście rezydenta austriackiego w Warszawie, barona Kinnerna von Scharffenberg, do swego dworu, z alarmującą, nie wiadomo o ile

prawdziwą wieścią, „że Rakoczy powołany przez sultana z Rodosto do Konstantynopola, co nie zapowiada nic dobrego dla Austrii.“ Czy Rakoczy wiedząc i tęskniąc wraz z Berczenim i Forgaczem w obczyźnie tureckiej, zrzekł się stanowczo swych szeroko sięgających pretensyi na prawdę, nie będziemy się silili odgadywać. Co natomiast rzeczą niewątpliwą a co i z tego oddalenia raz jeszcze, raz ostatni przed końcem burzliwego żywota wprowadza go w zetknięcie z Polską, to missya, jaką we Wrześniu r. 1729 z Rodosto powierza Francuzowi Vigouroux do króla Augusta. Rakoczy prosi przez wspomnianego co dopiero agenta króla polskiego o pośrednictwo między sobą a dworem wiedeńskim. Żąda dla siebie Rakoczy tytułu księcia Siedmiogrodzkiego, dożywotniej pensyi 200,000 talarów, margrabstwa Burgau i Nellenburg dla swego syna i swobodnego pobytu w Polsce, w zamian których to ustępstw obowiązuje się nie przedsiębrać nic na przyszłość przeciw Austrii. Nie żył już wtedy zmarły w Rodosto Berczenyi, dogorywał tamże Forgacz, umarła już była również od kilku lat małżonka Rakoczego z domu książęcego Leinigen. Rakoczy liczył wtenczas już 53 lat. Mimo to, pragnął wejść w związki małżeńskie z księżniczką Konstancją Jabłonowską, co według znajdującej się w archiwum wiedeńskim korespondencyi między księciem Eugeniuszem Sabaudzkim a hr. Seckendorffem miało być głównym podobno

dłań powodem szukania zgody z dworem wiedeńskim, przyczyną chęci osiedlenia się na stare lata w Polsce. August starał się przez posła swego w Wiedniu, generała Wackerbartha zadosyć uczynić prośbie Rakoczego. Gabinet wiedeński dał przecież odmowną odpowiedź, głównie za poradą księcia Eugeniusza Sabaudzkiego a na *tym* ostatnim fakcie urywa się też wszelki węzeł dalszych stósunków Rakoczego z Polską, która, bez przesady można powiedzieć, była jemu i jego najbliższym drugą, nie gorszą od pierwotnej ojczyzną. Umiera Rakoczy w r. 1735 w Rodosto nad brzegami morza Marmara w trzydzieści lat właśnie po zgonie swego, tyle sobie podobnego ojczyma, Emeryka Tekelego, którego pamięci poświęcony, wygnańczy pomnik sterczy na wybrzeżu azyatyckim naprzeciw grobu, jaki się na europejskiem zamknął nad pasierbem. Nie żyli już wtenczas jego przyjaciele, oboje hetmaństwo Sieniawscy. Córka ich, owdowiała Zofia Denhofowa, wyszła r. 1731 za księcia Augusta Czartoryskiego; Józef Potocki wojewoda Kijowski był w. hetmanem koronnym; dawni walecznicy z pod Vadkert iu Bosan, Zagwojski i Urbanowicz, starosta Rawski Grudziński, *jeżeli* jeszcze żyli, co nam niewiadomo, pierwsi dwaj okryci nową chwałą wyniesioną z bojów konfederacyi tarnogrodzkiej, trzeci upamiętniony swą równie waleczną, ile awanturniczą i niefortunną wyprawą do Polski w roku 1712...

Zamykamy na tém opowiadanie nasze o tój mozajce różnobarwnych wypadków, które się składają na owo dziejowe ustronie, nazwane przez nas *epizodem Rakoczym* w dziejach panowania Augusta II. Kilka słów zastanowienia, kilka uwag sensu moralnego wynikającego z przebiegu tych wypadków, niechaj nam będzie jeszcze wolno wypowiedzieć pod koniec. Ponura to bez wątpienia, smutna i upokorząca dla nas epoka pierwszych kilkunastu lat panowania Augusta II. Czego jój jednak odmówić nie można, to przymiotu jaskrawej barwności, to posiadania licznych, ukazujących się na dziejowej scenie, o wybitnych i wyrazistych rysach indywidualizmów. Czy to bohaterski król szwedzki, czy barbarzyńsko-genialny Car Piotr; czy pomysłowy i waleczny osobiście w przemijających połyskach Sybaryta August; czy jego poczciwy, mądry biernie, miękki w działaniu przeciwnik Stanisław; czy ofiara Karolowej zemsty Patkul; czy nawracający się w ostatnich dniach sędziwego żywota do związku z Polską Mazeppa; czy Józef Potocki wojewoda Kijowski i otaczający go dzielnej dłoni partyzanci, jak Grudziński, Zagwojski, Urbanowicz; czy starosta Gnieźnieński Śmigielski uganiający się po lasach z Moskalem; czy zajmująca, okazała na ówczesnej widowni politycznej postać „Pani Wojewodziny Bełzkiej“ korespondującej z Ludwikiem XIV, wywołującej przez długie lata strachy i obawy wiedeńskiego dworu, wszystko to ciekawe osobistości przedstawiające się wów-

czas razem, jak w kalejdeskopie na zakrwawionej, zadżumionej, ogłodzonej i zniszczonej, sterczącej zgliszczami widowni polskiej. Dzisiaj, w obecnym porządku politycznego świata, wśród dzisiajszych warunków bytu, jakie rozwój dziejów europejskiej ludzkości zgotował, nie byłoby już miejsca dla tak oryginalnych, tyle wyrazistych, tyle wybujałej samodzielności postaci. Byłyby albo *ofiarami* siły, albo zmuszone ugiąć pokornie dumny kark, słuchać jej rozkazów, oddać się może w jej usługi.

W lustracyi tych tyle licznych, tyle ciekawych, tyle barwnych osobistości należy się Franciszkowi Rakoczemu, jak to było zadaniem naszego opowiadania wykazać, z pewnością nie ostatnie miejsce. Jego „epizod“ odgrywa niepoślednią rolę w dramacie naszych ówczesnych dziejów, posiada w dodatku wszystkie warunki, wszystkie przymioty zdolne pociągnąć wyobraźnię, serce, tyle popłacającą zwłaszcza u nas *uczuciowość* polityczną. Jakże ponętnie, jakże sympatycznie przemawiają do naszego serca i naszej wyobraźni owe wielkie, wspaniałe tradycje wspólnych naszych z Węgrami losów, opromienione z jednej strony uroczą postacią królowej Jadwigi, uzacnione z drugiej posągową osobistością bohatera z pod Wielkich Łuk i Pskowa! Jakże przytomnymi są obecnej naszej generacji jeszcze wspomnienia owęj przed czterdziestu niezadługo laty pod wspólnymi sztandarami odbytej walki; jakże znaną, jakże „popularną“ pośród ludu naszego owa piosenka: „Węgier Polak, dwa bra-

tanki, i do szabli i szklanki!" Wszystko razem składa się, by z góry czy to dzisiejszego historyka polskiego, czy dzisiejszą opinią polską usposobić korzystnie dla historycznej roli i osoby Rakoczego, skoro się jedną i drugą z pokrywającego je zapomnienia wydobędzie. Nie dość na tém, ileż tu jeszcze dodatkowo w téj jego osobie, w tym jego czynie, w okolicznościach towarzyszących, najrozmaitszych przypadkowości, najróżnorodniejszych pierwiastków stworzonych jakby umyślnie ku osłonięciu młodego węgierskiego magnata poetycznym nimbem. Świetne pochodzenie, Wallenrodowa młodość, awanturnicza ucieczka z więzienia austriackiego, połączona z tylu przygodami i niebezpieczeństwami przeprawa do Polski, owa opieka „województwa bełzkiej“ i polskich panów, owa walka rozpoczęta z ich i króla francuzkiego pomocą wśród inwokacyi wspaniałych i drogich narodowi węgierskiemu godeł; długotrwały tryumf ustępujący nareszcie miejsca nie mniej znów upoetyzowanej ciekawemi i rozmaitemi przymiotami klęsce; owe nowe niebezpieczeństwa w Polsce wśród skutecznej opieki Sieniawskich i rezydującego na zamku Żółkiewskim syna Jana III; ów pobyt na świetnym dworze wersalskim, ów zgon wśród drzew mirtowych i cyprysów marmarskiego nadbrzeża, cóż to wszystko razem za obfity, za nieprzebrany materiał dla wyobraźni, dla politycznego sentymentalizmu, cóż to za wdzięczny przedmiot dla powieściopisarskiej twórczości pióra, któ-

remu współczesna nasza literatura zawdzięcza jaskrawy obraz „*Ogniem i Mieczem*“!

Na nieszczęście, nie chodzą zawsze z sobą w parze interes artystycznej twórczości, nie pozostają zawsze w zgodzie wyobraźnia i uczuciowość polityczna z zimnym, realnym głosem *interessu politycznego*. Niezgoda ta uwydatnia się niestety w *obecnym* przypadku, jak wyraźniej i charakterystyczniej być nie może. Bez wątpienia nie znają ani *interessu polityczny*, ani system zawierania aliansów żadnej stałej doktryny, żadnego dogmatu nieomyślności a z *tego* stanowiska, pominąwszy choćby wszelkie tradycje i wspomnienia przeszłości, pominąwszy nawet całą sferę sentymentalizmów politycznych, mógł alians Polski z powstańcami węgierskimi w początkach panowania Jana III mieć swą bardzo *racyonalną* podstawę. Był on wówczas ogniwym wielkiego systemu Ludwika XIV, systemu politycznego, który obejmował i Polskę a który jój się miał wynagrodzić odwetem przeciw wiarołomnemu i niebezpiecznemu elektorowi brandenburskiemu, odzyskaniem Księstwa Pruskiego, może i Szląska. Z radykalną przemianą jednakże polityki polskiej po traktacie Nimwęskim, po zupełnej zmianie jój frontu po wystąpieniu przeciw Porcie Ottomańskiej na rzecz domu austriackiego; po wstąpieniu na drogę, która się Polsce opłaciła nabytkami traktatu Karłowickiego a której racya przetrwała w epokę Augusta II, pozostanie kumanie się jakichbądź żywiołów polskich z Węgrami przeciw domowi au-

stryackiemu, pominąwszy stronę sentymentalizmów i osobistych stósunków, ciężkim błędem politycznym. Owo ochotnicze a samowolne sprzymierzenie się magnatów i dygnitarzy polskich z powstańcami węgierskimi ku wspólnej robocie, owe wysyłki ludzi i pieniędzy do Węgier, owa opieka pani wojewodziny bełzkiej nad Rakoczym, — wszystko to obracało się na korzyść ambitnych jego pretensyi, na rzecz wojującego z domem austryackim Ludwika XIV, ale nie zapowiadało Polsce w zamian żadnego zysku a bardzo wiele szkody. Czémże, w owych pierwszych latach panowania Augusta II mogło się opłacić Polsce choćby najświetniejsze powodzenie Rakoczego sprawy na widowni węgierskiej? Gdyby się zaś przynajmniej na tém kończyło, ale *nie*: Ów Rakoczy, owa wojna węgierska są w ówczesnych, tragicznych i krytycznych okolicznościach nie dość szkodliwem, nie dość pożałowania godném *roztargnieniem* dla Polski. Słusznie i prawdziwie stwierdza pod dniem 22 Maja 1716 protokół konferencyjny rady Cesarskiej, „iż w Królestwie Polskiem był dotąd zawsze knowany pierwszy początek każdej rebelli na Węgrzech“. Mniejsza jednakże o to, mniejsza choćby o najśluszniejszy gniew rządu i dyplomacyi państwa, z którym Rzeczpospolita w najgłębszym pozostawała pokoju, które jój nigdy powodu do żadnego żalu nie dawało, z którym przeciwnie zdrowy interes polityczny nakazywał jój pozostawać w zgodzie, — stanowili ów Rakoczy, owa wojna węgierska wśród

nawałnicy szwedzkiej wprost już i bezpośrednio *materyalnie* zgubną dla Polski dywersją. Owe grube tysiące polskiego grosza poświęcane od r. 1703 na sprawę węgierską przez magnatów i dygnitarzy polskich, owe wyprawiane przez Józefa Potockiego, Lubomirskich, hetmana Sieniawskiego, panią wojewodzinę bełzką na Węgry do Rakoczego licznymi setkami tysiące ludzi, jakże byłyby mogły yzaważyć na szali rozgrywających się naówczas losów polskich, jakże byłyby mogły wpłynąć na położenie rzeczy, użyte sformie, zgodnie a ze świadomością celu na *główniej* widowni polskiej! Któż ręczyć może, czy tysiące Polaków walczących wówczas za sprawę Rakoczego na Węgrzech nie byłyby w Polsce wywalczyły uchwałom sejmu lubelskiego przeciw niezbyt licznemu przecież Szwedowi, ogólnego uznania, czyby nie były doprowadziły Rzeczypospolitej do tyle pożądanego, tyle potrzebnego mianownika wspólnej zgody i wspólnej akcji. Któż ręczy, czy bez *drugiego* roztrągnięcia wywołanego niefortunną kandydaturą Rakoczego do tronu polskiego w roku 1707, wobec abdykacji Altransztadzkiej Sasa, wobec odwrotu Cara, wobec zwycięstw Karola XII, nie byłaby nareszcie stanęła zgoda i jedność Rzeczypospolitej pod egidą uznanej królewskości Leszczyńskiego. Któż ręczy, czy bez owego epilogu, jaki przedstawia wyprawa wojewody Kijowskiego na Węgry i do Benderu, uspokojenie kraju nie byłoby się spełniło prędzej, ku prawdziwemu dobrodziejstwu,

ku wytnięciu przyprowadzonych do rozpacz i ostateczności mieszkańców. Cokolwiekbądź więc, *nie* przedstawia się ów mało znany dotąd, ów zapomniany doszczętnie prawie w dziejach panowania Augusta II „*epizod Rakoczo*wy“ politycznie z dodatniej dla Polski strony. Stanowi, jak powiedziano, zgubne, fatalne jęj *rozłargnienie* wśród zaniewieruchy szwedzko - sasko - moskiewsko - domowęj. Poznać go, rozpatrzyć się w jego bliższych szczegółach tém konieczniejszym obowiązkiem dzisiajszego dziejopisarstwa polskiego, im mniej nań dotąd z jego strony zwracano uwagi. Jeżeli zaś z patryotyczną tęsknotą i zakłopotaniem radziibyśmy *epizodowi Rakoczowemu* odszukać *jakiś* przecież dodatnie, *jakiś* pocieszające dzisiajszy żal nasz strony, znajdujemy je chyba w dwóch cnotach, dwóch przymiotach narodowych polskich, które sobie i w tych smutnych czasach nie zadają kłamu: W owęj *waleczności* chorągwi polskich stwierdzającęj się świetnie na polach Vadkertu i Romhany; w owęj *nie* kończącęj się na zdawkowych słowach i uprzejmościach *gościnności* polskięj, w owęj opiece nad wygnańcami najmłodszego z synów Jana III, pana na Żółkwi, który gotów własną piersią i dłonią zasłaniać swych gości węgierskich, gdy mu ich gwałt i podstęp sasko - rakuski wydrzeć się zabierają!

Główne źródła do powyższego opowiadania użyte:

- I. Rękopiśmienna korespondencya (w mojem posiadaniu) rezydentów austriackich w Warszawie, baronów Tiepolta, Martelsa, Kinnera von Scharffenstein z hr. Wratisławem, Cesarzem Karolem VI i wiedeńską nadworną radą wojenną.
- II. *Archivum drezdeńskie*. — Volumen: *Den polnisch-schwedischen Krieg betreffend*. Anno 1710. Cor. 25. Nr. 3625.
- III. Listowne komunikacye P. Kolomana Thaly, członka Królewskiej Akademii umiejętności węgierskiej.
- IV. *Archivum Rakoczianum*, wydane przez P. Kolomana Thaly, mianowicie tom V. i tom VIII. Buda-Peszt. 1877 i 1882.
- V. *Historisches Jahrbuch der Görresgesellschaft*. IV. Band, I. Heft. München, 1883. Rozprawa Kronesa: *Die Literatur zur Geschichte Franz Rakoczys II. im letzten Jahrzehent (1872—1881)*.
- VI. *Bidrag till de Nordeuropeiska Folkslagens Historia utgifna of Frederik Cygnaeus, Helsingfors*. 1848.
- VII. Załuskiego *Epistolae ad familiares*, tom III, Brunbergae, 1711.
- VIII. Pamiętniki Otwinowskiego, Kraków, 1849.
- IX. Theinera: *Monuments pour servir à l'histoire de Russie, Rome*, 1864.
- X. Franz Rakoczy II, Fürst von Ungarn und Siebenbürgen. (1704—1711.) Ein historisches Charakterbild, Leipzig, 1854. (Rzecz obok kilku faktycznych, ciekawych szczegółów, nieszczerólniej krytycznej wartości).

- XI. Geschichte des Osmanischen Reiches durch Joseph von Hammer, Pest, 1836.
- XII. Prinz Eugen von Savoyen von Alfred Ritter von Arneth, Wien, 1864.
- XIII. Nordberg, Histoire de Charles XII, Roi de Suède, A la Huye, 1747.
- XIV. Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, wojewody Mińskiego, Warszawa 1862.
- XV. Herbarz Niesieckiego.



BITWA POD PONIECEM,

9 Listopada 1704,

jój przeddzień i następstwa.

August wyprawiwszy Patkula pod Poznań, pozostał sam na dawnych stanowiskach między Warszawą a Wyszogrodem, na prawym brzegu Wisły, z główną kwaterą w Pułtusk. Znajdujemy go tu w pierwszej połowie miesiąca Października 1704. Siły jego rozrzucone na obszernej stósunkowo przestrzeni, wynoszą poważną cyfrę dwudziestu kilku tysięcy ludzi. August pozostaje przecież bezczynnym. Nie wspiera ani Patkula w jego zamachu na Poznań, nie koncentruje swych sił, aby zająć niemi w oczy królowi szwedzkiemu. Głównie widzimy Augusta zatrudnionego podczas owego pobytu Pułtuskiego sprawami politycznymi; akcja wojenna podrzędną widocznie na tymczasem odgrywa rolę. Wyseła przez po-

ufnego kamerdynera Spiegła listy do księcia namiestnika Fürstenberga, w których się znajduje bez ogródki, „iż jeszcze nie wie, co począć;“ *) wyprawa Przebendowskiego do Berlina, praca nad przeciągnięciem Lubomirskich i prymasa, odbywa wreszcie konferencje z dygnitarzami Rzeczypospolitej i dyplomatami zagranicznymi, którzy go w Pultusku otaczają. Mianowicie znajdujemy tutaj Andrzeja Załuskiego w. kanclerza koronnego, Jana Szembeka podskarbiego koronnego, Ludwika Załuskiego biskupa płockiego, Zaboklickiego wojewodę podolskiego, Stanisława Morzszyna wojewodę Mazowieckiego, Stanisława Denhoffa miecznika koronnego marszałka konfederacji sandomierskiej. Do tego wędrownego dworu przybywa Vanni audytor nuncjusza papieżkiego Spady. Dwa przeciwne w otoczeniu owém króla Augusta objawiają się prądy, jeden łagodniejszy, względniejszy, pragnący pewnego umiarkowania w traktowaniu partyzantów szwedzkich; drugi schlebający gorączkowej mściwości króla. Pierwszy chciałby oszczędzać uciśnionego biskupa poznańskiego, **) objawia niedwuznacznie niezadowolnienie z pochwycenia wojewody łęczyckiego; drugi utrzy-

*) Archiwum drezdeńskie. List własnoręczny Augusta do namiestnika księcia Fürstenberga w Pultusku z 9 Października 1704: „Spiegel qui retourne, Vous apprendra ce qui se passe; je n'ai pas encore déterminé ma demeure, étant obligé de me regler suivant les mouvemens des ennemis.“

**) Świącickiego.

muje Augusta w intencjach zemsty i prześladowania. Pierwszy ma swym reprezentantem w kanclerza koronnego i brata jego biskupa płockiego; drugi podkanclerzego Szembeka i audytora Vanni. Nadaremno chciałby Załuski wydrzeć biskupa poznańskiego, jako nie podległego jurysdykcji świeckiej ze szponów saskich; zwyciężają podszepty podkanclerzego i Vanniego; biskup poznański wraz z wojewodą łęczyckim idą, jak wiadomo, na pokutę więzienną do Saxonii. Raz tylko odnosi interwencya w. koronnego pożądaný skutek. Niewiadomo dla czego i w jakim celu zabłąkał się naówczas do obozu Augustowego pod Pułtuskim Oborski starosta liwski, jeden z głównych bohaterów elekcyi Leszczyńskiego na polu pod Wołą. August kazał go uwięzić, wstawienie się Załuskiego wyjednało mu przeciw wolność i dyspensę od przymusowej podróży do Stolpen czy Augustusburga. Znalazł się téż naówczas w otoczeniu królewskim Adam Śmigiełski starosta gnieźnieński, smutny, zgryziony lekceważeniem, jakie mu król August mimo tylu usług okazywał. Niewiadomo, czy téż nie w kwasach i przykrościach owego pobytu Pułtuskiego należy szukać początkowej przyczyny odstępstwa dzielnego partyzanta od sprawy króla Augusta, jakie nastąpiło we dwa lata później po bitwie Kaliskiej. Jak ztąd widzimy, zatrudniały tedy króla Augusta w Pułtusk przez pierwszą połowę miesiąca Października kłopoty raczej politycznej, aniżeli wo-

jennéj natury. Zaczęły przecież nadchodzić od strony nieprzyjacielskiéj doniesienia zmuszające poniekąd pomyśleć o akcji wojennéj. Dnia 11 Października przyszła wiadomość, że idący w przedniéj straży wracającegoz Rusi Karola Stenbock zajmuje już Lublin; dnia 14 Października uzupełniły się te doniesienia nowemi szczegółami. Pod wpływem tych wiadomości, postanowił wreszcie August opuścić Pułtusk; 20 Października stanął w Warszawie nibyto w zamiarze stawienia oporu Szwedom. Jak tego postanowienia dotrzymał, zobaczymy niżej a teraz zwróćmy się do obozu szwedzkiego i działań Karola XII.

Zostawiliśmy go zagłębionego na Rusi, w posiadaniu jéj stolicy. Przywieziona mu przez Stanisława Leszczyńskiego i Poniatowskiego wiadomość o wzięciu Warszawy przez Augusta, dotknęła go głęboko i przykro. „Karol,“ powiada jego historyograf Nordberg, „pałał żądzą spotkania z nieprzyjacielem i pomszczenia straty Warszawy.“ Słowa te nie są czczym frazesem, młody król szwedzki spieszył istotnie z odwetem za poniesioną w stolicy Polski klęskę. Na nieszczęście dla swéj sprawy, był przecież za daleko, aby odwet ów był mógł wykonać prędko. Na tymczasem trzeba było przygotować politycznie i wojskowo wymarsz. Politycznie, należało skorzystać z pobytu ruskiego i utwierdzić, o ile się da, w tych dalekich stronach Stanisławową władzę. Do podobnego celu

nadawało się Karolowi niezmiernie przybycie do Lwowa Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, który stanąwszy tutaj z ziemi Halickiej w poczcie zbrojnej szlachty, złożył akt uznania króla Stanisława. Karol przyjął bardzo chętnie ten czyn dobrej woli i oddał Potockiemu wraz z wypuszczonym na wolność pułkownikiem Kamieńskim straż nad Lwowem i okolicą. Równocześnie prawie znalazł się też we Lwowie z eskortą saską jeńiec Augusta, wzięty przezeń do niewoli w Warszawie Arwed Horn. Jeńiec na słowo, przybył za pozwoleniem Augusta do obozu swego króla z obowiązkiem stawienia się w połowie miesiąca Października w Lipsku. Horn przywiózł Karolowi wiadomości uzupełniające o klęsce warszawskiej, wraz z powziętym z własnych ust Augusta zaręczeniem, że postanowieniem jego odtąd jest unikać spotkania ze Szwedami w otwartym polu. Wyjeżdżając dnia 24 Września ze Lwowa, dostał Horn od Karola pełnomocnictwo układania się z Augustem o wymianę jeńców, w pierwszym rzędzie swojej własnej osoby. W kilka dni później znalazł się król w Krakowie wśród tajnych robót przygotowujących akces rodziny Lubomirskich do swego obozu. Załatwiwszy się w ten sposób ze sprawami miejscowymi, zaopatrzywszy Lwów w załogę, utwierdziwszy, o ile było można, w tamtych okolicach władzę neolekta, wyruszył Karol z nim razem w pochód ku Warszawie. Piechota wybrała się dnia 22 Września i ruszyła ku Żółkwi; król

dnia następnego z jazdą po najgorszych drogach w tym samym kierunku. Marsz w skutek tego odbywał się z niesłychaną powolnością. Dnia 27 Września znajdujemy Karola po przejściu przez Doroszów, Macoszyn, Żółkiew, Dobroszyn, Rawę Ruską, w Hrebiennem. Tutaj zatrzymał się król szwedzki przez dwa dni, chcąc dać znużonemu marszem wojsku nieco potrzebnego wypoczynku. Stanisław Leszczyński opuścił w Hrebiennem główną armią szwedzką i udał się do korpusu generała Renskiölda, zajmującego lewy brzeg Wisły między Sandomierzem a Zawichostem. Karol sam tymczasem posuwał się dalej, 29 Września zajął Tomaszów, dnia następnego znalazł się w Łabuniu pod Zamościem. Słynny zdzierca, kwatermistrz armii szwedzkiej, Magnus Stenbock, poprzedzał marsz Karola o dni kilka, urządzał magazyny w Rawie Ruskiej, w Lublinie, straszył Zamość, wyciągał z kraju straszne w gotówce i w dostawach naturalnych kontrybucye. Zbliżywszy się pod Zamość, postanowił Karol bądź to zająć twierdzę, bądź kazać się, co najmniej, drogo opłacić ordynacyi. Stenbock stawiał w imieniu Karola twarde warunki, żądał otworzenia bram twierdzy, wpuszczenia załogi szwedzkiej, kontrybucyi i 50,000 talarów gotówki. Ordynacya znajdowała się naówczas, po zgonie w roku 1689 czwartego z rządu ordynata Marcina Zamoyskiego, w posiadaniu nieletniego syna jego Tomasza, zostającego pod opieką świętobliwej, oddanej dobrym i pobo-

żnym uczynkom matki, Anny z Gnińskich. Młodego ordynata nie było na miejscu; w zastępstwie jego wybrał się do obozu groźnego króla szwedzkiego w Łabuniu jeden z dwóch młodszych jego braci, ofiarował Karolowi swój dom, zgodził się na wszystkie jego warunki, oświadczył gotowość spłacić natychmiast część żądanej kontrybucji pieniężnej, oddawał co do reszty własną osobę w zastaw. Podobna ustępczość usposobiła Karola łaskawie dla rodziny ordynackiej. Pułkownik Clas Bonde zajął wprawdzie z jego rozkazu twierdzę i miasto, załoga miejscowa złożyła broń; dnia następnego już jednakże wyszli Szwedzi, nie ściągawszy żądanej kontrybucji... Przez czas kilkudniowego w Łabuniu pod Zamościem pobytu, widzimy Karola załatwiającego znowu bieg swych spraw politycznych i wojennych. Przedewszystkiēm podejmuje dzieło, rozpoczęte już we Lwowie, restauracji zachwianych klęską warszawską, interesów Stanisława. Stara się pozyskać prymasa, pisze doń pod dniem 6 Października list powinszowalny, iż uszedł szczęśliwie groźącego w Warszawie niebezpieczeństwa; zawięzuje dalej stósunki z niedobitkami konfederacji Warszawskiej, znajdującymi się w Tykocinie pod opieką gościnności Branickiego wojewody podlaskiego. Przyjeżdża tu doń od owęj szlachty i od wojewody podlaskiego słynny w intrygach i tajnych robotach owęj epoki sekretarz sapieżyński, Francuz Limont, z zapewnieniami niezachwianęj dla sprawy Karola i Stanisława

wierności, z prośbą o co prędsze przybycie i pomoc. Karol zadowolniony wielce z podobnych oświadczeń, obiecuje żadaną odsiecz; chce jednakże nieszczęście, iż wyprawiony z podobną wiadomością do Tykocina Limont wpada w ręce Sasów i znajduje się wkrótce potem towarzyszem niewoli biskupa poznańskiego i wojewody łęczyckiego na zamku Stolpen, później nieco w Augustusburgu. Krótco potem odbiera Karol ważną wiadomość od Leszczyńskiego znajdującego się przy korpusie Renskiöldda o gotującym się akcesie w hetmana Lubomirskiego do Augusta, wiadomość potwierdzoną przez list wojewody kijowskiego Józefa Potockiego ze Lwowa, który donosił, że i jego Lubomirski namawia do oświadczenia się za Sasem... Co się tyczy działań wojennych wyprawa nasamprzód Karol swego kwatermistrza do Lublina z poleceniem ściągania kontrybucyi i zakładania magazynów. Zapewnie zaś z powodu trudności wyżywienia całej swój armii, dzieli ją a nakazuje Renskiölddowi i Stanisławowi zdążyć ku Warszawie traktem wzdłuż prawego brzegu Wisły, kiedy on sam posuwa się w tym samym, równoległym kierunku, ale o kilkanaście mil dalej na wschód. Ze względu na zajmowane przez Sasów w Warszawie i jej okolicy stanowiska, dają sobie oba korpusy armii szwedzkiej ostateczne miejsce spotkania na Pradze. Stósownie do podobnej umowy idzie Karol z pod Łabunia, nie znajdując żadnej przeszkody prócz niegodziwych, roz-

miękkich ciągłymi deszczami dróg, na Mokre, Tworyczów i Wysokie do Bychawy; posuwa się następnie przez Bełżyce, Palikije, Baranów, Drażgów do Żelechowa, gdzie go znajdujemy 13 i 14 Października. Przeszedłszy mimo Wodyni i Lupin, stanął dnia 15 Października w Węgrowie. Tutaj to przecież dali po raz pierwszy znak życia i obecności Sasi. Oddział ich jazdy pod dowództwem pułkownika Henschina zapędził się na rekonesans w te strony. Wysłany przeciw niemu z oddziałem Wołochów szwedzkich pułkownik Kreutz zachwyił go w Wyszkanie przy przeprawie przez Bug i zabrał mu trochę niewolnika dnia 16 Października. Tak to posuwał się Karol z każdym dniem bliżej do stanowisk Augustowych; obie nieprzyjacielskie armie znajdowały się od siebie za ledwie o kilka dni marszu. Nieszczęściem zaplanowało w obozie saskim na wieść o zbliżaniu się Szwedów straszne zamieszanie, kiedy przeciwnie Karol miał plan gotowy i wiedział bardzo dobrze, czego chce i do czego zdąży. Z Węgrowa idzie do Kamieńczyka, wysłał na zwiady Wołochów swego wojska, którzy się posuwają aż do Pułtuska, przyprowadzają mu co chwila saskich jeńców, przerażają Augusta, zmuszają Sasów do czem prędzej przeprawy na lewy brzeg Wisły tak pod Wyszogrodem, jak pod samą Warszawą. Mogło się wtenczas zdawać, że zamiarem Augusta będzie bronić wszelkimi siłami Szwedom przeprawy na lewy brzeg Wisły; zoba-

czymy jednakże, że i ten plan na prawdę nie powstał mu w głowie. Dnia 18 Października opuszcza Karol swą kwaterę w Węgrowie i posuwa się z jazdą do Radzymina. Spędziwszy znajdujący się tutaj na lewym brzegu Bugu posterunek saski, zajął to miejsce przeprawy i kazał obsadzić dwóm pułkom dragonów pod dowództwem pułkownika Duckerta. Równocześnie stanęli na Pradze Stanisław Leszczyński i Renskiöld wraz z całym swym korpusem. Pozostawiona nieco w tyle piechota armii saskiej znalazła się powoli także tutaj; sam król szwedzki wraz z młodym księciem wirtemberskim Maxymilianem Emanuelem, nieodstępnym od swego boku towarzyszem pazurem Klinkowströmem, zaglądali co chwila z Radzymina na Pragę; obie nieprzyjacielskie armie przegradzała teraz tylko szerokość Wisły. Jeżeli wierzyć biografowi młodego księcia wirtemberskiego, odbywały się nawet między samymi wojującymi królami przez rzekę rozmowy przypominające nie źle dialogi walczących około murów Troi bohaterów. Karol usiłował przeprowić się gdziekolwiekby przez Wisłę i przygotować własne ku temu środki, ponieważ August za zbliżeniem się Szwedów kazał poniszczyć wszystkie mosty i statki na Wiśle, Bugu i Narwi. Między innymi zaczął król szwedzki próbować owęj przeprawy w okolicy Karczewa, cztery mile w górę rzeki od Warszawy, gdzie znajdująca się na środku prawie łożyska kępa przedsięwzięcie podobne

ułatwiała. Karol, Stanisław, młody książę Maxymilian Emanuel wirtemberski przepawili się na ową kępę. Z lewego brzegu Wisły ukazali się król August z szambelanem Vitzthumem przy boku. „Panowie,” odezwał się tenże do Szwedów, „czyż nie przyjdziecie do nas?” Sam Karol odpowiedział: „Nie jesteśmy tyle złośliwi.” Szambelan Vitzthum zapytał znów: „Nie ma tam waszego króla?” Paź znajdujący się przy boku Karola, prawdopodobnie Klinkowström, odpowiedział wskazując nań: „Tak, jest tutaj!” Po kilku ironicznych zapytaniach i odpowiedziach, odezwał się znów Vitzthum do Szwedów: „Panowie będziemy was tutaj czekali,” na co paź odpowiedział: „słowo padło.” August dodał: „słowo królewskie,” poczem ukłonił się Szwedom i rzekł: „Adieu, Panowie!...” Pominąwszy anegdotyczną stronę opisu tego spotkania, pozostanie przecież jego niewątpliwą prawdą, że Karol próbował bardzo na serwo przeprawy przez Wisłę a że tém samém zmuszał wachającego się dotąd Augusta do powzięcia jakiegobądź postanowienia. Oddziały popolitego ruszenia polskiego, Wołosi referendarza koronnego Stanisława Rzewuskiego niepokoiłi wprawdzie Szwedów, zaalarmowali istotnie dnia 28 Października pułk jazdy ostrogockiej w Kleczewie, generał Hummerhielm przepłoszył ich jednakże z łatwością a przeprawa na lewy brzeg Wisły nie doznawała, z wyjątkiem trudności o materyał mostowy, żadnej poważniejszej przeszkody. Stały

dwa mosty ze strony szwedzkiej, jeden o cztery mile od Warszawy w górę rzeki, drugi między Warszawą a Pragą za staraniem Stenbocka. Przeprowadzając się przez pierwszy, nie utonęli o mało co Karol z księciem wirtemberskim. Słabo sklecone tratwy rozerwały się, prąd rzeki zaczął króla i jego towarzysza unosić; z trudnością tylko ocaliło ich niezrównane męstwo kilkudziesięciu grenadyerów. Zmoczeni, przeziębli, dostali się wreszcie na lewy brzeg rzeki.

Czas zwrócić się teraz do obozu saskiego i przypatrzeć się jego działaniom. Błąd dotychczasowej akcji Augustowej objawił się teraz w całej swą dotykalmęj i zgubnęj pełni. Mając, dzięki szalonemu odskokowi Karola na Ruś, aż nazbyt wiele czasu do zniszczenia korpusu Meierfelda i zgniecenia załogi poznańskiej, dopuścił bezmyślnie połączyć się temuż z ową załogą, podzielił swą armię, pozwolił jednę jej część pod Patkulem rozbijać sobie głowę o mury Poznania, przemarnował z drugą, silniejszą, drogi, kilkotygodniowy czas w zupełnej beczynności, przyznając się w liście do Fürstenberga *) z pewną naiwnością, „że nie wie co robić a że dalsze jego kroki zależą od akcji nieprzyjaciela.“ Nie pozostaje żadna wątpliwość, że w tęg chwili właśnie króla Augusta zaczęły kusić coraz to natarczywięj intencje partykularnego ze Szwedem pokoju, że w nich należy szukać właściwie klucza do należytego zrozumienia

* Namiestnika swego w Saksonii.

całej odtąd jego, więcej niż zagadkowej akcji wojennej w jesieni roku 1704. *) Wachanie się króla Augusta na jego stanowisku Warszawskiem trwało bardzo długo, niemal aż do chwili, kiedy osobisty ukłon króla szwedzkiego pod Karczewem i przygotowania jego do przeprawy przez Wisłę, zmuszały natarczywie cokolwiek bądź przecież przedsięwziąć. Jakkolwiek August zarzekał się Hornowi, iż nie będzie się wystawiał na spotkanie w otwartym polu z Karolem, zdaje się przecież, iż przez chwilę miał intencją stawić mu opór w Warszawie i przeszkadzać przeprawie przez Wisłę. Własne jego listy do Fürstenberga i Patkula zachowane w archiwum drezdeńskiem, liczniejsze z *tej* właśnie, aniżeli jakiejś bądź innej chwili, nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości. Był też to istotnie plan najracyonalniejszy wśród obecnych okoliczności; nie dopuszczał nawet w najgorszym razie owej klęski bez boju, jaka nastąpiła później, dawał Patkulowi możność zgniecenia załogi poznańskiej i opanowania samego miasta. Intencye te pokutowały jednakże krótko bardzo w obozie Augustowym. Na widok gotującej się przeprawy szwedzkiej przez Wisłę, zapada postanowienie i to postanowienie pospieszne, dorywcze, opuszczenia Warszawy i odwrotu, którego właściwy cel także, i to w samej niemal

*) Porównać w czasopiśmie szwedzkim *Historisk Bibliotek*, II zeszyt na rok 1880 (Sztokholm) dodany do rozprawy Ottona Siögrena, *O Patkulu*, list Patkula do Cara z dnia 29 Października 1704 str. 447

jeszcze chwili wykonania, nie jest wyraźnie oznaczony. „Do Krakowa lub ku Szląskowi,“ oto ogólny kierunek, jaki August zamyśla nadać swemu odwrotowi. Powody zaś i przyczyny tego tłumaczy własnoręczny list Augusta do Fürstenberga, napisany już po ukończeniu marszu dnia 10 Listopada. Obliczając, niewiadomo nam na jakiej podstawie, całą swą siłę, a więc wojsko saskie pod dowództwem Steinaua i generała Schulenburga, piechotę moskiewską pod wodzą pułkownika Görtza, polskie chorągwie referendarza Stanisława Rzewuskiego, na 10,000 ludzi zdolnych do boju, pisze, że wobec nieprzyjaciela przemagającego liczbą, zdążającego trzema kolumnami ku przeprawom Narwi, Bugu i Wisły, nie można było myśleć o oporze. Obrona Warszawy stawała się według Augusta tém mniej możliwą, że wypadało przy niepewności punktu przeprawy szwedzkiej, zasłaniać kilkunastomilową linią od Wyszogrodu do Góry, co znów pociągało za sobą konieczność rozdrobnienia sił saskich i łatwość kolejnego ich zniesienia przez nieprzyjaciela. Wśród takich okoliczności, powiada August, postanowił odwrot, co by może jeszcze nie było najgorszym złem, gdyby tylko był nastąpił rychlej i mniej pospiesznie, gdyby dalej wykonanie jego nie było się odbyło, jak zobaczymy niżej, w sposób równający się zupełnemu rozbiciu armii saskiej. Ostatnie dni pobytu warszawskiego zaznaczają się jeszcze niektórymi szczegółami z dziedziny akcji politycznej. Nie ustają ze strony Augusta instancje do Cara o posiłki

wojskowe i pieniężne wśród obecnych opalów. Zapewne pod wrażeniem owego kłopotu, przybiera wobec króla poseł carski Golicyń dumniejszą coraz postawę, grozi odjazdem od jego boku, gdyby w. hetman koronny Lubomirski do łaski miał być przywrócony. W wilią wreszcie niemal wymarszu z Warszawy, bierze August w areszt Głogowskiego starostę grabowieckiego i wyprawia go na pokutę więzienną do zamku Stolpen w Saksonii. Otóż to roboty politycznej natury Augusta na samym niemal schyłku sromotnie zmarnowanej kampanii. Dnia 26 Października wysłał nasamprzód bagaże do Rawy, zawiadamiając ogólnie tylko oblegającego Poznań Patkula, iż prawdopodobnie przyjdzie mu się cofnąć z Warszawy do Krakowa lub ku Szląskowi. Rano dnia 28 Października opuszcza król z całym wojskiem Warszawę, kiedy tegoż samego wieczora jeszcze 1500 Szwedów przeprawia się przez Wisłę i wkraça do opuszczonej stolicy. Odwrot Augusta odbywa się w południowo-zachodnim kierunku; Szwedzi niepokoją go i siedzą w ciągu całego marszu ustępującemu nieprzyjacielowi na karku. Noc z dnia 28 na 29 Października przepędza August w Mszczonowie, gdzie jego bezbojne, wcale nie tryumfalne przybycie ogłaszają jakby na ironię salwy artylerji saskiej. Po bardzo krótkim tutaj wypoczynku zdąża Augustowy odwrot, w widocznej niepewności między Krakowem a Szląskiem, ciągle w kierunku zachodnio-południowym.

Dnia 30 Października, właśnie w tój samój niemał chwili, kiedy Karol ze Stanisławem Leszczyńskim odbywają swoją reinstalacyą w Warszawie, przybywa August do Piątku. Tu ztąd wyprawia rozkaz do Patkula, aby, jeżeli Poznań już zdobyty, jeńców i artyleryą ciężką wyprawił do Saxonii, jeżeli zaś nie, aby sam z piechotą i polną artyleryą zajął stanowisko nad tak zwaną *zgnilą Obrą* czyli *Obrzycą*, Brandta zaś z jazdą odesłał doń pod Uniejów. W tymże samym liście tłumaczył się August z konieczności swego odwrotu z Warszawy i zapowiadał, że moskiewską piechotę wyśle ku Kołu, saską ku Warcie i że w tym celu nakazał wzdłuż biegu rzeki Warty wypiekać w potrzebnej ilości chleby i przygotowywać furaz. W ten sposób znalazła się cała, poważna jeszcze liczbą siła saska, wobec połączonego i rozgonionego za nią nieprzyjaciela doszczętnie rozbitą na cztery rozpiezchające się w różne strony oddziały, z których jedyny Schulenburga tylko przedstawiał zdolny oporu i obrony zastęp. Dnia 2 Listopada dochodzi odwrót Augusta do miasteczka Uniejowa, zkąd, po odesłaniu już piechoty moskiewskiej ku Kołu, odprawia Schulenburga z piechotą saską ku Kaliszowi. Sam w towarzystwie w. marszałka Pflugka, podkanclerzego koronnego Jana Szembeka, z nieodstępny kamerdynerem Spieglem, z nieliczną, jak się zdaje, eskortą jazdy, cofa się ku miasteczku Warcie, nakazując feldmarszałkowi Steinau z kilku pułkami jazdy i piechoty odwrót

ku Piotrkowu. Przybywszy do Piotrkowa, pisze August dnia 4 Listopada ztamtąd następny, lakoniczny bilecik do namiestnika Fürstenberga: „Moje interesa nie przedstawiają się tutaj w najlepszym stanie, odkąd znalazłem się w konieczności opuszczenia Warszawy. Zobaczę, czy będę mógł dostać się do Krakowa, czy też rzucić się do Szląska.“ Pościg szwedzki tymczasem, powstrzymany nieco wspomnianém co dopiero zajęciem Warszawy, zkąd Stanisław pod dniem 30 Października wydaje uroczysty manifest zaręczający narodowi własne i króla szwedzkiego dobroczynne dlań intencye; powstrzymany dalej widocznie fałszywemi informacyami o kierunku odwrotu saskiego, nie omieszkął teraz dawać się dokuczliwie we znaki. Karol w widoczném przekonaniu, że August zmierza najprostszą drogą ku Krakowu, ruszył za nim, jak zwykle, nie odczekując piechoty, z pułkami Dalekarlijskim i Wermlandzkim, z zabranemi dalej Renskiöldowi po drodze sześciu pułkami jazdy, na Łęczeszyce, pozostawiając Tarczyn na prawo, ku Nowemu Miastu nad Pilicą. Towarzyszył mu w tym pościgu z oddziałem Wołochów znany partyzant Jan Grudziński starosta rawski, zabierając po drodze maroderów saskich. Nie znalazłszy nieprzyjaciela, zwraca się król szwedzki ku Rawie, gdzie przybywa dnia 1 Listopada. Tutaj to dochodzą go nareszcie prawdziwe wiadomości o kierunku Augustowego odwrotu. Przejmuje list Augusta do feldmarszałka Steinaua z rozkazem

pomaszerowania z jazdą do Piotrkowa, z kąd dalej ma ruszyć ku Krakowu, dokąd, nawiasowo powiedziawszy, miał przybyć znajdujący się dotąd ze swą dywizją w Myślenicach w hetman koronny. *) Nie dość na tém, powziął jeszcze król szwedzki z przejętego listu Augustowego wiadomość o rozkazach danych Patkulowi i o kierunku odwrotu Schulenburga. Z chwilą zyskania tych wiadomości, zmienił Karol południowy kierunek swego pościgu i rzucił się, pozostawiając piechotę po za sobą w tyle, z istną gorączką za uchodzącym nieprzyjacielem ku zachodowi. Spędzając noce na wiązce słomy lub siana, żywiąc się często suchym chlebem z kawałkiem słoniny, gonił z drabantami i ośmiu pułkami jazdy generała Wellingka za nieprzyjacielem, niekiedy po siedm mil dziennie. Nie mylimy się pono, przypuszczając, że zamiarem tak szalonego pościgu było pochwycenie samegoż króla Augusta. Jeżeli ten zamiar nie powiódł się, a nie mógł się powieść z powodu zbyt szybkiej ucieczki Augusta, powiodło się natomiast królowi szwedzkiemu najzupełniej dzieło rozprzężenia i dezorganizacyi siły saskiej zasłaniającej Augustowy odwrot. Pomiedzy uchodzącym żołnierzem saskim wkradła się na wielką skalę maroderka. Pościg szwedzki staczając co chwila utarczki z ustępującymi Sasami, zagarniał sporą liczbę jeńców; ogółem znalazło się ich w ręku szwedz-

*) Hieronim Lubomirski.

kim według raportu posła duńskiego Jessena do 1000. Przybywając wszędzie kilka dni po Augustcie, stanął Karol 2 Listopada w Piątku, 3 w Uniejowie, gdzie przyszło do małego spotkania z jazdą saską tuż nad samą rzeką Wartą. Tutaj to, jak się zdaje, przyszedł król szwedzki do przekonania, iż dalszy pościg za Augustem nie ma właściwego celu, że pochód za ustępującym z piechotą saską Schulenburgiem przedstawia racjonalniejsze korzyści. Dnia 4 Listopada tedy, kiedy August przybywa do Warty, zwraca się król szwedzki na Dobrą i Działoszyn ku Kaliszowi. Zwrot ten nieprzyjacielskiego pościgu daje wędrownemu taborowi Augustowemu nieco wytchnienia. Król sam, w. marszałek dworu saskiego hr. Pflugk, szambelan Vitzthum, podkanclerzy koronny Jan Szembek, dyplomata-kamerdyner Spiegel, zatrzymują się jeden dzień na miejscu, 6 Listopada widzimy ich w Złoczewie. Tu ztąd wyprawił August swe kosztowności i bagaże wraz ze Spieglem do Sycowa na Szląsk, wzywając zarazem przezeń, bawiącego tamże posła duńskiego Jessena do jak najprędzszego stawienia się na konferencyą w Częstochowie. Jessen nie lenił się ani na chwilę z zadośćuczynieniem wezwaniu, ale przybył za późno. August, który liczył prawdopodobnie na możliwość zatrzymania się przez kilka dni w Częstochowie, nie przypuszczał, że go Szwedzi i tu ztąd spłoszą. Stało się tak przecież; jazda nieprzyjacielska znalazła się w pobliżu mia-

steczka a król August wyniósł się co prędkiej z Częstochowy rano dnia 8 Listopada, „nie bez konfuzyi,” jak powiada w swoim sprawozdaniu poseł duński. Po dwóch dniach podróży stanął w południe dnia 10 Listopada w Krakowie. Pozostawiając go tutaj w oczekiwaniu ściągających się powoli sił feldmarszałka Steinaua, w hetmana Lubomirskiego, referendarza koronnego Stanisława Rzewuskiego, partyzantów polskich Stanisława Chomentowskiego i Adama Śmigielskiego, zastrzegając sobie sami na później opowiadanie jego podjętych tutaj politycznych robót, wróćmy teraz dla niezatrącenia wątku rzeczy na widownię wielkiej wojny.

Patkul, odebrawszy dnia 2 Listopada datowany z Piątku dnia 30 Października rozkaz Augusta, rozkaz niedorzeczny, bo rozporządzający, co mniejsza, odstąpienie od oblężenia Poznania, lecz pozbawiający, co ważniejsza, cofającego się Schulenburga przynajmniej 6000 ludzi, z którymi w połączeniu byłby mógł zgnieść rozpędzonego nieostroźnie Karola, odstąpił dnia 3 Listopada dość pospiesznie od murów poznańskich. Cofając się ku niesłychanemu tryumfowi Mardefelda, Meierfelda, Liliehoeka, ku granicy brandenburskiej, stanął już 5 Listopada pod Zbąszyniem, gdzie go widzimy jeszcze 9 Listopada spoglądającego bezczynnie na mordercze zapasy piechoty moskiewskiej Goertza i Schulenburga z pościgiem szwedzkim.

Króla szwedzkiego zostawiliśmy dnia 4 Listopada w pochodzie z Działoszyna ku Kaliszowi

za ustępującym Schulenburgiem. Siła Karola składała się wyłącznie prawie z jazdy, Schulenburga z 4000 ludzi dzielnej piechoty i 900 koni. Dnia 5 Listopada stanął król szwedzki pod murami Kalisza zajętego przez słabą, liczącą zaledwie 100 ludzi pod dowództwem pułkownika Riebe ariergardę korpusu Schulenburga, który naówczas był się już cofnął do Raszkowa. Szczupła liczba żołogi nie pozwalała myśleć o obronie miasta przeciw 18 szwadronom jazdy nieprzyjacielskiej. Stanowiło to przecież dla Szwedów przeszkodę w pościgu, nadto, jak zaraz zobaczymy, miało się uprzątnienie owęj zawady dać we znaki niecierpliwemu Karolowi dotkliwą boleścią osobistą. Sam młodzieniec 22-letni, miał król szwedzki, jak zawsze, tak i tu nieodstępnie przy swym boku dwóch znanych nam już z poprzedniego opowiadania towarzyszy, pazia Klinkowstroema i księcia wirttembergskiego, obu dzieci wiekiem, mężów bohaterstwem. Klinkowstroem mianowicie był wiernym uczestnikiem wszelkich rozpustnych figli i wybryków Karola jeszcze z czasów pokojowego pobytu Sztokholmskiego. Potknąwszy się w owym gorączkowym pościgu o zawadę kaliską, wyprawił Karol swego pazia z wezwaniem poddania miasta do pułkownika Riebego. Towarzyszył mu pułkownik Duckert. Właśnie podczas toczącej się parlamentarki, padł przypadkiem czy umyślnie strzał z murów i położył Klinkowstroema trupem. Gniew i żal Karola był straszny. Mszcząc się,

kazał w pierwszym uniesieniu zamordować kilkunastu jeńców rzucającej broń załogi saskiej. Ciało poległego towarzysza broni kazał włożyć w trumnę i odesłał do Pomeranii. Tuż prawie po tym przykrym wypadku nadjechał do Kalisza dnia 6 Listopada przybywający z Warszawy Stanisław Leszczyński i towarzyszył odtąd dalszemu pościgowi króla szwedzkiego. Samobójcze rozprężenie, na jakie ucieczka i szaleńsze jeszcze od niej rozkazy Augusta armią saską wskazały, pokazały się dopiero teraz w całej swjej szkodliwości. W razie połączenia Patkula, jazdy Brandta i piechoty moskiewskiej Görtza pod wspólnym dowództwem Schulenburga, byłaby się zebrała kilkunastotysięczna siła, mogąca i teraz nawet jeszcze powstrzymać pogoń szwedzką a może przez wzięcie do niewoli samego rozpędzonego najnieostrożniej Karola, nadać całej wojnie inny obrot. Dzięki owemu rozprężeniu, nie pozostaje istotnie dzielnemu Schulenbergowi z jego pięcioletnim blisko korpusem nic lepszego do roboty, jak spieszyć co prędzej ku bezpiecznej przystani szląskiej i ocalić przynajmniej honor broni saskiej. Nie ma może w ciągu całych dziejów owej wojny, chwili lepiej i dokładniej wyświeconej i to przez samychże głównych jej bohaterów i aktorów. Archiwum drezdeńskie posiada drukowaną relacją owego odwrotu, nadto własnoręczny raport Schulenburga do Augusta, datowany ze Zgorzelic 12 Listopada 1704 roku. Szwedzkie spra-

wozdania Nordberga i Adlerfelda nie pozostawiają również pod względem dokładności nic do życzenia.

Przypatrzmy się teraz dalszemu przebiegowi odwrotu Schulenburga według jego własnego sprawozdania. Kiedy Karol 5 Listopada brał Kalisz i zagarniał po słabym oporze w niewolę szczupły oddział pułkownika Riebego, znajdował się generał saski z całym swym korpusem rozłożony pod Raszkowem, o trzy mile od następującego nieprzyjaciela. Przyniesiona mu pod noc przez idącego z jazdą w tylnej straży generała Oertza wiadomość o wzięciu Kalisza, spowodowała Schulenburga jeszcze w ciągu téjże samej nocy, z 5 na 6 Listopada, mimo straszliwego zmęczenia żołnierza i zakradającej się coraz gęściej maroderki, do dalszego pospiesznego odwrotu ku Kobylinowi, gdzie stanął w ciągu dnia 6 Listopada. Jazda pozostała pod generałem Oertzem w Raszkowie, by zasłaniać odwrot głównej siły wobec pogoni 18 szwadronów szwedzkich. W ciągu dalszego marszu z Kobylina do Jutrosina, dnia 7 Listopada, spotkał się Schulenburg z wracającą z pod Poznania jazdą saską pod dowództwem generała Plötza. Jeszcze i teraz miała się objawić szkodliwość wydanych przez Augusta z pod Warszawy, czy w ciągu odwrotu rozporządzeń. Schulenburg chciał Plötza zatrzymać przy sobie, w najgorszym razie wyznaczał mu na miejsce wspólnego spotkania miasteczko Krobą. Nadaremno. Plötz tłumaczył się nasamprzód

wyraźnym rozkazem Augusta, następnie trudnością wyżywienia tak znacznej siły, skoro pozostanie razem i puścił się ku Piotrkowu, osłabiając Schulenburga, nie wzmacniając spieszącego do Krakowa Augusta. Pod wieczór dnia 7 Listopada znalazł się Schulenburg w Jutrosinie wśród niesłychanego znużenia żołnierza, któremu na domiar złego wybuchły w miasteczku pożar wypocząć nie pozwolił. Tutaj doszła generała saskiego wiadomość o zajęciu Kobyłina przez dziewięć pułków jazdy szwedzkiej pod dowództwem generałów Wellingka i Renskiölda, przy których znajdował się sam król szwedzki wraz ze Stanisławem Leszczyńskim. Spotkanie niebieskiej pogoni szwedzkiej z czerwonym odwrotem saskim stawało się odtąd nieuchronnym. Zamiarem Schulenburga było teraz maszerować przez dzień 8 Listopada do Krobi, połączyć się tamże z piechotą moskiewską, ruszyć następnie do Leszna, by się zaopatrzyć w chleb i piwo, ztamtąd zdążyć do bezpiecznego schronienia szląskiego. Rachuby te chybiły jednakże. Mimo że okolica była Sasom znaną z czasu jeszcze kampanii lato-wój, zmarnowano, dzięki nieostrożności szpiegów i przewodników, trzy godziny w drodze. W Krobi nie zastał Schulenburg Moskali, lecz tylko doniesienie dowódcy ich Görtza, że niedaleko tu ztąd się rozłożył. A więc i tu jeszcze zawód i rozpręczenie sił własnych wobec nieprzyjacielskiego pościgu! Wyznaczywszy tedy Görtzowi w nocy z dnia 8 na 9 Listopada miejsce wspólnego spo-

tkania pod miasteczkiem Poniecem, ruszył tam do-
tąd sam Schulenburg wśród zapadającego zmroku.
Było już jednak za późno na możliwość podobnego
połączenia. Zaledwie też Schulenburg ze swym
znużonym żołnierzem zdołał stanąć pod Poniecem,
odsłonił mu się na rozległej równinie groźny wi-
dok nadciągającej od Krobi niebieskiej chmury
kawaleryi szwedzkiej. Generał saski obliczał jej
siłę bez przesady na 7000 koni, kiedy sam nie li-
czył więcej nad 5000 ludzi, prawda, że bardzo
dobrej piechoty. O dalszym odwrocie nie można
było myśleć bez wystawienia się na niechybną
klęskę ze strony pościgu szwedzkiego. Przytomny
Schulenburg postanowił przyjąć nierówną walkę,
by pod osłoną stawianego oporu skutecznie od-
wrot do Szląska i poczynił, o ile czas i okolicz-
ności pozwalały, odpowiednie ku temu przygo-
towania. Nie przypuszczając, aby nieprzyjaciel śmiał
go zaczepiać wśród zapadającej ciemności, kazał
piechocie obsadzić opłotki i ogrody w leżącej tuż
pod samém miasteczkiem Poniecem wsi Janiszewie;
lazaret zaś, bagaże i artyleryą wyprawił na tyły
z rozkazem spiesznego pochodu ku Odrze. Nad
ranem spodziewał się nadejścia Görtza z piechotą
moskiewską. I tę rachubę przekreśliła przecieź
gorączka walki Karola. Nie zważając na cie-
mność, nie kłopotąc się o widoczną obronność
stanowiska piechoty saskiej, lekceważąc o roztro-
pne rady swych generałów przedstawiających, iż
z samą tylko, do tego przez pogoń rozwleczoną

na długie odstępny jazdą, zagarnąć i zgnieść Sasów nie będzie można, okazał się Karol i pod Poniecem, Karolem z nad Dźwiny, z pod Kliszowa, Pułtuska i Lwowa. Wbrew wszelkim oczekiwaniom i rachubom, spostrzegł Schulenburg szwadrony szwedzkie pędzące ostrym kłusem ku swęj zajmującej wieś Janiszewo piechocie. Wobec podobnej zaczepki uznał generał saski za rzecz konieczną wyprowadzić swego żołnierza z opłotków i ogrodów wiejskich na otwarte pole, aby go przewaga nieprzyjacielska nie zaskoczyła splątany, zwłaszcza, że na domiar niedogodności zajętej przez Sasów pozycyi, tuż za wsią znajdowało się niebezpieczne w razie odwrotu, grząskie trzęsawisko. Słońce zaszło, ciemność Listopadowego wieczoru zapadała coraz grubiej nad widownią rozpoczynającą się walki. Siła będąca pod ręką Karola składała się z oddziałów kawalerii pułku skanijskiego, z dragonów generałów Renskiölda, Duckerta i Krassaua. Generał Wellink z 4000 koni znajdował się o jeden dzień marszu w tyle, generał Hummerhielm był odkomenderowany o pół mili, by oskrzydlić nieprzyjaciela. Przy boku rozpoczynającego akcją Karola znajdowali się Stanisław Leszczyński, książę Sachsen-Gotha, generałowie Renskiöld, Stenbock i Lagercrona. Schulenburgowi, jak sam powiada we własnoręcznym sprawozdaniu, pozostawało wobec nawały szwedzkiej bardzo niewiele czasu do sformowania swęj siły. Wyprowadziwszy żołnierza

za wieś, ustawił go we dwie linie. Pierwszą, opartą prawem skrzydłem o wieś Janiszewo, złożył z ośmiu, drugą z czterech batalionów piechoty. Po obu skrzydłach drugiej linii stanęła kawalerya saska, w przedziale między pierwszą a drugą linią składająca się z dziewięciu dział artylerya. Schulenburg objeżdżał szeregi swych żołnierzy, upominał ich do wytrwania na miejscu, przypominał smutny los towarzyszków wziętych w Toruniu, jęczących dotąd w twardej niewoli szwedzkiej, kazał przypuszczać Szwedów blisko, mierzyć koniom we łby, strzelać celnie. Pierwsze szeregi miały po każdym wystrzale przykleknąć, by dać możliwość wystrzału następnym. Zaledwie było dość czasu, by te rozporządzenia powydawać, gdy jazda szwedzka z Karolem na czele rzuciła się na Sasów, wybierając sobie przedewszystkiem za miejsce i przedmiot ataku owe szczyrby pomiędzy obu liniami piechoty a nieprzyjacielską konnicą. Jazda saska nie dotrzymała placu i zaczęła pierzchać. Wpadający za uciekającymi Szwedzi, zagarnęli dwa bataliony saskie i wprawili je w nieład. Niebezpieczeństwo zaczęło być groźnym; w stanowczej téj chwili dał dowód niesłychanego męstwa i przytomności umysłu sam Schulenburg. Ranny już w rękę, w mundurze poszczerbionym nieprzyjacielskimi kulami, pędzi ku swym wprawionym w nieład batalionom ścigany przez kilku nieprzyjacielskich dragonów, zawraca je, komenderuje ognia i jeszcze raz ognia, który

przetrzebia rozwleczone pogonią i wprawione w nieład własnym zwycięstwem szwadrony szwedzkie. Szwedzi zdziśnięci, straciwszy mnóstwo ludzi i koni wracają pędem ku swoim. Schulenburg korzystając przytomnie z tej chwili wytchnienia, cofa całą swą piechotę, ustawia ją w podługowaty czworobok, opierając z tyłu o las, zasłaniając z przodu głębokim, długim rowem. Artylerya po stracie jednego działa, wśród zamieszania odwrotu, staje w liczbie ośmiu dział po obu skrzydłach czworoboku saskiego, daje bez przerwy ognia na uchodzących Szwedów. Żołnierz saski widząc pierwszy atak szwedzki odpartym, siebie w bezpiecznej pozycji, nabiera odwagi. Sam Schulenburg pisze w swym raporcie do Augusta, „iż od-tąd z radością już można było widzieć, jak nie-przyjaciel drugi raz będzie przyjęty.“ Nadzieja ta miała się spełnić w zupełności, choć wytchnienie zaledwie co sformowanych między laskiem a rowem Sasów nie trwało długo. Dragonia szwedzka rzuciła się po raz drugi rozpuszczonym pędem ku czworobokowi saskiemu. Powstrzymał ją nieco rów; salwa pierwszego, ponowna salwa drugiego, strzelającego po nad głowami przykłych towarzysów szeregu, pokryła ziemię niebieskimi mundurami szwedzkimi, zabitemi i ranne-mi końmi. Mimo to wdarli się Szwedzi w pewnej liczbie w czworobok saski, na to jednakże tylko, aby zamknięci w nim, wyginąć nieledwie co do nogi. „Było to,“ pisze Schulenburg, „ciekawe wi-

dowisko, jak ci co się wdarli w czworobok, marnie poginęli i zrąbani zostali, tak, że nie widziałem, aby trzech lub czterech było z nich uszło.“ Ataki te ponawiały się ze strony szwedzkiej, choć z coraz mniejszym ogniem i z coraz mniejszym widokiem skutku, do pięciu razy. Wszystkie były szczęśliwie przez Schulenburga odparte. Roztoczyła się nareszcie na dobre ciemność, w dodatku zapadła głęboka mgła jesienna. Szwedzi cofnęli się do miasteczka Ponieca, zostawiając na polu pod Janiszewem mnóstwo trupów i rannych bez żadnej opieki. Schulenburg miał prawo uważać się za pierwszego zwycięzcę Karola XII., choć zwycięstwo jego było drogo okupione. Sam był kilkakrotnie, choć nie ciężko ranny; adjutant jego, wszyscy oficerowie ordynansowi, waleczny podpułkownik Hau, polegli. W żołnierzach wynosiła strata saska ogółem 489 ludzi według sprawozdań szwedzkich. Straty szwedzkie obliczał sam Schulenburg na 1500 ludzi; oni sami przyznają się do 280 zabitych i rannych, nie mogąc przecież zapierać znacznej straty w szeregach oficerskich. Mianowicie polegli: adjutant króla szwedzkiego Luttinghuvén, kapitanowie Hiepen, Gager, Gyllentrost i Basilice. Pomiędzy rannymi znajdujemy pułkowników Patkula, Torstensoną, Hardta, Düringą, Bleckerta i Fahlmanna.

Taki to był przebieg owego wieczornego spotkania między Karolem XII a Schulenburgiem, dnia 8 Listopada 1704 na krawędzi wielkopolskiej

ziemi od Szląska. Zwycięstwo nie pozwalało jednakże zwycięzcy spoczywać długo na laurach a w nocy jeszcze trzeba powziąć szybką decyzją i poczynić odpowiednie przygotowania, by jutro nie stracić korzyści dzisiejszych wysiłeni. Schulenburg, należy mu oddać sprawiedliwość, spełnił nie mniej świetnie, nie mniej szczęśliwie i tę drugą część trudnego zadania. Nasamprzód, korzystając z ciemności nocnej, ściągnął do swęj głównej siły postawiony we wsi Janiszewie, odcięty chwilowo przez Szwedów oddział generała Birona. Oficer saski wysłany przezeń, przewróciwszy na wierzch niebieską podszewkę swego czerwonego płaszcza, uszedł w ciemności szczęśliwie za Szwedą, przejechał przez szeregi szwedzkie, przewiózł Sasom w Janiszewie rozkaz połączenia się z główną siłą. Pozostawało jeszcze obmyślić przed brzaskiem jutrzeńki, na samém pobojuwisku, dalsze szczegóły działania. Schulenburg zawahał się chwilowo, czy nie ruszyć ku Lesznu, nie ściągnąć do siebie piechoty moskiewskiej Görtza, nie zawezwąć pomocy odległego zaledwie tylko o kilka mil w Zbąszyniu Patkula. Położenie rzeczy było jednakże zbyt krytyczne, aby plan podobny był mógł liczyć na urzeczywistnienie. Przy sprężystszym działaniu, przy większej zdolności strategicznej Patkula, przy lepszej woli dowodzącego Moskalami pułkownika Görtza, mogło i powinno było połączenie zapędzonych w ów kąt Wielkopolski sił saskich nastąpić rychléj. Teraz, na polu sto-

czonęj co dopiero na równinach ponieckich bitwy, nie było już na to czasu. Że król szwedzki ponowi z braskiem jutrzeńki przerwany tylko ciemnością nocną atak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Niedosć na tém, doszła do obozu saskiego wiadomość, że generał Wellink nadciąga Karolowi w pomoc z resztą jazdy szwedzkiej, nadto, że generał Meierfeld wyruszył z oswobodzonego od oblężenia Poznania i że się w 700 koni znajduje już w Kościanie. Zatrzymywać się tedy choćby kilka godzin tylko na ziemi polskiej, zapuszczać się według pierwotnego zamiaru ku Lesznu, znańczyło iść dobrowolnie w nieprzyjacielską matnię, wystawiać się na niechybną klęskę. Po krótkim tedy zastanowieniu, rozpoczął Schulenburg w nocy jeszcze odwrot ku granicy szląskiej, dokąd już poprzednio wyprawił był artyleryą i bagaże. Rannych, ku wielkiemu żalowi nie mógł, wszystkich przynajmniej, uwieźć z sobą i pozostawił ich w znacznej części na placu spotkania. Przekraczając granicę szląską, wyprawił Schulenburg oficera z listami do prezydenta kamery cesarskiej i w. mistrza zakonu niemieckiego we Wrocławiu, tłumacząc nadwężenie neutralności cesarskiego terytorium nieuniknioną koniecznością wojenną. Zresztą zalecił swym żołnierzom przestrzeganie najściślejszej dyscypliny, opłacał wszystkie rekwizycye wojskowe za przekroczeniem granicy brzęczącą monetą. Pogoń szwedzka stępiła nieco swą zapalczywość przez wieczorną potyczkę i dała uchodzącemu Schulen-

burgowi kilka godzin swobodnego czasu. Przed południem jeszcze dnia po bitwie, znalazł się korpus saski na terytorium szląskiem. Około godziny czwartej po południu stanęli znużeni i wyczerpani pospiesznym marszem Sasi w miasteczku Górze. Na rzece Baryczy kazał Schulenburg poniszczyć za sobą wszystkie mosty, pozostawił w odwodzie dla ostrożności w punkcie przeprawy przez rzeczkę 50 grenadyerów, sam ruszył z korpusem ku Odrze. W tej chwili zaczęła się pokazywać pogoń szwedzka, która przykładem Sasów nie uszanowała również neutralności terytorium cesarskiego. Na szczęście jednakże ocaliły i na ten raz Sasów ciemność wieczorna, mgła i niski stan wody w Odrze. Późnym wieczorem dopadł Schulenburg we wsi Łupkiniu (Lübchen) tuż nad rzeką dogodnego punktu przeprawy. Korzystając z osłony nocnej, spędził ile się dało promów, łodzi i rozpoczął przeprawę. Do godziny pierwszej w nocy było trudne dzieło uskutecznione; korpus saski znalazł się na lewym brzegu rzeki i był stanowczo ocalonym. Pewna już niemal zdobycz uszła Karolowi, uznał się na ten raz zwyciężonym przez Schulenburga, sam przeciwnie znajdował się przez kilka godzin w niebezpieczeństwie, którego się nie domyślał i nie przeczuwał. W przedniej, jak zwykle, straży szwedzkiej pogoni, dopadł przeprawy saskiej przez Odrę nieco po północy. Nie mogąc jej już przeszkodzić, zanocował w młynie, w pobliskiej wsi Kręglowie, z bardzo szczupłą tylko eskortą.

Właściciel młyna doniósł o tém Schulenburgowi, który się już gotował powrócić z kilkudziesięciu ludźmi na prawy brzeg rzeki, aby pochwycić nieostrożnego króla. Znużenie żołnierza jednakże, niedostatek łodzi i promów, które po dokonanej przeprawie poniszczono, przeszkodziły wykonaniu podobnego zamachu. Obie armie nieprzyjacielskie odczepiły się odtąd od siebie. Schulenburg cofa się nie napastowany dalej do Zgorzelic. Równocześnie prawie uchodzi Patkul z pod Zbąszynia ku Odrze; pozostają jeszcze tylko na placu nieszczęsne resztki moskiewskiego korpusu pułkownika Görtza i Kozacy z oddziału jazdy generała Brandta, rzućeni na łaskę opatrności od chwili zniesienia oblężenia Poznańskiego. Tak jeden, jak drugi oddział wojsk moskiewskich szukał widocznie ratunku w połączeniu z Schulenburgiem, ale było już za późno. Schulenburg schronił się w nocy z dnia 9 na 10 Listopada za Odrę. Dwa tysiące blisko Kozaków z oddziału Brandta, zdeorganizowanych, znużonych, mających zaledwie 200 koni, reszta pieszo, znalazło się odciętych na prawym brzegu rzeki we wsi Oderbeltsch. Karol kazał pułkowi dragonów pułkownika Ornstedt zsiąść z koni i zaatakować ich pieszo. Jedni zaczęli uciekać ku Odrze, próbując przeprawy, drudzy zamknęli się w domach wsi z postanowieniem obrony. Pierwsi zostali bądź to wystrzelani, bądź potonęli, tak iż zaledwie trzydziestu dostało się na lewy brzeg rzeki; drudzy stawiali rozpaczliwy, ale nadaremny opór.

Wpadło z nich żywo 213 w ręce Szwedów, reszta, blisko 1500, jak powiada sprawozdanie szwedzkie, wyginęła już po wzięciu w niewolę a jeżeli wierzyć temu samemu sprawozdaniu, współubiegali się rozdrażnieni barbarzyńskim postępowaniem Kozaków żołnierze szwedzcy z chorągwiami polskimi Grudzińskiego w okrutnem, nieludzkim wymordowaniu jeńców. Dzień poprzednio a więc dnia 9 Listopada, spotkała podobna klęska drugi oddział moskiewski złożony z 1500 piechoty, który nie zdążywszy za Schulenburgiem, znalazł się w okolicy Wschowy. Ten to oddział zachwyliła pogoń generała Wellingka, który idąc od Kobylina w 4000 koni, stanął nazajutrz po bitwie ponieckiej na placu spotkania a nie znalazłszy ani swoich, ani Sasów na miejscu, pędził dalej w kierunku Wschowy. Moskale zabarykadowali się w pobliskiej miastu wsi Tylewicach; wezwani do złożenia broni, odpowiedzieli silnym ogniem z dział i z ręcznej broni. Wellingk kazał dragonom Stenboka zsiąść z koni i uderzyć na zamkniętych w chałupach Moskali. Atakiem tym dowodził hr. Eryk Lejonhufwud, który w nim poległ. Moskale stracili nasamprzód swą artyleryą, mimo to nie przestawali stawiać rozpaczliwego oporu wśród zabudowań i opłotków wiejskich. Szwedzi zapalili im nad głowami dachy, mimo to nie ustawała obrona. Moskale woleli ginąć wśród płomieni, aniżeli rzucać broń. Nareszcie zwyciężyła przewaga liczebna Szwedów; 900 przeszło Moskali zginęło w boju i w płomieniach.

Szwedzi zabrali im 14 dział, całą amunicją i cztery beczki z pieniędzmi; sami jeżeli wierzyć ich sprawozdaniu, nie stracili w owym boju nad 80 ludzi w zabitych i rannych, między którymi pułkownika Burenschölda i kapitana Treffenhielma. Dwa te spotkania pod Oderbeltsch i Tylewicami, zakończone klęską porzuconych tak niedbale i niesumiennie na łaskę pościgu nieprzyjacielskiego sprzymierzeńców moskiewskich, zamykają razem dzieje kampanii roku 1704, jeźlibyśmy nie zaliczyli jeszcze do niej odbywających się tu i owdzie, pomiędzy Radomskiem a Częstochową, utarczek między chorągwiami pospolitego ruszenia szlacheckiego a furazującymi i ściągającymi kontrubucye z kraju Szwedami. Karol wydobywszy się szczęśliwie z matni, w jaką go szalony zapęd na Ruś i zamach Augusta na Warszawę wprowadził, odniósł, dzięki bezprzykładowemu niedołęztwu nieprzyjaciela, najzupełniejszy tryumf. August chroni się do Krakowa prawie bez wojska, pod wątpliwą opiekę dywizyi wojska koronnego i nawracających się powoli na jego stronę Lubomirskich. Natomiast rozprysła się i zmarniała w rozstrzelonej ucieczce i częściowych bojach cała jego siła, Patkuł, Moskale Görtza, Schulenburg. Jeden Schulenburg tylko zdołał stawić skuteczny i zaszczytny opór, ale ostatecznie także tylko zasłaniając odwrót i poświęcając posiłki moskiewskie. Karol wyrzucił ostatniego nieprzyjaciela poza granice Wielkopolski, znalazł się ponownie panem sytuacji.

Nazajutrz po zniszczeniu oddziału kozackiego pod Oderbeltsch, dnia 11 Listopada, znajdujemy go we wsi Ossowej Sieni pod Wschową, gdzie, nawiasowo powiedziawszy, zapewne na instancje dobrego „sąsiada“, króla Stanisława Leszczyńskiego, właścicielce wdowie Annie Baklanowskiej wystawia skrypt libertacyjny od kontrybucyi wojennej. Następnie odebrawszy od przybyłego doń ze swą jazdą generała Meierfelda rapport o przebiegu oblężenia miasta Poznania, postanowił sam udać się tamże, rozpatrzyć się w położeniu i obronności stolicy Wielkopolskiej. Dnia 16 Listopada przybył Karol do Poznania, oglądał nędzne, poszczerbione ogniem Patkulowym a przecież tak walecznie obronione warownie miejskie, oddawał zasłużone pochwały dzielności załogi i środkom obrony, użytym przez swych generałów. Według tradycyi miejscowej, której autentyczności najtroskliwszy przegląd dokumentów archiwum miejskiego z owej epoki nie pozwolił nam przecież stwierdzić, obrał sobie król szwedzki podczas swego pobytu w Poznaniu na kwaterę istniejący dziś jeszcze, tak zwany dom „*pod daszkiem*“ w rynku. Co natomiast pewna, to że wszelkie błagania prezydenta miasta, Pawła Pothuna, o zwolnienie ciężarów, pod jakimi Poznań od 14 miesięcy stękał, nie zostały przez króla uwzględnione. Mieszkańcy płacili nadal, jak dotychczas, ciężkie pieniądze, tygodniowo przeszło 2000 tynfów, dostawali dalej, jak dotychczas, piwo, chleb, wino, tytoń, mięsiwa na potrzeby

zostającej znów pod dowództwem pułkownika Gabriela Liliehöka załogi szwedzkiej. Karol odprawił prezydenta Pothuna z niczem i opuścił Poznań po kilkudniowym pobycie. Na zimowe leże obrał sobie odtąd ze względów politycznych Wielkopolskę, mianowicie województwo poznańskie i kaliskie, na miejsce własnego pobytu miasto Rawicz. Podobnym wyborem pokierował nasamprzód wzgląd na konieczność restauracji skołatanych interesów króla Stanisława, które właśnie od Wielkopolski odbudować przyszło; dalej zamożność i ludność kraju, bliskość Szląska, tyle niezbędne dla zaoopatrywania potrzeb wojska fabryki sukna w wielkopolskich miasteczkach: Lesznie, Rawiczu, Sarnowie, Miejskiej Górcie i Kościanie. Zamieszkał tedy król szwedzki, na długi wypoczynek leż zimowych, wraz ze zwykłym otoczeniem swym wojskowym i dyplomatycznym w Rawiczu, kiedy Stanisław wyprawiwszy małżonkę, matkę i obie córki*) do bezpiecznego Elbląga, osiadł w Rydzyńskim zamku. Według pamiętników o księciu Emanuelu Maxymilianie wirtembergskim, bywały częste stosunki i komunikacje między obozem szwedzkim w Rawiczu i dworem Stanisława w Rydynie, a młody książę nie może się dość nachwalić gościnności, wspaniałości i świetnych polowań rydzyńskiego zamku. Nie mniej staje się przez kilka miesięcy Rawicz ogniskiem i punktem centralnym

*) *Annę* (później zmarłą) i *Maryę*, późniejszą królową francuską.

bardzo ożywionego ruchu politycznego i wojennego. Co chwila zjeżdżają tu deputacje szlacheckie od województw wielkopolskich z najrozmaitszymi instancjami, bądź to do pana konsyliarza Pipera, bądź to do samego Karola lub króla Stanisława. Co chwila przyjeżdżają najrozmaitsi generałowie szwedzcy z raportami do króla, lub po rozkazy. Pojawi się tu wkrótce Arwed Horn z tajnymi propozycjami pokoju od Augusta, przybędzie niespodzianie od dworu wiedeńskiego w osobnej missyi hrabia Zinzendorff. Kuja się dalej między Rydzyną a Rawiczem plany i projekta przeciągnięcia prymasa na Stanisławową stronę, dość, przedstawia nadgraniczna, zamieszkała przez niemieckich sukienników miescina wielkopolska widownią niezwykle ożywioną i urozmaiconą. Pierwsze kroki króla szwedzkiego z rozpoczynającego się spoczynku leż zimowych, są politycznego znaczenia, obliczone na podniesienie chromającej królewskości neo-elekta. On sam wydał już podczas marszu pod dniem 30 Października z Warszawy manifest do stanów Rzeczypospolitej, w którym się powtarzały zwykle ogólniki o miłości dobra Rzplitej, o bezinteresowności króla szwedzkiego, o Moskalach i Kozakach sprowadzonych we wnętrze kraju przez króla Augusta, o potrzebie łączenia się około jego osoby w celu zyskania nareszcie pokoju. Wszystko rzeczy może dobre i prawdziwe, ale chybiające celu wobec rozstrzelonych interesów i stanowisk obranych z góry przez różnych ludzi i różne stronni-

ctwa Rzeczypospolitej. Posypały się też na ów manifest odpowiedzi przeciwników, zamieniając wystąpienie neo-elekta na bezpłodną wojnę papierową. Innego nieco rodzaju i skuteczniejszej doniosłości był akt samegoż Karola. Pod dniem 28 Listopada wydał z Rawicza manifest do szlachty województw Wielkopolskich, w którym oświadczał, że tylko wspaniałomyślna interwencya króla Stanisława oszczędza im czynów zemsty i surowości, na które zasłużyli wspierając działania wojsk i stronników zdetronizowanego króla. Ukazać neo-elekta lękającą się spokoju i bezpieczeństwa szlachcie w charakterze skutecznej, rozjemczej instancyi, nie było rzeczywiście krokiem niezręcznym.

Pozostawmy teraz Karola na jego zimowych leżach w Rawiczu, a przypatrzmy się robotom i działaniu Augusta, który, jak sobie przypominamy, stanął w Krakowie dnia 10 Listopada około południa. Położenie jego nie było szczególnie korzystne. Co się tyczy nasamprzód będącej na pogotowiu siły zbrojnej, rozporządzał August tysiącem zaledwie koni jazdy saskiej, która została pod dowództwem zamianowanego placokomendanta miasta Krakowa generała Kyau. Obozowała nadto w pobliżu dywizya wojska koronnego z pod komendy hetmańskiej. Prócz tego znajdowały się przy boku królewskim chorągwie pospolitego ruszenia polskie Adama Śmigielskiego starosty gnieźnieńskiego i Morsztyna starosty sieradzkiego, gotowe na każde zawołanie do nowych, partyzanckich

wypraw. Wszystko to razem nie przedstawiało dostatecznej siły do stawienia oporu Szwedom nadciągającym pod wodzą generałów Renskiölda i Stromberga od Łęczycy, Nowego Miasta nad Pilicą i Częstochowy. Sam marszałek nadworny Pflugk oświadczył z dobroduszną rezygnacją posłowi duńskiemu, „że dwór saski zabawi zapewne w Krakowie tak długo, dopóki na to Szwedzi pozwolą.“ Tak to potrafiła najzupełniejsza nieudolność króla Augusta obrócić wszystkie warunki wojennego powodzenia przeciw niemu samemu, tak zmarniały i stopniały w jego ręku wszelkie zasoby w ludziach i materiale wojennym, jakimi przed dwoma jeszcze zaledwie miesiącami rozporządzał. Pobity i zwyciężony bez boju, z rozproszoną na cztery wiatry armią, pozbawiony możności oparcia akcji politycznej o jedynie skuteczną podstawę, jaką było powodzenie wojenne, ze źle tajoną tęsknotą za wypoczynkiem saskim, za rozkoszami Drezna, za jarmarkiem lipskim, stanął August w Krakowie bez zamiaru długiego pobytu, z chęcią może jakiegokolwiek załatwienia co więcej naglących spraw polskich, do których zaliczmy zgodę z Lubomirskimi, pozyskanie prymasa, przygotowania wreszcie środków dalszego prowadzenia wojny. W otoczeniu jego znajdujemy z panów polskich Denhoffa marszałka konfederacji sandomierskiej, Jana Szembeka podkanclerzego koronnego, biskupa przemyskiego Bokuma, nominata krakowskiego; ze Sasów nadwornego marszałka Pflugka, generała Kyau,

skład tak zwanego komissaryatu czyli intendantury saskiej, wreszcie nieuniknioną, snującą się ciągle i wszędzie osobistość kamerdynera dyplomaty Spiegla. Ostatni raz też znajdujemy naówczas przy boku królewskim w smutnych dniach owych listopadowych r. 1704 księżnę cieszyńską (Lubomirską), której gwiazda ma wkrótce zgasnąć, by ustąpić wznoszącej się nowej, pani Anny Konstancji Hoym. Gromadzi się też około osoby Augusta w Krakowie dyplomacya zagraniczna: Spada nuncyusz papieski, Golicyn poseł carski. Dnia 14 Listopada przybywa poseł duński baron Jessen. Wszyscy owi reprezentanci zagranicznych mocarstw zawieszają swe godła i herby po nad bramami zajętych przez się domów, nadają życia i różności zniszczonemu dwukrotnym pobytem Szwedów, sterzącemu ruiną spalonego na Wawelu zamku grodowi Jagiellońskiemu. Pomiędzy osobistościami czynnemi dla sprawy Augusta spostrzegamy znów naszych dawnych znajomych, wspomnionego co dopiero nominata krakowskiego Bokuma, wojewodzinę poznańską Annę Małachowską i księcia Ferdynanda kurlandzkiego. Na pierwszym planie zajęć i zatrudnień Augusta stanęło właśnie to, co sam tak lekkomyślnie i niedbale z rąk wypuścił, restauracya powodzenia wojennego za pomocą sprzymierzeńców. Wychodząc ze słusznej racji, że najłatwiej o pomoc i sprzymierzeńców *zwycięzkim* sprawom, wyzyskiwał August aż do najostateczniejszego przesytu wążpliwy tryumf Schulenburga pod

Poniecem. Rozgłaszał go w Krakowie jako fakt wielkiego swęj armii nad Szwedami zwycięztwa. W takiem świetle przedstawia je posłowi duńskiemu Jessenowi, nie inaczej w liście do cara Piotra z dnia 19 Listopoda, żądając równocześnie posiłków i subsydiów pieniężnych. Bitwa Poniecka figuruje w konferencyach i korespondencyach Augustowych z owęj chwili jako argument powodzenia jego zachwianęj sprawy. Pewny pomocy znajdujacego się już we wspólnęj akcji Cara, pracuje jeszcze August z Jessenem nad pozyskaniem przymerza duńskiego, brunświckiego, meklemburgskiego i heskiego, obiecując płacić sprzymierzeńcom, carskiemi naturalnie pieniędzmi, za każdego żołnierza 30—50 talarów. Równocześnie postanawia król w interessie uregulowania spraw wewnętrznych Rzeczypospolitéj, poczynić znów kroki okolo pozyskania osoby bawiącego w Gdańsku prymasa, wyrażając tylko wobec posła duńskiego obawę, czy mu przebywający przy boku Radziejowskiego poseł francuzki Bonac przeszkadzać nie będzie. Zasnuwszy w ten sposób działanie tak w zewnętrznej, jak wewnętrznej polityce na wszystkie strony, opierając się w sprawie pozyskania prymasa na Rzymie, dokąd w tym celu, jak wiadomo, wyprawił hr. Lagnasco; licząc na dwór berliński, dokąd wyprawił Przebendowskiego, odniósł August na wıdowni krakowskiej jeden przeciez niewątpliwy, choć problematycznęj wartosci tryumf. Tryumfem owym było pozyskanie wreszcie w. hetmana

koronnego Hieronima Lubomirskiego, nadto jego brata Jerzego i synowca Teodora, za gorliwym pośrednictwem wojewodziny poznańskiej, nominata krakowskiego biskupa Bokuma i posła duńskiego barona Jessena. Dzieło przygotowane od dawna, trzymane dotąd w tajemnicy, ujrzało nareszcie ku niesłychanemu zadowoleniu wszystkich swych twórców i pośredników światło dnia białego. Istna chorągiewka na dachu, w. hetman koronny Hieronim Augustyn Lubomirski, przeor Maltański, niegdyś za króla Jana III gorliwy stronnik Francyi i otwarty zwolennik zbuntowanego przeciw domowi rakuzkiemu Tekelego; później stronnik Contego, następnie nawrócony zwolennik Augusta, którego opuszcza pod Kliszowem; dalej znów sprzymierzeniec Szweda, by go zawiedziony w ambitnych swych marzeniach również z kolei porzucić, przybywa do Krakowa, odprawia uroczysty akt przeprosin króla, zatwierdzając, według relacyi naocznego świadka, barona Jessena, szczerść jego hojnie wylewanemi łzami. Następnie udaje się na mszę do kościoła Panny Maryi wraz z królem, bratem Jerzym, synowcem Teodore, pieczętując swój akces uroczystością nabożeństwa. Akt ten odbył się dnia 17 Listopada. Po nim nastąpiła między nawróconymi Lubomirskimi a Augustem godzinę przeszło trwająca konferencya, która według świadectwa najpoufniejszego jój uczestnika, tegoż barona Jessena, nie zdołała przecieź przekonać króla o zupełnej szczerści pokutników. Cokolwiekby, był to tém po-

żądałszy, że jedyny tryumf *wewnętrznej* polityki królewskiej, tryumf, po którym się August spodziewał ważnych następstw, który też rzeczywiście zachwiał ponownie biedną królewskością Stanisława Leszczyńskiego a znalazł ostateczny wyraz i przypieczętowanie w manifeście hetmana do Rzeczypospolitej z dnia 21 Listopada 1704 roku. Lubomirski tłumaczył w nim swoją dotychczasową politykę, mianowicie obecny akces do króla Augusta. Żaden adwokat zmuszony bronić złej sprawy, nie posługiwał się wykrętniejszemi od zmiennego hetmana argumentami. Intrygant i spekulant polityczny, który z wysokości zajmowanego przez się stanowiska *mogąc* przyczynić się w znacznej części do tego, czego Polsce ówczesnej najwięcej było potrzeba, do jej jedności i zgody wśród tylu sprzecznych, w różne strony ciągnących prądów, wicherzył przeciwnie ciągle, podlegał pokrewnych sobie Sapiechów, zdradzał na polu bitwy pod Kliszowem, rzucił Augusta dla Szwedów, Szwedów następnie i Leszczyńskiego dla Augusta, tenże hetman, mówimy, wystawiał sobie w pomienionym manifeście do Rzeczypospolitej świadectwo poświęconego dla dobra jej obywatela, gotowego przelać krew za nią i za „naszego jedynie prawego króla Augusta II.“ Akces do konfederacyi warszawskiej tłumaczył chęcią sprowadzenia pokoju, co gdy się nie udało, powziął natychmiast postanowienie wrócić do boku prawego króla. W elekcji Stanisława nie brał, jak zaręczał, żadnego udziału

a skoro mu tylko możność była dana, usunął się od spółki ze Szwedami i pospiesza stanąć przy królu i Rzeczypospolitej. Odpowiedź Stanisława Leszczyńskiego na hetmański manifest, należy wyjątkowo do najtrafniejszych i najprawdziwszych dokumentów smutnej owiej epoki. Neo-elekt stawił bezgródkowo oblicze zmiennego hetmana w zwierciadle jego własnej politycznej działalności od początku wojny szwedzkiej, przypominał konaszchy z Sapiehami, oddanie trybunału Radomskiego pod opiekę szwedzką, wyłamanie się z pod uchwał sejmu lubelskiego, pozostawienie Torunia na łasce oblężenia szwedzkiego. W chęci dokużenia Lubomirskiemu, przemawia replika Leszczyńskiego ze stanowiska najgorliwszego istnie rzecznika Augustowej sprawy. Najdotkliwszą obelgę zawierała Stanisławowa odpowiedź w ustępie dotyczącym bitwy Kliszowskiej. „Ofiarujesz,“ mówił neo-elekt, „krew Twoją! Nie odpychamy Twój ofiary, ale dotąd nie widzimy skutku, zwłaszcza, że zgasiłeś sławę i wielkie bohaterskiej waleczności sarmackiej imię; pod Kliszowem zaś siebie samego całemu światu na pośmiewisko wystawiłeś!“ Król z łaski szwedzkiej, wyrzucający w żywe oczy hetmanowi zdradę i niczemność w usługach swego przeciwnika, sięgał bez wątpienia szczytów obelgi, na jaką się choćby nawet w obliczu *ówczesnego* społeczeństwa zdobyć było można. Cokolwiekbądź, pozyskał August hetmana, jego imię, jego stanowisko i jego rodzinę,

sam przecież mimo to nie dowierzając, według poufnych z posłem duńskim szeptów, trwałości i szczerości swego nabytku. Najlepszym dowodem, że się nie mylił, pozostanie, że w niespełna trzy miesiące później, w początku Lutego r. 1705, przyszło do krwawej burdy na Podgórzu Krakowskim między chorągwiami Teodora Lubomirskiego starosty Spiskiego a zajmującymi obok nich zimowe leże Sasami, tak że zaledwie spieszna interwencya nominata krakowskiego i hetmana zająci temu w groźną pozołę zamienić się przeszkodziła.

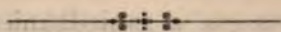
Tak stanęły tedy rzeczy na widowni krakowskiej pod koniec Listopada r. 1704. Mimo bezkrwawej klęski poniesionej na teatrze wojny, nie było stanowisko Augusta w Krakowie zagrożonem. Karol, jak nam wiadomo, zajął zimowe leże w województwach poznańskim i kaliskim; Renskiöld stanął z piechotą szwedzką w Kujawach, by później nieco rozkwaterować się również w okolicy Poznania; Stenbock zatrzymał się z jazdą w Sieradzkim, Stromberg w 2000 koni w okolicy Częstochowy i Wielunia. Chwilowo tedy nie groziło Augustowi żadne niebezpieczeństwo. Zaszczytne spotkanie Ponieckie Schulenburga, świeży pogrom dalej Sapieżyńców na Litwie przez wojska carskie, ucieczka zwyciężonych bądź to do Pruss bądź w Płockie, dodawały otuchy jego otoczeniu, przedstawiały i na zewnątrz może sprawę jego wcale nie w rozpaczliwem jeszcze świetle. Nie przestawał nadto obecny w Krakowie poseł carski Golicyn nastawać

na jak najprędsze spotkanie Augusta z Carem, dającym się najlepiej skutecznić, skoro król polski pozostanie na miejscu. Rzeczywiście też przedstawiał pobyt krakowski, mimo wszystkich błędów politycznych i wojennych, najprawdopodobniejsze jeszcze widoki, jeżeli nie zupełnego powodzenia, to jakiej takiej naprawy interesów polskich. Zatrzymując się tutaj, opierając się na dywizyi wojska koronnego Lubomirskich, na chorągwiach pospolitego ruszenia Śmigielskiego, na żołnierzu saskim generała Kyau, sprowadzając wreszcie, czemu nic nie przeszkadzało, ze Szląska i Saxonii, przez Czechy i Morawią Schulenburga i Moskali uchronionych z pogromu szwedzkiego, można było jeszcze zgromadzić siłę zdolną stać się punktem oparcia przez zimę, zdolną nadto zajrzeć Szwedom w oczy z nadejściem wiosny. Dyplomacya zagraniczna znajdowała się przy boku Augusta w Krakowie, zaczęło się około niego gromadzić dygnitarstwo polskie. W najgorszym razie, znaczyło pozostać na miejscu to samo, co zrównoważyć polityczną akcyą Karola i Leszczyńskiego w Wielkopolsce, co faktem podobnej obecności dać dowód wiary i zaufania do własnej sprawy, nadewszystko zaś, co zapobiedz rozbiciu się stronnikom własnym, nieładowi i rozkładowi, jaki nieobecność królewska w te tropy wywoływała. Tak byłby rozumował w obecnej chwili władzca dbały o Polskę i jej losy a choćby tylko o swój własny interes... Inaczej przecież August. Jeszcze dnia 26 Listo-

pada odbywa z posłem duńskim konferencyą, w której zaręcza mu swe postanowienie jak naj-energiczniejszego prowadzenia wojny i naradza się nad przygotowaniem najodpowiedniejszych do tego środków. W trzy dni później już przecież, nie mówiąc słowa, nie zwierzając się nikomu z Polaków, nie zabierając nikogo z nich z sobą, znika August po cichu, podobnie jak rok temu właśnie, z Krakowa, by pospieszyć do ukochanej Saxonii. Pozornego argumentu dostarcza mu dżuma poczynająca pod koniec jesieni, choć z niezbyt wielką gwałtownością, grasować w okolicy Krakowa, na całej dalej przestrzeni aż do Lwowa. Pod wpływem podobnego nibyto niebezpieczeństwa, pozostawił August podkanclerzemu koronnemu Janowi Szembekowi rozkaz odroczenia walnej rady, jaką miał początkowo zamiar złożyć w Krakowie, na dzień 8 Stycznia 1705 do Wiśnicza, obiecując solennie własny swój do Polski na termin ten powrót. Wyjazd królewski z Krakowa stał się też, jak zobaczymy niżej, hasłem nasamprzód krwawych zatargów między Sasami a żołnierzem koronnym, nieporozumień między dwoma filarami królewskiej sprawy, Denhoffem marszałkiem konfederacyi sandomiorskiej a w. hetmanem koronnym Lubomirskim, wreszcie zbiorowych przenosin w. hetmana koronnego, panów i dygnitarzy polskich, kancelaryi królewskiej i saskiej, nadwornego marszałka Pflugka, komissaryatu czyli intendantury wojska saskiego, księżnej Cieszyńskiej, do

Wiśnicza. Wszystko to częścią przepłoszone obawą dżumy, częścią chcąc być na miejscu zapowiedzianej walnej rady, wynosi się z zapowietrzonego nibyto Krakowa na bezpieczniejsze ubocze. Wspomnieliśmy o księżnej Cieszyńskiej i o zapowietrzonym *nibyto* Krakowie. Wcale to nie przypadkowe, a nie winą historyka owój epoki, jeżeli jako sprężyn i przyczyn ważnych, rozgrywających się pośród niej wypadków i postanowień, zmuszony szukać w czynnikach godnych raczej melodramatu. Nie ma się co łudzić. August wyprawia do Wiśnicza obojętną mu już księżną Cieszyńską a sam nie obawia się niebezpieczeństwa krakowskiej dżumy. Ale za to ciągną go, z zaniedbaniem sprawy polskiej, z najzupełniejszém lekceważeniem cierpień i dolegliwości krwawiącego się wśród trzech najazdów narodu, bez żadnego na ten raz zamiaru jakiegobądź akcji politycznej, rozkosze karnawałowe drezdeńskie, zbliżający się jarmark lipski, nareszcie, po nad wszystko, owa *Kosel*, nosząca naówczas jeszcze skromne miano baronowej „Anny Konstancyi von Hoymb.“ Wygląda to na ustęp z romansu lub z komedyi a przecież jest czystą, dającą się dokumentowo stwierdzić prawdą. Nagła ucieczka z Polski, dziewięćmiesięczna przeszło w niej nieobecność, wtrącenie spraw polskich w trudny do nieopisania nieład, pozostawienie wolnego pola w Polsce Karolowi XII, poszukiwanie z nim następnie partykularnego pokoju; wszystko to streszcza się naówczas w jednym

mianie *Kosel*. Charakterystyczny to pod koniec roku 1704 na widowni Polski światłocien zwyciężkiej walki namiętności z ulegającym obowiązkiem, jaskrawego przeciwieństwa lubieżnych rozkoszy Drezna, Moritzburga i Lipska, ze zniszczonym dworkiem, ze spaloną chatą, z rozstrzelanym w razie oporu szlachcicem, ze zdzieranym do krwi mieszczańinem, z zaprzęganym do taczki szwedzkiej, saskiej i moskiewskiej chłopem polskim. W słowach tych przesady niestety nie ma!



BITWA KALISKA

z roku 1706.

Jak *cała*, tyle tragiczna i bolesna w dziejach naszych epoka panowania pierwszego Sasa, przedstawia wszędzie i zawsze nierozpromienione niczém widowisko upokorzeń i klęsk narodowych, tak w szczególności nie stanowią w niej jakiegó wyjątkowo pocieszającej i dodatniej strony wypadki wojenne i pamiętniejsze *bitwy*. Kiedy awanturniczy i bohaterski razem król szwedzki świeci czynami nadludzkiego męztwa; kiedy żołnierz jego składa przez cały czas trwania wojny w Polsce dowody niezrównanej dzielności w boju, męczeńskiej wytrwałości w ponoszeniu wojennych trudów; kiedy równocześnie i żołnierz saski czy to w oblężeniu toruńskim, czy w spotkaniu ponieckim okazuje się niezupełnie niegodnym przeciwnikiem Szweda; kiedy żołnierz carski okazuje swe bierne, ofiarne męztwo w krwawych bo-

jach nad granicą szląską w jesieni roku 1704 a choćby nawet w niefortunnej bitwie pod Wschową, szuka się nadaremno, z bólem i żalem, pokaznej obecności żywołu, który niedawno przecież temu jeszcze odnosił świetne zwycięstwa pod Chocimem i Wiedniem, odznaczał się w bojach Jana III. na Węgrzech, Podolu i Wołoszczyźnie. Lustracya chronologiczna ważniejszych spotkań z epoki Karola XII., jest równoczesną niestety lustracyą tyłuż upokorzeń, gnębiących duszę i serce wspomnień polskich. Kliszów zapisuje bezbojne ustąpienie z placu walki hetmanów polskich; pod Pułtuskiem nie widać Polaków, jak nie widać również w następującej tuż potem obronie Torunia. Podczas oblężenia Poznania w roku 1704, widać ich tylko w chorągwiach pospolitego ruszenia pod dowództwem niewojennego, pogromionego przez Szwedów pod Stęszewem generała wielkopolskiego, Macieja Radomickiego. Czy to później pod Poniecem, czy pod Wschową widać mało liczne chorągwie wielkopolskie pospolitego ruszenia raczej świadkami, aniżeli uczestnikami boju. Co najwięcej, poczyną owa wojna wyrabiać powoli nowy, odpowiadający nie tyle naturze kraju, ile naturze jego szlacheckiej fantazyi i wysoko wyrobionej indywidualności mieszkańców wojenny żywiół, zaczyna kształcić po obu stronach mniej lub więcej sprawnych partyzantów, których imiona nie upamiętnione udziałem w wielkich i stanowczych walkach, zasłynęły i przechowały się

w tradycji ludowej, nie pozostały następnie bez śladu i bez znaczenia czy to w rozpaczliwych wysiłkach Karola XII. po Puławie, czy w walkach konfederacyi Tarnogrodzkiej, czy wreszcie w krwawych ubijatykach podczas bezkrólewia po Augustacie II. Pamiętnymi na podobnej widowni walki pozostaną imiona czy to Mikołaja Świnarskiego po stronie Augustowej, czy to Adama Śmigielskiego starosty gnieźnieńskiego po stronie króla Augusta naprzód, po stronie jego przeciwników następnie. Słynne dalej imiona czy to Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, czy Jana Sapiehy starosty bobrujskiego; Jana Grudzińskiego starosty rawskiego; partyzantów, dowódców chorągwi Zagwojskiego i Urbanowicza. Stanisław Poniatowski, ojciec późniejszego króla Stanisława Augusta, wyrabiał się równocześnie przy boku króla szwedzkiego na żołnierza - dyplomatę. On i inni byliby się w normalniejszych czasach i okolicznościach wyrobili na znakomitych wojowników. Nie zbywa im ani na męztwie, ani na samorodnym doświadczeniu wojennym. Czy to gonitwy Śmigielskiego naprzód za Szwedami, potem za Sasami w Wielkopolsce; czy to boje Józefa Potockiego wojewody kijowskiego i Jana Grudzińskiego starosty rawskiego na Węgrzech w służbie Rakoczego; czy to wyprawy ich obu w latach 1711 i 12 do Polski; czy to walki Gniazdowskiego w Wielkopolsce podczas konfederacyi Tarnogrodzkiej, wszystko to dowodzi, że nie zamarła choćby nawet w smutnej,

saskiej epoki Polsce rycerskość i wojowniczość narodu, że trzeba było tylko ładu, spokoju, normalnego porządku rzeczy, aby odtworzyć znów siłę zbrojną łączącą przymioty żelaznej falangi Żółkiewskiego z błyskawiczną, dzielną szybkością lotnych chorągwi Stefana Czarnieckiego. Przyznając w całej pełni tę oczywistą prawdę, trudno przecież zaprzeczyć, iż podobnie jak zawierucha ówczesna doprowadziła do rozkładu polityczny organizm Rzeczypospolitej, tak zdeorganizowała również jej oficjalny organizm wojskowy. Nie widać w tej wojnie hetmanów, ale widać partyzantów. Jeżeli widać niekiedy hetmanów, pokazują się nie w roli stróżów i obrońców czci i całości Rzeczypospolitej, ale raczej w roli intrygantów politycznych. Pytajmy nadaremno podczas tej wojny o *czyny* wypróbowanego przecież w bojach tureckich Jana III. dawnego „kawalera maltańskiego,” późniejszego w. hetmana koronnego Hieronima Lubomirskiego; pytajmy również nadaremno o podobne czyny także tej lepszej epoki żołnierza, także w. hetmana koronnego, Adama Sieniawskiego!

Podobne, gnębiącej duszę narodową melancholijności uwagi, nasuwają się samą naturą rzeczy komuś, kto rozpamiętywa tę najsmutniejszą ze wszystkich naszej przeszłości epokę, kto z niecierpliwością narodowej tęsknoty radby się w niej doszukać obecności polskiej.

Dawniej i gdzieindziej mieliśmy sposobność przypatrzeć się innym bitwom wojny szwedzkiej, stoczonym na naszej ziemi, spotkaniom pod Kliszowem, Pułtuskim, Poniecem, Wschową, oblężeniom toruńskiemu i poznańskiemu, wzięciu Warszawy przez Augusta. Z kolei rzeczy przychodzi nam w obecném opowiadaniu przypatrzeć się *bitwie kaliskiej* z roku 1706, wypadkowi, pominąwszy jego wojenną stronę, tém ciekawszemu, że stanowi równocześnie fakt wielce oryginalnego, wielce ciekawego zawikłania dyplomatyczno-politycznego wśród zmiennych kolei owego czasu. Strona wojenna i wojskowa spotkania kaliskiego, bez względu na jego ostateczny rezultat, nosi wiernie charakter wszystkich bitew owój wojny: starcia niezbyt wielkich po obu stronach sił regularnych szwedzkich i saskich wśród udziału wytrwałego i walecznego w boju, ale nie mającego jeszcze naówczas charakteru innych armii europejskich żołnierza Carskiego; wśród żywszego i czynniejszego, ale także nieregularnego udziału partyzanckich chorągwi polskich i oddziałów wojska koronnego. Ważniejszą natomiast i ciekawszą stronę spotkania kaliskiego stanowią pełne sprzeczności i przeciwieństw istnie dramatycznych, *polityczne* zawikłania z powodu i wśród których nastąpiło. Niechaj nam będzie wolno skreślić jego obraz w związku z towarzyszącymi okolicznościami tak pod jednym, jak pod drugim względem. Interes zrozumiałości naszego opowiadania każe nam sięgnąć w kilku

miesięczną przed bitwą kaliską przeszłość. W lecie i w jesieni roku 1705 dopiero, właśnie kiedy August przesiadywał uporczywie w Dreźnie, Karlsbadzie, Cieplicach; kiedy prymas Radziejowski dogorywał w Gdańsku, kiedy Karol XII. koronował Leszczyńskiego w Warszawie, zaczynał stwierdzać skuteczność swą na ziemi polskiej zawarty przeszłego roku z Carem traktat Narewski a posiłki moskiewskie nadpływać do krajów Rzeczypospolitej poważniejszemi massami. W jesieni roku 1705 widzimy nadciągającego od południa pod Zamość Mazeppę, kiedy równocześnie sam car Piotr szerzy się po Litwie, zajmuje Grodno i Tykocin. Przybywa tamże z Saxonii nareszcie August, składa radę senatu, ogłasza protesty przeciw królewskości Leszczyńskiego, zakłada order Orła Białego z godłem *Pro fide, lege et rege*, układa wreszcie do wspólni z Carem i jego generałami plan przyszłej akcji wojennej. Plan ten był niewątpliwie teoretycznie dobrym, gdyby go w wykonaniu praktycznym nie była popsowała gorączkowa niecierpliwość króla Augusta. Zamiarem jego było wziąć główną armią szwedzką, znajdującą się w zimie z roku 1705 na 6 pod dowództwem samego króla w okolicy Grodna, we dwa ognie. Zatrudnionej już szturmowaniem okopów rossyjskich pod Grodnem wśród najcięższej zimy armii szwedzkiej, zamierzył król August ściągnąć z tyłu na kark nie mniej niebezpiecznego i potężnego nieprzyjaciela, siłę sasko-moskiewską, mającą nadciągnąć

z Wielkopolski. W tym celu sformował już w późnej jesieni roku 1705 pod Żórawiem na Szląsku, tuż w pobliżu granic polskich obóz saski, do którego miały się ściągać powoli i ćwiczyć nowo-rekrutowane w Saxonii siły. Dowództwo nad nimi naczelne miał najlepszy bez wątpienia i najdoświadczeńszy z generałów saskich, Schulenburg. Skoroby obóz żórawski był gotowym do akcji w polu, miał Schulenburg wyruszyć z nim do Polski, złączyć się na pograniczu szląsko-marchijskiem województwa Poznańskiego z posiłkami moskiewskimi generała Wustromirskiego, zgnieść, co się zdawało rzeczą niewątpliwą, szwedzkiego generała Renskiölda, któremu obrona W. Polski była powierzona; wziąć następnie, co się również zdawało rzeczą nader łatwą, obsadzić przez załogę szwedzką Poznań, potem ruszyć ku Warszawie i zagrozić tyły zatrudnionego z przodu przez armią rosyjską króla szwedzkiego. Przewrotny i doświadczony Schulenburg znał zbyt dobrze powierzonego swemu dowództwu żołnierza, aby podobnemu planowi wróżyć upragnione powodzenie. Nie przestawał nasełać króla Augusta listami tłumaczącymi mu, że trzeba odczekać lepszej pory, że żołnierz nie wyćwiczony jeszcze należycie, że nie przygotowany do wystąpienia w pole, że nie okazuje wcale wojennego zapału, że wyprowadzony przedwcześnie do boju, zapowiada niechybną prawie klęskę. Wszystkie te przełożenia nie odniosły żadnego skutku, a król

August zaczął Schulenburgowi w niecierpliwości swjej przesyłać tak wyraźne i tak stanowcze rozkazy podjęcia niezwłocznej akcji, iż generał saski byłby chyba zgrzeszył wyraźném nieposłuszeństwem, odwołując wykonanie rozkazów królewskich nadal. W pierwszych dniach Lutego 1706 r. wkroczył Schulenburg w granice województwa Poznańskiego i rozpoczął akcją, która dzięki szybkiej i energicznej czynności dzielnego Renskiölda, dzięki niedołączności saskich podkomendnych i widocznie złej woli młodego żołnierza saskiego, skończyła się sromotną Sasów i Moskali kłeską pod Wschową dnia 13 Lutego 1706.

Wypadek ten przekreślił naturalnie od razu cały strategiczny plan króla Augusta, coby było rzeczą mniejszą, gdyby równocześnie nie był prawie do szczętu zniszczył ostatniej siły zbrojnej, jaką Saxonja rozporządzała. Rozpoczyna się tedy po bitwie wschowskiej w akcji politycznej i wojennej Augusta kilkumiesięczna stagnacya, owa gra, którą pamiętnikopisarz Otwinowski nazywa tak trafnie „mijanemi obu królów tańcami.“ Podczas bitwy wschowskiej był król August, niecierpliwy jej rezultatu, liczący na zwycięstwo i spieszne z niego plony, w Piotrkowie. Po odebraniu wiadomości o kłesce, przenosi się na niejaki czas do Krakowa, kiedy król szwedzki po uporczywych nadaremnych bojach z wojskami carskimi pod Tykocinem i Grodnem, zwraca się na swą znaną dobrze, wiosenną i latową roku 1706 wyprawę

wołyńską. Kiedy Karol z królem Stanisławem przy boku gospodaruje na Wołyniu, zyskuje neo-elektowi stronników, pali i niszczy dobra tym, którzy jego stronnikami stać się nie chcą, pracuje tymczasem August z Krakowa i w Krakowie nad restauracją swych wojennych i politycznych interesów. Rozpatrzmy się pokrótce w szczegółach tej jego roboty, równoległej i równoczesnej z przymusową robotą Karola XII. około pozyskania Leszczyńskiemu stronników na Wołyniu i Litwie. Nie próżnowała *polityczna* strona jego akcyi; odnosił się mianowicie kilkakrotnie do Papieża przez bawiącego w Rzymie posła swego hr. Lagnasco, bądź to w sprawie biskupów polskich, bądź w szczegółowej kwestyi zatwierdzenia na biskupstwo krakowskie dotychczasowego biskupa przemyskiego Bokuma. Nie mniej utrzymywał August żywą i częstą komunikacją, bądź to przez wysłańców swych: szambelana Szembeka i kamerdynera Spiegła, bądź przez listowną korespondencją z carem Piotrem. Rozumie się jednakże samo przez się, że główne staranie króla podczas jego kilkumiesięcznego w Krakowie pobytu zwracało się na utwierdzenie samegoż miasta Krakowa, zgromadzenie jakiej takiej siły zbrojnej i restauracją obalonego niefortunnym rezultatem bitwy wschowskiej planu strategicznego. Akcja ta rozpoczęła się ze strony Augustowej na rozległą skalę w przezorny we wszystkich kierunkach sposób. Nasamprzód zabrał się król do należytego

uzbrojenia i zabezpieczenia na swém stanowisku krakowskiem. Spalony w roku 1702 przez nieostrożność załogi szwedzkiej zamek na Wawelu sterczał wówczas smutną, okopconą ruiną. August kazał go o ile możności zrestaurować, opalisadować, oszańcować, wprawić miasto samo w stan obrony przeciw jakimubądź napadowi nieprzyjacielskiemu. Jedyne niebezpiecznym mógł mu być wtedy zajmujący województwa Kaliskie i Poznańskie, oparty o silnie obsadzony Poznań, szwedzki generał Renskiöld. Podjazdy szwedzkie niepokojone w swych wycieczkach przez Augustowych partyzantów Śmigielskiego, Świnarskiego, Prażmowskiego, sięgały w Sieradzkę, niekiedy w okolice Częstochowy. August nosił się przez niejaki czas z myślą zaczepnej akcji przeciw Renskiöldowi; za słaby do wykonania podobnego planu, wolał tymczasowo ograniczyć się na postawie obronnej, utwierdzać, jak powiedziano, Kraków, gromadzić siły.

Z drugiej strony nie omieszkał zwrócić się ku odbudowaniu swój politycznej powagi w Polsce przez odpowiednie rozdanie wakujących, najwyższych dygnitarstw Rzplitej. Nie żył już od Października roku zeszłego prymas Radziejowski, na którego król August nie mógł nigdy liczyć, którego ostatnie dni żywota spłynęły na zaciętej wojnie z kuryą rzymską z powodu jego wrogięj postawy względem króla. W pół roku później, w Kwietniu 1706, zakończył życie w Rzeszowie

w. hetman koronny Hieronim Lubomierski, równie niepewny filar Augustowej sprawy w dziedzinie świeckiej, jakim był Radziejowski w dziedzinie kościelnej.

Skorzystał August z obu tych wypadków śmierci, by powstałe w skutek nich wakanse oddać w ręce swych niewątpliwych stronników. Godność prymasa dostała się Stanisławowi Szembekowi, bratu podkanclerzego koronnego, towarzyszącego nieodstępnie królowi Jana Szembeka. Wielką buławę koronną nadał król Adamowi Sieniawskiemu wojewodzie bełzkiemu, dotychczas hetmanowi polnemu, po którym buławę mniejszą wziął referendarz koronny Stanisław Rzewuski. Ubezpieczywszy w ten sposób swą władzę przez odpowiadające swym potrzebom rozdanie wakansów, przystąpił August na stanowisku krakowskiem do restauracji swój siły zbrojnej.

Powoli znaleźli się przy jego boku nowo zamianowany w. hetman koronny Sieniawski i nowo zamianowany hetman polny koronny Rzewuski; znaleźli się dalej podskarbi litewski Ludwik Pociąg i waleczny, znany zaszczytnie w dziejach owój wojny, Holsztyńczyk rodem, generał Brandt. Całą przestrzeń równocześnie między Poznaniem a Krakowem, zagładając niekiedy aż na terytorium brandenburgskie, przebiegał w usługach Augustowych, jako niezrównany partyzant Adam Śmigielski. On jeden trapi zwyciężkich Szwedów, urywa ich potroszę, napędza im strachu.

Szwedzcy historycy owój wojny, jak Nordberg i Adlerfeld, wyrażający się zawsze z dziwném lekceważeniem czy to o regularném wojsku koronném, czy o innych partyzantach polskich, odzywają się o Śmigielskim z pewném uznaniem. Pamiętnikopisarz owój epoki, tyle znany w naszej historyografii epoki saskiej, Erazm Otwinowski skreśla następną jego, trafną charakterystykę, która w skąpych, ale *nie* lekceważących wzmiankach obu wspomnianych co dopiero historyków szwedzkich, zupełne potwierdzenie znajduje: „Między owymi wszystkimi wojownikami jeden tylko chwalebny był Adam Śmigielski, starosta gnieźnieński, któremu śmieie przypisać można, że to był prawdziwy Achilles Polski. Ten za Jana III króla polskiego służył wojną a po uczynionych traktatach karłowickich z Turkami osiadł był w domu, w starostwie swoim gnieźnieńskim. W r. p. 1703, gdy się Szwedzi przenieśli z Małej do Wielkiej Polski, wzbudził był Pan Bóg tego wielkiego męża, który widząc wielkie udręczenie ludzi od Szwedów kontrybucye wyciągających, szlachtę w dworach ich aggrawujących, duchem świętym nieomylnie wzruszony, porwał się z domowymi swymi na Szwedów i jednych w dworze pewnym pobił, drugich potopić kazał; a opuściwszy dom, zabrał najprzód ludzi 25 koni, począł Szwedów cudem prawie boskim bić dziwną prędkością i wielkie szkody w nich czynił, z tak małą kwotą ludzi napadając, wielkie

kupy Szwedów znosił. A gdy się wkrótce w nieoszacowane zdobycze zapomógł, poodbijawszy Szwedom wielkie dostatki, które z polskich rabunków za granicę do Szląska wywozili, począł ludzi coraz więcej zaciągać, których formował na chorągwie, a gdy ich zo przeszło chorągwi miał, zgłosił się królowi Augustowi z ochotą swoją. Król zaś doznawszy, że nie próżne jego usługi były, pozwalał mu do jego dywizyi (z polskich chorągwi złożonej) swoich Sasów, dając mu ich na podjazdy, ile chciał i kiedy affektował; a że Sasi ciężkie mieli konie, musieli insze lekkie do odprawowania podjazdów z Śmigielskim przy każdym regimencie mieć, które oni Śmigielskiego końmi nazywali. Przykrzyły się bardzo Sasom owe komendy Śmigielskiego, bo ich dobrze nagaśniał a z ciężkiej pracy niejeden musiał duszą pieczętować. Zażywał też wielki kawaler rozlicznych sposobów w wojowaniu swoim ze Szwedami, często *cum summo periculo vitae*: ufarbowawszy wąsy, przebrawszy się po chłopsku, w obozach szwedzkich miotły przedawał, piwo jednym koniem do Szwedów woził, albo chleb nosił, a przepatrywszy szwedzkie stanowiska, w nocy z ludźmi swymi odważnie napadał zawsze i tak wszędy szczęśliwie z wielką klęską nieprzyjaciela wygrywał. Gdy szedł podjazdem a dowiedział się o Szwedach na egzekucjach będących, nigdy nie pytał o kwocie ich, tylko gdzie są i w którym miejscu a wzięwszy informacją, prosto biegł

wzgląd na nie mniej szeroki udział, jaki bierze naówczas w przygotowaniach wojennych Augusta i w akcji wojennej na rzecz jego, ze względu dalej na nie ostatnią rolę, jaką mu w wypadku będącym przedmiotem naszego opowiadania odegrać przyjdzie. Co się tyczy regularnej siły, jaką August w owiej chwili potrafił około siebie zgromadzić w Krakowie, podaje Nordberg cyfrę ich ogólną, być może, iż nie przesadzając na ten raz, na 15000 ludzi najrozmaitszej zbieraniny. I tak znajdowała się w obozie krakowskim Augusta jazda saska pod dowództwem dzielnego generała Brandta; znajdowała się dalej część wojska litewskiego pod Ludwikiem Pocijem; znajdowały się wreszcie oddziały wojska koronnego pod dowództwem w. hetmana koronnego z ramienia Augustowego, Adama Sieniawskiego, wreszcie Kozacy z komendy Mazeppy sprowadzeni przez króla do Krakowa z pod Zamościa. Z tą siłą chciał August w miesiącu Maja wykonać zamach na Renskiölda zajmującego Wielkopolskę. Brandt miał iść w przedniej straży z kawaleryą saską, Śmigielski i Świnarski rozpocząć dywersyjną akcją na tyłach zaczepionego nieprzyjaciela. Udaremnił jednakże możliwość wykonania tego planu rozkaz Carski, ściągający rosyjskie siły od boku Augusta na Litwę. W ten to sposób widzimy króla Augusta przez całe dwa miesiące jeszcze, Maj i Czerwiec, beczynnym w Krakowie, kiedy Karol zagłębia się w Polesie i Wołyń, nawracając pożogą, mie-

czem i ogniem wołyńską i poleską szlachtę na rzecz Stanisławowej sprawy. Wyprawa ta króla szwedzkiego odbywała się, jak dodać należy, pod zasłoną 4-tysięcznego korpusu szwedzkiego, który zajmował pod wodzą generała Meyerfelda przeprawę na Bugu w Brześciu. W początku Lipca rozpoczął Renskiöld ruch ku Krakowu. August w obawie, aby się nie dostać we dwa ognie pomiędzy Renskiölda i wracającego z Wołynia króla szwedzkiego a w dodatku mieć jeszcze sobie zamkniętą drogę na północ przez Meyerfelda, chcąc zbliżyć się nadto do posiłków Carskich, postanowił, wbrew radzie podkanclerzego Jana Szembeka, opuścić Kraków. Pozostawiwszy niezbyt silną załogę w mieście, wyruszył ztąd August w pierwszych dniach Lipca, zmierzając na Radom ku przeprawie przez Wisłę na prawy jej brzeg powyżej Warszawy. Opóźniała przeprawę potrzeba wystawienia łyżwowego mostu. Na miejsce jej wybrano wieś Świeże, leżącą naprzeciw Maciejowic. Po kilkudniowym marszu od Krakowa zebrały się w obozie pod Świeżem wszystkie siły Augustowe i przystąpiono do budowy mostu, który dnia 14 Lipca był gotowym. Relacya wysłana z obozu Augustowego do tajnej rady w Dreźnie, znajdująca się w archiwum saskim, daje o chwilowém położeniu rzeczy najjaśniejsze wyobrażenie: „Nasz most,“ mówi owa relacya, „przez Wisłę, jest nareszcie gotów; nasza kawalerya i bagaże przeprowią się przezeń jeszcze dzisiaj, wojsko ko-

ronne dopiero jutro. Król szwedzki znajduje się jeszcze z przeważną częścią wojsk swych na Wołyniu a mówią, że jest jego zamiarem zrobić wyprawę do Kamieńca, aby zabrać sobie schowane tamże jeszcze piękne działa, gdyby, co się łatwo stać może, miał twierdzę tę opanować. Co się tyczy Meyerfelda, który z oddziałem Szwedów i Sapieżyńców niedawno temu zajmował stanowiska między Chełmem a Lublinem, posunął on się wyżej ku Brześciowi i każe ściągać mocne kontrybucye. Szwedzi usiłują prowincyą Wołyńską i Ruską zmusić, aby się Leszczyńskiemu poddały; prawdopodobnie nie zdziałają tam jednakże więcej, aniżeli na Litwie i gdzieindziej wszystkimi swemi okrucieństwami zdziałali. Chociaż bowiem jednemu księciu Wiśniowieckiemu przeszło 300 miast i wsi a hetmanowi w. koronnemu przeszło 50 włości spalili, nie uskuteczniłi przecież przez to nic innego, aniżeli tylko to, że oburzyli więcej jeszcze na siebie wszystkich magnatów i szlachtę Polski i Litwy, tak, że oni teraz stanowczo są zdecydowani trwać przy J. K. Mości, poświęcając za Nią życie i mienie. Wojsko koronne liczy już teraz istotnie 10000 ludzi i okazuje dla obecnych hetmanów wszelkie posłuszeństwo i uszanowanie (Sieniawskiego i Stanisława Rzewuskiego). Oni zaś objawiają J. Kr. Mości wszelką uległość, tak, że się po działaniach tej armii tylko dobrego spodziewać można. Litewski podskarbi Pociąg przedwczoraj (12 Lipca) z 1000

Litwinów na promach przez Wisłę, aby obserwować ruchy nieprzyjaciela. W. hetman litewski (z ramienia Augustowego) książę Wiśniowiecki znajduje się z 6000 dobrego wojska na miejscu, w którym się z nim nasza kawalerya licząca również 6000 koni, wkrótce połączyć będzie mogła. Moskiewskie wojsko stanęło znów prawdopodobnie w Bychowie a ma pośród siebie 10000 ludzi najlepszych Kałmuków. Moskiewski zaś generał-major Bauer stoi z innym moskiewskim korpusem w Mińsku.“

Jak tedy widzimy z powyższego listu, rozporządzał król August w połowie Lipca, w chwili przeprawy przez Wisłę poważną siłą, któraby mu była pozwalala bądź to obrócić się przeciw królowi szwedzkiemu i pospieszyć na odsiecz niszczoneму i palonemu barbarzyńsko przez Szwedów Wołyniowi, bądź, co najmniej, rzucić się na czterotysięczny korpus Meyerfelda w Brześciu i zgnieść go ogromną przewagą. Zamiast tego przedsięwziął August ruch, który przymnażając zniszczeniu kraju, nie przyniósł nie tylko żadnej dywersyi nieszczęsnemu Polesiowi i Wołyniowi, ale nadto miał mu się, jak zobaczymy, opłacić najfatalniejszymi pod względem wojennym i politycznym następstwami. Nie zwracając się ani przeciw Karolowi, ani myśląc o taniem zwycięztwie nad Meyerfeldem w Brześciu, umknął mu August spokojnie z drogi, a chcąc najprawdopodobniej pociągnąć Szwedów za sobą i zbliżyć się ku posil-

kom Carskim, puścił się szlakiem ku Tykocinowi, następnie zółwim krokiem pod Nowogrodek na Litwę. Rozpaczliwy istotnie, bezmyślny, opłacający się chyba tylko pożogą i zniszczeniem kraju sposób prowadzenia wojny.

Jedyne spotkanie, jakie jałowa kronika owego epizodu wojny zapisuje, odbyło się pod Węgrowem. Zapędzony aż tamże z korpusu Meyerfelda, szukający żywności podjazd szwedzki 150 ludzi starł się z jazdą Augustową. Połowa Szwedów poległa, druga dostała się do niewoli. Po odniesieniu tego łatwego zwycięstwa, posunął się August ku Tykocinowi, ztamtąd mijając Grodno, wschodnim marszem pod Nowogrodek. „J. K. Mość,“ mówi znów znajdujący się w archiwum drezdeńskim rapport, „przybyła tutaj (do Nowogrodka) wraz z dworem swoim szczęśliwie dnia 15 b. m. (Sierpnia), rozłożywszy na kilka dni przedtém kawaleryą swą saską po kwatérach w tutejszój okolicy w taki sposób, aby jak najspieszniej zebraną być mogła. Wojsko koronne obozuje tu ztąd o ośm, wojsko litewskie o dwaście mil.“ Cała ta przeszło piętnastotysięczna siła była naturalnie w pierwszym rzędzie ciężką klęską dla wyniszczonej i tak już dosyć przemaszszem wojsk Carskich, ani zamożnej, ani ludnej nowogrodzkiej okolicy.

W otoczeniu Augustowém znajdowali się w marszałek Pflug, radzcy tajni Imhof i Pfingsten, słynny Spiegel, obaj hetmanowie koronni Sieniawski

i Rzewuski, podskarbi litewski Pociąg i hetman litewski Wiśniowiecki; podkanclerzy koronny, zapędzony w ten pusty kąt pomimo swój woli i rady Jan Szembek, wreszcie prócz podrzędnych oficerów saskich, najdzielniejszy i najpokaźniejszy między nimi generał Brandt. Niechaj powieściopisarska fantazyja snuje sobie mniej lub więcej zgodne z rzeczywistością obrazy owego pobytu króla — sybaryty i jego cudzoziemskiego dworu na zniszczonem pustkowiu litewkiem. Co do nas, pozostając w zgodzie z prawdą historyczną, zapiszmy, że kiedy różnobarwne chorągwie polskie i litewskie zajęły dalszą, czerwono-umundurowana jazda saska i zielona, z białemi wyłogami piechota rosyjska bliższą okolicę Nowogrodka, król August oddał się z niepojętem bezpieczeństwem na nowem swém stanowisku wypoczynkowi i bezczynności, nie pytając o Meierfelda, o niszczone Wołyń, kołyszac się nadziejami odsieczy Carskiej, której w jego obozie przypisywano najwybijalsze cyfry. Dość powiedzieć np., że według listów wyprawianych naówczas z obozu Nowogrodzkiego do Drezna, zapewniano, iż posiłki rosyjskie w liczbie 80,000 ludzi stanęły już pod Dubnem a niebawem połączą się z królem Augustem.

Bogu samemu chyba wiadomo, jak długo ten wypoczynek Nowogrodzki byłby się przeciągnął, gdyby go nie były zakłóciły i nie zaniepokoiły nagle najniespodzianej groźne wiadomości. Wzmianka

o nich, wrażenia i następstwa, jakie wywołały, nakazują nam przenieść się na chwilę z naszym opowiadaniem do obozu szwedzkiego. Król szwedzki w otoczeniu króla Stanisława Leszczyńskiego, wuja jego Jana Jabłonowskiego wojewody ruskiego, znajdował się, jak już kilkakrotnie wspomnieliśmy, na Polesiu i Wołyniu. W całym jego, tyle świetnym i bohaterskim zkadinał zawodzie wojennym, jest to istotnie najtragiczniejszy i najprzykrzejszy dla jego pamięci epizod. Nie znalazł król szwedzki na Polesiu i Wołyniu nieprzyjaciela, który by mu był chciał i mógł dotrzymać placu w otwartem polu. Za to znajdował, jak bardzo naturalnie, mnóstwo pomiędzy miejscową szlachtą i dygnitarzami biernych i obojętnych, którzy się lenili z akcesami do Leszczyńskiego. Przeciw nim to obracała się mściwość króla szwedzkiego. W bohaterskim, niby to przyjaznym jakiegś przeciw Polsce wnuku, odżył w całej zgrozie rozbójniczy Karol Gustaw. Z rozkazu jego płonęły setkami miasteczka i wsie owych biernych przeciwników Leszczyńskiego, kraj zamieniał się w zgliszcza i ruinę. Ludzki i pocziwy Leszczyński był wskazany spoglądać z zakrwawionem sercem na podobną robotę dla swój królewskości, nie mogąc jój w niczem przeszkodzić. Widowisko wstrętne, ohydne, które niechaj zarazem tłumaczy, dla czego, jak już w inném powiedzieliśmy miejscu, najczulsi zawsze na najbliższe cierpienia i dolegliwości ludzie, nie mogli się z poza łun i dymów pożogi, krwawych scen doraźnych egze-

kucy i rabunków dopatrzeć w Karolu XII oblicza przyszłościowego sprzymierzeńca Polski. Właśnie wśród najrozpuśtniejszych orgii tej rozbójniczej wyprawy, doszła Karola wiadomość o wyruszeniu Augusta z Krakowa, o jego pochodzie w północnym kierunku. Wiadomość ta stała się dlań hasłem bezzwłocznego odwrotu ku Bugowi a zarazem najprawdopodobniej powodem i źródłem powzięcia nowego planu, który przecież przez pierwsze kilkanaście dni marszu chowa w głębokiej tajemnicy. Dnia 24 Lipca widzimy go już w Dubience; w czterech dni później w Kurowie i Markuszowie; dnia następnego przeprawia się w Puławach przez Wisłę, upamiętniwszy krótki swój w pięknej hetmana Sieniawskiego włości pobyt pożogą wspaniałego pałacu i zniszczeniem wszelkiej własności hetmańskiej. Równocześnie dał rozkaz Meierfeldowi opuścić co prędzej swe stanowisko w Brześciu Litewskim i spieszyć przez Warszawę ku połączeniu z główną armią szwedzką. Z przepawy tej na lewy brzeg Wisły w Puławach, z rozkazów wydanych do Meierfelda, z dalszego pochodu ku Wielkopolsce, zaczął nareszcie swoim i obcym plan Karola być zrozumiałym; wychylać się z tajemnicy.

Zrozumiał go poseł cesarski hr. Zinzendorff spieszący do obozu szwedzkiego na Wołyń, spotykający się z Karolem na przepawie Wisły w czasie pożogi Puław; zrozumiało go własne otoczenie. Przestało być tajemnicą, że ostatecznym celem te-

rażniejszej wyprawy Karola jest najazd Saxonii. Nadaremnie czynił mu w tym względzie przedstawienia Zinzendorff. Chory, wycieńczony męczącą podróżą, kazał się zawieźć do Warszawy, kiedy tymczasem pomimo wszelkich jego przedstawień i powoływań na prawo narodów, na obrazę Cesarza i Rzeszy Niemieckiej, długie linie niebieskiej piechoty i jazdy szwedzkiej snuły się przed jego oczyma ku Radomiu. W tém tu miejscu nastąpiła, jak nie jednokrotnie w ciągu téj wojny, zwykła rozprawa między ostrożnością dyplomatyczną kanclerza Pipera i rozwagą strategiczno-polityczną niektórych generałów szwedzkich a bohaterskiem, zwyciężającym zawsze w ostatecznym rezultacie, awanturnictwem króla. Karol odsłonił nareszcie tajemnicę, oświadczył ku osłupieniu swego otoczenia, iż jest jego zamiarem wkroczyć do Saxonii. Niektórzy generałowie protestowali przeciw podobnemu planowi ze względów strategicznych; Piper widział w wykonaniu jego niebezpieczną prowokacją nie tylko już Cesarza i Rzeszy, ale i obu mocarstw morskich, Hollandyi i Anglii. Karol odparł te przedstawienia i obawy argumentem, że najazd Saxonii jest jedynym i ostatnim środkiem zmuszenia nareszcie Augusta do zawarcia pokoju. Wobec podobnie objawionej królewskiej woli, skłoniła głowę ze zwykłą sobie uległością wszelka opozycja, pochód do Saxonii był rzeczą postanowioną. Nie wdając się, jako w rzecz nie dotyczącą bezpośrednio przedmiotu naszego

opowiadania, w opisywanie szczegółów pochodu Szwedów z Wielkopolski do Saxonii, z Sieradza, Błaszek, przez Kalisz, Ołobok, Zduny, Rawicz aż do pierwszej przystani saskiej w Krummelse, dość powiedzieć, że armia szwedzka znalazła się na klasycznym gruncie dziedzicznego Augustowego kraju dnia 1 Września. Ważniejszą natomiast dla naszego przedmiotu rzeczą rozpatrzyć się szczegółowo w warunkach obrony, w jakich król szwedzki przenosząc się z główną armią do Saxonii, dzielnicę Wielkopolską, główną warownią i kolebkę królewskości Leszczyńskiego pozostawił. Co się tyczy nasamprzód stolicy, Poznania samego, znajdowało się miasto w stanie należytej obrony, oszańcowane, opalisadowane tam, gdzie stary i poszczerbiony od czasu ostatniego oblężenia mur nie domagał. W samym mieście pozostał na załodze pułk piechoty szwedzkiej, zostający od Lutego 1706, po śmierci pułkownika Liliehoeka pod Wschową, pod dowództwem następcy jego, pułkownika Funcka. Województwo poznańskie i kaliskie przebiegali naówczas wzdłuż i wszerz Śmigielski i Mikołaj Świnarski, niepokoił oddziały szwedzkie furajujące, począwszy od Poznania i Kalisza aż do granicy brandenburgskiej, Torunia i Brodnicy. Wychodząc z główną siłą do Saxonii, wyciągając mianowicie Renskiölda z jego tradycyjnej dzielnicy wielkopolskiej, trzeba było pozostawić przeciw dostateczną siłę ku ubezpieczeniu kraju. Zadanie to powierzył Karol dzielnemu generałowi Mardefeldowi, wale-

cznemu obrońcy Poznania podczas oblężenia Patkulowego, obeznanemu nie mniej dobrze od Renskiölda z krajem i widownią wojny wielkopolską. Siły pozostawione mu do obrony Wielkopolski przeciw jakiemubądź zamachowi nieprzyjaciela, były następujące: skanijski pułk jazdy pod dowództwem pułkownika Gustawa Horna; trzy pułki niemieckich dragonów pod dowództwem generała-majora Krasausa i dwóch pułkowników Marschalcka i Mullera; trzy pułki niemieckiej piechoty: pomorski pod dowództwem pułkownika Karola Horna, bawarski pod dowództwem pułkownika Görtza wraz z dwoma batalionami Szwajcarów i Francuzów, którzy w bitwie pod Wschową dostali się do niewoli a potem w służbę szwedzką przeszli. Dowodził nimi początkowo pułkownik Joycuse, Francuz. Po jego zgonie w bitwie pod Wschową dostali się pod komendę szwedzkiego pułkownika Jana Funcka. Polskie chorągwie znajdowały się pod dowództwem Józefa Potockiego wojewody kijowskiego i Jana Sapiehy starosty bobrujskiego. Konne pułki szwedzkie liczyły po 1000, piechotne po 1200 ludzi; do każdego pułku piechoty były przydzielone cztery działa. Cała *szwedzka* siła Mardefelda tedy, nie licząc do 10,000 ludzi mniej lub więcej regularnych chorągwi polskich Potockiego i Sapiehy, wynosiła 8—9000 ludzi i 16 dział. Na główną kwaterę po wymarszu Karola do Saxonii, obrał sobie Mardefeld z powodu jego centralnego na teatrze wojny położenia miasto Kalisz.

Rzecz naturalna, że powoli, pomimo kulawych ówczesnych środków komunikacyjnych, wiadomość o tym nagłym i niespodzianym obrocie rzeczy na głównym teatrze wojny, nie omieszkała dostać się na pustkowie litewskie, do obozu Augustowego pod Nowogrodek i wywołać alarmujących, gorączkowych wrażeń. Co rzecz najgorsza a zarazem najciekawsza i najcharakterystyczniejsza, staje się od pierwszej niemal chwili swego nadejścia, wiadomość o marszu króla szwedzkiego do Saxonii, początkiem nowój, przedłużającej się teraz na kilka miesięcy, nie nowój zresztą w politycznej i wojennej akcji króla Augusta dwulicowości. Króla Augusta nużyła wojna oddawna, tém więcej, że tęsknił za hrabiną Kosel, za rozkoszami saskiego pobytu, że równocześnie nie zbywało mu na doradcach pokoju w najbliższém otoczeniu, do których w pierwszym rzędzie zaliczmy w marszałka Pflugka. W jesieni r. 1704 pozwolił się prawie umyślnie wygonić Szwedom z Warszawy i z Polski, byle ułatwić tylko zawarcie partykularnego pokoju z królem szwedzkim. W roku następnym toczyły się w najgłębszej tajemnicy podobne układy między królem Augustem i Karolem XII za pośrednictwem zwolnionego z klauzury jeńca Augustowego, Arweda Horna. Pierwszej przyczyny nieubłaganej wojny, jaka się wywiązała między tajną radą Augustową a nieszczęsnym Patkulem, w *tej* właśnie intrydze szukać należy. I teraz, w roku 1706, dość było Karolowi potracić

przez pochód do Saxonii o czułą strunę Augusta, by wywołać z jego strony podobneż usiłowania o zawarcie partykularnego pokoju, tém ostrożniejsze przecież, tém głębszej wymagające tajemnicy, że otoczenie Augusta polskie i bliskość Carskich wojsk były żywym w podobnym położeniu rzeczy niebezpieczeństwem. Przekonywają nas późniejsze oświadczenia podkanclerzego koronnego Jana Szembeka, późniejsze, nie zadające sobie wcale przymusu epitety dawane Augustowi przez cara Piotra w depeszach do dworu wiedeńskiego, z jakim oburzeniem polscy zwolennicy sprawy Augusta, spoglądali na porzucenie Polski przezeń, jakim okiem Car patrzył na późniejszy fakt zawarcia partykularnego pokoju. Nic więc dziwnego, że i w Nowogrodzku rozpoczyna się za odebraniem wiadomości o marszu Karola do Saxonii dwulicowa gra króla Augusta z wszelką ostrożnością. Chęć ocalenia dziedzicznych krajów, naturalnej spiżarni wszelkich zasobów, jakiemi wojnę dotychczas żywił i podtrzymywał, odgrywała tu pierwszą rolę. W dodatku przyszło owo znużenie wojną, która nie przedstawiała żadnych, jak się zdawało, widoków powodzenia. Usposobienie takie i wpływające zeń postanowienia nie byłyby przedstawiały nic zdrożnego moralnie, ani błędnego politycznie, gdyby były natchnęły akcją jawną i uczciwą. Jak już jednakże co dopiero zauważono, wiązał Augusta względem Cara traktat Narewski z roku 1704 i zabraniał mu pokoju partykularnego; równocześnie

nie pozwalał mu wzgląd na Polskę i Polaków, w których otoczeniu się znajdował, podejmować układów, jakich ostatecznym celem mogło być tylko wyrzeczenie się tronu polskiego, poświęcenie swych stronników zemście zwyciężkiego Szweda. Wszystkie te względy razem złożyły się na konieczność pokazywania marsowych intencji i marsowego oblicza Moskwie i Polakom, kiedy równocześnie pod zasłoną tajemnicy rozpoczął pokojową negocyacyą ze Szwedami. Łatwo, jak się zresztą z przebiegu wypadków przekonamy niżej, pojąć, jakie z podobnej dwulicowości wyniknęły następstwa, jak intencye pokojowe paraliżowały akcyą wojenną, jak konieczność odgrywania choćby tylko *komedyi* wojennój, komedyi, która w danej chwili być nią przestawała, była przeszkodą w negocyacyach pokojowych.

Miał August przy boku pośród otoczenia swego w Nowogródku dwie osobistości miernego uzdolnienia, niewątpliwój dla siebie uległosci, istne typy wiernopoddaństwa urzędniczego, na jakich książęcym dworom ówczesnych Niemiec nie zbywało, osobistości, których imiona miały odtąd upamiętnić się tragicznie przedewszystkiem dla siebie samych w dziejach owój epoki. Pierwszą z nich był baron Imhof prezydent kamery, drugą von Pfingsten prywatny referendarz. W tych samych niemal chwilach, kiedy król szwedzki pospiesznemi marszami zbliżał się ku granicy saskiej, pod dniem 16 Sierpnia 1706, wystawił August obu wspomnianym co

dopiero urzędnikom swoim w najgłębszej tajemnicy pełnomocnictwo bardzo daleko sięgające ku bezwłocznemu podjęciu rokowań o pokój ze Szwedami. Nie wdając się w subtelne, czynione przez nas dawniej i gdzieindziej poszukiwania, o ile obaj pełnomocnicy przekroczyli swą kompetencją przez zawarcie późniejszego pokoju Altranstadzkiego, dość powiedzieć, że datowane z Nowogrodka pełnomocnictwo Augustowe mówiło wyraźnie, „iż król wszystko, co jego reprezentanci razem lub z osobna uczynią, postanowią i rozporządzą, bez żadnego zastrzeżenia za dobre uzna i dotrzyma a w uroczystej formie zatwierdzi.“ Nie dość na tém, zaopatrzył ich król August w list błagalny i pełen pokory do króla szwedzkiego z prośbą o pokój.

Obaj pełnomocnicy wybrali się natychmiast w drogę i stanęli, jak na ówczesne środki komunikacyjną z niesłychaną szybkością, już dnia 10 Września w obozie szwedzkim na ziemi saskiej pod miastem Bischoffswerda. Nie wdając się znów w opowiadanie obojętnych dla naszego głównego przedmiotu szczegółów podjętych rokowań, dość powiedzieć, że ze względu na chwilowe położenie Augusta toczyły się za wspólną zgodą w najgłębszej tajemnicy, że rezultat ich miał pozostać na tymczasem również tajnym, że się skończyły dnia 24 Września podpisaniem znanego traktatu w Altranstädt i rezygnacją Augusta z korony polskiej. Naturalnie nie ist-

niały wszystkie te okoliczności i względy dla polskiego otoczenia i carskich sprzymierzeńców króla Augusta, którzy nalegali nań, by korzystał co prędzej z oddalenia króla szwedzkiego i rozpoczął akcją w Polsce. Istotnie, jeżeli kiedy, to w obecnej znów chwili, dla wszystkich, co nie wiedzieli o dyplomatyczno-politycznej akcji Augusta w celu zawarcia pokoju, przedstawiała się nader racjonalnie sposobność energicznego podjęcia *wojennéj* z najprawdopodobniej pożądanym skutkiem. Karol mnożąc szereg szalonych wybryków popełnianych w ciągu długiej téj wojny przeciw wszelkiej racji strategicznej i politycznej, odskoczył do Saxonii. Wywrócić pozostałego w Wielkopolsce Mardefelda, stać się zupełnym panem Polski, zajrzeć następnie w oczy pozbawionemu podstawy operacyjnej królowi szwedzkiemu ogromną przewagą liczebną sił własnych i posiłków carskich, nie zdawało się rzeczą zbyt trudną, jak to zresztą bliska przyszłość dowodnie stwierdzić miała. Nie inne też racje otoczenia polskiego, nie wiedzącego nic o rozpoczętych układach pokojowych, skłoniły nareszcie mocno zakłopotanego swą fałszywą rolą Augusta, do porzucenia wygodnego Nowogrodzkiego legowiska. Skoncentrowawszy powoli swe siły, wyruszył w połowie miesiąca Września z Litwy tym samym nieledwie szlakiem, którym tamże przyszedł, ku Wołyniowi, w widocznym zamiarze zbliżenia się do posił-

ków carskich: jazdy składającej się z Kozaków, Kałmuków, dragonii i 62 batalionów piechoty pod dowództwem kniazia Alexandra Mężykowa zajmującego naówczas Dubno. Pod koniec miesiąca Września zaszedł król August z całą swą siłą w okolice Lublina. Główna jego kwatera była w tém mieście, widzimy go przecież w częstych wycieczkach po okolicy. Niechaj nam pod tym względem będzie wolno przytoczyć dwie obozowe korespondencye, wyprawione, jak zwykle do tajnej rady w Dreźnie, nie potrącające ani słowem o kwestyą układów pokojowych, rzucające nadto światło na ówczesne plany wojenne króla Augusta. Pierwsza, datowana z miasteczka Jakubowic, dnia 30 Września 1706, brzmi następnie: „Gdy wczoraj przybył tutaj do Jego Królewskiej Mości książę Alexander (Mężykow) wraz ze swoją małżonką i innemi damami, odbędzie pomieniona Mość Królewska dzisiaj przegląd przyprowadzonych przezeń wojsk, które się składają z 10,000 koni kawaleryi, mianowicie 6000 ludzi Kałmuków, 4000 ludzi Kozaków i 62 batalionów piechoty. Połączy się z nimi a jutro wyruszy tu ztąd i będzie się starał przeprowadzić przez Wisłę.“

Drugi list datowany z Opola, dnia 3 Października 1706 był następnego brzmienia: „Dnia 1. b. m. wyruszyła J. K. Mość z Lublina, dzisiaj przybyła do Opola o milę od Piotrowina. Jutro jest Jój zamiarem przeprowadzić się pod Kaźmie-

rzem przez Wisłę. Moskale przeprawiają się nieco wyżej rzeki po lewej stronie, wojsko koronne niżej. Chorągwie polskie partyi przeciwnéj biegną po kraju z tamtéj strony Wisły. Dwa dni temu uprowadziły też dwie chorągwie kasztelana Połanieckiego konie nasze pod Piotrowinem.“ Oba te krótkie listy z ostatnich dni Września, pierwszych Października, w chwilach właśnie, kiedy traktat pokoju w Saxonii był już podpisany a pełnomocnicy sascy wracali po ratyfikacyą królewską, rzucają charakterystyczne światło na akcyą wojenną w Polsce. Piechota rosyjska pozostała tymczasowo w Lubelskiem. Cała licząca 10,000 koni jazda rosyjska za to, wojsko koronne pod dowództwem w. hetmana koronnego Sieniawskiego, hetmana polnego koronnego Stanisława Rzewuskiego, jazda saska pod kommandą generała Brandta, siła stanowiąca razem przeszło 30,000 ludzi, ciągnie na czele z targanym wewnątrz w przeciwne strony królem i kniazem Mężykowem ku przeprawie Wisły, by się rozprawić z Mardefeldem. Oba nieprzyjacielskie wojska przegradza Wisła. Na prawym jéj brzegu barwne chorągwie wojska koronnego, czerwona regularna jazda saska, zielona, o białych wyłogach regularna dragonia rosyjska. Obok téj regularnéj, różnonarodowéj siły, Kozacy, nadto tłumy po raz pierwszy zapewne widzianych w polskim kraju Kałmuków na małych koniach, z długimi warkoczami u głowy, z szablą u boku, z dzidami

o płaskich, jak rydliki żelezcami, z podobnemi wreszcie strzałami łuków przewieszonych przez plecy. Mardefeld ze swymi niebieskimi Szwedami zajmuje okolicę Kalisza, Sieradza, Błaszek, Częstochowy; podjazdami zagłąda aż nad Wisłę. Podjazdowy zaś żywioł stanowią po obu stronach *Polacy* niestety. Jeżeli chorągwie wojska koronnego przeprawiają się na lewy brzeg Wisły pod Puławami i Kaźmierzem, łowią im konie z paszy podjazdy polskie strony przeciwniej, kiedy znów Śmigieński niepokoi z daleka tyły Mardefelda. Żywe, smutne uosobienie tragiki ówczesnego położenia Polski.

Po dokonanej przeprawie przez Wisłę, nie mógł naturalnie cel Augustowego pochodu podlegać żadnej wątpliwości. Nieubłagana, uosobiona w dowódcach wojska koronnego i Mężykowie fatalność niosła pogodzonego już skrycie ze Szwedami Augusta ku śmiertelnemu spotkaniu z Mardefeldem. Dnia 15 Października widzimy wojsko koronne pod Sieniawskim w Opocznie, króla Augusta w Piotrkowie, przyjmującego Pfinstena z autentyczną wiadomością o zawartym w Altranstädt pokoju, zdjętego śmiertelną obawą wobec zagrażającego ze Szwedami spotkania. A tymczasem nalegają na usiłującego powstrzymać konflikt, leniącego się umyślnie w marszu króla czy to Sieniawski, czy Rzewuski, czy Mężykow, by pospieszał, by korzystał ze sposobności, by szedł nareszcie odnieść zwycięstwo, któ-

re go na ten raz niechybnie czeka! W tém rozpaczliwém położeniu nie zaniedbywał August tajnych starań, aby grożący zatarg odroczyć, aby walce zejść z drogi. Starania te stanowią równoczesny dowód, jak mało mu w owój chwili postało w myśli protestować przeciw traktatowi zawartemu przez swych pełnomocników, obwiniać ich o przekroczenie danego pełnomocnictwa. Przeciwnie, zaopatrzył, jak nie ulega najmniejszej wątpliwości, powracającego znów z Piotrkowa do Saxonii Pflugstena w list przeznaczony dla Mardefelda a przestrzegający szwedzkiego generała, by groźnej nawale zszedł zawczasu z drogi i cofnął się do Poznania, ponieważ pokój między nim a Karolem zawarty. Czyby Mardefeld téj przestrogi był posłuchał bez upoważnienia ze strony swego króla, pozostaje rzeczą wątpliwą. Natomiast jest rzeczą pewną, że ściągająca nieszczęsnych pełnomocników Augusta bez ich własnej winy fatalność, nie omieszkała i w obecnym przypadku odegrać swój roli. Pflugsten spiesząc z powrotem do Saxonii, powierzył list do Mardefelda rezydentowi szwedzkiemu we Wrocławiu, Beyemu. Ten wyprawił go, gdy już było za późno. Gdy w ten sposób August, Mężykow, Sieniawski i Rzewuski zajmują Piotrków i koncentrują w okolicy tamtejszej swą przeszło trzydziestotysięczną siłę; gdy otoczenie polskie i rossyjskie licząc na swą przewagę wobec Szwedów, nalega coraz to niecierpliwiej na rozpoczęcie

akcyi, gdy król z traktatem pokoju w kieszeni, w chęci oszczędzenia sobie i dziedzicznemu krajowi jeszcze twardszego, niż dotąd, losu, usiłuje przewlekać rzecz i nasęła, jak niżej jeszcze zobaczymy, szwedzkiego generała do wspólki ze swym w. marszałkiem Pflugkiem nieprzestannemi przestrogi, zobaczymy tymczasem, co robił, jakie stanowiska zajmował, jak się gotował na grożące niebezpieczeństwo, Mardefeld.

Od chwili wymarszu Karola do Saxonii ruszył, jak już powiedziano, z główną swą siłą w okolice Kalisza i obrał sobie w tém mieście główną kwaterę. Potrzeba zaopatrywania swęj poważnej liczbą siły w żywność i furaz, zmuszała go przez cały niemal miesiąc Wrzesień do marszów po województwie sieradzkiem i ziemi Wieluńskiej, do częstych podjazdów odbywanych głównie przez tak zwane chorągwie wołoskie i Polaków z wojska wojewody kijowskiego. W połowie Września widzimy Mardefelda we Wieluniu wraz z wojewodą kijowskim i całym jego taborem. Tu ztąd porozsęłał w promieniach liczne podjazdy, podpułkownika Gyllenstierna w 250 koni ku Piotrkowu, majora Oppenbuscha w 160 koni ku Częstochowie, nadto oddziały tak zwanych Wołochów ku Krakowu. Wojewoda kijowski stanowił przednią straż Mardefelda i zajmował Widawę. Około 10 Października doszły do wszystkich rozęslanych w różne strony podjazdów szwedzkich jednogodnie brzmiące wiadomości o zbli-

żaniu się nieprzyjaciela. W skutek tego pościągał podjazdy do głównej siły, wyprawił kuryerów z doniesieniem o tem, co się dzieje w Polsce do króla szwedzkiego, sam posunął się dnia 12 Października z Wielunia do Brzeżnicy, dnia następnego do wsi Kalinowy o milę od Warty. Tutaj to doszła go dnia 14 Października przez wysłanego na rekonesans kapitana Brackenhelma wiadomość, że przednia straż siły nieprzyjacielskiej spotkała się z chorągwiami polskimi wojewody kijowskiego pod Widawą i że walka trwała bez stanowczego rezultatu przez blisko trzy godziny. Za odebraniem téj wiadomości złożył Mardefeld w Kalinowej radę wojenną, która, jak zwykle w krytycznych razach, była burzliwa, sprzeczna i nie doprowadziła do żadnego pożądanego rezultatu. Generał-major Krassau był za marszem całej siły szwedzkiej w pomoc Potockiemu. Wszyscy inni officerowie korpusu z wyjątkiem jedyne pułkownika Mullera, byli natomiast zdania, że nie należy narażać szczupłej siły szwedzkiej na spotkanie z ogromną przewagą nieprzyjacielską. Czy nie w tem postanowieniu może rady wojennej należy szukać nieporozumienia, jakie panowało odtąd między Mardefeldem i Potockim a które niekiedy objawiało się w głośnych sprzeczkach i wzajemnych wymówkach? Ostatecznie zmieniono w ciągu marszu uchwałę rady wojennej, postanowiono bardzo rozsądnie odesłać piechotę wraz z bagażami do Poznania a jazdę wyprawić do Sieradza

Potockiemu na pomoc. I to postanowienie przecież nie zdołało doczekać się wykonania, co niechaj będzie tylko dowodem rozprężenia i kłopotu zaczynającego wobec zagrażającego z nieprzyjacielską przemocą spotkania, ogarniać obóz szwedzki.

Za przybyciem do Charlupi, dnia 16 Października, odebrał Mardefeld wiadomość, że ustępujący z pod Widawy Potocki znajduje się tylko w oddaleniu pół mili. Wkrótce nastąpiło spotkanie między dowódcami wojsk sprzymierzonych. Nasamprzód pomaszzerowano razem do Błaszek, w zamiarze zatrzymania się tamże przez niejaki czas na miejscu. Tutaj jednakże odbyła się dnia 18 Października nowa rada wojenna. Rzecz zastanowienia godna, że Polacy po obu stronach byli w owęj chwili żywołem pospieszającym i przynaglającym podjęcie akcji. Widzieliśmy ich już w tej roli w obozie Augustowym, widzimy ich teraz w tym samym charakterze w obozie Mardefelda. Głównymi w obozie szwedzkim osobistościami polskimi byli Józef Potocki wojewoda kijowski, dobry znajomy, przyjaciel i sąsiad w posiadłościach swych czerwonoruskich znajdującego się w obozie Augustowym, nadciągającego przeciw niemu hetmana Sieniawskiego; dalej trzej Sapiehowie Jan Kazimierz, w. hetman litewski, Jan starosta bobrujski i Jerzy wojewoda trocki; następnie Michał Potocki pisarz polny koronny, Jerzy Dominik Lubomirski podkomorzy, Jerzy Lubomirski oboźny koronny; dalej pułkownik Andrzej Skórzewski i Jan

Grudziński, dowódzcy chorągwi pospolitego ruszenia województw kaliskiego i Poznańskiego. Dowódcy polscy w obozie szwedzkim wybrali się dostatnio i dworno. Towarzyszyły w tej zbrojnej wędrówce mężom wojewodzina kijowska z córką Zofią i małżonka Michała Potockiego pisarza polnego koronnego. Wynieśli oni, mianowicie wojewoda kijowski, z dotychczasowych utarczek słabe wyobrażenie o wojskowej wartości nadciągającego nieprzyjaciela, mieli jak najlepszą otuchę zwycięstwa. Przedewszystkiem zdawał im się ręczyć za jego odniesienie fakt, że piechota rossyjska nie wydażyła za resztą siły a że w obozie Augustowym znajdowała się przeważnie tylko jazda. Przedstawienia Potockiego i Grudzińskiego starosty rawskiego zdołały skłonić Mardefelda do zaniechania pochodu ku Poznaniowi. Zapadło w obozie szwedzkim postanowienie zatrzymać się na tymczasem w Opatówku i czekać nieprzyjaciela. Polscy dowódcy ręczyli za waleczność własną i swego żołnierza; dziwna fatalność pchała do krwawego spotkania, którego wśród danych okoliczności obie, głównie interessowane strony nadaremno uniknąć pragnęły! Na dowodach tego nie miało zabraknąć w ostatnich owych, krytycznych chwilach. Właśnie podczas obozowania Szwedów w Opatówku, dnia 21 Października, pojawił się u nich forpoczt trębacz saski, przywożący list do Mardefelda od w. marszałka Augustowego Pflugka z Piotrkowa. W liście tym prosił Pflugk szwedzkiego generała

niby to o uwolnienie swego kamerdynera, który się dostał do niewoli pod Warszawą. Skoro jednakże wojewoda kijowski wyszedł a kuryer saski znalazł się w cztery oczy z Mardefeldem, wydobyl drugi list, w którym Pflugk donosił bez ogródki Szwedowi, że zawieszenie broni w Saxonii między obu królami zawarte, że król August pragnąłby je rozciągnąć na Polskę a że się spodziewa, iż mu Mardefeld w tym względzie będzie pomocnym i usunie się z drogi. Mardefeld znalazł się w skutek tego w nader trudnem położeniu.

Nie odebrawszy żadnej wiadomości, ani żadnej instrukcyi od swego króla, nie chciał i nie mógł szwedzki generał wierzyć doniesieniu przychodzącemu z nieprzyjacielskiej strony. Równocześnie nalegali o stoczenie bitwy Polacy, którym Mardefeld zwierzyć się nie chciał. Doniesienie Pflugka wpłynęło nań przeciw do tyła, iż porzucił swe stanowisko pod Opatówkiem i cofnął się do Kalisza. Był to, jak się zdaje, pierwszy krok ustąpienia z drogi nadciągającej nawałnicy nieprzyjacielskiej, tém prawdopodobniej, że Mardefeld chciał równocześnie wyprawić Polaków ku rzece Warcie i zapobiedz w ten sposób zwarciu się ich z Augustową siłą. Żadny jednakże spotkania w nadziei odniesienia pewnego zwycięstwa Potocki oparł się podobnemu zamiarowi Mardefelda. Było to dnia 23 Października. Cała siła szwedzka włącznie Polaków Potockiego i Sapiehów, przeprawiła się w mieście na lewy brzeg

Prosny i rozłożyła się tamże na stanowiskach, w których rozpatrzymy się jeszcze dokładniej. Zauważymy tyle tylko, iż ze względu na okoliczność, iż przewagę armii Augustowej stanowiła głównie kawalerya, między którą dużo nieregularnej, jak Kałmucy i Kozacy, bezpieczniej było bronić się w samym mieście Kaliszu, aniżeli wyprowadzić całą swą siłę na gołe pole, gdzie nieprzyjaciel od razu stawał się niebezpiecznym.

Na tych wzajemnych przygotowaniach czy lepiej powiedziawszy wachaniach, przeminęły dni 23 i 24 Października. Przybył tymczasem do obozu szwedzkiego od Karola XII. szlachcic polski, którego historycy szwedzcy Adlerfeld i Nordberg nazywają *Morawickim* a z którego osobą i nazwiskiem w *naszych* źródłach się nie spotykamy. Wysłaniec ten wiózł do Mardefelda list, w którym król szwedzki zawiadomił swego generała, „iż uczyniłby dobrze, gdyby się cofnął.“ Było już jednakże zapóźno. Dnia 26 Października znajdowała się cała siła Augustowa w miasteczku Stawie, o milę od Kalisza; od strony Poznania nadciągał z chorągwiami pospolitego ruszenia i dragonią saską Śmigielski. Szwedzi znajdowali się już w matni nieprzyjacielskiej. Wypuścić ich z niej można chyba było, zrzucając zupełnie maskę, odsłaniając całą prawdę, oznajmiając, że pokój między obu królami zawarty, że nie ma o co nadal walczyć. Odślonienie podobnej tajemnicy groziło przecież Augustowi ze względu na otoczenie,

w jakim się znajdował, strasznym niebezpieczeństwem. Król nie wahał się dla własnej wygody poświęcić los i życie tysięcy walecznego żołnierza; zagrała w nim nadto, być może, w owej ostatniej chwili, chęć walki wobec pewnego prawie zwycięstwa. Wobec niemożności odwrotu Mardefelda, stawała się bitwa nieuchronną, jakkolwiek i teraz jeszcze nie zbywało na ponownych przestrożach ze strony Augusta i Pflugka. Wojewoda kijowski pragnął dnia 26 Października zaczepić nieprzyjaciela znajdującego się w Stawie; Mardefeld przyjął podobną propozycją Potockiego cierpko i z niechęcią, ponieważ uważał za rzecz odpowiedniejszą swym siłom i stanowisku trzymać się obronnie.

Przyszło z tego powodu między obu dowódcami, szwedzkim i polskim, do ostrzej wymiany słów, wśród której Mardefeld zarzucał Potockiemu, iż więcej obiecuje, aniżeli dotrzymać w stanie. Pomimo tego ruszył Potocki dnia 27 Października ku nieprzyjacielowi, powrócił jednakże do obozu, nic nie sprawiwszy. Bezplodny ten rekonesans, gdyż trudno nam inaczej tę wycieczkę wojewody kijowskiego nazwać, stał się powodem wyraźnej już na ten raz kłótni między nim a Mardefeldem. Szwedzki generał począł wyrzucać wojewodzie fanfaronadę i grozić, że go zupełnie odstąpi, jeżeli nie będzie pełnił lepiej swego obowiązku. Podczas tego zajścia między obu dowódcami, nadjechał z obozu Augustowego nowy trębacz saski

z dwoma listami do Mardefelda od wielkiego marszałka saskiego Pflugka. Pierwszy nosił datę 21, drugi 27 Października. W obu zaklinał dygnitarz saski szwedzkiego generała imieniem swego króla, aby się cofnął ku Nowemu Miastu, następnie ku Poznaniowi, że mu król August zostawia do wykonania odwrotu 48 godzin czasu. Wszystko nadaremno. Na ten raz przyszła na szwedzkiego generała kolej buty i hardości. Dał odpowiedź, „że nie ma wcale potrzeby zasięgać rady od nieprzyjaciela“ i pozostał na miejscu. Ostatnie to między obu stronami parlamentowanie miało miejsce 27 Października, tak, że dnia następnego należało się na pewne spodziewać spotkania. Pomimo tego przeminął dzień ten spokojnie. August powstrzymywał się jeszcze z zaczepką w nadziei, że się Mardefeld w ostatniej chwili namyśli i rozpocznie odwrot. Oczekiwanie to okazało się jednakże płonném.

Czas teraz rozpatrzeć się w składzie, sile, charakterze wojskowym, liczbie obustronnych wojsk; po widowni, na jakiej się pamiętna ta walka miała stoczyć, w stanowiskach, jakie walczące wojska zajmowały. Zacznijmy tę lustracyą od obozu Augustowego. Stanowiły go, jak nam już wiadomo, posiłkowe wojska Carskie pod dowództwem kniazia Alexandra Mężykowa, Polacy i Sasi. Siły Carskiego wojska składały się przeważnie z jazdy, z regularnych dragonów, nieregularnych Kałmuków i Kozaków pod bezpośrednią komendą gene-

rałów Rönneho, Bauera, Pflugka. Co się tyczy Sasów, składających się z dragonii i piechoty, pozostawali pod dowództwem świetnego pod każdym względem żołnierza, jakim był generał Brandt, nadto generałów Kospotha, Rolanda, Schulenburga, Brandensteina, Plötza, Milkaua. Obok czerwonych Sasów, zielono z białymi wyłogami umundurowanych, regularnych wojsk Carskich, stanęły na ten raz w zasobnej liczbie przy Augustacie czy to chorągwie polskie pospolitego ruszenia, czy kwarciani wojska koronnego. Na czele ich znajdował się Adam Sieniawski świeżo mianowany hetmanem w. koronnym z ramienia Augustowego, dotknięty przed kilku tygodniami osobiście przez króla szwedzkiego pożogą swęj wspaniałęj puławskiej włóci, składający wymowny dowód swęj wypróbowanęj dla Augustowęj sprawy wierności przez ogłoszony świeżo z Opoczna pod dniem 14 Października, uroczysty do Rzeczypospolitęj uniwersał. Obok niego widzimy na czele wojsk polskich Stanisława Rzewuskiego hetmana polnego koronnego, księcia Janusza Wiśniowieckiego wojewodę krakowskiego, kasztelana kijowskiego wypróbowanego w partyzanckich bojach Felicjana Czermińskiego, Stanisława Denhoffa miecznika koronnego, marszałka konfederacyi sandomierskięj, dowódców chorągwi Dorpowskiego, Rybińskiego, Cięńskiego, Zahorowskiego, Adama Tarłę wojewodę lubelskiego, Brzuchowskiego, Olizara starostę Bełzkiego, Kalinowskiego, Granowskiego. Do-

dajmy jeszcze, że po za obrębem bezpośrednim tej poważnej, zostającej pod wspólną komendą siły, krążył około obu mających się spotkać z sobą armii Adam Śmigieński starosta gnieźnieński, z 12 chorągwiami pospolitego ruszenia wielkopolskiego i dwoma pułkami regularnej dragonii saskiej. Chwilowo znajdował się w stronie północno-zachodniej Kalisza, w pochodzie od Poznania. Nic trudniejszego, jak ze sprzecznych z sobą, rozmaitych podań stwierdzić choćby w przybliżeniu tylko istotną liczebną siłę obu armii. Siły Szwedów i siły Sasów dałyby się jeszcze obliczyć, ponieważ wiadoma liczba pułków jazdy i piechoty po obu stronach. Natomiast staje się podobne obliczenie rzeczą niewykonalną co do wojsk polskich i carskich. I tak podaje Adlerfeld ogólną siłę Augustową na 31,000 ludzi; Nordberg siłę samych tylko wojsk carskich na dwadzieścia kilka tysięcy ludzi; Fassman biograf Augusta liczbę tychże samych wojsk na 36,000. Przesłane pod świeżem wrażeniem stoczonej bitwy z Leszna do Drezna, znajdujące się w archiwum drezdeńskim sprawozdanie mówi o 60-tysięcznej sile wojska królewskiego. Najściślejszy liczebny obrachunek sił Augustowych a zarazem najwiarogodniejszy znajdujemy w zapiskach Zawiszy wojewody Mińskiego. Według jego świadectwa, „miał August Moskwy z Mężykowem 16000 wszystko jazdy; Sasów 6000; konnego wojska z dywizją Śmigieńskiego i Rybińskiego 10,000; Kozaków

i Kałmuków 6000, razem 38,000 ludzi.“ Mniejsze różnice widzimy w obliczeniu siły przeciwnej. Według Zawiszy „z Mardefeldem generałem szwedzkim było 4000 Szwedów, koronnej milicyi 6000, litewskiej 3000, razem 13000.“ Adlerfeld oblicza także tylko na 4000 ludzi siłę samychże Szwedów; sprawozdanie w *Listach Żaluskiego* liczy ich 7000, rapport datowany z Leszna, znajdujący się w archiwum drezdeńskim mówi o 8000 Szwedów, resztę miały stanowić dywizye polskie Potockich i Lubomirskich, litewskie Sapiehów, wreszcie chorągwie pospolitego ruszenia, czy to Skórczewskiego, czy Jana Grudzińskiego. Najniżej podają powołane przez nas źródła cyfrę sił szwedzkopolskich na 13,000, najwyżej na 23,000 ludzi. Cokolwiekbądź, były one o połowę słabszemi od armii Augustowej. Z obu stron przecież, mianowicie ze strony Augustowej, wystąpiły tu siły, jakich żadna z dotychczasowych bitew téj wojny nie wskazuje. Przez dziwną igraszkę losu wysiliły się obie strony na to spotkanie, które miało być tylko krwawą komedią. Aktorami w niej dobrej wiary byli po obu stronach licznie, jak nigdy dotąd, reprezentowani Polacy. W obozie kaliskim Mardefelda mieszały się niebieskie mundury szwedzkie z różnobarwnemi, hussarskiemi, pancernemi, pospolitego ruszenia wreszcie chorągwiemi polskimi. Po stronie dowództwa szwedzkiego widzimy generałów Mardefelda i Krassaua, nadto dzielnych, wypróbowanych w poprzednich bojach

pułkowników jazdy trzech Hornów, Mullera i Marschalcka.

Co się tyczy Polaków, znamy już z powyższego opowiadania skład ich dowództwa: Józef Potocki wojewoda kijowski z żoną i córką Zofią, rozwożącemi baryłki z prochem po obozie i dodającemi żołnierzom otuchy; Michał Potocki pisarz polny koronny również z żoną, trzech Sapiehów z Nestorem rodu Janem wojewodą wileńskim na czele; dwóch Lubomirskich, oboźny i podkomorzy koronni; Andrzej Skórzewski dowódzca wielkopolskich chorągwi, Jan Grudziński starosta Rawski. Jak ztąd widzimy, pierwsza to w ciągu téj nieszczęsnej wojny bitwa, w której po obu przeciwnych sobie stronach stanęły do spotkania bratobójczej walki niezwykle licznie najświetniejsze imiona i najświetniejsze dygnitarstwa Polski. Dodajmy jeszcze, że jeżeli w obozie szwedzkim nie było szczególnej ochoty walki, być może, iż w skutek odebranych od Augusta i króla szwedzkiego równocześnie przestrogi, Polacy właśnie nie wiedząc, co się po za ich plecami stało, nalegali nieprzestannie na stoczenie bitwy, zaręczali Mardefeldowi, że spełnią swój żołnierski obowiązek. Dnia 27 Października posunęła się cała Augustowa siła od Stawu ku Kaliszowi; dzień 28 przeminął spokojnie, jakkolwiek z wież Kalisza i ze wzgórz w pobliżu miasta Mardefeld mógł się przekonać naocznie o ogromnej przewadze nadciągającego zewsząd nieprzyjaciela, o matni, jaką mu gotuje.

Przypatrzmy się teraz widowni boju i rozkładowi obustronnych sił. Rzut oka na nią wytłumaczy nam od razu łatwy do obliczenia rezultat mającego nastąpić spotkania.

Jak już wiadomo, zajmowali Szwedzi miasto Kalisz. Opuściwszy je, zostawili tu tylko bagaże i małą załogę. Główną siłę wyprowadził Mardefeld za miasto na lewy brzeg Proсны i zajął między wsiami Dobrcem a Kościelną Wsią mocną, jak mu się zdawało, pozycją, opartą po obu skrzydłach o moczary, na prawém skrzydle za Kościelną Wsią dodatkowo jeszcze o las. Frontem stanęła siła szwedzka ku stronie północno-zachodniej, tyłem do miasta. Tuż pod miastem, na lewym brzegu Proсны, ustawił Potocki według dawnego obyczaju wojennego polskiego tabor zamknięty czworobokiem spojonych z sobą łańcuchami wozów. We wnętrzu taboru znajdowała się amunicja i sprzęt obozowy. Schroniły się tam także wojewodzina kijowska z córką i pisarzowa polna koronna. Lewe skrzydło pod wsią Dobrcem, tworzyły w trzech, jedna za drugą ustawionych liniach chorągwie litewskie pod dowództwem pisarza polnego koronnego Michała Potockiego, Jana Sapięhy wojewody wileńskiego i Jana Sapięhy starosty bobrujskiego. Środek stanowili w dwóch takichże liniach, piechota na przemian z dragonami, Szwedzi pod komendą samegoż Mardefelda, Krassaua, pułkowników Müllera, Marschalcka i trzech Hornów. Prawe wreszcie skrzydło w trzech liniach

stanowiły chorągwie polskie pod dowództwem Józefa Potockiego wojewody kijowskiego i dwóch Lubomirskich, Alexandra kuchmistrza i Jerzego oboźnego koronnego. Prawe to skrzydło opierało się o moczary i las pod Kościelną Wsią. Dwudniową przez 28 i 29 Października bezczynność Mardefelda można sobie chyba tylko wytłumaczyć rachubą, że go nieprzyjaciół ostatecznie nie zaczepi. Inaczej trudno bowiem pojąć, jak mógł z założonemi rękoma, patrząc z wież Kalisza i wyżyn pod miastem na to, co się dzieje w okół, pozwolić na zaciągnięcie się ze wszech stron zgubnej matni, kiedy jeszcze śmiały, obcesowo przebijający tę sieć pochód ku Poznaniowi, przedstawiał widoki ocalenia. Mglisty, późno budzący się poranek dnia 29 Października odsłonił niewykonalność podobnie zbawczego kroku. Powyżej miasta za przylegającą niemal do jego przedmieść wsią Tyńcem, przelewała się ciągłym, olbrzymim strumieniem cała siła Augustowa, Sasi pod Chmielnikiem, Moskale pod Stobnem, z prawego na lewy brzeg Proсны. Pod Tyńcem, na prawym brzegu, pozostali tylko Kozacy, Kałmucy i 10000 dragonów, zamykając Szwedom w razie klęski możliwość odwrotu przez miasto w kierunku wschodnim. Przeprowadzona tymczasem na lewy brzeg rzeki siła Augustowa stanęła bez przeszkody ze strony szwedzkiej, do południa, naprzeciw sił Mardefeldowych w szyku, który nieprzyjaciela, dzięki swjej przewadze, szczelnie zamykał.

Naprzeciw Polaków Michała Potockiego i Sapięhy stanęły na prawém skrzydle Augustowém w dwóch liniach chorągwie polskie hetmana polnego koronnego Stanisława Rzewuskiego; w środku, naprzeciw Szwedów Mardefelda i Krassaua, z rezerwą pięciu szwadronów po za sobą Moskale w czterech liniach pod osobistém dowództwem króla Augusta i kniazia Aleksandra Mężykowa; obok nich Sasi w dwóch liniach pod naczelném dowództwem generała Brandta. Na lewém skrzydle Augustowém stanęli pod dowództwem w. hetmana koronnego Adama Sieniawskiego znów Polacy przeciw Polakom. Z tyłu wreszcie, od lasu za Kościelną Wsią, zagrażał zostającemu pod dowództwem wojewody kijowskiego prawemu skrzydłu szwedzko-polskiemu Adam Śmigielski starosta gnieźnieński z dwunastu chorągwiami polskimi i dwoma pułkami dragonów. W ten sposób znalazła się około południa armia szwedzko-polska w kleszczach ogromnej, przemagającej siły. Polacy naprzeciw Polaków po obu stronach; niebieskie linie Szwedów naprzeciw czerwonych linii saskich i licznego zastępu carskiego żołnierza w zielonych mundurach z białemi wyłogami; z tyłu za szykiem szwedzkim, za miastem, po prawym brzegu Proсны nieprzeliczony tłum nieregularnych Kozaków i Kałmuków z łukami na plecach, dzidami o dziwacznych ostrzach w ręku. Dodajmy ku uzupełnieniu tego obrazu ów tabor zamknięty wozami między miastem a szykiem szwedzkim, z amunicją,

bagażami, karetami dowódców, paniami polskimi i ich fraucymerem.

Rozpoczęcie boju przewlokło się do południa. Hasło doń dały około godziny czwartej, już wśród zapadającego zmroku, wśród owego przenikającego szeregi przed każdą bitwą ponurego szmeru i wy-czekiwania, trzy wystrzały działowe ze strony Augustowej, na które Szwedzi odpowiedzieli dwoma. Na ten znak rzuciły się szwadrony jazdy szwedzkiej ze zwykłym sobie mężstwem na Sasów i Moskali stanowiących, jak wiadomo, środek szyku Augustowej armii. Prowadził ten atak pułkownik Marschalck. Dzielne to uderzenie stępiło się zrazu o opór, jaki stawili generałowie Kospoth i Sempold na czele królewskiej gwardyi i dragonów saskich. Trzy szwadrony pułkownika Marschalcka zostały ze stratą odparte, zmuszone do odwrotu, gdy w tém, właśnie w najkrytyczniejszej chwili nadbiegł z pułkiem jazdy Skanijskim dzielny pułkownik Gustaw Horn, odparł nie tylko ścigającego nieprzyjaciela, ale nadto, choć trzy razy ranny, puścił się za nim sam w pogoń, rzucił się nabytym prądem na Moskali, przewrócił ich pierwszą linią i wpadł na drugą. Chwila była tak krytyczna, że August uważał bitwę za przegraną a książę Mężykow gotował się już do odwrotu. Jedyne z generałów Augustowych, który głowy nie stracił, był Brandt. Ustępując z wolna i w porządku, nie przestając dawać ognia z dział na zapędzających się coraz dalej ku środkowi armii

nieprzyjacielskiej Szwedów, zatrudnił ich t \acute{e} m sam \acute{e} m i powstrzymał, przez co dał czas obu Augustowym skrzydłom polskim rozprawić się z równie \acute{z} polskimi skrzydłami przeciwn \acute{e} j strony. \acute{Z} alować nale \acute{z} y, \acute{z} e nie ma dot \acute{a} d a \acute{z} e przynajmniej nie udało nam się odszukać \acute{z} adnego, spisane \acute{o} przez jakiegob \acute{a} d \acute{z} z gł \acute{o} wnych uczestnik \acute{o} w t \acute{e} j walki pamie \acute{t} nika, któryby się trudnił obszerniej obustronnym w ni \acute{e} j udziałem *polskim*, któryby odsłonił w ostatniej chwili jej zakulisowe tajemnice, odsłonił, jak nam się t \acute{o} powiodło stwierdzić w przebiegu bitwy Kliszowskiej, skryte sprężyny i czynniki jej ostatecznego rezultatu. Naprzeciw J \acute{o} zefa Potockiego sta \acute{n} ął jego dobry znajomy, niejednokrotnie przyjaciel polityczny, Adam Sieniawski; naprzeciw Litwin \acute{o} w Michała Potockiego i Sapiehy, Stanisław Rzewuski. Nie zapuszczając się w dziedzinę domysłów i zagadek, nie mając na t \acute{o} dostatecznych, autentycznych danych, ograniczmy się na stwierdzeniu fakt \acute{o} w. Gdy jazda szwedzka rzuciła się z wściekłości \acute{a} na srodek Augustowego szyku, gdy przełamała Sas \acute{o} w i Moskali a jedyny Brandt tylko stawiał jeszcze tylko opór, uderzyły polskie chorągwie wojska Augustowego pod Sieniawskim z frontu na wojewodę kijowskiego. Równocześnie, dobrze ju \acute{z} wśr \acute{o} d zmroku, wpadł im na tyły z lasu od Kościelnej Wsi Śmigielski ze swemi chorągwi \acute{a} mi pospolitego ruszenia i dragoni \acute{a} . Cokolwiekb \acute{a} d \acute{z} , nie przypisując nawet szczególnej wiarogodności

sprawozdaniom, szwedzkim Nordberga i Adlerfelda, nader niechętnych Polakom, pozostanie tyle rzeczą pewną, że opór, jaki stawiały chorągwie wojewody kijowskiego był miękki, że nie odpowiadał ani poprzednim zaręczeniom, ani niewątpliwiej wypróbowanej zkadąd przedtém i potém waleczności bojowej dowódcy. Po krótkim starciu z chorągwiami Sieniawskiego i Śmigielskiego, uszły w nieładzie z placu chorągwie wojewody kijowskiego. On sam, z pewną ich częścią, schronił się wśród roztaczającej się nad polem spotkania ciemności do owego zamkniętego wozami pod miastem taboru, w którego wnętrzu znajdowały się bagaże, ranni, żony i dzieci dowódców polskich. Dłużej nieco trwało spotkanie na lewym skrzydle szwedzkim między Rzewuskim a Michałem Potockim, ostatecznie jednakże z tym samym, co na prawém skrzydle rezultatem. Złamani przez przemagającą siłę przeciwnika Litwini pierzchli; wśród ciemności udała im się przeprawa na prawy brzeg Proсны. Ci, których nie zagarnęła rozstawiona pod Tyńcem oblawa kałmucko-kozacka, szukali ocalenia w dalszej ucieczce. Wobec podobnego obrotu bitwy po obu skrzydłach, nie mógł być wątpliwym ostateczny jej rezultat w środku obu armii. Zapędzeni daleko po za Dobrzec i Kościelną Wieś w głąb nieprzyjacielskiego szyku Szwedzi znaleźli się w ciemności ze wszech stron, z przodu, po bokach, z tyłu pochwyceni w kleszcze ogromnej, liczebnej przewagi. Obrona ich była nader

waleczna, ale ostatecznie ulegli przemocy. Jedyne general Krassau zdołał przebić się z częścią jazdy przez otaczający tłum nieprzyjacielski i dostać się nie ścigany i nie napastowany do utwierdzonego Poznania. Mniej szczęśliwym był naczelnie dowodzący Mardefeld. Zbita w jedną zmieszaną masę jazda i piechota szwedzka, z nim samym, z pułkownikami Karolem i Gustawem Hornami, Müllerem, Marschalckiem, wszystko już rannymi, na czele, stawiała otaczającemu tłumowi nieprzyjacielskiemu wśród ciemności bohaterski opór. Nie mogąc go przelamać ani ogniem piechoty, ani atakami kawaleryi, podprowadzono działa i moździerze, zasypywano kulami armatnimi i granatami żelazny zastęp szwedzki. Wobec takiej ostateczności, kazał Mardefeld zatrzeć na odbój i ofiarował się złożyć broń pod jednym tylko warunkiem, że oficerom szwedzkim będą pozostawione konie i wszelka inna własność. Nieprzyjaciel przyjął ten warunek, Mardefeld oddał się w niewolę. Z tą naturalnie chwilą rozstrzygnęło się po trochę więcej, niż dwóch godzinach boju, zwycięstwo stanowczo na rzecz Augusta.

Kiedy waleczna obrona Szwedów skończyła w ten sposób na polach między Dobrcem a Kościelną Wsią; kiedy Mardefelda, rannych pułkowników i niższych oficerów szwedzkich prowadzono do kwatery króla Augusta a żołnierzy pozostawiano Moskalom; kiedy zwycięzcy oddawali się uniesieniom odniesionego tryumfu; kiedy Krassau umykał

z niedobitkami szwedzkiemi ku Poznaniowi a niedobitki litewskie wśród ciemności nocnej, wśród pisku i krzyku rozstawionych gromadnie czat kozackich i kałmuckich, szukały schronienia na prawy brzeg Proсны, miał się rozegrać jeszcze na polu bitwy ostatni jój akt, najdramatyczniejszego może wrażenia. Pozostała w mieście Kaliszu mała załoga szwedzka; co ważniejsza, pozostał w jego pobliżu nietknięty jeszcze dotąd, tylokrotnie wspomniany przez nas tabor, do którego się schronił wraz z niedobitkami wojewoda kijowski. Tak załoga miejska, jak tabor znalazły się po wzięciu Mardefelda i spędzeniu chorągwi polskich szczelnie ze wszech stron zakniętymi, w położeniu nie dopuszczającym ani obrony, ani ucieczki. Wnętrze taboru przedstawiało w tój nocy po bitwie przerażające widowisko; zalegali go zdemoralizowany żołnierz, ranni, bagaże, znajdowały się w nim wojewodzina kijowska z córką Zofią, małżonka pisarza polnego koronnego Potockiego, panie polskie zwyczajne zaiste innych widoków, teraz przerażone gromem nieszczęśliwój bitwy, zdjęte obawą szturm ze strony nieprzyjaciela przedstawiającego się w postaci Kałmuka i Kozaka. Pozostawiając wyobraźni dopełnienie szczegółów tój straszliwój dla zwyciężonych nocy, opowiedzmy dalej, co o jój przebiegu zapisuje sucha kronika historycznej prawdy. W pierwszój chwili chcieli zwycięzcy zagarnąć od razu jednym zamachem tabor i miasto, dokąd powoli nagromadziło się około 600 niedo-

bitków szwedzkich. W tym celu kazał król August zatoczyć działa i rozpoczął ogień na łańcuchy zamykających tabor wozów. Wyszczerbiono w ten sposób wyłom, z którego jednakże noc nie pozwalała korzystać. Wolał więc król August powierzyć aż do rana straż nad zdobyczą, która mu ująć nie mogła, czterem pułkom jazdy saskim, sześciu rossyjskim a tymczasem przepędził noc pod zwycięstwem, zatrutem i zaniepokojonem wobec już zawartego pokoju obawami tego, co za sobą pociągnie, na polu pod namiotem. Nie wiemy, czyby te okoliczności, czyby tym niepokojom może nie przypisać wyszukaną grzeczność, z jaką król przyjmował ustąpionych mu uprzejmie przez kniazia Mężykowską, przyprowadzanych wśród nocy jednego po drugim Mardefelda, Müllera, Hornów i Marschalcka. Król August obchodził się z nimi z wygórowaną uprzejmością, wieszował im waleczność, jakiej co dopiero tak świetne złożyli dowody, kazał chirurgom swym opatrywać ich rany, częstował i krzepił. Dnia następnego pozwolił im za daniem słowa, iż walczyć w tej wojnie przeciw niemu nie będą, odjechać do Wrocławia. Wśród takich zajęć i zatrudnień w Augustowym obozie zajaśniał nareszcie mglisty i wilgotny poranek dnia 30 Października. Razem z nim pojawił się w obozie Augustowym posłaniec od dwóch dam, wojewodziny kijowskiej i pisarzowej koronnej, obu Potockich, z ofiarowaniem poddania i prośbą o opiekę. Poselstwo to obejmowało swą submissyjną ofiarą

samegoż wojewodę kijowskiego, kuchmistrza koronnego Lubomirskiego, pułkownika Andrzeja Skórzewskiego i innych oficerów Stanisławowej strony. Grzeczny, jak zawsze dla dam August, wyprawił do taboru generała Brandta z oświadczeniem przyjęcia *submissyi*, poczem tenże pod eskortą jazdy saskiej w karetach, kazał przewieźć do obozu saskiego polskie panie i wojewodę kijowskiego.

Michał Potocki, pisarz polny, Jerzy Lubomirski, oboźny koronny, stolnik litewski i starosta Bobrujski, obaj Sapiehowie, umknęli szczęśliwie z placu boju i uniknęli niewoli. Pisarz polny ofiarował we dni kilka później Augustowi swą *submissyą*. Niechaj znów dziełem wyobraźni, nie mającej na swe zawołanie historycznego dokumentu, będzie stworzyć sobie obraz spotkania przywiezionych do obozu saskiego jeńców, dam zwłaszcza, z królem Augustem. Niechaj jój dalszém zadaniem będzie uprzytomnić sobie spotkanie dwóch dawnych przyjaciół, wspólnych opiekunów wojującego właśnie przeciw domowi austriackiemu Rakoczego, teraz przeciwników i współzawodników około hetmańskiej buławy, jakimi byli pan na Puławach, Sieniawie, Myszy i Granowie, Adam Sieniawski, pan na Stanisławowie, Zbarażu i Niemirowie, wojewoda kijowski Józef Potocki. Dodajmy do tego zrodzony na tym zakrwawionym i zamglonym gruncie, wśród zgiełku wojennego i nieładu pierwszej chwili zwycięstwa „*amor*“ w sercu podżyłego już dobrze, wychowanego w obozach, szorstkiego w postępo-

waniu i obyczajach bohatera dnia wczorajszego, Adama Śmigielskiego, do wystraszonej, załzawionej, niepewnej o swą przyszłość branki, Zofii, córki wojewody kijowskiego, romans rzeczywistości, wykwitający z pola krwawej bitwy, kończący się melodramatycznie małżeństwem między branką i zwycięzcą a przekonamy się, że ścisła prawda historyczna dostarcza tu aż nazbyt wiele zaciekawiającego, wdzięcznego materiału powieściopisarskiej fantazyi.

Wróćmy do pierwszej. Dostojni jeńcy dostali się pod straż nasamprzód saską, następnie moskiewską; nie odstępowały ich córki i żony. Dość powiedzieć, co już nie należy do bezpośredniego przedmiotu naszego opowiadania, iż w drodze ku niewiadomym przeznaczeniom, które w rok później Siennickiego komendanta twierdzy Bychowa, zawiodły w głąb pustyni środkowej Azji, przyszła wojewodzie kijowskiemu z oswobodzającą odsieczą zrodzona na polu bitwy Kaliskiej do jego córki Zofii miłość.

Co się tyczy prostego żołnierza szwedzkiego, wybrał książę Mężykow i zatrzymał dla siebie przeźornie z pośród niewolników każdego chirurga i każdego rzemieślnika. Resztę darował królowi Augustowi, który zapewne ciągle pod wrażeniem zawartego pokoju i jego naturalnych następstw, jeńców powoli rozpuścił. Straty obustronne były bardzo znaczne. Szwedzi przyznają się tylko do 780 w zabitych i rannych, do 1800 w jeńcach.

Nie wchodzi w to jednakże bardzo znaczne straty chorągwi polskich, z pomiędzy których jeden pułk Andrzeja Skórzewskiego tylko stracił z wyjątkiem dwudziestu, wszystkich swych ludzi; nie wchodzi dalej w podobną rachubę najważniejszy fakt, że bitwa Kaliska obaliła przewagę militarną Szwedów w Polsce i że teraz zależało już tylko od Augusta, jego woli i energii sięgnąć po ostateczne zwycięstwo. Stracili nadto Szwedzi i Polacy dziesięć dział, wszystkie chorągwie, bębny, kotły, 5000 wozów z amunicją, żywnością i sprzętem obozowym. Sasi liczyli 120, Moskale 230, Polacy 100 zabitych, pomiędzy którymi kilku pułkowników i niższych oficerów rosyjskich, pułkownika polskiego Jachowskiego, pułkownika saskiego Gersdorffa. W rachubę tę nie wchodzi ranni, liczni szczególnie w szeregach carskich. Grzeczność zresztą i uprzejmość okazywana Szwedom i dostojnikom polskim wziętym do niewoli, nie rozciągała się na żołnierzy i zwyczajną szlachtę.

„Nazajutrz,“ mówi w swych pamiętnikach Otwinowski, „parolu w niczém nie dotrzymano i owszém *cum summa ignominia gentis, contra jura gentium* poddających się ubezpieczonych parolem dyzarmowano, 40 kilka poważnych chorągwi a potem z rzędów, kulbak i koni obrano, na ostatek z sukien pozdzierano, w koszulach tylko popuszczawszy a tym sposobem król August Sasów swoich dobrym łupem opatrzył.“

„Co przy tém sromotném obdzieraniu plag i szturchańcy po bokach szlachta rodowita polska nabrali od Sasów, każdy się może domysleć. Kto się *sponte* na rozkaz Sasów nie rozbierał, ten z ciężkimi plagami był obnażony.“

Wrażenie bitwy było na całą Wilkopolskę, na stronników Stanisława piorunujące i demoralizujące razem. Mamy list pisany pod wrażeniem pierwszych o niej wiadomości z Leszna do Drezna. Wszyscy byli przerażeni, gotowi poddać się Augustowi; zewsząd nadchodziły doń oświadczenia submissyjne. Stanisławowe miasto Leszno, Rydzyna były pewne, nie bez słuszności, jak się okazało później, iż teraz dotknie ich cały ciężar nieprzyjacielskiej mściwości. Mieszkańcy uciekali tłumnie na Szląsk, pogranicze polskie stawało pustkami. Niepojętym pozostanie błąd i upór Mardefelda w wytrwaniu na Kaliskim stanowisku pomimo wszelkich Augustowych przestróg, gdzie go tylko prędzej czy później czekała niebezpieczna matnia i niezawodna klęska, kiedy odwrót do Poznania stał jeszcze otworem i ręczył za uchronienie bezpieczne siły szwedzkiej przeznaczonej czuwać nad Polską podczas gospodarowania Karola w Saxonii. Zaslugę zaś tego niedobrowolnego po stronie Augustowej zwycięstwa dzielą pomiędzy siebie generał Brandt wytrwałością swego oporu w krytycznej chwili, Śmigielski natarciem na wojewodę kijowskiego i zmuszeniem go do szybkiego odwrotu. Jeżeli w téj smutnej, nie-

zaszczytniej, bratobójczej walce może być mowa „o honorze wojskowym i wojennym,” pozostał takowy po stronie Polaków walczących w obozie Augusta. Czyż on sam za to umiał korzystać z odniesionego w mimowolnie stoczonej bitwie zwycięstwa? Położenie rzeczy stawało się dlań w skutek tego dziwnie korzystnym; po raz pierwszy uśmiechnęła się mu w ciągu téj nieszczęsnej wojny fortuna. Prawda, że w chwili, w której bitwę Kaliską stoczono, traktat pokoju był już podpisany, jakkolwiek jeszcze nie ratyfikowany z obu stron; prawda, że sama bitwa była krwawą komedią. Rezultat jój jednakże był tego rodzaju, iż warto było zeń korzystać, że można było zwycięstwo szeroko wyzyskać, posunąć się pod *Poznań*, wziąć wystraszone i słabą załogą szwedzką obsadzone miasto, zedrzeć z tym większym pozorem słuszności akt ułożony przez Pflingstena i Imhoffa, że go się później wyparł a sprawców jego wiecznym więzieniem ukarał.

Stawszy się panem Polski, oparłszy się na posilkach carskich, mógł August z pewnym spokojem oczekiwać wymarszu Karola z Saxonii, zajrzeć powracającemu ztamtąd w oczy ogromną liczebną przewagą. Na wstyd jego własny, na nieszczęście kraju nic z tego wszystkiego. Zamiast wyzyskać swój tryumf Kaliski na prawdę ku zgnieceniu nieprzyjaciela, ku zakończeniu narreszcie wojny energicznym wysiłkiem, wyzyskuje go August pokaznie i pozornie, chyba tylko ku

podrażnieniu Szweda, do którego potajemnie wyciąga rękę, ku oszukiwaniu kraju i swych sprzymierzeńców. Dnia następnego po bitwie uroczyste, celebrowane przez biskupa Kujawskiego na miejscu spotkania *Te Deum* wśród assystencyi wojska koronnego, salw działowych i dźwięku dzwonów nabożenstwo. Ztamąd idzie król do Warszawy, by święcić tamże w podobny sposób swój Kaliski tryumf, by wydawać uniwersały wzywające do jedności i wierności dla swój osoby w tej samej chwili, kiedy już podpisany przezeń traktat zrzekający się korony polskiej! Przez cały miesiąc odgrywa król wobec najwierniejszych, najoddańszych sobie Polaków, jak prymasa Szembeka, jak brata jego podkanclerzego, oburzającej hipokryzyi komedią. „Wolę Saxonię stracić, niżli korony odstąpić; wolałbym gdybym miał przyjść do tego nieszczęścia w jednym kącie polskim, niżli w saskich umierać delicjach,“ — otóż słowa, jakie z ust Augustowych słyszeli jego stronnicy przez miesiąc po bitwie Kaliskiej w Warszawie. „W wilią św. Andrzeja“ zakomunikował podkanclerzemu Szembekowi, iż „jego ludzie coś pomimo jego woli w Saxonii zrobili“ i że dla tego nazajutrz do Saxonii wyjeżdża. Wyjechał też istotnie; w kilka dni później przeniknęła tajemnica Altranstädtu ku ogólnemu zgorszeniu do Polski. Bitwa Kaliska, która przy zdźble energii i dobrej woli Augusta mogła narreszcie położyć koniec wojnie i dać krajowi upragnione wytchnienie, okazała się niestety tylko

krwawą komedią z rezultatem swym Altranstädzkim, wypadkiem znaczącym tylko nowy epizod w strasznych cierpieniach Polski. Dziwić-że się do zbytku wrażeniu, jakie sprawiła pod względem moralnym, dziwacznym, niepojętym przewrotom, jakie wywołała w dziedzinie politycznej? Ku scharakteryzowaniu ich dość przytoczyć fakt uderzającej jaskrawości a równocześnie zakończyć nim opowiadanie nasze o tym bolesnym naszych dziejów epizodzie. Zachwiani głęboko w swęj dotychczasowej wierze, dotknięci głęboko hipokryzą i obojętnością dla Polski króla Augusta, pojawiają się trzëj różnych obozów bohaterowie bitwy Kaliskiej, w niespełna dwa miesiące po jęj stoczeniu, ale po odebranej wiadomości o traktacie Altranstädzkim: generał Brandt, Adam Śmigielski wraz z oswobodzonym przez się z więzów wojewodą kijowskim, w obozie szwedzkim w Saxonii, by oświadczyć uroczysty swój akces „do króla Stanisława.“ Otóż, cobyśmy nazwali ostatniëm echem, jakie wywołuje na ówczesnej widowni *bitwa Kaliska* dla tego, że na nieszczęście, jak była w chwili swego stoczenia, tak tęż pozostała i po swém stoczeniu krwawą tylko ówczesnej tragedyi polskiej *komedią!*

1.

OBŁĘŻENIE GDAŃSKA

w roku 1734.

Szkic historyczny.

Metropola bałtyckiego handlu stanowi dziejami swemi osobnemi w całości dziejów naszych, nie najmniej świetną tychże stronicę. Powstawszy na gruncie słowiańskim, w kraju pomorskich książąt, jako kolonia handlowa Duńczyków i Niemców razem, wśród których przecież nigdy nie zbywało na żywiole miejscowym słowiańskim, dostała się w początku XIV wieku zdradą i przemocą w ręce wiarołomnego i podstępного zakonu krzyżackiego. Z wszelkiego prawa boskiego i ludzkiego, powinno było miasto Gdańsk po zgonie książąt Mestwina i Świętopelka dostać się Polsce i Władysławowi Łokietkowi. Półtora wieku przyszło Polsce czekać na windykacją postradanęj przynależności a traktat toruński dopiero z roku 1466 połączył Gdańsk i inne miasta pruskie

1

z Polską związkiem, który był rzeczą dobrej woli obu stron, aktem emancypacji Pruss powierzających się ufnie opiece polskiej, aktem Polski podejmującej podobną opiekę. Stosunek wzajemnej dobrej wiary i woli, jak szczytniejszego nie znają dzieje, związek, który w ciągu długich następnych wieków nie zawiódł aż do ostatniej chwili a obu stron pozostanie chwałą. Zdarzały się, prawda, czy to za Zygmunta I z powodów wiary, czy to później za Stefana Batorego z powodu sporów elekcyjnych, czy to jeszcze później za Augusta II z powodu nieporozumień ekonomicznych zatargi, zatargi krwawej nawet natury między Polską a Gdańskiem. Podstawnej i zasadniczej swój wierności dla Rzeczypospolitej nie wyparł się przecież Gdańsk nigdy; przeciwnie, widzimy go często bardzo przechodzącym zwycięzko ciężkie próby, na jakie go związek z Rzeczpospolitą narażał. Stawia czoło inwazji szwedzkiej Gustawa Adolfa za panowania Zygmunta III; opiera się zwycięzko oblężeniu Karola Gustawa i daje przytułek w swych murach Janowi Kazimierzowi. Następnie, w epoce panowania Augusta II, staje się Gdańsk przedmiotem pokusy najrozmaitszych interesów i ambicyi. Szwedzi, Sasi, Brandenburczycy, Car, wszyscy z kolei usiłują na przemian Gdańsk zająć gwałtem lub pozyskać układnością i podstępem. Znajdując potężne plecy w interesie państw morskich, Anglii i Hollandyi, broni się Gdańsk równie zręcznie, jak godnie a tymcza-

sem staje się gością różnych panów polskich, dygnitarzy, obcych dyplomatów, którym zaniewiera wojenna i zwycięzcy z kolei nieprzyjaciele w Polsce bezpiecznie przebywać nie pozwalają. Jeszcze później, około połowy przeszłego stulecia, zapisuje kronika Gdańska, fakt drażliwych nieporozumień między magistratem a ludnością miasta, wśród których polityka prusko-brandenburska odgrywała zakulisową, ale wielce pomimo tego czynną rolę. Pierwszy podział Polski nie narusza politycznego związku między Gdańskiem i Polską a gdy w r. 1793 układ między Rosją a Prusami przyznaje Gdańsk królowi pruskiemu, trzeba generałowi Fryderyka Wilhelma II Raumerowi dwumiesięcznej blokady, nim rozpoczęte w początku Stycznia jej dzieło, pod koniec Marca doprowadzi do pożądanego rezultatu kapitulacji, kiedy równocześnie miasta polskie pospieszają bez oporu otwierać swe bramy Möllendorfum i Trenkom.

Epizod, który opowiedzieć zamierzamy, stanowi według nas jeden z najpiękniejszych ustępów historii Gdańska, tém piękniejszy i szczytniejszy, im *mniej* świetnie i dodatnio przedstawiają się wszystkie *inne* żywioły na współczesnej widowni występujące. Rok 1734 zapisuje w dziejach Gdańska pamiętny po wszystkie czasy fakt wystąpienia jego w obronie Stanisława Leszczyńskiego, więcj, powiedzielibyśmy, w obronie niezależności Rzeczypospolitej. Pomimo, że nie chcielibyśmy się bawić w zbyt długie wstępy, pomimo, że nam

spieszno opowiedzieć pokrótce dzieje ówczesnego oblężenia gdańskiego, pozostaje mimo to potrzebą rozpatrzyć się poprzednio w ogólném położeniu rzeczy, po widowni, na której się ówczesny dramat rozgrywa. Zaczniemy rzecz naszą od *Polski*. Dla *Polski* stał się po śmierci Augusta II wybór Leszczyńskiego bez względu na osobę, której obok wielu przymiotów, do doskonałości bardzo wiele nie dostawało, godłem niezależności na zewnątrz, regeneracyi na wewnątrz. W postawieniu jego kandydatury, w zwycięztwie jej na polu pod Wolą dnia 12 Września 1733, ozwało się poczucie niezależności narodowej, zakiełkowała myśl wewnętrznej reformy, która ukazując się następnie pod rozmaitemi postaciami, która napotykać na drodze swój rozliczne przeszkody, znalazła ostateczny wyraz w dziele sejmu czteroletniego. Nie powiemy zanadto, twierdząc, że przeciwnikom kandydatury a tém więcej królewskości obranego już Leszczyńskiego, należy się słusznie miano odstępców narodowej sprawy.

Na drugim miejscu wypadnie nam przypatrzyć się innemu ówczesnego dramatu aktorowi *Francyi*. Sama wzmianka o niej wywołuje konieczność poświęcenia słów kilku stósunkowi jej do *Polski*, owym „sympatyom francuzko-polskim,” stanowiącym tak ważną część i stronę naszej zagranicznej polityki aż do ostatnich niemal dni naszego istnienia, niezrozumianych i przeinaczanych do szczerne również aż do ostatniej jego chwili. Ze

sympatyi tych zrobiły namiętności i zawiedzione nadzieje *francuzkie* szalbierstwo, łatwowierność *pol-ską*. Optymizm przeciwnie historyoczny doszukiwał się na dnie ich znamion *wspólności* narodowych usposobień i politycznych aspiracyi. Powiedzmy, że jak do takiego pesymizmu, tak i do takiego optymizmu, przeinaczających i zamacających razem historyczną i polityczną prawdę, dołożyli ręki w równej mierze Francuzi i Polacy. Bliższe rozpatrzenie się po widowni, po czynnikach i sprężynach owego psychiczno-politycznego związku między Francją a Polską odsłania przyczyny daleko dotykalszej i realniejszej natury. Dość przypomnieć sobie elekcyą Henryka Walezego, dość rozczytać się w pamiętnikach markiza de Pomponne kierującego zagraniczną polityką Francyi w epoce Ludwika XIV, aby zrozumieć interes, jaki powodował Francją do szukania oparcia w Polsce, jaki skłaniał Polskę do oglądania się na Francją. Dążąc do pierwszorzędnego stanowiska na stałym lądzie Europy, rywalizując z cesarstwem niemieckim, domem austryackim i wszelkimi ich sprzymierzeńcami, podjęła polityka francuzka bardzo prostą, tłumaczącą się naturalnie akcyą. Działalność jój stawia sobie jako cel system aliansów z państwami drugiego i trzeciego rzędu, wiązanie *slabych* w koaliccyą, aby połączeni stawali się *mocnymi* w dziele dywersyi przeciw domowi habsburgskiemu i cesarstwu niemieckiemu. Zależało Francyi przeszkodzić za pomocą podobnej akcyi, aby

jakieby kontynentalne mocarstwo nie weszło przeciw niej w groźną, niebezpieczną lawinę, jak się to stało później po spełnionych podziałach Polski. Ztąd to, za Ludwika XIV, ów szereg aliansów ze Szwecją, Brandenburgią, Bawaryą, księżętami Rzeszy przeciw Cesarstwu i Austrii; ztąd poszukiwanie Polski jako najodleglejszego widownią, najważniejszego znaczeniem politycznym ogniwa tegoż aliansowego systemu, ztąd podtrzymywanie fermentu i powstań magnatów węgierskich przeciw domowi habsburgskiemu. System ten mądry politycznie, pełen racjonalności ze stanowiska interessu politycznego Francji, trwa przez cały czas panowania Ludwika XIV, przechodzi tradycyjnie na jego następcę, tracąc przecież coraz więcej na swęj świadomości i energii. Jakaż to różnica na polskiej właśnie widowni między polityką Ludwika XIV a Ludwika XV, między Pomponnem i Torcym a kardynałem Fleurem lub Choiseulem i Aiguillonem! Cokolwiekby, *trzyma* się przecież i przedłuża tradycyjnie w wiek Ludwika XV, polityka jego poprzednika a kandydatura polska Leszczyńskiego po zgonie Augusta II jest jednym z jej sporadycznych, zewnętrznych objawów.

Zapytajmy z kolei rzeczy o interest *Polski* w podobnym stosunku. Nie wchodząc ani w przychyny, ani w racye podobnego pojawu, powiedzmy, że *Polskę* trapi zmora *dominii absoluti*, że obawa ta wyraża się przedewszystkiem wobec domu austrya-

ckiego, że szlachecką wyobraźnią straszy los Czech i Węgier. Później, wobec wzrastającej potęgi Rossyi i Pruss, wobec widocznego stanu bezbronności Rzeczypospolitej na zewnątrz, przedstawiają się obawy i niebezpieczeństwa bliższej i dotykalszej natury, aniżeli tylko widoki utraty „szlacheckiej wolności.“ Francya staje się ze swą polityką poszukującą przymierza polskiego, ze swymi kandydatami korony polskiej punktem materialnego oparcia dla Polski, jakkolwiek wpływ francuzki spotyka się z bardzo rozmaitemi i zmieniami w jej łonie prądami a chwila po zgonie Augusta II pozostanie w dziejach naszych jednym z najcharakterystyczniejszych pod tym względem momentów. Jak powiedziano, stawia Polska teścia króla francuzkiego jako wyraz swój swobody zewnętrznej, swój reformy wewnętrznej. Francya stawia go równocześnie zgodnie z wielkimi tradycjami polityki Ludwika XV, jako wyraz swych ambitnych aspiracji politycznych na widowni północno-europejskiej. Niestety przecież tak Polski, jak Francyi było, że wielki interes tak pierwszej, jak drugiej, czerpiąc tylko w źródle *tradycji*, nie znalazł w *teraźniejszości* odpowiednich swój wadze ludzi, czynników i usposobień. Stanisław Leszczyński zjechał pod przybranem nazwiskiem z Francyi na akt elekcyjny do Warszawy, gdzie znalazł wybornego rzeczownika w osobie francuzkiego posła, hr. Monti. Rozpoczęty 25 Sierpnia, jako w dniu św. Ludwika sejm elekcyjny,

skończył się dnia 12 Września 1733 zgodną i jednolitą, jak od niepamiętnych czasów elekcyą Stanisława. Prymas Teodor Potocki ogłosił go uroczystie królem. Opozycja nie była ani energiczną, ani liczną, choć obawiać się jej trzeba było z góry po postawie, jaką zajęły oba dwory cesarskie, petersburgski i wiedeński, gromadząc i rozkładając znaczne siły nad granicami Rzeczypospolitej. Wybór Leszczyńskiego stał się hasłem wkroczenia wojsk moskiewskich na Litwę pod dowództwem generała Lascy, początkiem równocześnie energiczniejszej akcji ze strony odstępców narodowej sprawy, jakimi należy nazwać stronników kandydatury elektora saskiego. Dążąc do głównego zadania, ograniczmy się tutaj na sumarycznej relacji tego, co oblężenie Gdańska poprzedza. Wystarczy ona do charakterystyki ludzi i żywiołów odgrywających jakąbądź w ówczesnych wypadkach rolę. Wkroczenie wojsk carskich pod dowództwem generała Lascy, współczesne elekcyi Stanisława Leszczyńskiego, nie spotkało się z żadnym czynnym oporem. W. kanclerz litewski i regimentarz, Michał ks. Wiśniowiecki, umknął z pola ekcyjnego na Pragę, zerwał za sobą most na Wiśle, pospieszył połączyć się pod Węgrowem z wojskami generała Lascy. Malkontenci towarzysząc wojskom carskim, ruszyli ku Warszawie, by następnie dnia 5 Października, pod karczmą we wsi Kamieniu, dopełnić aktu secesyjnej elekcyi i ogłosić przez biskupa poznańskiego Hozyusa

królem polskim elektora saskiego. Od tej chwili rozpoczyna się smutna gra, stwierdzająca prawdę powyższej uwagi o słabości wszystkich występujących w tej sprawie żywiołów i ludzi. Poczynając od samego Leszczyńskiego, nie ma on i wtedy, jak jej nie miał nigdy, wiary we własną gwiazdę. Człowiek słabych nerwów, równie dobrego serca i światłego umysłu, ile nie dopisującego w krytycznych razach mężstwa, znajduje niestety wśród wszystkich niebezpieczeństw zawsze tylko jeden i ten sam specyfik: troskliwość około ocalenia własnej osoby. Pojawia się tu smutniejszy, właściwość ta więc upokorząca, im więcej rola, którą wobec narodu już z rąk i już od czasu Karola XII przyjął, wymagała do odpowiedniego odegrania, niekłamanego bohaterstwa. Człowiek wygody, spokojnej rady i pióra, powołany na stanowisko, które wymagało, co najmniej, nerwów zdolnych znieść widok bitwy, huk armat i nadstawienia własnej osoby. Leszczyński zawsze i przez całe życie taki, jakim go przedstawiamy wyżej, nie okazał się innym w krytycznych dniach drugiej swej elekcji po zgonie Augusta II. Nie wierząc w zwycięstwo, pospieszył rzucić widownią polską wobec zagrażającego niebezpieczeństwa, pozostawiał rzecz opatrności i stronnikom swym polskim. Tymczasem postanowił czekać, co Francya dlań uczyni, co uczyni Ludwik XV, zwłaszcza po uroczystych obietnicach pomocy w Kwietniu r. 1733. Obietnice te i nadzieje stają się równocześnie główną

podstawą i sprężyną nie tyle działania, ile raczej wyczekiwania i zbrojnych wędrówek po kraju jego stronników. Działając miękko, nie wierząc również w zwycięstwo własnymi siłami, nie rozwijając energiczniejszej, wojennej akcji, sejmikują, konfederują się, prowadzą niedołęzną partyzantkę z wojskami saskimi i carskimi. Józef Potocki wojewoda kijowski, Tarłowie, Franciszek Poniński starosta kopanicki, Bartoszewicz, Meldzyński starosta rypiński, spoglądając ciągle wytężonem okiem ku Francji, wyczekują, aż francuzka flota nie zawinie do portu gdańskiego, aż armia lądowa francuzka, brnąc zwycięzko przez Niemcy, nie przyniesie im nareszcie odsieczy na ziemię polską. „Francya daleko, Pan Bóg wysoko,“ mówi ludowe przysłowie a jeżeli Ludwik XV i kardynał Fleury mylą się mocno przypuszczając, że Polacy *odniosą* własnymi siłami zwycięstwo w Polsce dla Francji, *wyniosłszy* na tron Leszczyńskiego, mylą się nie mniej Polacy przypuszczając, że Francya bierze swe przyrzeczenia na seryo, że ma rzeczywiście zamiar przyjść w pomoc Polsce całym ciężarem swych zasobów i wpływu. Doradcy i kierownicy polityki Ludwika XV używają Polski i sprawy Leszczyńskiego jako środka dywersyjnego w akcji nadreńskiej i nadalpejskiej, gotowi może do mało znaczących i mało kosztujących *demonstracji*, ale dalecy od myśli jakiegobądź poważniejszej i skuteczniejszej na widowni polskiej akcji. Jak ztąd widać, jest sprawa elekcyi

Leszczyńskiego w roku 1733, poza sferą pocziwego i spontanicznego porywu na polu pod Wolą, smutném tylko widowiskiem nieszczeroci, niepewności, grą wzajemnych oszukiwań, zawodów i oczekiwań.

Leszczyński opuszcza co prędzej Warszawę, zaledwie w kilka dni po elekcyi, na widok rossyjskich ogni przyświecających na prawym brzegu Wisły z pod Pragi. Francya liczy na Polskę, Polska na Francyą, jedna i druga bez zamiaru energicznój i poważnój akcyi. Z podobnego stanu wy-czekiwania i niepewności rodzi się ów zamęt, który się skończył dopiero aktem pokoju wiedeńskiego z roku 1735 a któryby stanowił tylko jedną stronicę więcéj tylu innych, mało zaszczytnych wspomnień pierwszój połowy XVIII wieku, gdyby się nie był znalazł *jeden* zakątek Rzeczypospolitój, którego pocziwa i zacna, choć innoplemienna ludność wzięła sobie szczerze i gorąco do serca sprawę ostatniego króla wolnej woli Polski. Zakątkiem tym, jedynym niestety, był Gdańsk, ów niemiecki Gdańsk, składający ówczesnym swym, wspaniałym, jak go się nie wachamy nazwać, czynem akt uznania i czci dla nierozzerwalnego związku swego z Polską.

Przypatrzmy mu się w pierwszych chwilach po odebraniu wiadomości o zgonie króla Augusta II. Ówczesny Gdańsk był wolny i zamożny, prowadził handel z Polską, stawał się rok rocznie skutecznym, bogacącym się pośrednikiem jój handlu z Anglią, Hollandyą, Francyą i Szwecyą. Zład tłuma-

czy się ów niezmiernie troskliwy interes Anglii i Hollandyi o wolność morza bałtyckiego i niezależność Gdańska w czasie wojny północnej. Prócz napływowego żywiołu mieściła się w murach Gdańska, mieściła w obrębie jego przyległości liczna a zawsze bitna i waleczna ludność. Naturalną obronę miasta od strony południowej i wschodniej stanowiły moczary, mogące być zalanemi aż do okrążającej w niewielkiej odległości miasto Wisły. Pasma pagórków zasłaniało miasto od strony zachodniej, pomiędzy któremi na szczególną zasługują uwagę góry *biskupia* i *gradowa*, obie oszańcowane i opalisadowane według reguł ówczesnej inżynierskiej sztuki. Po za obrębem bezpośrednich fortyfikacyj miejskich, ku zabezpieczeniu tyle ważnej pod każdym względem komunikacji z morzem, przedstawia ówczesny system obrony Gdańska następane warownie:

Nasamprzód, na prawym brzegu Wisły w klinie, utworzonym przez nią i przez kanał noszący nazwę Schuten-Laake, silnie okopany i opalisadowany szaniec *Sommer-schantze*. O pół mili dalej, również na prawym brzegu Wisły znajdowała się silna, dobrze ufortyfikowana, murowana warownia *Weichselmünde*; naprzeciw niej, na lewym brzegu Wisły, również dobrze zaopatrzone i opalisadowany szaniec *Westschantze*. Tuż za tym szanćcem, również na lewym brzegu Wisły, przy samém ujściu jej do morza leży wysepka *Westerplatte*, oszańcowana

podobnie i odgrywająca ważną rolę, jak zobaczymy, w dziejach późniejszego oblężenia.

Nie należy też jeszcze w interesie dokładności naszego opowiadania przepominać o dwóch krzyżujących się w samym mieście rzeczkach, Motławie i Radaunie, z których pierwsza zabierając drugą, wpada za miastem do Wisły. Dodajmy, że Radauna, której bieg za pomocą śluz mógł być odwróconym, żywiła swą wodą i obracała młyny miejskie. Wszystkie wspomniane co dopiero utwierdzenia Gdańska i jego przyległości, naprawiane i przyprowadzane do pory rozmaitemi czasy, jak np. w latach 1704, 1707, 1708, 1710, nie znajdowały się w chwili elekcyi Leszczyńskiego w najlepszym stanie. Co dla naprawy stanu ich obrony uczyniono pod grozą zbliżającego się oblężenia, zobaczymy niżej a tymczasem rozpatrzmy się w organizacji i warunkach siły zbrojnej, jaką miasto rozporządzało.

Siła ta, jak na środki i zasoby Gdańska wcale nie lekceważenia godna, zależała stósownie do politycznego, republikańskiego ustroju, jakim się metropola bałtycka rządziła, od postanowień rady i magistratu, pobierała od nich płacę, odbierała od nich nominacye, miała na czele swój administracyi w charakterze jakoby ministra wojny, dygnitarza miejskiego noszącego tytuł „prezydenta wojennego“. Bezpośrednim naczelnikiem siły zbrojnej gdańskiej pod rozkazami magistratu i prezydenta wojennego, był zawsze wojskowy specjali-

sta, zajmujący poprzednio mniej lub więcej wysoki stopień w jakiejś służbie zagranicznej. W roku 1704 był naczelnym dowódcą siły zbrojnej gdańskiej generał ze służby pruskiej von der Goltz; w epoce elekcyi Leszczyńskiego był nim generał-major Vietinghoff.

Co się tyczy uzbrojenia i siły gdańskiego wojska, ma tak pierwsze, jak druga prawo być przedmiotem naszego podziwu a zarazem i zazdrości, że Rzeczpospolita sama nie mogła się odpowiednio do swoich zasobów i obszaru zdobyć na podobny stan obrony. W zwyczajnych czasach pokojowych wynosiła składająca się z regularnego żołnierza załoga gdańska 8000 ludzi. Prócz tego jednakże był każdy obywatel miasta i jego przyległości zobowiązany do służby w chwilach niebezpieczeństwa a cztery kwatery tak zwanego właściwego miasta, *der Rechtstadt*, wystawiały po jednym pułku piechoty, każdy po dwanaście kompanii, z których każda znów liczyła po 130 ludzi. Barwy pułków były różne, czerwona, biała, niebieska i żółta. Dodajmy zaraz w tém tu miejscu, wyprzedzając nieco chronologiczny porządek naszego opowiadania, że nadzwyczajne okoliczności, w jakich się miasto r. 1733 znalazło, wpłynęły na powiększenie owój siły zbrojnej w sposób następujący: Nasamprzód został utworzony z obywateli miejskich piąty pułk o 12 kompaniach po 130 ludzi; następnie 3 kompanie sług handlowych po 180 ludzi; czeladź różnych rzemiosł z wyjątkiem

balwierzy użytych do lazaretów, w liczbie 1279 ludzi; dalej rzeźnicy w liczbie 176, pełniący służbę jezdną. Jako żywiół dodatkowy wstąpiło w służbę miasta Gdańska i złożyło magistratowi przysięgę wierności 2150 gwardyi koronnej polskiej, która za Leszczyńskim przybyła do Gdańska; wreszcie około 200 Szwedów i 2400 Francuzów, którzy, jak zobaczymy niżej, znaleźli się w ciągu oblężenia na widowni wojennej. W składzie owych dodatkowych żywiółów obrony nie należy zapominać 700 ochotników, żołnierza dzielnego, bitnego, znanego już z dawniejszych bojów gdańskich, tak zwanych *Schnaphanów* czyli jak ich Polacy nazywali *Szlapmanerów*. Żołnierz ten rekrutował się z brukowego elementu, jakiego w każdym mieście portowem pełno, bił się walecznie, strzelał celnie, nadstawiał się tém chętniej, im więcej mu się uśmiechały widoki zdobyczy na sprzątnionym z ręcznie nieprzyjacielu. Ogółem wynoszą siły Gdańska w najniebezpieczniejszych chwilach roku 1734 do 23,245 ludzi. Dział wszystkich razem miał naówczas Gdańsk 347; obsługę ich pełniło 300 artylerzystów miejskich, tworzących osobną kompanią zostającą pod komendą jednego z radców miejskich.

Przedstawia tak Gdańsk widowisko najzupełniej swobodnej Rzeczypospolitej. Na czele rządu miejskiego stoi prezydent burmistrz, którym naówczas jest von Düsseldorf; obok niego burmistrz i prezydent wojenny (Kriegspräsident), którym naówczas

jest von Böhmeln. Oni to stoją na czele miejskiego rządu czyli magistratu składającego się z patrycyuszów miejskich, jak Ferberów, Rosenbergów, Bergemannów, Wahlów, Kleinów, Jantzenów, Lüzelnów, Schwartzwaldów, Schmiedenów, Königów, Martensów, Burhardtów, nie wymieniając innych. Reprezentacją miasta stanowiły wybrane z pośród obywatelstwa *radę*, tak zwane *Ordnungen*, składając się razem na „*magistrat i radę miasta Gdańska*.“ Od nich, jak już nam wiadomo, zawisła siła zbrojna ze swym dowódcą generałem von Vietinghoffem na czele, od nich nakładanie podatków, stosunki dyplomatyczne z Rzeczpospolitą polską i mocarstwami zagranicznymi. Utrzymywał nadto, jak wiadomo, Gdańsk zawsze na dworze polskim w charakterze osobnego reprezentanta, tak zwanego sekretarza gdańskiego, którym naówczas był Klein, później Jantzen.

Nie od rzeczy przypatrzeć się różnym co wybitniejszym osobistościom, które ówczesny Gdańsk w murach swych mieścił. Nasamprzód mieszkał tu wraz z młodą małżonką sędziwy książę Kurlandzki, Ferdynand Kettler, niegdyś waleczny żołnierz, politycznie zawsze wypróbowany zwolennik Augusta II. Znajdował się dalej w Gdańsku konsul francuzki Mathie, znajdowali się rezydenci holenderski, angielski i pruski. Była nadto w mieście osobna pruska poczta; gdańską zawiadował miejscowy pocztmistrz Billau.

Otóż w najgłówniejszych zarysach stan rzeczy w Gdańsku, w owym spokojnym, zamożnym,

handlowym a swobodnym Gdańsku, gdy dnia 6 Lutego 1733, wieczorem o godzinie 9tej nadeszła sztafeta z Warszawy z wiadomością o zgonie króla Augusta II. Pierwszą czynnością po odebraniu tej wiadomości, było ze strony prezydenta Dusseldorfa zwołanie członków magistratu i rady, którzy po odbytem posiedzeniu uchwalili szczegóły zachowania się podczas bezkrólewia, a pod dniem 8 Lutego ogłosili niesłuchanie drobiazgowy, modlitwami i nabożeństwami naszpikowany regulamin żałobny.

Zdążając do głównego, jakie założyliśmy sobie zadania, do relacji z następnego oblężenia, powiemy tylko tyle, że oko Gdańszczan przez kilkumiesięczny czas bezkrólewia było zwrócone z obawą i zaciekawieniem na widownię elekcyjną, że jednakże, jak nie ma wątpliwości, nie mniej kategoryczne oświadczenia Ludwika XV, z 26 Kwietnia 1733, jak wpływy licznych stronników kandydatury Leszczyńskiego, oddziaływały sympatycznie na usposobienie i opinią publiczną nadbaltyckiej metropoli. Serca ogółu gdańskiego były za sprawą Stanisława. W razie zagrożenia zdawała się niewątpliwą pomoc Francji. Gdańszczanie ówczesni, nie mniej jak Polacy, byli pewni ujrzeć w przypadku niebezpieczeństwa flotę i armię francuską przy ujściach Wisły a tymczasem oczekiwali z niecierpliwością doniesień z Warszawy. Pożądana wiadomość o szczęśliwie na dniu 12 Września odbytej elekcji Stanisława nadeszła, przesłana przez prymasa Teodora Potockiego, do Gdańska dnia 15 Września, wywo-

łała ogólną radość i objawy zadowolenia. Dnia 18-go Września ogłosił magistrat mieszkańcom urzędownie, że Polska i Gdańsk mają nowego pana, kazał uderzyć w dzwony wszystkich miejskich kościołów, dawać po trzykroć ognia z 60 dział, odprawiać dziękczynne nabożeństwa, spiewać *Te Deum*. Poczciwi Gdańszczanie nie przypuszczali, że właśnie kiedy obchodzili tak radośnie i tak uroczyście Stanisławowy tryumf, neo-elekt zagrożony przez obcego żołnierza i niecne odstępstwo swoich, spoglądający z okien warszawskiego zamku na obozowe ognie generała Lascego za Wisłą, liczył już trzy dni niestety tylko pobytu na widowni swój świeżej królewskości! Sprawozdania z Warszawy w ówczesnych gazetach zapisują, jak król Stanisław codziennie przez czas swego krótkiego w Warszawie pobytu, „chodził na nabożeństwo z zamku do kościoła, z kościoła do zamku!”

Dnia 22 Września nareszcie wybija smutna, stanowcza godzina. Nie podejmując próby obrony, żegna się Stanisław po raz ostatni z Polską. Opuszcza Warszawę a wyjazd jego staje się hasłem ogólnej ucieczki, w której powody mieszała się nieskapą miarą nadzieja, że znalazłszy punkt oparcia w Gdańsku, cała ta emigracja wraz z królem doczekają się prędzej czy później odsieczy francuzkiej. W szerzeniu tej nadziei, w doradzaniu owej wędrowki, odgrywa główną rolę poseł francuzki markiz de Monti, Piemontczyk rodem, człowiek osobistej energii i odwagi, co przecież nie

przeszkadza, że nie zawsze rządzi się wobec swego otoczenia prawdą, że obiecuje więcej, aniżeli dotrzymać może. Opuszczając wraz ze Stanisławem Warszawę, powierzył staranie nad swym domem, meblami, służbą i poddanymi francuzkimi posłowi rossyjskiemu, koniuszemu hr. Löwenwoldemu i jego bratu, angielskiemu rezydentowi Woodwardowi, hollenderskiemu Rumpfowi, cesarskiemu Kinnernowi. Wszyscy podjęli się ofiarowanej opieki z wszelką uprzejmością, właściwą ówczesnej dyplomacyi. Za Stanisławem i Montim, ruszył z Warszawy tym samym smutnym szlakiem długi sznur karet, powozów, bryk i powózek, kilka tysięcy koronnej gwardyi, prymas Teodor Potocki, regimentarz Stanisław Poniatowski, podkanclerzy litewski Czartoryski wraz z małżonką, Bieliński marszałek nadworny koronny, Ossoliński podskarbi nadworny koronny, Przebendowski wojewoda malborski, Denhof, biskup płocki Załuski, nie wyliczając mnóstwa innych, mniej ważnych i mniej znanych dziejowo postaci. Opuszczając widownię polską, by szukać w Gdańsku schronienia i czekać pomocy francuzkiej, pozostawiła ta liczna emigracja ciężki obowiązek walki w kraju przeciw nieprzyjacielowi Józefowi Potockiemu wojewodzie kijowskiemu, Janowi i Adamowi Tarłom, z których pierwszy wojewodą lubelskim, nie mówiąc o partyzantach mniejszego znaczenia, jak Bartoszewiczu w Wielkopolsce, jak Meldzyńskim staroście Rypińskim w Prussach.

Smutna ta, źle o położeniu rzeczy w Polsce świadcząca kawalkata, stanęła ku niemałemu przeżeniu i oziębieniu nadziei na bruku gdańskim dnia 2 Października 1733. Cokolwiekbądź, było przyjęcie Stanisława ze strony Gdańszczan pełne serdeczności a nawet zapalu dla jego osoby, co rzeczą tém naturalniejszą, że polscy partyzanci neo-elekta obiecywali dzielną obronę ze strony kraju, że markiz de Monti dodawał otuchy i zapowiadał może w najlepszej wierze skuteczną i spieszłą pomoc Francyi, że później już na prośbę rady gdańskiej z dnia 18 Listopada o pomoc, król francuzki odpowiedział pod dniem 15 Grudnia, że miastu w razie niebezpieczeństwa przyjdzie z całą swą potęgą na odsiecz i wszystkie jego szkody z własnego wynagrodzi skarbu. Przyjęcie tedy Stanisława przez Gdańszczan było nie tylko uroczyste, ale i serdeczne, na co dodatkowo i ta jeszcze wpływała okoliczność, że król umiał sobie, jak powiadają współczesne świadectwa gdańskie, zyskiwać wszystkich serca i umysły dziwnie pociągającym postępowaniem. Istotnie kochają go poczciwi Gdańszczanie, jak tego liczne dowodzą szczegóły, otaczają go szczególną czcią, bronią wiernie i wytrwale. Często objawia się ich serdeczność dlań w sposób rubaszno-naiwny. W dzień św. Mikołaja, jako w święto swojego patrona, obdarza go n. p. cech piwowarów gdańskich ogromną, pięknie wypolerowaną dębową beczką piwa.

Za przybyciem swém do miasta, stanął król początkowo w mieszkaniu konsula francuzkiego Mathie; dnia następnego przeniósł się wśród goślaw artylerji miejskiej do wyznaczonej sobie przez magistrat kwatery. Tutaj też przyszła go powitać uroczysta deputacya miejska, składająca się z burmistrza i wojennego prezydenta Böhmeln, radzcy miejskiego Ferbera i syndyka Albrechta Rosenberga. Posłuchanie odbyło się w nader uroczysty sposób. Przyjmował deputacyą u drzwi komnaty królewskiej z białą laską w ręku nadworny marszałek Bieliński i zaprowadził ją przed Stanisława, który przemowy syndyka Rosenberga z odkrytą głową i uprzejmą uwagą wysłuchał. Odpowiedział na nią w imieniu królewskim podkanclerzy litewski książę Czartoryski. Dodało miasto następnie królowi honorową straż składającą się ze 100 żołnierzy i trzech officerów. Nie chcąc jednakże trudzić niepotrzebnie tylu ludzi, zatrzymał Stanisław tylko 40 ludzi wraz z jednym officerem i doboszem w dolnych komnatach zamieszkanego przez się domu. Ile razy wyjeżdżał na miasto lub do kościoła, towarzyszyło jego karrecie sześciu grenadyerów miejskich wraz z jednym officerem. W przedpokoju królewskim luzowało się od dnia do dnia 12 muszketierów. Co się tyczy sposobu życia Stanisława w Gdańsku, odznaczał się on właściwemi całej przeszłości jego szczegółami. Zawsze łaskawy, dobroczynny, gotów spieszyc w pomoc potrzebom miasta, zaczął

pobyt swój od zwrotu summy 30,000 talarów, jaką w roku 1707 od Gdańszczan pożyczył. Nie dość na tém, zapisuje kronika jego pobytu liczne dowody szczodrobliwéj dobroczynności dla dotkniętych późniejszymi klęskami mieszczan. Z drugiej za to strony, ograniczając polityczną działalność na korespondencyi z królem i ministrami francuzkimi, na wydawaniu wraz z obecnym w Gdańsku prymasem manifestów do Rzeczypospolitej, nie wdaje się w dzieło obrony miasta ani radą, ani czynem. Najbliższe otoczenie jego stanowią istny mentor polityczny markiz de Monti, szwedzki generał Steinflycht, wreszcie tak zwani komissarze: biskup płocki Załuski, wojewoda malborski Przebendowski i podkanclerzy litewski Czartoryski. Oni to głównie trudnili się negocyacyami między osobą królewską a miastem. Sam król występował niesłychanie rzadko na scenę.

Wobec napływu do miasta licznego i dobrego żywiołu z Polski, nie zbywało zresztą w Gdańsku za przybyciem Stanisława, w przededniu oblężenia z roku 1733 na 34 na zabawach i uciechach. Kronika gdańska ówczesna mówi o balach i maskaradach, jakimi się „różni państwo polscy zabawiali.“ Dodaje jednakże, iż „król nie dał się nigdy skłonić do uczestniczenia w owych zabawach.“*)

*) Jako mąż zaufania przy jego boku przebywa, co już wyżej wspomniano, prymas Teodor Potocki. Dawny i wierny zwolennik

Femu, jak bardzo słusznie, nie przedstawiała się przyszłość w zbyt różowych barwach, tém mniej, że zwiększająca się od dnia do dnia z Polski emigracya, że nadchodzące coraz częściej listy, między innymi mianowicie list z Warszawy z dnia 21 Października 1733 Czapskiego wojewody chełmińskiego, zawierały coraz smutniejsze o powodzeniu saskiego, o klęsce i rozkładzie własnego stronnictwa wiadomości. Rozpoczynała się wprawdzie partyzantka przeciw obcym wojskom po kraju, ale rzeczą aż nazbyt naturalną, że wśród podobnych okoliczności stawała się, tak dla Stanisława i jego zwolenników, jak dla miasta Gdańska jedyną kotwicą

z czasów Weissenburgskiego wychodźstwa jeszcze, jest obecnie, w smutnej owiej jesieni roku 1733 pośrednikiem między Stanisławem a córką jego królową francuską. Między innymi dostał się szczęśliwym przypadkiem w ręce nasze następnie brzmiący, własnoręczny list królowej francuskiej do prymasa z czasu pobytu gdańskiego. Nie zmieniamy go w niczém, ortografią królowej zostawiamy nietkniętą: „*A mon cousin, Archevêque de Gnesne, primat de Pologne. C'est trop tard, mon Cousin répondre à une lettre comme la Votre et c'est aussi pour donner plus de prix à la mienne, que je la fait passer par ceste main, qui nous est chère à tous deux; il serait inutile que j'ai voulu ici Vous étaler ma reconnaissance de Votre zèle pour le Roy mon père. Je Vous dirais seulement, qu'elle est au dessus de la sienne, puisque je l'aime plus qu'il ne peut luy-même et cent fois plus que moy même; jugez après cela, si je suis touchée de preuves que Vous avez lui donné de Votre attachement. Il ne me reste donc qu'à Vous en demander la continuation et Dieu qui a voulu nous éprouver encore quelque temps, benisse la justice de notre cause et donnera au Roy mon père, à ma patrie et à moy Consolation de Vousvoir jouir longtemps du fruits de Vos soins, o co Pana Boga codziennie proszę, będadz z serca i dusze Mon Cousin Vostre bonne Cousine Marie. A Fontainebleau, le 12 Novembre 1733.*

zbawienia i nadzieją, niezawodna, jak się zdawało pomoc francuzka. W oczekiwaniu jój, wśród sporadycznych objawów jój gotowości nawet, nie zanedbuje miasto niczego, aby groźnym wypadkom, jakiegokolwiek nastąpią, nie bez należytego przygotowania zajrzeć w oczy. Przypatrzmy się pokrótce, co się w tym celu dzieje ze strony nasamprzód Francuzów, następnie samychże Gdańszczan. Jeżeli Ludwik XV., jeżeli kardynał Fleury ograniczają się w owych ponurych, ostatnich miesiącach roku 1733, na obietnicach i przyrzeczeniach, których urzeczywistnienie bardzo dalekie, odznaczają się dyplomaci francuzcy na północy europejskiej w ważnej téj dla Francyi i Polski sprawie, niezmordowaną energią i gorliwością. Później, o wiele później, przyjdzie nam wspomnieć o bohaterskim hrabiu de Plélo reprezentancie Francyi w Kopenhadze, szlachetnej a dobrowolnej téj tragedyi ofiarze.

W obecnej naszego opowiadania fazie wspomnijmy tylko o dwóch z nich, o zamkniętym już w Gdańsku markizie de Monti i ambassadorze Francyi na dworze sztokholmskim markizie de Castéja. Monti jest, jak już zauważyliśmy, duszą obrony Gdańska, mentorem Stanisława. Nie dość na tém jednakże, nie szczędzi miastu materyalnej pomocy. Rozporządzając znacznemi zasobami pieniężnemi, poświęca je na rzecz miasta; nadto zakupuje i sprowadza ze Szwecyi dla arsenału miejskiego 1500 karabinów z bagnetami i 30,000 nabojami, 1200 szabli.

Równocześnie dokłada reprezentant Francji w Sztokholmie, hr. Castéja wszelkich możliwych starań około obrony Gdańska. Za pozwoleniem rządu szwedzkiego skłonił do wstąpienia w służbę francuzką z przeznaczeniem do Gdańska, 130 ochotników szwedzkich, w znacznej części officerów, pomiędzy którymi odznaczają się mianowicie pułkownik baron Stackelberg i znakomity inżynier Palmstruck. Przybywszy dnia 8 Stycznia 1734 r. przez Weichselmünde do Gdańska, byli przez mieszczaństwo przyjmowani wśród objawów prawdziwego tryumfu. W mniemaniu Gdańszczan uchodzili za przednią straż, za niezawodną zapowiedź walnej odsieczy szwedzko-francuzkiej. Wogóle widzimy wśród gotujących się tych, ważnych, zaszczytnych i groźnych razem dla Gdańska wypadków reprezentowany silnie i poważnie element obcy. Wspomnieliśmy już o pierwszorzędnej roli Montego i Mathiego. Francuzki inżynier Charpentier kieruje naprawą i nowym systemem fortyfikacji miejskich; przy jego boku widzimy czynnych, pozostających w ciągłych stosunkach z magistratem trzech officerów francuzkich: Bassarta de St. Cécile, Gocherie i Volusier-Godelle. Za przybyciem do Gdańska, obejmuje naczelnictwo robót inżynierskich i fortyfikacyjnych Szwed Palmstruck. Również Szwedowi Stackelbergowi dostaje się następnie dowództwo twierdzy Weichselmünde. Jedną z osób zaufania przy boku samego króla Stanisława jest szwedzki generał Steinflycht. Nadto

poprzyjmował magistrat w służbę miasta mnóstwo officerów hollenderskich, pruskich, hannowerskich, szwedzkich, z pomiędzy których wspomnijmy tylko dwóch, pułkownika Haranga i majora Ennebergha. Który żywił w lustracyi owej smuci nieobecnością, to niestety *polski*. Rozstrzygały się na widowni gdańskiej jego losy; nie widzimy z bólem i upokorzeniem w sercu pośród tego rojowiska różnorodnych a dzielnych i szczerze ofiarnych pierwiastków ani ręki, ani głowy polskiej. Sam król Stanisław na zupełném uboczu.

Nadaremno dalej szuka nasze oko wśród tych wypadków czy to mądrzej rady, czy dzielnej dłoni dawnego towarzysza bohaterskiego Karola XII. z okopów Benderskich, Stanisława Poniatowskiego. Jest w Gdańsku, ale w roli spektatora. Niechaj miłość własna nasza narodowa, niechaj optymizm nasz narodowy pocieszają się przypuszczeniem, że pośród owej gwardyi koronnej, że pośród owych dragonów polskich otaczających osobę Stanisława, znalazła się przecież dzielnej dłoni szaraczkowa szlachta, waleczni żołnierze, których imiona nie doczekały się unieśmiertelnienia w bulletynach gdańskich bojów. Nie wiele dodatniej i nie wiele inaczéj przedstawia się udział polski w owej wojnie po za murami Gdańska. Partyzantka bez ładu i składu wśród połysków sporadycznego bohaterstwa, ale bez możności ani zmiany rzeczy w ogóle, ani przyniesienia odsieczy Gdańskowi. Jedyne wypadki udziału polskiego, jaki zapisuje kronika

oblężenia gdańskiego, jest przyprowadzenie kilkudziesięciu jeńców moskiewskich, wziętych do niewoli w pobliżu miasta przez oddział partyzantów polskich. Zresztą nadaremne wszelkie próby czy to Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, czy Jana Tarły wojewody Lubelskiego nie tylko w daniu odsieczy zagrożonemu Gdańskowi, ale choćby nawet w dywersyjnej akcji przeciw wojskom moskiewskim i saskim w kraju, zwłaszcza po dokonanej na dniu 17 Stycznia 1734 r. w Krakowie koronacyi elektora saskiego. Na tém większą uwagę i uznanie zasługuje energia i sprężystość, z jaką się miasto samo, w niezawodnej nadziei pomocy francuzkiej, zabrało do dzieła swęj obrony. Przedstawia się pod tym względem pełne ciekawości widowisko.

Nasamprzód, nakładając nadzwyczajne podatki i korzystając z funduszków dostarczonych przez króla Stanisława i Montego podnosi magistrat siłę zbrojną miasta do poważnej cyfry, wskazanej przez nas wyżej. Z liczby zwykłej 8000 wzrasta owa siła do 23,000 ludzi wraz z potężną artyleryą. Podwojono warty u bram miejskich. Opalisadowano utwierdzenia góry *gradowej* i *biskupiej*, połączone je wałem, którego stok zasłoniono belkami i deskami zaopatrzonemi w gwoździe, ostrza starych szabl i bagnatów. Naprawiono popsute ławy do ustawiania dział, wyrestaurowano raweliny, pobudowano na prędce kilka nowych bastyonów, pousuwano składy drzewa, poniszczono budowle, któreby

były mogły przeszkadzać obronie. Na załogę do Weichselmünde przeznaczono 400 żołnierzy i dziewięciu officerów nasamprzód pod dowództwem kapitana Patzera, później szwedzkiego pułkownika Stackelberga. Na zaopatrzenie twierdzy weichselmündzkiej w należytą żywność, poświęciło miasto 4000 złotych pruskich. Wiadomości o postępie wojsk rosyjskich i koronacyi Augusta III, zamiast odebrać ducha miastu, podwoiły przeciwnie jego energią i dodały nowego bodźca w pospieszaniu i wykończaniu zarządzonych środków obrony. Tak wydano do mieszkańców okolicy rozkaz, aby z jednej strony zabezpieczyli swą własność wobec grożącego najazdu nieprzyjacielskiego, z drugiej strony, aby zaopatrzyli miasto w potrzebne zapasy żywności. Dalsze rozporządzenia magistratu świadczą o rozumnej i organicznej energii, jaką widzimy od czasów najodleglejszej starożytności aż do dni naszych, od Kartaginy i Jerozolimy poczynając, na Saragossie skończywszy, odznaczające się świetnie i zaszczytnie rządy i reprezentacye municypalne w krytycznych wypadkach. Za odebraną o koronacyi Augusta III wiadomością, powołała rada miejska uchwałami z dnia 8 i 25 Stycznia 1734 całą męską ludność miasta i okolicy pod broń. Każdy obywatel był zobowiązany pod surową odpowiedzialnością zaopatrzyć się w karabin, szpadę i ładownicę, w trzy funty prochu i 6 funtów kul. Również odebrał każdy mieszkaniec nakaz przysposobić sobie na znaczny przeciąg czasu potrzebną ży-

wność. Miasto samo zakupiło na ten cel dla niezamożnej swój ludności 100 łasztów żyta i kazalo je zemleć na wielki magazyn mąki. Nie dość na tem, zarządził magistrat, o ile się to uskutecznić dało, fabrykacją broni. Puzkarcz Jonasz Eckerstädt dostał polecenie dostarczyć arsenałowi miejskiemu do Wielkiej nocy roku 1734 tysięcy karabinów. Płatnerze miejscy mieli równocześnie wyrabiać broń sieczną. To co się dzisiaj nazywa wojskową intendanturą, było urządzone wzorowo; płaca żołnierza troskliwie obmyślana, żywność obficie i regularnie wydzielana.

Tymczasem, nie zapominajmy, pracują w owych chwilach przedobłęźniczych wszystkie rydle, topory i pily miejskie pod dyrekcją Palmstrucka i Charpentiera nad utwierdzeniem, oszańcowaniem, opalisodowaniem miejskich fortyfikacyi. Górę *gradową*, *biskupią*, przestrzeń między niemi a bramą Oliwską zaopatrzone liczną artyleryą; z cechu rzeźniczego utworzono oddział jazdy, używany do patrolowania po okolicy. Bieg poczt i komunikacyi pozostał swobodnym aż do obszczenia miasta. Później po nadejściu armii obleźniczej, komunikowali się miasto, konsulowie angielski, holenderski, król Stanisław i Monti, księstwo kurlandzcy, zarząd pocztowy pruski z resztą świata przez Weichselmünde drogą morską. Przenaczyło miasto na ten cel osobną łódź morską obsługiwana przez pilotów.

Otóż w co najgłówniejszych zarysach stan miasta i jego obronności w późnej jesieni r. 1733, w pierwszych miesiącach roku 1734, stan zbliżającego się niebezpieczeństwa, ale nie mniej ponętnych, przyświecających z Francyi nadziei i kipiącego życia. Ogromne rojowisko różnojęzycznego, zbrojnego ludu; wewnątrz mustra nowego żołnierza i wielki warsztat obronny; zewnątrz stuk siekier i motyk około oblężniczych robót. Równocześnie zaś co za dobór, co za barwność i różnaitość ściśnionego w oblężonej metropolii nadbałtyckiej społeczeństwa! Tutaj rozgrzani niezwykłym sobie zapałem dla sprawy neo-elekta polskiego, energiczni w dziele obrony, poważni, niemieccy patrycyusze miasta; tam zamyślony, unikający zgielku, źle wróżący sam sobie król Stanisław. Tu zabiegły, nie ustający w pracy i obietnicach Monti, tam sędziwy książę Ferdynand Kettler z lubującą się w zabawach, wiele młodszą od siebie małżonką. Tu prymas, biskup płocki, dygnitarze wysocy Rzeczypospolitej, tam różnie mundurowi officerowie francuzcy i szwedzcy. Tu regularny, w przepisane barwy przybrany żołnierz gdański, tam kawalerya rzeźnicza i *Sznaphany* o dzikich twarzach, zaniedbanej powierzchowności z karabinkami w ręku, czyhający na nieprzyjaciela, więcej może na zdobycz. Barwna i pełna różnaitości maskarada, bawiąca się po karnawalowemu, tańcząca na wulkanie, wyglądająca tęsknem okiem na przemian ku morzu, z kąd ma przyplnąć

pomoc francuzka, ku Polsce, z kąd ma nadciągnąć
 odsiecz „*kijowskiego*“ lub „*lubelskiego*“*) ulegająca od
 chwili do chwili wrażeniom najdziwaczniejszych
 często, najmniej podobnych do prawdy wieści.
 Każdy żagiel dojrzany z Weichselmündzkiej wieży
 zdaje im się być zapowiedzią pomocy francuzkiej;
 każda wrzawa, każda kurzawa, wznosząca się od
 południa za Ohrą, zdaje im się zapowiadać zwy-
 ciężką odsiecz Tarły lub Potockiego. Wzniosłość
 zwykła w takich położeniach graniczyć z komiką.
 Gdy później, w chwilach istotnej grozy, ciągle za-
 powiadana pomoc nie przybywa, przyswajają sobie
 wśród grzmotu dział oblężniczych i bomb niszczą-
 cych miasto, odważne chłopcy uliczne ową nadarem-
 ną nadzieję, robią sobie z niej zabawkę, puszczają
 papierowe okręty w deszczową wodą napełnione
 rynsztoki, wołając: „że flotta francuzka nadpływa!“

Tymczasem przecież, aż do końca miesiąca
 Stycznia 1734 r. było żywo, gwarno i rojno, ale
 nie niebezpiecznie jeszcze w Gdańsku. Kończy
 się ten stan bezpieczeństwa w pierwszych dniach
 miesiąca Lutego. Liczne doniesienia nie pozwa-
 lały wątpić, że korpus rossyjski pod dowództwem
 generała Lascy zbliża się ku Gdańskowi, że naj-
 prawdopodobniej ściśnie niezadługo miasto pier-
 ścieniem oblężniczym. Podwojono w skutek tego
 warty przy bramach, przedewszystkiem zwrócono
 uwagę na rezydentów rossyjskiego i saskiego,

*) Der *kijowsche*, der *lubelskische*, tak mówią o Potockim
 i Tarle ówczesne sprawozdania gdańskie.

którzy dotąd miasta nie opuścili a przez kuryerów swych gabinetowych widocznie się z dowódcą nadciągających wojsk rosyjskich znosili. Podejrzenie, jakie wzbudzali, znalazło się najdowodniej stwierdzonem. Za dwoma takimi kuryerami puścił się pewien porucznik szwedzki z kilku dragonami, doścignął ich tuż nad granicą brandenburgską, wziął ich do niewoli i zabrał wszystkie papiery. Z treści przekonał się król Stanisław wraz ze swem otoczeniem, do jakiego stopnia korespondencya obu rezydentów była dlań niebezpieczną. Następstwem tego odkrycia był rozkaz bezzwłocznego opuszczenia miasta dany agentom Rosyi i Saxonii, kiedy wszyscy inni, jakoto Anglii, Hollandyi a nawet i Pruss, pozostali bezprzeszkodnie na miejscu i mieli prawo utrzymywania swobodnej korespondencyi ze swemi dworami za pośrednictwem istniejącej w mieście poczty pruskiej. Dodać jeszcze należy, że wobec zbliżania się wojsk carskich, obrona miasta zdobyła się na krok rozpaczliwy może, ale nieunikniony. Kazał magistrat otworzyć szluzę otaczających ze strony wschodniej miasto kanałów i zalać cały obszar sięgający aż do Wisły. W ten sposób było miasto bezpieczne przeciw wszelkim zamachom armii oblężniczej, przynajmniej od południa i wschodu. Zima była tego roku nadzwyczaj łagodna, tak, że ani Wisła, ani dokonane zalewy nie pozamarzały a nieprzyjaciel przez cały czas oblężenia dostępu do miasta z téj strony nie miał.

Zaledwie zalew uskuteczniiono, pokazały się około 14 Lutego (1734) we wsi Prust, odległej o milę od miasta, przednie straże rossyjskie; w sześć dni później, około godziny siódmej wieczorem, uderzono w mieście w bębny, zaalarmowano załogę. Wśród wzrastającej ciemności zaczęto rzucać rakiety i ogniste kule. Przy świetle ich, widziano z wież miasta, jak Moskale przepawali się od południa ku zachodowi Gdańska, jak od przedmieścia Ohry posuwali się ku przedmieściu Langfuhrowi, jak się tamże usadowili. Równocześnie stawił się przed bramami miasta wyprawiony przez generała Lascego trębacz z piśmem do magistratu, któremu dowódzca oblężniczej armii donosił, że przychodzi jako *przyjaciel* szukający w murach miasta swego *nieprzyjaciela* a wydania króla Stanisława żąda. Sommacya podobna wywołała tém większy tylko dla sprawy zagrożonego zapał, tém energiczniejsze postanowienia obrony, im lepiej miasto było przygotowane do oporu, im pewniejszą zdawała się być pomoc Francyi i odsiecz polska. Zresztą, nie należy i o tém zapominać, nie była siła rossyjska pierwotnie ani dość liczną, ani zaopatrzoną w potrzebny, oblężniczy materyał, mianowicie oblężniczą artyleryą. Miasto nie miało więc powodu nie tylko obawiać się o swe bezpieczeństwo, ale, co więcej, byłoby nawet mogło przy zdolniejszym i śmielszym kierownictwie, podejmując ze swjej strony zaczepne kroki, zniszczyć nadciągający pod

dowództwem generała Lascego korpus moskiewski. Siły po stronie miasta były niemal większe od nieprzyjacielskich, widoki powodzenia nierównie korzystniejsze, aniżeli armii oblężniczój w pierwszych oblężeniach a raczej blokady tygodniach. Na nieszczęście przecież, jeżeli Gdańszczanie byli dość ofiarni i dość waleczni, by się bronić w swych murach i zasłaniać własnymi piersiami powierzającego im się ufnie Stanisława, nie posiadali dość ducha zaczepnego i przedsiębiorczego, by rozpocząć jakiebądź działania po za obrębem swych murów. Ztąd to zapisuje kronika pierwszych dwóch miesięcy oblężenia, Lutego i Marca, same tylko drobne i nic nie znaczące z obu stron potyczki wśród nieustannych wyczekiwań z jednej strony pomocy francuzkiej, z drugiej odsieczy polskiej. Wszelkie wezwania generała Lascego nie odnosiły żadnego skutku, jakkolwiek on sam, nawet już po odebraniu odmownej odpowiedzi od miasta, uciekającą ludność przedmieść uspokoić się starał.

Obronne roboty około szaniec zewnętrznych nie były naówczas pokończone; w razie więc energicznej akcji ze strony rossyjskiej, były pewne widoki powodzenia dla oblężniczój armii. Tak jedna, jak druga strona jednakże ograniczały się na drobnych przeciw sobie, wzajemnych szykanach wojennych bez podejmowania jakichbądź energiczniejszych kroków. Gdańszczanie przyspieszali czém prędzej roboty obronne wobec spoglądającego na nie z pewną spokojną rezygnacją z góry Stolzen-

bergu generała Lascy; kawalerya ich patrolowała odtąd pilnie, co wieczór, w liczbie 50 koni około murów miasta; magistrat wydał surowe rozporządzenia przeciw jakiemubądź znoszeniu się z nieprzyjacielem i rozciągnął ścisłą kontrolę nad wątpliwymi osobistościami przebywającymi w mieście. Raz po raz spotykała się jazda, inny raz *sznaphany* gdańskie z biegającymi po okolicy Kozakami; niekiedy padł strzał działowy z miejskich warowni i kładł trupem zbyt blisko podsuwających się żołnierzy rossyjskich; razu jednego udało się Gdańszczanom zniszczyć piekarnię, jaką sobie oblężnicza armia urządziła na Stolzenbergu.

Otóż przez miesiąc Luty i pierwszą połowę Marca szczegóły i drobiazgi akcji wojennej ze strony miasta. Dokuczliwsze były ze strony armii oblężniczej. Pominąwszy niszczenie i rabunek okolicy; pominąwszy drobne spotkania między Kozakami i żołnierzem miejskim, dało się miastu najdotkliwiej we znaki odwrócenie wody rzeczki Radauny, która obracała wodne młyny miejskie wyrabiające mąkę dla mieszkańców i załogi. W skutek tego dawał się zaraz od początku blokady miastu we znaki niedostatek żywności. Najważniejszy zamach, jaki obrona miasta w pierwszych owych tygodniach oblężenia przedsięwzięła, skończył się, dzięki niedołężności miejskiego majora Trinckiusa, któremu go powierzono, najzupełniejszym niepowodzeniem. Zaledwie 200 ludzi liczący oddział rossyjski zajął wieś Gross-Plönendorf,

by tu ztąd niepokoić załogę miejską, co zaś najważniejsza, ściągać z okolicy żywność dla armii oblężniczkiej. Dnia 10-go Marca (1734) rano wyruszył z rozkazu naczelnie dowodzącego, wspomniany wyżej major Trinckius w 250 ludzi i dwa działa, aby oddział rossyjski w leżącej o milę od miasta nad Wisłą, w górę rzeki, wsi zaatakować i zniszczyć. Zaalarmowano jednakże nieprzyjaciela zbyt rychło wystrzałami działowemi; następnie uderzono nań nie bez powodzenia. Zgniecenie broniącego się w opłotkach wsi nieprzyjaciela zdawało się być już pewnem, gdy wtém bez żadnej potrzeby, nie zagrożony żadnem niebezpieczeństwem major Trinckius karał zatrąbić na odwrót i cofnął się do miasta, nie spełniwszy poleconego mu zadania, straciwszy sam kilkudziesięciu ludzi, między innymi dzielnego szwedzkiego kapitana Blixterfelda i Blixa z pieszej gwardyi koronnej polskiej. Na pochwałę naczelnego dowództwa gdańskiego można powiedzieć, że tuż po tém nieszczęsném zajściu, wytoczyło niefortunnemu majorowi Trinckiusowi śledztwo, w skutek którego tenże ze służby wojskowej miejskiej wydalony został.

Podczas tych pierwszych wydarzeń rozpoczynającego się oblężenia, zarządził król Stanisław, nie obecny ani w boju samym, ani w przygotowaniach obronnych, uroczyste, trzechdniowe, pokutne nabożeństwo wraz z modlitwą i postem na uproszenie łaski niebios o zwycięztwo. Dwa razy dziennie jeździł sam na odpra-

wiające się nabożeństwo, „co,“ jak powiada sumienna kronika oblężenia, „miłość dlań pomiędzy ludem o wiele powiększyło.“

Z połową właśnie miesiąca Marca, kończą się przecież, jeżeli tak wolno powiedzieć, *dobre czasy* oblężenia Gdańskiego, rozpoczynają natomiast jego ciężkie, ale dodajmy zarazem, szczytne i wzniosłe chwile. Dnia 16 Marca przybył do obozu rossyjskiego, przeznaczony na naczelnego dowódcę feldmarszałek Münnich. Oddanie naczelną komendy nad armią oblężniczą pierwszej wojskowej powadze, jaką ówczesna Rossya posiadała, dowodziło, że dwór petersburgski uważa sprawę Gdańską za rzecz niezmiernie wysokięj wagi, że niewątpliwie dołoży wszelkich starań, aby miasto zmusić do poddania. Pomimo tego nie upadał wcale duch w obrońcach Gdańska, tém mniej, że równocześnie z przybyciem feldmarszałka Münnicha pod Gdańsk, w mieście samém rozeszła się pogłoska o klęsce generałów saskich Bauditza i księcia Adolfa Weisenfelskiego w Polsce i o niezawodném wyruszeniu floty francuzkięj na pomoc Gdańskowi. Feldmarszałek Münnich przybył do armii oblężniczëj pod małą eskortą, pruską pocztą, zajął kwaterę we wsi Prust pod miastem i wydał do Gdańszczan pod dniem 18 Marca 1734 groźny manifest imieniem „Cesarzowëj Anny Iwanowny.“ W manifeście tym wzywał feldmarszałek miasto, jako część Rzeczypospolitëj, do uznania prawnie wybranego króla Augusta III, do rozpuszczenia zaciężnego żołnie-

rza, do wydania Stanisława Leszczyńskiego, do oddania swym wojskom jednej z bram miejskich. W razie, gdyby to wszystko w przeciągu 24 godzin nastąpić nie miało, groził feldmarszałek Münnich miastu użyciem najsroższych środków wojennych, pożogą i bombardowaniem, szubieniczną śmiercią na miejskich wałach wziętym do niewoli „*Schnaphanom*,” żołnierzom gwardyi koronnej i innemu regularnemu wojsku, gdyby nie powrócili pod rozkazy prawowitego króla Augusta III. karami spotykającemi buntowników. Rzeczą podziwienia godną, że manifest ten rossyjskiego feldmarszałka, jak już powiedziano, nie zrobił najmniejszego wrażenia, że przeciwnie może, stał się raczej hasłem do podwojenia energii obrony. W odpowiedzi na manifest Münnicha, wydaje magistrat i rada miasta Gdańska pod dniem 24 Marca odezwę powołującą ochotników pod broń. We dwa dni później zakazują pod karą śmierci wszelkiego porozumiewania się z nieprzyjacielem za pomocą sygnałów i puszczanych rakiet; wskazują nadto wszystkim kompaniom miejskim za danymi sygnałami alarmowemi z wieży kościoła Św. Elżbiety, place zborne. W razie takiego alarmu mieli członkowie rady i magistratu Jan Benjamin Engelcke, Karol Wilhelm von Schwarzwald, Karol Godfryd Schmieden, Fryderyk Godfryd Engelcke, Godfryd König, Jakób Martens, Nataniel Godfryd Ferber, Konstanty Bonhorst stawać na czele kompanii miejskich i prowadzić je w porządku na oznaczone miejsca. Kto nie

należał do obrony miasta, miał w razie alarmu trzymać się w domu, „by nie powiększać konfuzji.“ Wreszcie odebrali gospodarze domów rozkaz zapalania latarni i smolnych pochodni na przypadek alarmu. Rozporządzenia owe są zbyt drobiazgowej i szczegółowej natury, abyśmy je tu wszystkie wyliczać mieli. Niechaj te, które wspominamy, starczą jako żywy dowód energii i ofiarności, z jaką zacni Gdańszczanie odpowiedzieli na groźby feldmarszałka rosyjskiego. Wieńczą wreszcie wszystkie te rozporządzenia obronne przepisane przez magistrat i radę miasta Gdańska modlitwy, osobne dla katolików, osobne dla protestantów, osobne dla garnizonu gdańskiego. Wszystko to razem składało się dla Münnicha na najoczywistszą prawdę, że miasto o poddaniu nie myśli, że wzięcie jego wiele jeszcze krwi i czasu kosztować będzie.

Rozesławszy do dworów duńskiego, pruskiego, szwedzkiego, angielskiego, francuzkiego i do Hollandyi kopie manifestu Münnichowego wraz z prośbą o pomoc, czekał Gdańsk ze spokojem, w gotowej postawie zaczętych kroków, które też niebawem nastąpiły.

Tuż po upływie danych miastu do namysłu 24 godzin, kazał feldmarszałek Münnich (19 Marca) usypać na Górze Cygańskiej naprzeciw Góry Gradowej szaniec, opalisadował go, osadził działami i zaczął tu ztąd zamieniać strzały z załogą gdańską na Górze Gradowej. Jedyna też to

chwila, w której Stanisław wychyla się ze swego ukrycia i pokazuje się po raz pierwszy swym obrońcom poza murami miasta. Właśnie kiedy feldmarszałek Münnich utwierdzał Cygańską Górę, wyjechał na przeciwległą Górę Gradową w licznym orszaku senatorów polskich i kawalerów francuzkich król Stanisław, rozpatrywał się w oblężniczych robotach nieprzyjaciela, w obronnych własnej załogi, dodawał swemu żołnierzowi ducha.

Następny dzień (20 Marca) miał się w kronice oblężenia zapisać pierwszym, ważniejszym i krwawszym spotkaniem. Leżące na południe miasta przedmieście Ohra, znajdowało się jeszcze naówczas w posiadaniu załogi miejskiej. Opanowanie tego punktu było dla armii oblężniczej ważnym strategicznie, bo przecinało komunikacją oblężonych z Żuławami i Polską. Münnich kazał tedy zaatakować rano dnia tego równocześnie przedmieścia Ohrę i Schottland. Bój był niezmiernie zacięty. Moskiewski pułkownik Haumann uderzył w 800 ludzi na utwierdzenia Ohry od frontu. Inny, silniejszy oddział, liczący 1500 ludzi, składający się w znacznej części z Kozaków, przeszedł o brzasku porannym rzeczkę Radaunę w bród, zgniółł słaby posterunek miejski i zabrał obrońcom przedmieścia tyły. Wtedy to nastąpiło ciekawe widowisko. Kozacy z armii oblężniczej znaleźli się w obliczu podpułkownika Mazepy z dragonów króla Stanisława, niewiadomo nam jakiego potomka czy krewnego dawnego swego,

słynnego hetmana. Zawrzała wściekła walka między załogą zostającą pod dowództwem Mazepy a Kozakami. Rezultat jój byłby mógł być wątpliwym, gdyby się rozmaite okoliczności nie były złożyły na klęskę Gdańszczan. Dzielny szwedzki inżynier, podpułkownik Palmstruck zajmujący w 1000 ludzi bramę Petershageńską, chciał iść załodze Ohry w pomoc, powstrzymał go jednakże od jego zamiaru rozkaz naczelnój komendy. Prócz tego nie dotrzymali placu użyci do obrony przedmieścia żołnierze koronnój gwardyi polskiej. Pomimo to wskazuje walka dnia 20-go Marca czyny prawdziwego heroizmu ze strony zaczepionych. Porucznik Gellentín nie przestawał walczyć, straciwszy dwa palce u prawej ręki; poległ odebrawszy czternaście ran. Kanonier załogi, zagwoździwszy działo, wysadził się w powietrze wraz z magazynem prochu. Dwóch synów porucznika Schefflera, jeden 12, drugi 14-letni dostali się mężnie walcząc, z bronią w ręku do niewoli. Münnich, wynagradzając męstwo, odesłał ich za wstawieniem angielskiego rezydenta do miasta. Pomędzy ciężko rannymi był ojciec obu chłopców, kapitanowie Barfuss i Fraisinet. Ogółem stracili tu Gdańszczanie do 200 ludzi i 4 działa; podpułkownik Mazepa zdołał się po bohaterskim oporze cofnąć z niedobitkami załogi do miasta. Strata nieprzyjacielska była o wiele większa, wynosiła blisko 800 ludzi; między poległymi znajdował się podpułkownik Haumann, zięć generała Lascy, dowó-

dzca ataku. Ostateczny rezultat był jednakże dla Gdańszczan niekorzystny, Ohra była wzięta, od dnia 26 Marca założył sobie w niej feldmarszałek Münnich główną kwaterę. Prócz szkody strategicznej, jaką utrata tyle ważnego punktu za sobą pociągnęła, miała ona jeszcze i to zgubne następstwo, że w skutek zajęcia całej okolicy przez armią oblężniczą, wszystko co tylko mogło, zaczęło się chronić do miasta. Przyszło w ten sposób żywić magistratowi, i tak już zakłopotanemu o środki utrzymania mieszkańców i załogi, przynajmniej 10,000 ludzi więcej i to ludzi niezdolnych do obrony szaniec, żywił po największej części bardzo wątpliwą pod względem moralnej wartości.

Przez kilkanaście dni następnych ograniczała się działalność oblężniczej armii na nieszkodliwym bombardowaniu miasta, ponieważ dział oblężniczych jeszcze nie miała, następnie na szczęśliwym atakowaniu różnych wysunionych daleko, znajdujących się w posiadaniu załogi miejskiej szaniec. Lepiej było je zniszczyć i opuścić, skoro ich skutecznie bronić nie było można. Naczelna komenda kazała im się bez należytego poparcia bronić a tak wpadły przez ostatnie dni miesiąca Marca w ręce nieprzyjaciela po zaciętej i walecznej zwykle obronie, z kolei szaniec jezuicki pod klasztorem Jezuitów, tak zwany wielki szaniec obok góry Cygańskiej; wreszcie wziął szturmem major carski Roth po dzielnym oporze szaniec Haupt we widłach dwóch koryt Wisły, broniony przez kapitana

gdańskiego Huberechta. W bojach tych straciła załoga walecznego porucznika Goldmanna i kilkunastu żołnierzy z gwardyi koronnej polskiej.

Pomimo tego nie upadał Gdańsk na duchu. Chcąc zabezpieczyć miasto od możliwej zaczepki ze strony południowej, bardzo prawdopodobnej po zajęciu Ohry przez nieprzyjaciela, kazał magistrat puścić z dymem przedmieście Schottland. Równocześnie, odbierając od Montego zaręczenia niezawodnej pomocy francuzkiej, kołysany nadzieją odsieczy polskiej, podwajał w tych krytycznych chwilach ciągle tylko środki ostrożności, przyjmował zaś nadewszystko w służbę miejską nadarzających mu się z rozmaitych stron ochotników. Tak przybył w pierwszych dniach Kwietnia, chętnie przyjęty przez miasto, dzielny pułkownik francuzki de Harang; tak przybyło morzem, od Weichselmünde, równocześnie prawie, 60 ochotników szwedzkich.

Wkrótce za nimi nadpłynął nowy oddział 90 ochotników szwedzkich, ku tém większej radości miasta, im śmielój francuzki ambasador Gdańszczanom zaręczał, że to tylko przednia straż 10 tysięcznego korpusu, który flotta francuzka niebawem do portu gdańskiego przywiezie.

Tymczasem jednakże rozpoczynają się w owych pierwszych dniach Kwietnia rozmaite dokuczliwości oblężenia dla mieszkańców miasta. Nasamprzód stał się w skutek opanowania całej okolicy, przez nieprzyjaciela dowóz żywności do miasta od strony łądowej rzeczą niepodobieństwa. Dalej ustala wszelka

komunikacja pocztowa. Po raz ostatni przepuścił w pierwszych dniach Kwietnia feldmarszałek Münnich pocztę pruską z listami przeznaczonemi dla księżnej kurlandzkiej, która niepojętym dla nas sposobem przez cały czas oblężenia pozostała wraz z sądziwym małżonkiem w mieście. Prócz tego nasłał feldmarszałek rosyjski miasto co chwila udającymi dezertarów szpiegami, odbierał od nich pomimo zakazów i zagrożeń magistratu raketowe sygnały, otaczał miasto ze wszech stron coraz to gęstszym pierścieniem szaniców od strony zachodniej i południowej. Wschodniej, jak już powiedziano, strzegły wylewy wody; północnej utwierdzenia, których najgłówniejszym i najdalej wysuniętym punktem była twierdza Weichselmündzka. W uznaniu ważności tego stanowiska, przeznaczyła naczelną komendę gdańską na placomendanta twierdzy w miejsce dotychczasowego kapitana Patzera, adjutanta króla Stanisława, pułkownika szwedzkiego Stackelberga. Tymczasem znaczyła się kronika postępującego oblężenia coraz jaśkrawszymi szczegółami. Pewnego dnia płonie wśród walki rosyjskiego żołnierza z wycieczką załogi położoną na północ miasta karczma *Grosser Holländer*; inny raz z rozkazu magistratu, przedmieście *Schottland*. Trzeciego dnia usiłują Rosyianie przerwać komunikacją między miastem a morzem i przypuszczają szturm do tak zwanego *Sommerschantze*, leżącej mniej więcej na połowie drogi do Weichselmünde. Atak był wściekły, ale

obrona pod dowództwem walecznego francuzkiego kapitana Laland jeszcze energiczniejsza. Zabrakło obrońcom szańca chwilowo amunicji, rzeczy stały krytycznie; na szczęście nadpłynął wśród najgorętszego żaru walki prom z Weichselmünde, kierowany przez dwudziestu sterników i przywiózł załozdze potrzebną amunicją. Atak rossyjski został ze znaczną stratą odparty a oblężeni starali się dalszym zamachom feldmarszałka Münnicha na ten ważny punkt, zapobiedz przez ustawienie na rzece stałego, zaopatrzonego w ośm dział promu.

Nie mniej szczęśliwie wiodło się oblężonym w ostatnich dniach Marca, w pierwszych Kwietnia i na innych punktach. Feldmarszałek Münnich kazał usypać dwa wielkie szańce, jeden naprzeciw *góry gradowej*, drugi naprzeciw *góry biskupiej*, by w ten sposób mógł ostrzeliwać dwa główne punkty utwierdzeń miejskich. Tymczasem zrobił dnia 29 Marca kapitan załogi miejskiej Schmeling szczęśliwą wycieczkę bramą oliwską w 200 ludzi, zniszczył baterią rossyjską naprzeciw *góry gradowej* i odparł strzegący ją oddział ze stratą 40 ludzi. Tuż następnie zrobił taką samą wycieczkę podpułkownik Palmstruck z *góry biskupiej* w 130 ludzi i zniszczył również przeciwległy rossyjski szaniec. Wszystkie tego rodzaju drobne utarczki, jak nie stwierdzały żadnego postępu roboty oblężniczej, tak dodawały przeciwnie otuchy oblężonym. Było rzeczą widoczną, że wszelkie groźby feldmarszałka Münnicha pozostaną tak długo nadaremne, do-

póki armia rosyjska nie będzie miała zbywających jej dział i amunicji oblężniczej. Działa te i amunicją trzeba było sprowadzać z Rosyi morzem; za wylądowaniem zaś ich przedstawiały się bardzo poważne przeszkody transportu. Wisłą nie było ich można sprowadzić do armii, ponieważ zamykająca wjazd do portu gdańskiego twierdza Weichselmünde, silnie obsadzona, znajdowała się w posiadaniu Gdańszczan, pod dowództwem trzech dzielnych oficerów, kapitana Patzera z załogi miejskiej i dwóch Szwedów, pułkownika Stackelberga i porucznika Tiesenhausena. Zabezpieczała nadto, jak nam wiadomo, komunikacją między miastem a Weichselmünde tak zwana *Sommerschantze*. Działa więc i amunicja oblężnicza rosyjska mogły tylko być wylądowane na terytoryum pruskie w Piławie i tu ztąd przez toż terytoryum być transportowane pod Gdańsk. Na to trzeba znów było zezwolenia rządu pruskiego, który był neutralnym, miał ciągle dotychczas w Gdańsku osobnego reprezentanta w osobie rezydenta Brandta i nie chciał dopuszczać początkowo żadnych transportów rosyjskich przez swoje kraje. W skutek powtarzających się nalegań Carowej Anny zgodził się nareszcie gabinet berliński na przepuszczenie podobnego transportu, ale, cokolwiekbądź, nie można było jeszcze tak prędko na przybycie jego liczyć i trzeba było co najmniej kilka tygodni odczekać. Na tymczasem ściągnął feldmarszałek Münnich do armii oblężniczej kilka pułków rosyjskich znajdujących się

dotąd w okolicy Warszawy a nadto wyprawił do Elbląga w 500 dragonów i 400 piechoty pułkownika Boya, by sprowadzić ztamtąd działa i amunicją, jaka się znajdzie. Transport ten przybył dnia 9 Kwietnia pod Gdańsk; sprowadzone działa zostały ustawione na *górze cygańskiej*, ale za pierwszemi zaraz strzałami pokazało się, że miastu nic nie szkodzi i że trzeba będzie czekać zapowiedzianego z Rossyi transportu. Jako jedyną, odniesioną podczas owój kwietniowój blokady przez armią oblężniczą korzyść uważać należy, że jój się udało na lewym brzegu Wisły usypać szczęśliwie dwie reduty, z których niepokoili komunikacją między miastem a Weichselmünde, tudzież, że zajęli na tak zwanym *Holmie* opuszczoną dobrowolnie przez oblężonych *Winterschantze*. Powodzenia te, jakkolwiek bardzo nieznaczne i mało rzecz posuwające, zdawały się przecież dawać feldmarszałkowi Münnichowi prawo do wystawienia na próbę wytrzymałość i wierność dowódców twierdzy Weichselmündzkiej. Pod dniem 7 Kwietnia wyprawił do plackomendanta, kapitana Patzera, list zostawiający mu wybór albo między poddaniem twierdzy „za cenę kilku tysięcy“, albo między karą przeznaczoną dla buntowników, jeżeli Weichselmünde szturmem wzięte będzie.

Kapitan Patzer odrzucił tak groźby, jak ofiary z godną stanowczością a naczelny dowódzca oblężniczej armii nie mogąc przed nadejściem dział i amunicyi nic zdziałać, ograniczył się na usypa-

niu dwóch szanów mających przeszkadzać komunikacyi między miastem a morzem i na urzędzeniu oszańcowanego, rossyjskiego obozu na południe Weichselmündzkiej twierdzy. Miasto odpowiadało na te nieprzyjacielskie próby i przedsięwzięcia sypaniem równoległych szanów i redut, w czém mianowicie widzimy czynnym dzielnego inżyniera, majora Ennebergha. Oblegający i oblężeni zamieniali ciągle z sobą działowe strzały a tymczasem podkradali się, czołgając, pod posterunki rossyjskie naprzeciw *góry gradowej* i *biskupiej* znani nam już „szlapmanery“ i sprzątali żołnierzy celnymi strzałami. Nadaremne były groźby feldmarszałka Münnicha, że w razie wzięcia do niewoli, nie będzie ich uważał za jeńców wojennych i że ich każe wieszać. Wojownicza fantazyja połączona z chęcią rabunku była u tych ochotników zbyt żywa, aby ich jakabądź groźba, jakiebądź niebezpieczeństwo powstrzymać było mogło. Prócz tych drobnych powodzeń, wpłynęła na podniesienie ducha w mieście podrzędna sama przez się okoliczność.

Dnia 11 Kwietnia zawinęła znów do portu gdańskiego szwedzka brygantyna z transportem prochu, amunicyi, broni i 40 rekrutami. Wypadek ten wyzyskany naturalnie przez markiza de Monti, przedstawiany przezeń jako niezawodny znak bliskiej odsieczy francuzkiej, przyczynił się nie mało, że nadchodzące równocześnie czy to ze strony feldmarszałka Münnicha kapitulacyjne sommacye

czy to upomnienia Czapskiego wojewody chełmińskiego, czy to rezydenta pruskiego Brandta, stanowczo odrzucone zostały. Oko Gdańszczan wytężone ze strażnicy Weichselmündzkiej ku morzu, spodziewało się od godziny do godziny niemal dojrzeć wynurzające się białe żagle zapowiedzianej floty, przyrzekanej uroczyście i na pewne odsiecznej armii francuzkiej.

Niestety, zamiast wyczekiwanej pomocy i odsieczy miała się pojawić w dotykanej postaci nowa dla bohaterskiego miasta groza. Nieleddie w tym samym dniu, kiedy Monti, być może nawet, że w dobrej wierze, zaręczał szybkie nadejście francuzkiej pomocy, dnia 28 Kwietnia, sprowadził wysłany przez Młtnnicha kapitan Jaeger z Piławy, przez terytoryum pruskie do obozu rossyjskiego pod Gdańsk 64 różnokalibrowych dział oblężniczych z odpowiednią amunicją. Dnia następnego przybyły prócz tego pocztą, również przez terytoryum pruskie, pod firmą bagaży osobistych dowodzącego naczelnie armią saską Adolfa księcia Weissenfelskiego nowy transport dział. Wieści o przybyciu artylerji oblężniczej do obozu rossyjskiego krzyżowały się w mieście dziwnie z równoczesnemi wieściami o zbliżaniu się floty i pomocy francuzkiej. Raz po raz, w tych samych chwilach, pojawił się istotnie w porcie gdańskim w obliczu Weichselmünde bądź to jaki francuzki statek będący zwiastunem podobnej pomocy, bądź statek szwedzki przywożący ze Sztokholmu trochę broni i rekrutów. Równocześnie

przecież przyniósł pewną już wiadomość o oblężniczej artylerii rosyjskiej zbiegły szczęśliwie do miasta wieśniak okoliczny, potwierdził ją w sposób kategoryczny rezydent angielski, który wyjeżdżał w osobnych swych interessach do obozu rosyjskiego pod Ohre.

Dnia 30 Kwietnia o godzinie 8 wieczorem padły pierwsze palne bomby na miasto; jedna z nich uderzyła we wieżę ratuszową. Chwila ta stanowi epokę w dziejach tego pamiętnego oblężenia; powiedzmy zaraz jednakże z góry, iż ku niespożytemu zaszczytowi obrony. Nie można zaprzeczyć, iż pierwsze bomby, iż następne dni bombardowania rzuciły pewien popłoch na ludność. Co chwila uderzały bomby w dachy i wieże publicznych gmachów, zapalały domy prywatne, zmuszały mieszkańców zamykać otwarte dotąd sklepy, chronić się do sklepów, szukać pomieszczenia w mniej zagrożonych częściach miasta. Sam król Stanisław przeniósł się na mieszkanie do wschodnio-południowej części miasta, Langgartenu. Tamże przeniosła się też ze swemi posiedzeniami rada miejska wraz z magistratem. Raz po raz zabijały lub kaleczyły pociski ludzi na ulicach, krzyki rannych napełniały powietrze, przerażały niezwykłością widoku. Rezydenci hollenderski, angielski, rezydent pruski von Brandt udali się na wyraźną prośbę władz miejskich do obozu rosyjskiego z żądaniem zawieszenia broni. Pocztmistrz Billau domagał się nadto pewnych swobód dla kommu-

nikacyi pocztowej. Wszystko nadaremno; feldmarszałek Münnich trwał przy podanych przez się warunkach, zgadzał się tylko, co najwięcej, na wolny przejazd statków hollenderskich i angielskich, jeżeli się poddadzą rewizyi nadbrzeżnych posterunków rossyjskich. Na ten warunek nie chciało się przecież zgodzić miasto, jak się nie chciało również zgodzić na wypuszczenie kogo-bądź ze swych murów, mianowicie księstwa kurlandzkich. Jeżeli się nie mylimy, była przyczyną podobnego zakazu chęć posiadania w swych murach dostojników zdolnych i skłonnych wstawić się w stanowczej chwili za miastem.

Nadto udała się deputacya miejska do króla Stanisława z zapytaniem, jak właściwie rzeczy stoją, czy pomoc francuzka nadejdzie, czy to rychło nastąpi, czy król francuzki stósownie do danego przyrzeczenia gotów miastu wynagrodzić szkody zrządzone przez bombardowanie? Poczciwy król Stanisław przyjął deputacyą miejską, mając przy swym boku energicznego, stróżującego wszystkie kroki jego markiza de Monti. *Tęj* to okoliczności przypiszmy zapewne, że jakkolwiek ubolewając nad smutną dolą miasta, Stanisław upominał miasto do wytrwałej obrony, że kazał mu liczyć na pewność odsieczy francuzkiej. Obecny zaś *tęj* odpowiedzi Monti, kazał na poczet summy indemnizacyjnej wypłacić miastu bezzwłocznie kwotę 30,000 dukatów.

Otóż wrażenia i wypadki pierwszych dni bombardowania. Rzecz dziwna, że, jak zresztą stwier-

dzają to samo doświadczenia wszystkich oblężeń, za dni naszych Paryża choćby, oblężeni, tak żołnierz, jak mieszkańcy, poczynają się prędko oswajać z grozą podobnego niebezpieczeństwa. Dzielny i bohaterski w prostocie swój magistrat gdański urządza energicznie i umiejętnie straż ogniową, mającą za danym sygnałem dążyć bezwzględnie na miejsca zagrożone pożarem. Ludność przestała się obawiać bomb i nauczyła się ich zręcznie unikać. Często objawiał się nawet humor na widok uderzających o bruk pocisków. Przekupki miejskie zbierały zgasłe bomby i ich czerepy, w przekonaniu że to niezawodna ochrona przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu. „*Phi, phi, phi*“ wołały w narzeczu ludowym, „*da kommt der Drack getragen*“, gdy bomba o bruk uderzała. Jaskrawa słowem mieszanina bohaterstwa z ustawiczną grozą niebezpieczeństwa, humor, pospolitość, wojenna fantazyja objawiająca się wśród zapadających co chwila z łoskotem kamienic, wśród wytryskujących co chwila po nad dachami płomieni. Jakże z całością podobnego położenia rzeczy harmonijnie łączy się następny fakt ze strony feldmarszałka Münnicha: Bombardującemu miasto wodzowi przybrało do jego stołu wina. Wyprawił tedy do bombardowanych trębacza z prośbą, aby mu za stósowną zapłatą odstąpili beczkę węgryzyna. Kupcy gdańscy zgodzili się na propozycją feldmarszałka i wyprawili mu w wolnej od bombardowania chwili żądane wino.

Z tych też to pierwszych dni nowego utrapienia spadającego na nieszczęsne miasto, należy nam zapisać fakt, mało dodatni niestety, jakiegobądź przecież obecności *polskiej* na téj zakrwawionéj i opłomienionéj za Polskę widowni. Nadciągnął wówczas z korpusem 8000 Sasów i rozłożył się obozem pod przedmieściem Langfuhr książę Adolf Weisenfelski. W obozie jego pojawił się wypróbowany zwolennik Augusta III, biskup kujawski Krzysztof Szembek i wystósował do walecznych Gdańszczan nieusłuchane naturalne wezwanie, by się jego panu poddali. Czyż zaszczytniejszy fakt drugi? Jeżeli, jak już powiedzieliśmy, oko Gdańszczan wytężone w stronę morza, wyglądało od godziny do godziny białych żagli floty i odsieczy francuzkiéj, wyglądało z nie mniejszém upragnieniem a tém większą nadzieją, zwracając się w stronę przeciwną, pomocy i odsieczy *polskiej*. Nadzieja i oczekiwanie z pewnością słuszne. Jeżeli Gdańsk krwawił się i gorzał ofiarnie w obronie ostatniego króla wolnéj woli polskiéj, jeżeli Niemcy, Francuzi, Szwedzi, Kozacy walczyli już od kilku miesięcy mężnie i z poświęceniem za sprawę Polski, o ileż większy, o ileż świętszy obowiązek ciężał na Polakach obrony własnéj, przyniesienia odsieczy bombardowanéj, gorejącéj metropolii bałtyckiego handlu! Wojewoda malborski Czapski, biskup kujawski Szembek umieli jéj tylko doradzać zdanie się na łaskę elektora saskiego! Jan Tarło wojewoda lubelski, jeden

z wojennych naczelników zawiązanéj w interesie Stanisławowym konfederacyi opatowskiej, postanowił przecieź pospieszyć Gdańskowi z odsieczą. Jak cała ta nieporządna i dorywcza wojna, tak i owo przedsięwzięcie Tarły, nosi na sobie niestety wszelkie cechy najzupełniejszej niedołężności. Wojewoda lubelski rozporządzał liczebnie bardzo poważną siłą. Zebrało się pod jego komendą 10,000 ludzi pospolitego ruszenia, 2000 regularnego żołnierza. Z siłą tą ruszył Tarło ku Prusom, w połowie miesiąca Kwietnia a więc krótko przed rozpoczęciem bombardowania, znalazł się w okolicy Tucholi i Chojnic a w pochodzie swym, po którym się obrona miasta bardzo wiele spodziewała, potknął się o kilkutysięczny korpus rosyjski generała Zagrackoja.

Rzecz dziwna, że jak wszystkie inne szczegóły owego oblężenia najdokładniej znane, tak *ten* właśnie ustęp wojny jest ciemny i niezrozumiały. Niemieckie sprawozdania z oblężenia gdańskiego opowiadają ów epizod odsiecznej wyprawy Tarły w sposób mętny, dla jego waleczności i inteligencji wojskowej ubliżający. On sam, ani nikt z uczestników jego wyprawy, nie pozostawił znanych dotąd dokumentów, pamiątek może, z którychby się postępowanie jego lepiej i inaczej ocenić dało. Już od Stycznia znajdowała się pod dowództwem pułkownika Debitza mała rosyjska załoga w Toruniu, alarmowana raz po raz więcéj hałaśliwie, aniżeli szkodliwie przez starostę rypińskiego Meldzyńskiego i hr.

Schliebena, obu partyzantów króla Stanisława w Prussach. Nadciągający Tarło mógł się z nimi połączyć, zgnieść nie tylko rossyjską załogę w Toruniu, ale i słaby korpus zabiegającego mu drogę do Gdańska generała Zagrackoja. Zamiast z sobą walczyć, wdały się obie strony w układy. Zagrackoj obawiał się widocznie liczebnej przewagi Tarły, Tarło nie ufał również waleczności swjej komendy i obawiał się spotkania z regularnym żołnierzem rossyjskim. Wpadł więc na oryginalny pomysł skomunikowania się z królem Stanisławem w Gdańsku za pośrednictwem i z wiadomością feldmarszałka Münnicha. Generał Zagrackoj, który na podobnej zwłoce nic stracić nie mógł a zyskiwał przeciwnie czas do wydobycia się z matni, zgodził się na propozycją Tarły.

Wojewoda lubelski wyprawił adjutanta swego Idzikowskiego wraz z drugim towarzyszem do Gdańska, sam posuwając się również ku oblężonemu miastu powolnemi marszami, zatrzymywany i łudzony co chwila propozycjami i ofiarami zawieszenia broni swego przeciwnika. Tak zawędrował Tarło ze swym odsiecznym oddziałem w pobliże Lauenburga. Feldmarszałek Münnich tymczasem przepuścił Idzikowskiego wraz z jego towarzyszem, ale zostawił im umyślnie tak krótko wymierzony czas do konferencyi z królem Stanisławem, iż w oznaczonym terminie powrócić nie mogli. Münnich skorzystał z podobnego spóźnie-

nia obu wysłańców Tarły, uważał w niém czyn niedotrzymanego słowa i już ich z powrotem przez swe linie nie przepuścił. Tarło nie wiedząc nic, co się z jego wysłańcami dzieje, zaszedł pod wieś lauenburgską Wussow, mając ciągle przed sobą ustępującego zręcznie Zagrackoja. Korzystając z wywołanej przez negocjacje Tarły zwłoki, korzystając nie mniej z przerwy komunikacyi między obleżonem miastem a nadciągającą polską odsieczą, wyprawił feldmarszałek Münnich pewną część swych grenadyerów i piechoty pod dowództwem generała Lascy na pomoc zagrożonemu Zagrackojowi.

Obaj rosyjscy generałowie uderzyli dnia 18 Kwietnia pod Wussowem na Tarłę i przyprawili go o sromotną klęskę. Takież sam los spotkał polskie oddziały, które najprawdopodobniej pod dowództwem starosty Meldzyńskiego i Schliebena nadciągały ku Gdańskowi po prawym brzegu Wisły. Po krótkiej potyczce rozproszyły je rosyjskie komendy pod dowództwem pułkownika Boya, kapitana Kasturyna i porucznika Krassowskiego w okolicy Elbląga i Braunsberga.

Łatwo pojąć smutne wrażenie, jakie taka klęska polskiej odsieczy w Gdańsku wywołała, łatwo pojąć, że feldmarszałek Münnich z podobnego wrażenia korzystać nie omieszkał. Wśród ciągle trwającego bombardowania, wśród wytryskujących co chwila z różnych publicznych i prywatnych gmachów płomieni, które w nocy mianowicie stra-

sznie wspaniały przedstawiały widok, postanowił feldmarszałek Münnich w obawie odsieczy francuskiej przerwać przedewszystkiem komunikacją między Gdańskiem a twierdzą Weichselmündzką. Jako najskuteczniejszy podobnego przedsięwzięcia środek przedstawiało się wzięcie okopu *Sommerschantze* leżącego na prawym brzegu Wisły w górę rzeki za Weichselmünde. Szaniec ten miał bardzo obronną pozycją, na załodze 130 ludzi z 4 działami pod dowództwem kapitana Fischera. Podjęte przez Rosyan pod dowództwem pułkownika Leslie i kapitana Königa dnia 2 Maja oblężenie okopu, skończyło się po czterech dniach jego wzięciem. Opór był prawie niepodobny, fortyfikacje były zniszczone ciągle trwającem bombardowaniem, wieża prochowa wyleciała w powietrze. Pomimo tego była obrona miasta tak energiczną, tak daleką jeszcze od upadku ducha i jakichbądź intencji kapitulacyjnych, że magistrat gdański kapitana Fischera, który szaniec poddał, nie tylko w téj chwili zdestytuował, ale nawet pod areszt wziąć kazał.

Powodzenie w szturmie *Sommerschantze*, ustawiczna obawa odsieczy francuskiej, nadchodzące wreszcie z Petersburga do Carowej Anny rozkazy, aby się z Gdańskiem co prędzej uprzętnąć, wszystko to, jak nie ma wątpliwości, przyczyniło się razem, że feldmarszałek Münnich postanowił nareszcie wykonać walny zamach, w przekonaniu że duch Gdańszczan złamany po klęsce Tarły

i szturmie *Sommerschantze* a obrona nie będzie zbyt zaciętą. W tym celu odbył z generałami Bironem i Lascym dnia 7 Maja z góry *cygańskiej* rekonesans i postanowił przypuścić szturm do klucza fortyfikacji miejskich, który stanowiły silne, w jak najlepszym stanie znajdujące się utwierdzenia Biskupiej i Gradowej góry. Czy pomysł podobny rosyjskiego dowódcy był szczęśliwym, czy nie był według wyrażenia francuzkiego nieostrożném „chwytaniem byka za rogi,” zobaczymy niżej a tymczasem przypatrzmy się jego wykonaniu stanowiącemu zarazem kulminacyjny, najświetniejszy ustęp w dziejach obrony miasta. Żadne choćby najpamiętniejsze w historyi wojen oblężenie, żadna Saragossa czy Genua, nie mogą się podobnym poszczycić.

Udało się, jak zauważyć należy, przybyć w tej ciężkiej chwili do miasta generałowi szwedzkiemu Steinflychtowi, który później tak przy osobie króla Stanisława, jak w obronie miasta ważną jeszcze odegra rolę.

Naczelny dowódzca oblężniczej armii przeznaczył noc 9 Maja, nazajutrz po obchodzonych w mieście imieninach króla Stanisława na wykonanie szturm. Wykomenderował na ten cel 8000 ludzi pod dowództwem generałów Bariatyńskiego i Birona. O siódmej wieczorem rozstawiły się te wojska zasłonięte utwierdzeniami *Cygańskiej Góry*. Utworzono trzy kolumny. Podobnie jak w szturmie okopów warszawskich dnia 6 Wrze-

śnia 1831, postawiono na czele każdej z nich 200 ochotników-grenadyerów, z których każdy miał po 4 ręczne granaty, i 800 muszkietarów, z których każdy był zaopatrzony w 24 naboje. Reszta przeznaczonęj do szturm siły niosła za ochotnikami faszyny, rydle i szturmowe drabiny. Na czele każdej kolumny stanął jeden pułkownik, 1 podpułkownik, 3 kapitanów, 9 poruczników i 1 oficer inżynieryi.

Nazwiska tych dowódców, zauważmy, wyłącznie prawie niemieckie. Prawą kolumną prowadzi kapitan Retsch, środkową podpułkownik Brodke, lewą kapitan Steuben. Przystawione między szturmującymi trzema kolumnami wynosiły 30 do 40 kroków; szturmujący mieli się w swym ruchu na miejskie fortyfikacje trzymać na jednej i tej samej wysokości, rozrywać palisady i zdobywać utwierdzenia jedno po drugim. Równocześnie z tym prawdziwym szturmem na górę gradową i biskupią, miało 1500 ludzi zabawić załogę fałszywym atakiem od bramy Oliwskiej. Około godziny 10, z zapadłą nocą, wśród huku dział i bomb ciągle uderzających, rozpoczął się ruch szturmowych kolumn ku szczytom obu gór. Żywo i malowniczo skreśliła ową kulminacyjną w dziejach oblężenia gdańskiego chwilę relacya naocznego świadka. Spokojni i wytrwali, ale smutni z powodu szerzącego się przez bombardowanie spustoszenia, siedzieli obywatele gdańscy przed kwaterami swemi na najbezpieczniejszym jeszcze stósunku

wo Langgartenie, gdy w tém przerwały ich spokój i zakłóciły straszną, ale regularną harmonią bombardujących miasto dział oblężniczych, liczne salwy artylerji polowej i ów tak dobrze znany doświadczonemu uchu łoskot muszkietowego ognia. W téj chwili zrozumiano, że się wydarzyło coś nadzwyczajnego, że nieprzyjaciel zabiera się do niebezpiecznego zamachu. Ozwały się po całym mieście alarmowe trąby i jękliwy głos dzwonów; zajaśniały we wskazanych miejscach latarnie, oświetlające ponuro miasto.

Podziwienia godną jest w téj uroczystej chwili postawa obywatelstwa gdańskiego, owych niewojennych nibyto na pozór rzeźników, cieśli, krawców, kupców gdańskich. Chwytają za broń, spieszą na przeznaczone sobie, alarmowe place, ztamtąd prowadzą ich dowódcy na zagrożone szczyty góry biskupiów i gradowej. Tłumy kobiet i dzieci napełniają ulice płaczem i jękami, widząc ojców, mężów, braci po raz pierwszy od początku oblężenia wystawionych na niebezpieczeństwo ręcznej walki z nieprzyjacielem. Tymczasem wzmacnia się huk kanonady, łoskot ognia muszkietowego coraz donośniejszy. Cóż się dzieje w téj stanowczej, w téj wzniosłej chwili z królem Stanisławem? Jak chętnie widzielibyśmy go w ręku obrońców miasta, dzielącego niebezpieczeństwa, ale i chwałę walki, zachęcającego przytomnością samą swą choćby tylko ów różnojęzyczny, niemiecki, polski, francuzki, szwedzki tłum, gotowy po-

łożyć głowę w obronie sprawy jego królewskości, w obronie wielkiej idei, którą reprezentowała! Tymczasem, co mówi niestety kronika oblężenia o królu Stanisławie w *tej* właśnie chwili? „Król Stanisław odbywał godziny modlitwy z duchowieństwem w swój komnacie i leżał przez cały ten czas na kolanach!”

Przypatrzmy się teraz przebiegowi *tej* nocnej walki, której towarzyszą modły jednych, płacz i jęki drugich, której przyświecają ponuro z jednej strony czerwona łuna płonących gmachów miasta, z drugiej połyski działowego i muszkietowego ognia. Szturmujący ochotnicy, nie można inaczej powiedzieć, wzięli się do dzieła z niepospolitem męstwem. Już kiedy kolumny stawały i rozwijały się do szturm, sypał się na nie przez dwie godziny z zagrożonych okopów gęsty ogień. Strzelanina ta obudziła czujność miasta i dała czas jego obrońcom stanąć zbrojno na wyzwanie Münnicha. Około północy ruszyły szturmowe kolumny w jak najlepszym porządku na szańce, rozrzuciły palisady, przekroczyły fosy, wzięły mimo walecznej obrony redutę Neubauer na górze biskupiej, ale to wstępne zwycięstwo właśnie kosztowało je zbyt drogo, opłaciło im się późniejszą, straszną klęską. Oficerowie szli na czele kolumn, Gdańszczanie brali *ich* szczególnie na cel, wystrzelali lub ranili prawie wszystkich. Żołnierze pozostawieni sobie sami, bez dowódców, walczyli z niesłychanym męstwem, wdzierali się poza palisady i fosy

we wnętrze szanów, ale ostatecznie nie wiedzieli, co robić, gdzie się obrócić, ginęli tłumnie bez żadnej korzyści.

Tymczasem zaważyła jeszcze na szali obrony przybywająca wciąż pomoc z miasta. Przybyło na plac walki mieszczaństwo gdańskie, biło się wściekle. Zabrakło mu amunicji; przywożono ją z miasta na plac boju wozami. Po czterogodzinnym, wściekłym mordzie wyrzucono Rosyjan z zajętych już okopów. Zaczęło dzień, była godzina blisko czwarta. Nadjechali feldmarszałek Münnich, generał Lascy, a widząc straszną rzeź swoich, chcąc im oszczędzić dalszej, nakazali odwrót. Zaciętość po obu stron była tak wielka, że żołnierze rozkazu słuchać początkowo nie chcieli. Nareszcie między 4 a 5 rano rozpoczął się ich odwrót. Gdańszczanie posyłali raz po raz za ustępującym nieprzyjacielem gęste salwy kartaczowe.

Wschodzące słońce dnia 10 Maja oświeciło najzupełniejsze zwycięstwo Gdańszczan, nie mniej doszczętny pogrom szturmującej armii. Padło 120 officerów, przeszło 4000 żołnierzy rosyjskich. Do dziś dnia jeszcze nosi część tego pamiętnego pod Gdańskiem pobojuwiska nazwę „rosyjskiego cmentarza.“ Strata załogi nie przenosiła według wiarogodnych sprawozdań, 42 w zabitych, 50 w rannych. Dzień po bitwie był w mieście dniem prawdziwego tryumfu i niezmiernie podniesionego ducha. Modły dziękczynne, dźwięk dzwonów, sal-

wy armatnie, tryumfalne okrzyki ludu po ulicach oswobodzonego, chwilowo przynajmniej, miasta, otóż, co zapisuje urzędowy dziennik oblężenia gdańskiego jako objawy dnia tego.

Nie ręczylibyśmy, czy nie pod wrażeniem tego zwycięstwa nie zaczęli doświadczać sił swych poeci miejscy, opiewać cnoty Stanisława, wzywać wszystkich do dzielnej obrony, sławić wolnych strzelców gdańskich, wołać o pomoc niewiast i dziewic gdańskich. Wojna ta poczęła wyradzać poezją ludową miejscową. *Auf, auf, wider ihre Feinde!* brzmi tytuł jednej takiej, nieurobionego, niekształtnego języka, ale pełnej rzeczywistego zapału ody, która rozpoczynała się dwuwierszem: *Auf, gutes Danzig auf! auf! rueste dich bei Zeiten, fuer Deines Königs Recht und fuer Dein Heil zu streiten!* Jakże bolesnym, jakże dolegającym do dziś dnia serce polskie wyrzutem brzmi w dalszym ciągu inwokacya do szlachty polskiej w tym niemieckim wierszu: *Auf, grosser Adel auf! und schwinde dich zu Pferde, Beschuetze deinen Herrn, erleichtre die Beschwerde die jetzt die gute Stadt mit grosser Noth betruet, Die Stadt, die ihren Herrn von treuem Herzen liebt!* Inwokacya niestety, która miała pozostać głosem wołającego na puszczy.

Nie psujmy przecież podobnemi uwagami tryumfu gdańskiego po odniesioném zwycięstwie, tryumfu, który istotnie objawiał się hałaśnie i radośnie na ulicach i placach oblężonego miasta. Każdy z wazorajszych walczyków przechwalał

się ze swego udziału w walce; mnóstwo rosyjskiej zdobyczy, w pieniądzech, broni, kosztownościach, pokazywało się w mieście. Sam feldmarszałek Münnich zaproponował kilkodniowe zawieszenie broni, w celu pochowania poległych i zgodził się na zamianę jeńców, która nastąpiła 14 Maja. Prawdziwym nieszczęściem przeciw obrony pozostało, że zamiast wyzyskać praktycznie odniesione, świetne zwycięstwo, że zamiast skorzystać z upadku ducha pośród armii oblężniczkiej, otuchy a nawet i siły własnej, że zamiast, słowem, uderzyć na zdemoralizowanego nieprzyjaciela i przejść do kroków zaczepnych, wołała się bezplodnie cieszyć i radować, aż nieprzyjaciel przyszedł znów do siebie a oddziałami rozproszonemi w Elblągu i po różnych miastach prusskich, załatał szczyrby zdziałane stratami szturm z dnia 9 Maja.

Pierwsze czyny budzącego się po krwawym ciosie nieprzyjaciela nie były szczególnie szlachetnej natury. Uwziął się na niszczenie, palenie i rabunek zamożnych wsi okolicznych, w Żuławach gdańskich. Prócz tego usiłował za pomocą promów, nadbrzeżnych szańców, powiązanych z sobą drzew i lin przeciąć komunikacyą między Weichselmünde a Gdańskiem. Robotę podobną uważał Münnich za tém potrzebniejszą, iż nareszcie nastąpił, prawda, że w bardzo smutnej i zawodnej postaci wypadek przez Gdańszczan od tak dawna a tak nadaremno wyczekiwany.

Dnia 12 Maja ukazały się na wybrzeżach gdańskich dwa wojenne statki francuzkie, o 40 i 50 działach, przywoziły w pomoc oblężonemu miastu trzy pułki: Périgord, Blaisois i de la Marche. Posiłki te wypłynęły z portów w Calais i Brest w połowie Kwietnia, liczyły, co najwięcej, 2400 ludzi, znajdowały się, co najgorsza, pod dowództwem starego, niechętnego całemu przedsięwzięciu, niedołężnego brygadiera de la Motte. Istnieje tak w już wydanych o oblężeniu gdańskim, współczesnych opisach niemieckich, jak w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych francuzkiego, korespondencya między de la Mottem a markizem de Monti i hrabią de Plélo reprezentantem Francyi w Kopenhadze. Korespondencya ta przekonywa, z jakim nadmiarem wzgardy obaj, bardzo wojennie usposobieni francuzcy dyplomaci niedołężnego brygadiera traktowali, z jaką rezygnacją on sam podobne traktowanie przyjmował.

W gruncie rzeczy był jednakże de la Motte niewinnym, a jeżeli *czém* wraz ze swym żartobliwie szczupłym korpusikiem, to chyba tylko żywym wyrazem złego i niechętnego usposobienia polityki francuzkiej, czyli po prostu kardynała Fleury. Aby wyprawa taka była mogła być skuteczną, trzeba było przynajmniej 20 tysięcznego korpusu francuzkiego z odpowiednią liczbą statków wojennych i artyleryi. Wysilek dla ówczesnej Francyi wobec wojny we Flan-

dryi i Włoszech niewątpliwie znaczny, trudny może, ale stawka godna pewnej w takim razie wygranej. Ocalenie Gdańska, Stanisławowego tronu, polskiej niezależności i swobody, zyskanie na północy wiernego sprzymierzeńca i utrwalenie tutaj francuzkiego wpływu, wszystko to zasługiwało na podobną próbę. Kardynał chciał podobnie niedołączną pomocą pod niedołączniejszym jeszcze dowódcą uczynić po prostu zadosyć zewnętrznym pozorom politycznej przywoitości i pozbyć się ciężaru sumienia. Jak to niejednokrotnie wykazują annale krętej polityki francuzkiej w ciągu XVIII wieku, oszukał podobną sztuką najgorzej tylko godność i wielkość własnego kraju.

Ale wróćmy do rzeczy. Korpusik francuzki wylądował z pomocą załogi Weichselmündzkiej dnia 12 Maja na tak zwaną *Westerplatte* a francuzkie pułki rozłożyły się tutaj obozem, ponieważ fortyfikacye Weichselmündzkie nie miały dla nich dostatecznego pomieszczenia. Na tej nagięj, niezamieszkałej, niezdolnej dostarczyć dla żołnierza środków utrzymania przestrzeni zaobozowała francuzka odsiecz. De la Motte wszedł w korespondencyą z markizem de Monti, który mu pod każdym warunkiem kazał przedrzeć się do miasta. Wykonanie podobnego rozkazu nie było istotnie łatwym. Czy to po prawym, czy po lewym brzegu Wisły zamykały szanice i przemagające siły nieprzyjacielskie przystęp do oblężonego miasta szczupłemu zastępowi Francuzów. Na lewym

brzegu obóz saski księcia Adolfa Weissenfelskiego okopany pod przedmieściem Langfuhr; po za nim obóz rosyjski oszańcowany na górze Cygańskiej. Na prawym brzegu oszańcowany i opalissadowany obóz rosyjski poniżej twierdzy Weichselmündzkiej, tuż za nim *Sommerschantze* ostrzeliwująca przeprawę na rzece, również w posiadaniu rosyjskiem. Komunikacya rzeczna możliwa jeszcze dla małych, zręcznie kierowanych rybackich łodzi, stawała się czystem niepodobieństwem dla większych statków przewozowych. Zdolniejszy nawet i waleczniejszy od de la Motte'a dowódzca byłby sobie nadaremno rozbijał głowę o zwyciężenie podobnych przeszkód i trudności. To tylko było pewnem, że de la Motte znalazł w nich pożądaný argument swój niechęci i opieszałości, że nie dbał o to, o czem jeszcze w podobnej chwili pamiętać należało, o honor wojskowy, co ważniejsza, o honor Francyi. W kłopotcie co robić, jak sobie dalej postąpić, ku najwyższemu rozdrażnieniu Montego i oblężonych Gdańszczan, powziął de la Motte smutne, wstydlíwe postanowienie powrotu bez żadnej próby nawet boju.

Dnia 16 Maja wsiadł francuzki brygadier z całą powierzoną sobie siłą na okręty i popłynął z powrotem do Kopenhagi. Czyn ten wstydu i upokorzenia, wywołał siłą naturalnej we wszystkich rzeczach i sprawach ludzkich reakcyi, wręcz przeciwnie, czyn najwznieślijszego, najofiarniejszego w przebiegu téj pamiętnej wojny poświęcenia.

Bohaterem jego jest reprezentant Francji na dworze duńskim, hr. de Plélo. Osobistość równie mało znana, równie zapomniana w dziejach naszych ośmnastego wieku, ile zasługująca na wydobycie z przedawnienia i ukrycia. Zastanówmy się w kilku słowach nad tą uroczą, idealną istnie postacią. Hrabia de Plélo pochodził ze znakomitej rodziny bretońskiej, był człowiekiem wysokiego wykształcenia klasycznego, liczącym zaledwie 35 lat wieku, szczęśliwym w małżeństwie z młodą, ubóstwiającą go żoną, od kilku lat reprezentantem Francji na dworze Kopenhagskim. Klasyk, literat z powołania, entuzyasta z temperamentu, był pomimo to hr. de Plélo bystro i jasno widzącym politykiem.

Rozumiał bardzo dobrze zdrowy sens polityki Ludwika XIV, który sobie położył za zadanie *utrzymać* wpływ i znaczenie Francji na całej widowni europejskiej przez *podtrzymywanie* słabszych przeciw mocniejszym; pojmował bardzo jasno, że pozwolić na upadek tronu Leszczyńskiego, na wyniesienie elektora saskiego, na zapanowanie w Polsce wpływu ościennych mocarstw, znaczyło to samo, co odsądzić Francją na wieczne czasy od głosu i znaczenia w sprawach północnej Europy. Zachowana w znacznej części w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych francuzkiego korespondencya między hr. de Plélo, markizem de Monti i kardynałem Fleury nie pozostawia pod tym względem najmniejszej wątpliwości, przedstawia reprezentanta Francji na dworze Kopenhag-

skim jako najszczerzego entuzyastę sprawy Stanisławowej.

Dwa wojenne statki i trzy słabe pułki francuzkie ukazujące się około połowy Kwietnia w porcie Kopenhagskim z przeznaczeniem do Gdańska, były dla hr. de Plélo istnym przedmiotem rozpaczy. Pod dniem 1 Maja żądał od Fleurego przysłania przynajmniej 25 statków wojennych i 20 do 25 tysięcy regularnego żołnierza. „Jeżeli przyślecie,“ pisze, „spiesznie 20 do 25 okrętów królewskich i 20 do 25 tysięcy regularnego wojska, zaręczam na pewne, że spędzimy wkrótce Moskali z morza i z lądu, że król polski będzie spokojnym na swym tronie przed upływem sześciu miesięcy a północ będzie drżała na długo. Otwartość mojej mowy jest wytłumaczenia godną wśród okoliczności, w których chodzi o honor króla, Wasz i całego narodu. Całe Niemcy i Włochy odebrane Cesarzowi, nie podniosłyby nigdy tyle znaczenia naszego, ile niewola króla polskiego i upadek Gdańska wyrządzą nam wstydu i poniżają nasze imię.“

Łatwo pojąć, jak straszne wrażenie na osobistość przejętą podobnemi uczuciami, kierującą się podobnemi widokami politycznemi, sprawił upokorzący powrót ekspedycyi francuzkiej do portu kopenhagskiego. Gniew i rozpacz markiza de Plélo nie znały granic; piorunujące listy markiza de Monti z Gdańska o najwyższém rozdrażnieniu ludności miejskiej przeciw Francuzom, o nę-

dzocie brygadiera de la Motte, dodawały im ciągle nowego żywiołu. Ukazanie się osobiste de la Motte'a w Kopenhadze stało się ową kroplą przepelniającą czarę. Nastąpiła między wojennym dyplomata a pokojowym żołnierzem gwałtowna scena. Plélo zainterpelował groźnie de la Motte'a o powody tak nadzwyczajnego, tak hańbiącego kroku, jakiego się dopuścił. De la Motte tłumaczył się pokornie i niedołąźnie trudnościami wykonania. „A ja,“ odparł Plélo, „pokażę Ci możliwość ich przewyciężenia! W imieniu króla, Twego i mego pana, którego miejsce tu przedstawiam, rozkazuję Ci, ruszaj za mną!“ Energia podobna zelektryzowała żołnierzy wbrew usposobieniu de la Motte'a i innych wyższych officerów. W listach do Fleurego i Ludwika XV. oznajmił Plélo trudne przedsięwzięcie, jakiego się dla ocalenia czci francuskiej podjął, pożegnał się z małżonką i nakazał powrót pod Gdańsk, gdzie go miał spotkać zaszczyt korony męczeńskiej.

Okręty przewożące ekspedycją francuską powtórnie pod Gdańsk, nosiły nazwy *Achille*, *Gloire*, *Fleuron*, *Brillant*, *Astrée*; towarzyszyły im cztery statki transportowe i kilka korwet. Wypłynęła ta mała flotta z portu Kopenhagskiego dnia 20 Maja; pod wieczór dnia 23 Maja znalazła się w obliczu Weichselmünde. Francuzi wylądowali i zajęli dawny swój obóz na tak zwanéj *Westerplatte*. Plélo wraz z dowódcami wyprawy, udał się do twierdzy Weichselmündzkiej. Zamiarem jego było ude-

rzyć bezzwłocznie, téj saméj jeszcze nocy, na oszańcowania rossyjskie powyżej Weichselmünde; w skutek narady przecież odbytej z placкоменданtem twierdzy, szwedzkim pułkownikiem Stackelbergiem, zapadło postanowienie znieść się poprzednio z markizem de Monti i z Gdańszczanami, w celu skombinowania ataku francuzkiego z równoczesną wycieczką z miasta. Po skomunikowaniu się z Montim, nastąpiła zgoda na plan następujący:

Dnia 27 Maja rano o godzinie 7-méj miała się odbyć z miasta demonstracyjna wycieczka na okopy rossyjskie w celu zatrudnienia uwagi rossyjskiego dowódcy. Równocześnie miały trzy pułki francuzkie, Périgord w awangardzie, Blaisois w środku, de la Marche w arriergardzie uderzyć na szanice pod Weichselmünde. Plan ten został wspomnianego dnia o wskazanej godzinie wykonany. Na sygnał odzywających się od strony miasta strzałów, oznajmiających początek wycieczki, rozpoczęli Francuzi, po przeprawie na prawy brzeg Wisły, powyżej Weichselmünde, atak na okopy rossyjskie. Na czele, ze szpadą w ręku, przybrany w niebieski surdut, żółtą kamizelkę, według mody owego czasu, postępował nieustraszony Plélo. Przykład jego przyświecał żołnierzowi, był dlań zachętą w ciężkim boju, jaki mu stoczyć przychodziło. Stanowisko rossyjskie było bardzo silne. Broniły je okopy, fossy, palissady. Co zaś może stanowiło najważniejszą do przewyciężenia prze-

szkodę, to grząskie moczary, zasłaniające rossyjskie okopy od frontu. Plackomendant Weichselmündzkiej twierdzy, pułkownik Stackelberg, zaręczał, że owe moczary są do przebycia. Tymczasem rozmoczyły je padające dni poprzednich deszcze, tak, że gdy się akcja rozpoczęła, Francuzi zaczęli grzęznąć w wodzie i błocie do połowy ciała. Moskale odpowiedzieli na atak brnących przez moczary Francuzów morderczym ogniem działowym i muszkietowym. Francuzi padali pod strzałami, nie mogąc się wcale bronić.

Pomimo tego odzywał się na całej linii okrzyk *avancez, avancez!* nie myśleli o odwrocie, postępowali walecznie naprzód. Pomimo wszelkich przeszkód dostali się do szańców, powywracali palisady, przebrnęli fosę i wpadli w obręb wewnętrzny utwierdzeń. Tu przecież spotykają się z nowymi przeszkodami; po za obrębem pierwszego szańca znajdują się zasieki z belek i desek. Rozpoczyna się ręczna, mordercza walka, tém nierówniejsza, że liczebna przewaga po stronie moskiewskiej a na domiar złego, amunicja francuzka podczas przeprawy przez błoto zamokła. Walka toczy się z istną wściekłością na broń sieczną. Liczba odnosi nareszcie zwycięstwo nad walecznością. Francuzi straciwszy w rannych i zabitych do 500 ludzi, zmuszeni do odwrotu. Podczas powtórnej przeprawy przez moczary, smaga ich ponownie ogień działowy i muszkietowy nieprzyjaciela. Waleczny Plélo dotrzymał danego

Ludwikowi XV. i Fleuremu słowa. Nie mogąc zwyciężyć, nie chcąc przeżyć wstydu i upokorzenia Francyi, poległ śmiercią bohaterską we wnętrzu okopów moskiewskich. Kula strzaskala mu lewą nogę, w głowę dostał ciężki cios szablą, piętnaście uderzeń bagnetowych rozszarpało jego ciało. W takim stanie wydał trupa na żądanie brygadiera de la Motte'a feldmarszałek Münnich. Poznany po ubiorze, został odwieziony do Kopenhagi stroskanój, niepocieszonój przez całe życie małżonce, następnie pochowany w parafialnym kościele, w dalekim zakątku Bretanii.

Strata moskiewska wynosiła zaledwie dwudziestu kilku ludzi w rannych i zabitych, między innymi dwóch pułkowników, Leslie i Gripanow. Nielepsze powodzenie miała równocześnie podjęta wycieczka z miasta; odparł ją generał Urusow trzema pułkami dragonów po krótko trwającym boju.

Owa walka dnia 27 Maja, ów dzień upamiętniony męczeńskim poświęceniem bohaterskiego Plélo, stanowią epokę w dziejach oblężenia ciężko dotkniętego miasta. Francuzi, sparzeni niefortuną próbą na okopy moskiewskie, przeprowadzili się znów na lewy brzeg Wisły i zajęli swój dawny obóz na Westerplatte. Nie tracący i teraz jeszcze ducha markiz de Monti wysiłał odtąd całą swą pomysłowość na sprowadzenie swych ziomków do miasta rzeką. Nadaremno jednakże. Do wykonania podobnie śmiałego przedsięwzięcia przeszkadza-

dzał pierwotny grzech wyprawy, jój liczebna niemoc. 2000 ludzi było za mało, aby wstępny bojem przełamać oblężniczy pierścień moskiewski i dostać się do miasta; było za wiele, aby ująć uwagi nadbrzeżnych posterunków, ognia szafców moskiewskich i przedostać się do Gdańska ukradkiem, jak się to udawało jeszcze rybackim łodziom i pojedynczym ochotnikom pomimo belek i łańcuchów, za pomocą których Moskale tamowali komunikacją na Wiśle. Nie przeszkadzało to wywiązaniu się bardzo cierpkiej korespondencji między Montim a de la Mottem. Pierwszy żądał pod każdym warunkiem ponownej próby przełamania linii moskiewskich i groził de la Motte'owi ciężką odpowiedzialnością w razie, gdyby się znów pokusił czasem wracać do Kopenhagi. De la Motte natomiast nasęlał króla Stanisława propozycjami, aby się schronił na okręty francuzkie i wrócił do Francji a przedstawiał powtórny atak na armię oblężniczą, jako rzecz czystego niepodobieństwa.

Z zatargu tych dwóch sprzecznych z sobą dowódców, wywiązał się stan rzeczy, kto wie, czy nie gorszy od intencji obu. Francuzi pozostali bezczynni w swym obozie na Westplatte, gotowy połów dla przyszłych zwycięzców, bezużyteczni dla obrony miasta. Cała ich czynność ograniczyła się na słabiej, bezpłodnej demonstracji, jaką na dniu 6 Czerwca wykonali przeciw obsadzonej przez Moskali *Sommerschantze*

za pomocą szwedzkiego wojennego statku *Vesuvig*, który wówczas ze Sztokholmu pod Weichselmünde zawinął. Natomiast stanęła w tychże samych dniach niemal nowa, ostatecznej stanowczości groza w obliczu nieszczęsnego miasta.

Dnia 12 Czerwca zaczęły się strażnicy ustanowionej na wieży Weichselmündzkiej ukazywać zdała, z ponad morskiego horyzontu białe żagle. Liczba ich wzrastała z każdą chwilą, widok ich wywołał początkowo wielką radość tak w twierdzy, jak w samym Gdańsku, ponieważ wyobraźnia oblężonych nie mogła przypuścić, aby to nie miała być flotta *francuzka*. Kilka godzin niestety starczyło, aby złudzenie to rozchwiać. Nie była to na nieszczęście flotta *francuzka*, ale flotta *moskiewska* pod dowództwem admirała Gordona, składająca się z czternastu okrętów liniowych, ośmiu fregat i kilku mniejszych statków wojennych, przywożąca nadto armii oblężniczej działa i amunicją, która się już poczęła wyczerpywać. Przez kilka dni przecież, jak się to zwykle w oblężonych miastach i w rozpaczliwych okolicznościach dziać zwykło, jak się to działo choćby n. p. podczas ostatniego oblężenia paryskiego, nie była ta tragiczna oczywistość dość silną, aby zwyciężyć i stłumić porywy optymistycznej fantazyi oblężonych.

Tryumf niesłychany pośród poczciwego społeczeństwa gdańskiego! Rozbiega się wieść, że Francuzi wywiesili umyślnie na swych okrętach

banderę rosyjską dla wygodniejszej przeprawy przez morze bałtyckie. Większy jeszcze tryumf: Podstęp francuzki udał się; admirał francuzki zaprosił na swe przystrojone w bandery moskiewskie okręty dowódców armii oblężniczej, feldmarszałka Münnicha, generała Lascy, księcia Adolfa Weissenfelskiego, wziął ich wszystkich do niewoli, miał im zaszczyt oświadczyć, że są jeńcami królów francuzkiego i polskiego!

Otóż uludy i nadzieje, jakimi się rozgorączkowana bombardowaniem, zrozpaczona, wyteżona nerwowo wyobraźnia pocziwych Gdańszczan bawiła. Niestety nastąpiły wypadki, które choćby nawet już i tak wybujałemu, tak nie przebierającemu w pobudkach optymizmowi odebrały wszelkie pozory. Flotta moskiewska wylądowała dnia 14 Czerwca przywiezione działa oblężnicze z amunicją. Bombardowanie miasta rozpoczęło się w skutek tego z podwojoną gwałtownością, było gromką odpowiedzią na złudne nadzieje oblężonych.

Dnia następnego, 15 Czerwca, zaczęła flotta moskiewska, początkowo bez wielkiej szkody, rzucać bomby do obozu francuzkiego. Ogień ten stawał się coraz silniejszym, zaczął dolegać Francuzom. De la Motte odpowiedział na to posypaniem baterii wzdłuż piaszczystego brzegu, rozpoczął ogień na flotę moskiewską, w skutek czego ją dnia 19 Czerwca zmusił do milczenia. Pomimo, że 500 bomb i 800 kul działowych rzucono

do obozu francuzkiego, nie były ani szkody w nim zrządzone, ani straty w ludziach znaczne. Ostatnia wynosiła w rannych i zabitych przez cały czas ten zaledwie dwudziestu kilku ludzi. Piętrzyły się jednakże istnie z dnia na dzień nowe niebezpieczeństwa około oblężonego miasta. Bezczynni dotychczas, rozłożeni za przedmieściem Langfuhr Sasi poczęli teraz również uczestniczyć w robotach oblężniczych, ścisnąć z jednej strony coraz szczelniej obóz francuzki na *Westerplatte*, z drugiej ostrzeliwać na lewym brzegu Wisły położoną *Westschantze* i utwierdzenia na *górze gradowej*. Główna uwaga naczelnego dowództwa armii oblężniczej zwróciła się odtąd ku obozowi francuzkiemu. Książę Adolf Weissenfelski, którego cała siła liczyła przeszło 8000 ludzi, zamknął Francuzów równoległą do ich obozu linią szańców; w podobny sposób odgraniczył od wszelkiej komunikacji z miastem i Francuzami leżącą naprzeciw twierdzy Weichselmündzkiej po drugiej stronie rzeki *Westschantze*.

Równocześnie poczęli sypać paralele i aprosze pod weichselmündzką twierdzą Moskale. Wszystkie te roboty i przedsięwzięcia oblężnicze, którym ze strony miasta żadną miarą przeszkodzić nie było można, wywarły przedewszystkiém i bezpośrednio najgubniejsze następstwa na los Francuzów. Licząc niespełna 2000 ludzi, bez dachu i dostatecznej żywności, uwięzieni dokoła w posypanych i utwierdzonych przez nieprzyjaciela

szańcach, znaleźli się w najrozpaczliwszém położeniu. Feldmarszałek Münnich korzystając zeń, wyprawił dnia 16 Czerwca do de la Motte'a trębacza z wezwaniem złożenia broni. Francuzki dowódca, jakkolwiek skłonny może do kapitulacyi, jakkolwiek uznający smutną jej konieczność, obawiał się przecież odpowiedzialności wobec króla swego, więcej może jeszcze wobec groźnego i energicznego Montego. Złożył tedy radę wojenną, w skutek której zapadła uchwała wyprawić do Gdańska dwóch oficerów francuzkich z zapytaniem króla Stanisława i markiza de Monti o dalsze rozkazy. Feldmarszałek Münnich był zbyt pewnym ostatecznego zwycięstwa, aby się nie zgodzić na to skromne dla skrupułów francuzkiego dowództwa ustępstwo.

Dnia 20 Czerwca zakomunikował de la Motte'owi swą zgodę na jego żądanie a dnia następnego udało się do Gdańska wskroś saskich i rossyjskich posterunków dwóch oficerów francuzkich, by Stanisławowi i znajdującemu się przy jego boku Montemu, w żywych barwach przedstawić rozpaczliwy stan obozu francuzkiego na *Westerplacie*. Posłuchanie miało miejsce u Stanisława w obecności Montego. Charaktery jednego i drugiego odsłoniły się przy tej sposobności z właściwej sobie strony. Stanisław odpowiadał łzami tylko na przedstawienia przysłanych przez de la Motte'a oficerów, Monti nalegał ciągle jeszcze, aby Francuzi przedarli się jakimbądź sposobem do miasta a pod

żadnym warunkiem nie składali broni. Na ten raz istotnie jednakże nie pozostawało nic lepszego do roboty, jak uleść nieuniknionej konieczności. Obrona była niepodobną; Francuzi blokowani ze strony morskiej przez całą flotę rosyjską, ze strony lądowej zamknięci nieprzyjacielskimi okopami, byli wskazani na śmierć głodową. Dnia 23 Czerwca nastąpiło to, czego odwrócić w żaden sposób nie było można. Rano dnia tego wyjechało z obozu francuzkiego trzech officerów, podpułkownik Terri, kapitan de la Luzerne i kapitan Cornico, poprzedzeni trębaczem, ku okopom saskim. Wyszedł naprzeciw nich saski podpułkownik Pflug i zaprowadził ich do domku na tak zwaną Heubude, gdzie się znaleźli: książę Adolf Weissenfelski w towarzystwie znanego faworyta Augusta III, hr. Alexandra Sułkowskiego, feldmarszałek Münnich, generał Lascy, wreszcie, jako pośredniczący od niejakiego czasu między feldmarszałkiem rosyjskim a zagrożonem miastem agent elektora saskiego polski, Antoni Poniński, marszałek zawiązaną za Augustem konfederacyi. W domku tym na Heubudzie przysła do skutku podpisana między feldmarszałkiem Münnichem, księciem Adolfem Weissenfelskim a brygadierem de la Motte kapitulacya, mocą której zamknięci na Westerplacie Francuzi mieli z wszelkimi honorami wojskowemi opuścić obóz, złożyć następnie broń i oddać się w niewolę. Wieczorem tego samego dnia nastąpił smutny akt wykonania kapitulacyi. Liczba wziętych do niewoli

Francuzów dochodziła zaledwie 2000 ludzi. Nadzieja, że im będzie wolno bezzwłocznie powrócić do Francji, chybiła. Odwieziono ich na rosyjskich okrętach do Estonii; następnie zaprowadzono ich w okolice Narwy, gdzie obozowali do miesiąca Września. Później jeszcze trzymano ich w Rewlu, dopiero w Czerwcu 1735 roku dostali się z powrotem do Calais. Smutne ofiary, żywe widowisko nędznej polityki kardynała Fleury, który nie rozumiał wbrew przedstawieniom Montego i Plélo, jakim wstydem, jakim upokorzeniem podobny rezultat podjętej niedołężnie przez Francją próby cześć jej i wielkość europejską okryją. Katastrofa spotykająca obóz francuzki na Westerplacie, pociągnęła za sobą, jak inaczej być nie mogło, w nieuniknionem następstwie upadek klucza obrony gdańskiej, twierdzy Weichselmündzkiej. Z lewego brzegu Wisły, po wzięciu *Westschantze* ściskali ją i ostrzeliwali przez rzekę Sasi, z prawego Rosyanie. Załoga składała się z przeszło 400 ludzi, w pewnej części Szwedów; na żywności i amunicji nie zbywało; obaj dowódcy, czy to szwedzki pułkownik Stackelberg, czy miejski kapitan Patzer, byli ludźmi dzielnego charakteru i nie myśleli z początku kapitulować. Bombardowanie robiło przecież coraz większe szkody, zniszczyło wieżę i pewną część zasobów amunicyjnych. Po przecięciu komunikacji z morzem i miastem zaczęło zbywać na żywności; co zaś najgorsza, wkradła się między załogę istna zaraza niedyscypliny i dezercya, zwa-

szcza, odkąd Francuzi kapitulowali a wszelka nadzieja francuzkiej odsieczy znikła. Codziennie dezertowało po kilkunastu ludzi; rozpoczął się zwykły wszelkim upadającym sprawom rozkład, zaczęło ubywać na rękach zdolnych i potrzebnych do dźwigania broni. Wśród tak krytycznych okoliczności stawił się w twierdzy z polecenia księcia Adolfa Weissenfelskiego saski podpułkownik Rechenberg z wezwaniem do poddania. Plackomendant Patzer nie chciał rozumieć gróźb feldmarszałka Münnicha, wysłał do Gdańska officerów z zapytaniem, co ma czynić. *Podobno*, przynajmniej, jak sam przez całe życie twierdził, dostał w skutek tego zapytania od rady i magistratu ciche upoważnienie do zawarcia kapitulacyi, ale i bez takiego upoważnienia nie pozostawiało rozpaczliwe położenie rzeczy naczelnikom twierdzy żadnego wyboru.

Dnia 24 Czerwca podpisano między pułkownikiem Stackelbergiem i kapitanem Patzerem z jednej, między feldmarszałkiem Münnichem i księciem Adolfem Weissenfelskim z drugiej strony kapitulacyą, mocą której twierdza Weichselmündzka została oddana Sasom. Załoga, opuściwszy warownie z bronią w ręku i dwoma działami, miała złożyć przysięgę na wierność Augustowi III, jako królowi polskiemu i udać się wszędzie, gdzie jej się podoba, byle tylko nie do Gdańska. Zbyteczną naturalnie powiadać byłoby rzeczą, że dwie te kapitulacye, obozu francuzkiego i Weichsel-

międzka rozstrzygały los samego Gdańska, choć ostatnie chwile jego konającej obrony przedstawiają pełne ciekawości szczegóły i objawy. Rozpatrzmy się w nich pokrótce.

Nie ma istotnie w ciągu dziejów polskich ubiegłego stulecia wypadku, któryby się mógł poszczycić bogatszą rękopiśmienną i drukowaną źródłową literaturą, aniżeli oblężenie Gdańska z roku 1734. Nie ma dnia, któryby nie miał swojej osobnej kroniki; nie ma najdrobniejszego choćby przez cały ten czas zajścia, któreby się nie było doczekało osobnego opisu; nie ma jakobądź zasłużonego nazwiska, któreby było pozostało w ukryciu. Wszystkie cyfry i liczby sił po obu stronach, wszystkie nazwy okrętów, szanćów, pułków, szwadronów, baterji, parlamentarzy są tu wyszczególnione z niesłychanie drobiazgową dokładnością.

Chcąc zapuszczać się w dedal tych wszystkich szczegółów, trzeba by istotnie poświęcić obszernie oblężeniu Gdańskiemu tomy, nie podobnaby poprzestać na rozmiarach przeznaczonych dziejowemu szkicowi. Są jednakże pośród nawału szczegółów w dniach konania Gdańskiej obrony rzeczy, zasługujące na pewne wyróżnienie i uprzywilejowaną jakoby uwagę. Jako smutny więc i bolesny objaw należy przedewszystkiém zapisać, że kiedy król Stanisław, tak walecznie, tak ofiarnie i bohatercko broniony przez *obcych*, pozostając w otoczeniu licznej bardzo, bezczynnej kolonii *polskiej* w Gdańsku, w obozie obu armii oblężniczych

nie przestają się do ostatniej chwili kręcić polscy agenci sprawy antynarodowej, istni kusiciele i wyzyskiwacze upadku ducha, jaki się pośród obcych obrońców sprawy Stanisławowej wkładać począł. Do rzędu takich należeli: Krzysztof Szembek biskup kujawski, Hozyusz biskup poznański, Alexander hr. Sułkowski generał w służbie saskiej, Antoni Poniński marszałek konfederacji Augustowskiej, Czapski wojewoda pomorski. O niższych figurach nie mówimy. Zgoda i jedność podobnych żywiołów rozstroju, wierne ich trwanie wraz z całym narodem przy wybrańcu jego woli, byłoby może wyjednało zwycięstwo narodowej sprawie. Jeżeli skończyła się klęską, przypisać to tylko nie lepszemu od późniejszego Targowickiego odstępstwu stronników Sasa i jego sprzymierzeńców. Wśród srożącego się z nieustającą gwałtownością bombardowania, wśród strasznego głodu poczynającego trapić i dziesiątkować ludność przedmieściową; wśród pokus i nagabywań odstępnych i występnych Polaków w chwilach, kiedy nawet nieustraszony dotąd Monti począł po raz pierwszy oddawać się czarnym przecuciom i przeniósł się z mieszkania swego zwykłego na rynku, wraz ze Stanisławem do domu kupca Mackiena, na tak zwanym *Langgartenie*, — odezwała się raz jeszcze, na ten raz *ostatni*, dziwnie optymistyczna otucha dzielnego, poczciwego pospólstwa gdańskiego. Nie można już było liczyć na odsiecz francuzką; chybiła nadzieja odsieczy ze strony prze-

ciwniej, jaką miał obleżonemu miastu przynieść wojewoda lubelski Tarło. Sromotna klęska, poniesiona przezeń w Lauenburgskiem przed dwoma blisko miesiącami, odbierała wszelkie złudzenia. Natomiast istnie jakoby według znanej zwrotki Beranżerowskiej pieśni o *Poniatowskim*: „*Rien qu'une main Francais et je suis sauve,*“ odzywa się Gdańsk w tych ostatnich dniach obrony swojej, z głębi przepaści, do Polski, w szczególności do osoby wojewody kijowskiego Józefa Potockiego, dzielnego, wypróbowanego wojownika, bohatera bojów Franciszka Rakoczego przeciw Austrii, towarzysza Karola XII z okopów benderskich. „*Kijowski*“ nadciąga, „*Kijowski*“ zwyciężył, spieszy z pomocą, — otóż znów optymistyczny rumor przebiegający lotem błyskawicy bruk Gdańska już po upadku Weichselmünde, podobnie, jak poprzednio biegały wieści o flocie francuzkiej, wzięciu do niewoli trójcy nieprzyjacielskiego dowództwa. Próżne nadzieje! „*Kijowski*“ nie nadciągał a wieści oznajmiające jego przybycie, były niestety fałszywem echem niedołączonych, rozbiciem i klęską zakończonych utarczek starosty Rypińskiego Meldzyńskiego i Schliebeny z oddziałami wojsk rossyjskich w okolicy Elbląga. A tymczasem trwało bombardowanie miasta ze wzrastającą gwałtownością; co chwila wybuchały pożary, zawały się z łoskotem publiczne i prywatne gmachy! Ostatnie dni Czerwca zapisują stan zbliżający się katastrofy. Nie można się dziwić, jeżeli

magistrat, jeżeli rada miasta Gdańska, pomimo wszelkiej wytrwałości, pomimo wszelkiego nawet zapału dla sprawy i osoby Stanisława, zaczęli myśleć o ocaleniu powierzonej swym rządóm społeczności od ostatecznej zagłady wbrew przeciwnym, optymistycznym uniesieniom, i ułudom pospólstwa, prostego żołnierza niezmordowanych, niestrudzających się niczém *Schlapmanerów*.

Dnia 24 Czerwca zapadła uchwała: wejść w porozumienie z królem Stanisławem i jego przyboczną radą co do rozpoczęcia układów kapitulacyjnych z feldmarszałkiem Münnichem. Konferencya odbyta między deputacją miejską a Stanisławem, Montim, Załuskim biskupem płockim, Przebendowskim wojewodą malborskim, Czartoryskim podkanclerzym litewskim, odznaczała się ze strony miejskiej przedewszystkiém wielkim szcunkiem dla osoby Stanisława. Bez wyraźnego porozumienia z nim, nie chcieli Gdańszczanie niczego przedsiębrać. Król Stanisław zachował się podczas téj konferencyi z pewną biernością; otoczenie jego chciało jeszcze układy kapitulacyjne przewlekać, liczyło widocznie na jakieś nadzwyczajności, których spodziewać się było czystém już teraz tylko urojeniem. Po niejakiém wymianie zdań, oświadczyła rada miejska, że za pośrednictwem księcia Adolfa Weissenfelskiego, pruskiego rezydenta Brandta i saskiego ministra Bülowa, postara się u feldmarszałka Münnicha o zawieszenie broni w celu podjęcia układów kapitulacyj-

nych. Münnich zgodził się na przyjęcie deputacyi miejskiej i przysłał jej paszporty wolnego przejazdu do głównej kwatery na przedmieściu Ohra, ale propozycją zawieszenia broni odrzucił a bomby nie przestały ani na chwilę niszczyć miasta.

Na dniu 27 ym Czerwca postanowił magistrat wyprawić do głównej kwatery moskiewskiej deputacyą, składającą się z radzców miejskich: Jana Wahla, Natanaela Ferbera, sekretarzy Kleina i Jantzena z propozycją uznania Augusta III. jako króla polskiego, zatwierdzenia wszelkich praw i przywilejów miasta Gdańska, nadto wolnego odjazdu króla Stanisława wraz z towarzyszącymi mu Polakami, wreszcie swobodnego wymarszu pułków koronnych polskich. Deputacya stanęła w obozie moskiewskim około południa. Münnich zgadzał się na zawieszenie broni tylko pod warunkiem, jeżeli mu fortyfikacye zewnętrzne i jedna z bram miejskich będą oddane; żądał nadto wydania markiza de Monti, króla Stanisława i znajdujących się przy jego boku panów polskich. Deputacya miejska odrzuciła te warunki ze względu na osobę króla Stanisława i wróciła do miasta wśród huków i świstu bomb, wlatujących nad jej głowami.

Moment był istotnie strasznój krytyczności, piękny wieczór 27 Czerwca pełen smutku i zaniepokojenia dla miasta. Prawdziwie to tragiczne zawikłanie rozwiązuje w tych samych niemal godzinach postanowieniem swém poczciwy król Sta-

nisław, postanowieniem, na jakie się mógł zdobyć, licującym dziwnie z całą jego przeszłością, usposobieniem i temperamentem. Zagrożony niewolą lub wydaniem, postanowił król Stanisław w najgłębszej tajemnicy przed całym swym otoczeniem, w porozumieniu jedynie tylko z markizem de Monti i nieodstępny od swego boku towarzyszem, szwedzkim generałem Steinflychtem, wydobyć się z Gdańska, schronić się ucieczką na pobliskie, neutralne terytoryum pruskie. Zapadający zmrok dnia 27 Czerwca był przeznaczony na wykonanie smutnego przedsięwzięcia. Dom kupca Mackie na Langgartenie, w południowo-wschodniej części miasta, zajmowany przez posła francuzkiego i Stanisława, przylegał do okopów strzeżonych tylko przez żołnierzy miejskich, znanych, nawiasowo powiedziawszy, z imienia i nazwiska.

Za okopami rozciągał się na całej przestrzeni aż do Wisły ogromny, płytki zalew, którego nieprzyjaciel, nie chcąc rozpraszać do zbytku swych sił, należycie stróżować nie mógł. Ucieczka tą stroną przedstawiała jeszcze stosunkowo największe widoki powodzenia.

Stanisław, Monti i Steinflycht zgodzili się na nią. Późnym wieczorem 27 Czerwca znaleźli się w mieszkaniu Monti'ego, który króla przebrał na pospolitego człowieka, zaopatrzył w odpowiednie przybraną rolę obuwie i znaczną, nieodpowiednią jej sumę pieniędzy. Napisawszy pożegnalny, dziękczynny list do miasta Gdańska, napisawszy drugi

podobny do panów polskich, opuścił Stanisław tylnymi schodami mieszkanie posła francuzkiego i poszedł ku okopom. Trzymający tu straż miejski podoficer poznał go widocznie, salutował i przepuścił.

Nad ranem dostał się król wraz ze Steinflychtem do nędznej chaty, na której strych się schował a przez otwór w dachu patrolującym w pobliżu Kozakom przypatrywał. A tymczasem grzmiały od strony Gdańska ciągle działa i wznosiły się czarne dymy coraz to nowych pożarów! Pod wieczór udało się królowi dostać przewoźnika, który go znów po długiej błakaninie przewiózł do wsi Käsmarku nad Wisłą. Tutaj zszedł się znów ze Steinflychtem. Nie wdając się w szczegóły tej romantycznej ucieczki, jako nie należące już do dziejów oblężenia gdańskiego, powiemy tylko tyle, że po przebyciu wielu niesłychanych niebezpieczeństw i trudów, Stanisław wraz ze swym towarzyszem dostali się nareszcie dnia 3-go Lipca do Kwidzyny, na neutralne terytoryum pruskie, z kąd znów dalej przeniósł się na dłuższy pobyt do Królewca.

Ucieczka ta znalazła swoją różową legendę, swoich powieściopisarzy; malarz Chodowiecki odtworzył swym znakomitym pędzlem jeden z jej najcharakterystyczniejszych ustępów; przedstawił Stanisława w ubiorze żuławskiego wieśniaka wsiadającego do łodzi, która go ma przewieźć na przeciwległy, bezpieczny brzeg rzeki. Co do nas,

wyznajemy szczerze, nie możemy się entuzjazmować ani dla tego czynu, ani dla jego bohatera, jakkolwiek sprawa, którą przedstawiał, jest sprawą naszą. Ależ właśnie dla tego, że ją reprezentował, powinien był stanąć na wysokości jej majestatu, pozostawić własnym przykładem wznioślejszy dziejom i pamięci narodowej testament. Niestety, bohaterem obrony gdańskiej pozostanie po wieczne czasy, *nie* król, który w przebraniu wieśniaczem bombardowany i tryskający płomieniami Gdańsk pokryjomu opuścił, ale ów Plélo, który nie za swoją sprawę, wśród białego dnia, wolał z odsłonią piersią poledz pod piętnastu razami bagnetowemi, aniżeli na krok ustąpić!

Wróćmy teraz do opuszczonego przez Stanisława, bombardowanego ciągle Gdańska. Wiadomość o ucieczce króla rozeszła się dopiero po południu dnia następnego. Około 4-jej została oficjalnie zakomunikowaną radzie i magistratowi, ztąd doszła do głównej kwatery moskiewskiej w Ohra. Feldmarszałek Münnich, który głównie na połów Stanisława liczył, który myślał zeń uczynić ozdobę swego tryumfalnego rydwanu, nie posiadał się z gniewu, nakazał niesłychanie surowe traktowanie wszystkich znajdujących się w niewoli gdańskich jeńców, pisał groźne i szorstkie listy do magistratu, domagał się surowego śledztwa i uwięzienia wszystkich osób wplątanych w sprawę królewskiej ucieczki, porozsyłał na wszystkie

strony patroli kozackie, aby zguby gdziekolwiek-
bądź odszukać.

Magistrat gdański tymczasem i rada, spełniwszy święcie swój obowiązek z narażeniem własnym, aż do ocalenia osobistego swego królewskiego gościa, znieśli z pewnym stoicyzmem objawy gniewu feldmarszałka rosyjskiego i przystąpili na seryo do układów kapitulacyjnych.

Wśród ciągłego bombardowania, napisał Monti do Münnicha z propozycjami kapitulacji list na który nie odebrał żadnej odpowiedzi.

Dnia następnego, 29 Czerwca, wyjechał do księcia Adolfa Weissenfelskiego syndyk miejski Rosenberg z propozycjami, które z jakąkolwiek względnością przyjęte, zapowiadały, iż może feldmarszałek Münnich nie będzie rzeczy posuwał do zapowiedzianych przez się ostateczności. Ponieważ bombardowanie ani na chwilę nie ustawało, udał się magistrat dnia 30 Czerwca do oryginalnego pośrednictwa, którego dobry skutek nie zawiódł.

Jak wiadomo czytelnikom naszym z opowiadania powyższego, przebywali od początku oblężenia w murach bombardowanego, płonącego miasta, książęstwo kurlandzcy, on stary Ferdynand Kettler, mający cztery lata później w tychże samych murach gościnnych długi żywot zakończyć; ona, młoda jeszcze, zalotna, spokrewniona z oblegającym miasto księciem Adolfem Weissenfelskim. Do niej tedy udał się magistrat gdański w swych

kłopotach i utrapieniach a księżna nie wymówiła się od podjęcia żądanej usługi.

Wieczorem, dnia 30 Czerwca, wybrała się księżna kurlandzka wśród okazałych, uwagę powszechną zwracających pozorów z miasta do obozu księcia Adolfa Weissenfelskiego pod Langfuhr. Księżna wsiadła do karety, za nią postępowała zwolna świta, jadąca w siedmiu towarzyszących jej powozach,

Bombardowanie ustało na chwilę, gdy kawalkada księżnej kurlandzkiej wyjeżdżała do obozu saskiego. Natomiast ozwały się zewsząd wyrzekania i rozpaczliwe głosy gdańskiego popołstwa, które nie znając celu wycieczki księżnej kurlandzkiej, było przekonane, że po wyjeździe jej wszelkie zgrozy nieprzyjacielskiej mściwości rozwściekła się nad miastem. Obawa ta nie była istotnie tak płonna, jakby się zdawać mogło.

Rozdrażniony ucieczką Stanisława feldmarszałek Münnich, postanowił na prawdę, w razie gdyby kapitulacja miasta w przeciągu 48 godzin nie nastąpiła, podwoić środki i rozmiary bombardowania. Posypano nowe baterie; po nadejściu nowych zapasów amunicji ze strony morskiej, leżały całe stopy 4 do 5 set funtowych bomb, gotowych palić i niszczyć przedmieście Langgarten, które miało szczęście czy nieszczęście być ostatniem schronieniem Stanisława. Po jego ucieczce ustawał przecież główny powód dalszego oporu miasta; interwencja księżnej kurlandzkiej okazała się

skuteczną; „dobosz“ wysłany od magistratu z listem do feldmarszałka Münnicha przyniósł jak najformalniejsze zaręczenie, że miasto gotowe ofiarowaną kapitulacją przyjąć.

W nocy z dnia 30 Czerwca na 1 Lipca ustało bombardowanie a miasto wyprawilo deputatów swych: Wahla, Ferbera i sekretarza Kleina do obozu moskiewskiego pod Ohrą, w celu ułożenia warunków kapitulacji. W pierwszym rzędzie ze strony nieprzyjacielskiej figurowało żądanie, aby miasto wykryło winnych ucieczki Stanisławowej i zarządziło w tym celu surowe śledztwo, następnie, aby wydało prymasa Potockiego i posła francuzkiego markiza de Monti. Obaj, dowiedziawszy się o tém żądaniu feldmarszałka Münnicha, uprzedzili sami przykry akt, jakiego spełnienie nałożono miastu.

Dnia 1-go Lipca wyjechał prymas poszóstną karetą w otoczeniu swych przybocznych dragonów i stawił się w obozie moskiewskim pod Ohrą. Fedmarszałek Münnich dodał mu straż 150 dragonów moskiewskich i kazał go odprowadzić później do Torunia, gdzie w luźnym areszcie aż do zawartego w r. 1735 pokoju pozostawał. Dumni i energiczny, jak zawsze Monti, ogłosiwszy silny protest przeciw pretensyi nieprzyjaciela, aby był uważanym za jeńca wojennego, udał się dla oszczędzenia kłopotu nieszczęsnemu miastu, dnia 3 Lipca, również sam do obozu moskiewskiego i oddał się pod rozporządzenia feldmarszałka Münnicha.

nicha, który go podobnie do Torunia odstawić kazał, gdzie był trzymany w ścisłej i surowej klauzurze.

Za przykładem prymasa i Monti'ego poszli wszyscy inni, obecni jeszcze w Gdańsku panowie polscy: podkanclerzy litewski Czartoryski, regimentarz Poniatowski, marszałek nadworny Bieliński, podskarbi Ossoliński, biskup płocki Załuski, nie wyliczając innych.

Było ich za wielu, zajmowali zbyt wysokie i wpływowe stanowiska, aby w zamian uznania elektora saskiego królem polskim, nie mieli byli od niego uzyskać skwapliwego rozgrzeszenia swęj dotychczasowej opozycyi. Najoporniejszy stósunkowo pośród załogi miejskiej żywiół przedstawiały dwa pułki koronne dragonów Stanisławowych. Nie chciały w żaden sposób poddać się kapitulacyi, złożyć broni przed Moskalami, uznać się ich jeńcami wojennymi. Nie chcieli się ruszać z miasta; przychodziło między żołnierzami a oficerami do gwałtownych scen. Żołnierze rzucali się na swych przełożonych, chcieli obracać armaty na kapitulujące miasto. Major pewien, zagrożony przez jednego ze swych podkomendnych, położył go wystrzałem z pistoletu trupem. Mimo to wszystko było położenie zniszczonego, odciętego od wszelkiej komunikacyi z zewnętrznym światem miasta zbyt rozpaczliwém, aby los jego mógł liczyć na jakąkolwiek korzystniejszą odmianę a rozpoczęte układy kapitulacyjne postępowały niepo-

wstrzymanym biegiem i doprowadziły do następnego, ostatecznego rezultatu. Gdy Sasi w dwustu ludzi zajmowali ze strony przedmieścia Neugarten Oliwską bramę, gdy Sasi i Moskale dzielili się jeńcami polskimi a osadzonych w osobnych obozach za miastem otaczali silnemi strażami, podpisywali pełnomocnicy miasta z jednej strony, feldmarszałek Münnich i książę Adolf Weissenfelski z drugiej strony, dnia 7 Lipca objętą 21 artykułami kapitulacją. Najważniejsze warunki kapitulacji były następujące: Gdańsk zobowiązał się uznać królem polskim Augusta III. i wykonać mu przysięgę wierności. Oba polskie pułki koronne i wszyscy znajdujący się w służbie gdańskiej cudzoziemcy stawali się jeńcami moskiewskimi, było im jednakże wolno oswobodzić się z niewoli przyjęciem służby saskiej. Załoga miejska wracała bezzwłocznie po ustąpieniu obu pułków polskich w posiadanie szanów Winterschantze i Sommerschantze; twierdza Weichselmünde i Westschantze natomiast miały bez przeszkody komunikacji handlowej pozostać w posiadaniu załogi saskiej, co też trwało w istocie aż do dnia 22 Maja 1736 roku. Miasto Gdańsk miało wysłać deputacją do Petersburga z przeproszeniem carycy Anny. Twarde były warunki pieniężne, jakie kapitulacja z dnia 7-go Lipca nakładała Gdańskowi. Nasamprzód miał w przeciągu roku, w trzech ratach, jako indemnizacją za koszta wojenne wypłacić Moskwie milion talarów. Moskiewskiej generalicyi, artyleryi,

korpusowi inżynierów miało miasto zapłacić 30,000 dukatów tak zwanego dzwonnego; drugi milion talarów wreszcie złożyć Moskwie, gdyby mu się nie powiodło dowieść niewinności w sprawie ucieczki króla Stanisława. Dodajmy zaraz przy téj sposobności, że śledztwo wyprowadzone w téj sprawie toczyło się ze wszelką ścisłością i surowością, że akta jego razem ze zeznaniami licznych, przesłuchanych świadków, istnieją dotąd a że jako jedynie „winni“ zostali wykryci dwaj „wolni strzelcy,“ którzy króla przeprowadzili i włościanin Seidler, który królowi swój siermiegi odstąpił. Winni ci zniknęli; feldmarszałek Münnich zażądał od miasta rewersu, że ich wyda, skoro się pokażą; rada miejska oświadczyła jednakże pod dniem 20 Sierpnia 1734, iż się nie poczuwa do obowiązku wystawienia podobnego rewersu i ocaliła w ten sposób swój zagrożony honor... Bezpośredni związek z tą sprawą, — dla czego téż o nim zaraz na tém tu miejscu wspominamy, — miał warunek kapitulacyi, nakładający miastu obowiązek wysłania deprekacyjnej deputacyi do Petersburga. Deputacya ta złożona z radców miejskich Wahla, Ehlera, ławników Reygera, Bonhorsta, z członków tak zwanego trzeciego stanu Martensa, Schendla i sekretarza Jantzena, wybrała się w podróż dnia 25 Sierpnia 1734, stanęła w Petersburgu dnia 17 Września i bawiła tamże ośm miesięcy, odbywając z Münnichem, Bironem i Ostermannem konferencye w przedmiocie kontrybucyi wojennej

nałożonej Gdańskowi. Rezultat tej negocjacji był do tyła korzystny, że się udało deputacyi gdańskiej utargować ów drugi milion nałożony miastu za ucieczkę Stanisława.

Dnia 27-go Maja 1735 roku, a więc właśnie po ośmiu miesiącach pobytu w stolicy moskiewskiej, uzyskała deputacya posłuchanie pożegnawcze u carycy Anny i powróciła dnia 29-go Czerwca do Gdańska...

Oto szczegóły kapitulacyi samej i jej wykonania. W uzupełnieniu ich dodaćby jeszcze należało, że w kilka dni po opuszczeniu miasta przez pułki koronne polskie i oddziały cudzoziemskie, że po złożeniu broni przez załogę i obsadzeniu bramy Oliwskiej i szańców zewnętrznych razem z twierdzą Weichselmündzką przez Sasów i Moskali, odbyła się w mieście samém, na tej samej widowni, która przez cały rok przeszło świeciła tak pomnikowemi dowodami poświęcenia i ofiarności dla sprawy Stanisława, jaskrawa zmiana dekoracyi.

Dnia 11-go Lipca nastąpiło wśród salw działowych, wśród bicia w bębny i dźwięku trąb w kościele farnym uroczyste nabożeństwo z odśpiewaniem *Te Deum* na cześć szczęśliwie dokonanej elekcji króla Augusta III. Przyjechali na to nabożeństwo do Gdańska, witani u bram przez majora Lunzberga i generała Viettinghoffa książkę Adolf Weissenfelski w otoczeniu dragonów i huzarów, feldmarszałek Münnich z eskortą 12

Kozaków i 12 Kałmuków, których niezwykle widok ścigał tłumy zaciekawionego pospólstwa. W kilka dni po odprawieniu tego dziękczynnego nabożeństwa, wśród miasta przepelnionego rannymi, pozbawianego chwilowo rąk potrzebnych do pracy, zwłaszcza rzemieślniczej, sterczącego ruiną, noszącego na sobie w wielu miejscach ślady pożogi, nastąpiła dnia 19 Lipca inna uroczystość.

Przed kilku miesiącami zajeżdżał w mury gdańskie zacny, pocziwy, podbijający sobie wszystkich serca król Stanisław. Teraz zmiana dekoracyi i pod tym względem.

Wieczorem dnia 19 Lipca zajechał do klasztoru Olińskiego, witany uroczyście przez miejscowych Cystersów, przyjmowany łukami tryumfalnymi z woniejących kwiatów ów król pięknej postawy, zimnego temperamentu i serca, zakłopotanego wzięcia i języka, — August III. Wyjechali naprzeciw niego książę Adolf Weissenfelski i feldmarszałek Münnich, urządzili mu mieszkanie w klasztornych komnatach, otoczyli strażą 100 grenadierów.

Po odbyciu parady nad wojskami saskimi i moskiewskimi, przyjął August III. deputacyą miejską dnia 25 Lipca w Oliwie, wysłuchał w otoczeniu senatorów, pod czerwonym baldachimem mowy submissyjnej syndyka miejskiego Rosenberga i oświadczył miastu przez usta biskupa krakowskiego Lipskiego, powrót swój łaski. Świetna uczta w Oliwie pod gołym niebem zakończyła ten

akt. Z wyjątkiem jedyne go starosty mereckiego Sapięhy, który bez złożenia przysięgi na wierność odjechał, assistowali mu wszyscy najgorliwsi co dopiero stronnicy Stanisława: biskup płocki Załuski, marszałek nadworny Bieliński, podskarbi koronny Ossoliński i wielu innych, z którymi król następnie złożył w Oliwie radę senatu. Tłumy pospółstwa gdańskiego wyległe przy pięknej pogodzie z miasta, przypatrywały się transparentom, uciechom, ucztom oliwskim, miały sposobność porównywać świątyność nowowschodzącej gwiazdy Augusta III, z błędną, przemijającą, pochowaną w bezowocnym szturmie moskiewskich szanów pod Weichselmündem gwiazdą Stanisława. Jedyną z postaci co wybitniejszych otoczenia Stanisławowego, nieobecnych w Oliwie i w hołdach Oliwskich, był Czartoryski podkanclerzy litewski. Powstrzymała go od udziału w nich śmiertelna choroba. O ile wznioślej, o ile szczytniej odzywają się do duszy i wspomnień narodowych gromy nocnego szturm 9 Maja od owych fajerków i transparentów oliwskich z dnia 19 Lipca, o ile wznioślejsze, szczytniejsze widowisko owego nadzieającego się istnie po Winkelriedowemu, dobrowolnie, na bagnety nieprzyjacielskie za sprawę Stanisławową Francuza Plélo, od wróconych do kultu Sasa, biesiadujących przy jego stole senatorów polskich!

Pozostałoby nam teraz jeszcze pod koniec naszego opowiadania zamieścić kilka dat ze staty-

styki oblężenia, wymownych swą treścią, stanowiących najlepszą miarę przecierpianych przez miasto szkód, kłopotów i udręczeń. Od czasu przybycia generała Lascy trwało oblężenie 145, bombardowanie 62 dni. Wrzucono do miasta 4430 bomb, które zniszczyły w mniej lub więcej szkodliwy sposób 1800 domów, zabiły lub raniły 1500 mieszkańców, nie mających udziału w obronie. Bombardowanie oszczędzało nibyto publiczne gmachy, mimo to uderzyło wiele bomb w arsenał miejski i farny kościół Panny Maryi. Ogólna, pieniężna strata miasta w skutek oblężenia i przez kontrybucją wojenną wynosiła blisko dwa miliony talarów. Co się tyczy armii oblegającej, składał się oblężniczy korpus rosyjski z 10 pułków piechoty, 11 pułków kawaleryi, 2000 Kozaków, 650 Kałmuków, razem 33,342 ludzi. Strata jego wynosiła według najwiarogodniejszych podań przez czas oblężenia 8000 żołnierzy, 200 oficerów. Straty ograniczającego swą czynność prawie tylko na blokadzie korpusu oblężniczego saskiego były bardzo nieznaczne. Co też jeszcze zasługuje na uwagę, to wzorowa przez cały czas oblężenia intendatura miejska, to dalej nie mniej wzorowa i ofiarna ze strony lekarzy i duchownych miejskich służba lazaretowa. Żywność podskoczyła niesłychanie w cenie pod koniec oblężenia. Dzięki wszakże wczesnej i sprężystej przezorności magistratu, nie zbywało na niej mieszkańcom i załodze aż do ostatniej

chwili. Podobnie doznawali ranni i chorzy jak najtroskliwszej pieczołowitości...

Z rokiem 1736 powrócił Gdańsk w posiadanie wszystkich, otaczających go warowni. Przywileje jego i prawa nie ucierpiały w niczem; w pamiętnym roku 1793 miał, nim się poddał Prusakom, przetrwać poñowną, dwumiesięczną blokadę.

Zamykając na tém opowiadanie nasze o oblężeniu Gdańska w roku 1734, opowiadanie, które, dzięki obfitości ogromnego, w najdrobniejsze szczegóły wnikañcego materiału, moglibyśmy rozciągnąć do nierównie obszerniejszych rozmiarów, zastanówmy się w kilku jeszcze słowach nad jego polityczną i dziejową stroną. Ów drugi wybór Leszczyńskiego, owo oblężenie Gdańska w r. 1734, są w dziejopisarstwie naszym dotychczasowém epizodycznie traktowanemi wypadkami, z których dziejowego i politycznego znaczenia nikt sobie nie zdał należycie sprawy. Tymczasem jest to według nas fakt kulminacyjny, około którego w ciągu przeszłego stulecia rozegrały się fatalnie losy dwóch mocarstw europejskich, *Francyi i Polski*.

Bohaterski Plélo miał słuszość, pisząc do Ludwika XV i dokardynała Fleury, „że w Gdań-

skū i w Polsce rozgrywa się kwestya przewagi francuzkiej na kontynencie europejskim, żena j-
 świetniejsze zwycięstwa jēj nad Renem i u pod-
 dnóża Alp, nie są w stanie zrównoważyć klęski,
 jaką dla niēj stanowić będzie upadek Gdańska
 i sprawy Stanisławowej w Polsce." Wszelkie póź-
 niejsze usiłowania Francyi, czy to za panowania
 Augusta III, czy za konfederacyi barskiej około
 utrzymania, czy odzyskania wpływu na widowni
 polskiej, nie miały już znaczenia po chybionėj pró-
 bie gdańskiej z r. 1734. Klęska tego roku pro-
 wadziła prostą drogą do drugiej, straszniejszej,
 roku 1772. Ani Ludwik XV, ani Fleury nie stanę-
 li na wysokości swego zadania, nie rozumieli
 interessu Francyi. Zamiast z Gdańska i z Polski
 uczynić główną widownię swēj akcyi, zamiast tamże
 rozwinąć odpowiednie ważności sprawy siły, bawili
 się w czcze obietnice i nędzne demonstracye, po-
 święcając męczeńsko-bohaterską osobistość, jaką
 był Plélo...

Dla *Polski* była to również ostatnia sposobność
 za pomocą energicznego wysiłku wszystkich zasob-
 ów narodowych wywalczyć sobie niezależne sta-
 nowisko. Mniejsza o osobę Leszczyńskiego. Le-
 szczyński nie był tu zwyczajnym kandydatem ko-
 rony, nie był zwyczajnym pretendentem klóącym
 się o tron z drugim, ale był ideą, był sztandarem
 sprawy, około którego kupić się należało. Ówczes-
 na Polska nie zrozumiała ani siebie, ani nie po-

jęła Leszczyńskiego w podobnem znaczeniu. Jedni oświadczyli się wręcz przeciw niemu, odstępcy dobrej sprawy; drudzy, stronnicy, nie umieją go czy nie chcą bronić. Wiele wrzawy i kurzawy, czasem sporadycznej rycerskości połysk, w gruncie rzeczy obojętność i omdlenie. Istne to społeczeństwo karłów niezdolne udźwignąć miecza i zbroi dzielniejszych przodków. Nie rozumiejąc, nie korzystając z ostatniej téj sposobności, steruje Polska również nieubłaganie ku nieszczęsnej przystani roku 1772. Komu się tu jedynie laur obywatelskiej i wojennej zasługi należy, to owemu dzielnemu, wiernemu Rzeczypospoliej aż do ostatniej godziny jój bytu miastu Gdańskowi. Wszystko, cośmy wyżej opowiedzieli, pozostanie żywym wiecznie, wspaniałym pomnikiem téj prawdy.

Przyjmuje gościnnie w swe mury Stanisława razem z całym jego otoczeniem, wystawia na rzecz jego poważną armią, walczy ofiarnie, często zwyciężko, pozwala szcherbić bombami swe mury i gmachy, palić dachy nad swemi głowami. Wszystko to znosi mężnie, ofiarnie, spoglądając ku morzu, czy się nie ukáže odsieczny żagiel francuzki, spoglądając ku Polsce, czy tuman kurzawy od strony lądowej nie oznajmi może odsiecznej falangi „*pana Lubelskiego*“ lub „*Kijowskiego*“. Daremne nadzieje i oczekiwania! Próżno wygląda Gdańsk francuzkich żagli, próżno woła w zrodzonych na swym bruku ludowych pieśniach do szlachty polskiej o pomoc.

Z jednej strony rozbija sobie głowę o kamiennego nieprzyjaciela Plélo; z drugiej nie zwycięży go i nie odstraszy wrzawa pospolitego ruszenia. Obrona miasta kona po bohaterskich wysiłkach, pozostawiając dodatkowo ciężki żal i ból w sercu polskiem. Świecą w niej niezrównanym blaskiem gdańscy Niemcy, Szwedzi, Francuzi. Gdzież Polacy? Gdzież wnuki Czarnieckiego i Sobieskiego epoki? Poczciwy Stanisław umie *modlić się* tylko o zwycięstwo. Dawny towarzysz Karola XII i bohater „*Kalabaliku*“ z okopów benderskich, Stanisław Poniatowski obecny w Gdańsku w czasie oblężenia, ale czyż widny w jego obronie? Niestety! Nieostrzegalny on w dziejach, walkach i trudach owego oblężenia równie mało, jak nieostrzegalne, jak nieupamiętnione niczém żadne imię polskie. Nie dająca się ta niestety niczém odeprzeć i zaprzeczyć prawda, pozostanie nie ostatnim bólem serca i myśli polskiej, rozpamiętujących świątyni cokolwiek bądź epizod owego oblężenia. Niemcy, Francuzi, Szwedzi krwawią się około murów gdańskich za sprawę Stanisława, która *jego* tylko wyłącznie sprawą nie jest. On sam umie się za nią tylko modlić. Inni, co wybitniejsi jego stronnicy, nieobecni w obronie. Inaczéj, chwała Bogu, wyglądają Polacy czy to szturmując w roku 1807 pod Lefèvrem do tychże samych murów, czy broniąc ich walecznie i ofiarnie przez cały rok 1813 pod Rappem. Pocięszajmy naszą tęsknotę, nasz żal patriotyczny przypuszczeniem, że i w roku 1734 znaleźli się przecież

bezimienni, zapomnianego męstwa i zapomnianych zasług, skromnego stanowiska walcznicy pośród owych dwóch pułków koronnych polskich, które to do ostatniej chwili nie chciały się poddawać i uznawać jeńcami wojennymi, których dopiero groźny przymus skłonił do rzucenia broni pod stopy zwyciężkiego nieprzyjaciela!



Nakładem
C. F. Piotrowskiego i Sp. w Poznaniu
opuścili prasę w roku 1884:


OPOWIADANIA
I
STUDIA HISTORYCZNE
KAZIMIERZA JAROCHOWSKIEGO.

Serya nowa.

TREŚĆ:

Wyprawa i odsiecz wiedeńska. Szkic historyczny. —
Wyprawa wiedeńska ze stanowiska interesu politycznego Polski. — Rada senatu Wyszogrodzka i zabiegi polityczno-dyplomatyczne po zajęciu Warszawy w miesiącu Wrześniu 1704. — Wielkopolskie Leszno w roku 1707. Ustęp z dziejów wojennych tegoż roku. — Polityka saska i austriacka po traktacie Altransztadzkim. — Bitwa wschowska dnia 13 Lutego 1706. — Stanisław Leszczyński po Puławie. — Stosunek Brandenburgii do kościoła katolickiego w ziemiach polskich od roku 1640 do 1740. — Kamieniec i Poznań po Augustowej restauracyi. — Potyczka Kargowska i kapitan Więckowski.

Cena 6 mrk. = 3 rbl. = 3 zlr. 60 ct. austr. wal.



1

2

3

4



1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

DK 431.7

J33

DK 431.7 .J33
Z czasow saskich spraw wewnecz
Stanford University Libraries



3 6105 041 455 630

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.

APR - 4 1980

| | | |
|--|--|--|
| | | |
|--|--|--|

